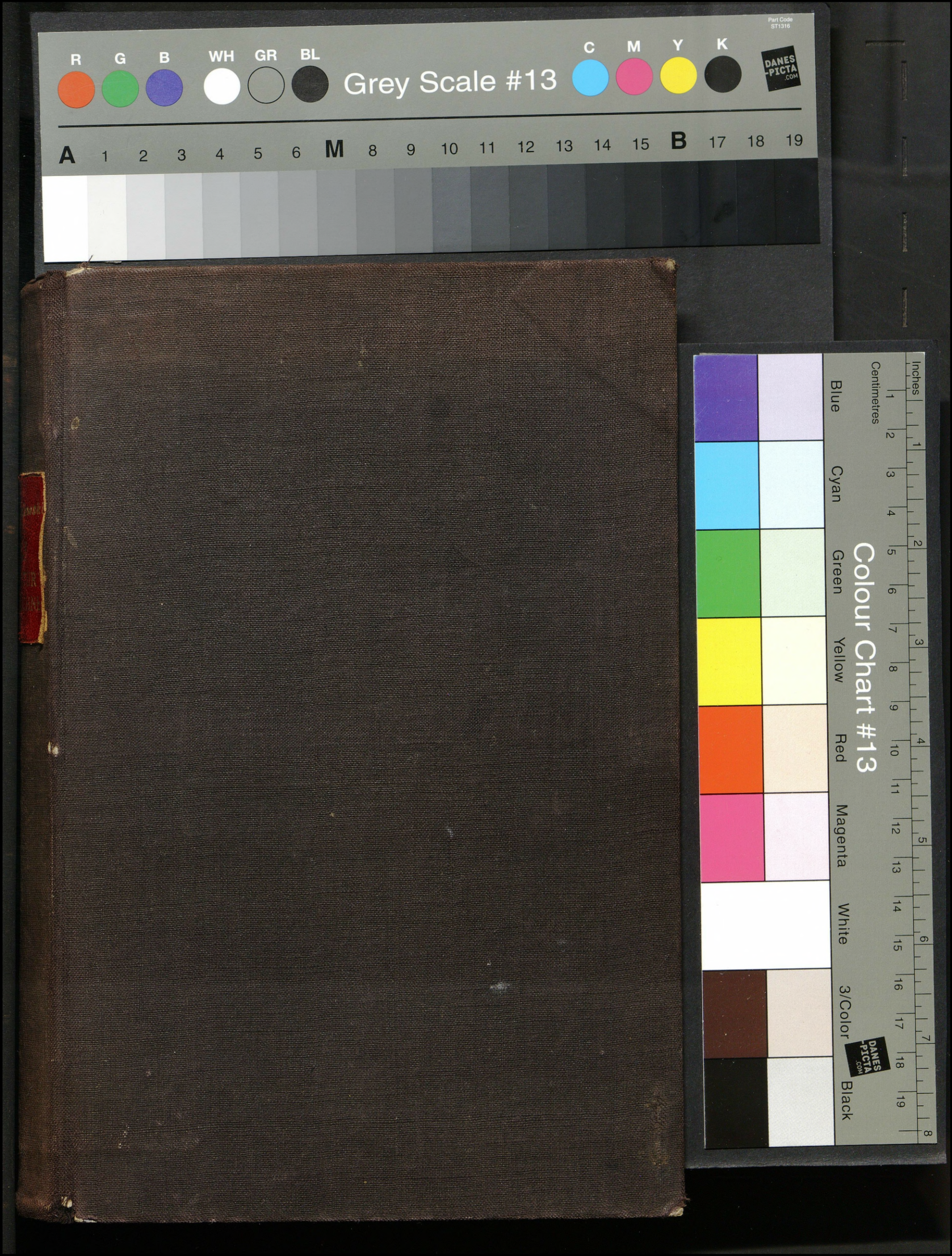
Part Code
ST1316
R
G
B
WH
GR
BL
Grey Scale #13
C
M
Y
K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

OBRAZ
LITERATURY POWSZECHNEJ

W STRESZCZENIACH I PRZYKŁADACH

ułożyli

Piotr Chmielowski i Edward Grabowski.

TOM PIERWSZY.

STAROŻYTNOŚĆ i WIEKI ŚREDNIE.

ex libris
S. Sobieszczańskiego
Lwów.

WARSZAWA.
Nakład i własność księgarni
Teodora Paprockiego i S-ki.
1895.
Skład główny w Krakowie w Księgarni L. Zwolińskiego i Spółki.

8

28275/2

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ w KRAKOWIE,
pod zarządem A. Szyjewskiego.

PRZEDMOWA.

Mamy już kilka opracowań Dziejów literatury powszechnej; przygotowuje się jeszcze jedno nowe; w nich wszakże z natury rzeczy przytoczenia z utworów poetyckich muszą być ograniczone w mniejszej lub większej mierze; dają one pojęcie o rozwoju historycznym piśmiennictwa, ale go nie stawiają wprost przed oczyma czytelnika.

Temu właśnie zadaniu pragniemy uczynić zadość za pośrednictwem książki niniejszej. Nadaliśmy jej obszar niezbyt wielki, ażeby ją uczynić, o ile można, jaknajpraktyczniejszą, dostępną dla jaknajwiększej liczby ludzi, pragnących znać nie tylko nazwiska sławnych poetów, lecz także zaznajomić się, choćby w miniaturze jedynie, z utworami ich ducha. Pierwsza to praca tego rodzaju w naszem piśmiennictwie, a i w powszechnem niema ich bynajmniej wiele. Znany historyk niemiecki literatury powszechnej, Jan Scherr, wydał przed laty jako dopełnienie swego podręcznika „Bildersaal der Weltliteratur“, które doczekało się dotychczas trzech wydań. Nie myślimy wcale taić, że książka ta poddała nam myśl ułożenia podobnej w języku polskim; ale zarazem dodajemy, że nie poszliśmy za autorem niemie-

ckim ani w układzie, ani w doborze wyjątków z poezyi wszechświatowej, ani wreszcie w metodzie ich przytaczania. Przedewszystkiem ułożyliśmy wszystkie wyjątki w 3 wielkie grupy według ogólnie przyjętego podziału dziejów na starożytność, wieki średnie i czasy nowożytne; a dopiero w tych grupach chronologicznych przeprowadziliśmy układ według narodowości. Powtóre przy większych utworach podawaliśmy streszczenia, ilustrując je dobranemi przykładami tak, ażeby czytelnik mógł wyrobić sobie samodzielne pojęcie o całości dzieła. Wreszcie zamieszczaliśmy wiadomości bibliograficzne o tłomaczeniach utworów poezyi wszechświatowej na język polski, ażeby ten, kto zechce szczegółowiej się zapoznać z nimi, miał już ułatwione poszukiwania.

Co do wyboru autorów, dokładaliśmy starania, ażeby nie pominąć najważniejszych i najbardziej znamiennych. Ponieważ do literatury polskiej istnieją już wypisy bardzo obszerne, bo w 4 wielkich tomach wydane p. t. „Złota Przędza“, wyłączyliśmy więc poezyę polską ze swego zbioru, poświęcając go wyłącznie literaturze obcej, której przedstawicieli uwzględnić zamierzamy aż do chwili bieżącej.

Tom obecny zawiera w sobie antologię systematyczną ze starożytności i wieków średnich; tom drugi i ostatni zarazem zawsze wzory poezyi nowożytnej, od XVI-go wieku poczynając.

Korzystaliśmy najwięcej z tłomaczeń już istniejących; ale tam, gdzie tego wymagała potrzeba, postaraliśmy się o przekłady nowe, umyślnie dla „Obrazu literatury powszechnej“ dokonane. Już w tomie obecnym zauważą czytelnicy po raz pierwszy w naszej literaturze pojawiające się tłomaczenia z poezyi łacińskiej wieków średnich, niektóre z francuskiej, wyjątki z dzieł poetów niemieckich, z Chau-

cera i z literatury czeskiej. PP. Kazimierz Gliński, Bronisław Grabowski, Jan Kasprowicz, Edward Porębowicz dostarczyli nam przekładów wiernych i prawdziwie pięknych, jak to możemy całkiem bezstronnie powiedzieć.

W swojem własnem tłómaczeniu ośmieliliśmy się podać tylko z konieczności kilka przytoczeń, których w lepszym przekładzie nie mogliśmy otrzymać, a ich umieszczenie uważaliśmy za potrzebne.

Oby ta książka, którą układaliśmy z zajęciem i zamiłowaniem, mogła się przyczynić do rozpowszechnienia znajomości literatur obcych, tak u nas bardzo zaniedbanej, a przez nią zapaliła dusze do czci ideału!...

Piotr Chmielowski.
Edward Grabowski.

Warszawa 19 marca 1895.

Wschód starożytny.

1. CHIŃCZYCY.

I. Księga pieśni. (Szy-dzin [1]).

a) Miłosne.

1. Kiedym chłopca mego nie widziała,
Serce mi biło,
A gdym go zobaczyła,
A gdym go spotkała,
Serce się uspokoiło.

Grom huczy
U stóp gór z południa. . .
Czemuż on stąd się oddalił?
Nie lepiej-że było pozostać? . . .
Serdeczny, szlachetny mężu,
Wróć, ach, wróć!

2. To panicz delikatny,
Jakby wyrzeźbiony i wystrugany,
Jakby wyrąbany i wygładzony,
Zdrowy, wspaniały,
Błyszczący, pokaźny,
To panicz delikatny,
Którego zapomnieć niepodobna. . .
Odkądeś na wschód poszedł,
Niema już pomady ni mydła.
A dla kogoż się upiększać!

3. Za bramą za wschodnią,
Dziewic jest chmara,
Ale choć ich chmara,
Nie żyją one w mem sercu.
Biała chusteczka, czarny czepeczek,
Daleko bardziej mnie cieszy!
Ręce jak biały kiełek rośliny,
Skóra jak tłuszcz zastygły,
Szyja jak robaczka ciu-ci,
Zęby jak ziarnka tykwy,
Głowa żuka, brwi motyla;
Milutki uśmiech na ustach,
Czarne źrenice pięknych oczu
Wyraźnie z białek się dobywają.
Księżyc wszedł jasny...
Przecudna dziewico,
Utul myśl niespokojną,
Bo rwie się serce zmęczone!

(P. Ch.)

4. Wyschły trawki na dolinie!..
I małżonków los rozdziela...
Żona traci przyjaciela...
Czy powróci?.. może zginie?..
Idąc leje łzy gorące:
Jak tu wyżyć w tej rozłące!

[1]) Zwykle w podręcznikach czyta się nazwę *Szy-king*; ale brzmienie powyżej podane oparte jest na powadze takich znawców Chin, jak Kowalewski, który na wykładach w Szkole Głównej Warszawskiej tak wymawiał, oraz Wasiljew, który w zarysie literatury chińskiej w „Historyi literatury powszechnej“ pod redakcyą Korsza i Kirpicznikowa ogłoszonej, również taką transkrypcyę podaje.

Wyschły trawki na dolinie!..
Żona dach małżeński traci,
Ciężko rzucać własnych braci...
Taka boleść nie przeminie!
Wzdycha, lejąc łzy gorące:
Jak tu wyżyć w tej rozłące!..

Wyschły trawki na dolinie!
Żonę z domu głód wygania;
Trudno biednej wstrzymać łkania.
Z ust sieroty skarga płynie.
Cierpi, wzdycha, drży i płacze...
Cóż pomogą te rozpacze!

(J. A. Święcicki).

b) Szyderskie.

1. Na górach krzewina,
Na błocie nenufar,
Nie widziałam pięknego,
Zobaczyłam potwora!

2. Ach, dziewico, nie baw się z chłopcem.
Chłopcu zabawę
Przebaczyć można.
Dziewicy zabawy
Przebaczyć nie wolno!

3. Tęcza ogniem na wschodzie połyska,
Nikt jej nie śmie pokazywać dłonią.
Młode dziewki rzucają ogniska, —
Od rodziców, od braci swych stronią!
A dlaczego?.. bo za mężem gonią!
Gdy z zachodu lśni rankiem blask tęczy,
Słońce zaraz kark skręci deszczowi,
Dziewka młoda do świata się wdzięczy,
Już nie rada praojców domowi.
A dlaczego?.. bo męża gdzieś łowi!..

(J. A. Święcicki).

c) Urzędnicze.

1. Z warkoczem nieruchomym
I dniem i nocą u księcia.
W barankowem futerku
Chwiejąc się na nogach,
Wraca z pałacu na obiad.
Chodzić wciąż troskliwie
I dniem i nocą do księcia,
To los nie do pozazdroszczenia.

2. Udałem się na wschód,
Długom, długom nie wracał.
Przybyłem ze wschodu.

Wilgoć w pokojach,
Pająki na drzwiach,
Na miedzach pastwiska jeleni,
Błędne ogniki lśnią w nocy.
Nie należy bać się,
Nie można się niepokoić!
Żona wzdycha w izbie.
Zamiata, zatyka szczeliny.
Rzucona przeze mnie tykwa
Wciąż jeszcze wisi na kasztanie;
Od owego czasu, kiedym się żegnał,
Do dziś dnia — trzy lata!

d) Ody.

1. Potężnym, potężnym jest Szan-di [1]),
Patrzy na dół w majestacie,
Przenika w swem zwierciedle wszystkie cztery strony świata,
Obmyśla środki dla ludu.
Król niebieski, roztrząsając te góry,
Nadał cel wszystkiemu.
Król niebieski, powiedział Weń-wanowi [2]):
Nie zgrzeszyłeś, więc też nie pokutujesz!
Król niebieski powiedział Weń-wanowi:
Zachwycają mię twoje jasne cnoty!

[1]) Bóg najwyższy w księdze Szy-dzin.
[2]) Najdawniejszy mityczny władca Chin.

2. Początek rodu ludzkiego
Od rzek Dziuj i Cy.
Starożytny Hun-dań-fu,
Żył w jamach i pieczarach, —
Nie było jeszcze ani domów, ani izb—
Jadąc brzegiem rzeki zachodniej
Przybył do stóp góry Cy (Ki)
I spotkawszy dziewicę Dziań,
Zamieszkał z nią razem.

Równina Dżou [1]) jest płodna,
Cykorya i gorczyca tam jak cukier.
Wybudował tu dom.
Przerzedzone ciernie i lasy
Można było wygodnie przechodzić.
Kiedy dzicy Kuńjowie uciekli,
Ledwie dech wydając,
Kiedy państwa Juj i Żu się poddały,
Wówczas Weń-wan się urodził.

II. Li-taj-bo (Li-tai-pe).

Czy znacie wód bałwany żółtawe jak wino?
Do morza one z nieba bezpowrotnie płyną.
Czyż nigdy w swe zwierciadła patrząc nie jęczycie,
Że w oczach się odmienia głów waszych pokrycie?
Jak czarny jedwab' było jeszcze lśniące z rana,
Wieczorem już czupryna ze śniegiem zmieszana.
Rozumny człowiek tylko za rozkoszą goni,
A puhar nigdy w jego nie wysycha dłoni.
Udziela niebo darów — korzystać z nich trzeba;
Gdy jedne spożytkujesz, drugie dadzą nieba.
Na ucztę wołu bijcie — a każdy skorzysta;
Musimy dzisiaj razem wypić szklanic trzysta!
Gdy baran jest, wykwintne potrawy mam za nic,
Pijaństwa tylko pragnę, pijaństwa bez granic!
Mędrcowie zniknąć muszą w zapomnienia fali,
Pijaków tylko pamięć wiecznie się utrwali!..

(J. A. Święcicki).

III. Du-fu (Tu-fu).

Żołnierze idą szybko, łuk niosąc i strzały,
Za nimi żon i dzieci biegnie zastęp cały;
Odzieży się czepiają, lejąc łez potoki,
A płaczu i skarg echa lecą pod obłoki!
Wciąż pyta wojsko rzesza ludzi przechodząca,
A oni: los nasz — rzekną — iść naprzód bez końca!
W piętnastej jeszcze wiośnie wyszli z nich niektórzy,
A dzisiaj od czterdziestu lat już są w podróży!
Zaborów coraz nowszych tworząc dzikie plany,
Nie słyszy krzyków ludu władca krwią skalany...
Daremnie pług i rydel chwytają niewiasty,
Na polach tylko głogi plenią się a chwasty.

[1]) Jest to albo pierwotna nazwa Chin, albo też nazwa dynastyi pierwotnie rządzącej tym krajem.

Wyschły trawki na dolinie!..
Żona dach małżeński traci,
Ciężko rzucać własnych braci...
Taka boleść nie przeminie!
Wzdycha, lejąc łzy gorące:
Jak tu wyżyć w tej rozłące!..

Wyschły trawki na dolinie!
Żonę z domu głód wygania;
Trudno biednej wstrzymać łkania.
Z ust sieroty skarga płynie.
Cierpi, wzdycha, drży i płacze...
Cóż pomogą te rozpacze!

(J. A. Święcicki).

b) Szyderskie.

1. Na górach krzewina,
Na błocie nenufar,
Nie widziałam pięknego,
Zobaczyłam potwora!

2. Ach, dziewico, nie baw się z chłopcem.
Chłopcu zabawę
Przebaczyć można.
Dziewicy zabawy
Przebaczyć nie wolno!

3. Tęcza ogniem na wschodzie połyska,
Nikt jej nie śmie pokazywać dłonią.
Młode dziewki rzucają ogniska, —
Od rodziców, od braci swych stronią!
A dlaczego?.. bo za mężem gonią!

Gdy z zachodu lśni rankiem blask tęczy,
Słońce zaraz kark skręci deszczowi,
Dziewka młoda do świata się wdzięczy,
Już nie rada praojców domowi.
A dlaczego?.. bo męża gdzieś łowi!..

(J. A. Święcicki).

c) Urzędnicze.

1. Z warkoczem nieruchomym
I dniem i nocą u księcia.
W barankowem futerku
Chwiejąc się na nogach,
Wraca z pałacu na obiad.
Chodzić wciąż troskliwie
I dniem i nocą do księcia,
To los nie do pozazdroszczenia.

2. Udałem się na wschód,
Długom, długom nie wracał.
Przybyłem ze wschodu.

Wilgoć w pokojach,
Pająki na drzwiach,
Na miedzach pastwiska jeleni,
Błędne ogniki lśnią w nocy.
Nie należy bać się,
Nie można się niepokoić!
Żona wzdycha w izbie.
Zamiata, zatyka szczeliny.
Rzucona przeze mnie tykwa
Wciąż jeszcze wisi na kasztanie:
Od owego czasu, kiedym się żegnał,
Do dziś dnia — trzy lata!

d) Ody.

1. Potężnym, potężnym jest Szan-di [1]),
Patrzy na dół w majestacie,
Przenika w swem zwierciedle wszystkie cztery strony świata,
Obmyśla środki dla ludu.
Król niebieski, roztrząsając te góry,
Nadał cel wszystkiemu.
Król niebieski, powiedział Weń-wanowi [2]):
Nie zgrzeszyłeś, więc też nie pokutujesz!
Król niebieski powiedział Weń-wanowi:
Zachwycają mię twoje jasne cnoty!

[1]) Bóg najwyższy w księdze Szy-dzin.
[2]) Najdawniejszy mityczny władca Chin.

2. Początek rodu ludzkiego
Od rzek Dziuj i Cy.
Starożytny Hun-dań-fu,
Żył w jamach i pieczarach, —
Nie było jeszcze ani domów, ani izb—
Jadąc brzegiem rzeki zachodniej
Przybył do stóp góry Cy (Ki)
I spotkawszy dziewicę Dziań,
Zamieszkał z nią razem.
Równina Dżou [1]) jest płodna,
Cykorya i gorczyca tam jak cukier.
Wybudował tu dom.
Przerzedzone ciernie i lasy
Można było wygodnie przechodzić.
Kiedy dzicy Kuńjowie uciekli,
Ledwie dech wydając,
Kiedy państwa Juj i Żu się poddały,
Wówczas Weń-wan się urodził.

II. Li-taj-bo (Li-tai-pe).

Czy znacie wód bałwany żółtawe jak wino?
Do morza one z nieba bezpowrotnie płyną.
Czyż nigdy w swe zwierciadła patrząc nie jęczycie,
Że w oczach się odmienia głów waszych pokrycie?
Jak czarny jedwab' było jeszcze lśniące z rana,
Wieczorem już czupryna ze śniegiem zmieszana.
Rozumny człowiek tylko za rozkoszą goni,
A puhar nigdy w jego nie wysycha dłoni.
Udziela niebo darów — korzystać z nich trzeba;
Gdy jedne spożytkujesz, drugie dadzą nieba.
Na ucztę wołu bijcie — a każdy skorzysta;
Musimy dzisiaj razem wypić szklanic trzysta!
Gdy baran jest, wykwintne potrawy mam za nic,
Pijaństwa tylko pragnę, pijaństwa bez granic!
Mędrcowie zniknąć muszą w zapomnienia fali,
Pijaków tylko pamięć wiecznie się utrwali!..

(J. A. Święcicki).

III. Du-fu (Tu-fu).

Żołnierze idą szybko, łuk niosąc i strzały,
Za nimi żon i dzieci biegnie zastęp cały;
Odzieży się czepiają, lejąc łez potoki,
A płaczu i skarg echa lecą pod obłoki!
Wciąż pyta wojsko rzesza ludzi przechodząca,
A oni: los nasz — rzekną — iść naprzód bez końca!
W piętnastej jeszcze wiośnie wyszli z nich niektórzy,
A dzisiaj od czterdziestu lat już są w podróży!
Zaborów coraz nowszych tworząc dzikie plany,
Nie słyszy krzyków ludu władca krwią skalany...
Daremnie pług i rydel chwytają niewiasty,
Na polach tylko głogi plenią się a chwasty.

[1]) Jest to albo pierwotna nazwa Chin, albo też nazwa dynastyi pierwotnie rządzącej tym krajem.

Śród rzezi wiekuistej ginie zastęp młody,
Człowieka życie równe dniom psów albo trzody!
I pocóż nam się rodzą nieszczęśliwe syny;
Toć większa dzisiaj ojcu pociecha z dziewczyny.
Bo córka, jeśli wyjdzie, to pod dach sąsiada,
A na chłopców od dziecka czatuje śmierć blada.
O władco, błękitnego nie znasz brzegów morza,
Gdzie kośćmi się umarłych bieleją przestworza,
Gdzie z ziemskich więzów świeżo wyzwolone duchy
Skarg fale pośród nocy rozlewają głuchéj.
Tam niebo ołowiane i deszcz mroźny siecze,
A zewsząd drżą w powietrzu jęki nie-człowiecze!..

(J. A. Święcicki).

IV. Hoei-lan-ki (Historya o kole kredowem).

(Utwór dramatyczny).

Byłą śpiewaczkę i tancerkę *Hai-tan* oskarżono o otrucie męża i przywłaszczenie sobie dziecka drugiej tegoż żony. Rzecz wytacza się w końcu przed najwyższego sędziego *Pao*. Świadkowie, przekupieni przez panią *Ma*, zeznają, że dziecko, o które idzie, jest istotnie jej dzieckiem. — Sędzia *Pao* postanawia dokonać próby.

Pao. Woźny, przynieś mi kawałek kredy i narysuj nią koło, w środku którego postawisz chłopca; kobiety niech ciągną z dwu stron. Jeżeli go pochwyci matka prawdziwa, to łatwo jej będzie wyprowadzić chłopca z koła, matka zaś mniemana nie dokaże tego.

Woźny. Według rozkazu. (Zakreśla koło kredą i stawia chłopca w jego środku).

(Pani Ma chwyta dziecko i wyciąga je z koła; *Hai-Tan* nie może tego dokonać).

Pao. Toć jasno jak w dzień, iż ta kobieta nie jest matką, bo się jej nie udało wyciągnąć go z koła. Woźny! Weź *Czan-hai-tan* i obij ją tu przed kratkami *(Tak się staje)*.

Teraz niech jeszcze raz obie kobiety spróbują wyciągnąć dziecko z koła.

(Pani Ma ciągnie dziecko do siebie. *Hai-tan* znowuż nie może tego dokonać).

Pao. A więc próbę powtórzyłem parę razy i spostrzegłem, że Hai-tan nie uczyniła najmniejszego nawet wysiłku, żeby dziecko wyciągnąć z koła. Woźny, weź grubsze kije i dobrze ją niemi pogłaskaj.

Hai-tan. Ach, łaskawy panie, złóż gniew ten, który mię przeraża jak grom, i tę groźną minę, która dla mnie tak jest straszną, jak widok wilka lub tygrysa. Kiedym wyszła za pana Ma, urodziło mi się to dziecko. Nosiłam je pod sercem, trzy lata karmiłam je piersią, spożywałam same gorycze, wszelką słodycz wydawałam z siebie. Kiedy było zimno, ogrzewałam delikatne jego członeczki.

Jakichże to trudów i troskliwości było potrzeba, aby wychować dziecko aż do piątego roku życia! Ono jest tak słabiutkie i tak delikatne, że niepodobna, ażeby ciągnąc je z dwu stron, ciężko go nie urazić. Panie, jeżeli dziecko moje tym tylko sposobem odzyskać mogę, żebym mu jego drobne ramionka ze stawów wyrwała, albo i złamała, to wolę dać się ubić na śmierć, niż się choćby najmniej wysilić na wyciągnięcie go z koła. O, łaskawy panie, ja sądzę, że się pan zlituje nademną.

(Śpiewa): Czyż to być może matka prawdziwa,
Co dziecię swoje na mękę wzywa?

(Mówi): Niech-że sam pan się przyjrzy łaskawie!

(Śpiewa): Ramiona dziecka są tak słabiutkie,
Jak źdźbła konopi takie cieniutkie!
Czy owej srogiej kobiecie znane
Cierpienia, bóle, matce zadane?
Ale to musi zdziwienie wzbudzić,
Żeś ty, o Panie, dał się ułudzić.
O jakże los nasz jest tu odmienny!
Mnie zgnębią ludzie swoją pogardą,
A ona głowę podniesie hardo,
Jeśli ów wyrok zapadnie kamienny.
Członeczki dziecka pójdą w kawały,
Gdy je z obu stron będziemy rwały.

Pao. Lubo myśl, ukryta w prawie, nieraz leży bardzo głęboko, możliwą przecież jest rzeczą przeniknąć wzruszenie, władające sercem ludzkiem. Pewien starożytny mędrzec powiedział te słowa pamiętne na wieki: I któżby zdołał ukryć, kim jest, jeśliście tylko widzieli, co on czyni, jeśliście zbadali powody jego postępowania i zauważyliście, do jakiego zmierza on celu? — Uznajcie zatem olbrzymią potęgę, jaka otaczała to koło kredą narysowane! Tamta kobieta pożądała w swem sercu zawładnąć całym majątkiem Maciun-dzina, i dlatego chciała młode dziecko przy sobie zatrzymać; ale czyż mogła przypuszczać, iż ukryta prawda tak rychło na jaw wyjdzie?

(Deklamuje): Aby majątki posiadać mężowe,
Tego chłopaczka sobie przywłaszczyła;
Koło atoli wykryło kredowe,
W czem kłamstwo, a w czem prawda się mieściła.
Grzeczną, łagodną wszystkim się wydała,
Ale jej srogość wyszła na jaw cała —
Matka prawdziwa wnet się ukazała. *(P. Ch.).*

2. INDUSOWIE.

A. Rigweda.

1. Hymn do Indry.

1. Wzywamy cię, o Indro, na ucztę *somy* [1]), przybądź wraz ze swymi bułanymi rumakami, o boże, pociskami zbrojny!
2. Kapłan już zasiadł według przepisu, droga kwiatami wysłana, kamienie ofiarne zebrane tego poranka.
3. Te modły są przeznaczone dla ciebie, o boże, co wysłuchujesz modlitwę: spocznij na kwiatach i skosztuj, o bohaterze, chleba ofiarnego.
4. Zachwycaj się naszemi libacyami i śpiewami ofiarnemi, o zwycięzco *Writry!* [2]) Ty, o Indro, jesteś przedmiotem naszych pieśni pochwalnych.
5. Myśli nasze pieszczą się Indrą, potężnie somę pijącym, wszelkiej siły władcę, tak jak krówka igra z cielęciem.
6. Nasyć się tym napojem ofiarnym, pozwól spocząć ciału, nie zrób wstydu piewcy.
7. Dla ciebie, o Indro, całkiem wylani śpiewamy przy pełnych czarach: bądź też i ty nam przychylny, o dobry boże.
8. Obyś niedaleko od nas odprzągł swe rumaki, przybywaj ku nam, boże w ofiarach sławiony, i odpocznij sobie.
9. Oby cię twe rumaki, długą grzywą ozdobne, przywiozły na pięknym rydwanie, byś zasiadł na kwiatach, ofiarnym tłuszczem skropionych.

(Przekład dosłowny Teofila Krasnosielskiego).

2. Hymn do Indry.

1. Dzielnemu, potężnemu, wspaniałemu Indrze składam pieśń mą za pokarm, temu groźnemu, niezwyciężonemu bogu składam modlitwę i ofiary hojnie przyprawne.
2. Jakby pokarm zanoszę do niego mój hymn pochwalny za jego zwycięstwo (nad Writrą): serce, dusza i umysł stroją modlitwę dla Indry, pana wiecznego.
3. Zbliżam się do niego ze szlachetną pieśnią na ustach, która nam niebo otworzy, mój hymn wspaniały i serdeczny przyczyni się do wzrostu roztropnego Indry.
4. Tworzę dlań pieśń pochwalną, jak robotnik (tworzy) rydwan dla swego chlebodawcy: śpiewy moje są przeznaczone dla boga w śpiewie opiewanego, hymn ten wszechmocny składam roztropnemu Indrze.
5. Jak wojownik sławy chciwy pieści swego rumaka, tak ja hymn ten gładzę językiem, by opiewać bohatera, wszelkiej obfitości władcę, miast burzyciela wielce sławionego.

[1]) Napój nieśmiertelnych.
[2]) Demon, uosobienie groźnych chmur.

6. Dla niego *Twasztar* [1]) ukuł piorun, ten oręż boski i potężny w walce, którym Indra, dostatki hojnie szafujący, miotając błyskawicę, przeszył ciało Writry.
7. Gdy skosztował wybornego napoju (somy) i słodkiego pokarmu ofiarnego, natenczas bóg ten, wszystko przenikający, wyrwał niezwyciężony pocisk z rąk potężnego robotnika (Twasztry), a cisnąwszy piorun, przeszył nim nawskroś odyńca (Writrę).
8. Zwycięzcy *Ahisa* [2]) niebianki, bogów małżonki, utkały pieśń. Indra ogarnął ramionami niezmierne niebo i ziemię, które jego wielkości nie zdołają wyrównać.
9. Gdyż jego wielkość przewyższa niebo, ziemię i powietrze; własną promienny jasnością, sławiony przez wszystkich, nieustraszony, gwałtowny Indra wzrósł do walki we własnym domu (t. j. w niebie).
10. Potęgą piorunu zdruzgotał Indra Writrę, który osuszał świat: uwolnił strumienie (deszcze) podobne do krówek zamkniętych i roztoczył chwalebnie swe dobrodziejstwa nad światem.
11. Wody cieszą się z jego zwycięstw, gdy swą maczugą (piorunem) poskromił Writrę: ten bóg potężny, dzielny, wiernych swych czcicieli hojnie wspierający.
12. Śpiesz się, spuść piorun swój na Writrę, o boże wielki, rozrzutny w dostatkach: połam mu kości, jakby bykowi, ześlij nam deszcze, niechaj spadną obficie.
13. Tego szybkonogiego, co godzien jest śpiewu, dawne czyny opiewaj w pieśni: tak gdy do walki postępując, orężem włada i wojennym szałem wiedziony, rzuca się na nieprzyjaciół.
14. Z obawy przed nim drżą i góry najokazalsze i niebo i ziemia, stworzenia wszelkie; a gdy *Nodhas* [3]) pocznie swego ulubieńca potęgę opiewać, natychmiast do sił przychodzi.
15. Dla niego śpiew tych (ofiarników) jest ułożony, aby się podobał temu, który sam jeden jest panem siły i dostatków; Indra wsparł *Etasę* [4]), składającego mu ofiary, w walce ze *Surjasem* [4]), synem *Srasivy*.
16. Zaprawdę, skuteczne modły zanieśli synowie Gotamy do ciebie, o Indro, płowemi wieziony rumakami: im też udziel wszechkształtnej zamożności, przybądź śpiesznie w godzinie porannej, o Indro, co sprzyjasz pobożnym rozmyślaniom.

(Przekład dosłowny T. Krasnosielskiego).

3. Hymn do Suryi.

Promienie niosą już w górę,
W całego świata obliczu
Wszystko-widzące słoneczko.

Jak złodziej pierzchną na strony
Gwiazdy z towarzyszką nocą,
Przed wszystko-widzącym Suryą.

[1]) Bóstwo odpowiadające mniej więcej Wulkanowi.
[2]) Wąż, przeciwnik Indry.
[3]) Autor tego hymnu.
[4]) Imiona poetów.

Coraz widniejsze promienie,
Oświecające wsze twory
Jarzących ogni potokiem.
Wzbijasz się wszystkim widomy
I siejesz, boże słoneczny,
Światło w słoneczne przestwory.
Wstajesz przed bogów obliczem,
Przed ludźmi i wszem stworzeniem,
Abyś się przeszedł po niebie.
O czysty! oczyma twemi
Patrzący na te padoły,
Gdzie świat człowieczy się rusza —

Różniąc pogodny dzień z nocą
I oglądając wsze twory,
Przebiegasz niebios przestwory.
Siedm płowych koni u wozu
Ciągnie cię, boże słoneczny,
Promienno-włosy, świetlany!
Siedmią czystymi rumaki
Wóz ciągnącymi, a które
Sam zaprzągł, jedzie przez szlaki.
Witając światłość po nocy,
Idziem, o Suryo, ku tobie,
Najwyższa nasza światłości!

(L. Siemieński).

4. Hymn do światła.

Na początku było złote światło,
Panem też jest wszystkiego, co żyje,
Ziemię, niebo, stworzyło wielmożnie,
Jakże wezwać nam takiego boga?

On to daje żywot, siłę daje,
Błogosławieństw jego pragną bogi,
Cieniem jego wieczność nieśmiertelna,
Jakże wezwać nam takiego boga?

Onże królem jest całego świata
Żyjącego, tchnącego żywotem,
Władcą zwierząt, ludzi kierownikiem,
Jakże wezwać nam takiego boga?

Chwałę jego wieszczą śnieżne góry,
Chwałę jego wieści wielkie morze,
Morze, góry — to jego ramiona,
Jakże wezwać nam takiego boga?

Wola jego zbudowała niebo,
Wola jego zbudowała ziemię.
Niebo, ziemia, drżąc, patrzą na niego,
Jakże wezwać nam takiego boga? *(J. Szujski).*

5. Hymn nâsadyasûkta.

Nie było wówczas nicości i bytu nie było;
Przestrzeń, a za nią niebo nie istniały wcale.
Cóż tak potężnie wszystko zakrywało?
Czem-że była głębia niezmierzona?

Śmierci nie było i nieśmiertelności,
Ni dnia, ni nocy odmian nie bywało;
Jedność o własnej oddychała mocy,
I nic się nie różniło od niej.

Ciemność była; w ciemności zatopiony
Wszechświat oceanem był bez odmiany,
Potężny, zewsząd nicością otoczon,
Pod ciepła żyć zaczął działaniem.

Miłość się pierwsza w nim wówczas zbudziła
I ducha pierwszem stała się nasieniem;

Mędrcy zaś myślą w sercach swych odkryli,
Że bytu on węzłem z nicością.

Gdy sznur mierniczy w poprzek rozciągnięto,
Co było pod nim, co nad nim istniało?
Tam moce twórczem ciężarne nasieniem,
Tu *swa-dhâ* [1]), tam natężenie.

Któż wie zaprawdę, kto zwiastować może,
Gdzie zrodzon powstał ten wszechświat wspaniały!
Bogowie później powstali od niego;
Wszechświata czyż znany początek?

Wie o nim chyba ten, kto z łona swego
Ten wszechświat wydał, lub też sam go stworzył,
W najdalszych będąc mu strażą przestrzeniach;
A może i on nie wie tego!

(Maurycy Straszewski).

B) Mahâbhârata.

Król Dhritarasztra, potomek Bharaty, panujący w Hastinapurze, uwzględniając cnoty i zasługi swoich pięciu bratanków: Judhisztiry, Bhimy, Ardżuny, Nakuli i Sahadewy (synów Pandusa), oddaje im w posiadanie część państwa ze stolicą Indraprasztą, ku wielkiemu niezadowoleniu swoich stu synów (Kurawów), którzy oddawna okazywali im wielką nieprzychylność i różne starali się im wyrządzać krzywdy. Szczególniej zawzięty w swej nienawiści ku Pandawom okazuje się Duryodhana. Zaprasza on ich na wielką uroczystość do Hastinapury i podczas zabawy, grając podstępnie w kości z Judhisztirą, wygrywa od niego wszystkie bogactwa, państwo i Draupadi, wspólną żonę Pandawów. Stary Dhritarasztra zwraca bratankom przegraną, ale Judhisztira, uniesiony zemstą i chciwością, przegrywa powtórnie wszystko i na żądanie Duryodhany, udaje się wraz z braćmi na wygnanie. Mają oni lat dwanaście spędzić na pustyni, później rok cały wśród ludzi, ale niepoznani, i dopiero po upływie tego czasu wolno im będzie wrócić do Indrapraszty i objąć rządy państwa. Czas wygnania w dzikiej puszczy upłynął Pandawom wśród ciągłych trosk i niewygód, na różnych bohaterskich czynach, bogobojnych rozmyślaniach i słuchaniu dawnych podań i umoralniających opowieści. Nareszcie po upływie roku trzynastego na usługach u Wiraty, króla Matsyów, wysyłają do Duryodhany (Kurawów) posła, z żądaniem zwrotu królestwa. Na radzie Kurawów, zwołanej z tego powodu przez Duryodhanę, powstaje rozdwojenie. — Osiwiały w bojach Bhiszma, zarówno życzliwy stronom obydwom, doradza zgodę; ale za to pokojowe usposobienie ostro nagania go surowy Karna. Wywiązuje się z tego cierpka kłótnia, w której gwałtowny Karna, obrażony pogardliwemi słowami Bhiszmy, oznajmia, że razem z nim walczyć nie będzie. Bhiszma obejmuje dowództwo nad wojskiem Kurawów, ale w bitwie, która ma rozstrzygnąć całą sprawę, oszczędza Pandawów. Zaniepokojony tem Duryodhana prosi go, żeby ustąpił dowództwa Karnie.

Ale jak ostrych strzał ciosy, bolały Bhiszmę te słowa.
W głębokim smutku pogrążon, dostojną twarz w dłoniach chowa,
Aż z piersi się wnętrza ozowie: Idź, królu, i śpij spokojny,
Bo jutro wydam im wojnę, jak nie było dotąd wojny,

[1]) Istota czy też pojęcie bezwzględne, absolut.

O której pieśni i mowy do końca nie skończą się świata,
Bo nie oszczędzę nikogo.....
Z radością posłyszał król mowę, powstał, uczcił starca czołem,
Powrócił do namiotów i usnął z umysłem wesołym.
Ale się Bhiszma stary długo z troskami kołatał,
Narzekał: Wszakżem walecznie tylu rycerzy już spłatał,
Jako się godzi kszatryi, przecież mię wyrzut spotyka!
O ciężka dolo, co pędzisz na wnuki wojownika!
O ciężka dolo, co każesz mordować owe dziecięta,
Kołysane na rękach, gdy zgoda władała święta!
O Jamo [1])! wstrętne mi życie, wielką pokryte żałobą.
Weź mnie i wybaw mnie, Jamo! — Tak biadał Bhiszma nad sobą
Wpośród ciemności nocnej, gdy wilków i hyen stada,
I stada duchów ponurych, gdzie gęstych trupów biesiada
Na bojowisku leżała, goniły na wyścig i wyły,
Aż jarkie promienie słońca okropnych gości spędziły. —
Ale gdy wzeszło słońce, zagrzmiała pobudka kręconych
Muszli, i bębny zagrzmiały, i wozów turkoty pędzonych,
I rżenie się koni rozległo i słoniów przeciągłe krzyki,
Hasła wojenne słychać i głośne dowódców języki.
I stanął przeciwko sobie tłum niezliczony narodu —
Na wschód Pandawów wojsko, Kurawów zaś od zachodu....
Na srebrnym starzec (Bhiszma) stał wozie, śnieżnego włosa i brody,
W białym turbanie jechał, a z wiatrem niebios w zawody
Biała się z ramion szata, niby dwa skrzydła, rozwiała,
A srebrną była zbroja, która pod szatą mu lśniała.
Białe go konie niosły, że wydał się górą śnieżystą,
Na wzniosłym palmy sztandarze pięć gwiazd się świeci srebrzysto.
Więc do rycerzy obrócon, rzuci im słowa z wysoka,
A słowa wydały się grzmotem z czarnego na niebie obłoka:
Dzisiaj wam męże waleczni na ścieżaj otwarte wrota,
Któremi chadzali ojcowie, gdy bojów zawrzała ochota,
W rozkoszne światy Indry, które wam stoją otworem;
Chwałę unosząc wieczystą, pradziadów pójdziecie torem.
Nie chcecie śmierci w domu; wyście waleczni i młodzi,
Na polu bitew jedynie kszatryom umierać się godzi! —
Tak stary wołał Bhiszma; toż krzyk zapału się mnożył.
Wtedy złocistą do ust swych, kręconą muszlę przyłożył,
Zadął policzki dwoma; głos wielki z muszli wypada,
Huczy, a wróg zdaleka takimże odgłosem zagada.
Ruszyły oba zastępy, ziemia zajękła pod niemi,
Piesi zmieszali się z końmi, słonie z wozami strasznemi:
Niby ocean w burzy, co rzuca szalone bałwany,
Tak na równinie bitwy dwu wojsk zderzyły się ściany,
Chwiały, łamały z sobą, a miecze, oszczepy i strzały
Nad czarną odmętów falą błyskawicami się zdały.

[1]) Bóstwo śmierci.

Tam wozy leciały bojowe, tam słonie dwa zbrojne na siebie,
Owdzie z jeźdźcami jeździec w wojennej się spotkał potrzebie,
Tu piesi dwaj walczą ze sobą, tam wozy opadła piechota,
Owdzie zwycięski wóz środkiem przez trupy piechurów grzmota.
Tu jeździec z strojnego konia woźnicę obciął toporem,
Tam rycerz z wozu waleczny, łukiem władający skorym,
Napastników postrącał celnemi strzałami zwysoka;
Owdzie szalone słonie nakształt rwącego potoka
Lecą, trąbami biją, kłami płatają, nogami
Miażdżą konie i ludzi. Ale z strasznemi słoniami
Nie waha się walczyć waleczny, wymija, tłucze maczugą,
Razi oszczepem zwierza, że krwawą posoki swej strugą,
Wyjąc żałobnym głosem, haniebny odwrót swój znaczy.
Ale w okropnej bitwie, w której los szczęścia majaczy,
Wysoki Bhiszmy sztandar zawsze wśród wrogów połyskał.
Od słońca strzał chmura go strzegła, które na Pandów wyciskał.
A pod pocisków chmurą sam jaśniał jak słońce na ziemi.
Gdzie konie poniosły go białe, tam z wozy goniły próżnemi
Przestraszone rumaki, padały głowy tysiącem,
Ciemnością wydało się wszystko, on ciemność płoszącem był słońcem.

Z tem wszystkiem Bhiszma pada przeszyty podstępnie strzałą Ardżuny, któremu pomaga Kriszna, król Jadawów. Miejsce Bhiszmy zajmuje teraz Karna, ale i ten ginie w podobny sposób, gdy jego wóz bojowy ugrzązł w bagnisku podczas pojedynku z Ardżuną.

Z gniewu zapłakał Karna, gdy zagrzązł wóz w błocie złocony.
Ardżuno, — woła — waleczny, toż strzały nie poślesz mi wronej,
Kiedy się z błota dźwigam, szlachetną się w boju ukaże
Dusza twa, póki na równi obadwa nie staną bojarze!
Ale nie słuchał Ardżun i nakształt piorunnej chmury
Na Karnę, co wóz dźwigał, strzał strumień miotał z góry.
Rozwścieklon, łuk potężny naciągnął Karna, wymierzył,
Zabłysła strzała żelazna, grot w ramię Ardżuny uderzył.
Zemdlony toczy się Ardżun, strach hufce Pandawów chwyta,
Zagrały muszle Kurawów, z rozpaczy Kriszna w ząb zgrzyta.
Ale szlachetny Karna śmierci słabemu nie zada;
Odłożył łuk na stronę, barki pod wasąg podkłada,
Aby podźwignąć wóz wrony i koła wydobyć z bagniska.
Wtedy wyciągnął strzałę, krew zatamował, co pryska,
Czarodziejskiemi słowy Kriszna, czarodziej wielmożny.
Podniósł się Ardżun zemdlały, łuk srogi naciągnął, ostrożny;
W schylonego nad wozem znienacka grot posłał wrony
I dzielny Karna upadł, śmiertelnym ciosem trafiony.

(Wolny przekład J. Szujskiego, podług niemieckiej przeróbki A. Holzmana w „Indische Sagen“).

Po upadku Karny zwycięstwo przechyla się stanowczo na stronę Pandawów. Giną w walce wszyscy Kurawowie, a zwycięzcy pomagają staremu Dhritarasztrze uczcić poległych synów uroczystym pogrzebem. Judhisztira wraz z braćmi obejmuje rządy nad

całem państwem Bharatydów, ale dla ślepego stryja zachowuje wszelkie oznaki uszanowania, dopóki ten, przeczuwając zbliżający się kres życia, nie usunął się na pustynię, gdzie też wkrótce żywota dokonał. Ale i Pandawowie niedługo cieszą się plonami zwycięstwa. Kriszna ginie po powrocie do swojego państwa; jest to skutek przekleństwa, jakie nań rzuciła matka Kurawów za to, że mogąc (według jej zdania), nie chciał zapobiedz bratobójczej wojnie. Wiadomość o śmierci Krischny, który — jak się teraz pokazało — był wcielonym bogiem Wisznu, zgnębiła i przeraziła Pandawów. Ustępują oni rządów synowi Ardżuny i udają się na szczyt Himalajów, żeby się tu należycie przygotować do życia przyszłego. Po śmierci, odbywszy jeszcze srogą pokutę w piekle, osiadają w niebie, godzą się ze swymi wrogami i dowiadują się, że są boskiego pochodzenia.

a) Sawitri.

(Epizod z Mahâbhâraty).

Był w Madras król pełen cnoty i sprawiedliwości, gościnny, pobożny, obietnic dotrzymujący, ukracający swe żądze, czyniący przepisane ofiary i ojciec ubogich. Król ten był Aświpati, szczęściem wszystkich szczęśliwy, bardzo podeszły w lata, a bezdzietny, i dlatego trapiący się starością swoją. Czynił on wszelkie pokuty w nadziei uproszenia sobie potomstwa.

Jakoż za sprawą bogini Savitri urodziła mu się córka, której przez wdzięczność dla bogini, nadano także imię Savitri.

Piękna jak Lakmi, bogini szczęścia, wyrosła młoda dziewica. A widząc jej kibić wysmukłą, postać krągłą i złotu podobną, mówili mężczyźni: Piękną jest prawie, jak córka bogów! A przecież żaden młodzian, uderzony jej wdziękami, nie wybrał sobie za żonę dziewicy z oczami lotosu i gorejącej blaskiem młodości.

Smucił się tem bardzo Aświpati, albowiem „ojciec niewydający córki za mąż występny jest“, i polecił córce, żeby sobie wzięła za męża, kogo zechce. Sawitri wybrała Satyawana. Był to syn Dyumatsena, króla Salwy, który ze starości ociemniał i z tej przyczyny wyzuty ze swego państwa, schronił się do puszczy i tu oddany bogobojnym praktykom, syna swego wychował. — Wyboru tego nie pochwala poważny bramin Narada. Wprawdzie zdaniem jego „jest to młodzian spokojny, cichy, rycerz zwalczonych namiętności, otwarty, życzliwy, dotrzymywacz obietnic i stały w postanowieniach; prawy niezmiennie i w wierze niezachwiany i wkrótce między najsławniejszych policzon będzie“ — lecz cóż, kiedy „od dziś za rok dojdzie kresu swego życia i straci postać cielesną“. Ale Sawitri wyboru swojego nie zmieni. „Długo lub krótko żyć będzie, czy ma przymioty lub nie, — gdy raz męża wybrałam, nie wybiorę drugiego“, odpowiada na perswazye ojca, poślubia Satyawana i osiada z nim w puszczy przy jego rodzicach. Rok dobiega kresu i Sawitri surowe czyni pokuty, żeby wybawić od śmierci męża, który nic nie wie, co go wkrótce ma spotkać. — W dniu oznaczonym Satyawan, wziąwszy siekierę, udaje się do lasu; Sawitri postanawia mu towarzyszyć, żeby nieodłącznie być przy nim.

Satyawan obok swej towarzyszki uzbierał w lesie koszyk owoców, a potem ciął drzewo siekierą. Ale wnet twarz jego pot oblał; a osłabiony wielce, uczuł ból głowy. Zbliżył się do miłej małżonki i słabym rzekł głosem: O Sawitri! ciało moje i wnętrze

zdają się goreć. Źle się czuję, o miaro-mówna! Chciałbym się przespać, bo mi sił zbywa.

Sawitri, zbliżona do męża, usiadła obok i głowę jego na swoje schyliła łono. I młoda pustelnica, przejęta słowami Narady, widziała przed sobą chwilę zapowiedzianą. I wraz spostrzegła człowieka w szacie czerwonej, z głową kędzierzawą, twarzy miłej, a jaśniejącej jak słońce. Miał barwę czarno-żółtawą, oczy czerwone, a w ręku niósł powróz. Postać miał straszną, a stanąwszy obok Satyawana, chciwie nań patrzył.

Gdy go Sawitri postrzegła, wnet się zerwała; a złożywszy lekko głowę męża, na łonie trzymaną, w postaci błagalnej, ze drżeniem w sercu tak przemówiła:

— Poznaję cię bogiem, bo postać twoja nie jest śmiertelną. Powiedz, o dobry boże, ktoś jest i co zamyślasz?

— Poświęciłaś się dla męża i dla praktyk pobożnych, przeto ci odpowiem, Sawitri! — rzekł nieznajomy. — Wiedz, piękna, młoda niewiasto, żem jest bóg śmierci. Życie twojego męża jest dopełnione, więc wprowadzę go w moje królestwo.

Sawitri rzekła: O ty, dziedzicu najwyższej błogości! mówią, że to zwykle posłańcy twoi ludzi uprowadzają, pocóż sam dziś przychodzisz, o boże najpotężniejszy?

Tak zapytany, pełen litości dla Sawitri, odpowiedział: Mąż twój młody, cnotliwy, który jest morzem pięknych przymiotów, nie miałby cześci należnej, gdyby go sługi moje stąd wiodły; przeto sam po niego przychodzę.

Potem Jama, wydobywszy z ciała Satyawana duszę, związał ją mocno; wtedy wyszło życie z ciała Satyawana, znikł oddech, zagasły oczy; a zwłoki, bez ruchu, smutne były do widzenia. Ale Jama, z duszą związaną, ku południowym stronom się udał.

Sawitri, ociążona boleścią, szła za Jamą; Sawitri, która, w poświęceniu się dla małżonka, zniosła dla niego posty i najsurowsze pokuty.

Ale Jama, zatrzymując ją: — Wróć się, wierna Sawitri, i poświęć ofiarę za umarłego. Wszystkoś czyniła, coś winna dla męża; przyszłaś tak daleko, jak tylko mogłaś.

— Gdzie ty mi męża prowadzisz, — rzekła Sawitri; — gdzie on będzie, ja pójdę za nim: to jest wieczna moja powinność. Zaklinam cię na surowe moje pokuty, na moje poddanie się pokorne, na miłość męża mojego i dobroć twoją, nie broń mi tego!

Mędrcowie, hołdujący prawdzie, zwią przyjaźń siedmiokroczną *(saptapadam)*, kładąc przyjaźń nad wszystko. Ja ci powiem w dwóch słowach, wysłuchaj:

Nieświadomi nie oddają się cnocie, ni prawdzie; ludzie z nauką pełnią cnotę: dlatego dobrzy nazywają cnotę najwyższem dobrem.

Od chwili, gdy dobry zaznał cnotę, inni dobrzy go naśladują. Nie pragną oni raz lub dwa razy zaczynać to życie ziemskie. Przeto dobrzy nazywają cnotę dobrem najwyższem.

— Wróć się, Sawitri, — odrzekł Jama. — Przyjemne mi to, co mówisz. Wybierz sobie łaskę, wyjąwszy życia twojego męża, a mieć ją będziesz natychmiast.

— Mój teść utracił swoje królestwo, pozbawion wzroku, mieszka w leśnej pustyni. Niech ten król silny, równien słońcu gorejącemu, otrzyma wzrok za łaską twoją.

— Tak będzie, — odpowiedział Jama. — Ale ta droga tobie strudzonej wielce jest przykrą; powróć, abyś więcej jeszcze nie wycierpiała.

— Jakżebym ja się strudziła, idąc za moim mężem? Gdzie on jest, ja być przy nim powinnam. Gdzie męża mojego prowadzisz, tam moja droga. Rządco bogów! raz jeszcze słuchaj słów moich:

Komu raz dozwolono z dobrymi się spotkać, zapragnie tego raz drugi i trzeci; mówią, iż to jest przyjaźń: a pożytecznem jest spotkanie się z dobrymi, dlatego z dobrymi zawsze chcemy się łączyć.

— Słowa, które mówisz, — rzekł Jama, — oznaczają uczucia cnotliwe i wyższy rozum. Słowa te bez owocu nie będą. Wyjąwszy życia Satyawana, oświadcz drugie życzenie, wyborna niewiasto!

— Teść mój czcigodny utracił niegdyś królestwo. Niech je odzyska i niech nigdy z drogi prawości nie zboczy. Oto jest drugie moje życzenie.

— Król ten, — odpowiedział Jama, — odzyska wkrótce swoje królestwo i z drogi prawości nie zboczy. Otóż spełnione twoje życzenie, córko królewska! A teraz powróć już, powróć, bo dużo cierpisz w tej drodze.

Sawitri: — Stworzenia wszelkie przykute są do twojej władzy najwyższej; imając je, rządzisz niemi, bo z własnej woli nie poddają się: dlatego, o boże, zwiesz się Jamą, imaczem. Słuchaj jeszcze słów, które ci powiem:

Życzliwość dla wszystkich istot w czynach, myślach i słowach, ludzkość i miłosierdzie, są dobrych wieczystem życiem.

A tak ten świat najwięcej rządzony jest siłą; ale dobrzy wstawiają się za nieprzyjaciół, którzy zyskują miłosierdzie.

— Mowa twoja, — rzecze Jama, — tak jest miłą, jak woda cierpiącemu gorączkę. Wyjąwszy jeszcze życia Satyawana, wybierz łaskę, a mieć ją będziesz natychmiast.

— Ojciec mój, król ziemi, — rzekła Sawitri, — nie ma żadnego syna. Niech ojcu mojemu urodzi się sto synów, szczepów tyluż rodzin. Oto trzecie moje życzenie.

— Niech sto synów kwitnących, szczepów tyluż rodzin, urodzi się ojcu twojemu — rzekł Jama. — A teraz powróć, bo droga twoja będzie bardzo daleka.

— Droga ta, — odrzekła Sawitri, — nie jest daleka, gdy idę z mym mężem, bo miłość moja ku niemu dalej prowadzi; idąc więc dalej, słuchaj jeszcze słów, które ci powiem:

Ty jesteś synem słońca, które ogrzewa całą naturę, dlatego mędrcy zowią cię Wajwaswata, potomkiem słońca; ty sprawiedliwością rządzisz stworzenia i przeto zowią cię także królem sprawiedliwości *(Dhamnaradża)*.

Człowiek nie tyle ufa sam sobie, ile dobrym; przeto szczególniej pragnie spoczywać na łonie dobrych. — Z miłości dla wszystkich istot rodzi się ufność; dlatego dobrzy najwięcej mają ufności.

— Słowa twoje, o młoda niewiasto! są takie, że im równego nic nie słyszałem, — rzekł Jama. — Cieszą mię tyle, iż czwartej jeszcze dozwalam ci prośby, wyjąwszy życia Satyawana. Powiedz, a odejdź!

— Niechaj mam z Satyawanem stu miłych synów, szczepów tyluż rodzin, dzielnych, wspaniałych. Oto czwarte moje życzenie.

— Stu synów dzielnych, odważnych, radujących serce mieć będziesz, młoda niewiasto! — rzekł Jama. — Ale teraz już wróć, bo droga daleka jest ci bolesną.

Sawitri: — Dobrzy idą zawsze drogą cnoty; dobrzy nie mdleją, nie nikną; łączenie się dobrych z dobrymi owoc wydaje; dobrzy nie wdrażają trwogi dobrym.

Bo dobrzy prowadzą słońce przez prawdę; dobrzy utrzymują ziemię; są drogą dla przyszłych stworzeń, o królu! I na łonie dobrych dobrzy w niwecz nie idą. Dobrzy pracują dla innych, nie mając w myśli wzajemnych dobrodziejstw. Łaski, świadczone ludziom, nie są próżne; dobrodziejstwo nie znika, ani cześć mu należna. O ile trwałe są umartwienia i pokuty, jakie dobrzy sobie zadają; o tyle dobrzy zbawicielami są ludzi.

— Im więcej mówisz, o duszo cnotliwa i wdzięczna, pełna powabów i szlachetności, tem większą jest miłość moja ku tobie — rzekł Jama; — wybierz łaskę nieporównaną, o żono, kochająca męża świętą miłością!

Sawitri: — Nie uczyniłeś, jak dotąd, żadnego warunku mej prośbie, o ty! co dajesz chwałę, słysz moje życzenie: Niech mój Satyawan żyje! bo sama bez męża mojego, jestem jako bez życia. Nie chcę bez męża żadnej radości, bez niego nieba nawet nie pragnę. Stu synów mi obiecałeś, a mąż ma mi być wydarty! Wybieram łaskę: niech mój Satyawan żyje. A tak sprawdzi się twe słowo, że stu synów mieć będę.

— Tak będzie! — odpowiedział Jama, syn słońca, król sprawiedliwości, odwiązując powróz, na którym trzymał duszę Satyawana, a pełen radości, rzekł do Sawitri:

— Oddaję ci męża, tobie, pociecho rodzin, oddaję w całości zdrowym i szczęśliwym. Dożyje z tobą lat czterystu; przez cnoty swoje i dopełnianie ofiar wielką sławą cieszyć się będzie. Z tobą mieć będzie stu synów, a ci wszyscy będą królami, bohaterami, pomiędzy swojemi syny i wnuki. Lata życia twojego, przyznane tobie

i jemu, zwać się będą twojem imieniem. Rodzice twoi stu synów mieć będą.

Jama spełnia wszystkie obietnice. Zwłoki Satyawana odzyskują życie i uszczęśliwieni małżonkowie wracają do pustelni; tu dowiadują się, że Dyumatsena nagle wzrok odzyskał, a wkrótce potem przybywają do niego posłowie z Salwy z oznajmieniem i prośbą, żeby na tronie ponownie zasiadł.

Sawitri wydała z czasem stu synów, pełnych sławy, równych bogom, nie cofających się przed niebezpieczeństwem. Miała także stu pięknych i dzielnych braci, synów Aświpaty, króla Madras.

(Kazimierz Brodziński).

b) Nal i Damajanti.

Poemat ten, wpleciony w osnowę Mahâbhâraty jako epizod, opowiada Brihadaświa królowi Judhiszthirze i często zwraca się do niego, przemawiając apostrofami: królu, Kautnejo i t. p.; apostrofy te znajdzie czytelnik oznaczone kursywą.

Syn Wiraseny, Nala, królem był potężnym.
Bogaty w cnoty, piękny, znawca koni,
Przewyższał królów wszystkich, jako Indra bogów,
I jaśniał ponad wszystkich, jako słońce w blasku.
Cnotliwy książę ten Niszadhów znał i Wedę,
I choć grał w kostki, mówił prawdę, wojskiem silny.
Był mężom i niewiastom miły, bo uprzejmy,
Był łucznik celny....
Podobnym był mu u Widarbhów, Bhîma, mężny,
Ojciec pięknej Damajanti, która
Gdy doszła lat dziewiczych, sto służebnic zdolnych,
Sto przyjaciółek, jako Siaczę [1]), ją obsiadło.
Błyszczała tam Bhîmówna, klejnotami lśniąca,
W tych dziewic gronie, cudna, jako błyskawica.
Ni między bogi, ni półbogi nie widziano
I nie słyszano o tak cudnej krasawicy.
I Nala, jako tygrys, nie ma równiennika,
Z postaci istny to Kandarpa [2]) w ciele ludzkiem.
I stało się, że wobec Damajanty Nalę
A wobec Nali Damajantę wysławiano,
Tak, iż pochwały słysząc swe nawzajem ciągle,
Nie widząc się poczęli kochać, *o Kautnejo!*
Nie mogąc ukryć dłużej uczuć swych już Nala,
Do gaju poszedł izbom niewiast poblizkiego,
Gdzie ujrzał wnet łabędzie w złote pióra strojne.
Z chodzących w gaju ptaków, gdy jednego schwycił,
Powietrzny goniec ludzkim głosem rzecze Nali:
„Ach! pozwól żyć mi, królu! oddam ci przysługę!
Twe imię sławić będę wobec Damajanty,

[1]) Żona Indry.
[2]) Przydomek Kamy, boga miłości.

By myśli jej zajęte tobą tylko były".
Tak zagadniony puścił zaraz król łabędzia;
Łabędzie wówczas podążyły w kraj Widarbhów.
W Widarbhów kraj przybywszy, blizko Damajanty
Usiadły wszystkie. I spostrzegła stado ptaków,
A widząc z gronem dziewic ptaki dziwnopióre,
Poczęła chwytać ucieszona je pośpiesznie.
Łabędzie wtenczas na wsze strony się rozpierzchły,
Tak, iż za każdym jedno pogoniło dziewczę;
Za którym zaś pobiegła Damajanti chyżo,
Ten głosem ludzkim do niej tako się odezwał:
„O Damajanti! król Niszadhów, Nala zwany,
Jak Aświnowie [1]) piękny; z ludzi nikt mu równy.
Małżonką jego gdybyś była, pięknolica,
Owoców pełen byłby żywot twój, przekraśna"....
Tak zagadniona od łabędzia, Damajanti
Odrzeknie jemu: „Powiedz takież słowa Nali!"

Łabędź spełnia posłannictwo, a zakochana królewna usycha z tęsknoty za Nalą. Ojciec, widząc córkę smutną, bladą i zmizerowaną, postanawia wydać ją za mąż i ogłasza, że w dniu oznaczonym Damajanti wybierze sobie męża. Na wiadomość o tem, do Kundiny (stolicy Widarbhów) podążają królowie i bohaterowie; pośpiesza i Nala, marząc o nieznajomej ukochanej. W drodze wszakże spotyka bogów: Indrę, Agni, Jamę i Warunę, którzy także zamierzają ubiegać się o rękę Damajanty i wkładają na Nalę obowiązek uprzedzić ją o swoich zamiarach. Nala nie śmie odmówić żądaniu bogów, ani jako ich posłaniec stanąć obok nich w szeregu konkurentów. Ale królewna wręcz oznajmia, że nikogo innego za męża mieć nie chce, i żąda, aby Nala na wyborze się znajdował. Nala stosuje się do jej życzenia, ale i bogowie przyoblekają się w jego postać. Damajanti, widząc przed sobą pięciu Nalów i bojąc się pomylić przy wyborze, zwraca się do bogów z pokorną prośbą:

„Przez prawdę, że łabędzie o tem mi doniosły,
Iż Nala mnie za żonę wybrał, wskażcie mi go!
Przez prawdę, że ni mową, ani myślą nawet
Nie kłamię, wskażcie mi go, o niebianie, przecie!
Przez prawdę, że on mi przeznaczony mężem,
Bogowie nieśmiertelni, wskażcie mi go wreszcie!
Przez prawdę, że co ślubowałam Nali, winnam
Dotrzymać także, wskażcie mi go, proszę,
I kształt przybierzcie wam właściwy, światotwórcy,
Bym poznać mogła ludziowładcę Punjaślokę!" [2])

Błaganie odnosi skutek i Damajanti na znak, że Nalę za męża wybiera, prześliczny wieniec na ramiona mu złożyła. Wybór ten obudził wszakże niechęć w demonie Kalim i ten postanowił zemścić się na Damajanti. Ale dopiero w dwunastym roku pożycia szczęśliwych małżonków udało się Kalemu zawładnąć Nalą, gdy ten nie dopełnił oczyszczenia się rytualnego przed spełnieniem czynności religijnych. Owładnięty przez demona, Nala roznamiętnia się do gry w kości i przegrywa wszystko do swojego brata Puszkary; nie zdołały go powstrzymać i opamiętać ani przedstawienia pod-

[1]) Bogowie światła, odpowiadają greckim Dyoskurom.
[2]) Przydomek Nali.

danych, ani prośby żony. Pozbawiony mienia i tronu, Nala udaje się na wygnanie; nie chcąc jednak, żeby Damajanti podzielała przykrości tułaczego życia, namawia ją, by do swego ojca wróciła; gdy zaś namowa nie odniosła skutku i strudzona Damajanti usnęła w lesie, odbiegł ją, sądząc, że w ten sposób zmusi do usłuchania jego rady. Opuszczona małżonka napróżno woła i szuka męża po lesie, narażając się na różne niebezpieczeństwa; nareszcie nawpół obłąkana przybywa do stolicy państwa Czedów i zostaje przez królową przyjęta na pannę służebną. Tu odnajduje ją bramin Sudewa, wysłaniec Bhimy, i zabiera z sobą do Kundiny. Wróciwszy do rodziców, Damajanti rozsyła braminów na poszukiwanie Nali, zalecając im, aby wszędzie głosili bez ustanku:

„Gdzie jesteś, graczu, któryś szaty pół mi wziąwszy,
Opuścił w lesie śpiącą lubą twą, o luby!
Siedziała tam biedaczka, oczekując ciebie
W kłopocie wielkim, resztką szaty swej odziana.
Płaczącej ciągle z smutku i zmartwienia
Pociechę ześlij i odpowiedź daj żądaną!“

Niełatwo atoli odszukać Nalę, gdyż za sprawą Karkotaki, króla wężów, któremu wyświadczył przysługę, został zmieniony do niepoznania i pod imieniem Bâhuki, przystał za woźnicę do Rituparny, króla Ajodhyi, zachowując w tajemnicy swoje nazwisko i przeszłość. Tu, gdy jeden z braminów, wysłanych przez Damajantę, wygłosił jej odezwę, Nala dał odpowiedź:

„Niewiasta zacna, choć popadnie w nędzę, stróżem
Jest sobie sama, za co niebo jej zapłatą;
Małżonka, który ją opuścił, nie przeklina,
Lecz wiedzie życie czyste, cnoty tarczą bronna.
I choć mąż popadł w biedę i ją wyrwał z uciech
I rzucił potem, złości za to dlań nie żywi“.

Tem zdradził się poniekąd; więc też Damajanti, dowiedziawszy się o tem, żeby go sprowadzić do Kundiny i wybadać, uprasza bramina Sudewę, żeby udał się do Ajodhyi i namówił Rituparnę do starania się o jej rękę, gdyż zamierza ona wybrać sobie drugiego męża. Rituparna postanawia próbować szczęścia, a że czasu ani chwili tracić nie można, żeby się nie spóźnić, wyrusza więc w drogę z Bâhuką, jako najbieglejszym woźnicą. Konie pomykają z taką szybkością, że Rituparna za biegłość w sztuce kierowania końmi, zgadza się nauczyć Bâhukę (Nalę) sztuki odgadywania liczb, a więc i gry w kości.

I wyszedł z Nali, w kostek grze biegłego teraz,
Truciznę Karkotaki z paszczy zionąc Kali.

Gdy wieczorem gość zbliżył się do Kundiny, poznała Damajanti z turkotu, że Nała powozi.

„Ach! jakże turkot ten, rozbrzmiewający wkoło,
Me serce rozwesela! Nala bawi tutaj!
Jeżeli dziś nie ujrzę pięknej twarzy Nali,
Rycerza cnót pełnego, umrę bez wątpienia.
Jeżeli dziś nie doznam wśród objęcia jego
Słodyczy uściśnienia, umrę bez wątpienia!
Jeżeli do mnie nie przystąpi dziś Niszadhczyk,
W płomieniach złotych ognia szukać będę śmierci“.

Jakkolwiek nizka i niekształtna jest postać Bâhuki, Damajanti podejrzywa, że jest to Nala, i dla utwierdzenia się w swoich domysłach, wybaduje go przez zaufaną służebnicę. Przekonawszy się najprzód, że jest to ten sam mąż, który dał odpowiedź braminom, poszukującym Nali, Damajanti każe służebnicy iść do Bâhuki, który przyrządza dla pana swego wieczerzę, i dobrze go obserwować. — Służebna zdaje sprawę, że:

„Nadzwyczaj dziwny jest on; nie widziałam nigdy
Człowieka podobnego jemu, Damajanti!
Choć nizką wchodzi bramą, nigdy się nie zgina,
Lecz wchód za przyjściem jego dlań się rozprzestrzenia.
Ze względu na mocarza Rituparnę, strawy
Rozlicznej dano mu i mięsa zwierzęcego,
Do mycia naczyń mu potrzebnych przyniesiono,
Na które skoro spojrzał, wody pełne były.
Umywszy się Bâhuka potem, poszedł na bok
I trawy wiązkę wziąwszy, podniósł ją ku słońcu;
Po małej chwili gorejący powstał ogień....
I inny cud niezwykły oglądałam także,
Że ogień dzierżąc w ręku, sam się nie oparzył.
Prócz tego jeszcze jeden cud widziałam wielki:
Jak kwiaty, które wziął i zdusił ręką wolno,
Jak kwiaty te, rękoma jego poduszone,
Tem bardziej pachnąc, świeżość znowu odzyskały".
Te czyny Punjaśloki słysząc Damajanti,
Powzięła przekonanie, iż ich sprawcą Nala,
A sądząc, iż mąż Nala kryje się w Bâhuce,
Łagodnym rzecze głosem do Kesini, płacząc:
„Idź jeszcze raz i zabierz mięsa pieczonego
Bâhuce powolnemu i przyjdź do mnie, droga!"
Poszedłszy do Bâhuki, wzięła z ognia mięsa
Kesini, i przyniosła Damajancie, *Królu*.
Po smaku i przyprawach mięsa pieczonego,
Poznała zaraz płacząc, iż woźnica Nalą.

Gdy wreszcie Nala wzruszył się na widok swych dzieci, które mu żona zaprowadzić kazała, Damajanti prosi go, żeby do niej przybył.

Ujrzawszy Damajantę nagle władca Nala,
Z żałości i nieszczęścia zaczął płakać rzewnie.
Ujrzawszy go w wzruszeniu takiem Damajanti,
Popadła również w żal i smutek krasawica.
W czerwonej sukni, z włosem zaplecionym, brudna [1]),
Te słowa Damajanti rzecze do Bâhuki:
„Czyś widział kiedykolwiek, aby człowiek zacny
Zostawił swą małżonkę śpiącą w lesie pustym,
Małżonkę wierną i niewinną, lecz znużoną?

[1]) Na znak wielkiej żałoby.

Któż mógłby zdradzić tak kobietę oprócz Nali?
Występek jakiż popełniłam względem niego,
Że w lesie śpiącą zostawiając, uszedł sobie,
Niepomny, że bogami gardząc, jego wzięłam!
Jak mógł opuścić mnie, co kocham go nad wszystko?
On, który w obecności bogów wierność przyrzekł,
Nad ogniem rękę dzierżąc, gdzie się błąka w świecie?“
Gdy tak mówiła Damajanti, *wrogogromco,*
Łez gorzkich strumień z oczu lał się jej obfity.
Z ócz czarnobrewych Nala strumień łez płynący
Ten widząc, rzecze do płaczącej słowa takie:
„Królestwom stracił, lecz nie moją winą własną!
Z Kalego-m winy, o kobieto, stracił wszystko.
Lecz jakiem prawem ty wiernego ci małżonka
Opuszczasz i innego chcesz wybierać, nędzna?“...
Ten zarzut Nali usłyszawszy, Damajanti
Złożyła ręce i z bojaźni drżąca, rzecze:
„Potwarzy miotać nie racz na mnie, bohaterze!
Ja-m bogów ostawiła, a wybrała ciebie!
Dla ciebie brahmanowie szli na wszystkie strony,
W swych rymach słowa me śpiewając w każdym kraju,
Aż w końcu brahman mądry, zwan Parnadą, *Królu,*
W Ajodhyi znalazł ciebie w domu Rituparny.
Na słowa pieśni jego ty się odezwałeś.
By ciebie zwabić, wymyśliłam podstęp taki,
Bo nikt prócz ciebie w jednym dniu, o ziemiowładco,
Nie zdolen jodżan [1]) setkę końmi przebiedz, *królu!*
Tych stóp się dotknę na stwierdzenie prawdy, władco,
Że myślą nawet nie zgrzeszyłam przeciw tobie!
Niech wiatr, co świadkiem stworzeń wszystkich na tym świecie,
Odbierze życie mi, jeżeli grzech popełniam!
Niech słońce, które ciągle świat obiega cały,
Odbierze życie mi, jeżeli grzech popełniam!
Niech księżyc, który jak szpieg środkiem krąży stworzeń,
Odbierze życie mi, jeżeli grzech popełniam!
Ci trzej bogowie trzechświat utrzymują cały,
Niech oni prawdę ci powiedzą, niech mnie zdradzą!“
Po słowach takich wiatr odezwie się z powietrza:
„Nie popełniła ona grzechu, mówię-ć prawdę.
Bogaty skarbiec cnoty Damajanty nie naruszon;
Świadkami i stróżami jej lat trzy byliśmy.
Podstępu zaś użyła, aby zwabić ciebie,
Bo nikt jak ty w dniu jednym jodżan sto nie jedzie.
Znalazła cię Bhîmówna, a Bhîmównę ty znów!
Nie wahaj się więc dłużej z żoną swą połączyć!“

[1]) Miara długości, wynosząca dwie mile.

Gdy wiatr to mówił jeszcze, spadł deszcz kwiatów na nich,
Głos bębnów boskich rozległ się i wietrzyk zawiał.
Gdy cud ten wielki ujrzał Nala król, *Bharato,*
Poprzestał podejrzywać Damajantę, *Króla!*
I oblekł szatę ową, kurzem niedotkniętą,
Słów króla wężów pomny, i znów kształt swój zyskał.

Wkrótce potem udaje się Nala do Niszadhy, wyzywa na powtórną grę w kości brata Puszkarę i odzyskuje przegrane królestwo.

(Przekład Jana Leciejewskiego).

C. Ramajana.

W pieśni pierwszej mamy opisane wychowanie Ramy, syna króla Daśarathy, oraz praktyki ascetów indyjskich w pustelniach, początki rozlicznych mitów i ceremonij religijnych, wreszcie panowanie Daśarathy w Ajodhyi.

W pieśni drugiej widzimy, jak Daśaratha zamierza najmilszego swego syna Ramę, kazać namaścić na króla, przyczem podana jest tegoż charakterystyka.

Rama jaśniał między ludźmi jako księżyc roztoczony,
I dla mnóstwa swych przymiotów był rozkoszą króla ojca,
Matki i przyjaciół licznych i obywateli kraju.
Złe nie wyszło nigdy słowo o żadnym z ust jego człeku
I na cierpkie nawet mowy nigdy cierpko nie odrzekał.
Towarzystwo trzymał zawdy i bezpieczną poufałość
Z ludźmi dojrzałego wieku oraz doświadczonej cnoty.
Był roztropnym i szlachetnym, a w rozmowie pełnym wdzięku,
Wciąż poważnym, jak przystało, i wartością swą nie pysznym.
Szczery w mowie i ostrożny, czcił poważne starców głowy,
Kochający swych poddanych i kochany od nich wzajem.
Współczujący, powściągliwy i braminów wielki czciciel,
Dla ubogich miłosierny, miał potwarze w nienawiści.
Nie pragnący panowania, acz z porządku nań spadało,
Przeto, iż czcił więcej mądrość niż królestwo, choć tak wielkie.
Miłosierny dla wszechstworzeń, niósł każdemu pomoc chętnie,
W datku hojny, a uczciwych wspierał i był popleczníkiem.
Łaskaw, kto się k'niemu uciekł, wierny w swoich obietnicach,
Sprawiedliwy dla zasługi, mężny i do ofiar chętny.
Stały w myśli, prędki w radzie, szybki w czynach, w mowie słodki
I prędzejby zrzekł się życia i fortuny i rozkoszy,
Niźli prawdy, którą Rama więcej życia umiłował.
Prosty, skromny, dobroczynny i chwalebnych obyczai,
Obdarzony w wszystkie cnoty i jakoby księżyc wdzięczny.
W bitwach w męstwie niezrównany, czysty jak promień jesienny,
Równy siłą bogu Indra, a umysłem Wrihaspati. *(T. L.).*

Poczyniono już wszystkie przygotowania do obrzędu namaszczenia, gdy najmłodsza żona królewska Kekeji, zazdroszcząc matce Ramy, królowej Kauśalii, podstępnie wymogła na królu przyrzeczenie spełnienia jednej z dwu obietnic danych jej niegdyś za ocalenie mu życia. Dowiedziawszy się Daśaratha, że Kekeji domaga się wygnania Ramy na lat 14, a oddania tronu jej synowi Bharacie, błagał na klęczkach żonę, ażeby cofnęła swoje żądanie, a gdy odmówiła, wpadł w omdlenie, a potem w płaczu i zgryzocie noc przepędził. Nie śmiał synowi oznajmić wyroku, wypowiedziała go Kekeji; Rama poddał mu się bez szemrania i nie zmienił swego postanowienia pomimo rozpaczliwych zaklinań swej matki Kauśalii i brata Lakszmany, który go kochał i wielbił. Widząc atoli niezłomną wolę Ramy, Lakszmana zamierza mu towarzyszyć na wygnanie, podobnie jak i żona Ramy, piękna Sita. Bohater nie chce narażać żony na niewygody i niebezpieczeństwa podróży, ale ona jest w tej mierze niewzruszoną. Podajemy w przekładzie część ich wzruszającej rozmowy:

— Każda istota własnemi czynami stwarza dobro i zło dla siebie; ojciec nie bywa wynagradzany za cnotę swego syna, ani syn za cnotę ojca. Żona tylko poświęcająca się podziela szczęście swego małżonka. Pójdę więc za tobą wszędzie.... bez ciebie nie chciałabym iść nawet do nieba. Ty jesteś moim panem, moją radością, bóstwem mojem. Pójdę przed tobą poprzez lasy nieprzebrane; pustynia wraz z tobą, mój mężu, więcej warta nad pałace, nad dwór królewski, nad wozy bogów! Pośród boru pełnego lwów, tygrysów, słoni, dzików, z radością się schronię u nóg twoich.... tak jest, szczęśliwą będę, gdy pójdę za tobą w samotnie wonne! Pod twoją opieką zwiedzę rzeki, jeziora i góry. Jakaż to rozkosz kąpać się w jasnych wodach, gdzie mnóstwo łabędzi i kaczek osiada pośród lotusów. Jakaż to radość być razem w cienistych samotniach, wonnych od zapachu kwiatów.... Tysiące lat przy tobie wydałyby mi się dniem jednym, samo piekło wraz z Ramą stałoby się niebem dla mnie. Czyż mój ojciec, matka i krewni, nie oddali mię w twoje ręce mówiąc: „Nie będziesz miała innego mieszkania prócz mieszkania twego męża!“ Weź mię więc, mnie, której dusza należy do ciebie, której myśl nie ma innego przedmiotu.... uczyń mi to szczęście.

Na te słowa łagodne, nacechowane miłością i przywiązaniem małżeńskiem, Rama próbował zachwiać wolę swej żony kochanej, ukazując jej niebezpieczeństwa, czyhające na mieszkańców puszczy:

— Sito, dusza moja pozostanie przy tobie, ciało tylko będzie w lasach. Rozważ liczne niedogodności, niebezpieczeństwo śmierci grożące nam w borze. Znając je dobrze, nie mam siły brać cię ze sobą przez litość dla ciebie. Tygrysy rozszarpują tam ludzi, słonie w pewnej porze stają się okrutne, węże i wszelkie gady czołgają się w jamach pośród jadowitych skorpionów; słychać straszne ryki lwów; a dziki, węże-dusiciele, lamparty!... Las, moja żono kochana, jest rzeczą okropną! Trzeba tam znosić gorąco i zimno, głód i pragnienie, przebywać rzeki głębokie, pełne jam, w których mieszkają krokodyle. Każda drożyna pokryta jest cierniami, krzakami, lianami, głogami, powstrzymującemi kroki. Niema tam ludzi, niema kobiet z uroczym uśmiechem! Ponure zakąty mają za mieszkańców tylko dzikie zwierzęta! Niektóre lasy są nieprzebyte na przestrzeniach

niezmiernych, bez wody, bez rzek, bez owoców. Są miejsca błotniste, gdzie ukryte wody nie dozwalają dalszego pochodu. O Sito, kobieto delikatna, spać tam trzeba na łożu z liści lub ziół, nawet na gołej ziemi — a niema innego pożywienia nad ryż dziki i inne owoce leśne. Zdarza się, że podróżni muszą kilka dni z rzędu obchodzić się bez pokarmu. Odziewać się trzeba skórą zwierząt, korą drzew. Włosy trzeba zaniedbać, a ciało mieć zawalane błotem i kurzem... A zresztą święci pustelnicy muszą odbywać długie posty, spełniać uciążliwe śluby, nie mając żadnej ochrony od deszczów, ani od mrozów zimowych. Jakąż przyjemność sprawić ci mogę, kiedy będę osłabiony pokutą, mając skórę wyschłą; — a jeżeli mam cię widzieć śniadą od słońca i wiatru, wyczerpaną pokutą i postem, to twoje cierpienia powiększą moje! Zanadto kocham ciebie... pozostań tutaj, będziesz zawsze moją ukochaną, blizką myśli mojej.

Rama umilkł. Sita, zasmucona głęboko, z oczyma błyszczącemi od łez, odrzekła natenczas:

— Trudy te, szlachetny mój małżonku, uważam sobie za rozkosze. Nie boję się tygrysów, lwów, ani innych zwierząt, które mi wystawiłeś tak straszliwemi. Czegoż mam się obawiać, gdy tam będziesz, by mię ramieniem swojem obronić? Albo pójdę z tobą na puszczę, albo życia się wyrzeknę; żona bez męża jest jakby umarłą. Brahmani powiedzieli mi niegdyś: „Losem twoim, Sito, jest zamieszkiwać las pusty“. Odtąd wciąż czułam w swej duszy wielkie pragnienie przepędzenia życia w lesie. Synu Raghów [1]), zabierz mię z sobą; mam głębokie pragnienie przebywania z tobą w lasach. Ja się tam uświęcę. Brahmani uczyli mię, że żona idzie za mężem jak cień jego, postępując, gdy on postępuje, zatrzymując się, gdy się on zatrzymuje; tak też pójdzie za nim na tamtym świecie jak i na tym. Dlaczegóżbyś nie miał mię wziąć z sobą, mnie, którą kochasz, mnie, co cię czczę jak boga?

Mówiła to głosem harmonijnym piękna Sita, pełna słodyczy. Potem smutna, zbolała zarówno z gniewu jak ze zmartwienia, wybuchnęła obfitemi łzami. Nawet wobec tych łez swej ukochanej, Rama jeszcze się nie skłaniał ku jej prośbie. Patrzył zrazu pilnie na swą miłą, a potem schylił głowę i zaczął marzyć.

Kiedy córka Dżanaki [2]) ujrzała go w takim stanie wahania, gniew ją opanował; wznosząc swe duże oczy na Ramę, zawołała wargami drżącemi, w szale miłości:

— Ojciec mój był nierozumnym, ciesząc się tak bardzo, że Ramę dostał za zięcia! Ludzie są bardzo nieświadomi! Rama jest bohaterem! Rama jest jedynym! — powiadają... Wiedz o tem, mój mężu, jestem niewzruszona. Nie chcę, nawet w myśli, wyrzec się pójścia za tobą. Nie obraziłam cię ani słowem, ani czynem, ani myślą! Jeśli zgrzeszyłam przez niewiadomość, przebacz mi; ale mnie

[1]) *Raghu*, nazwa rodu królewskiego w Ajodhyi, z którego Rama pochodził.
[2]) T. j. Sita.

nie opuszczaj. Zapewniam cię, że lasy, przy tobie, staną się rozkosznem mieszkaniem. Nie spostrzegę zmęczenia drogą, a łoża z liści i traw wydadzą mi się tak ciepłemi i miękkiemi jak futro jelenia — axisa. Kurz będzie mi tak miłym jak proszek santalu; młode trawy staną się najprzyjemniejszem siedzeniem. Żadne wspomnienie gnębić mnie nie będzie, gdy zamieszkam z tobą, jedząc z zadowoleniem owoce i korzonki. Nie myśl więc, o mój bohaterze, żeby żona twoja nabawiła cię jakiegokolwiek kłopotu. Ach, jakże ja drżę na myśl rozdziału z tobą! Jeżeli nie zechcesz zabrać mnie z sobą, natychmiast w twych oczach połknę truciznę!

I urocza córa Dżanaki rzuciła się do nóg Ramie, wołając głosem wzruszającym:

— Ocal mię!... Zabierz z sobą!

I płakała, przygnębiona, pochylona, łkając. Wzruszony do głębi Rama nie mógł łez powstrzymać. Spływały mu one z oczu, jak rosa na liściach lotusu. Podniósł łagodnie swą ukochaną żonę i rzekł jej serdecznie:

— I dla mnie także, miła żono, nawet w niebie niema uroku bez ciebie! Ale ja nie mogę zaniechać obowiązku wypełnianego przez wszystkich ludzi uczciwych, obowiązku najpierwszego — posłuszeństwa swemu ojcu! Moja Sito zachwycająca, która łączysz w sobie wszystkie uroki piękności; jeżelim ci powiedział, że nie wezmę cię z sobą, to dlatego, żem chciał się zapewnić o twem postanowieniu. Urocza żono, ponieważ miłość twoja nie lęka się niebezpieczeństw leśnych, to i ja również wyrzec się ciebie nie mogę, jak bohater nie może wyrzec się sławy. Chodź, pójdź ze mną, moja ukochana! To tylko robić pragnę, co tobie miłem będzie! Oddaj nasze suknie i nasze stroje brahmanom i wszystkim tym, którymi się opiekujemy. A kiedy się już pożegnasz z tymi, którym winnaś uszanowanie, pójdziesz ze mną, rozkoszna córko Dżanaki.

Wówczas Sita pełna radości, rozdzieliła między brahmanów i biednych swoje szaty, swe stroje i swe bogactwa.

* * *

Pożegnawszy się ze wszystkiemi, rozdawszy swe bogactwa, Rama nie przyjął orszaku, jakim go otoczyć chciał ojciec, i w ubogiej odzieży z łyka, w towarzystwie Sity i Lakszmany, poszedł na wygnanie. Gdy w puszczy pierwszy nocleg odbyli, czuł się bohater przygnębionym i na chwilę pozazdrościł Bharacie panowania i wygód, ale Lakszmana dodał mu ducha i odtąd Rama spokojny, a nawet radosny, w dalszą poszedł drogę, aż mu jeden z sędziwych pustelników wskazał górę Czytrakutę, odwiedzaną przez niedźwiedzi i małpy, jako miejsce odpowiednie dla dostojnych mędrców; bo gdy człowiek ujrzy szczyty Czytrakuty, wszystko mu szczęsnem się wydaje, a myśli jego nabierają czystości. Przeprawili się przez rzekę Jamunę na tratwie bambusowej. — Podajemy słowa zachwytu, jakiemi powitał Rama krajobraz rozwijający się u stóp góry, zwracając się do żony i brata:

„Sito, o wielkich pięknych oczach... patrz, na te *kinsuki* pod koniec pory zimowej. Już kwitną, podobne do płomieni...

w pobliżu rzeki... pokrywają brzegi swymi wieńcami. Spojrzyj, wzdłuż strumienia.. ten las... to mnóstwo roślin błyszczących cudownem kwieciem... kwieciem jaśniejącem i podobnem do kwiatów złotych. Popatrz także na te wszystkie piękne drzewa owocowe, których gałęzie uginają się pod ciężarem swych płodów. Tutaj moja Sito, o wdzięcznej kibici, tutaj możemy żyć owocami... przybyliśmy oto nakoniec do tej góry, do tej Czytrakuty podobnej do raju.

„Lakszmano, mój bracie, popatrz, jak pszczoły fruwają w powietrzu, jak one gromadzą w szczelinach Czytrakuty plastry miodu słodkiego. Posłuchaj, jak pieje pantarka i jak jej paw odpowiada. Posłuchaj tego bażanta, który jakby drwił sobie. Te duże czarne pszczoły nabierają odwagi przy muzyce ptaków... brzęcząc snują się po lesie, a ich szelest miłym jest wśród owoców i kwiatów!

„Patrz, moja piękna... ranek, nad brzegami Mandakini rozesłał pod każdem drzewem łoża bramowane niezliczonymi kwiatami. Droga moja i szlachetna żono, patrz na te boki góry, wolne od wszelkiej zmazy, wdzięcznie opięte lianami. W tym lesie rozkosznym... na tej górze rozdźwięczonej — gdzie żyją trzody gazel, gdzie trzody słoni są w obfitości, — z rozkoszą przechadzać się będziemy, o moja ukochana, znajdziemy tam razem rozkosze czyste“.

U stóp Czytrakuty zbudowawszy sobie chatę z gałęzi i liści, żyli tak we troje zapominając o swym smutku i gorzkiem odczuciu swego wygnania. Tymczasem król Daśaratha umiera. Bharata błaga Ramę, ażeby wziął sobie królestwo odebrane podstępem, ale bohater ściśle trzymając się danego słowa chce całe lat 14 przepędzić na pustyni. Odznacza się dobrymi uczynkami i wielką pobożnością. Wtem dotyka go straszne nieszczęście. Jedna z kobiet, której miłość odepchnął, namawia Rawanę, potężnego r a k s z a s a [1]) panującego na Cejlonie (Lanka), żeby porwał Sitę. Zrozpaczony Rama idzie ją odnaleźć i odbić. Rozpoczynają się czyny wojenne, dla dokonania których łączy się ze zwierzętami. Stanowi to symbol miłości przyrody, wiarę w braterstwo istot, w spólność pochodzenia. Najprzód znajduje sprzymierzeńca w Sugriwie: jest-to władca małp. Hetmanem tego wojska jest Hanumat, bohater zwierzęcy, w którym są zalety i wady jaknajsprzeczniejsze. Obdarzony siłą cudowną i zwinnością, jest on filuterny i bystry, roztrzepany i rozważny, popędliwy i chytry, bohaterski i śmieszny, a przytem zdolny do poświęceń bez granic. Z wojskiem małpiem jednoczy Rama wojsko niedźwiedzi, zostające pod dowództwem Dżambhawata, bohatera poważnego, mniej świetnego niż Hanumat, który główną odgrywa rolę w tej walce. Odkrywa on schronienie Sity, uwiadamia ją o przybyciu Ramy, ale schwytany musi stanąć przed Rawaną, który rozkazuje podpalić mu ogon opatrzony w materye niepalne. Ocalawszy, Hanumat zapala stolicę nieprzyjacielską, wraca do Ramy i przeprowadza całe wojsko do Lanki. Następuje szereg wielkich bitew; w ostatniej, stanowczej, Hanumat znów się odznacza, ocalając życie Ramie i Lakszmanie. Rawana umiera. Sita oswobodzona musi się poddać straszliwej próbie dla przekonania o swej niewinności. Rama uszczęśliwiony odbiera swoją uroczą małżonkę, w Lance naznacza królem Wibhiszanę, brata Rawany, za jego dla siebie przychylność, wznosi wielką świątynię dla Wisznu na brzegu Indostanu przeciwległym zdobytej wyspie. Następnie wraca do Ajodhyi. Bharata, który objął tron niechętnie, na prośby samego Ramy, z przyjemnością zwraca go bratu, a ten obejmuje swe dziedzictwo. Panuje w chwale i spokoju, rządząc sprawiedliwie, i uszczęśliwiając naród: jest to wiek złoty, koniec Tretajugi czyli drugiego okresu indyjskiego.

[1]) R a k s z a s znaczy zły duch latający po powietrzu, a także dziki nieprzyjaciel.

Taka jest najkrótsza treść tego obszernego poematu (24 tysięcy slok czyli dwuwierszy), obejmującego w tłómaczeniu francuskiem dziewięć tomów. Jest w nim dużo powtarzań i dużo rozwlekłości, które w wyjątkach powyżej przytoczonych usunięto. Na język polski dotychczas jeden tylko znaczniejszy urywek (9 rozdziałów z księgi II) przełożył z prozy włoskiej na słaby, bardzo niedbale wydrukowany wiersz biały T. Lenartowicz i pomieścił go w „Bibliotece Warszawskiej“ (1869, t. IV, 426 — 447). Kto ciekawy, może z tego przekładu poznać sposób opowiadania w głównych jego zarysach; ale pojęcia o piękności poematu z niego nie nabierze. Krótkie streszczenie zawartości pieśni Ramajany znajdzie czytelnik w dziełku Chassanga i Marcou: „Epos“ (str. 40—46), przyswojonem naszemu językowi. (Warszawa, 1894).

D) Z „Setek“ Bhartriharego.

1. Jeden ma środek głupiec w swojej mocy,
   By się nie wydał z tem, że dzieckiem nocy:
   Kiedy się mądrzy bawią rozmowami,
   Wolno mu trzymać język za zębami.

2. Lepiej jest na skalisk szczycie
   Z dzikim zwierzem mieć ukrycie,
   Niżeli w niebios błękicie
   Z głupim człekiem pędzić życie.

3. Woda poskromi ogień, żar słońca — zasłona
   Słońskie narowy — topór, ośle — bat pokona,
   Na ukąszenie wężów są skuteczne słowa,
   Są leki na choroby, zaklęcia na jady;
   A tak na wszystko w śastrach[1]) jest rada gotowa,
   Lecz na głupotę niemasz lekarstwa ni rady.

4. Jakaż się cnota z chciwością pomieści?
   Ozdoby mądrej nie potrzeba głowie,
   Pozorów — prawdzie, ni błędów — obmowie,
   Ni śmierci temu, co żyje bez cześci.

5. Mędrca i kwiatów los jest jednakowy:
   Ozdabiać lasy, albo ludzkie głowy.

6. Na co słów trwonić obficie?
   Dwojakie szczęścia użycie:
   Albo przy pięknej kobiécie,
   Albo pustelnicze życie.

7. Na nogi słonia rzucić obroże,
   Lwowi męskiego nadstawić czoła
   Niejeden może;
   Lecz mało który Anangasa[2]) strzały
   Przez własne siły i umysł wytrwały
   Przemódz podoła.

[1]) Księgi, zwłaszcza księgi mądrości.
[2]) Boga miłości.

8. Jako cień ranny przyjaźń ze złymi,
Co godzina go ubywa;
Jak cień wieczorny przyjaźń z dobrymi,
Do zejścia życia przybywa.

9. Kłonią się drzewa, gdy owoc zacięży,
Ciężarny obłok słodkie niesie wody,
Bogactwa prawych nie szpecą męży,
Bo odwdzięczanie dane im z przyrody.

10. Kropla rosy przepada na żarzącej szynie,
A na listku lotosu pała blaskiem zorzy,
W muszli staje się perłą w pomyślnej godzinie,—
Tak czczych, miernych, wybornych obcowanie tworzy.

11. Żądzy odmęt niezgłębiony
I źródło złych namiętności,
Kosz obłudą napełniony,
Pole kłamstwa i chytrości,
Szerokie piekła przedmieście,
Zbiór oszustw i niepokoi: —
Oto rysy są niewieście.

12. Minami, śmiechami, bojaźnią i kaźnią,
Oczkami, rozmową, gniewem i przyjaźnią:
Sztuczkami takiemi kobiety nas drażnią.

13. Ci, co zwą grzechem dziewczęta, obłudnie mówią i robią:
Niebo zdobywa pokuta, a niebo dziewczęta zdobią.

14. Zaiste umysł tych wieszczów zwodniczy,
Co o słabości śpiewają dziewiczej;
Kto ócz skinieniem i ustek powaby
Bogów zwycięża, czyż może być słaby?
(Leszek Dunin-Borkowski).

15. I głupiec błyszczy, kiedy szaty włoży,
Lecz tylko — póki gęby nie otworzy.

16. Najlichszej księżyc nie omija chaty,
Ty więc nędzarza wspieraj, gdyś bogaty.

17. Zły człek, jak garnek — łatwo się rozbija,
Ale czy ręka polepi go czyja?
Dobry — naczynie ze szczerego złota:
Naprawić łatwo, a popsuć robota.

18. Choćbyś pochodnię porzucił do dołu,
W górę mknie płomień, w dół nic prócz popiołu.
(J. Szujski).

E) Pustelnia Kandu.

(Z Brahma-Purany).

Na brzegach świętej Gomati, w samotnych lasów ustroni,
Na ziemi pełnej korzeni, ziół i owoców i woni,
Gdzie słychać tylko szum drzewa, rozkwilonych ptaków pienia,
Stąpanie płochej gazeli i lotnego krok jelenia;
Opodal światowej wrzawy i ludzkich zabiegów wiru,
Stała Kandu chata skromna w objęciach leśnego kiru.
Ciągle święty w tym przybytku w ścisłej pokucie się ćwiczy,
Któż jego modły i posty i niedostatek wyliczy?
Lecz słodkie jemu są jeszcze takie obrządki trapiące.
A kiedy pola rozparzy lato spiekami gorące,
On cztery ogniska pali wkoło siebie, jak odzienie;
Obnażoną czaszką chwyta kipiące słońca promienie.
A gdy przyjdzie deszczów pora, on na mokrej ziemi leży,
A w trzeszczący mróz zimowy on w mokrej chodzi odzieży.
Miałby już za te pokuty państwo trzech światów wygrane,
Dewas, Gandharwy i inne Indrowe duchy poddane;
Świadkowie pobożnych ćwiczeń wołali w słusznym podziwie:
Jakie bole i wytrwałość! jakie święte jego żywie!
Lecz wkrótce ich podziwienie w obawę zmienia się lutą;
Chcieli mu wydrzeć owoce, długą nabyte pokutą.
Więc przerażeni się zbiegli, przed swoim władcą stanęli,
O jego pomoc prosili, by swych zamiarów dopięli.
Wysłuchał próśb ich pan nieba i rzecze Pramnoczyi młodej,
Która wszystkie przeszła siostry blaskiem nadobnej urody,
I zębów perłowych rzędem i bystrej gazeli okiem
I pełnią śnieżnego łona i smukłych członków urokiem:
„Idź! pośpieszaj błyskawicą! Idź, Pramnoczyo do pustyni,
Gdzie w cichych lasów ustroni Kandu swe pokuty czyni.
O piękna! radość cię czeka, czeka zwycięstwo wspaniałe,
Przerwij mu jego ćwiczenia, opętaj zmysły zdurniałe“.

Pramnoczya wymawia się od trudnego poselstwa, ale Indra nalega i obiecuje dać jej w pomoc wietrzyk, wiosnę i ducha miłości.

Pochlebnem słówkiem wzmocnione wstało dziewczę pięknookie
I przepływa z swoją świtą powietrzokręgi wysokie.
A blizko Kandu pustelni, w zaroślach gęstwiny dzikiej,
Lotni z nieba towarzysze schodzą na majne trawniki.
Czas długi błądzili w gaju, którego i cień i krasa
Przypominają ogrody wiecznie zielone Indrasa.
Strojna im ziemia z uśmiechem podaje owoc i kwiecie,
Rój ptasząt na przywitanie słodko brzmiące pieśni plecie.
Tam ich oko odpoczywa na dumnem mango[1]) ramieniu,
Tu szerokolistna figa swojego użycza cieniu.

[1]) Rodzaj drzewa wonnego.

To widzą palmę wysmukłą, jak roztoczyła koronę,
To na zielonej gałęzi cytryny słońcem złocone,
A posilnym chłodem poją i banany i granaty.
Tu się na giętkich gałęziach kołysze naród skrzydlaty,
Rozgłośny pieśni licznemi i barwnem pierzem upstrzony,
Pochlebia oku i uchu i czaruje zmysł zdumiony.
Tu, kryształowe ruczaje w miękkiej się wiją murawie,
Dźwięczą swą radość i tańczą w płochej z kamyczkiem zabawie.
Tam małe srebrne jeziora, na których powierzchni cichej
Święta bogorośl rozkłada swe purpurowe kielichy;
A śnieżno-białych łabędzi powabna para wesoła
Z słodką żegluje powagą i powolne toczy koła.
A radośne wodne ptaki, przywabione chłodem świeżym,
Pluskają się nad brzegami i trzepocą zmytem pierzem.

Pramnoczya ze swoimi sprzymierzańcami zbliża się do pustelni bramina.

W dolinie, nad brzegiem rzeki słodkiego śpiewu strumienie
Zlewa z gędźbą kokilasa [1]) i pochwalne nuci pienie.
W tej chwili wiosna rozlała nowy urok na przyrodę,
Dźwięczą czulej i tęskliwiej kokilasa piersi młode.
Duszę tajna dźwięku siła w lubieżną niemoc zanurza;
Wietrzyk ze swojej siedziby, z pięknego Malaja wzgórza
Rozkoszne poznosił wonie, zwolna w powietrzu rozwiewa
I po całej majnej ziemi pachnące kwiaty zasiewa.
Duch miłości przyszedł bliżej w rozpalone strzały zbrojny,
Obłąkał słodkim nieładem Kandu umysł niespokojny.
Zachwycony rajskim śpiewem, namiętną żądzą pijany,
Bezprzytomny starzec bieży szukać harmonii nieznanej.

Ujrzawszy Pramnoczyę, zapomina o zdobyczach swojej pokuty i oddaje się miłości. Miesiące upływają, a braminowi się zdaje, że zaledwie dzień jeden spędził w towarzystwie ukochanej.

„Biada mi, biada!“ zawołał brahman z westchnieniem głębokiem,
Gdy się nareszcie rozpierzchła ułuda przed jego okiem.
„Owoce długiej pokuty, wiecznie stracone odrazu,
Wszystkie pobożne ćwiczenia według ksiąg świętych rozkazu,
Wszystkie wprawy i zasługi żeńskim podstępem zniszczone;
Precz odemnie, zwodzicielko! poselstwo twoje spełnione!
(L. D. Borkowski).

F) „Sakuntala“ Kalidasy.

Król Duszjanta w pościgu za łanią podczas łowów wpada do lasu, w którym obrali sobie mieszkanie bogobojni braminowie. Przekonawszy się o tem, zrzuca z siebie stroje królewskie, zagłębia się do pustelni w skromnym ubiorze i staje przed chatą pustelniczą:

[1]) Kukułka indyjska, przenośnie: słowik.

Król. Oto wejście do mieszkania pustelnika. Pustelnia ta nie zna namiętności, a jednakże drży ramię moje[1]). Jakie zastosowanie może to mieć na tem miejscu? Ale przecież... wszędzie brama otwarta do tego, co ma nastąpić.

Głos za sceną. Do mnie, do mnie, przyjaciółki!

Król. Zdaje mi się, że na prawo od altany słyszę rozmowę. A!... to pustelnice zbliżają się tu i z konewek, siłom ich odpowiednich, skrapiają młode drzewa. O! jak pięknym jest ich widok.

„Jeżeli pustelnice taką mają kibić, jaką w haremie króla rzadko można spotkać — to zaiste powijki leśne przewyższają o wiele krzewy ogrodu królewskiego". *(W oryginale wierszem).*

Ale ukryję się w cieniu i tam poczekam na nie. (Występuje Sakuntala, wychowanka pustelnika Kanwy, z dwiema przyjaciółkami zajęta pracą opisaną).

Anasuja. Zdaje mi się, droga Sakuntalo, że ojciec Kanwa więcej kocha drzewa pustelni, aniżeli ciebie, kiedy tobie, chociaż jesteś wątła, jak nawamalika[2]), polecił podlać te drzewa.

Sakuntala. Przecież to nietylko na rozkaz ojca... ale i sama pałam do nich miłością siostry (udaje, jakoby podlewała drzewa).

Król. Więc to jest córa Kanwy? Doprawdy czcigodny mędrzec nie dobrze czyni, że tę dziewczynę zaprawia do życia pustelniczego.

„Mędrzec, który postać tę, zachwycającą nawet bez dodatku sztuki, zamyśla zahartować do życia pustelniczego, pragnie zaprawdę ostrzem lotusu naciąć powijek na ogień". *(W oryg. wiersz.)*

Ale... schowam się w gęstwinę, żeby im się lepiej przypatrzyć.

Sakuntala. Kochana Anasujo, ciśnie mnie suknia z kory, bo mi ją Prijamwada zamocno zasznurowała — odepnij mi ją!

Anasuja. Dobrze (odpina).

Prijamwada. O to swą młodość obwiniaj, że ci pierś rośnie; po co mnie robisz wyrzuty.

Król. Ma słuszność.

„Suknia z kory, zapięta na węzełek, zakrywająca obszerną pierś, nie dodaje wcale piękności jej młodocianej kibici, tak jak żółty liść odejmuje piękność kwiatkowi. Ta suknia niestosowną jest wprawdzie dla jej wieku, lecz nie można powiedzieć, iżby przez nią nie nabrała pewnej ozdoby. Dlaczego?

„Lotus jest pięknym kwiatem, chociaż go zakrywa saiwala[3]). Plama na księżycu, chociaż brudna, powiększa wszakże jego piękność.

---

[1]) Według pojęć Indusów jest to znak przepowiadający pozyskanie kochanki.
[2]) Rodzaj jaśminu.
[3]) Kwiat.

To wysmukłe dziewczę staje się nadobniejszem · nawet w sukni z kory. Albowiem cóż nie dodaje wdzięku pięknej postaci?“ *(W oryginale wierszem).*

Sakuntala. Kesara[1]) jakby mnie naglił do pośpiechu swymi palcami liścia, kołysanymi wiatrem. Trzeba mi pójść do niego (obchodzi scenę).

Prijamwada. Kochana Sakuntalo, pozostań chwilę w miejscu! Przez to, że się zbliżyłaś do niego, wygląda kesara jakby połączony z powijką.

Sakuntala. Niedarmo nazywasz się „Prijamwada“[2]).

Król. To, co Prijamwada powiedziała, chociaż pochlebne, jest prawdziwem. Zaprawdę jej usta mają barwę młodego krzewu, jej ramiona podobne do cienkich gałązek, czarująca młodość jakby kwiat przypięta do jej ciała.

Anasuja. Kochana Sakuntalo — oto nawamalika, przezwana przez ciebie wanadżosini[3]), która z własnego popędu została małżonką sahakary — zapomniałaś o niej.

Sakuntala. O! tobym chyba o sobie samej zapomniała (zbliża się do powijki i ogląda ją). W rozkosznym czasie połączyła się powijka z drzewem. Wanadżosini zdradza swą młodość świeżem kwieciem, sahakara zaś nowe puszczając odnogi, okazuje się dojrzałym do użytku (przypatruje się).

Prijamwada. Czy wiesz, Anasujo, dlaczego Sakuntala tak ciekawie przygląda się temu drzewu?

Anasuja. Nie wiem — powiedz.

Prijamwada. Myśli sobie: wanadżosini połączyła się z drzewem odpowiedniem jej — czy też i ja będę miała odpowiedniego kochanka?

Sakuntala. To zapewne są twoje myśli.

Król. Czy to jest możliwem, aby matka tego dziewczęcia do innej należała kasty jak ojciec?[4]). Ale... precz z powątpiewaniem! Zaprawdę, dobrą jest na małżonkę rycerza, kiedy mój umysł szlachetny nią zajęty. Albowiem gdzie wątpliwość zachodzi, rozstrzyga u dobrych ludzi tylko głos serca. Postaram się wszakże o dokładną wiadomość o niej.

Sakuntala. Ach! oto pszczoła z obawy, żeby jej nie polać wodą, opuściła kwiat i dąży prosto ku mojej twarzy (udaje, jakgdyby ją pszczoła niepokoiła).

Król (w zachwyceniu). Często dotykasz ruchliwego oka drżącemi skrzydełkami; nad uchem krążysz, brzęcząc słodko, jakbyś jej

---

[1]) Drzewo.

[2]) Znaczy dosłownie: miłe rzeczy mówiąca.

[3]) Wanadżosini znaczy: światełko księżyca w lesie; sahakara jest gatunek wonnego drzewa mango.

[4]) Według praw indyjskich wolno pojąć królowi w małżeństwo córkę bramina tylko wtedy, jeśli matka należała do kasty rycerskiej lub innej. — Król, objawiając tę obawę co do Sakuntali, zdradza zakochanie.

chciała powierzyć tajemnicę; pijesz z jej usteczek, które wszelkie zawierają rozkosze — a ona broni się rękami na wszystkie strony. My, o pszczółko, co za prawdą się ubiegamy, pożądamy tegoż; ty zaś — jesteś doprawdy mądrą [1]). Nawet to, co w strachu czyni, jest czarującem.

W którąkolwiek stronę pszczoła się zwróci, od tej odwraca oczy. Teraz zmuszona do tego, uczy się, chociaż nie zakochana, gry oczu, przez poruszanie powiek.

Sakuntala. Nie uspokoiła się jeszcze ta niegodziwa, pójdę gdzieindziej (postąpiwszy krok naprzód, staje znowu, oglądając się). Co? i tu jeszcze mnie prześladuje? O! kochane przyjaciółki, ratujcie mnie, ratujcie mnie, bo ta nieznośna pszczoła mnie zamęczy.

Obie przyjaciółki (śmiejąc się). Ratować cię... to nie nasza rzecz. Zawołaj Duszjanty na pomoc; przecież król powinien się opiekować gajami pustelników.

Król. To właśnie dobra sposobność do wystąpienia z ukrycia. Nie obawiajcie się (wymówiwszy to na stronie)... ale przez to poznałyby, że jestem królem... a więc tak będę do nich przemawia

Sakuntala (postąpiwszy krok naprzód, staje znowu). Co? nawet i tu mnie prześladuje?

Król (przystąpiwszy szybko). Któż tu dokucza niewinnym pustelnicom, kiedy Paurawa [2]) panuje nad światem i karci niegodziwców? (Wszystkie nieco zmieszane na widok króla).

Anasuja. Panie, nie popełniono tu wcale przestępstwa, tylko nasza przyjaciółka, dręczona przez pszczółkę, nieco się przestraszyła.

Król (do Sakuntali). Czy służy życie pustelnicze [3]) (Sakuntala z przerażenia nie może zdobyć się na odpowiedź).

Anasuja. W tej chwili służy nam wybornie, kiedy tak znakomity gość do nas zawitał. Kochana Sakuntalo, przynieś z chaty arghę [4]) i owoce; woda posłuży do obmycia nóg.

Król. Uprzejmemi słowy jużeście wypełniły obowiązki gościnności.

Prijamwada. Niechaj tedy pan zechce zająć miejsce na tej ławie, chłodnej od wielkiego cienia i niechaj pan odpocznie.

Król. Zapewne i was praca strudziła.

Anasuja. Przyzwoitość wymaga, abyśmy usiadły koło naszego gościa. Usiądźmy tedy (Wszyscy siadają).

Sakuntala (na stronie). Ach! czyż ujrzawszy go, stałam się przystępną dla uczucia niezgodnego z obowiązkiem pustelnicy?

Król (przypatrując się). O! jak piękną jest przyjaźń wasza wskutek równości wieku i urody.

---

[1]) W sanskrycie jest pszczoła rodzaju męskiego.
[2]) Potomek założyciela panującej wówczas dynastyi Puru.
[3]) Temi słowy zwykle witają braminów i pustelników.
[4]) Ofiarę, którą się daje bogom i znakomitym osobom, gdy przybywają w gościnę.

Prijamwada (cicho do przyjaciółki). Kto też to może być?... Powierzchowność jego świadczy o pewnej ogładzie, ale zarazem tajemniczości; przytem prawi nam miłe słodkie słówka. Godzi się domyślać, że to osoba znakomita.

Anasuja. Ja także jestem ciekawą. Ale... wybadam go (głośno). Zaufanie, obudzone uprzejmemi słowy pana, ośmiela mnie do następnego pytania: Której rodziny mędrców[1]) królewskich jest czcigodny nasz gość ozdobą? Którego kraju poddani zasmuceni nieobecnością jego — i z jakiego powodu, chociaż przyzwyczajony do wygód, udałeś się w takie strony, gdzie mieszkanie pustelnicze naraża na trudy?

Sakuntala (na stronie). Nie dręcz się, serce moje... ta Anasuja wyjawia twoje myśli.

Król (na stronie). Czy dać się poznać, czy zamaskować? Ale... tak przemówię do niej... (głośno). Na rozkaz króla z dynastyi Puru, który mi polecił wymiar sprawiedliwości, przybyłem do tego gaju pustelniczego, w celu przekonania się, czy też ofiary wasze sprawiają się bez przeszkody.

Anasuja. O... to teraz mają pustelnicy obrońcę (Sakuntala okazuje pomieszanie miłosne).

Przyjaciółki (poznawszy stan serca obojga, cicho do Sakuntali). Kochana Sakuntalo, gdyby tu teraz był ojciec obecnym...

Sakuntala (dąsając się). No, to i cóż?

Przyjaciółki. Toby tego znakomitego gościa uszczęśliwił tem, co mu droższem jest nad życie.

Sakuntala. Dajcie mi pokój... O! wy macie coś na myśli... ale ja waszych szeptów słuchać nie będę.

Król (do towarzyszek). Ja także pragnę dowiedzieć się czegoś, co się tyczy waszej przyjaciółki.

Prijamwada. Ach, panie, twoja prośba jest dla nas zaszczytną.

Król. Zacny ojciec Kanwa żyje ciągle, jak wiadomo, w odosobnieniu i umartwieniu ciała; jakimże sposobem ta wasza przyjaciółka może być jego córką?

Anasuja. Posłuchaj, panie! Jest bardzo potężny mędrzec królewski, Wiswamitra z nazwiska.

Król. Wiem o tem — słucham dalej.

Anasuja. Otóż od niego wywodzi nasza przyjaciółka swój początek. Kochany Kanwa nazywa się ojcem tylko dlatego, że ją wychował, gdy została opuszczoną.

Król. Opuszczoną? — to obudza moją ciekawość... pragnę wszystko wiedzieć dokładnie.

Anasuja. Posłuchaj tedy. Opowiadają, że kiedy ten mędrzec królewski niegdyś nad brzegiem Gautamy ciężką odbywał pokutę, bogowie, nieco tem zaniepokojeni, zesłali nimfę Menakę, która miała stawiać przeszkody jego pobożnym umartwieniom.

---

[1]) Przydomek dawany mężczyznom pierwszych dwóch kast.

Król. To prawda, bogowie mają obawę przed pobożnością śmiertelników.

Anasuja. Kiedy też w czasie, gdy wiosna zwykła zstępować na ziemię, ujrzał jej czarującą postać, wtedy... (zawstydzona przestaje mówić).

Król. Domyślam się, co wtedy nastąpiło. A więc nimfa jest jej matką?

Anasuja. Tak jest.

Król. Rzeczywiście nie inaczej. Czyż bowiem taka istota może być córką kobiety światowej? Promień błyskawicy, zaprawdę, nie z ziemi się wydobywa (Sakuntala spuszcza oczy).

Król (na stronie). Dla moich życzeń zajaśniała nadzieja, ale do serca wkrada się powątpiewanie i obawa, kiedy Prijamwada objawiła żartem życzenie, aby Sakuntala mogła mieć kochanka.

Prijamwada (spogląda z uśmiechem na Sakuntalę, potem zwraca się do króla). Zdaje się, że pan jeszcze coś chciałeś powiedzieć? (Sakuntala grozi jej palcem).

Król. Zrozumiałyście mnie. Oprócz poznania waszego cnotliwego życia pragnę jeszcze czegoś innego dowiedzieć się.

Prijamwada. Tylko bez wahania... pustelnice można wypytywać bez ceremonii.

Król. Pragnę dowiedzieć się: czy wasza przyjaciółka ślubowała życie pustelnicze, które stoi na przeszkodzie uczuciu miłości tylko aż do pójścia za mąż, czy też na zawsze chce pozostać przy tych gazelach, które tak kocha dlatego, że mają takie oczy, jak ona.

Prijamwada. Panie, ona nie rozporządza sobą nawet w wykonywaniu świętych (pustelniczych) obowiązków. Ojciec Kanwa zamyśla wybrać dla niej stosownego męża.

Król (na stronie). O! teraz moje życzenia nie trudne do spełnienia. O serce moje, objaw swe życzenie; teraz nastała chwila stanowcza. To, coś w obawie uważał za ogień, jest klejnot, którego się można dotknąć.

Sakuntala (jak gdyby się gniewała). Anasuja, bo sobie pójdę stąd!

Anasuja. Dlaczego?

Sakuntala. Powiem kochanej matce, że Prijamwada takie nic do rzeczy plecie.

Anasuja. Ależ nie ładnie opuszczać takiego znakomitego gościa, nie uczęstowawszy go nawet. (Sakuntala chce odejść).

Król (chce ją zatrzymać, ale się wstrzymuje; na stronie). O! jak pięknie odpowiadają myśli zakochanego poruszeniom kochanki! Chcę ją zatrzymać, a skromność przykuwa mnie do miejsca; a chociaż nie ruszyłem się, to przecież zdaje mi się, jak gdybym postąpił naprzód i znów powrócił na miejsce.

Prijamwada (zatrzymując Sakuntalę). Kochanko, nie możesz odejść.

Sakuntala (marszcząc brwi). Dlaczego nie?

Prijamvada. Jesteś mi dłużną, nie podlałaś jeszcze dwu drzew. Chodź i wypełnij powinność, potem możesz odejść.

Król. Piękna dziewico, zauważyłem, że najwięcej się męczysz podlewaniem drzew.

„Albowiem przez podnoszenie konewki opadają ramiona, a dłoń staje się bardzo czerwoną; silny oddech jeszcze teraz porusza łono; na twarzy rozlana kropla potu, która wstrzymuje(!) kwiatek, zatknięty za uchem; a warkocz spadając wprawia w nieład włosy". *(W oryginale wierszem).*

Ale uwolnię ją od tej powinności (chce jej dać swój pierścień; patrzą na siebie, przeczytawszy nazwisko, wyryte na pierścieniu).

Król. Tylko nie uważajcie mnie za kogo innego. To jest pierścień króla, ja zaś jestem jego sługą.

Prijamvada. A więc pierścienia tego nie trzeba zdejmować z palca. Z polecenia pana jest teraz Sakuntala wolną. (Z uśmiechem do Sakuntali). Zostałaś zwolnioną od powinności przez tego litościwego pana, czyli raczej przez tego wielkiego króla; teraz możesz odejść.

Sakuntala (na stronie). O! gdybym tylko mogła przezwyciężyć siebie! (Głośno) Jakie prawo masz odprawić lub zatrzymywać kogo?

Król (na stronie). Czy też ona jest tak dla mnie usposobioną, jak ja dla niej? Ale przecież dla moich życzeń zajaśniała nadzieja. Skąd?

„Chociaż słów swoich nie wymienia z mojemi[1]), to jednakże nadstawia ucha, gdy mówię. Oblicza swojego nie zwraca wprawdzie ku mnie, ale oko jej widocznie nie spoczywa na innym przedmiocie". *(W oryginale wierszem).*

(Przekład dosłowny T. Krasnosielskiego).

Dalszą rozmowę przerywa ukazanie się w pobliżu rozdrażnionego słonia; dziewczęta usuwają się do chaty pustelniczej, król odchodzi do swojej świty z obietnicą, że będzie czuwał nad spokojem mieszkańców pustelni.

W akcie II (obóz królewski pod lasem) Mathawia, powiernik i zarazem błazen (widuszaka) Duszjanty, wróg niewygód życia łowieckiego, wyraża obawę, że nieprędko zapewne skończą się jego umartwienia, ponieważ jego pan zakochał się w Sakuntali tak, że przez całą noc oka nie zmrużył, i nie zechce rychło wracać do stolicy. Obawy jego wprędce się ziszczają, bo do króla przybywają braminowie i proszą go, aby był ich obrońcą, dopóki Kanwa nie wróci; król przychyla się chętnie do ich prośby. Na szczęście dla Mathawii matka Duszjanty wzywa syna przez gońca do stolicy; król godzi sprzeczne wymagania w ten sposób, że zostaje w pustelni, do stolicy zaś posyła w zastępstwie Mathawię.

Akt III. Sakuntala, osłabiona cierpieniem miłosnem, zwierza się towarzyszkom ze swych uczuć dla Duszjanty. Król, który pod osłoną drzew podsłu-

---

[1]) Według zasady, przyjętej przez poetów i teoretyków, bohaterka dramatu nie może wprost odpowiadać kochankowi, lecz za pośrednictwem towarzyszek albo osób starszych.

chiwał tych zwierzeń, wybiega uradowany z ukrycia, wynurza jej swoją wzajemność i oznajmia, że chce ją poślubić. Przyjaciółki znajdują pozór do usunięcia się i kochankowie pozostają sami. Wśród miłośnych uniesień niecierpliwy Duszjanta oświadcza Sakuntali, że ją poślubi na sposób Gandharwów[1]), żeby nie czekać na powrót jej opiekuna — Kanwy. Zbliża się wieczór i zmusza kochanków do rozejścia się.

Akt III, odsłona II. Z rozmowy Anasui i Prijamwady okazuje się, że król poślubiwszy Sakuntalę, odjechał do stolicy, a Sakuntala pogrążona w miłosnej zadumie, siedzi w chacie. Wtem jakiś obcy głos za sceną (świątobliwego Durwasy) gromi Sakuntalę, że nie okazuje należytego uszanowania dla wędrownego pokutnika, i rzuca na nią przekleństwo: żeby o niej zapomniał ten, kim się tak zajęła. Przerażona Prijamwada wybiega, żeby obrażonego uprosić o cofnięcie klątwy; po chwili wraca rozżalona, że pokutnik klątwy nie cofnął, tylko ją ograniczył: utraci ona moc swoją, gdy król ujrzy pierścień, który na odjezdnem zostawił nowo-poślubionej małżonce. Ponieważ Sakuntala nie słyszała nic z tego, co zaszło, przeto towarzyszki postanawiają zachować wszystko w tajemnicy, żeby jej nie martwić.

Akt IV. Anasuja niepokoi się, że Duszjanta po odjeździe niczem nie okazuje, iż pamięta o Sakuntali; jest to zapewne skutek klątwy Durwasy. Nadbiega Prijamwada z wiadomością, że Kanwa, któremu duchy niebieskie doniosły o małżeństwie jego wychowanki, wróciwszy z pielgrzymki, postanowił zaraz pod opieką braminów odesłać ją do męża. Na scenie ukazuje się Sakuntala; pobłogosławiona przez Kanwę, żegna się nietylko z ludźmi, ale i z całem otoczeniem, w którem wzrosła.

Sakuntala. Chociaż radością unosi mię myśl, że wkrótce męża mojego obaczę, jednak omdlewam z żalu, gdy się mam teraz żegnać z tym gajem, młodości mej schronieniem.

Prijamwada. Nie sama się smucisz — oto gaj nawet żałośną przybiera postać, gdy nadchodzi godzina pożegnania. Gazela przestała jeść nazbieraną dla niej trawę kusy; pawica nie chce skakać po łące, zwiędłe liście roślin schylają się ku ziemi.

Sakuntala. Pozwól mi, ojcze, pożegnać się z moją siostrzycą madhawi.

Kanwa. Znam ja, moje dziecię, twoje przywiązanie do tej rośliny. Pożegnaj się z nią.

Sakuntala (ściskając roślinę). O! najświetniejsza z wijących się roślin, chciej przyjąć te moje uściski i twemi nawzajem uściśnij mię giętkiemi gałązkami. Od dziś będę żyła daleko od ciebie. Drogi ojcze, uważaj tę roślinę jak drugą moją istność...

Kanwa przyrzeka mieć staranie o madhawi, a Sakuntala zwraca się jeszcze do przyjaciółek i prosi je o to samo.

Przyjaciółki (płacząc). Ach! a my w czyjej zostaniemy opiece?

Kanwa. Anasujo! Prijamwado! Dosyć tego płaczu! Powinnybyście swojem zachowaniem się dodawać otuchy Sakuntali, a wy ją bardziej rozrzewniacie swoim płaczem. (Idą dalej wszyscy).

Sakuntala. Ach! ojcze, widzisz ową sarneczkę, która z powodu ciężaru, jaki w sobie nosi, tak powoli się porusza; proszę cię, jak

---

[1]) Śpiewaków niebieskich. Małżeństwo takie zasadzało się na zobopólnej umowie kochanków, bez wiedzy rodziców i krewnych, bez ceremonij i uświęcenia religijnego. Wobec prawa było ono ważne.

zostanie matką, daj mi znać o tem i donieś, jak się też miewa. Nie zapomnisz o tem?

Kanwa. Nie, moja kochanko, nie zapomnę.

Sakuntala (idąc dalej, zatrzymuje się nagle). Ach, co to jest takiego, co mnie chwyta za obrąbek mojej sukni i zatrzymuje? (ogląda się).

Kanwa. Oto ta sarneczka, twoja ulubiona wychowanka, której pyszczek, ostremi kolcami kusy pokaleczony, nieraz smarowałaś, aby się zagoił, którą nieraz ziarnem z ręki karmiłaś, — nie chce odstąpić śladów swej opiekunki.

Sakuntala. Czego płaczesz, moje niebożątko? Już ja opuścić muszę wspólne nasze mieszkanie. Jak-em ja cię pielęgnowała, kiedyś matkę swoją zaraz po ulęgnięciu straciła, tak po mojem z tobą rozstaniu, mój ojciec z troskliwą pieczołowitością około ciebie chodzić będzie. Wróć się, moje niebożątko, wracaj!... Trzeba się rozstać (zalewa się łzami).

Pożegnanie ciągnie się jeszcze dalej. Nareszcie Kanwa daje swej wychowance nauki moralne, jaką być powinna dla męża i sług, i Sakuntala w towarzystwie opiekunki swej Gautami i dwóch braminów znika za drzewami.

Akt V. Sakuntala staje wobec króla, ale ten nie przypomina sobie jej wcale i zaczyna podejrzywać ją o jakąś brzydką mistyfikacyę. Nie pomaga nawet osobiste jej przemówienie. Wówczas przypomina sobie Sakuntala pierścień, który na odjezdnem król jej zostawił, i chce mu go pokazać, ale spostrzega, że nie ma go na palcu. Duszjanta zaczyna wyraźniej z niej szydzić. Oburzona i zgnębiona Sakuntala chce wracać do pustelni, ale jeden z uczniów Kanwy gromi ją za to i przypomina jej, że obowiązkiem jej jest zostać przy mężu. Obecny tej audyencyi kapłan nadworny proponuje, żeby Sakuntala zamieszkała u niego, dopóki nie wyda na świat spodziewanego syna; jeżeli się pokaże, że dziecię to posiadać będzie na rękach i nogach znaki rozległego panowania, Sakuntala zostanie uznana za małżonkę królewską, w przeciwnym razie powróci do Kanwy. Propozycya zostaje przyjętą i Sakuntala zalana łzami, odchodzi za kapłanem; ale po chwili za sceną rozlegają się głosy podziwu, a kapłan wraca i oznajmia królowi, że Sakuntalę uniosła w sfery napowietrzne jakaś postać świetlana.

W drugiej odsłonie tegoż aktu występuje na scenę naczelnik policyi z dwoma policyantami, którzy prowadzą związanego Kumbhylakę.

Kumbhylaka. Zlitujcie się nademną, proszę, jam nie popełnił takiego występku, o jaki mnie obwiniacie.

Pierwszy policyant. O! ty przezacny braminie, to może ci król darował ten pierścień za jaką ważną przysługę?

Kumbhylaka. Ale chciejcież mnie tylko słuchać, ja jestem ubogi rybak, mieszkam w Sakrawatarze.

Drugi policyant. Któż cię pyta, ty złodzieju, o twój ród i mieszkanie?

Naczelnik policyi. O Suczako, dajże mu pokój, niechże już do końca opowie swoją historyę. Teraz, hultaju, żebyś nam nic nie taił!

Pierwszy policyant. Czy słyszysz? Czyń, jak nasz przełożony każe.

Kumbhylaka. Trudnię się rybołówstwem i z tego utrzymuję całą rodzinę; łowię siecią, na wędę lub innym sposobem.

Naczelnik policyi (ze śmiechem). Cnotliwy sposób zarabiania na kawałek chleba!

Kumbhylaka. Nie wyrzucaj mi tego, panie. Nie wolno nam porzucać sposobu życia naszych ojców, choćby był i najpodlejszy, a kto zwierzęta zabija i sprzedaje, może jednak mieć serce miękkie, lubo dupuszcza się okrucieństwa.

Naczelnik policyi. No dalej, dalej.

Kumbhylaka. Raz ułowiłem wielką rohytę, a rozpłatawszy ją, znalazłem w jej żołądku ten piękny pierścień. Gdym go chciał sprzedać, schwytaliście mnie. Powiedziałem wam wszystko; bijcie mnie teraz i zabijcie.

(Przekład J. Tretiaka).

Naczelnik policyi udaje się z pierścieniem do pałacu królewskiego, i po chwili wraca z nagrodą dla rybaka i oznajmia podwładnym, że król, spojrzawszy na pierścień, przypomniał sobie Sakuntalę i zalał się łzami.

Akt VI. Boginka Sanumati, uproszona przez boginkę Menakę, matkę Sakuntali, przybywa niewidzialna do ogrodu królewskiego, żeby się czegoś dowiedzieć o uczuciach Duszjanty dla odtrąconej. Z rozmowy służby dowiaduje się, że król bardzo boleje nad swoją stratą, wyrzuca sobie zapomnienie, nie sypia i zaniedbuje sprawy państwa. Nadchodzi sam Duszjanta w towarzystwie Mathawii, który usiłuje go rozerwać, ale napróżno. Służba przynosi portret Sakuntali, namalowany przez jednę z panien dworskich na żądanie króla. Na jego widok król roztkliwia się jeszcze bardziej i wreszcie mdleje z żałości. Wtem za sceną rozlega się głos Mathawii, wzywający ratunku: jakiś duch złośliwy porwał go i znęca się nad nim. Król chwyta za łuk i biegnie ratować ulubieńca. Zanim jednak wypuścił strzałę, rzecz się wyjaśnia: Matali, woźnica boga Indry, chcąc rozbudzić w Duszjancie ducha męskiego, zażartował w ten sposób z widuszaki. Oznajmia on królowi, że przybył od swojego pana z poleceniem, aby król udał się na poskromienie hufca złych duchów, których sam Indra nie był w stanie zwyciężyć. Posłuszny Duszjanta zdaje tymczasowe rządy państwa ministrowi swemu i udaje się spełnić żądanie boga.

Akt VII. Powracając drogą powietrzną ze zwycięskiej wyprawy na demonów, Duszjanta z wozu Indry rozgląda się po krajobrazie ziemskim i spostrzegłszy góry Hemakuta, gdzie w surowej pokucie mieszka Kasjapa, ojciec Indry, postanawia złożyć czołobitność świątobliwemu starcowi. Matali zwraca konie w tę stronę i zatrzymawszy wóz przed pustelnią, udaje się na odszukanie Kasjapy. Tymczasem na scenę, zabawiając się rezolutnie ze lwiątkiem, wchodzi malec pod dozorem młodej pustelnicy. Król uczuwa ku niemu szczególniejszy pociąg i spostrzega na jego ręku rodzime znaki władzy. Zapytana o chłopca dozorczyni oznajmia, że jest to syn Sakuntali, która właśnie w to ustronie została uniesiona przez swoją matkę, gdy ją mąż odepchnął. Wkrótce zjawia się i Sakuntala. Król rzuca się jej do nóg i błaga o przebaczenie. Sakuntala zalewa się łzami rozrzewnienia i przebacza mężowi. Uszczęśliwieni małżonkowie udają się po błogosławieństwo do Kasjapy i jego żony Aditi. Kasjapa chętnie czyni zadość ich prośbie i pociesza ich przepowiednią, że będą żyli długo i szczęśliwie, a syn ich Sarwadamana będzie panował od morza do morza i zostanie przezwany Bharatą.

G) Malati i Madhawa.

dramat w 10-ciu aktach Bhawabhuti'ego.

Malati i Madhawa jeszcze w dzieciństwie zostali zaręczeni przez swych ojców, ale wychowali się zdala od siebie. Obecnie, gdy już dorośli, ojciec Madhawy przysłał syna do Padmawati, niby dla nauki, w gruncie jednak rzeczy dlatego, żeby delikatnie przypomnieć przyjacielowi czas dotrzymania obietnicy. Ale Bhuriwasu, ojciec Malati, zamierza córkę swoją oddać za żonę Nandanie, faworytowi królewskiemu, gdyż swata go sam monarcha, a Bhuriwasu nie chce odmową narazić się królowi, którego jest ministrem. Tymczasem Malati, widując zdaleka Madhawę, pokochała go tak, że »jej piękne członki więdnieją z miłości«, a Madhawa, ujrzawszy dziewicę podczas uroczystości boga Kamy, rozgorzał ku niej także namiętną miłością. Jego przyjaciel Makaranda, ujrzawszy go w parku, wracającego z uroczystości, dziwi się zmianie, jaką w nim spostrzega. „Wzrok nieruchomo utkwiony w przestrzeń, krok niepewny, postawa przygnębiona i oddech ciężki.... Co to ma znaczyć?“...

Madhawa (wchodząc, do siebie).

Mój duch tak długo poił się widokiem
Tej, której lice piękne jest jak księżyc,
Że się z trudnością teraz z nią rozstaje;
Zwyciężył wstyd, odrzucił precz przystojność
I zburzył spokój, a w sądzeniu rzeczy
Jest ociężały. A dlaczego? Nie wiem.
Rzecz dziwna. Przy niej serce me przestało
Bić ze zdumienia, wszelkich się wyrzekło
Pragnień, z radości jakby obumarło,
Jakby rozkoszny napój je odurzył.
A teraz jakby na żarzących węglach
Legło i cierpi ból.

Makaranda. Hola! Madhawa!

Madhawa. Co? Makaranda! Tyżeś, przyjacielu!

Makaranda. Słońce tu skwarem razi znojne czoła,
Wejdźmy na chwilę w cienie tego parku.

Madhawa. Owszem, gdy sobie tego życzysz, druhu....

Makaranda. Tu w cieniu drzewa, którego zapachy
Daleko wiatr roznosi na swych skrzydłach,
Spocznijmy chwilę *(kładą się)*. Był to niebezpieczny
Dla ciebie, Madhawo, ten dzień dzisiejszy,
Bo nie bezkarnie tyś się przypatrywał
Tylu dziewicom pięknym, co tam wyszły
Doroczną przynieść ofiarę miłości.
I zdaje mi się, zbyt szybko warknęła
Strzała i w serce twoje ugodziła.
O! nie patrz tak posępnie! Cóż w tem złego,
Jeśli jej ostrze w sercu twem zostało.
Któż się miłości bóstwu oprzeć zdoła?
Moc czarodziejską jej wszyscy uznają,
Bogowie nawet wobec niej bezsilni.

Madhawa. Tak jest, przyznaję, i opowiem wszystko:
Awalokita [1]) wiodła mię do gaju,
Gdzie Kamadewy świątynia się wznosi.
Strudzony ległem u srebrnego źródła,
Pod drzewem, co w niem poiło korzenie.
Wysoko jego wznosi się korona,
Gwarzą tam pszczoły z kwiatem, by zeń słodkie
Wywabić wonie ku sobie. Ich brzękiem
Ukołysany, ległem w chłodnym cieniu
I kwiat zbierałem, co padł na murawę,
I wiłem z niego wieniec różnowzory.
Wtem patrzę — cudna stanęła dziewica.
Wspaniała wzrostem, a jednak powiewna,
Podobna była do chorągwi, którą
Miłość nad światem, u jej stóp klęczącym,
Zwycięsko wznosi. Jej orszak wskazywał
Ród znakomity, strój miała ozdobny.
Był to piękności ołtarz: jego twórcą
Był wszechpotężny sam, był bóg miłości.
Od towarzyszek wezwana ku drzewu
Memu, z którego wonny kwiat się zwieszał,
Zbliża się ku mnie — ach, odrazum poznał
Na twarzy ślady tajemnego ognia,
Który w jej piersi, cudownem naczyniu,
Gorzał dla kogoś, dla najszczęśliwszego.
Smukła, jak krzew lotusu, czoło miała
Bielsze, niż kość słoniowa, bielsze nawet,
Niżeli srebrne promienie księżyca.
Dziecinność była i otwartość razem
W każdym jej kroku, w każdem jej spojrzeniu.
Zaledwiem ujrzał ją — już zachwyt płonął
W mem sercu; całą mą istność uczułem
Tak pociągniętą ku niej, jak pociąga
Magnes żelazo, i raz pociągnięte
Serce już przy niej na wieki zostało.
Niech co chce będzie, niech mię rozpacz czeka!
Cóż czynić z losem, który złe i dobre
Wymierza ludziom naoślep, bez wagi!...

Sprawę kochanków bierze w opiekę świątobliwa pokutnica buddyjska Kamandaki, niegdyś mamka Malati. Ułatwia ona im widywanie się i broni praw serca swojej pupilki. Bhuriwasu wszakże jest niezmiękczony i nie chce nic wiedzieć o Madhawie, nawet gdy ten wydziera jego córkę z rąk kapłanki Kapalakundali, która porwała ją i chciała zamordować jako ofiarę dla bogini Czamundy. Zbliża się chwila, w której Malati ma być poślubiona Nandanie. Wówczas Kamandaki podaje hazardowny środek zapobieżenia małżeństwu. Za jej radą Makaranda, przebrany w suknie panny młodej, zastępuje Malati przy uroczystości zaślubin i niepoznany, dostaje się do domu Nandany, gdzie może się zbliżyć do siostry oszukanego faworyta, którą kocha i namawia ją do

[1]) Jedna z kobiet dramatu.

ucieczki. Tymczasem Malati i Madhawa zostają połączeni ślubem w świątyni buddyjskiej przez opiekuńczą Kamandaki. Bhuriwasu dowiaduje się o ucieczce siostry z Makarandą i każe ścigać zbiegów. Madhawa pośpiesza na pomoc Makarandzie; obaj przyjaciele walczą tak dzielnie, że odpierają pościg i tem pozyskują łaskę króla. Ale pod nieobecność Madhawy, Kapalakundala porywa znowu Malati i ukrywa ją, niewiadomo gdzie, zanim zamorduje na ofiarę Czamundzie. Zrozpaczony, napół nieprzytomny Madhawa, szukając ukochanej wśród gór, mdleje kilkarotnie; Makaranda nie opuszcza go ani na chwilę i rozpacza nad jego stanem. Jednakże i tym razem Malati nie ginie; czarodziejka Saudamini, uczennica Kamandaki, wydziera ją z rąk okrutnej Kapalakundali i zwraca Madhawie. Król, wzruszony losami wiernych kochanków, uznaje ich małżeństwo; Nandana zgadza się na związek swej siostry z Makarandą.

(Przekład J. Tretiaka, nieco uzupełniony).

H) Hitopadesa.

Księga II. Opowiadanie siódme.

Na jednem drzewie założyło sobie siedzibę wronie małżeństwo; — młode zostały pożarte przez węża, który mieszkał w wydrążeniu pnia. Gdy samiczka znów miała nieść jajka, rzekła do małżonka:

— Panie, drzewo to musimy porzucić, albowiem z powodu tego węża nigdy nie będziem mieli potomstwa. Ponieważ:

Zła żona, fałszywy przyjaciel, służba, co nie słucha,
Dom, co węże chowa — to co śmierć nie ma wątpienia.

Samiec odparł: — Najdroższa, nie trwóż się. Oddawna już postanowiłem zemścić się na wężu za tę krzywdę.

Na to rzekła samiczka: — Jakim sposobem wytrzymasz walkę z tym wężem!

Lecz samiec odpowiedział: — Porzuć te troski! Albowiem:

Kto mądrość ma, ten mocnym jest; jakże przyjdzie głupi do władzy!
Wzgardliwy lew został w lesie przez zająca zgubiony.

— Jak się to stało? — zapytała samica.

A samiec opowiedział:

Opowiadanie ósme.

Na górze zwanej Mándara, mieszkał lew imieniem Durdánta (nieokiełznany), który ustawicznie zabijał zwierzęta. Wtedy wszystkie one zeszły się razem i rzekły do niego: „Dlaczego tępisz tak strasznie wszystkie zwierzęta? Będziemy ci odtąd codziennie po jednem na pokarm dawali“. Lew zgodził się na to, i odtąd przyprowadzano mu codzień po jednem zwierzęciu.

Pewnego razu przyszła kolej na starego zająca. Ten myślał:

Gdy kocha się życie, i w strachu postępuje się skromnie:
Cóż mi teraz na łasce lwa zależy, gdy mię śmierć czeka!

— Dlatego też pójdę powoli.

Gdy go ujrzał lew głodem dręczony, rzekł do niego z gniewem:

— Dlaczego tak późno przybywasz?

Zając odrzekł: — Nie moja to wina. Po drodze zatrzymał mię siłą drugi lew. Przysiąc musiałem, że do niego powrócę, i przychodzę do ciebie oznajmić ci o tem.

Z gniewem krzyknął lew: — Chodź prędko i pokaż mi, gdzie się ten łotr ukrywa.

Zając doprowadził lwa do głębokiej studni i rzekł:

— Przystąp bliżej, panie, i patrz. — I przytem pokazał mu własny jego obraz w wodzie.

Lew rozgniewany ze złością rzucił się na dół i poniósł śmierć.

— Dlatego też powiedziałem:

Kto mądrość ma, ten mocnym jest; głupi nie przyjdzie do władzy;
Zajączek w lesie zgubił dumnego lwa.

Koniec opowiadania siódmego.

Samiczka rzekła: — Wysłuchałam uważnie tego. Teraz powiedz, co ma nastąpić.

Wtedy odrzekł samiec: — Do stawu w pobliżu przychodzi często książę i kąpie się. Porwiesz mu złoty łańcuch, który zdejmuje z siebie, i przyniesiesz do dziupli w naszem drzewie.

Gdy wkrótce potem książę przyszedł się kąpać, samiczka uczyniła, co jej polecono. Służący biegli za łańcuchem, zajrzeli do dziupli, zobaczyli węża i zabili go.

— Dlatego też powiedziałem:

Staraj się uczynić podstępem,
Czego siłą uczynić nie możesz:
Czarnego węża śmierć spotkała,
Gdy wrona złoty łańcuch zabrała.

(Jan Kwietniewski).

3. PERSOWIE.

Hymny (gaty) z Zend-Awesty.

I.

Wszystko się stanie na tym świecie według praw, danych światu pierwotnemu, według przepisów również dla złego jak i dobrego sprawiedliwych, stosownie do złych uczynków pierwszego, do dobrych — drugiego.

Temu, kto złe wyrządził człowiekowi złemu myślą, mową lub uczynkiem; temu, kto utrwalił świat w dobrem, udzieli nagrodę według swej woli Ahura-Mazda.

Jeśli kto jest oddany sprawiedliwemu, jeśli służy mu pilnie, jeśli kto strzeże bydło starannie; ten, o Ahura, zamieszka w krainie prawdy i ducha dobrego.

Ja, który cię wzywam w prawdzie i prawości, dążę do szczęścia prawdziwego. Przez ducha tego, z którego natchnienia przykładam się do pracy pożytecznej, przez tego dążę do dwojakiego szczęścia: widzieć cię i rozmawiać z tobą...

Niech mądrość, o Mazda, pełna blasku i potęgi, podtrzymująca czystość, przyniesie nam tego ducha, za pomocą którego otrzymuje się doskonałość, pożądana dla dusz.

Wszystkich rozkoszy, które były znane, są i będą, udziel stworzeniu...

Powstań, o Ahura, daj mi mądrość, a przez nią siły i moc.

II.

Pytam się ciebie, odrzeknij prawdę mi, o Ahura, kto był pierwszym pra-stworzycielem, kto pra-ojcem świętości? Kto pchnął słońce i gwiazdy na drogi ich? Kto jest ten, przez którego księżyc rośnie i zmniejsza się? Od ciebie, o Mazda, chcę się dowiedzieć tych rzeczy i wielu innych.

Pytam się ciebie, odrzeknij mi prawdę, o Ahura, kto podtrzymuje ziemię i obłoki tam w górze? Kto chroni je od upadku? Kto stworzył rośliny i wody? Kto dał rączość biegu wiatrom i obłokom? Kto jest, o Mazda, stworzycielem ducha dobrego?

Chcę ciebie zapytać, odrzeknij mi prawdę, o Ahura, jaki to robotnik doskonały urządził światło i ciemności? sprowadził sen, utrzymuje czuwanie? Przez kogo to poranek, południe i noc się zmieniają?...

Pytam ciebie, odrzeknij mi prawdę, o Ahura, a ja objawię twe słowa, jeśli będą one prawdziwe, czy mądrość zwiększa świętość za pomocą dobrych czynów?... Kto stworzył mądrość wspaniałą? Kto sprawił, że syn drogim być musi ojcu? Ja, ja chcę rozpytać się ciebie o to wszystko, o Mazda, duchu ożywiający, stworzycielu wszystkiego, co jest dobrem....

(Przekład Ig. Radlińskiego).

4. EGIPCYANIE.

I. Hymn do Nilu.

Pozdrowienie ci, o Nilu!
Ty na tę ziemię zstępujesz,
Przychodzisz w pokoju,
By dać życie Egiptowi.
Boże ukryty! spuszczasz ciemności, gdy ci się podoba,
Zraszasz roślinność przez słońce stworzoną,
By dać pokarm żyjącym.
On ziemię całą otwiera dla żyjących...
I wielki i mały odpoczywają,
Gdy on się podnosi.
I każda istota czuje radość,
Każde stworzenie otrzymuje pokarm,
Każdy ząb gryzie...
On każe wschodzić roślinności dla zwierząt,
On pamięta o ofiarach dla bogów,
Napełnia gumna, opatruje śpichrze,
Wzbogaca nędzarzy!
On stwarza, lecz to nie wyczerpuje sił jego,
Tarczą jest ubogich.
Nie rzeźbią go na marmurze,
Nie jest on widzianym.
Żadna służba, żadna ofiara
Nie dochodzi go.
Niepodobna wprowadzić go do świątyni,
Nieznane jest to miejsce, gdzie przebywa.
Niemasz ołtarzy ozdobionych wizerunkami jego.
Żaden przybytek go nie zawrze!
Niczyje słowo do serca jego nie wchodzi,
Nieznane jest imię, które nosi on w niebie....
Bóg nie pokazuje swych kształtów. *(I. Radliński).*

II. Treny na zgon Ozyrysa.

O! powróć do przybytku twego, o! powróć.
Twych nieprzyjaciół już niema.
O! powróć do do domu twojego, o! powróć,
Władco ty świetny!
Patrz, ja siostra twoja [1]). O nie stawaj opodal ode mnie, piękny młodzianie!
Czyż mnie nie widzisz? Moje serce jest w goryczy z twej przyczyny.

[1]) Izys.

Moje oczy cię szukają. Szukam cię, by cię zobaczyć.
Widzieć cię, to szczęście moje, to szczęście moje!
O! przybądź do tej, która cię kocha!
Nie oddalaj się ode mnie!...
Bogowie i ludzie zwracają swe oblicza ku tobie,
By cię opłakiwać.

Do nas zwróć twarz twą,
O mistrzu nasz, nasz panie!
Widzieć oblicze twe jest to życie dla nas.
Niech się twe oblicze nie odwraca od nas....
Spozierać na nie — to radość nasza, o Panie!
Serce nasze tylko wtedy radość czuje....

Ty przychodzisz do nas z podróży twej,
By rozdać wodę twej duszy,
Dostarczyć chleba istoty twej,
Ożywić bogów, ożywić ludzi.

(I. Radliński).

III. Pieśń o śmierci.

Ludzie umierają od czasów Ra [1]) i młodzi przychodzą na ich miejsce.
Każde nozdrze tylko raz wciąga powiew jutrzenki.
Wszyscy zrodzeni z kobiet idą w dół na swe miejsce.
Pomnij o radości, aż przyjdzie dzień podróży,
Kiedy zbliżymy się do ziemi, która kocha milczenie.

Oto skończyli swe istnienie... zwykły los ludzi...
I są, jakby nigdy nie byli się porodzili...

Żadne pomniki budowlane Egiptu nie wystarczają mu,
A tymczasem miejsce spoczynku jest jedynem jego bogactwem.
Ani jedna chwila nie mogła być przydana do jego życia....
Pomnij o dniu, w którym i ty także wyruszysz do bramy,
Do której się wchodzi, aby nie wrócić już nigdy.

Bądź przeto sprawiedliwym, nienawidź przestępstwa,
Gdyż ten tylko, co kocha sprawiedliwość, będzie błogosławion.
Tchórz i odważny nie uciekną przed grobem;
Nędzarz i mocarz są sobie równi.... *(I. Radliński).*

---

[1]) Ra, syn Ptaha, najwyższego boga Egipcyan.

IV. Nauki Ptahhotepa.

Nauka niech będzie mieniem twem! Gdy przyjdzie na cię bieda, zasługa twoja będzie więcej znaczyć, niż stosunki twoje z ludźmi bogatymi, będzie większą od ich wspaniałości. Wszystko przechodzi od jednego do drugiego. Własna zasługa jest tylko własnością każdego.

Jeśliś bogaty, szacunek dla siebie zdobywaj nauką, rozumem. Nigdy mędrzec nie znaczy przyjścia swego czynami gwałtownymi. Nie pysznij się w sercu swem! Wstrzymaj krok swój; rządź odpowiedzią swą, słowo odporne odpędzaj od siebie. Tylko posłuszny godzien jest rozkazywać!

Wspaniale kroczy po drodze swojej wojownik, lecz dość dnia jednego, by go zupełnie zmienić.

O głupcze! syn twój jest nasieniem twem; nie oddalaj nigdy serca swego od niego! Posłuszeństwo przedniejszem jest nad wszystko. Jeśli syn słucha słów ojca swojego, doczeka późnej starości. Nieposłuszny upatruje mądrość w głupocie, cnoty w występkach; dopuszcza się wszelkich przestępstw, rzeczy zdrożnych w postępkach codziennych; życie jego w śmierci; chlebem jego są słowa skażone.

Nie pysznij się w sercu swem z mądrości swojej; naradzaj się zarówno z mądrym jak i z prostakiem, albowiem przybytek mądrości zamkniętym nie jest i niemasz męża, któryby posiadł wszystką wiedzę. Dobra rada większą ma wartość niż kamienie drogie.

Jeżeliś mądry, pełny rad dobrych, nie sądź, byś mógł coś uczynić tak wielkiego, o czemby pamiętały czasy następne. Rzadko przychodzi słowo, ku zwiększeniu sławy prowadzące. Występuje z wody krokodyl i — wokół pustkowie! *(I. Radliński).*

V. Przeznaczenie.

(Powiastka).

Był sobie w Egipcie król, który nie mając potomstwa męskiego, uprosił go sobie od „bogów swego czasu". Przy jego narodzeniu wróżki Hathory, wyrzekły jego przeznaczenie: „niech umrze od krokodyla, od węża, albo od psa". Gdy o tem doniesiono królowi, kazał zbudować dom na górze zaopatrzony we wszystkie rzeczy potrzebne, ażeby chłopiec z niego wcale nie wychodził. Pewnego razu chłopiec z płaskiego dachu w tym domu ujrzał jakieś zwierzę idące za człowiekiem i dowiedział się, że to pies. Zapragnął podobnego. Ojciec kazał mu dać psa, ażeby serce dziecka się nie zasmuciło. Dorósłszy, królewicz nie chciał pozostawać w bezczynności i otrzymawszy zezwolenie ojca, uzbrojony w broń wszelką, z psem swoim przy boku, udał się do kraju Naharanna

(Syryi), którego książę, mając jedyną córkę, osadził ją w domu, mającym 70 okien wzniesionych od ziemi na 70 łokci i obiecał ją oddać temu, kto się do okna córki dostanie. Wielu książąt z kraju sąsiedniego (Kharu, może Palestyna) napróżno usiłowało dokonać tego; królewicz zaś egipski, przedstawiwszy się spółzawodnikom jako syn żołnierza walczącego na wozie wojennym, dosiągł okna i otrzymał pocałunek królewny. Ojciec jej, dowiedziawszy się o mniemanem pochodzeniu zwycięzcy, nie chciał oddać mu córki, ale królewna zaklęła się na boga Rha, że jeżeli on nie zostanie jej małżonkiem, ona nie będzie jadła ani piła i umrze natychmiast. Zaniepokojony ojciec zezwolił na małżeństwo, lubo królewicz i jemu nie odkrył istotnego swego pochodzenia. Przytaczamy dalsze opowiadanie w całości:

A gdy sporo upłynęło czasu, młody mąż rzekł do żony: „Trojaki mi los przeznaczony: krokodyl, wąż, pies“. Ona zaś rzekła: „To zabić psa, który do ciebie należy“. On jej odpowiedział: „Jeśli pozwolisz, nie zabiję swego psa, bo go wychowałem od maleńkości“. Ona się bardzo a bardzo lękała o męża, i nie pozwalała mu wychodzić samemu. Otóż zdarzyło się, że zachciano podróżować; powieziono księcia ku ziemi egipskiej. A wtem krokodyl nilowy wyszedł z rzeki i przyszedł na środek miasteczka, gdzie był książę. Zamknięto go w budynku, gdzie był olbrzym. Olbrzym nie dozwalał wyjść krokodylowi, a kiedy krokodyl spał, olbrzym wychodził na przechadzkę. A gdy słońce wschodziło, olbrzym wracał do mieszkania — i tak było codzień w przeciągu miesiąca i dwu dni.

A gdy chwile te minęły, książę został w domu dla zabawy. Za nadejściem nocy książę się położył na macie i sen opanował jego członki. Żona jego napełniła naczynie mlekiem i postawiła je koło siebie. Kiedy z nory wylazł wąż, aby ukąsić księcia, żona czuwała przy mężu. Wtedy służące dały mleka wężowi; napił się go, został oszołomiony, wyciągnął się brzuchem do góry, a żona go zabiła uderzeniami włóczni. Obudzono męża, którego ogarnęło zdumienie, a ona mu rzekła: „Patrz! bóg twój dał ci jeden z losów twoich w twe ręce; da ci i inne“. On złożył ofiary temu bogu, uczcił go i wysławiał jego potęgę przez wszystkie dni swoje.

A gdy sporo upłynęło czasu, książę wyszedł na przechadzkę w sąsiedztwie swych majątków; a że nigdy nie wychodził sam, pies jego biegł za nim. A gdy pies puścił się w pole za zwierzyną, i on też pobiegł za psem swoim. A przybywszy do rzeki, zeszedł na brzeg rzeki, idąc za psem swoim, a wtedy wyszedł krokodyl i pociągnął go ku miejscu, gdzie był olbrzym. Ten wystąpił i ocalił księcia; a wówczas rzekł krokodyl księciu: „Ach, ja jestem twojem przeznaczeniem, co cię ściga; cokolwiek zrobisz, znajdziesz się na mojej drodze, ty i olbrzym“.... Pies, posłyszawszy te słowa, pobiegł do domu i znalazł córkę księcia Naharanny we łzach, dlatego, że mąż jej nie wrócił od wczoraj. Zobaczywszy psa samego, bez swego pana, zapłakała głośno i rozdzierała pierś swoję, ale pies chwycił ją za suknię i pociągnął ku drzwiom, jakby zapraszając do wyjścia. Wstała, wzięła włócznię, którą zabiła węża, i poszła za psem aż do tego miejsca brzegu rzeki, gdzie był olbrzym. Wów-

czas ukryła się w trzcinie, nic jadła i nie piła, ale modliła się do bogów za swego męża. Za nadejściem wieczoru, krokodyl rzekł znowu: „Przysięgnij mi, że zabijesz olbrzyma; w przeciwnym razie zaniosę cię na brzeg i ujrzysz śmierć“. A on odrzekł: „Za cóż mam zabić tego, co czuwał nade mną?“ Wówczas krokodyl zaprowadził go w to miejsce, gdzie była żona, a ona wyszła z trzciny, a kiedy krokodyl otwierał paszczę, przebiła go swą włócznią, a olbrzym rzucił się nań i dobił go. Wtedy uścisnęła męża i rzekła mu: „Patrz, bóg twój, dał ci drugi z losów twoich w twe ręce; da ci i trzeci“. On złożył ofiary bogu, uczcił go i wysławiał jego potęgę przez wszystkie dni swoje.

A gdy sporo upłynęło czasu, wrogowie wdarli się do kraju. Synowie bowiem książąt kraju Kharu, rozwścieczeni tem, że księżniczka dostała się w ręce awanturnika, zebrali swoją piechotę i swoje wozy, rozbili wojsko władcy Naharanny i wzięli go do niewoli. Nie znalazłszy księżniczki i jej męża, rzekli do starego władcy: „Gdzie jest twoja córka i ten syn żołnierza walczącego na wozie z kraju egipskiego, co to mu ją dałeś za żonę?“ On odpowiedział: „Wyjechał z nią, by polować na dzikie zwierzęta; skądże mogę wiedzieć, gdzie oni są?“ Wówczas zastanawiali się i mówili między sobą: „Podzielmy się na małe oddziały i idźmy w różne strony po świecie całym; a ten, kto ich znajdzie, niech zabije męża, a z żoną zrobi, co mu się podoba“. I rozeszli się, jedni na wschód, inni na zachód, północ, południe; a ci, co poszli na południe, dotarli do kraju egipskiego, do tego samego miasta, gdzie młody mąż był z córką władcy Naharanny. Ale zobaczył ich olbrzym i pobiegł do męża i rzekł mu: „Oto siedmiu synów książęcych z Kharu zbliża się, by cię odnaleźć. Jeżeli cię odszukają, to cię zabiją a z żoną zrobią, co im się podoba. Zbyt są liczni, aby się im oprzeć było można; uciekaj więc, a ja wrócę do mych braci“. Wówczas książę zawołał swej żony, wziął psa swego ze sobą, i wszyscy ukryli się w pieczarze górskiej. Byli tam od dwu dni i dwu nocy, kiedy synowie książęcy z Kharu przybyli z wielu żołnierzami i minęli otwór pieczary, nie spostrzegłszy księcia, ale kiedy ostatni z nich się zbliżał, pies wyszedł przeciw niemu i zaczął szczekać, a synowie książęcy z Kharu poznali go, wrócili się, by wejść do pieczary. Żona rzuciła się przed mężem, ażeby go zasłonić, gdy wtem włócznią uderzona, padła martwa przed nim. A młody mąż zabił jednego z książąt mieczem, a pies rozszarpał drugiego zębami, ale pozostali rzucili na nich włóczniami; a oni upadli bez przytomności. Wtedy książęta wywlekli ciała z pieczary i pozostawili je wyciągnięte na ziemi, by je pożarły dzikie zwierzęta i ptaki drapieżne, a oni wyszli, by się połączyć z towarzyszami i by się podzielić ziemiami Naharanny.

A wtem, gdy się ostatni z tych książąt oddalił, młody mąż otworzył oczy i ujrzał żonę rozciągniętą na ziemi zmarłą i trupa psa swego, wtedy jęknął i rzekł: „Zaiste, bogowie spełniają nie-

wzruszenie to, co zgóry postanowili. Hathory zapowiedziały mi w dzieciństwie, że zginę przez psa, a oto wyrok ich się spełnił, pies bowiem wydał mię wrogom moim. Gotów jestem umrzeć, bez tych bowiem dwu istot, co leżą obok mnie, życie dla mnie jest nieznośne!“ I wzniósł ręce do nieba i zawołał: „Nie zgrzeszyłem przeciwko wam, o bogowie! Więc udzielcie mi szczęśliwego pogrzebu na tym świecie i głosu sprawiedliwego wobec sędziów Amentitu“ [1]). I opadł jak martwy, ale bogowie usłyszeli głos jego i dziewiątka bogów przyszła do niego i Râ-Harmakhuiti [2]) rzekł do swych towarzyszów: „Przeznaczenie spełniło się, teraz dajmy nowe życie tym małżonkom, gdyż wypada nagrodzić godnie poświęcenie, jakiego dowiedli wzajem względem siebie“. A matka bogów potwierdziła skinieniem głowy słowa Râ-Harmakhuiti i rzekła: „Takie poświęcenie zasługuje na bardzo wielką nagrodę“. Inni bogowie zgodzili się na to; potem siedem Hathor zbliżyło się, mówiąc: „Przeznaczenie spełniło się; teraz niech wrócą do życia!“ I powrócili do życia natychmiast.

(Tłomaczenie powiastki powyższej dokonane zostało na podstawie przekładu G. Maspero, w dziele: „Les contes populaires de l'Egypte ancienne. Deuxième édition“. Paryż, 1889, str. 338).

(Najlepszą u nas pracą o literaturze egipskiej jest zarys jej skreślony przez Ignacego Radlińskiego w „Dziejach literatury powszechnej z ilustracyami“ T. I, str. 144—194).

5. ASSYRO-BABILOŃCZYCY.

1. Hymn do księżyca.

Panie, królu bogów, który na niebie i ziemi sam jesteś najwyższy, ojcze, oświecicielu, panie boże obfitości, królu bogów.... którego światło potężne, rogi silne, członki ukształtowane, broda jaśniejąca wspaniale, skoro obejdziesz swój krąg.... Litościwy, który wszystko rodzisz, ponad istotami żyjącemi swój przybytek jaśniejący wznosisz, ojcze litośny, odnowicielu, którego ręka podtrzymuje życie na ziemi....

Panie, twe bóstwo jako niebiosa oddalone, jako morze obszerne wzbudza strach, pełen poważania....

Na niebie kto najwyższy? Ty, ty jeden jesteś najwyższy!

Na ziemi kto najwyższy? Ty, ty jeden jesteś najwyższy!

Twa wola ogłoszona na niebie, i duchy niebieskie padają na twarz przed nią.

[1]) Sąd bogów o umarłych.

[2]) Râ oznacza słońce, Harmakhuiti oznacza Hora, t. j. słońce w biegu dziennym. Dwie te nazwy z początku odmienne, zlały się następnie i w języku potocznym służyły na oznaczenie boga słońca.

Twa wola ogłoszona na ziemi, i duchy ziemskie padają na twarz przed nią.

Twój rozkaz zabrzmiał w górze jako wiatr w ciemnościach i oto ziemia rodzić zaczyna.

Twój rozkaz zaledwo doszedł do ziemi, i oto roślinność już się pokazała.

Twój rozkaz unosi się nad miejscami zamieszkałemi i wierzchołkami gór i wszędzie istoty żywe rozmnaża.

Twój rozkaz rodzi prawdę i sprawiedliwość i prawdę pomiędzy ludźmi utrzymuje...

Kto może poznać twą wolę?

Któż ci sprostać zdoła?... *(I. Radliński).*

II. Psalm pokutny.

Panie, gniew twego serca niech się uspokoi!
Bóg, którego nie znam, niech się uspokoi!
Bóg, który zna rzeczy nieznane, niech się uspokoi!
Bogini, która zna rzeczy nieznane, niech się uspokoi!

*

Niech serce mojego boga się uspokoi!
Niech serce mojej bogini się uspokoi!
Mój bóg i moja bogini niech się uspokoją!
Bóg, który jest w gniewie na mnie, niech się uspokoi!
Bogini, która jest w gniewie na mnie, niech się uspokoi!

*

Pożywałem pokarm....
Piłem wodę....
Wykroczeniem przeciwko bogu mojemu bez wiedzy mojej karmiłem się.
W uchybieniu bogini mojej bez wiedzy mojej kroczyłem.
Panie! błędy moje są wielkie, wielkie grzechy moje....
. . . . . .

*

Popełniałem błędy i nie znałem ich.
Dopuszczałem się grzechów i nie znałem ich.
Karmiłem się wykroczeniami i tego nie wiedziałem.
Chodziłem w uchybieniach i o tem nie wiedziałem.

*

Pan w gniewie serca swojego poczerwieniał na mnie;
Bóg w zapalczywości swego serca przywalił mię.
Bogini rozgniewała się na mnie i mnie przeraziła.
Bóg, który zna rzeczy nieznane, zgniótł mię;
Bogini, która zna rzeczy nieznane, zniszczyła mię.

*

Upadłem i nikt ręki nie wyciągnął ku mnie.
Od płaczu zaniemiałem i za rękę mnie nie schwytano.

Modlitwę moją powtarzałem głośno, nikt mnie nie wysłuchał.
Jestem powalony, w omdleniu, nikt mnie nie ratuje.
. . . . . .

*

Przeznaczenie człowieka jest utrwalone na piśmie, a nikt nie zna tego pisma.
Ludzie noszący imiona jakżeż mogą znać je?
Czy powstawał przeciwko bogu, czy postępował dobrze, nikt nie wie.

*

Wpośród nawałnicy wód, przyjdź na pomoc, schwyć za rękę.
Popełniłem błąd, przemień go w czyn dobry!
Dopuściłem się przestępstwa, wiatry niech je rozniosą!
Moje przewinienia są liczne, rozedrzyj je jako płótno! *(I. Radliński).*

III. Opowieść o potopie.

Izdubar — domniemane nazwisko bohatera, pół-boga, pół-człowieka — zawiera związek z drugim bohaterem Belbirut'em, w celu zabicia tyrana Humbaby. Świetne czyny zwracają nań uwagę bogini Istary:

Izdubar rzucił swe odzienie podarte,
Ciężar ze swem mieniem zdjął z pleców,
Odtrącił łachmany ubogie, odział się w szatę wspaniałą,
Suknią się okrył królewską, przypasał dyadem nad czołem.
Wtedy Istar, królowa, wzniosła swe oczy do niego:
„Uściskaj mię, Izdubarze, — rzekła — chcę być żoną twoją.
Mieszkajmy razem, ja i ty, w jednem miejscu.
Ty będziesz moim mężem, ja zaś twą żoną.
Będziesz jeździł wozem z kamieni drogich i złota....
Przy domu naszym będą rosły drzewa wiecznie zielone.
A gdy będziesz wchodził do domu,
Tłumy żebrzące będą twe nogi całowały.
Królowie i książęta będą się kłaniali przed tobą,
Daninę z gór i dolin będą ci składali w ofierze....
Twoje stada i trzody będą wszystkie dawały bliźnięta,
Rodzaj twoich mułów będzie wszystkim znany.
Twoje zwycięstwa w wyścigach wozowych będą wciąż głoszone,
A między wodzami nie będziesz miał nigdy równego“...
— „Pani! — odpowie Izdubar — znam cię z doświadczenia!
Smutne i grobowe jest mieszkanie twoje,
Choroba i głód otaczają twe ścieżki.
Fałszywa i zdradliwa jest korona twej boskości,
Biedna i bez znaczenia jest korona twej królewskości....
Tak, pani, znam cię z doświadczenia!
Jęki rozwodziłaś po Tuzi, swym mężu,
A jednak rok-rocznie trułaś go czarami swemi!
Miałaś ulubionego pięknego orła:
Uderzyłaś go swym prętem i skrzydła mu złamałaś!

Miałaś lwa ulubionego, pełnego siły:
Zębów mu wyrwałaś siedem naraz!
Miałaś ulubionego konia, wsławionego w wojnie;
On pił, a ty zatrułaś napój jego.
Kochałaś króla ziemi....
Uderzyłaś go prętem i przemieniłaś w lamparta.
Lud z jego własnego miasta wygnał go,
I psy własne pogryzły go na kawałki....
Kochałabyś i mnie, tak jak innych,
I to, co z innymi, ze mną-byś zrobiła".

Wzgardzona Istar zsyła na bohatera choroby, na które szukając lekarstwa, udaje się Izdubar do króla Adra-Kazisa, co stawszy się nieśmiertelnym, mieszkał na wyspie odległej. Ten Adra-Kazis był naocznym świadkiem potopu, o którym opowiada bohaterowi:

Jest miasto Suryppak, ty je znasz, władcą jego byłem.
Miasto to starożytne. Wykroczenia przeciw bogom napełniły je.
Ja tylko jeden byłem sługą wielkich bogów...
Bogowie chcieli je zniszczyć: Istar, Anu,
Potopu chciał Bel; z nim się zgodzili: Nabu, Nergal, Ninip.
Lecz Nuah, pan przepaści, we śnie odkrył mi ich zamiary:
„Mężu z Suryppak, synu Ubaratutu, zrób okręt, skończ go najśpieszniej,
Bo potop zniszczy nasiona istot żyjących"....

Zbudowawszy okręt, Adra-Kazis zniósł nań wszystko, co posiadał, wprowadził niewolników i sługi, trzodę i zwierzęta z pustyni i ludzi w kwiecie wieku.

Spokój panował jeszcze na rozświcie,
Ale z głębi niebios już się była wynurzyła chmura czarna.
Ben zaczął wnet ciskać z niej pioruny,
Nabu i Bel poprzedzali burzę,
Szli, a góry i doliny drżały przed nimi.
Nergal potężny ciągnął za sobą wichry.
Ninip się zbliżył i ciemności wszystko pogrążyły.
Brat brata już rozeznać nie zdołał,
Ludzie już ludzi nie poznawali....
Bogowie sami trwożyć się zaczęli,
Porozumieli się z sobą i udali się na niebo.
Bogowie byli jako psy trzymające się swych legowisk.
Istar krzyczała, jak kobieta w bólach.
Bogowie, siedząc na swych miejscach, płakali,
Lecz nic nie mówili, by się mogło spełnić przeznaczenie....
Podczas dni sześciu i nocy sześciu panowała ulewa;
Wichry zwaliły wszystko, fale pogrążyły wszystko....
Dnia siódmego o świcie, potoki deszczu się wstrzymały....
Morze uspokoiło się, wiatr ustał, burza przeszła.
Zobaczyłem, że wody dokonały dzieła swego, zniszczenia,
I że wszystko na ziemi stało się błotem.
Jako trzcinę wody unosiły trupów....
Otworzyłem okno, światło mię oblało....
Byłem przerażony: siadłem i płakać zacząłem.

Łzy po całej mej postaci spływały....
Nad krajem Nizir pływał mój okręt.
Góra Nizir zatrzymała go i dalej nie puściła....
Skoro siódmy dzień nadszedł, gołębia wypuściłem,
Gołąb poleciał, lecz wnet przyleciał napowrót,
Nie znalazł miejsca przytułku i powrócił....

Potem wypuścił Adra-Kazis jaskółkę i ta wróciła również, dopiero kruk wypuszczony nie przyleciał wcale. Adra-Kazis wyszedłszy z okrętu, rozniecił wielkie ognisko, by złożyć ofiarę bogom, którzy poczuwszy dym i zapach płonących ofiar, zaczęli się schodzić. Nadszedł i Bel, a ujrzawszy okręt, zapalił się gniewem wielkim przeciwko siedmiu bogom i zapowiedział, że człowiek, który jest w okręcie, zginąć musi. Jeden z bogów domyślił się, że Nuah to zapewne odkrył tajemnicę. Nuah się usprawiedliwia przed Belem:

O, ty najstarszy z bogów, wielki wojowniku,
Nad gniewem swym nie zapanowałeś i potop spuściłeś;
Grzesznik odpokutował za grzech swój,
Złoczyńca odpokutował za zbrodnie swoje;
Lecz zło nie zostało zniszczonem, zbrodnia wykorzenioną.
Na co zsyłać było potop? Lwy mogły pożreć ludzi.
Na co zsyłać było potop? Tygrysy mogły wyniszczyć ludzi.
Na co zsyłać było potop? Głód mógł opustoszyć ziemię.
Na co zsyłać było potop? Wojna mogła wygubić ludy.
Nie ja to wszakże odkryłem zamiary wielkich bogów,
Adra-Kazis wytłómaczył sobie sen i zrozumiał tajemnicę....

(I. Radliński).

Bel dał się przejednać, wszedł na okręt, schwycił Adra-Kazisa za ręce, olśnił jego żonę blaskiem boskości swojej i obdarzył oboje nieśmiertelnością. Opowiedziawszy o potopie, Adra-Kazis w długiej przemowie udziela Izdubarowi rad, jak uniknąć śmierci, stać się nieśmiertelnym.

(Więcej szczegółów o literaturze babilońsko-asyryjskiej znaleźć można w rozprawach Ignacego Radlińskiego: „Król Assur-bani-pal i jego biblioteka". Warszawa 1877; — „Pomniki piśmiennictwa babilońsko-assyryjskiego" w *Ateneum* 1881, t. I, str. 67—84, oraz w zarysie pomieszczonym w „Dziejach literatury powszechnej z ilustracyami", t. I, str. 195—240).

6. HEBRAJCZYCY.

I. Hymn Mojżesza po przejściu morza Czerwonego.

Śpiewajmy Panu, śpiewajmy,
Wielmożność jego niech będzie wznie-
[sioną.
On naszą chwałą, on naszą obroną.
Śpiewajmy Panu, śpiewajmy!

*

On jest mym Bogiem, Bogiem ojców
[moich,
On mię w ucisku ośmielił,
On tonie morskie na dnie rozdzielił
Tchnieniem ust swoich.

Na Boga mego święte rozkazanie
Stanęły wody, jak ściany ciekące,
Osiadły w głębi bezdenne otchłanie
I fale wrzące.

Będę je gonił — rzekł Faraon śmiele,
Miecz krwawy w ręce pochwycę,
Wytnę ich hordy, łupy ich podzielę
Pośród zwycięskich okrzyków,
Spragnione dusze moich wojowników
Krwią ich nasycę.

Ale ty, Panie, w gniewie swym stra-
[szliwym,
Wionąłeś znagła wiatrem popędliwym.
Powstały burze — wraz nieznanym cu-
[dem,
I Faraona z niezliczonym ludem,
I wozy jego wysokie,
Pokruszone hełmy, bronie
I zbrojne jeźdźce i waleczne konie
Połknęły fale głębokie.
Jak ciężki kamień, albo ołów zsiadły,
W dno ciemne morza upadły.

Boże przedwieczny! Tyś jeden pra-
[wdziwy,
Któż w gniewie swoim jako Ty stra-
[szliwy?
Sędzio czarnych nieprawości,
Potężny, dzielny, wszechmożny,
Puściłeś ogień Twej zapalczywości,
Huknął piorun, błysły gromy,
A jak stosy wiotkiej słomy
Spłonął bezbożny.

Czas przyjdzie, gdy odejmiesz naszych
[trudów brzemię.
Zajdziemy z Tobą w obiecaną ziemię.
Usłyszą o nas potężne narody,
Moab, Idom i silne ich grody;
Strach ciężki padnie na możne ksią-
[żęta,
Ziemia bojaźnią przejęta,
Dumny Filistyn umilknie ze drżeniem
Przed Twem ramieniem.

Wtenczas, o Panie, na górze Syonu
Dziedzictwa Twego latorośl posadzisz,
I dasz nam ziemię obfitego plonu
I wrogi nasze wygładzisz.

Wtenczas się korząc przed Twym świę-
[tym progiem,
Śpiewać ci będziem, boś Ty naszym
[Bogiem.
Bo łaski Twoje niezmienne,
Bo Twoja, Boże, prawica wzniesiona,
Jeźdźce i konie, wozy Faraona,
Gdy wrzuca w nurty bezdenne;

Dla ludu Twego morze się rozdziela,
Fale cofają się wstecznie —
I dno przepaści hufce Izraela
Przeszły bezpiecznie.

(J. U. Niemcewicz).

II. Pieśń Debory.

(Po zwycięstwie nad Sysarą, wodzem Chananejczyków).

Pieśń ma zagrzmi i zahuczy, i zatętni wzdłuż i wszerz:
Słuchaj, ludu, i ty, ziemio, moje słowa w uszy bierz!
Słuchaj ludu mój, słuchajcie wy, książęta i królowie:
Ja, ja matka w Izraelu, ja zaśpiewam pieśń Jehowie!
Kiedy wyszedł Pan ze Seir, gdy przez pole Edom szedł,
Ziemia drżała, góry mdlały, potok Cyson kurczył grzbiet.
Lew w pustyni przypadł k'ziemi i zakwilił, jak pachołę,
Kiedy wyszedł Pan ze Seir, przez edomskie gdy szedł pole.
Z chananejskich wozów konie lud mój ujrzał wśród swych łąk;
Zdarto tarcze z jego ramion, wytrącono drzewca z rąk;
Po winnicach ptak się zdziwił, obcej mowy słysząc głosy:
Cudze sierpy żąć poczęły po pszenicznych łanach kłosy.

Lat dwadzieścia z drżącą wargą, ze krwią w oku, patrzał lud,
Jak szerszenie z ust cór jego wysysały słodki miód;
Spustoszały wsie i grody, wyschła woda studzien wielu,
Aż powstałam ja, Debora, wstałam matką w Izraelu.
Że młodzieńce twe u żaren w pieśń zmieniły głuchy jęk,
Że u źródeł ścichł trzask łuków, ścichł chrzęst zbroi, mieczów szczęk,
Że deptany nad depcące dziś swobodną wyniósł głowę,
Pójdź tu, ludu, śpiewaj ze mną, z matką twoją wielb Jehowę.
Abinoem, wielbij Pana! Oto, starcze, Barak twój
Podniósł dłoń i obtarł krwawy z Izraela skroni znój.
Rozmawiajcie z sobą głośno, który jedziesz na oślicy,
Który siedzisz przed swym domem, który sądzisz na stolicy!
Izraela Bóg potężny przed hufcami memi szedł:
Ziemia drżała, góry mdlały, potok Cyson zjeżył grzbiet,
Przerażone słońce w chmurę owinęło twarz swą zbladłą,
Kiedy orłów moich stado na Sysary wozy spadło.
Przecz-żeś siedział u obory, przecz-żeś słuchał wrzasku trzód,
Gdy swą duszę na śmierć wydał Naftalego dzielny ród,
Gdy Izaschar, gdy Zabulon szpony drzewiec wpił w Sysarę,
Gdy rozpraszał wozy w polu, jako sokół wróble szare?
Przecz-żeś, krzesząc podłe zyski, na okrętach kupczył, Dan?
Czemuś, Aser, krył się w skałach, gdy z Sysarą walczył Pan?
Przeklinajcie podłe Meroz, jego starce i młodzieńce!
Zabulona dział wyniosły!... Neftalimom plećcie wieńce.
Bądź wielbiona, wielka Jahel! Tyś pomogła wrogów zmódz!
Pod jej namiot zbiegł Sysara, chananejskich mężów wódz;
Prosił wody, dała mleka, na przystawce mu książęcej
Dała masła, dała mleka, niżli prosił, dała więcej.
Po wsze wieki bądź wielbiona, wielka Jahel! W prawą dłoń
Młot ujęła i gwóźdź przeszył uśpionego wodza skroń;
Potok Cyson go nie pożarł, przed Baraka zbiegł pogonią,
U Jaheli nóg się skurczył, pod Jaheli poległ dłonią.
Siadła w oknie stara matka, we skraj nieba wzrok jej wrósł:
„Przecz Sysara nie powraca, rychłoż zagrzmi jego wóz“?
I odrzekły jej służebne i odrzekła sobie w duszy:
„Snadź wpierw łupy porozdziela, nim do domu zasię ruszy“.
Tak niech zginie wróg wszelaki! Tak niech w prochu tarza twarz,
Kto się waży walczyć z tobą, Boże wielki, ojcze nasz!
Tak niech zginie wróg wszelaki! A dla wiernych twoich dzieci
Na wysokich niech niebiosach wiecznie jasne słońce świeci!

(Adam Maszewski).

III. Księga Hioba.

W ziemi Hus (na granicy Arabii i Idumei) żył mąż dostojny, pobożny, poważany i bogaty, imieniem Hiob. Miał siedmiu synów i trzy córki. Wtem, z dopuszczenia bożego, spadać nań zaczęły klęski jedna po drugiej. Powód do tego dopustu przedstawiony tu został w sposób następny:

Dnia jednego się zeszli niebiescy synowie,
Przed tronem wiekuistym cześć składać Jehowie.
Wrychle do nich i szatan, śledzca świata, zdążył.
— Skąd idziesz? — Pan zapytał. — „Ziemię-m wszerz okrążył".
— Nie widziałeś Hioba, — rzekł Pan, — mego sługi?
Zaiste jemu równy nie zrodził się drugi,
Szczery, prosty, pokorny, bliźnim dobroczynny,
Choć mię często skłaniałeś, by cierpiał niewinny. —
Na to szatan: „Czyż on się darmo ciebie lęka?
Czyż go nie błogosławi, nie broni twa ręka?
Kwitnie mu dom i stada igrają po łanie;
Lecz weź mu, co ma, ujrzysz, jak wiernym zostanie".
I rzekł Pan: Wszystko, co ma, daję pod twą wolę,
Na niego tylko ręki ściągnąć nie dozwolę.

Istotnie wkrótce potem wrogowie zabrali Hiobowi cały dobytek, piorun zabił stada i czeladź, wicher gwałtowny zwalił dom, w którym biesiadowali synowie i córki, i o śmierć ich przyprawił; wreszcie straszliwa choroba całe ciało Hiobowe pokryła wrzodem okropnym. Zniósł to wszystko w pokorze mąż sprawiedliwy i dał nawet naukę żonie, która szydziła z jego pobożności. — Przybyli do niego trzej przyjaciele: Elifas, Bildad i Sofar; nie poznali go; okryty strasznemi ranami siedział na kupie gnoju, skorupą oskrobując ropę. Siedem dni i siedem nocy siedzieli przy nim, nic nie mówiąc, głowę swoją prochem posypawszy. Wówczas Hiob głęboko odczuł ból życia i przeklął dzień swego urodzenia:

Przeklęty ów dzień, gdym na świat przychodził,
I noc, co rzekła: człowiek się narodził.
Niech ten dzień wieczne przyodzieją chmury,
Niech Bóg o niego nie zapyta zgóry,
Niechaj go żaden promień nie doścignie,
Niech na swą czarność jak na grób się wzdrygnie.
Po co mię pierś karmiła, trzymały kolana?
Byłby mi pokój został i noc nieprzespana;
Razem z królami spałbym do tej chwili,
Co groby swoje w chmury powznosili,
Razem z możnymi, co skarby władali,
Co i dom śmierci złotem zasypali,
I jabym zniknął jak płód niedojrzały,
Dzieciom podobien, co świata nie znały....

I po co jam się urodził?...
Mnie dokoła Bóg ogrodził....
Łzami roszę pożywienie,
Skargi płyną jak strumienie,
Okropność ściga mię wszędzie;
Czego się lękam... przybędzie.
Wiecznie wzdycham za pokojem,
A drżeć przeznaczeniem mojem.

. . . . . .

Przyjaciele zamiast pocieszać, czynili mu zarzuty srogie i domyślali się w przeszłości jego grzechów, za które go Bóg obecnie ukarał. Hiob jest przekonany o swej niewinności i widzi w ciągłem cierpieniu przeznaczenie ludzi:

Bojem jest życie człowieka,
Dniem najemników dni jego pracy,
Jako niewolnik na spoczynek czeka,
A najemnik na dzień płacy:
Tak na mnie teraz padły złe miesiące
I nocy smutkiem ciężące.
Do snu idąc czekam rana,
Że mi przecie ulgę wróci,
Że mi boleść moją skróci,
Noc przemmnie nieprzespana,
Ni poranek cierpień skróci....
Za cóż się pastwisz nad nędzną ofiarą?
Wszak mój żywot tylko parą:
Raz mi naciśniesz powieki,
A już ja ziemi nie ujrzę na wieki.
Widzący będą szukać mię oczyma,
Ty szukać będziesz, ale mnie już niéma.
Jako się obłok rozprasza i ginie,
Tak człowiek znika w cieniów krainie.
Więc też mym ustom nie wzbronię;
Niech duch, co cierpi, wyzionie....
Syt jestem życia, krótkie już dni moje,
Czemuż się srożysz nade mną?
Wszakżem ja parą nikczemna.
Odwróć, odwróć, oczy twoje!
Czemże jest człowiek, że się tak wielmożysz,
Potęgą twoją nań srożysz,
Że mię szukasz z wschodem słońca
I na chwilę nie porzucisz,
Śledzisz i dręczysz bez końca.
Nigdyż ode mnie tych oczu nie zwrócisz?
Com ci zawinił, ludzi śledzicielu,
Ja nędzarz pośród cierpienia bez celu,
Ja ciężar sobie samemu?
Mogęż być wrogiem tobie, potężnemu?
Wszak ja proch jestem; ty rzucisz oczyma,
Szukać mię będziesz — a mnie już nie ma.
. . . . . .
Mocny w swej sile, w przedsięwzięciu stały,
Któż się mu stawił i kto wyszedł cały?
On góry zniesie, a żadna z nich nie wie,
Że on je zniszczy w swym gniewie,
Drżącą ziemię z miejsca ruszy
I posady jej pokruszy.
On sam rozciąga niebios przestworza
I chodzi po wałach morza;
Przykaże słońcu i słońce nie wstanie
I gwiazdom zamknie mieszkanie....
Któż się mu oprze, kto mu odpowie?
Drżą przed nim ziemscy panowie.
A ja, któż jestem, bym prawo z nim czynił,
Abym z nim wchodził w rozprawę?
Milczałbym przed nim, choć dobrą mam sprawę;
Łaskibym prosił, choć-em nie zawinił.
A choćby moje słyszał wołanie,
Do rozmów ze mną nie stanie,
W chmury się na mnie uzbroi,
Tysiące ran we mnie złoży,
Duszę goryczą napoi,
Tysiącem cierpień zatrwoży!...
Pójdę na siłę — cóż z mocnym dokażę?
Pójdę do prawa — gdzież na niego sędzie?
Choć ja bez winy, on przecież mię skarze,
Choć prawo za mną, on mym sędzią będzie,
Choćbym sam jak śnieg był biały,
On mię w kał wmiesza i tak ohydzi,
Że się mną moja szata obrzydzi.
Ach! i dni moje jako goniec miną
I znikną, próżne słodyczy,
Śpieszą jak łódź między trzciną,
Jako orzeł ku zdobyczy....
O! jak mi tęskno w tem ciele!
. . . . . .
Lecz kiedy mi ten wyrok już był boży,
Wszak i tak rychło mój koniec obaczę,
Niechże swój pocisk choć na chwilę złoży,
Niech wolniej nieco nad sobą zapłaczę,
Zaczem pójdę, skąd nie cofnę kroku,
W krainy wiecznego mroku.
Tam już dla mnie noc bezpieczna,
Bo niezawodna i wieczna;
A tu w południe noc mamy,
Tu się bez ładu błąkamy,
Zwodne światełek promienie,
A istotne nocy cienie....

O jakże smutne życie śmiertelnika!
Skąpa dni liczba w goryczy mu płynie,
Jako kwiat zejdzie i minie,
Jako cień leci i znika....

Drzewo, gdy zostanie ścięte,
Jeszcze mieć może nadzieję,
Że w gałązkach rozwinięte
Na nowo zazielenieje:
Jeśli korzenie w ziemi wysuszone,
Jeśli pień jego na proch się roztoczy,
Wnet, gdy je wonny deszcz zmoczy,
W nowych gałązkach zakwitną zielone.

Lecz gdy śmierć złoży człowieka,
Cóż mu zapewni byt przyszły?
Oto z morza wody wyszły,
W spiekłych polach wyschła rzeka,
On leży, grobu nie rzuci,
Już chmury deszczu nie leją,
Już się i nieba starzeją,
A jego nikt nie ocuci.

Obyś mię ukrył gdzie w cieniów krainie,
Obyś mię ukrył, aż gniew twój prze-
[minie;
Wtenczas o mnie wspomnij sobie,
Wtenczas mi, wtenczas wytknij zawód
[nowy.
Ale ach! złożony w grobie
Nikt już nie podniesie głowy.
. . . . . .
Gdy z znikłym dla mnie światem nic
[nie dzielę,
I już w ciemności łoże sobie ścielę,
Zgnilizno, mówię, tyś jest moim świa-
[tem,
Robactwo matką i siostrą i bratem!
I po cóż jeszcze mam żywić nadzieję,
I kto mi powie, gdzie ona dośpieje,
Tam do ciemnego pójdzie za mną lochu,
Tam z nią pospołu odpoczniemy w pro-
[chu.
. . . . . .

I na cóż mi się przydało,
Jak zwierzę w zębach unosić me ciało
I w ręku życie jako skarb ukrywać.
Czegóż ja mam się spodziewać?
Czy dłużej, czy krócej żyję,
Wszak wiem, że on mię zabije.

Jabym chciał tylko powiedzieć mu
[w oczy,
Że mnie niewinnie tak tłoczy....
A więc niech każdy z was słucha,
Śmiało niech mi staną sędzie;
Co powiem, przyjmcie do ucha,
Wiem, że prawo za mną będzie;
Niech więc wystąpi, kto wie na mnie
[winę,
Gdy mu zamilknę, niech zginę.
Dwie tylko, Boże, mam do ciebie pro-
[śby:
Zdejm ze mnie rękę i usuń twe groźby:
Wtenczas odpowiem: ty badaj;
Lub mnie daj pytać, a ty odpowiadaj.

Jehowa z głębi ciemnej chmury odpowiada Hiobowi, wskazując słabość człowieka wobec wszechpotęgi boskiej i nieroztropność roztrząsania wyroków jego:

Któż jest, który bezrozumnie
Śmie wikłać moje układy?...
Opasz twe biodra, jak mąż zbliż się ku
[mnie,
Ja pytać będę, ty wskaż twoje rady.

Gdzie byłeś wtedy, gdym ziemię zakła-
[dał?
Powiadaj, kogom się radził;
Powiedz, kto jej długość nadał,
I kto po niej wszerz prowadził?
Na czem oparł jej posady,
Kto jej założył kamień węgielny,
Gdy mu aniołów poczet nieśmiertelny,
Gdy mu gwiazd samych śpiewały gro-
[mady?
Kto zawarł morze w warownem korycie,
Kiedy się z matki łoża wyrywało,
Kiedy chmurę za powicie,
A mgłę za odzienie miało?
Gdy mu rozmierzyłem tamy,
Warowne-m naznaczył bramy,
Rzekłem: tu kres twej drogi,
Nie postąpisz za te progi!

Powiedz, gdzie do światła ścieżka?
Powiedz, kędy ciemność mieszka?
Czyjeż to oczy obłoki zliczyły?
Kto z chmur żywota deszcz sączy,
Że z bryłą spłyną się bryły,
A proch jak kruszec się łączy?...

Alboś ty widział śniegowe zapasy,
Czyliś poznał skarbiec gradów,
Który na ciężkie zachowuję czasy,
Na czasy zbrojnych napadów?
Kto bywa ojcem powodzi,
Kto wydaje krople rosy,
Czyje łono lód urodzi?
Kto mrozem iskrzy niebiosy,
Kiedy pod lodem ukryją się morza,
Jak kamień morskie stwardnieją prze-
[stworza?

Czy ty ułowisz lwicę ze zdobyczą,
Albo nakarmisz lwięta, kiedy ryczą,
Albo leżąc przed jaskinią,
Na zwierza zasadzki czynią?

Czyli przez ciebie koń życiem na-
[tchniony?
Kark jego w piękny włos otoczon
grzywy,
Jako szarańcza przesadza zagony
I nozdrzem parska dla wrogów stra-
[szliwy,
Rwie grunt kopytem, siłą wesoły,
Tętniąc rzuca się na wrogi,
Rżeniem natrząsa się z trwogi,
Nie drży, gdy błyśnie miecz goły,
Nad nim poświst strzał szeleszczy,
Szabla błyska, tarcza chrzęszczy,
Piaski wyrywa, strzyże uszyma,
Trąbę posłyszał, już miejsca nie trzyma,
Trąba głośniejszy znak dała,
Już się puścił, jako strzała;
Wietrzy zdala boju szyki,
Głosy wodzów, wojsk okrzyki.

Czyliś ty drogi naznaczył sokoła,
Że on na południe leci,
Czy twój głos orła ku obłokom zwoła,
Aby na skałach słał gniazdo dla dzieci?

Na skałach mieszka wysoko,
Tam twierdzę swoją zakłada,
Zdala mierzy jego oko,
Jako strzała na łup spada,
Krwią napawa swoje dzieci,
Gdzie trup leży, tam przyleci.

Lub czyli wędą krokodyla zdradzisz,
I ozór ściśniesz mu liną,
I nozdrza przekolesz trzciną,
I za żelazną obręcz poprowadzisz?
Lub czyli płacząc, będzie płakał szczerze,
I skomleć, jakby zawinił,
Czy z tobą wejdzie w przymierze,
Byś go twym sługą uczynił?
Czyż go dłoń twoja jak ptaszka uchwyci,
Dziewicom k'woli uwiąże na nici;
Czy go czarami przywabisz do dołu,
Gości nim twoich uraczysz u stołu?
Czyli go przeszyjesz grotem,
Niewód na głowę zarzucisz?
Ściągnij nań rękę, już potem
Do walki z nim nie powrócisz.
Patrz na jego uzbrojenie:
Kto zwlecze z niego odzienie
I kto śmiały ściągnie ręce
Ku jego dwojnej paszczęce?
Kto jego gardło rozczepi,
Gdy straszne zęby najeży?
Grzbiet jego jak dach puklerzy
I łuska z łuską się lepi.
Ogień bucha z jego pary,
Oko jako ogień błyska,
Z paszczy kłębem miota żary,
Gdy parska, iskrami pryska,
Jak z naczynia wary wrzące,
Z nozdrzy jego dym się wali,
Dech jego węgle rozpali.
W karku jego siła siedzi,
Przed nim strach zatacza koła;
Ciało ulane jak z miedzi,
Piorun go wstrząsnąć nie zdoła.
Gdy się dźwignie, drżą mężowie,
Pierzchną, gdy na brzegu lęże.
Miecz nie utkwi w jego głowie,
Grot, ni oszczep nie dosięże.
Stal się na nim jak źdźbło kruszy,
Żelazo, jak próchno drzewa,

Pocisk procy jako plewa,
Sto żagli z miejsca nie ruszy,
Źdźbłem zowie dzidę morderczą,

Natrząsa się twojej sile,
Pod spodem kolce mu sterczą
I bruzdy orze po ile.

W końcu Jehowa wprost się zwraca do Hioba, mówiąc:

Chcesz-że jeszcze prawom przeczyć,
I dziełom moim złorzeczyć?
Jeśli mnie równym się szczycisz,
Czemuż piorunów nie chwycisz?
Przyodziej się majestatem,
Nad zlęknionym wznieś się światem,

I zatop w gniewu powodzi
Wszystko, co z granic wychodzi —
Spraw, niech się dumny zapadnie,
Wiecznie przykowaj go na dnie,
Wtenczas ja cię będę sławił,
Żeś dzieła przeważne sprawił.

(K. Brodziński).

Dla szczerości jednak Hioba, przebacza mu, a robi wymówki jego przyjaciołom; każe im złożyć ofiary, a Hiobowi błagać go za nich. Hiob powrócił do zdrowia i majątku, doczekał się siedmiu synów i trzech córek, żył jeszcze lat 140. — Szatan odszedł zawstydzony.

IV. Pieśń nad pieśniami (Szir haszirim).

Czarna-ć ja jestem, lecz miła,
O córki jerozolimskie!
Jako Kedaru namioty,
Jak Salomona kobierce.

O! nie patrz na mnie, żem czarna;
To słońce mię opaliło.
Źli mojej matki synowie,
Winnicy strzedz mi kazali;
Ja za to w mojej winnicy
Nie byłam pilną.

Ja was zaklinam, córki syońskie,
Jeśli znajdziecie mego kochanka,
Powiedzcie ode mnie,
Żem chora z miłości.

— I któż jest twój miły nad miłych,
O najmilsza z dziewic?
I któż jest twój miły nad miłych,
Że nas tak zaklinasz?

— Mój miły jest biały, rumiany,
Naczelnik tysiąców;
Jak złoto najszczersze ma głowę,
Włos jego czarniejszy od kruka,
Wzrok jego jak oczy gołębi,
Co w mleku kąpane pływają,

A lica jak grzędy,
Woniami osute,
A usta jak róże
Mirrami woniące,
A ręce jak złoto
Turkusem osute;
Jak słupy z marmuru
Na złotej podstawie
Są nogi jego.
Postawa, jak góra Libanu,
Wyniosły jak drzewo cedrowe.
Słodycze ma w uściech
I cały jest słodki.
Ach! ten jest mój miły,
Wy córki syońskie!

* * *

To głos mojego kochanka....
Widzicie, oto przychodzi!
Wzgórki przeleciał,
Doły przeskoczył,
Chybki jak sarna mój miły,
Jako jelonek pędliwy.
Patrzcie! już zdążył,
Stoi za węgłem,
W okno zagląda,
Sięga za kratę.
Mój miły mówi,

Do mnie to mówi:
Wstań, o kochanko,
Wstań, miła moja,
I pójdź....
Bo oto już zima minęła,
Bo oto już deszcze zszumiały;
Na polach się kwiaty rumienią,
Do pieśni, do pieśni czas nastał,
Czas wino obcinać w ogrodzie,
Turkawka już grucha na łące,
Już figa swój owoc zmiodziła,
W winnicy już grona winnieją.
Wstań, o kochanko,
Wstań, miła moja
I pójdź....
O! wyleć ze skalnych rozpadlin,
O! wyleć, gołąbko ty moja,
Niechaj zobaczę,
Niechaj usłyszę,
Miłe twe lica
I głos....

* * *

Piękną ty jesteś, o miła moja!
Piękną jak Tyrsa, jak Jeruzalem,
Straszna jak wojsko stojące w szyku.
Odwróć ode mnie, ach! odwróć oczy.
One mocniejsze ode mnie.
Twa szyja jest wieżą słoniową,
A oczy stawem Hebronu.
Twe włosy są trzodą kóz dzikich,
Pasionych w Gilead.
Twe zęby są trzodą owieczek
Po strzyży z kąpieli;
Z nich każda prowadzi bliźnięta,
Żadnego nie zbywa.
Szkarłatu tkaniną twe usta
I głos twój miodowy.
Twe lica jak jabłko czerwone
Pomiędzy włosami.
A nos twój, jak zamek Libanu,
Ku stronie Damaszku patrzący.
Zagięcia twych bioder jako łańcuch
Ukuty ręką misterną.
Jak piękne twe stopy w obuwiu,
Jak piękne, o córko szlachetna!
. . . . . .

O! siostro i moja kochanko!
Zraniłaś mi serce,
Podbiłaś mię sobie spojrzeniem
I splotem twych włosów.

Twe usta, o! siostro kochanko!
Są słodsze od wina;
I wonność, co z ciebie wydycha,
Nad wonie wszelakie.

Tyś ogród, zamkniony zdrój święty
I studnia warowna;
Tyś jabłoń jest rajska nietknięta,
Z kosztownym owocem,
Cynamon, i krokosz, i mirra,
I wonie rozliczne,
I zdroje wód żywych Libanu,
I studnie ogrodu.

Hej! wiatry, z północy powstańcie,
Z południa się zbierzcie,
Przewiejcie mój ogród dokoła,
Niech płynie woń jego.
. . . . . .
Jak pieczęć w twoje wciskam się piersi,
Jak pieczęć w twoje ramiona,
Bo miłość jak śmierć jest silna,
Jak piekło jej żar nie gaśnie,
Jej węgiel — węglem żarzącym,
Płomieniem Pana.

Miłości ogień nie zgasi,
Ni rzeki schłonąć jej mogą;
Niech mąż za miłość da dobra i mienie,
Będzie i wyśmian i wzgardzon.

* * *

Jak jabłoń między drzewami w lesie,
Tak jest mój miły między synami.
Pod cieniem jego wypocznę sobie,
I owoc jego słodki mym ustom.

On mię wprowadził do domu wina,
A sztandar jego nade mną —
Jest miłość....
Wzmocnijcie mię winem,
Posilcie jabłkami,
Bom chora z miłości.
. . . . . .

Ach, słodkie wino! kochanka mego
Zwolna zmogło.
Słodyczy pełne usta jego
Marzą we śnie.
Jam jest miłego,
Jam jego rozkosz.
O! pójdź, kochanku,
Ze mną na polach,
Na wsi zamieszkać:
Rano wstaniemy,
Pójść do winnicy,
Czy wino kwitnie,
Grona dojrzeją?
Tam ci, o luby!
Miłość poświęcę.
Kwitną już kwiaty miłości
Wokoło mieszkania.
Tam wszystko jest piękne —
I stare i nowe —
Tobiem to wszystko chowała!
(K. Brodziński).

V. Kaznodzieja (Kohelet).

Kaznodzieją jestem; — byłem
Niegdyś Izraela głową,
I w mem sercu umyśliłem
Znać wszystką mądrość światową.
Bóg zaszczepił w ludzkich synach
Tę chęć, najgorszą z igraszek,
Bo znalazłem w wszystkich czynach
Pełno marności i fraszek.

Krzywy — krzywym i w ozdobie,
Na głupców niemasz ilości.
Otom wielki! — rzekłem w sobie —
Wszystkie zgłębiłem mądrości.
Nikt przede mną w Jeruzalem
Nie słynął takiem imieniem,
A oto poznałem z żalem,
Że wszystko ducha strapieniem.

Wiedza wielka, mądrość wielka,
Pracą li jest i kłopotem....
Oto rzekłem: rozkosz wszelka
Niech mnie chwyci kołowrotem,
Niechaj mnie uniesie pędem.
I to marność! Rzekłem we mnie:
Wesołości! jesteś błędem,
Czegoż zwodzisz mię daremnie?...

I myśliłem: Wino złote
Niechaj me ciało uzdrowi;
Wszystką mądrość i głupotę
Pod rozbiór oddam duchowi:
Niechaj pozna, co nam służy
Najlepiej w całym żywocie.
I budując pałac duży
Nasadziłem winnic krocie.

I naszczepiłem w ogrodzie
Ze wszystkich owoców drzewa,
Gdzie w krętych kanałów chłodzie,
Swobodnie owoc dojrzewa.
Miałem służebne i sługi,
I takie stada i trzody,
Jakich od wieków nikt drugi
Nie miał w Jeruzalem wprzódy.

Zgromadziłem złota więcej
Niż wszystkie krainy miały,
Chóry męskie i dziewczęce
Przy ucztach dla mnie śpiewały.
Rozkosz człowieczą bez miary
Pełnemi dłońmi czerpałem,
Miałem klejnoty, puhary
I złote naczynia miałem.

Po mych dziełach naokoło
Dumnie okiem potoczyłem,
Bo je pracą i mozołą,
Krwawym trudem natworzyłem.
Marna praca rzeczy próżnych!
I to ducha niepokoi,
Z tych dzieł moich wieloróżnych
Cóż pod słońcem się ostoi?

Przyszedłem oko położyć
Na mądrość, głupstwo, szaleństwo:
Cóż jest człowiek, że chce tworzyć,
Na wszech-króla podobieństwo?
Jak pochodnia od ciemności,
Mądrość od głupstwa odchodzi,
Mądry ma oczy światłości,
A głupi pociemku chodzi.

Rzekłem w sercu: cóż pomoże,
Żem świat pojął i zrozumiał,
Gdy w grób jeden się położę
Razem z tym, co nic nie umiał.
Ni pamięć po nas zostanie —
Wszystkich zrówna zapomnienie.
Jakaż marność w tem, o Panie!
Jakież ducha utrapienie!

I omierzło mi to życie,
Brzydziłem się moją pracą.
Mój następca, moje dziécię,
Będzież mądre, czy ladaco?
Com natworzył w pocie czoła,
Wszystko, wszystko będzie jego,
Moje domy, moje sioła....
I jestże co tak marnego?

I zaprzestałem pracować,
I oddałem się smutkowi:
Cóż pomoże skarby chować,
By je oddać leniwcowi?
Co mozołą i przemysłem
Nagromadzę gospodarnie,
On użyciem niezawisłem
Wszystko to roztrwoni marnie.

Cóż za korzyść z pracy człeka?
Dni jego pełne boleści,
I sen od niego ucieka,
I życie marne, bez treści.
Izali nie jest to lepiej
Jeść, pić i puch mieć miękki?...
Lecz i ta rozkosz nie krzepi,
Gdy z bożej nie idzie ręki.

(K. Ujejski).

(Przed K. Ujejskim, przetłómaczył utwór ten wierszem Stanisław Herakliusz książę Lubomirski p. n. „Ecclesiastes czyli księga Coheleth z Pisma św." Warszawa 1706 r.; a podał w bardzo swobodnej przeróbce Adam Naruszewicz jako XXVII pieśń Liryków księgi IV., p. n. „Vanitas Vanitatum").

VI. Przysłowia Salomona.

Mądrość po ulicy swe kazania miewa....
Na wzniesieniu wśród tłumów woła;
Przy wejściu do bram, w pośrodku miasta
Głos swój podnosi:
„Zwróćcie się ku moim przestrogom;
Ja wam ducha swojego objawię
Oznajmię wam swoje słowa....
Mnie posiadał Bóg na początku
Przed swojemi dziełami, dawniej....
Od wieczności jam uwieńczona,
Od początku przed praczasem ziemi.
Gdy nie było jeszcze otchłani, jam była zrodzona;
Gdy jeszcze nie uczynił ziemi i obszarów
I pierwiastkowego pyłu świata.
Gdy sposobił niebiosa, byłam już tam,
Gdy wytężał obłoki w wysokości....
Gdy stanowił morzu jego granice,
Gdy kreślił podstawy ziemi....
Wtedy byłam przy nim wychowanicą,
Wtedy byłam rozkoszą dnia po dniu,
Igrając przed nim w każdym czasie,
Igrając w jego świecie ziemskim,
A rozkoszując się z synami człowieczymi.

* * *

Cna niewiasta jest koroną swojego męża,
A jak zgnilizna w kościach jego — haniebna.
Mądrość kobiety buduje ich dom,
Głupota własną ręką go obala.
Nadobna kobieta zyska cześć,
Jak łupiezcy zyskają bogactwo.
Pierścień złoty w nozdrzach świni,
Kobieta piękna a wyzuta z obyczajności.
Lepiej mieszkać w kącie na dachu,
Aniżeli z kobietą kłótliwą w domu wygodnym.

* * *

Lew ryczący i niedźwiedź łaknący —
Złoczyńca panujący nad ludem biednym.
Panujący gdy zważa na słowa kłamliwe,
To wszyscy jego słudzy — złoczyńcy.
Źródło mętne i studnia zepsuta, —
Sprawiedliwy, płaszczący się przed złoczyńcą.
Gdy się mnożą sprawiedliwi, raduje się lud,
A gdy panuje złoczyńca — jęczy lud.

(Iz. Kramstück).

(Zobacz rozprawę Ig. Radlińskiego: „Dydaktyczna poezya hebrajska" w *Ateneum* 1879 r., II., 343—369).

VII. Psalmy (Tehilim).

a) Psalm 7.

W tobie ja samym, Panie! człowiek smutny
Nadzieję kładę, ty racz o mnie radzić;
Nieprzyjaciel mój jako lew okrutny
Szuka mej duszy, aby ją mógł zgładzić;
Z jego paszczęki jeśli mię, mój Boże!
Ty sam nie wyrwiesz, nikt mię nie wspomoże.
Jeśli mię Panie! słusznie oszacował
Zły człowiek, a ma do mnie jaką winę;
Jeślim przyjaźni nieszczerze zachował,
A do złej chęci dał z siebie przyczynę:
Niech nieprzyjaciel górę ma nademną,
Niech mię w proch zetrze i moją cześć ze mną.
Powstań! o Panie wieczny! w gniewie twoim
Przeciw złych ludzi niepobożnej radzie,
A powstań z pomstą, jakąś prawem swoim
Opisał, oto lud w wielkiej gromadzie
Wyroku twego czeka: jeśli złemu,
Czy upaść przed twym sądem cnotliwemu?

Przeto o sędzio, sędzio wieknisty!
Chciej na wysokiej siąść stolicy swojej,
A jeślim jest praw i przed tobą czysty,
Osądź mię wedle niewinności mojej.
Złego złość zniszczy, a człowiek cnotliwy
Jest w opiece twej, Boże sprawiedliwy.
Boże, przed którym tajne być nie mogą
Myśli człowiecze, w twej stojąc obronie,
Przed żadną nigdy nie uciekę trwogą,
Bo szczere serce w twojej jest zasłonie.
O sprawiedliwy sędzio! ty każdego
Sprawnie oddzielasz wedle zasług jego.
Jeśli się człowiek zły nie pohamuje,
Pan swój miecz ostry, pan łuk natężony
Na rękę trzyma i strzały gotuje
Śmiertelne: zapadł w zazdrość człowiek płony,
Niesprawiedliwość nosi, kłam urodzi,
Dół pod nim kopie, a sam weń ugodzi.
Sam się upęta w chytrem sidle swojem,
Nań się obalą wszystkie jego złości —
A ja podparty miłosierdziem twojem,
Próżen i troski i niebezpieczności,
Sąd sprawiedliwy i twe imię, Panie!
Wyznawać będę, póki duszy stanie.

(Jan Kochanowski).

b) Psalm 9.

Ciebie będę, Boże prawy,
Całem sercem wyznawał,
Twoje wszytkie dziwne sprawy
Będę światu podawał;

Będę wesół w twej obronie,
Będę wszechmajświętszemu
Przy łagodnej śpiewał stronie
Imieniowi twojemu.

Nieprzyjaciel mój strwożony
Podał tył nieuczciwy,
I padł strachem ogarniony,
Widząc twój wzrok straszliwy;

Ty litujesz krzywdy mojej,
Tyś kwoli niewinności
Zasiadł na stolicy swojej,
Sędzio sprawiedliwości!

Przepadli ziemię przeklęci
Na twe słowa fukliwe,
Wytarłeś z ludzkiej pamięci
Ich imiona chlubliwe.

Zły człowiecze! spustoszyłeś
Pola nieprzerodzone,
Zwojowałeś, wywróciłeś
Miasta pięknie sadzone.

Ich pamięć pospołu z nimi
Na wieki zaginęła,
Ale pańska moc wiecznymi
Czasy będzie słynęła.

On stolicę swą narządził,
On ludzkie nieprawości
I wszystek świat będzie sądził
Podług sprawiedliwości.

On jest ucieczka ubogich,
On dodaje ratunku
Położonym w krzywdach srogich
I w żałośnym frasunku.

Wszyscy, którzy go poznali,
Jemu niechaj ufają;
Nigdy się nie oszukali,
Którzy w nim ufność mają.

Mieszkającemu śpiewajcie
Na wysokim Syonie;
Jego moc opowiadajcie
Narodom w każdej stronie.

Pomścił się Pan sprawiedliwy
Krwie niewinnej rozlania,
Usłyszał płacz żałobliwy
I ubogich wołania.

Użyj nade mną litości,
Boże nieogarniony!
Patrz w jakiej niebezpieczności
Jestem dziś położony.

Chciej mię z mąk srogich wybawić,
Śmierci nieubłaganej,
Abych twe sprawy mógł sławić
W cerkwi twojej wybranej.

Jam smutny tak lamentował,
A tyś usłyszał w niebie,
Teraz się będę radował,
Mając obrońcę z ciebie.

W tym się dole potopili,
Który sami kopali,
W tem się sidle połowili,
Które sami stawiali.

Nie darmo Bóg sprawiedliwy,
Po wszystkie wieki słynie,
Uplótł się człowiek zdradliwy
W swoich rąk własnych czynie.

Upad wisi nad grzesznymi,
Upad nieuchroniony,
Nad narody przeklętymi,
Kędy Bóg zapomniony.

Nie na wieki Pan przebaczy
Upadłego człowieka.
Ich nadzieja (tak Pan raczy),
Ważna będzie od wieka.

Powstań, wieczny nasz obrońca!
Nie daj się zmocnić złemu,
Twój sąd niech będzie do końca
Światu jawny wszystkiemu.

Ogarni strachem pogany,
Niech się ludźmi być znają,
Którzy dziś mogą być pany,
Jutro z chudym zrównają.

(J. Kochanowski).

c) Psalm 15.

Kto będzie w twojem mieszkaniu przebywał?
Kto będzie twego pałacu świętego,
Wieczny mój Boże! wesela zażywał?

Człowiek niewinny, człowiek uprzejmego
Serca, który sprawiedliwość miłuje,
Który nie mówi słowa fałszywego,

Który bliźniego swego nie szacuje,
Nie szuka z cudzą szkodą swej korzyści
Przeciw obmowcom sąsiada ratuje,

Ma niepobożne ludzie w nienawiści,
Dobrym, gdzie może, pomocy dodawa,
A co przyrzecze, by najciężej, ziści,

Pieniędzy w lichwę nikomu nie dawa,
Nie bierze darów przeciw niewinnemu:
Kto się tak rządzi, kto przy tem zostawa,

Śmiele niech ufa pokojowi swemu. *(Jan Kochanowski).*

d) Psalm 93.

Pan chce królować, odział się zacnością,
Okrył się męstwem wszystek i dzielnością;
Pan, przez którego krąg nieporuszony
Ziemski stworzony.
Stolica jego od początku świata
Jest założona, a on wszystkie lata
Uprzedził; ale i wieków nie stanie,
A on zostanie.
Niech huczą rzeki, niechaj głośne wały
Swym gęstym szykiem uderzają w skały;
Groźniejszy morza i wszech nawałności
Bóg z wysokości.
Chybić nie może, co ty kiedy swoim
Słowem wyrzeczesz; przeto w domu twoim
Wieczna powaga, wieczna cześć zostanie
Prawdziwy Panie! *(Jan Kochanowski).*

e) Psalm 104 (w skróceniu).

Duszo! śpiewaj Panu pieśń: O, nieograniczony
Nieba i ziemie sprawco! wielceś uwielbiony!
Ciebie obeszła wkoło cześć i świetna chwała,
Ciebie jasność jako płaszcz ozdobny odziała,
Tyś niebo jako namiot rozbił ręką swoją,
Nad niem wody za twojem rozrządzeniem stoją;
Chmury — twój wóz; twe konie — wiatry nieścignione,
Duchy — posłańce; słudzy — gromy zapalone.
Twym rozumem tak wiernie ziemia usadzona,
Że na wieki nie będzie nigdy poruszona;
Na tej jako powłoka przepaści leżały,
A góry niezmierzone wody zakrywały; —
Ale skoroś rzekł słowo, a niebo zagrzmiało,
Wody spadły, a morze na dół uciekało,
Skały ku górze poszły, pola rozciągnione
Opanowały miejsca przez cię naznaczone.
Ty z pałaców swych świętych, ojcze uwielbiony!
Spuszczasz na nizką ziemię deszcz nieprzepłacony,
A ona nieprzebranej łaski twojej syta
Wszystkiego wszystkim starczy; stąd trawa obfita
Bydłu ku pożywieniu, stąd zioła ogrodne
I wszelki rodzaj zboża, stąd wino łagodne,
Dobrej myśli naczynie, stąd chleb, który snadnie
Siłę twierdzi, stąd olej, po którym twarz gładnie...
Kiedy rękę otworzysz, wszyscy nasyceni,
A kiedy twarz odwrócisz, wszyscy zasmuceni;
Jeśli im ducha weźmiesz, w proch się wnet obrócą,
Jeśli im ducha natchniesz, na świat się zaś wrócą.

Pan, który kiedy pojrzy, ziemia drży; Pan, który
Kiedy ręką gór dotknie, dymem pójdą góry.
Dokąd mi tedy mego żywota dostanie,
Głos mój Panu i lutnia śpiewać nie przestanie.

(Jan Kochanowski).

VIII. Izajasz o zburzeniu Tyru.

Kwilcie okręty morskie, bo już Tyr zburzony!
Kędyż są szańce jego i wysokie baszty,
I jak cedry Libanu wznoszące się maszty,
I lud jego niezliczony?
Mówiłoś pyszne miasto — i czas niedaleki: —
„Dochodem moim morze, a żniwem są rzeki,
Port mój głęboki pod skały tej spadem
Narodów składem".
O pyszny grodzie! dziś w żałobnym kirze
Umilkły pienia twe głośne;
Jak niegdyś o Egipcie, tak później o Tyrze
Powieści będą żałośne.
Z jakąż na ludy patrzałeś pogardą,
Ślepy w dostatków wytworze;
Bóg, chcąc ukarać zuchwałość twą hardą,
Dłoń swą wyciągnął na morze.
I zadrżały królestwa, rozsiadły się góry,
Chwieją się twierdze i warowne mury,
Chwieją się, chylą.... ciężkich głazów brzemię
Pada na ziemię.
Kwilcie okręty morskie, bo już Tyru niéma,
Już napróżno chciwemi szukać go oczyma.

(J. U. Niemcewicz).

IX. Tren Jeremiasza.

Dziedzictwo nasze przeszło do obcych,
A domy nasze do cudzoziemców.
Sierotyśmy bez ojca, matki nasze jako wdowy.
Wody nasze za pieniądze pijemy,
Drwa nasze za pieniądze kupujemy.
Na ciele swem ślady kaźni nosimy,
A odpocząć nam nie dają.
Do Egipcyan ręce wyciągamy i Assura,
Żebyśmy się mogli nasycić chlebem.
Ojcowie nasi zgrzeszyli — niemasz ich,
A my nieprawości ich ponosimy.

Niewolnicy panują nad nami,
A niemasz, ktoby nas z ich ręki wybawił.
Godniejsi z pośród nas ręką ich są powieszeni,
A i osób sędziwych uczcić nie potrafią.
Sędziowie po bramach już nie siadają,
Młodzieńcy zaprzestali pieśni swoich.
Ustało wesele serca naszego,
Pląsanie nasze w kwilenie się obróciło,
Spadła korona z głowy naszej!...

(Ig. Radliński).

X. Tren z czasów niewoli babilońskiej. (Psalm 137).

Siedząc po nizkich brzegach babilońskiej wody,
A na piękne syońskie wspominając grody,
Co nam inszego czynić, jedno płakać smutnie,
Powieszawszy po wierzbach niepotrzebne lutnie?
Lecz poganin niebaczny w tej naszej żałobie,
Przedsię piosnkę Syońską każe śpiewać sobie.
Przebóg! jako to ma być, aby pieśni pańskich,
Głos kiedy miał być słyszan w krainach pogańskich.
Jeślibych cię zapomniał, o kraino święta!
Niech moja swej nauki ręka zapamięta,
Niechaj mi język uschnie, kiedy cię przepomnię,
Kiedy cię na początku wesela nie wspomnię.
Pomni, wszechmocny Panie! co nam wyrządzali
Edomczycy, jako w nasz ciężki dzień wołali:
Zagubcie ten zły naród, ogniem miasto spalcie,
A ich mury do gruntu samego rozwalcie.
Ale i ty Babilon, strzeż dobrze swej głowy,
Bo już wisi upadek nad tobą gotowy.
Szczęśliwy, który-ć za nas odmierzy twe winy,
A o skałę roztrąci twe nieszczęsne syny!

(J. Kochanowski).

XI. Tenże tren w przetworzeniu K. Ujejskiego.

Płyną rzeki babilońskie, płyną, szumią w dal,
Wiatr powiewa brzeżną trzciną, nami chwieje żal.
Nad wodami my usiedli o chlebie żebranym:
Ziemio święta! matko nasza! kiedyż cię obaczym?

Tu na wierzbach długowłosych śród zielonych szarf,
Pokruszone wiszą struny od milczących harf;
Niechaj milczą stare harfy o strunach dziesięciu,
Niechaj nigdy w niewolnika nie zabrzmią objęciu!

Z głośnym śmiechem idą ludzie po wodę przez błoń:
„Hej harfiarze, syny wraże, z prochu wznieście skroń,
Zawtórujcie nam pieśniami do naszej swawoli!“
— Jakoż szukać wam wesela u tych, co w niewoli?

Jeruzalem! Jeruzalem! biedna ziemio ty!
Gdy twej męce nie poświęcę każdej mojej łzy,
Jeśli ciebie nie ogarnę mym synowskim żalem,
To mnie przeklnij i zapomnij, matko Jeruzalem!

Niech me oczy robak stoczy, niech w nie pluje czerń,
Niech ma ręka w ogniu pęka, niech krzy się jak cierń,
Niech mój język jak gadzina przyschnie do gardziela —
Jeśli zaprę twych boleści dla chwili wesela.

Edomczyku! ty, co w krzyku niemowląt i żon
Ucztowałeś i pląsałeś przy połysku łon,
Ty, coś wołał, by nam Syon spustoszyć do gruntu,
A odporne miecze nasze zwał mieczami buntu —

Pomnij w trwodze, że na drodze twych zwycięstw i chwał,
Jak lew zcicha, kiedy czyha, nasz Bóg będzie stał.
I coś zdziałał, toć z nagrodą odda sądem bożym,
I co spadło na nas deszczem, spadnie na cię morzem.

Chwila jeszcze, a już będziem błogosławić tym,
Co nad grodem twym rozwieszą pożarowy dym,
Z ramion matek wyrwą śpiące dzieciąteczek głowy,
I ze zgrzytem roztrzaskają o brzeg granitowy!

Świat klasyczny.

1. HELLENOWIE (GRECY).

I. Homer.

A. Iliada.

Po wezwaniu Muzy, ażeby opiewała klęski Achejczyków, wskutek gniewu najdzielniejszego bohatera Achillesa wynikłe, poeta podaje powód tego gniewu. W jednej ze swych wycieczek wojennych Achejczycy (Danaje), oblegający Ilion (Troję), zabrali w niewolę córkę Chryzesa, kapłana Apollinowego, i oddali ją naczelnemu wodzowi swemu, Agamemnonowi. Chryzes przybył do obozu i błagał Achejczyków o wydanie córki, ofiarując bogaty okup; lecz Agamemnon próśb nie wysłuchał i groźnie Chryzesa z niczem odprawił. Ten uprosił Apollina, ażeby Achejczyków ognistemi swemi strzałami poraził. Apollo:

Wysłuchał go łaskawie, zstąpił gniewny z nieba,
Z łukiem swoim, z kołczanem; na ramionach strzały
W bystrym biegu strasznemi szczęki przerażały.
Idzie jak noc posępny: siadł zdala, łuk spina;
Leci strzała i świszcząc powietrze rozcina.
Okropnym brzmiąc łuk jękiem, psy strzela i muły;
Wnet zgubne jego razy Achiwy poczuły.
Palą się bezprzestannie smutne trupów stosy.
Przez dziewięć dni na wojsko śmiertelne szły ciosy.

(Fr. Ks. Dmochowski).

Dnia dziesiątego Achilles z natchnienia bogini Hery (Junony), której żal było miłych jej Achejczyków, zwołuje lud cały dla narady nad zapobieżeniem klęsce. Wieszczek Kalchas objaśnia przyczynę nieszczęścia: była nią obraza Chryzesa; ażeby ją usunąć, trzeba Chryzejdę zwrócić ojcu i przebłagać Apollina. Agamemnon uczynić tego nie chce; powstaje kłótnia między nim a Achillesem, który zdanie Kalchasa popierał.

Nie myśl, boski Achillu, że w pole się dam wyprowadzić.
Chociażeś dzielny, lecz mnie nie oszukasz, nie otumanisz.
Chcesz więc sam się jedynie radować nagrodą zaszczytną,
Mnie zaś każesz Chryzejdy się pozbyć, z niczem pozostać.
Albo mi wnet Achejanie uczynią za dość i wynajdą
Inną nagrodę i sercu ucieszną i tej-że wartości,
Lub gdy nie, to zabiorę ją sam, poniewoli ją wezmę.
Twoją, Achillu, Odysa lub Telamończyka nagrodę
Wezmę do siebie, a ten się rozgniewa, do kogo przybędę.

Ale to wszystko i później możemy ogadać, a teraz
Okręt szybko żaglowny na boskie morze ściągniemy,
Zaopatrzymy w wioślarzy go tęgich, postawim w okręcie
Całą ofiarę i córkę Chryzesa obliczem nadobną
Wwiedziem na okręt, a z was, przewodnicy narodu, ktokolwiek
Będzie prowadził: Odysej, czy Ajaks, czy Idomeneus,
Albo, Achillu, i ty, wojowniku najsroższy ze wszystkich,
Iżby ofiarą przejednać Apolla w dal godzącego".
Patrząc w niego z pod oka, odpowie mu boski Achilles:
„Biada mi z tobą, człowieku bezwstydny, za zyskiem goniący!
Czemuż-to Achejczykowie, rozkazom twoim ulegli,
Poszli w kraje dalekie i boje okrutne staczają?
Wszak nie pożeglowałem w okrętach za krzywdę się własną
Pomścić; nie zawinili mi nic oszczepnicy Trojanie;
Nigdy-bo nie porywali mi koni, ni bydła mojego.
Ani we Ftyi [1]) mężami słynącej, twardo-skibiastej
Nie stratowali mi zbóż, bo przegrodą im stoi za wiele
Gór ocienionych lasami i morze rozlewa się szumne; —
Aleśmy szli, niegodziwcze, za tobą na twoją ucieche,
Odwet Menelajowi i tobie, psie, na Trojanach
Zdobyć; a ty ani dbasz, nie kłopoczesz zgoła się o to;
Jeszcze wygrażasz mi dziś, że nagrodę zaszczytną mi wydrzesz,
Którą mi dali synowie achejscy za trudy bojowe!..
Alboż byłem choć raz jednakowo z tobą nagrodzon?
Wszak ile-kroć dobędziemy u Trojan grodu ludnego,
Choć wśród walk uporczywych ma dłoń dokazała najwiecej:
Gdy do podziału przychodzi, to zawsze o wiele cenniejszą
Ty otrzymujesz nagrodę, a ja, poprzestając na małem,
Wracam pomiędzy okręty, znużony trudami w utarczkach
To też w krzywourufastych okrętach do Ftyi odpłynę.
Lepiej mi teraz do domu wyruszyć; a tego nie będzie,
Żebyś tu skarby i łup nagromadzał, mną pogardzając".
Na to rzekł mu Atryda [2]) potężny, wódz nad wodzami:
„Wracaj-że sobie do domu, gdy dusza-ć skłania; co do mnie,
Płakać po tobie nie będę, bo innych dość pozostanie,
Którzy oddadzą mi cześć, a szczególniej Kronida [3]) opatrzny.
Znienawidzony mi jesteś pomiędzy mężami wszystkiemi;
Najprzyjemniejsza ci kłótnia, zatargi i bójki zacięte;
Moc zaś twoja potężna od boga samego nadana.
Jedź-że wraz z okrętami i z towarzyszami do domu,
Rządź tam Mirmidonami: zupełnie o ciebie tu nie dbam;
Twój zaś gniew lekceważę i słuchaj, co-ć zapowiadam:
Jako mię jasny Apollo pozbawia córki Chryzesa,
Wraz ją w swoim okręcie i z towarzyszami swoimi
Wyślę, lecz sam do twojego namiotu się udam i porwę

[1]) Ftya — kraina w Tessalii, państwo Achillesa.
[2]) Atryda, syn Atreusza, panującego w Micenach, tu: Aganemnon.
[3]) Kronida, syn Kronosa, Zeus, najwyższy bóg helleński.

Twoję nagrodę, Bryzejdę dorodną, ażebyś to poznał,
Żem potężniejszy od ciebie i aby nikt się nie ważył
Łżyć mię podobnie, jak ty mię zelżyłeś, i równać się ze mną".
Rzekł, a zgroza porwała Pelejdę [1]; we wnętrzu mu serce
W piersi kosmatej wahało się w myślach, azaliby miecza
Z pochwy ostrego z za pasa nie dobyć, uderzyć odważnie,
Całą gromadę rozpędzić i śmiercią ukarać Atrydę;
Czy też gniew pohamować na razie w duszy wzburzonej.
Tak już w sercu i w duszy rozważał i miecz obosieczny
Z pochwy wyciągał, gdy Pallas-Atena, bogini, nadbiegła
Z niebios (Hera ją białoramienna wysłała czemprędzej,
Która obydwu zarówno miłując, troszczyła się o nich).
Z tyłu Pelejdy stanąwszy, za włos go płowy ujęła:
Jemu samemu widoczna, dla innych niedostrzeżona.
Zląkł się boski Achilles, obejrzał się w tył i odrazu
Poznał Pallas-Atenę, jarzące się oczy spostrzegłszy;
Do niej się tedy odwrócił i rzekł polotnemi słowami:
„Córko Egidowładcy [2], Kronidy, po coś tu przyszła?
Iżby syna Atreuszowego zuchwalstwo podziwiać?
Więc zapowiadam i sądzę, że słowo się moje uiści:
Wnet on życiem zapłaci za swoją pychę bezmierną".
Rzekł, a płomienno-oka Atena, bogini, odpowié:
„Gniew twój wstrzymać przychodzę, jeżeli usłuchać mię zechcesz;
Z niebios Hera mię białoramienna wysłała czemprędzej,
Która i ciebie i jego miłuje i troszczy się o was.
Bójki, Pelejdo, zaniechaj, nie imaj dłonią oręża,
Jeno go teraz okrutnie zwymyślaj, co dusza zapragnie,
Ja zaś powiem ci to, co wypełni się najniezawodniej:
Zbliży się czas, a zniewagę ci oni dzisiejszą po stokroć
Będą zmuszeni nagrodzić; powstrzymaj się tedy, Pelejdo!"
Na to znów szybkonogi Achilles odezwał się do niej:
„Trzeba mi, widzę, usłuchać, boginie, rozkazu waszego,
Lepiej to będzie, pomimo że złość napełniła mi duszę;
Boć kto bogom posłuszny, i oni na niego łaskawi".
Rzekł i dłonią żylastą za srebrną trzymając głowicę,
Miecz pchnął wielki do pochwy, za dość rozkazowi Ateny
Czyniąc; a już uleciała bogini na Olimp wysoki
Między niebiany, na dworzec Kronidy Egidowładcy.
Wtenczas syn Peleusza na Agamemnona wybuchnął
Znowu i bluzgał na niego słowami, bo gniew go porywał:
„Ach, ty pijaku, ze psiemi oczyma, a z duszą zajęczą!
Wziął-żeś broń, gdy chadzali na bitwy synowie achejscy?
Szedł-żeś z przodownikami śmiałymi choć raz na zasadzkę?
Nigdy; męstwa ci braknie; jak śmierci — wroga się lękasz;
Przeto-ć, tchórzu, dogodniej w przestronnym obozie achejskim

[1]) Pelejda, Pelid — syn Peleusza, Achilles.
[2]) Egida tarcza Zeusa, ukuta przez Hefesta (Wulkana); poruszenia jej wywoływały ciemność, błyskawice i grzmoty.

Dary zaszczytne drugiemu wydzierać, że-ć stanął oporem.
Ciemiężycielu, tyranie, samymi podłymi dowodzisz;
Gdyby nie to, po ostatni-byś raz poswawolił, Atrydo.
Ja zaś mówię ci wręcz i zaklinam się wielkiem zaklęciem,
Oto patrz: na to berło, co już nie rozliści się nigdy,
Nie rozgałęzi się wcale, bo pień mu w górach pozostał,
I nie zakwitnie, bo śpiż je obłupił z liścia i z kory;
Dziś je w ręku trzymają synowie achejscy, sędziowie
Ustanowieni stróżami zakonu przez boga samego;
Więc też wielka przysięga: nadejdzie czas i okropnym
Klęskom ulegną Danaje i wtenczas wspomną Achilla,
Przyjdą go błagać o pomoc, gdy mężów i wielu i dzielnych
Padnie od dłoni Hektora, pogromcy; bo sam nie potrafisz
Zguby odwrócić i w sercu się gniewem na siebie samego
Będziesz udręczał, żeś godnie pierwszego z Danajów nie uczcił".
To rzekł syn Peleusza, i cisnął berłem o ziemię
Pięknem, złoto-gwiaździstem i usiadł znowu na miejscu.

Agamemnon i Achilles, pomimo wdania się sędziwego Nestora, któremu „słodsze od miodu samego z języka słowo płynęło", rozchodzą się w gniewie. Agamemnon odsyła córkę Chryzesowi, ale Achillesową brankę Bryzejdę zabiera. Achilles skarży się swej matce Tetydzie, a ta u Zeusa wyjednywa przyrzeczenie, że same nieszczęścia dotykać będą Achejczyków, dopóki syna jej nie przebłagają. Z powodu tego przyrzeczenia powstaje na Olimpie kłótnia między Zeusem a jego żoną Herą, zażegnana w końcu żartobliwemi słowy i zachowaniem się kulawego Hefesta (Wulkana).

(Pieśń II—VI). Agamemnon, chcąc wypróbować wojsko, zwoławszy je, udaje, że chciałby porzucić walkę i wrócić do ojczyzny; podobało się to większości, ale Odysej, z porady Ateny, powstrzymuje tłum prośbami i groźbami; przy pomocy Nestora udaje mu się wlać przekonanie w Achejczyków, iż Ilion niebawem zdobędą. Agamemnon zapowiada bitwę. Przy tej sposobności przedstawia poeta poczet okrętów, plemion helleńskich i ich wodzów, uczestniczących w oblężeniu Ilionu. Gdy przyszło do walki, los jej miał być rozstrzygnięty pojedynkiem między Menelausem a Parysem (Aleksandrem); Parys został pokonany, ale go Afrodyta potajemnie uniosła z pola. — Wówczas z poduszczenia Ateny jeden z Trojańczyków (Pandar) ciska strzałą w Menelausa i tym sposobem układ zrywa. Zawzięta wszczyna się bitwa, w której i bogowie czynny biorą udział. Poeta opiewa męstwo Achejczyków, a szczególniej czyny Dyomeda, co nawet bogów (Afrodytę, Aresa) ranami z pola bitwy płoszy, i chwilowo zmusza Trojan do ucieczki. Tych jednak powstrzymuje Hektor, wysyłając Glauka, by stawił czoło Dyomedowi, sam zaś każe odprawić w Troi nabożeństwo dla uproszenia opieki i łaski bogów; poczem wychodząc już z miasta, spotyka przy bramie Scejskiej żonę swą Andromachę z synkiem Astyanaksem, i jakby w przeczuciu zgonu z nią się żegna:

On też, ojciec, uśmiecha się teraz, na syna się patrząc;
A zaś ona Andromacha we łzach podchodzi do niego,
Dłonią za dłoń uchwyciwszy, odzywa się pierwsza i mówi:
„Ach, nieopatrzny, odwaga cię zgubi! Czyż to ci nie żal
Swego dziecięcia i mnie nieszczęśliwej, co wkrótce po tobie
Wdową tu będę, bo wnet cię zabiją synowie achejscy,
Wpadłszy na ciebie gromadą; o, niech mię ziemia pochłonie
Raczej, niż ciebie-bym miała utracić; bo żadnej pociechy
Mnie nie zostanie, gdy ty przeznaczeniu srogiemu ulegniesz,
Jeno żałoba. Straciłam i ojca i matkę dostojną;
Zgładził ojca mojego Achilles do boga podobny;

Zniósł on gród Cylijczyków [1]), siedlisko mnogiego narodu,
Tebę wysokobramiastą, i zabił sam Eetyona [2]);
Nie zdjął zbroi mu jednak, bo strach ogarniał go wielki;
W całym bogatym rynsztunku na stosie go spalił,
Tamże mogilę usypał, a nimfy, mieszkanki parowów,
Z Egidowładcy zrodzone, brzostami w krąg osadziły.
Ze mną siedmiu też braci chowało się w domu u ojca,
Wszyscy w dniu tymże samym w Hadesa [3]) zeszli krainę;
Wszystkich on, szybkonogi Achilles do boga podobny,
Tam pozabijał przy owcach i wołach powolnie kroczących.
Matkę zaś moję, królowę u stóp lesistego Plakosu [4])
Tutaj sprowadził pod mur Ilioński z innemi łupami;
Rychło co prawda uwolnił, przyjąwszy okup niezmierny;
Lecz ją w domu ojcowskim Artemis, łucznica [5]), zabiła.
Ty więc teraz, Hektorze, zostałeś mi ojcem i matką,
Bratem zostałeś kochanym i tyś mi mąż poślubiony;
Więc się ulituj nade mną, nie odchodź, stań tu na baszcie,
Żony swej wdową nie uczyń, a swego dziecka sierotą.
Wojsko tuż koło muru uszykuj na wzgórzu figowem;
Tam-bo ściana dostępna i łatwo do miasta się dostać.
Już trzy razy tamtędy starali się przejść wojownicy:
Ajaks jeden i drugi, przesławny Idomeneus,
Dwaj Atrydowie i syn Tydeusza, Dyomed potężny;
Bądź ich ktoś doprowadzał wyroków bożych świadomy,
Bądź ich własna ku temu odwaga wzbudziła i pchnęła".
Na to lśniący się hełmem, wyniosły odezwał się Hektor:
„Żono, to samo i mnie niepokoi, lecz wstydby mi było
Straszny w obliczu Trojan i szatopowłocznych Trojanek,
Jeślibym tutaj zdaleka od walki jak tchórz się pozostał;
Dusza-by nie dozwoliła, bom przywykł być znakomitym
Zawsze i z przodownikami samymi stawać do boju,
Ojcu sławę uczciwą zdobywać i sobie samemu.
Dobrze to samo i ja przewiduję i w duszy i w sercu;
Zbliży się dzień ostateczny zagłady Ilionu świętego,
Zginie i Pryam, przesławny oszczepnik, i naród Pryama.
Ależ nie tak mię zatrważa narodu dola nieszczęsna,
Nie tak króla Pryama i matki, Hekuby czcigodnej,
Nie tak braci rodzonych, choć oni i liczni i dzielni
Runą głowami w kurzawę, zmiażdżeni wrogów potęgą —
Ile twoja, gdy który Achejczyk w śpiż uzbrojony
Porwie cię łzami zalaną i dnia swobody pozbawi.
Gdybyś miała w Argosie u krosien cudzych siadywać,
Wodę z Messeju [6]) lub z Hiperei [6]) dla pani swej nosić,

[1]) Cylijczycy — Kilikowie — we Frygii w Azyi Mniejszej.
[2]) Eetyon, władca Teby, ojciec Andromachy.
[3]) Hades, bóstwo świata podziemnego, krainy umarłych.
[4]) Plakos, góra, u stóp której leżała Teba.
[5]) Artemis, bogini łowów, u Rzymian Dyana.
[6]) Messeis i Hipereja — źródła w Tessalii.

Rada-nie-rada, zmuszona atoli przez twardą konieczność;
Wtenczas powie niejeden, ktokolwiek we łzach cię obaczy:
Patrz, oto żona Hektora, co był z chyżokonnych wszech Trojan
Najwaleczniejszy, gdy baszt Ilionu świętego bronili.
Tak niezawodnie powiedzą i żałość tobie tem większa,
Jeślibyś męża nie miała, co mógłby swobodę powrócić.
Wpierw niech śmierć mię uchwyci i ziemia pokryje mogiłą,
Zanim o twojej niewoli się dowiem i płaczu o twoim".

Rzekł i do syna ramiona wyciągnął Hektor świetlisty;
Ale cofnęło się dziecko do niańki w fałd opasanej,
Tuli się z płaczem, widoku się ojca swojego przelękłszy:
Straszy je zbroja błyszcząca i chochoł z włosia końskiego
Potrząsający się groźnie na szczycie pięknego szyszaka.
Na to zaśmieli się: ojciec kochany i matka czcigodna;
Zdjął więc Hektor świetlisty przyłbicę z głowy śpiżową,
Połyskującą się pięknie, położył ostrożnie na ziemi,
Poczem dziecko całuje kochane, kołysząc na ręku.
Modli się głośno do Zeusa i innych bogów wieczystych:

„Zeusie i inni bogowie, dozwólcie, niechże i syn ten —
Krew z krwi mojej — podobnie jak ja w Ilionie panuje,
Również niepokonany, na boje Trojan niech wodzi.
O nim niechaj powiedzą: od ojca syn doskonalszy,
Kiedy powróci z utarczki, a niosąc zbroję skrwawioną
Z wroga, którego zagładził, niech serce matczyne pociesza".

To powiedziawszy, do rąk swojej żonie kochanej oddaje
Dziecko najdroższe; przytula je ona do łona wonnego,
Poprzez łzy się uśmiecha. I litość zdjęła Hektora,
To też głaszcze ją ręką i znowu odzywa się do niej:

„Ach, bóg z tobą, kobieto! żałością się w duszy nie umoś;
Nikt-bo mnie do Hadesa nie ześle wbrew przeznaczeniu;
Swej zaś Doli, o wierzaj, nie uszedł żaden śmiertelnik,
Czy on tchórzliwy, czy dzielny, jak skoro na świat się narodził.
Wracajże, miła, do domu i pilnuj swoich zatrudnień
Zwykłych: kądzieli i krosien, a każ i swym służebnicom
Siąść do roboty; a wojną mężowie kłopotać się będą,
Wszyscy mieszkańcy Ilionu, a ja między nimi najbardziej".

Tak powiedziawszy, na głowie osadził hełm ugrzywiony
Hektor świetlisty; a jego małżonka do domu powraca,
Lecz oglądając się ciągle i łzy wylewając gorące.

(Pieśń VII—XV). Hektor wraz z Parysem wyszedłszy na pole bitwy, strachem przejmują Achejczyków. Losem wybrany Ajaks Telamończyk, staje do pojedynku z Hektorem, a gdy siły okazują się równe, za nastaniem nocy, przerywają walkę, wzajem się obdarzywszy. W dniach następnych Achejczycy ciągle ponoszą klęski, tak że Agamemnon, już nie z udania, ale na seryo o ucieczce przemyśla, od czego odwodzą go Dyomed i Nestor, którzy radzą wyprawić do Achillesa posłów z darami, ażeby go przebłagać. Myśl ta została urzeczywistniona, lecz skutku nie osiągnęła. Staje do walki sam Agamemnon i z początku wielką rzeź wśród Trojan sprawia, a Hektora aż do murów Ilionu przypiera; następnie jednak, wskutek dzielności Hektora i zręcznie wypuszczonych strzał Parysa, muszą się Achejczycy cofnąć do okrętów, dokąd za nimi

śpieszą Trojanie. Bogowie, pomimo zakazu Zeusa, pomagają to jednej to drugiej stronie walczących, a gdy Achejczykom zagrażało wytępienie, Hera uśpiła małżonka na górze Idzie, a wówczas Posejdon (Neptun) dopomógł dzielnie swoim ulubieńcom, którzy Trojan z okrętów wypędzają. Zeus, obudziwszy się i zobaczywszy rozproszenie Trojan, powstrzymuje Posejdona a pozwala Apollinowi dopomódz pognębionym; Hektor ciężko poprzednio ranny, teraz przezeń uzdrowiony, wpada znów na okręty i grozi ich spaleniem.

(Pieśń XVI—XVIII). Gdy już Achejczycy w największem znajdowali się niebezpieczeństwie, Achilles daje się uprosić przyjacielowi swemu, Patroklowi, by mu w jego zbroi pozwolił walczyć z Trojanami. Sam widok zbroi Achillesa przeraził Trojan. Patroklos dokazuje cudów męstwa, wielu dzielnych mężów zabija, w końcu jednak, wskutek wmieszania się Apollina do walki, zostaje pokonany przez Hektora, który zdejmuje z niego zbroję. Toczy się zawzięta walka około trupa Patrokla i z powodu koni Achillesa. Menelaj odznacza się tu największą dzielnością, a obok niego oba Ajaksowie. Achejczycy w gorszem atoli znajdują się położeniu i posyłają do Achillesa z wieścią o śmierci jego ukochanego przyjaciela. Bohater opłakuje go, a pragnąc śmierć jego pomścić, udaje się do matki swej Tetydy z prośbą, by mu nową zbroję u Hefesta wyjednała, co ta uczynić przyrzeka. Jakoż wzleciała na Olimp, gdzie w domu Hefesta przyjaźnie została przyjęta. Gdy Hefestowi o jej odwiedzinach doniesiono, zaraz porzucił robotę:

..... Wstał od kowadła jak drab: okopcony, niezgrabny,
Szedł utykając, golenie co krok uginały się pod nim.
Miechy usuwa na stronę od ognia, a inne narzędzia,
Które mu w pracy służyły, w szkatułę srebrną poskładał.
Zaczem myje się gąbką, oblicze obciera i ręce,
Szyję obciera żylastą i pierś porośniętą włosami;
Potem w szatę się odział i wziąwszy kij — swoje berło,
Wyszedł drzwiami, kulejąc, a z nim też dwie służebnice
Idą, całe ze złota, a żywe, do dziewcząt podobne;
Mając bo one i duszę w osierdziu i mowę i siłę,
Ponauczały się dobrze od bogów prac rozmaitych.
Szły zaś, pana swojego wspierając.

Hefest, dowiedziawszy się od Tetydy, o co idzie, z całem spółczuciem nad jej bolesną dolą, przyobiecał spełnić żądanie i natychmiast zabrał się do roboty. Podajemy tu opis tej roboty, który później niejednokrotnie poeci różnych narodów (u nas Mickiewicz w opisie serwisu) naśladowali.

..... Zostawił Tetydę i ruszył do miechów:
Zwraca je wszystkie do ognia i każe społem pracować.
Tak więc miechy w dwadzieścia topników dąć poczynają
Z całym wysiłkiem i żar rozperzyły odrazu ogromny.
Bądź też dopomagały mu w pracy, bądź ustawały,
Według życzenia Hefesta i jak wymagała robota.
On zaś cyny do tygli narzucał i miedzi niezlomnej,
Tudzież srebra i złota cennego; następnie kowadło
Ciężkie, ogromne osadził na pniu i w rękę ujmuje
Prawą młot niepożyty, a w lewą — bierze obcęgi.
Najpierw tarczę mu zbija i wielką i szczelnie spojoną,
Przyozdabiając ją pięknie: i rąbkiem w krąg ją otacza
Trójkarbowanym, świetlistym, i pas wysrebrzony przytwierdza.
Tarcza z pięciu złożyła się warstw, a na wierzchu wytworzył
Moc rozmaitych śliczności z nieporównanym pomysłem.

Tam więc ziemia wydana i niebo wydane i morze,
Słońce niespracowane i odmieniający się księżyc;
Tam też wszystkie i znaki niebieskie, co strop uwieńczają:
Więc i Plejady [1]), Hyady [2]) i Oryon [3]) w całej potędze;
Więc Niedźwiedzica północna, u ludzi Wozem nazwana,
Która się kręci na miejscu i wciąż Oryona podgląda:
Jedna — jedyna śród gwiazd w Oceanie się nigdy nie kąpie.
Tam też grody wyrzeźbił, siedliska narodu gwarnego,
Dwa: okazałe, rozległe; a w jednym — wesela i gody:
Oblubienice z komnaty przy blasku pochodni płonących
Wyprowadzają na miasto i śpiew się rozlega weselny.
Młodzież puściła się w tan: chorowody zatacza przy lutniach
Mile dźwięczących i fletów odgłosie. Kobiety w domostwach
Stoją na przyzbie we drzwiach: przypatruje się każda z podziwem.
A zaś w rynku zgromadził się lud, bo spór się wywiązał:
Męże się dwa pokłócili niezmiernie o grzywnę należną
Za zabitego człowieka: i ten z nich wobec narodu
Mówi, że wszystko wypłacił, a ten mu wręcz nie przyznaje.
Przed rozjemcami stanęli, ażeby spór załagodzić.
Lud z dwóch stron przytakuje, obadwaj mają obrońców.
Lecz heroldowie hamują pospólstwo; a w świętym okręgu
Na wygładzonych kamieniach zasiedli sędziowie sławetni:
Berło przyjmując do rąk po kolei od głośnych heroldów,
Jeden po drugim powstaje z kamienia i zakon wygłasza.
Dwa zaś złota talenty w okręgu złożono pośrodku,
Wynagrodzenie dla tego, kto słuszność wskaże najlepiej.
Tam zaś wokoło grodu drugiego zebrały się wojska
Dwa, połyskując zbrojami. Połowy wszystkiego bogactwa,
Jakie się w grodzie szeroko-budownym znajduje w domostwach,
Dopominały się wrogi, a nie — to grozili zburzeniem;
Lecz się nie godzą mężowie i poszli zbrojno w zasadzkę:
A zaś na murze obronnym kochane ich żony stanęły,
Dzieci podrosłe i starcy sędziwi, ojcowie narodu.
Wszczęła się waśń: a dowodzi Atena i Ares okrutnik:
Złoci i ona i on i odziani szatami złotemi;
Piękni i rośli i zbrojni w oręże, jak bogom przystało:
Najokazalsi oboje; mężowie byli drobniejsi.
Gdy więc tamci dotarli do miejsc na zasadzkę dogodnych:
Tuż koło rzeki w dolinie, gdzie było dla stad pojowisko:
Pozaczajali się wnet, uzbrojeni w śpiż płomienisty.
A niedaleko od wojska stanęło dwóch czatowników,
Którzy czekali w ukryciu na owce i bydło rogate.
Toż niezadługo zbliżyły się stada: pasterze przygnali
Dwaj, wygrywając na fletach, zasadzki się nie domyślając.
Ci zaś, skoro ich ujrzą, czemprędzej rzucają się na nich:

[1]) Gwiazdozbiór zwany u nas Babami.
[2]) U nas zwą się Dżdżownice.
[3]) Gwiazdozbiór, którego wschód przynosił burze i deszcze wedle wyobrażenia starożytnych.

Bydło zajmują rogate i owiec stado rozległe
Pięknych, białowełnistych, zabili pasterzy obydwóch.
Lecz gdy męże zamieszkę i krzyk posłyszeli przy stadach,
Siedząc w obozowisku na radzie: to żywo dopadli
Wiatro-polotnych rumaków i wkrótce dotarli do miejsca.
Tak tam srogi zawiązał się bój na pobrzeżu strumienia:
Jedni na drugich włóczniami śmigają dwustronno-kutemi;
Kłótnia szaleje i Groza bojowa, a Śmierć, okrutnica,
Jednych — życia odrazu pozbawia, innych dobija,
Innych wlecze za nogi, poległych w zgiełku okropnym.
Na niej szata czerwieni się cała od krwi wojowników:
Tłumy ścierają się, walczą, a każdy jak żyw wyrzeźbiony:
Tamci i ci wyrywają poległych i ciągną do siebie.

Tam też rolę przedstawia: rodzajną, pulchną, rozległą,
Przeorywaną potrzykroć, a na niej liczni rataje
Orzą jarzmami i tam i napowrót raz koło razu.
Do tych, którzy z powrotem do miedzy dociągną polowej,
Zaraz zbliża się człowiek i czarkę wina słodkiego
Daje każdemu do ręki, a ci, pokrzepiwszy się, nazad
Bruzdę kierują, do krańca drugiego ochoczo zdążając.
Ziemia za niemi zupełnie jak gdyby świeżo zorana
Czerni się, chociaż ze złota, tak była udana przedziwnie.

Tamże przedstawia i łan rozbujany kłosami, a na nim
Żną, uwijając się, żeńce, błyskając sierpami ostremi:
Tu więc garść koło garści, jak nasiał, pada na rżysko;
Tam zaś snopy wiązacze stawiają, powrósłem je wiążąc.
Trzech zaś takich wiązaczy się krząta, a tuż poza nimi
Garście zbierają chłopaki wyrostki i znoszą w naręczach
Jeden za drugim; śród nich i gospodarz stoi na polu:
W ręce ma kij; poglądając w milczeniu, raduje się w duszy.
Zaś na uboczu, gdzie dąb, heroldowie wieczerzę gotują,
Wołu dużego sprawianiem zajęci; a znowu niewiasty
Warzą posiłek dla żeńców i krup zasypują jęczmiennych.

Dalej winnicę przedstawił z winorośłami bujnemi:
Złotą, prześliczną: na pniach winogrona dojrzałe się czernią
Srebrne, pozatykane rzędami paliki przy krzewach.
Rowkiem ze stali niebieskiej otoczył ją w krąg i ogrodził
Płotkiem ze srebra białego, a środkiem drożynę wyżłobił,
Kędy przechodzą zbieracze, bo właśnie czas winobrania.
Tam więc chłopcy i dziewki dorodne z wesołą pustotą
Niosą piękne koszyki z winogronami słodkiemi;
Idzie z niemi pośrodku młodzieniec, na dźwięcznej im lutni
Mile przygrywa i śpiewa rozkoszną Linosa piosenkę
Głosem srebrzystym; a za nim w dźwięk, rozlatując się wkoło,
Wśród i okrzyków i raźnych poskoków gromadka podąża.

Tam też stado i bydła wyrzeźbił wysoko-rogiego:
Krowy niektóre ze złota, a inne ze srebra wytworzył.
Rankiem z obory wygnano na paszę bydełko rykliwe

Podle rzeczułki szemrzącej, pośrodku chwiejącej się trzciny.
Tam i pasterze ze złota ulani przybyli za bydłem
Czterej; z niemi przybiegło i dziewięć psów chyżonogich.
Lecz dwa lwy okrutniki pomiędzy krowami na przedzie
Byka porwały, mrukliwca; a ten pazurami szarpany
Ryczy okropnie: pasterze i psy dobiegają na pomoc.
Lwy zaś skórę na byku ogromnym zębami rozdarłszy,
Ssą już krew, wywlekają wnętrzności; napróżno pasterze
Do nich z krzykiem podbiegną i psami szczują napróżno.
Zbrakło odwagi i psom do łupieżców z zębami doskoczyć;
Lecz ujadając, przybliżą się nieco i znów uciekają.
Tam też wygon przedstawił przesławny bóg-rękodzielnik:
Stado się owiec wełnistych rozległo w pięknej równinie:
Widać zagrody i stójła i szatry z dachem słomianym.
Tam i chorowód drobniutko wyraził bóg-rękodzielnik,
Zgoła ten sam, jaki niegdyś w Knosie szeroko-budownej
Pięknowarkoczej Arjadnie wykonał Dedalos dowcipny.
Tu więc chłopcy, a tam przynoszące dobytek dziewczęta
Tańczą, w kole stanąwszy, za dłonie się dłońmi trzymając.
Dziewki przybrane w osłony lecіuchne, a chłopcy w kaftanach
Pięknych, utkanych misternie, jak gdyby oliwa błyszczących.
Dziewki z kraśnemi wieńcami na głowach, a dziarscy młodzianie
Z puginałami złotemi u boków na pasach srebrzystych.
Tak też puszczają się w tan i wirują nogami zwinnemi
Lekko i rażno, jak koło garncarskie przygodne do ręki,
Kiedy przysiądzie się zdun wypróbować, czy kręci się gładko.
Potem się znowu rozwiną i tańczą rzędami naprzeciw.
Rzesza i liczna i gwarna obległa ponętny chorowód;
Każdy z upodobaniem się patrzy; a boski im pieśniarz
Gra, pobrzękując na lirze; a dwa sowizdrzały pośrodku
W kole się kręcą i w dźwięk wyskakują za głosem pieśniarza.
Tam też rzekę Ocean przedstawił w całej potędze
W krąg przy otoku puklerza, wybornie w śpiż okutego.
Gdy zaś tarczę mu zbił i ogromną i szczelnie spojoną:
Skuł mu także i pancerz od blasku płomienia świetniejszy,
Skuł mu także i hełm: okazały, do głowy stosowny,
Cztero-pałączny; osadził na szczycie i grzywę złocistą.
Skuł też nagolennice mu piękne z blachy cynowej.
Gdy zaś cały rynsztunek ukończył bóg-rękodzielnik,
W dłonie go wziąwszy, położył przed matką boskiego Achilla.
Ta zaś wnet uleciała jak sokół z Olimpu śnieżnego,
Niosąc zbroję synowi błyszczącą — Hefesta podarek.

(Pieśń XIX—XXIV). Otrzymawszy od matki zbroję, Achilles zwołuje zebranie, na którem oświadcza, że zapomina gniewu swego. Agamemnon wyznaje swą winę i ofiaruje dary bogate, zwraca Bryzejdę. Achilles nastaje na potrzebę natychmiastowej walki, ale musi uledz perswazyi Odyseja, iż wojsko winno się pokrzepić. Gdy inni jedzą i piją, Achilles wstrzymuje się od wszystkiego, bo przysiągł, że nie tknie jadła ni napoju, póki nie pomści przyjaciela. Bogowie tymczasem, otrzymawszy pozwolenie Zeusa, stają po stronie swoich ulubieńców; Achejczykom pomagać mają: Hera, Atena,

Posejdon, Hermes, Hefest; Trojanom: Ares, Apollo, Dyana, Latona, Afrodyta i boska rzeka Ksantos. Gdy przyszło do walki, staje najprzód Eneasz przeciwko Achillesowi; gdy był w niebezpieczeństwie, Posejdon skrywa go w chmurze; podobnie Apollo uprowadza Hektora; mnóstwo natomiast Trojan ginie z ręki Achillesa. Wreszcie oba wojska cofają się, Trojanie kryją się za mury twierdzy; na polu pozostaje tylko Hektor, którego napróżno rodzice przywołują do miasta. Wprawdzie gdy ujrzał naprzeciw siebie Achillesa, mimowoli uciekał i trzykrotnie obiegł Ilion, ścigany przez bohatera achejskiego, ale następnie złudzony przez Atenę, która wzięła na siebie postać jego brata Deifoba, staje do walki nierównej, gdyż Achillesowi bogini dopomagała, a łudziła Hektora. Obrońca Ilionu pragnął przed ostatecznem starciem się wejść w układ z Achillesem, żeby, kto zwycięży, zadowolnił się zdjęciem zbroi, lecz ciało oddał do pochowania tym, do których należał. Achilles nie chciał o żadnym słyszeć układzie; w śmierci Hektora chce pomścić wszystkich poległych Achejczyków, a zwłaszcza Patrokla.

Rzekł, i dzidę rozmachnął, aż rwała się sama,
Cień posnuła za sobą. Zoczył syn Pryama,
Przysiada, umknął śmierci, a miedziana strzała
Przemknęła się łyszcząco, w ziemię zagrzebała;
Tedy, tajna przed wodzem, co nad trojańskiemi
Hetmanił zastępami, wydarłszy grot z ziemi
Pallas do Achillesa prawicy go niesie.
— „Chybiłeś, mówi Hektor, kłamco, Achillesie,
Bóg ci wróżył mą dolę; chciałeś, by na hasła
Zręczne, lecz chytre, męskość już we mnie wygasła?
Nie: w grzbiecie zbiega dzida twoja nie uwięźnie;
Wstępnym bojem mierz w piersi, niech w piersiach uwięźnie,
W imię losów; lecz strzeż się i ty, krwi przelewco.
Ach! bodajbym grot w tobie utopił po drzewco,
Raźniej po trupie zbójcy smutyby się boje;
Ty jesteś najstraszniejszy pogromca na Troję".
Wraz dzidę długo-cienną do lotu wypręży;
Drgnęła: nie chybia, padła na jądro pawęży,
I odpadła; aż wściekłość Hektora pochwyca,
Że mu rękę zawiodła marna latawica.
Niema drugiej; i smutek i strach go przenika;
Głośno woła Dejfoba, biało-pawężnika.
— „Włóczni, bracie"; lecz brat go nie słyszy z daleka!
Zrozumiał on, i w tęsknym duchu tak wyrzeka:
— „Więc na bogów wezwanie już stoję nad grobem.
Kiedym wierzył, że walczę pospołu z Dejfobem,
To on w zamku — więc zwiodło bóstwo z sowiem okiem:
Tylko śmierć przy mnie stoi, nie zdala: pod bokiem;
I niema już ucieczki — snać takie skazanie
Chmurowładcy i syna o srebrnym kołczanie.
A bronili, i chętnie, od grotów powodzi;
Dziś Mojra, bóstwo zgonu, już po mnie przychodzi;
Lecz nie legnę tchórzliwie, w nierozgłośnej ciszy:
Pierw czyn spełnię, o którym potomność zasłyszy".
Umilkł, z nabiedrnej pochwy toczony miecz chwyta,
Krępem, dwusiecznem ostrzem łysnął Pryamita;

Wspina się, a wypręża, niby orzeł górny,
Szybujący nad polem przez szlak szarochmurny
Na zająca, lub jagnię drżące bez ochrony:
Z takim to ogniem Hektor trząsł miecz wytoczony.
Sroży się i Achilles: w krew wzionął bezmierną,
Dziką pomstę, pierś tarczą otula misterną;
Spuszcza szyszak o czterech pałąkach, a lśniwa
Złocista po przyłbicy promienieje grzywa,
Snuta w kuźni Hefesta, i w gąszcz się rozsłania.
Jak ów świetny o zmroku, w chwilach mlekobrania
Hesper, gwiazda nad gwiazdy, lśniąca z niebokręgu;
Tak lśni się dzida, którą Achilles w napręgu
Męską dłonią rozmachnął, śledząc, kędy snadnie
W piękne ciało Hektora jej żądło zapadnie.
Lecz zdarty z Patroklesa, wraz z łupem żywota
Puklerz, przed śmiercią wszystkie pozamykał wrota,
Krom pogranicza szyi i kluczowej kości:
Tam tylko duszy groził pocisk śmiertelności:
Tam wymierzył Achilles — wnet dzida zajadła
Grotem zabójczym w szyję młodziuchną zapadła.
Jeszcze nie przegryzł krtani jesion kuty miedzią,
Jeszcze Hektor przedzgonną jęknął odpowiedzią;
Leżał w pyle — a ten się pastwą rozwesela:
— „Głupcze, mówi, zabiłeś mego przyjaciela
I żyć chciałeś? nie marząc, że kędyś, samotny
U lotnych dybie łodzi, za tryumf sromotny,
Mściciel możniejszy: otóż zgiął tobie kolano!
Ptastwo, psy, spasie twoją krwią, w pyle zbrukaną.
A Patrokla pogrzebią łzawi Achejczycy?
Na to mdlejący Hektor, potrząsca przyłbicy:
— „Błagam na cześć, na duszę, krew twych rodzicieli,
Nie daj mną przy korabiu sycić psom gardzieli:
Bierz bryły złotolite, bierz kruszcu dostatki,
Nie poskąpi dłoń ojca, dłoń dostojnej matki:
Wróć zwłoki gniazdu, niechaj pośmiertne ich członki
Stosem uczczą Iliońscy męże i małżonki".
Na to mu Rączobiegi, chmurząc brew i oczy:
— „Nie proś na rodzicielską krew, porodzie smoczy:
Obym ja się tu wściekł, serce twoje strawił,
Żywcem pożarł pierś twoją.... takeś mnie zakrwawił.
Nie! ruja psów na włókna trupią głowę potnie.
Choćby dziesięciokrotnie i dwudziestokrotnie
Suli złoto, a jeszcze domiar przyrzekali,
A sam Pryam pergamski rozkazał na szali
Z kruszcem zważyć i kruszcem tym wykupić ciebie;
I wtedy nie zapłacze na twoim pogrzebie
Matka dostojna, co cię powiła: na klaki
Wszystko ciało rozdarte, psy pożrą i ptaki".

Na to lśniąco-hełmaty konając odpowie:
— „Poznaję cię, jak znałem; że w tobie bogowie
Pierś ukuli z żelaza; anim tuszył sobie
Litości; lecz pamiętaj! oby w czarnej dobie,
Brat z Febem, choć mocarza, w pomściwej spółżądzy
Nie zgubili cię kiedyś u scejskich wrzeciądzy".
Aż i śmierć na te słowa dobiegała kresu,
Z członków młodziuchna dusza schodzi do Hadesu,
Litując się mąk ciała — i zeszła w zamgławia;
A ten do umarłego, jeszcze drwiąc, przemawia:
— „Konajże — a ja przyjmę śmiertelne wyzwanie;
W on dzień, gdy tak orzeknie Zeus i współniebianie".
Umilkł, z przebitej szyi wyjął grot miedziany,
Z ramion zdziera mu tarczę: krew trysnęła z rany;
Zbiega się czerń, zdumiewa nad lśniąco-hełmatym,
Rosłym mężem, obliczów jego majestatem.
A że bliznę miał każdy, co teraz się tłoczy,
Więc pogwarzali, wzajem patrząc sobie w oczy:
— „O! zmiękł, i bardzo; jużci nie taki zawzięty,
Nie ów Hektor, co ogniem prażył nam okręty".

(Feliks Jezierski).

Gdy ciało włóczone wkoło Ilionu przez srogiego zwycięzcę ujrzano z wieży nad bramą scejską, Trojanki w płacz uderzyły; matka mianowicie Hekuba i żona Andromacha najżałośniejsze zawiodły skargi. Przytaczamy słowa żony:

„Biedna ja! biedny Hektor! Więc srogie niebiosy
Dla obojga jednakie przeznaczyły losy!
Nad rodem naszym gwiazda świeciła taż sama,
Gdym w Tebach na świat przyszła, ty w domu Pryama.
Wychowała mię ojca ręka dobroczynna:
Za cóżem mu to życie nieszczęśliwe winna!
Mężu! ty już w podziemne śmierci jedziesz kraje,
A w płaczu wiecznym wdowa po tobie zostaje.
Dzieckiem jest syn, któregoś na świat wydał ze mną:
Nie będziecie wy sobie pomocą wzajemną,
Ni ty jego młodości, ni on twej siwiźnie.
Niech się nawet z tej wojny okrutnie wyśliznie,
W ilu się pracach, w ilu nieszczęściach ubiedzi!
Dobro jego łakomi wydrą mu sąsiedzi.
Ach! na cóż nie wystawia dziecka stan sierocy!
U przyjaciół ojcowskich żądając pomocy,
Idzie z twarzą spuszczoną, z mokremi oczyma,
Tego za płaszcz, drugiego za kraj szaty trzyma:
Ktoś przytknie do ust czaszę, tknięty jego skargi,
Lecz nie ochłodzi, ledwie odwilży mu wargi.
Drugi, co pod rodziców cieniem szczęsny rośnie,
Uderza go rękami, słowem zelży sprośnie:
Pójdź precz, rzeknie, twój ojciec nie uczłuje z nami
Przyjdzie do matki wdowy mój syn zlany łzami.

Dawniej obeldze takiej nigdy nie podpadał,
Szpik czysty na kolanach swego ojca zjadał.
A gdy mu przerwał jego igraszki dziecięce,
Wtedy troskliwa mamka wziąwszy go na ręce,
Położyła w kolebce, miękkim słanej puchem,
I rozkosz snu jej lekkim pomnażała ruchem,
Dziś cierpienie i nędza dla niego w podziele:
Imię Astyjanaksa nie wesprze go wiele,
Które, czcząc ojca, dali synowi mieszkańce.
Boś ty, Hektorze, Troi sam ocalał szańce,
Psy pożrą twoje ciało, paszcze we krwi zbroczą,
A resztę zwłok na brzegu robaki roztoczą.
I na cóż się więc przyda twój sprzęt tak bogaty?
Na co od niewiast ślicznie sporządzone szaty?
Ogniom je dam, bo więcej nie ozdobią ciebie,
Nawet nie są przydatne na twoim pogrzebie:
Niechajże w oczach Trojan, ku twej służą chwale".
Tak płakała, — niewiasty dzieliły jej żale.

(F. Dmochowski).

Achilles urządza wspaniały pogrzeb Patroklowi; a potem przez dni kilka włóczy trupa Hektorowego wkoło jego mogiły. Na tę znieważę żali się wśród niebian Apollo, który utrzymał dotychczas ciało swego ulubieńca w całej świeżości. Zeus tedy rozkazuje matce Achillesa, ażeby go odwiodła od tej srogości i skłoniła do oddania ciała ojcu za złożeniem okupu; równocześnie zaś wysyła Irydę do Pryama, ażeby się udał do obozu Achejczyków po ciało syna. Pryam, w nocy, w tajemnicy przed Hekubą, ażeby go od przedsięwzięcia nie wstrzymała, przygotowuje się do drogi i złożywszy bogom ofiary, po otrzymaniu wieszczby pomyślnej wyrusza do obozu, przeprowadzany przez zesłanego naumyślnie z Olimpu Hermesa, który go szczęśliwie dowiódł do namiotu Achilla, który, wraz z dwoma towarzyszami, do syta wypiwszy i zjadłszy,

Właśnie wieczerzę ukończył i stół był jeszcze nakryty.
Wszedł zaś Pryam sędziwy znienacka, zbliżywszy się prędko,
Objął dłońmi kolana Achilla i ręce całuje
Groźne, mężozabójcze, co wielu mu synów zgładziły.
Jak więc mąż, pokuszony do zbrodni — człowieka nieszczęsny
Zabił w kraju ojczystym — u obcych uchrony szukając,
Wchodzi do domu możnego, a wszyscy nań patrzą z podziwem;
Tak też zdziwił się boski Achilles, Pryama ujrzawszy:
Dziwią się też towarzysze: ten w tego, ten w tego pogląda.
On zaś, Pryam, i mówić poczyna, błagając o litość:
„Wspomnij ojca swojego, Achillu, do boga podobny,
Mego współrówieśnika u proga starości nieszczęsnej:
Może i jego podobnież ościennych grodów mieszkańcy
Krzywdzą, a klęski i zguby odwrócić nie masz nikomu;
Lecz twój ojciec kochany, żeś żyw, gdy słyszy o tobie,
To ma w duszy pociechę i syna spodziewa się co dzień
W progach powitać ojczystych z powrotem z walki okropnej;
Ja zaś w żalu bez granic; wydałem synów najtęższych
W całej Troadzie rozległej, a dziś nie oglądam żadnego.
Pięć-dziesięciu ich miałem, gdy przyszli z wojną Danaje:

Z nich dziewiętnastu z jednego się łona na świat ukazało,
Resztę zrodziły mi inne niewiasty w mojem domostwie.
Wielu ich Wojna okrutna na ziemię z nóg powaliła:
Został jeden, jedyny: obrońca narodu i miasta,
Hektor: zabiłeś i tego, gdy mężnie za swoję ojczyznę
Walczył. Po niego to wszedłem pomiędzy okręty achejskie,
Trupa u ciebie wyżebrać; przyniosłem okup ogromny.
Bój-że się boga, Achillu, ulituj się mojej niedoli,
Wspomnij ojca swojego, ja-m jeszcze godniejszy litości:
Zniosłem, czego śmiertelnik dotychczas żaden nie przeniósł:
Do twych rąk dzieciobójczych nieszczęsny usta przyciskam".

Temi słowami tęsknotę mu w duszy za ojcem rozbudził.
Starca Achilles, za ręce ująwszy, odsuwa łagodnie.
Tęsknić poczęli obadwaj i ten za Hektorem pogromcą
Żale rozgłośne zawodzi u stóp rozciągniony Achilla,
Ten zaś płacze za ojcem i znowu Patrokla wspomina
Ukochanego i jęk się rozlega po całem domostwie.
Lecz gdy zgoła dosyta wypłakał się boski Achilles,
Gdy ochłonęły mu członki i serce z żalu gorzkiego,
Powstał z krzesła i starca rękoma z ziemi podźwignął,
Zdjęty litością nad głową sędziwą i brodą sędziwą.
Pierwszy do niego się ozwał i rzekł polotnemi słowami:

„Ha, nieboraku, o, wieleż to w duszy boleści przeniosłeś!
Jak to, sam odważyłeś się wejść do okrętów achejskich?
Stanąć w oczy mężowi, który tak wielu, tak dzielnych
Synów ci zgładził? zaprawdę, że serce w tobie z żelaza.
Ależ przecie uspokój się, usiądź, w duszy się naszej
Dajmy srogiej ukoić żałobie pomimo nieszczęścia;
Nic nam smutek oziębły nie może dobrego przysporzyć.
Postanowili wieczyści bogowie ludziom nieszczęsnym
Żywot pełen utrapień; bez trosk oni sami są tylko.
Dwa też dzbany u Zeusa Kronidy stoją w domostwie:
Z nich zaś daje z jednego Niedolę, a Szczęście z drugiego.
Komu potrosze udzieli z obydwóch Zeus, gromowładca,
Temu i w życiu przydarzą się smutki i dobro przydarzy;
Sponiewierany zaś tem, kto Niedolę jeno pozyska:
Nędza na świecie go bożym trawiąca wciąż napastuje;
Tułacz, znienawidzony u bogów i ludzi zarówno.
Tak też ojca mojego, Peleja, darami świetnemi
Od urodzenia darzyli bogowie: i słynął w narodzie
Błogosławieństwem, dostatkiem i wśród Mirmidonów królował;
Jemu, śmiertelnikowi, boginię dali za żonę;
Ale mu bóg i niedoli udzielił, bo oto w domostwie
Nie masz synów u niego, by po nim władztwo objęli.
Jeden mu zrodził się tylko, i to krótkowieczny, i teraz
Nie ma podpory na starość, bo ja, swój kraj opuściwszy,
W Troi osiadłem na twoje i twoich dzieci nieszczęście.
Starcze, w błogosławieństwa, zaprawdę, i ty opływałeś:

Tam wśród wszystkich mieszkańców Lezbosu, Makara siedziby,
Dalej, po kresy frygijskie i nieprzemierzony Helespont
Wszędy słynąłeś i swojem bogactwem i dziećmi swojemi:
Lecz gdy biedę zesłali na ciebie mieszkańcy niebiosów,
Wciąż masz walkę u grodu okropną i mężów zabójstwa.
Ochłoń z żalu, Pryamie, nadarmo w duszy się nie dręcz;
Nic ci z tego nie przyjdzie, choć będziesz najbardziej wyrzekał:
Syna mężnego nie wskrzesisz, a sobie przymnażasz niedolę".
Na to bogu podobny, sędziwy odezwał się Pryam:
„Chcesz, bym siadł, wychowanku Zeusowy? nie siądę, dopókąd
Syn mój niepogrzebany w namiocie twoim spoczywa.
Oddaj, niechaj me oczy go ujrzą i dary bogate
Przyjmij, które przyniosłem, a niechaj ci służą, i obyś
Szczęśliw wrócił do ojców krainy, skoro dozwalasz
Żyć mi nieszczęśliwemu i słońca się cieszyć jasnością".
Znów zaś rzekł szybkonogi Achilles, z pod oka się patrząc:
„Starcze, nie gniewaj mię teraz: już przedtem postanowiłem
Oddać tobie Hektora, bo miałem od Zeusa posłańca,
Matkę, swą rodzicielkę, córę staruszka morskiego.
Wiem też, w duszy odrazu postrzegłem, że ciebie, Pryamie,
Ktoś z mieszkańców Olimpu w okręty wprowadził achejskie.
Nie śmiał żaden-by mąż, choćby w kwiecie żywota swojego,
Wejść do obozu, bo czujnej-by straży pewno nie uszedł,
Ani zapory odsunął u bramy naszego domostwa.
Więc w mej duszy bolesnej udręczeń głębszych nie wzbudzaj,
Abym, starcze, na ciebie pod swoją się strzechą nie targnął,
Mimo, że błagasz litości, i Zeusa nie zgwałcił zakonu".
Tak odpowiedział; zatrwożył się Pryam i słowa usłuchał.
Syn zaś Peleuszowy, jak lew, ku drzwiom poskoczywszy,
Wyszedł z izby, a z nim poskoczyli dwaj towarzysze,
Automedon i mężny Alkimos, których w drużynie
Teraz Achilles po zgonie Patrokla najbardziej polubił.
Ci z pod szlemion rumaki i muły żywo odprzęgli;
Zaczém Pryamowego zwiastuna wwodzą do izby,
Tam go sadzają na krześle, a sami z wozu kutego
Wynagrodzenie zdejmują niezmierne za głowę Hektora.
Dwie jednakowoż opończe i szatę cienko utkaną
Pozostawili, by zwłoki odziane godziwie wyprawić.
Więc służebnice przyzwawszy, kazali myć i namaścić
Ciało Hektora; na stronie atoli, by Pryam nie ujrzał,
Aby go z wielkiej żałości na widok syna nie porwał
Gniew: nie powstrzymałby wtedy się syn Peleusza — Achilles:
Mógłby się rzucić na starca i Zeusa zgwałcić wyroki.
Gdy zaś trupa umyły i wskroś namaściły oliwą,
W szatę oblekły i pięknie utkaną okryły opończą.
Wziął go potém Achilles i sam na marach położył.
Zaczem dwaj towarzysze na wóz polerowny zanieśli.
Jęknął syn Peleusza, Patrokla boskiego wzywając:

„Menetyjczyku, jeżeli się dowiesz, to nie miej urazy
Tam w Hadesowej krainie, żem ojcu Hektora mężnego
Wydał: znakomitemi darami wykupił go przecież.
Z nich zaś znowu i tobie udzielę, co godzi się tylko".
Wyrzekł boski Achilles i znów do namiotu powrócił.
Siadł zaś w krześle misternej roboty, gdzie siedział i przedtem,
Tuż koło ściany namiotu naprzeciw Pryama i wyrzekł:
„Masz już, czego pragnąłeś, wydałem ci syna, Pryamie,
Leży na marach, a skoro się zorza rozbłyśnie poranna,
Ujrzysz go sam i zabierzesz. Teraz wieczerzę zgotujmy:
Wszak pięknowłosa Nioba i ta pamiętała o chlebie,
Gdy dwanaścioro jej dzieci kochanych zmarło w domostwie:
Córek sześć urodziwych i sześciu synów młodzieńców.
Tych pozabijał Apollo strzałami z łuku srebrnego,
Tamte — Artemis, bogini hałaśna, zemstą pałając:
Gdyż z pięknowłosą Latoną Nioba śmiała się równać.
— Dwoje zrodziła bogini, a ja dwanaścioro zrodziłam —
Tak wychwalała się, one też dwoje zabiły jej wszystkie.
Pozabijane przez dziewięć się dni przewalały: nie było
Komu pochować, bo ludzi w kamienie Kronida pozmieniał.
W dniu pogrzebali dziesiątym dopiero bogowie niebiescy.
Owoż jadła i ona, gdy płakać sił nie stawało.
Dziś w samotności pomiędzy skałami śród gór Sypilijskich,
Gdzie, powiadają, boginki siedzibę sobie obrały,
Nimfy i tany rozkoszne zawodzą u fal Acheloja:
Tam, choć w głaz obrócona, za dziećmi płacze swojemi...
To też, boski Pryamie, o chlebie i my pamiętajmy:
Dosyć się jeszcze napłaczesz i później za synem kochanym,
Do Ilionu zawiózłszy: oblejesz go łez strumieniami".
Rzekł szybkonogi Achilles i wstawszy, barana białego
Zabił: współtowarzysze ze skóry obdarli, sprawili
Zręcznie, porozdzielali na sztuki, na rożny wsadzili,
Potem piekli nad ogniem i z rożnów pozdejmowali.
Automedon, powoźnik, na stole chleb porozkładał
W pięknie plecionych koszykach, a mięso podzielił Achilles.
Dłońmi sięgają mężowie po przygotowany posiłek,
A gdy każdy i wypił i podjadł, ile zapragnął:
Pryam, sędziwy Dardańczyk, podziwiać jął Achillesa,
Jego urodę i wzrost, bo niebianom się zdawał podobny;
Ze swej strony Achilles nawzajem Pryama podziwiał,
Patrząc w zacne oblicze i słowa mądrego słuchając.
Gdy zaś naradowali się sobą dowoli obadwaj,
Wtenczas bogu podobny, sędziwy odezwał się Pryam:
„Miły Zeusowi Achillu, przygotuj łoże mi teraz,
Abym wypoczął i błogodawczego snu zakosztował:
Jeszcze bo oczy się moje pod brwiami i razu nie zwarły,
Odkąd syn mój ducha wyzionął pod twoim oszczepem;
Żale bez przerwy zawodząc i trawiąc się bólem niezmiernym,

W prochu się brudnym tarzałem w domostwie pośrodku dziedzińca:
Dziś zaś strawę przyjąłem do ust i zgasiłem pragnienie
Winem, pociechą dla serca, a wpierw nie tknąłem niczego".
Rzekł; zaś wnet towarzyszom i sługom kazał Achilles
Łoże zgotować w przedsionku: pięknemi derami je zasłać,
Wydzierganemi purpurą, rozłożyć kobierce ozdobne,
Na wierzch zaś kędzierzawe, otulne rozciągnąć opończe.
Wyszły sługi z komory, pochodnie w ręku trzymając,
I uwinąwszy się prędko, usłały łoża obydwóm.
Wtenczas z boga zrodzony Achilles odezwał się żartem:
„Kładź się, stareze kochany, w przedsionku, bo mógłby tu który
Z rajców achejskich przypadkiem zawitać; oni i w nocy
Do mnie często na radę przychodzą; przywykli do tego.
Niech zaś któryby z nich cię obaczył śród nocy pochmurnej:
Agamemnona Atrydę-by wnet uwiadomił, a wtenczas
Niecoby trudniej ci było odzyskać zwłoki synowskie.
Ależ powiedz mi jeszcze, Pryamie, prawdę rzetelną,
Ile dni potrzebujesz na pogrzeb Hektora boskiego,
Abym wiedział, jak długo mi czekać i wojsko wstrzymywać".
Na to bogu podobny, sędziwy odezwał się Pryam:
„Jeśli naprawdę zezwolisz Hektora uczciwie pochować,
Laskę, Achillu, tem samem i dla mnie wielką wyświadczysz.
Wszakże w grodzie zamknięci jesteśmy, a drzewo z odległych
Gór potrzebujem sprowadzać, Trojanie zaś strachem są zdjęci.
Przez dni dziewięć-bym chciał opłakiwać syna w domostwie,
Dnia dziesiątego pogrzebać i ucztę wyprawić ludowi,
Jedenastego mogiłę - by wznieść umarłemu wypadło,
A dwunastego do boju stawajmy, gdy taka konieczność".
Na toż znowu mu rzekł szybkonogi, boski Achilles:
„Zgoda, niechaj się stanie jak rzekłeś, Pryamie sędziwy,
Przez ten cały się czas, jako żądasz, powstrzymam od walki".

(S. Mleczko).

Opisem pogrzebu Hektora kończy się epopeja. (Całkowitych przekładów Iliady mamy sześć: F. Ks. Dmochowskiego (1801, 2-e wyd. 1805, 3-e wyd. 1827), Jacka Przybylskiego (1814), Stanisława Staszica (1815), Pawła Popiela (1880), Augustyna Szmurły (1887), Stanisława Mleczki (1894). Poszczególne pieśni tłómaczyli: Jan Kochanowski, S. Nagurczewski, Juliusz Słowacki, Józef Szujski, F. Balzer, Fr. Jezierski, Jan Czubek).

Odyseja.

Wszyscy uczęstnicy wyprawy trojańskiej dawno już wrócili do domu, tylko Odysej marnieje w niewoli u nimfy Kalipso, która chce go koniecznie zatrzymać przy sobie, biorąc za małżonka. Tymczasem na wyspie Itace okoliczni panowie, pewni, że Odysej już nie żyje, zalecają się natrętnie wiernej jego żonie Penelopie i, nie zważając

ani na nią, ani na dorastającego jej syna Telemacha, gospodarzą swawolnie w domu królewskim, dopóki jednego z nich nie wybierze za męża. Wreszcie lituje się nad Odysejem Atena i, korzystając z nieobecności Posejdona, nieprzejednanego wroga jego, prosi Zeusa, żeby się ujął za nieszczęśliwym jeńcem. Zeus przychyla się do prośby córki, czem zachęcona Atena pośpiesza do Itaki, namawia Telemacha do wyruszenia na poszukiwanie ojca i pod postacią Mentora towarzyszy mu w podróży. Telemak odwiedza Nestora w Pylos i Menelausa w Sparcie; Menelaus powtarza mu opowieść Proteusza, według której ojciec jego siedzi zapewne w niewoli u nimfy Kalipso na bezludnej wyspie Ogigii. Zalotnicy, zauważywszy nieobecność Telemacha, dowiadują się, co uczynił, i postanawiają zgładzić go, gdy będzie wracał, i w tym celu urządzają na morzu zasadzkę. Pod ten czas Odysej, uwolniony na rozkaz Zeusa przez nimfę, buduje sobie tratwę, a gdy powiał wiatr pomyślny, puszcza się na morze.

I tak dni siedemnaście pruł bezbrzeżne tonie;
W następnym ujrzał góry feackie w oddali,
Gdyż Feacy najbliżej tych tam stron mieszkali —
I te góry on widział jak tarczę zamgloną.
Właśnie od Etyopów, gdzie go tak raczono
Wracający Posejdon ze Solymskiej góry
Ujrzał, jak Odys płynął — i wnet gniewu chmury
Wybiegły mu na czoło, wstrząsł się, i sierdziście:
„Oho! — rzekł — coś innego bogi oczywiście
Myślą zrobić z Odysem; znać, żem nie był z niemi!
Bo już się do Feaków zbliża, gdzie z długiemi
Nędzami swych przeznaczeń kończąc, do Itaki
Wróci; lecz czekaj, jeszcze dam ci się we znaki!“
Rzekł, i bałwany wzruszył; chmur zgromadził nawał,
Trójzębem rozkaz wiatrom, jakie są, wydawał,
Aby dęły zaciekle; w tuman ląd i morze
Gęsty obwinął — że się stała noc na dworze;
Zerwał się i dął Eurus, Not, toż Zefir wściekły,
Toż mroźący Boreasz — i przestwór wód siekły.
A w Odysie zadrżało serce, drżą kolana:
Westchnąwszy, w sobie rzekła dusza niezłamana:
„Biada mi! czegoż ja tu nie dożyję jeszcze!
Nimfy słowa, jak widzę, sprawdzają się wieszcze:
Gdy przed powrotem do dom, mówiła, że w biédzie
Będę wielkiej na morzu. Ot do tego idzie!
Cóż tu chmur na niebieskie stropy Zews napędza;
Jak morze wzdyma; a jak wicher każdy, by jędza
Szaleje! — Teraz pewnie kres mój ostateczny.
Trzy, czterykroć szczęśliwy każdy Grek waleczny,
Co legł pod Trojąi, walcząc za swoje Atrydy.
Czemużem nie legł z nimi; czemu ostrzem dzidy
Nie przepędził mię który, kiedym bronił trupa
Pelida, a mnie grotmi parła Trojan kupa!
Byłbym pogrzeb miał piękny, w Achai — bym słynął —
Gdy teraz tak nędzną śmiercią będę ginął!“
Mówił to — wtem spiętrzony bałwan się nań rzucił
Wściekle, z góry w łódź lunął, zakręcił, przewrócił...

A i jego z pomostu zmiotło; ster mu z pięści
Wyrwało; a masztowe drzewo na dwie części
Zgruchotane, runęło wichrem, co szaleje
I co jednym podmuchem zdarł żagiel i reje...
Długo nurzał się w głębi Odys, choć co siły
Chciał wzbić się ponad wały, które go topiły.
Lecz darmo! Od Kalipsy suknie dane darem,
Nasiąknięte, ciągnęły na dno swym ciężarem.
Przecież wybił się na wierzch: morską wodę usty
Wypluł — z czaszki się lała całemi upusty.
Wżdy w tej trwodze o tratwie nie zapomniał wcale;
Dopadł do niej, przez wzdęte przebiwszy się fale,
I od śmierci niechybnej był uratowany.
Tam i sam statkiem jego miotały bałwany;
Jak Boreasz w jesieni suche osty miecie
Polem, a te splątane trzymają się przecie,
Tak i tratwą wichura tu i owdzie miota:
Boreasz ją na pastwę posyla do Nota,
Eur cisnął Zefirowi, by ją ścigał dalej....

Po niejakiej chwili znowu

Lądowstrzęsca Posejdon słał nań wał spiętrzony,
Ogrom jego rósł nad nim i lunął nań z góry —
A jako wicher plewy rozmiata i wióry
Z kupy, i tu i owdzie po polu je pędzi —
Tak rozmiótł jego tratwę. Odysej krawędzi
Belki uczepion, siedział jak na koniu na niéj.
Z darowanych przez nimfę wyzuł się ubrani...
Potem w nurt skoczył, fale rozcinał ramieniem
I raźnie płynął. — Widzi to morskich bóg toni,
Chmurnie głową potrząsa i te słowa roni:
„Płyńże, płyń! przez te wały przebijaj się w trudzie,
Póki się nie dostaniesz między zbożne ludzie —
Myślę, że ci tą biedą dałem się we znaki!“
To rzekłszy, biczem zaciął grzywiaste rumaki
I do Egeów przybył, gdzie miał gmach wspaniały.
Wtem Atenę już inne myśli podleciały.
Nagle wiatry, co dęły, naraz w kluby bierze,
Ucisza je i każe iść na swoje leże;
Li Boreasza pędzi, by wiał jego drogą
I fale łamał przed nim, póki na ląd nogą
Feacki on nie stąpi, ocalon z rozbicia.
Tak przez dwa dni, dwie straszne noce, broniąc życia
Od fal napaści, z morzem bił się bez ustanku;
Aż gdy w dniu trzecim zorza zeszła o poranku,
Naraz wiatr ucichł; niebios pogodne błękity
Odbijała wód szyba — a on falą wzbity
W górę, mógł już wyraźnie brzeg lądu rozpoznać.

Radość to, jakiej dziatwa może tylko doznać,
Gdy jej ojciec, gorączką śmiertelną trapiony,
Już-już kona, okrutnie męczon przez demony...
Naraz wraca do zdrowia; niebo gwoli dzieci
Uzdrawia go — taż radość w oczach mu zaświeci,
Gdy ujrzał ląd i lasu rąbek. Więc dołoży
Rąk i nóg, by do brzegu dobił się tem skorzej.

Wydostawszy się na ląd, Odysej znajduje gościnny przytułek u Alkinoja, króla Feaków. Alkinoj na wiecu postanawia odesłać rozbitka do domu, a tymczasem wyprawia dla niego ucztę, na której ślepy pieśniarz domowy Demodok opiewa spór Odyseja z Achillesem. Alkinoj dostrzegł wzruszenie gościa i zaproponował biesiadnikom szermierki gimnastyczne.

Rzekł i wyszedł, a za nim wyszła gości rzesza.
Keryks dźwięczną formingę na kołku zawiesza,
A pieśniarza za rękę wyprowadza z sali,
Wiedzie drogą, po której kniaziowie zdążali,
Idący na szermierskie patrzeć się igrzyska.
I tak szli wśród wielkiego gminu zbiegowiska
Aż na plac. Tam w zapasy z sobą wystąpili
Co najprzedniejsi z paniąt. Zaraz się schwycili
Akroneos, Okialos, dalej Elatreus,
Nautej, Prymnej, Achialos, z nimi Eretmeus,
Anabezynoj, Pontej; Prorej wyzwał Tona,
Amfial, syn Polimeja, co zrodzon z Tektona,
I Euryal, waleczny jak Ares, bóg wojny;
Toż Naubolides, wzrostem, kształtem tak przystojny,
Jak żaden — chyba tylko Laodam jedyny.
Wreszcie Alkinoosa dziarskie, rosłe syny:
Laodamos, toż Kalios, Klitonej, w zawody
Spróbują, kto do mety dobiegnie z nich wprzódy.
Od miejsca aż do kresu wytknięto im gony.
Kopną się: i biegł z nimi polem kurz wzniecony,
Alić wszystkich Klitonej pozostawił w tyle;
Jak dwa muły sprzęg wołów prześcignął — o tyle
On swych braci przegonił i przypadł do celu.
W twardych zapasach silę sterało tam wielu;
Zaś Euryal szermierzy co najlepszych pobił;
Amfialos najbujniejszy skok ze wszystkich zrobił;
W miotaniu kręgiem jeden Elatrej miał szczęście;
Laodamos najkrzepszy z wszystkich był na pięście.
Gdy widok tych tam igrzysk serca już nasycił,
Syn Alkina Laodam te słowa pochwycił:
„Sam tu moi! Spytajcie ot gościa, czy zna się
Na szermierce? czy szermierz? kształtem zacny zda się;
Bo te lędźwie, te łydy, te żylaste bary,
Kark gruby, pierś wypukła mówią, że chłop jary
I ognisty; lecz widać, że zjadła go nędza;
Woda morska to ponoś najzjadliwsza jędza

I najtęższego chłopa naraz z nóg obala".
Na to wyszła odpowiedź ta z ust Euryala:
„Trafnieś rzekł, Laodamie; jeśliś tak ochoczy,
Idź sam do niego, powtórz mu to samo w oczy".
Więc gdy syn Alkinoja usłyszał zachętę,
Przedarł się do Odysa przez tłumy ściśnięte.
„Gościu! pójdź z nami, w szrankach spróbuj się — powiada —
Jeśli umiesz; lecz pewnie tyś szermierz nielada.
Jakaż piękniejsza sława człeka wyżej wzbije,
Jak gdy rąk i nóg siłą przeciwnika zbije?
Więc spróbuj i te myśli chmurne strząśnij z duszy.
Odeślem cię niebawem — okręt twój wyruszy
Przygotowan w przystani, czeladź też gotowa".
Na to przebiegły Odys odparł mu w te słowa:
„Czemu mnie wyzywacie? czy z urągowiska?
Moje troski mi bliższe, niźli te igrzyska,
Bom się dużo nacierpiał i tak się wciąż biedzę,
Że jeśli w zgromadzeniu waszem tutaj siedzę,
To wciąż rwę się do domu i błagam w tęsknocie
Króla i lud, niech radzą o moim powrocie".
Na to Euryal tak mu z przekąsem odrzecze:
„Zaprawdę, tobie z oczu nie patrzy, człowiecze,
Byś się znał na szermierskich, szlachetnych zabawach.
Z tycheś raczej, co żywot swój trawią na nawach.
Możeś patron okrętu, włóczęga kupczący,
Stróż ładugi, towary sam dozorujący
Łapigrosz! Wcale miny nie masz na szermierza".
Odysej na to wzrokiem ukośnie go zmierza:
„Nie znam cię, lecz źle mówisz, jak młokos zuchwały!
Wiedz, że bogi nie wszystko naraz wszystkim dały,
Tak urodę, jak rozum, jak wymowę świetną;
Toż niejeden, co postać wziął lichą i szpetną,
Otrzymał z łaski bogów taki dar mówienia,
Że gmin się nim zachwyca, gdy bez zająknienia
Tnie wdzięcznie i poprostu — podziwia go mnóstwo;
Idącego przez miasto tłum wita jak bóstwo!
Inny znów, chociaż kształtem niebianom podobny,
Nie potrafi się w sposób wysłowić nadobny.
Toż i ty, taki śliczny, że nawet bogowie
Piękniejszego nie stworzą — a pustki masz w głowie.
Głupiem słowem aż do dna rozdarłeś mi serce —
Choć mogę ci zaręczyć, żem nie tryc w szermierce,
Jakeś twierdził. Jam niegdyś z pierwszymi się mierzył,
Pókim młodości mojej i ramionom wierzył.
Dzisiaj troski przysiadły; cierpiałem zbyt wiele
W bitwach z ludźmi, toż morskie zjadły mię topiele.
Lecz i dziś niezłomnego znajdziesz zapaśnika
We mnie, tak mię twa mowa boli i dotyka".

Rzekł to — i jak był w chlenie[1]), wstał i wziął do ręki
Krąg ciężki i nabity i nie tak maleńki,
Jak te, które Feakom służą do zabawy.
Zamłyńcował nim, cisnął szparko z ręki prawej,
Aż warknął — aż i głowy pochylą Feaki
Do ziem, te zawołane na morzach flisaki.
Tak głaz huczał i dalej poza metę padnie
Puszczon z ręki. Atena, gdzie upadł, znak kładnie
I przemieniona w człeka, ku niemu się zwraca:
„Cudzoziemcze! i ślepy, co rękami maca,
Znalazłby głaz twój; z wszystkich najdalej on leży
Niezmieszany z innemi. O, niech się nie mierzy
Nikt tu z tobą; zwycięstwo zawsze jest przy tobie!“

Zwycięstwem tem podbija sobie Odyseusz Feaków: w dowód uznania i czci składają mu kosztowne upominki. Podczas wieczerzy Odyseusz prosi Demodoka, aby zaśpiewał o koniu drewnianym,

a gęślarz boskiem nuż śpiewać natchnieniem,
Jak jedni, na burtowne wsiadłszy już okręty,
Odbijali, gdy obóz trawił pożar wszczęty;
Jak inni wraz z Odysem przesławnym Achaje
W koniu siedzą, przez Trojan oblężeni zgraje —
Bo wróg sam tego konia wciągnął był do grodu.
A tak, gdy wkoło mnóstwo radziło narodu
Nad tym koniem, trojakie dając o nim zdanie:
Raz, aby gmach wydrążny dać na porąbanie;
Znów, by z murów zamkowych strącić go na skały;
Lub dla bogów zachować pomnik okazały —
Co się też wkrótce spełnić miało w rzeczy samej,
Bo Troi przeznaczeniem runąć, jeśli w bramy
Swe wpuści konia, w którym tylu tam heroi
Greckich siedziało, skrytych na zagładę Troi.
Dalej śpiewał, jak Grecy po mieście hulali,
Gdy się z brzucha zdradnego konia wysypali;
Jak na mury zamkowe leźli ci i owi;
Jak Odys w Deifoba dworzec, Aresowi
Podobien, wpadł z Atrydą Menelem we dwójkę;
Jak twardą mu tam przyszło z wrogiem stoczyć bójkę;
Jak go zmógł, bo Atena wsparła go ramieniem.
Tak śpiewał boski piewca. Odys z rozrzewnieniem
Słuchał go; łzy mu z powiek lunęły nawałem —
Tak zawodzi niewiasta nad mężowskiem ciałem,
Zabitem pod murami, co je piersią bronił,
By dzień hańby od dzieci i miasta odgonił...
Ona widząc, jak z śmiercią męczy się, jak kona,
Obejmuje go, wyje... a tu rozjuszona
Kupa wrogów włóczniami plecy jej okłada,

[1]) Chlena — suknia wierzchnia, opończa.

I wlecze w jasyr, gdzie ją trud czeka i biada,
Gdzie ból rozpaczy krasę z lic kwitnących wyssie...
Taki ból łzy wyciskał i tobie, Odyssie!

Alkinoj pyta gościa o przyczynę wzruszenia, o jego nazwisko i koleje. Odyseusz wyjawia, kim jest, i opowiada swoje przygody od chwili, gdy wypłynął z pod zdobytej Troi. Zapędzony burzą na nieznane morze, miał ciężką przeprawę z dzikim jednookim cyklopem, którego przez ciekawaść chciał poznać i w tym celu, wziąwszy z sobą dwunastu ludzi, zapas wina i żywności, wysiadł na ląd i wszedł do jego groty. Nie zastali w niej olbrzyma; snać trzodę pognał na pastwisko. Na widok ogromnych zapasów serów, mnóstwa jagniąt i koźląt towarzysze srodze się napierali,

Bym dał im nabrać serów i drapnąć. Znów drudzy
Chcą na okręt gnać z obór ten dobytek cudzy,
Potem rozwinąć żagle i umykać cwałem.
Puszczam to mimo uszu (czemuż nie słuchałem!)
Chciało mi się go poznać, być jak gość podjętym —
Lepiej było się nigdy nie spotkać z przeklętym!

Cyklop wrócił dopiero nad wieczorem, wpędził trzodę do jaskini i zawalił wnijście ogromnym głazem, którego nie udźwignęłyby dwadzieścia dwa wozy czterokołowe. Wreszcie spostrzegł przerażonych gości i srogim głosem spytał, co za jedni i skąd przybywają? Nie zrobiła na nim wrażenia odpowiedź, że są greccy zwycięzcy zpod Troi, ani napomknienie, że Zeus czuwa nad podróżnymi.

Jędzon milcząc jął oczyma strzelać
I ręce wyciągnąwszy tam, gdzie stała czeladź,
Dwóch pochwycił i o ziemię cisnął, jak szczenięty —
Aż z czaszek mózg na ziem bryznął rozpryśnięty;
On zaś w sztuki podarłszy ciała, na wieczerzę
Pożarł ich, jak lew górski: a nawet się bierze
Do trzewiów, szpik wysysa i ogryza kości.

Po takiej wieczerzy usnął, a Odyseusz w pierwszej chwili chciał go zabić, ale zaniechał tego zamiaru, gdy przypomniał sobie, że nie byłoby komu odwalić kamienia, którym było zawalone wnijście. Nazajutrz rano

Dwóch ludzi znów mi porwał, sprawił do śniadania,
A zżarłszy ich, swą trzodę z jaskini wygania.
Jak nic głaz ów odsunął i znowu zastawił,
Rzekłbyś, że się z przykrywką u kolczana bawił.
I wielkolud gwizdając poszedł z trzodą swoją
W góry... a mnie tysiączne zamiary się roją
Do zemsty; byle pomoc dała mi Pallada!
Z wszystkich jednak najlepszą ta zdała się rada:
Pod obórką znalazłem drzewo jakieś duże
Z oliwnika ucięte; snać, nim zeń wystruże
Maczugę, chciał wysuszyć i rzucił ten kawał...
Drąg ten długości masztu, grubości masztowej,
Uciąłem był na sążeń; zachęcając słowy
Mych ludzi, aby kół ten do gładka siekierą
Ociosali; do czego rączo się zabierą.
Jam zaś koniec zaciosał i w ognistym żarze,

Ażeby hartu nabrał, osmalić go każę.
Poczem ożóg ten w mierzwę przed wzrokiem cyklopa
Skryłem, albowiem mierzwy była pełna szopa.
Schowawszy, wzywam czeladź, by losem ciągnęła,
Którym z nich padnie ze mną zabrać się do dzieła
I ożóg wbić mu w ślepie, zawiercić co siły,
Gdy spać będzie; i losy na czterech trafiły,
Których sobie życzyłem; ja sam byłem piąty.
O zmroku wrócił cyklop w domowe zakąty...
Głaz uchylon, gdy z paszy wracały bydlęta,
Teraz spuścił i brama szczelnie już zamknięta.
Zasiadł więc i jął kozy i owce beczące
Doić, lub pod nie sadzać jagnięta ssać chcące.
Z pracą gdy się uporał prędko, znowu bierze
Dwu naszych i sporządza sobie z nich wieczerzę.
Widząc to, jam się zbliżył doń o kroków parę
I rzekłem, niosąc w ręku wina pełną czarę:
„Pij, cyklopie! po mięsie ludzkiem wino służy!
Pij duszkiem — tego wina miałem zapas duży
Na statku; lecz w rozbiciu dla ciebiem ocalił
Ten bukłak, abyś mojej biedy się użalił
I odesłał do domu. Lecz cóż! tobą miota
Gniew taki, że nikomu nie przyjdzie ochota
Z śmiertelnych, próg twej jamy przestąpić bezpiecznie.
Oj cyklopie! tyś ze mną obszedł się niegrzecznie!“
Tak rzekłem; on wziął czaszę, wychylił do spodu,
I smakując, o drugą prosił tego miodu:
„Nalej jeszcze i gadaj, jak cię zowią, brachu,
Abym wet za wet mógł cię ugościć w mym gmachu?“..
Tak mówił — a jam pełną podał mu ochotnie;
I tak trzykroć nalaną, pił głupiec trzykrotnie.
Lecz gdy mocniej ów napój jął mu łeb zawracać,
Zacząłem pochlebnemi słowy zlekka macać:
„Chcesz wiedzieć? więc ci powiem, jakie miano noszę;
Toż wzajem o gościniec obiecany proszę.
Nikt — to moje nazwisko; Niktem woła matka,
Woła rodzony ojciec i woła czeladka“.
Rzekłem — a na to jędzon odrzekł: „Słuchaj, bratku!
Nikt zjedzon będzie; jednak zjem go na ostatku,
A tych tam pierwej pożrę — ot masz podarunek!“
Ledwo rzekł, runął na wznak; powalił go trunek.
Grzbietem tarzał się w kurzu; sen ciężki kamieniem
Przygniótł go, z paszczy wino lało się strumieniem,
Mięs kęsy wycharkiwał gardłem pijaczysko.
Wraz też kół wydobywszy, wsadziłem w ognisko
Ostrzem, a serca druhów krzepiłem, by który
W samej chwili działania nie wlazł gdzie do dziury.
Już też i kół oliwny, acz mokry, w tym żarze

Rozgrzał się i na ostrzu płomień się pokaże.
Więc wyciągam go szybko; przy mnie moje zuchy
Stali tuż i bóg jakiś dodał im otuchy:
Bo razem pochwyciwszy, cyklopowi w oko
Wbili go; jam na ożóg wdrapał się wysoko
I kręcił — tak jak świder okrętową belkę,
Gdy jeden nim kieruje, a drudzy za szelkę
Z dołu ciągną — on leci pędem wirującym —
Tak i my tym ożogiem, jak żar palającym,
Wiercim w ślepiu, aż ostrze krwią się zakurzyło;
Rzęsy, brew szczotkowatą zarzewie spaliło,
Wszystkie włókna trzeszczały, skwarząc się w źrenicy..
Jako kowal siekierę, ukutą w kuźnicy,
Kładzie w wodę do hartu, straszny syk powstaje,
Przez co mistrz swej robocie trwałą dzielność daje —
Tak syczało cyklopskie oko pod ożogiem...
Srodze zawył, aż wyciem odtętniła srogiem
Pieczara. My ze strachu wleźli w kąt głęboko.
Cyklop z oka kół wyrwał zbryzgany posoką
I od siebie precz cisnął w zajadłej wściekłości
I jął na gwałt cyklopy wołać, co w bliskości
Mieszkali po pieczarach skał wietrznych. Ci, owi,
Usłyszawszy krzyk wielki, w pomoc cyklopowi
Przybiegli i jaskinię obległszy dokoła,
Pytali, co się stało i po co ich woła?
„Polifemie! co tobie, że w tej nocy ciemnej
Tak wyjesz i nam spędzasz z powiek sen przyjemny?
Czy ci jaki śmiertelnik skoty twoje kradnie?
Czy samego morduje gwałtem albo zdradnie?“
Polifem na to z jamy tak im odpowiada:
„Nikt mię zdradą morduje; to nie gwałt lecz zdrada“.
Oni na to: „Jeżeli ciebie tu w jaskini
Nikt zdradą nie morduje, ni gwałtu nie czyni,
Toś chory z Zeusa woli, nic ci nie pomożem —
Módl się do ojca twego, który włada morzem“.

Oślepiając Polifema, Odyseusz ratuje się od śmierci, ale ściąga na siebie gniew Posejdona. Teraz zaczyna się prawdziwa niedola. Eol, bóg wiatrów, rozkazuje Zefirowi pędzić statki Odyseusza do domu, a inne wiatry dał mu w miechu zamknięte; ale gdy już zbliżał się do Itaki, usnął znużony, a jego towarzysze, mniemając, że w miechu znajdują się skarby, rozwiązują go, aby je obejrzeć... Wymykają się wiatry i odrzucają nawy napowrót do wyspy Eola. Odpędzony przez Eola, który poznał, że nad nim ciąży gniew bogów, dopłynął tułacz do kraju Lestrygonów; ci ludożercy zatapiają jego nawy prócz tej, na której znajdował się sam Odyseusz. Na wyspie Eei czarodziejka Kirke zamienia towarzyszów jego w wieprzki; na szczęście Odyseusz pozyskuje miłość czarodziejki, wyzwala swoich i po rocznym u niej pobycie udaje się do krainy zmarłych, żeby tam od wieszcza Tejrezyasza dowiedzieć się swojej przyszłości. Tu, u wnijścia do Erebu zarzyna dla uczczenia zmarłych kozła i barana; do ich krwi tłoczą się dusze, a Odyseusz poznaje w ciżbie swoją matkę, Agamemnona, Achillesa i t. d. Tejrezyasz oznajmia mu, że po wielu przygodach wróci do domu, ale sam jeden. Odyseusz widzi w głębi Hadesu sędzię Minosa, udręczenia Tytyosa, Tantala, Syzyfa, poczem wraca na wyspę Eeję, a stąd przepłynąwszy obok wyspy Syren, pomiędzy Scyllą i Charybdą, które mu porwały sześciu

ludzi, zawija do wyspy Trynakii, na której pasą się woły, poświęcone Heliosowi. Pomimo przestróg Odyseusza czeladź zabija woły; to też zaledwie statek puścił się w dalszą drogę, burza go rozbija, wszyscy toną i tylko Odyseusz wydostaje się na wyspę Ogigię, na której lat siedm przesiedział w niewoli u nimfy Kalipso.

Wysłuchawszy tej opowieści, Alkinoj odsyła Odyseusza do Itaki. Tu Atena dla bezpieczeństwa przemienia go w żebraka, okrytego łachmanami. Odyseusz posuwa się zwolna w głąb wyspy, ku miastu i przybywa do zagrody swojego pastucha nierogacizny Eumeja. Ten przyjmuje wędrownego dziada gościnnie, ubolewa przed nim nad losem zaginionego pana i skarży się na karygodną swawolę zalotników; gdy zaś usłyszał z ust gościa, że Odyseusz może powrócić, odrzekł:

„Nie myśl, starcze, że żona albo syn uwierzy
W to, co o nim donoszą przybłędy podróżne;
Tacy bowiem za kłamstwa i pochlebstwa próżne
Chcą gościnne przyjęcie wyłudzić w swej biédzie.
Toż gdy który włóczęga do Itaki przydzie,
Prosto sunie do pani i bajki jej gada;
Ona go podejmuje, o szczegóły bada;
Wzdycha za każdem słowem, łzy jej strugą cieką,
Jak zwyczaj u żon, którym mąż zginął daleko.
I ty mógłbyś jej bajkę zanieść tak uwitą,
Za coby cię chitonem i chleną okryto.
Ależ on, jej małżonek, dawno już umarły,
A psy i ptaki ciało z kości mu obżarły,
Lub zjadły ryby morskie; a kilka piszczeli,
Na brzeg rzuconych, gdzieś tam na piasku się bieli.
Niema go! swych przyjaciół zostawił w żałobie;
Mnie w największej! bo gdzieżbym znalazł pana sobie
Tak dobrego?

Nazajutrz do zagrody pastucha, prosto z nawy, którą tylko co szczęśliwie z wycieczki powrócił, przybywa Telemach i wysyła Eumeja do matki, żeby ją uspokoił. Po odejściu Eumeja Atena przywraca Odyseuszowi własną jego postać i ten daje się poznać synowi.

Młodzianek w zachwycie
Do serca cisnął ojca, łez wylewał strugi.
Rozbolał się, rozrzewnił tak jeden jak drugi;
Obaj głośno szlochali, kwiląc jakby ptaki,
Jastrzębie albo sępy, kiedy im chłopaki
Z gniazd wydrą nieudolne do lotu pisklęta:
Tak kwilili zawodząc oba niebożęta,
Że i słońceby zaszło, oni nie przestali...

Wtajemniczony w plan przyszłej walki z zalotnikami, Telemach udaje się do dworca królewskiego, a wkrótce potem, przemieniony znów w dziada, podąża do niego i Odyseusz w towarzystwie Eumeja. Biesiadujący zalotnicy oburzają się na żebraka, łają go i potrącają. Odyseusz znosi to cierpliwie, a wieczorem po rozejściu się biesiadników, wezwany do Penelopy, ma jej zakomunikować wieści o mężu. Wierna mężowi Penelopa żali się przed nim na swoją dolę i przykre położenie wobec zalotników.

„Powiem ci, że woń cnoty, urodę bogatą
Wydarli mi niebianie odtąd, gdy pod Troję

Szli Argeje, a z nimi Odys, szczęście moje.
Niechby on był powrócił i żył razem ze mną.
Sławąbym zajaśniała nie taką nikczemną!
Dziś z tęsknoty usycham, a różnych klęsk mnóstwo
Wciąż zsyła na mnie jakieś nieprzyjazne bóstwo.
Ilu bowiem władyków mieszka w tej tu stronie
Na lesistym Zakincie, Samie, Dulichionie,
I tych, którzy w słonecznej Itace rej wodzą, —
Wszyscy drą się do ręki mojej i dom głodzą.
Przeto mało się troskam o biednych żebrzących,
Lub cudzych, lub heroldów ludowi służących —
Jedno pamięci męża łzy moje poświęcam
I ciągle się natrętnym zalotom wykręcam.
Aż niebo mię natchnęło myślą wybiegliwą,
Żem na krosnach w mej izbie cieniutkie przędziwo
Nałożyła, by utkać ogromną oponę. —
I tak rzekłam do gachów: Chcecie mieć za żonę,
Mnie, wdowę po Odysie, młodzi oblubieńcy!
To czekajcie ze ślubem ni dłużej, ni więcéj,
Aż się zwinę z zaczętą na krosnach robotą!
Przędza w niweczby poszła — a mnie idzie o to,
Aby miał piękny całun Laertes mój stary,
Gdy go w czarnej godzinie śmierć weźmie na mary.
Toż szydziłyby ze mnie achajskie kobiéty,
Gdyby pan taki wielki leżał nieokryty.
Tak rzekłam wybiegliwie — i zmiękły ich serca.
Odtąd dniem pracowałam około kobierca,
Prując nocą przy żagwiach, com za dnia utkała:
Tak-em ich przez trzy roki wciąż oszukiwała.

Lecz niepoczciwe sługi zdradziły tajemnicę gachom i Penelopa musi nareszcie wybór wśród nich uczynić. Odyseusz pociesza ją zapowiedzią, że mąż wkrótce powróci, bo wiadomo mu z pewnością, że teraz gości u Feaków.

Roztropna Penelopa odrzekła mu słowy:
„Oby się twe spełniły, gościu, obietnice!
A tak cię udaruję, przyjaźnią zaszczycę,
Że każdy, co cię spotka, zazdrością zapała.
Lecz już wiem, co się stanie, jakbym przeczuwała:
Ani Odys nie wróci, ni ciebie w twe strony
Odeślą — bo ten dom nasz już osierocony.
Niema w nim Odyseja! Gdy on gospodarzył,
I gościa przyjąć umiał i hojnie obdarzył.

Mimo to wzruszona pomyślnemi wiadomościami królowa każe Euryklei, niegdyś piastunce Odysa, umyć nogi tułaczowi.

A starka miednik wraz przyniosła śliczny
Do nóg mycia i wlała w niego zdrój krynicny,
Przymieszawszy coś wrzątku. Odys przy ognisku

Usiadł, lecz się odwrócił w ciemność od połysku,
Bowiem pomyślał sobie, że przy tem nóg myciu
Blizna, jaką ma, łatwo podpadnie odkryciu...
Właśnie starka tę bliznę pod dłonią spotyka —
A poznawszy — jak miała nogę jego w ręku,
Tak puściła — ta w miednik upadła i brzęku
Narobiwszy, naczynie z wodą przechybnęła.
Ona trwogą zadrżała, radością spłonęła,
Głos jej zastygł, a łzy się cisną — lecz wzruszenie
Przeszło... i już podbródek głaszcząc mu pieszczenie,
Rzekła: „Synu! Tyś Odys; jam ciebie, mój panie,
Nie mogła pierwej poznać, aż ot po tej ranie".
I w stronę Penelopy wzrok jej promieniący
Znać dawał, że to mąż jej, Odys wracający.
Lecz królowa na migi te nie uważała,
Gdyż Atena gdzieindziej myśl jej skierowała.

Na szczęście udało się królowi uspokoić Eurykleję i skłonić ją do zachowania tajemnicy. Nazajutrz Penelopa z natchnienia Ateny zjawia się w komnacie biesiadnej, z której Telemach uprzątnął już wszelki oręż, i oznajmia zalotnikom, że zdecydowała się przyjąć za męża tego z nich, kto naciągnie łuk Odyseusza i strzałę z niego przepędzi przez ucha dwunastu siekier. Propozycya zostaje przyjęta, ale nikt łuku napiąć nie może. Odyseusz ujmuje łuk i, napiąwszy go bez trudu, z popisu wychodzi zwycięsko. Wówczas, mając już zapewnioną sobie pomoc Eumeja i drugiego wiernego pastucha, daje znak Telemachowi, że nadeszła chwila stanowczej rozprawy. Telemach z mieczem zbliża się do ojca i staje obok niego w progu. Odrzuciwszy łachmany i wysypawszy strzały z kołczanu, Odysej wskoczył na próg i w Antynoosa puścił „gorzką strzałę",

Właśnie gdy ten po czaszę złocistą, dwuuszną
Sięgał, i już ją ręką schwyciwszy posłuszną,
Chciał do ust podnieść; umrzeć ani mu się śniło.
Któżby myślał przy godach, gdzie ich tylu było,
By się tam ktoś odważył, choćby jak waleczny,
Zgotować mu los czarny i wtrącić w cień wieczny?
Lecz Odys weń zmierzywszy, trafił w samo gardło,
Że aż przez kark żeleźce nawskroś się przedarło,
Czasza z rąk się wyśliznła, gdy padał ukosem;
I zaraz promień czarnej krwi buchnął mu nosem.
Precz od siebie kopnęły stół drgające nogi,
Że się wywrócił; misy zasłały podłogi,
Chleb i mięsiwo w kurzu brudnym się zwalało.
Widząc gachy, jak padał, krzykiem izbę całą
Napełnili, ze swoich zerwali się stołków,
I przebiegając izbę od kołka do kołków,
Szukali po wszech ścianach w zajadłym ukropie —
Lecz ani jednej tarczy nie było, ni kopje,
Więc grożąc, Odyseja karali słowami:
„Na złeć wyjdzie, włóczęgo, żeś śmiał zadrzeć z nami!
Ale sztuka do razu; pójdziesz wnet do ojców
Za zabójstwo pierwszego z itackich młojców.
Żywot twój policzony; sępy cię tu zjedzą!"

Tak mu grozili w szale; bo iście nie wiedzą,
Czy zabił go umyślnie. Głupcy ani marzą,
Że skrzydła blizkiej śmierci nad nimi się ważą.
Na to Odys — i przebił ich źrenicą swoją:
„Psy jakieś, myśleliście, żem poległ pod Troją?
Że nie wrócę? Więc dalej rej wodzić po domu....
Jakby bogi nie mogły tych szaleństw ukrócić,
Jakby wam język ludzki mógł przepuścić płazem!
Lecz dosyć — wyrok śmierci padł na wszystkich razem".
To rzekł; a blady przestrach ogarnął zbytniki:
Ten i ów radby umknąć z tej zabijatyki.
Sam tylko Eurymachos zdobył się na słowo:
„Jeśliś itacki Odys, wracający zdrowo,
Słusznie karcisz za gwałty te nasze Achiwy,
Za te w zamku i włościach wyprawiane dziwy.
Lecz sprawca tych bezeceństw przed tobą tu leży,
Antynoj — on nas ciągle kusił do grabieży.
Nie tyle o żeniaczkę widać mu chodziło,
Jak o większe, co z wolą Kronjona nie było.
Owóż chciał on sam królem zostać nad Itaką,
A syna twego sprzątnać śmiercią ladajaką.
Ma już, na co zarobił! A więc zlitujże się
Nad nami; każdy chętnie, co porwał, odniesie;
Za to, cośmy najedli, napili z tych stołów,
Każdy ci przyprowadzi po dwadzieścia wołów,
A dla zgody dołożym, co chcesz: miedzi, złota,
Póki cię nie zjednamy — gniew twój nie dziwota!"

Odyseusz odrzuca zgodę i wszystkim zapowiada zagładę. Wówczas Eurymach zachęca towarzyszów do napaści na wroga

I zaraz dobył obosieczny, miedny
Koncerz, i z podniesionym na Odysa bieżał
Z srogim krzykiem; a Odys właśnie co wymierzał
Łuk swój i w same piersi celował pociskiem,
Że aż w głębi wątroby uwiązł mu ze wszystkiem.
Ręka miecz wypuściła — on sam runął krwawy
Przez stół i na podłogę pozrzucał potrawy
Z dwuuszną czaszą; wił się, czołem tłukł po ziemi,
W bólach konania kopiąc nogami obiemi,
Zwalił stołek i oczy nocą się powlekły.
Wnet też i Amfinomos wyskoczył jak wściekły
Przeciwko Odysowi z wzniesionym brzeszczotem,
By go z drzwi wyparować; lecz Telemach lotem
Zabiegł mu; w same plecy, pomiędzy ramiona
Wraził kopię.

Śmiertelna walka toczy się z obustronną zaciętością. Nareszcie Atena potrzęsła

Egidą ludobójczą i jakby ukropem
Zwarzyła serca gachów. Popłoch na nich pada;

Uciekają po izbie niby wołów stada,
Kiedy na nich rój bąków siądzie nielitośny
I tnie żądłem, co bywa w dniach przydłuższych wiosny;
Ci zaś jak krzywodziobe, szponiaste sokoły,
Gdy z gór lecą na ptastwo polować w padoły...
Tak i oni, te gachy goniąc w całej izbie,
Zabijali każdego; czasem tylko w ciżbie
Jęk był głuchy, gdy czaszka zgrzytnęła zrąbana,
A podłoga dymiła, krwi strugą zalana.

(Lucyan Siemieński).

Pokonawszy wreszcie zalotników i ukarawszy śmiercią niewierne służące, Odyseusz daje się poznać Penelopie, która za sprawą Ateny całą tę morderczą walkę przespała. Małżonkowie zwierzają się ze swych przygód i cierpień. Nazajutrz Odyseusz udaje się za miasto do sędziwego ojca Laertesa, który zwątpiwszy już o powrocie syna, zgnębiony jego utratą, resztę życia trawił w wiejskiej zagrodzie na pielęgnowaniu drzew owocowych. Gdy się obaj cieszą, tłum mieszkańców, zbuntowanych przez ojca Antynoosa, napada na zagrodę. Ale Odyseusz z garstką wiernych uderza na nich i wsparty przez Atenę, odnosi zwycięstwo; walka kończy się pojednaniem króla z swoim ludem.

(Całkowitych przekładów Odysei na język polski mamy cztery: Jacka Przybylskiego 1815, Klemensa Żukowskiego 1846, Antoniego Bronikowskiego 1859, Lucyana Siemieńskiego 1874, drugie wydanie 1877, trzecie wyd. 1882. Niektóre pieśni tłómaczyli Fr. Ks. Dmochowski, Wincenty Szmaczniński).

C) Hymn do Apollina.

We wstępie maluje poeta potęgę boga słońca, na którego spojrzenie powstają inni bogowie a nawet Zeus gromowładny, tylko matka Apollina

Sama Latona, z nim razem złączona
Na syna swego wejście nie powstaje,
I łuk, co wzniosłe nosiły ramiona,
Zdejmuje z niego; jej kołczan oddaje,
Spuszcza cięciwę, co zbyt natężona,
I co strzał płytkich jeszcze pozostaje,

Wszystko to składa za złotym filarem,
A wtem Zeus syna zasila nektarem.
Wówczas dopiero siadają bogowie,
A matka z syna swojego się cieszy.
Ciebie uwielbiam i szczęśliwą zowię,
Wzniosła Latono, wpośród niebian rzeszy.

Dnia pogodnego sprawco wielowładny!
Jak cię uwielbiać godnie, Apollinie?
Z ciebie rytm płynie dotkliwy i składny;
Tyś uczył, jak wieść, paść trzody w dolinie
Gór miłośniku! gdzie przystęp niesnadny,
Bierzesz spoczynek w cienistej krzewinie.

Miłe ci w chłodzie takowe siedliska,
Gdzie zdrój szumiący z opoki wytryska.

Następnie opiewa niebezpieczeństwa i trudy, na jakie narażona była Latona z powodu prześladowania jej przez zazdrosną Herę. Nigdzie przytułku znaleść nie mogła, wreszcie wyspa Delos posępna i dzika dała się ubłagać i przyjęła Latonę. Tu się urodził Apollin pod opieką bogiń Rei i Temidy, która napoiła niemowlę nektarem z Olimpu przyniesionym.

Skoro napoju tego zakosztował
Potargał więzy, a zdziwione bogi
Czekały, z nimi jak będzie obcował.
On widząc orszak wkoło siebie mnogi,
Rzekł: „Odtąd ludziom będę prorokował,
Będę uśmierzał żale, zmniejszał trwogi,
Dajcie mi lutnię do słodkiego grania,
Kołczan, łuk, strzały, znamię panowania".

Szedł, a wiatr igrał z włosy, co spadały;
Trzymał grot w ręku; smutne okolice
Delosu wdzięczną postać przywdziewały,
Delosu, co ma ścieśnione granice;
A czego inne pobliższe żądały,
Chlubny, iż bóstwa osiągnie świątnicę,
Nad inne wyspy iż został wzniesiony,
Przez Apollina za wolą Latony.

Świątynia, na wyspie Delos założona, ściąga ku sobie tłumy pobożnych pielgrzymów. Poeta nie zapomina i o sobie, mówiąc:

Pozdrawiam ciebie, Dyano, Latono,
I ciebie, wielkie bóstwo, Apollinie!
Delos! jeżeli przyjmiesz na twe łono
Przychodnia, który do ciebie zapłynie
I będzie pytał: kogo tu mieszczono,
Kto był u ciebie, co pieśniami słynie?
Powiedz: przyszedł tu był niegdyś zdaleka,
Z gór Chijos, nędzny i ślepy kaleka.

Miłe nam dotąd i w pamięci trwają
Pieśni, które tu, będąc u nas, śpiewał;
Dotąd je chętnie nasi powtarzają;
I czego on się może nie spodziewał
Pochwały jego nigdy nie ustają.
Przychodzień, choćby na to się zdumiewał,
Gdy pieśń usłyszy, zdumienie uśmierzy,
Westchnie i waszej powieści uwierzy.

Przedstawia dalej poeta wstąpienie Apollina na Olimp i powszechne wśród bogów rozradowanie pod wpływem jego czarownych pieśni. Wspomniawszy potem w krótkości o wędrówkach Apollina po Grecyi, zatrzymuje się dłużej nad dziejami świątyni w Delfach, którą on sam dźwignął, a zabiwszy straszliwego potwora Pytona, zesłanego

przez zawistną wciąż Herę, dzieła dokonał i sprowadził do Delf Kreteńczyków, dążących do Pylos, przemieniwszy się w delfina i łódź ich do wybranej przez siebie miejscowości skierowawszy. Mieli oni zostać kapłanami świątyni, której wieszczby zasłynęły po całej Helladzie. Gdy im wolę swoję objawił,

. . . . . Posłuszni rozkazom żeglarze
Natychmiast żagle okrętu spuścili,
Bóstwu, co ściśle nagradza i karze,
Naprędce z darnia ołtarz postawili:
Mąki, owoce, kwiaty, nabiał, w darze,
Miotając w ogień, bóstwu poświęcili.
Sprawiwszy ucztę, przez onej ciąg cały
Apollinowe śpiewali pochwały.

Szli zatem w górę ku bożej świątnicy:
Im strzałolotny Apollo przodkował;
Śpiewali jego pieśni ofiarnicy,
On tony dawał i dźwięki wskazował.
Choć ciężki przystęp wzniosłej okolicy,
Bożą się sprawą żaden nie zmordował.
Wskazał wspaniałość przybytku swojego;
A wódz kreteński tak mówił do niego:

„O wielowładny! któryś nas prowadził,
Powiedz, jak dalsze mamy pędzić życie".
Rzekł strzałonośny: „Na tom was osadził,
Byście mych darów użyli obficie,
Lud, który będzie do mnie się gromadził,
Wielkiemi tłumy śpieszący ujrzycie;
Wszystkich przyjmować wy będziecie sami,
Których świątnicy czynię strażnikami.

„Przyjmujcie trwożnych, troskliwych, zbłąkanych,
Niech ulgę w waszej dobroci uczują,
Miejsce to czynię pociechą stroskanych,
Błędni niech miły spoczynek znajdują.
Niech słyną Delfy w wieszczbach pożądanych,
A te w umysłach waszych niech wiekują!"
Ten wyrok daleś, bóstwo wiekopomne!
Nigdy ja pochwał twoich nie zapomnę.

(Ignacy Krasicki).

D) Żabo-mysza wojna (Batrachomyomachia)

(Poemat żartobliwy; autorem jest podobno Pigres).

Mysz ścigana przez kota, przybiegłszy nad jezioro, wdaje się z żabą (Odmipyskiem) w rozmowę o wzajemnym trybie życia, a zaproszona przez żabę wsiada na jej grzbiet i płynie do jej siedziby. Wtem ujrzawszy węża, zapomina żaba o swoim gościu

i zanurza się w wodę. Tonącą spostrzega mysz inna i donosi towarsyszkom o tym wypadku. Król myszy Gryzander, ojciec owej nieszczęśliwej, zwołuje zebranie i tak przemawia:

„Przyjaciele, jakkolwiek ja jestem najbardziej skrzywdzony
Przez nikczemny czyn żab, to morderstwo każdego dotyka.
Ach! nieszczęśliwy ja ojciec, już wszystkich trzech synów straciłem.
Najstarszego udusił drapieżny kot, wróg nasz najsroższy,
Koło nory pojmawszy; drugiego znów nienawistni
Ludzie do zguby przywiedli, przeciwko nam wynalazłszy
Sztuką tajemną fortel drewniany, który zowią pułapką,
Rodu mojego zagładą. Pozostał trzeci najmilszy
Dla mnie, a także dla matki czcigodnej, i tego utopił
Niecny Odmipysk, zawiódłszy na głębię... Dalej, do broni!
Śmiało na nich natrzyjmy, przywdziawszy misterne pancerze".

Myszy na rozkaz króla, robią przygotowania do boju:

Najprzód zbroją swe nogi w bezpieczne nogolenniki,
Sztucznie zrobione z łupiny zielonych bobów. Te boby
Sami wojacy umyślnie spożyli na nocnej wycieczce.
Dalej biorą pancerze, ze skóry kociej uszyte;
Tarcze były z przykrywek od lampy, zaś szpilki sążniste
Kopje zastępowały, Aresa[1]) broń miedziolitą.
Wreszcie hełmy wkładają, zrobione z łupiny orzecha.

Wysyłają następnie herolda do żab z wypowiedzeniem wojny. Odmipysk nakazuje poddanym swoim przysposobić się do walki:

Najprzód nagolenniki zbijają z liści ślazowych,
Potem wkładają pancerze z pięknej zielonej bocwiny,
Tarcze były kunsztownie zrobione z liści kapusty;
Każdy u boku niósł miecz obosieczny i ostry jak żądło,
Zaś skorupy najlepszych ślimaków za hełmy służyły.

Gdy już zastępy zbrojne gotowe były do boju, Zeus na zebraniu bogów, zwracając się do Ateny, wyraził przypuszczenie, że ona zapewne sprzyjać zechce myszom, które licznie się po jej świątyniach gromadzą, zwabione wonią tłustości i innych przysmaków ofiarnych. Atena wszakże odparła:

„Ojcze mój, w żadnym wypadku nie mogłabym myszom pomagać
W ich tarapatach, gdyż wielu szkód są sprawcami,
Wieńce niszcząc w świątyni i lampy dla tłustej oliwy.
Lecz najbardziej się martwię tem, co niedawno zrobiły,
Na nic pogryzłszy mi suknię nadzwyczaj mozolnie utkaną
Z wątku doborowego....
Żabom też nie mam ochoty najmniejszej pomagać, bo również
Są-to stworzenia nieznośne. Niedawno naprzykład wróciłam
Z wojny okropnie zmęczona i snu spragniona słodkiego;
Wtedy takie kwakanie podniosły, że oka zmrużyć nie mogłam,
Wreszcie pierwsze zapiały koguty i promień zabłysnął poranny".

(Z. Straszewicz).

[1]) Ares, bóg wojny, u Rzymian Mars.

Na wniosek Ateny, bogowie postanawiają nie mieszać się do walki, grzmotem tylko dając hasło rozpoczęcia bitwy. Dzielnie się popisywały oba zastępy, wielu z obu stron poległo, lecz gdy Gryzander ranił śmiertelnie Odmipyska, a na żaby się zawziął najmężniejszy z pomiędzy myszy Szarpacz niezwalczony, Zeusa zdjęła litość i zamierzył wysłać Aresa na pomoc żabom; lecz Ares nie sądzi, ażeby albo on albo Pallada mogły odwrócić zagładę ziemnowodnych, potrzeba na to albo całej potęgi bogów, albo piorunu. Zeus ciska piorun, lecz zawzięty zastęp myszy nie dał się odstraszyć; naciera on z całą gwałtownością. Wówczas Zeus zesłał żabom pomocników: były to raki:

Nożyce mają ostre, a pazury krzywe,
Grzbiet twardy, wąsy długie, tyłem zawsze idą.
Napróżno na nie myszy nacierają dzidą;
Dzida pęka na rakach niezwalczonych bronią.
Nakoniec żab zwycięscy ucieczką się chronią...
Tak skończyła się walka z jednego dnia końcem.

(B. Kiciński).

(Pierwszy przekład Batrachomyomachii na język polski p. t. „Żabo-mysza wojna“ dał Paweł Zaborowski, Kraków, 1588, drugi — Jacek Przybylski, Kraków, 1789 z tekstem greckim obok, trzeci — Bruno Kiciński, Lwów 1813, Warszawa 1841 w „Antologii greckiej“; czwarty — Zygmunt Straszewicz, w „Wędrowcu“ 1885, N. 31, 32; są tu własne dodatki tłómacza, ale ton bardzo szczęśliwie pochwycony).

II. HEZYOD.

A) Teogonia.

Jest to urywek tylko obszernego poematu o pochodzeniu bogów wedle wyobrażeń helleńskich. Poeta rozpoczyna od wskazania siedziby i znaczenia Muz, które obdarzyły go darem wieszczym tak, że poznał, co było, co jest i co będzie; one też kazały mu wieczny ród „szczęśliwych“ opiewać, wzywając ich na początku i na końcu swej pieśni. Wylicza tedy dziewięć Muz i określa ich pochodzenie, a zarazem ich dobroczynną działalność:

Kogo córy wielkiego Zeusa uczcić raczą
Z boskich chowanków, królów, skoro go zobaczą
Na świat przychodzącego, wraz jemu najwcześniej
Wylewają na język dary słodkiej Pieśni.
Z jego ust pełny strumień słów łagodnych płynie,
On zwróci na się oczy wszystkich ludzi w gminie,
On w spraw sądzeniu prawdę od fałszu rozróżni,
Prędko umorzy kłótnie, mówiąc najostróżniéj
Przeto też najmędrszymi są królowie owi,
Co skrzywdzonemu prawa wracają ludowi.
Szczęśliwy i bezpieczen bywa król takowy,
Przystępny, mówi wszystkim uprzejmemi słowy;

A gdy idzie przez miasto, rzesza ludu mnoga,
Z chętnem uszanowaniem wielbi go jak boga;
On zaś przewyższa wszystkie stany zgromadzone
Wznioślejszy przez duszę, niźli przez koronę.
. . . . . .
Kogo kochają Muzy, ten już jest poetą;
Słodki głos z warg mu płynie słuchany z zaletą.
Bo gdy się kto zasmuci ciężko utroskany,
Ból w sercu cierpiąc z świeżo zadanej mu rany:
Niech poeta, ofiarnik Muz, pamiętne dzieje
Z winną pochwałą ludzi starożytnych pieje,
Albo szczęśliwych bogów hymnem wielbić pocznie,
Co z Olimpu świat cały sprawują widocznie:
Wraz tamten w niepamięci topi swe kłopoty,
Zapomina do szczętu bólu i zgryzoty;
Bo ten jest nieśmiertelnych bogiń dar, iż skoro
Słucha pieśni, wraz wszystko złe od niego biorą.

Wezwawszy tedy Muz, opiewa poeta potomków Chaosu i Gei (Ziemi), Tytanów, Uranosa i Kronosa, narodziny Mojr (Park), Olbrzymów i Afrodyty, dzieci Nocy, Zwady, Pontu i długi szereg cór Nereusza, dzieci i wnuki Okeanosa, przywileje rzeki Styksu z jej potomstwem, wielką władzę Hekaty, oszukanie Kronosa przez ukrycie Zeusa przed jego żarłocznością, losy synów Japeta, a mianowicie Prometeusza, utworzenie Pandory, od której, wedle Hezyoda, pochodzi ród niewieści i przyczyna wszech nieszczęść:

Obłudne wpośród mężów śmiertelnych kobiety,
Nie pociechy w ubóstwie, lecz zbytku podniety!
A jak pszczoły szerszeniów w pokryte pszczelniki
Pochowawszy, złych robót karmią uczestniki,
Same aż do zachodu słońca przez dni całe
Śpieszno robiąc i plastry układając białe;
Szerszenie zaś, co wewnątrz pszczelników zostają,
Miody cudzej roboty do żołądków tkają:
Tak równe złe śmiertelni męże od Jowisza
Wzięli — kobietę — przykrych robót towarzysza...
Szczęśliwy, komu dobre śluby są zdarzone,
Iż pojął i wstydliwą i roztropną żonę!
Dlatego złe od wieków dobremu zrównywa.
Lecz jak dola owego bardzo nieszczęśliwa,
Co mu się złego rodu niewiasta dostanie,
Żyje, karmiąc w wnętrznościach wieczne utroskanie.
Tysiąc kłopotów myśl mu i serce kaleczy,
A jego złego żadne lekarstwo nie zleczy...

Następnie przedstawia poeta walkę Zeusa (Jowisza) z Tytanami, walkę, w której uwolnieni przez Zeusa z otchłani olbrzymi: Kottos, Bryarej i Giges najdzielniejszymi stali mu się pomocnikami, zwycięstwo na jego stronę przechylając:

Codzień się stron obydwóch pasowały siły.
Więcej niż przez lat dziesięć bitwy się toczyły.
Nie było widać żadnej w pokłóconych zgody,

Ni się kończyły jednym i drugim zawody,
A zawsze się jednaki koniec wojny jawił.
Lecz gdy im Jowisz wszystko dogodnie zastawił:
Nektar i ambrozyją, czem bogowie sami
Żyją, z porosłemi się uczują sercami.
Rzekł zaś bogów i ludzi Ojciec słowem takiem
Do sytych ambrozyi i nektaru smakiem:
„Słuchajcie mnie, cne dzieci Urana i Ziemi!
„Niech się wam dziś otworzę z myślami mojemi!
„Już jedni przeciw drugim walcząc ostro wzajem
„Codziennie o królestwo cios sobie zadajem.
„Chcą królować Kronidzi, chcą bogi — Tytany,
„Dotąd zaś i wy i my nie mamy wygranej.
„Lecz których siła wielka i niezwyciężona.
„Wy pokażcie na wojnie Tytanom ramiona.
„Pamiętni przyjacielskiej usługi, jeżeli
„Czujecie, jak niedawno wieleście cierpieli,
„Z jakiegoście więzienia do światła wrócili,
„Bośmy was naszą radą z ciemności dobyli".
Tak rzekł: jemu zaś Kottos ogromny odpowie:
„Szczęśliwy! to, co wiemy, wspominasz w twej mowie.
„Znamy to, że celujesz między bogów tłumem
„Sercem odważnem i że celujesz rozumem,
„Potężny Nieśmiertelnych skrzywdzonych mścicielu!
„Ty ich od klęsk okropnych ocaliłeś wielu.
„I my sami winniśmy twojej roztropności,
„Że znów wyrwani z przykrych więzów i ciemności,
„Wiele niespodziewanych nieszczęść wycierpiawszy,
„Powracamy, Kronosa synu najłaskawszy!
„Więc teraz, królu! na twej polegając radzie,
„Stałym umysłem ciebie bronić będziem w zwadzie,
„W najmocniejszych utarczkach zwalczymy Tytany,
„Żeby ci rząd najwyższy świata był przyznany".
Tak rzekł — a wszystkie bogi, plemię, Kronidowe,
Wysłuchawszy Kottosa, pochwaliły mowę.
Wraz wszyscy pożądali spotkać się najjawniej,
Kto mocniejszy, — daleko usilniej, niż dawniej.
Wraz był powszechny pożar wojny obudzony,
Gromadno przeciw sobie wstały obie strony.
Był i kobiet i mężczyzn w dzień ów zapał srogi,
Ruszyli się Kronidzi i Tytany bogi,
Wszyscy, — ruszyli i ci z ramiony silnemi,
Co ich Jowisz z Erebu wydobył z pod ziemi.
A ci byli potężni, bystrzy, srodzy męże,
Mający ręce trwalsze nad wszelkie oręże.
Każdemu razem sto rąk z ramion wyrastało,
I na karku pięćdziesiąt głów razem sterczało.
A ogromnością członków hartownych straszyli.

Tacy przeciw Tytanom wtenczas się stawili!...
A niemniej im groziły i dobrane bronie, —
Bo skałami przesilne uzbroili dłonie.
Tytany z drugiej strony pułki szykowały
Skwapliwie, czyniąc i rąk i sił przekaz śmiały.
Wtedy niezmierna burza morska zaryczała,
Echo głośno po ziemi rozległej huczała —
I szerokie niebiosa gruchem się ozwały,
Chwiał się z podwalinami długi Olimp cały.
Gdy już między bogami przyszło do poswaru,
Straszne wstrząśnienie doszło ciemnego Tartaru,
I szelestny nóg tęten i zmieszane chrzęsty
Nieustanne — i grotów przesilnych mach gęsty,
I szczękliwe pocisków miotania, — a głosy
Śmielących z dwóch stron poszły w gwiaździste niebiosy.
Gdy na siebie z hałasem lecą, — w ową chwilę,
Nie mógł już dłużej Jowisz powściągać się w sile.
Bo rozjątrzony w sercu trząsł się z gniewu cały,
A wszystkie mu się bronie z ręku wydzierały.
Szedł z Nieba i z Olimpu, a ustawnie błyskał —
I z silnej dłoni z grzmotem pioruny wyciskał
Szybko, gęste zaś zewsząd rozpuszczał postrzały,
A wokoło nich święte płomienie latały.
Ryczały zapalone rodzajne równiny,
Trzeszczały ogniem lasu gęstego czupryny.
Na ziemi i na morzu tliły się pożary,
Ogarnęły Tytanów ziemskich ciepłe pary.
Zewsząd się łuny oko rażące zabłysły,
I w boskiem się powietrzu szeroko rozprysły,
A wzroku najbystrzejszej pozbawiał źrenicy
Jary oświt pioruna i mig błyskawicy.

Już pożar i Chaosa niezmiernego ima,
Zdał się uszami słyszeć i widzieć oczyma;
Tak ku sobie czynili niegdyś szybkie skoki.
Z największym rumem Ziemia i Uran wysoki!
Ziemia się rozstąpiła; — a Uran spadł z góry.
Tak rum wydały bogów zaczepne napory!
Pył i kurzawę wzbudził tłum wiatrów wichrzący
I grzmot, i błyskawica, i piorun gorący.
Przeraźliwe Jowisza potężnego groty
Rozniosły w obu stronach wrzawy i łoskoty.
Rozlegał się niezmierny chrzęst strasznego boju,
Wysiłało się męstwo harcujących roju.

Nachyliła się bitwa, zaczęły rozżarcie
Pasować się dwie strony przez mocne natarcie,
Dokonali Tytanów bój najznamieniciéj:
Kottos, Bryar i Giges, utarczek niesyci.

Ci z rąk silnych po trzysta głazów wyrzucili,
I prędko pociskami Tytanów zaćmili.
A zwalonych tęgiemi dybami wiązali,
I pod ziemię ich, choć tak mężnych, postrącali.
Tak nizko, jak wysoko jest do nieba z góry.
Bo równe dzielą Tartar od ziemi przestwory.
I z Nieba przez dni dziewięć i nocy kowadło
Lecąc — dziewiątegoby na ziemię upadło,
I znów przez dni i nocy dziewięć, kiedy spadnie
Z ziemi, stanie w Tartarze dziewiątego na dnie.

Mroczny Tartar ma obwód dokoła miedziany,
A u szyi od Nocy trzykroć jest oblany.
Na wierzchu zaś ciężary z korzeńmi wrosłemi
Leżą płonnego morza i rodzajnej ziemi.
Tu w ciemnicach ukryte są bogi-Tytany
Na rozkaz od Jowisza chmurozbiorcy dany.
Skąd wychodzić nie wolno; bo są opasane
Murem, a Posejdon dał w wrotach drzwi miedziane.

(Jacek Przybylski).

Po opisie walki z Tytanami, przedstawia Hezyod walkę Zeusa ze stugłowym potworem Tyfonem, a dalej wylicza potomstwo Zeusowe i niektórych bogiń. Na zapowiedzi, że poeta zamierza opiewać najgłośniejsze w świecie kobiety, urywa się Teogonia.

(Polski przekład wszystkich dziś istniejących utworów Hezyoda dał Jacek Przybylski: „Hezyoda Askrejczyka dzieła dochowane wszystkie, to jest: 1. Teogonia, 2. Tarcza Herkulesa, 3. Roboty i dnie“ Kraków, 1790, str. 122).

B) Prace i dnie.

Jest to poemat nauczający w formie przemowy do brata poety, Persesa, który przy podziale majątku rodzicielskiego wziął sobie część większą i lepszą. Hezyod rozróżnia dwa rodzaje zazdrości: jedna staje się powodem walk i nienawiści, druga pobudza do współubiegania się szlachetnego za pośrednictwem coraz to usilniejszej pracy. Potem przedstawia początek złego na świecie z powodu stworzenia Pandory (zob. „Teogonię“) i opisuje pięć pokoleń ludzkich na ziemi: złote, srebrne, miedziane, bohaterskie i żelazne, w którem jemu samemu żyć wypadło, a na które się żali, potępiając zepsute obyczaje, zwłaszcza zaś niesprawiedliwość sędziów. Opisuje dalej korzyści wynikające z pracy i oszczędności, sposób obchodzenia się z przyjaciółmi. Naucza następnie, kiedy orać i siać, drzewo ścinać, narzędzia rolnicze sporządzać, bydło chować, na zimę się zaopatrywać, z pola sprzątać, wino zbierać itd. Dodaje przestrogi co do obierania żony i prawidła postępowania moralnego. Przy końcu wymienia dni dobre i złe, jako ludziom pomocne lub szkodliwe. Przytaczamy tu kilka wyjątków, zawierających przepisy postępowania.

Dwoma sposoby nabyć można mienie:
Jeden jest wszystkim cenny nieskończenie,
Drugi zaś zbrodni blizki, i ten właśnie
Wznieca o miedze wpośród sąsiad waśnie,
Skąd więc silniejsi bracia słabszych gniotą.

Ludzie przemożnej nienawidzą pięści,
Lecz że bogowie tak chcą mieć, najczęściéj
Uległość zbójcom jest z potrzeby cnotą.
Pierwszy zaś sposób, którym się bogacą
Czystego ducha ludzie, każdy zdoła
Takiego użyć, bo on będąc zgoła
Siły i woli płodem, zwie się pracą.
Tę Zeus w korzeniu traw przed ziemską dziatwą
Głęboko schował, by nie była łatwą, —
Choć widząc taki, co w lenistwie pości,
Że pracowity korzyść odniósł w żniwie,
Jeśli nie z cnoty, tedy choć z zazdrości
Zechce, jak tamten, wspomódz się godziwie...
Zmysłom to naszym skryły sądy boże,
Jak mało człeku do wyżycia starczy.
Nieraz dniem jednym pracy gospodarczéj
Rokby się cały dał opędzić może —
Wtedybyś gnuśnie trawił byt wesoły.
Lecz pługby zbutwiał, zleniwiały woły, —
Więc bardzo mądrze działa Zeus, jeżeli
Z nami się wiedzą swą niezawsze dzieli...
. . . . . .
Gdybym mógł wybór zrobić, tobym pono
Wcale nie istnieć wolał, albo wprzódy
Istnieć niż dzisiaj. Cóż? gdy mi znaczono
Żyć wśród żelaznej wieku tego grudy,
Kędy dzień każdy nowym znojem gniecie,
Noc ku bezprawiom kusi, te zaś wszędzie
Dosięga mściwa bogów dłoń — a przecie
Prędzej czy później kres i temu będzie!
Skończą dni swoje nędzni ludzie owi,
Którzy tyloma językami gwarzą.
Skoro szron skrzepnie nad ich zbladłą twarzą,
By nie zawadzał dłużej dziad wnukowi,
Władca go bogów niby kłos położy...
Aliści po nich będzie jeszcze gorzéj!
Nie wstąpią już-ci w ślad swych ojców dzieci —
Miła uprzejmość wprędce precz odleci —
Brat bratu obcym stanie się, druhowie
Wrogami sobie, starych rodzicieli
Syn własny z domu wygnać się ośmieli,
Bezbożnie sądząc, że się bóg nie dowie
O tem opatrzny. Ni bezpieczny będzie
Od swych sąsiadów kto na własnej grzędzie.
Przystojność wszelką, godność, cześć zdeptawszy,
Ludzie wytartem czołem będą bili
Przed tym, kto wziętość swą przez czyn najkrwawszy
Przywłaszczyć sobie zdoła. Od tej chwili

Żegnaj powago, cnoto, prawdo, wstydzie!
Drwiąc z swej ofiary zdrajca przodem idzie —
Urąga kłamstwo wszelkiej dobrej wierze —
Krzywoprzysięzca wieniec chwały bierze —
Chciwość i zazdrość wszelką własność ślini
Strutemi jady. Wtedy to bogini
Siostrzana cnocie, nieśmiertelne piękno,
Nemezys, w śnieżne spowinięta szaty,
Z padołu tego, wzbiwszy lot skrzydlaty,
Odleci w nieba blask....
O mój Persesie! w osobliwszym wstręcie
Miej nadużycie siły. Niech zwierz krwawy,
Któremu obce szlachetności sprawy,
Pomiędzy sobą zjada się zawzięcie.
Nie tak ma czynić ten, któremu w łono
Przeczucie prawa z wiedzą cnót włożono.
On niech nietylko sam się broić wstyda,
Lecz, jeśli jeszcze drugim cnoty szlaki
Wskazuje z serca, to zaprawdę taki
Błogosławiony! Iść tam, gdzie ohyda
U celu dyszy, rzecz nietrudna przecie:
Co krok napotkasz nieprawości kwiecie
Z trującą wonią, skarby i zaszczyty
Tuż pod twą ręką, a gościniec bity
Pochyło zbiega. Za to tam, gdzie doma
Sumienia spokój, mając znój na czele,
Przebywa skromny, jest do niego stroma
Droga i na niej przeszkód bardzo wiele.
Lecz w tem bezdrożu, byleś pierwsze na niem
Postawił kroki, szlak ci się uprości.
Najdoskonalszy człowiek mojem zdaniem
Jest taki, który boskiej się mądrości
W działaniu każdem wieść za rękę daje,
Który tak wdrożył swoje obyczaje,
Że, niźli jakie przedsięwzięcie zacznie,
Jego następstwa wprzód rozważa bacznie.
Prawym jest, który prawej rady słucha:
Lecz ten, co ani sam jest mądry z ducha,
Ni mądrej rady przyjąć rad rękojmię,
Czyż wart współczucia, gdy mu nędza dojmie?
Persesie bracie! słuchaj rady brata!
Pracuj — a za to spotka cię zapłata.
Że na sytości brak się nie poskarzysz.
Bo głód próżniaka tylko jest towarzysz —
A próżniak równie bogów, jak i naszéj
Pogardy godzien! niby istność licha
Trutnia, co wprawdzie żądłem on nie straszy,
Lecz za to cudzą pracą brzuch zapycha.

Ma pracowity wielką cześć u ludzi,
Także od niebios jest kochany szczerze —
Sam od nikogo żadnych łask nie bierze
I jeszcze gnuśnych iść swym śladem budzi...
Wolne od zmazy miej, Persesie drogi,
Serce, i równo z brzaskiem, w skrusze ducha
Obiatą hojną czcij codziennie bogi, —
I także kiedy noc nadchodzi głucha.
Często do skromnej w domu twym biesiady
Wzywaj też druhy twoje i sąsiady,
A najszczególniej tych, co w trudnej chwili
Uprzejmie tobie pomódz pośpieszyli.
Skarbem jest dobry sąsiad, lecz od złego,
Jak od zarazy, niech cię bogi strzegą!
Jeśli ci dobrze z uczynnością braci,
Braciom od siebie czyń w tej samej mierze —
Nawet gdy przyjdzie czas, gdy dług się płaci,
Dobrze jest, jeśli miarę człek przebierze.
Tych kochać mniej, którym jesteś miły,
I serce twoje chętnie niech wymienia
Dary darami — prawem przyrodzenia
Cnota w hojności czerpie błogie siły.
Kto ma przyjemność dawać, już z tej miary
Sam w sobie nosi nagrodzenie swoje —
Kto zaś nie dawać rad, lecz chwytać dary,
Wstyd ma i ciągłe z tego niepokoje.

(Felicyan Faleński).

(Prócz Przybylskiego, tłómaczył na polski poemat powyższy Ignacy Krasick prozą pod tytuł.: „Roboty i dni“. Zob. „Dzieła“ jego wyd. warsz. 1878, t. III., str. 267—278. Urywki podał F. Faleński w swoich „Przekładach z obcych poetów“. Warszawa 1878).

III. Kallinos.

Do broni!

Więc kiedyż się ockniesz do chrobrego czynu,
Gnuśna młodzi? — Podłego nie wstydzisz się gminu,
Gnijąc w słodkiem marzeniu, że to pokój błogi,
Gdy kraj cały objęły wojenne pożogi?
. . . . . .
I konając, wrogowi mignij kopją w oczy.
Chwała wielka mężowi, co krwawy bój toczy
Za kraj ojczysty, dziatki i małżonkę ślubną.
Śmierć zaś — wtedy się zjawi, kiedy nitkę zgubną
Wysnuje Mojra. A więc, hej wiara, do broni!

W górę kopje, tarcz niechaj lwie serce zasłoni,
I tak pędźcie odważnie na bojowe tany.
Bo człowiek nie uniknie śmierci obiecanej,
Choćby miał przodków nawet pomiędzy niebiany.
Tchórz wojennej unika wrzawy, kopij łomu:
Śmierć go nieunikniona namaca i w domu.
Tchórz umrze — nikt w ojczyźnie nie poczuje straty.
Umrze bohater — płacze biedny i bogaty.
Śmierć jego cały naród żałobą okryje;
Jak półboga rodacy wielbią, póki żyje.
Jakby na wieżę patrzy nań rzesza zdumiona,
Bo w czem wielu się poci, sam jeden dokona.

(J. Czubek).

IV. Tyrteusz.

a) Naprzód!

Mężosławnej, o dzieci, spartańskiej
Tej krainy, swym ojcom podobni,
Na lewicy oparłszy tarcz dzielną,
Wręcz dzidą odważnie uderzcie,
Nie żałując dla kraju krwi swojej:
Nie rodzime to Sparcie uczucie.

(A. Walicki).

b) Pobudka bojowa.

Chwała temu, co walcząc za ojczyste łany,
Bohaterem na czele legnie pokonany;
A hańba wieczna temu, co matce ojczyźnie
Poda tyły i chleba żebrze na obczyźnie,
Co z starą matką, ojcem, z dziatkami na grzbiecie
I ze ślubną małżonką włóczy się po świecie.
Niemiły gość, zaprawdę, kędykolwiek przydzie,
Kto się podda ubóstwu i sromotnej biédzie;
Plami ród, własną piękność taki tułacz kala,
I wszelkie złe i hańba wszelka nań się zwala.
Więc gdy nigdzie wygnańca życzliwość nie spotka,
Ni cześć, ni litość ludzka, ni pociecha słodka,
Walczmy mężnie za drogą ojczyznę i dziatki,
I krwi naszej, gdy trzeba, wylejmy ostatki.
Walczcie dzielnie, młodzieńcy! ramię do ramienia!
A bójcie się ucieczki, bójcie pohańbienia!
Nabierzcie ducha! Śmiało się stawcie potrzebie,
Myślcie, jak gromić wroga, nie ratować siebie.
A starszych towarzyszów, co im w członkach stawy

Wiek zwątlił, nie odbieżcie wśród krwawej rozprawy.
Hańbaby była, gdyby pośród dzielnej wiary
Przed młodszymi druhami legł wojownik stary,
Co mu brodę i włosy srebrzy szron siwizny,
Leżał w kurzu, konając, wierny syn ojczyzny,
Wstyd krwią oblany ręką zasłaniając oku —
O, jakże pali hańba takiego widoku!
Gdyby tak nagi leżał! — Młodym zaś przystoi
Wszystko, póki urocze kwiecie młodość stroi:
Bohater — dziw dla mężów, ulubieniec dziewic,
Póki żyw — gdy polegnie, piękny jak królewic.
Więc stójcie jak mur, w ziemię niech wryje się noga,
We wargę zatopi ząb! — Tak czekajcie wroga!

(J. Czubek).

V. Mimnermos.

I.

My jak liście, gdy wiosny kwiatorodna pora
Ożyje, kiedy słońca znów błyśnie oblicze,
Radujem się młodości kwiatem do wieczora,
Ni rozkosze od bogów ważąc, ni słodycze.
W tem Kery[1]) czarne zeszły; ta starości nici
Ciężkiej, trudnej piastuje, a tamta śmierć trzyma.
I póki słońca promień po ziemi nam świeci,
Póty owoc przez chwilę pieścimy oczyma;
Lecz gdy pora pogody zejdzie z swej koleje,
Wtedy śmierć pożądańsza niż pasmo żywota.
I zewsząd troska spada; człek nędzą więdnieje
I trwogi niezliczone kołaczą we wrota:
Ten żałuje swych dziatek, boleść serce krwawi
I z tęsknym żalem w ziemię do Hadesu schodzi;
Innemu ciężki umysł chorobą się trawi.
Każdego swój od Zeusa pocisk zła ugodzi.

(A. Walicki).

II.

Życież to, gdy odwróci lice Kiprys[2]) złota?
Bywaj, śmierci! gdy zmierzchnie miłośna ochota,
Rozkosz tajnie kradziona i słodkie szeptanie,
Co nam wonią potrząsa żywota zaranie.
Bo gdy się już raz starość zgarbiona przywlecze,
Człowiek zrobi się lepszy, lecz krasa uciecze:
W sercu ciągłe kłopoty i troskę masz wieczną,

[1]) Boginie śmierci.
[2]) Afrodyta.

Już wesoło nie patrzysz na światłość słoneczną,
Biedny cel kpin niewieścich, pośmiewisko dziatek:
Oj, ciężkiż nam bóg, ciężki dał życia ostatek.

III.

Wnet drżę i pot gorący ciecze mi po ciele,
Gdy na młodości spojrzę urok i wesele,
Tak piękne, tak rozkoszne! — Oby dłużej trwało!
Lecz nie — młodości kwiecie trwa przez chwilkę małą,
Jak piękna mara senna; tuż zaraz się skrada
Starość zgięta we dwoje, ciężka, drżąca, blada,
Miru i czci pozbawia, krasę z lica ściera,
Bystrość oka osłabia i rozum odbiera.

(J. Czubek).

VI. Safona.

a) Hymn do Afrodyty.

Na promiennym tronie usłysz me wołanie,
Afrodyto, Zeusa córo, dziewico;
Cna bogini, nad męką miej zmiłowanie,
Nad serca mego tęsknicą.

Zejdź ku mnie, niebiańska, jak to nieraz bywa,
Kiedy od twego ojca z wysokości
Łaskawie się do mnie zniżasz, urodziwa,
Skoro twej wzywam litości.

Biali ptaszkowie wpośród wesołej psoty
Skrzydełek swoich, z słonecznej krainy
Ciągnęły z tobą twój rydwan jasny, złoty,
Na czarne, ziemskie niziny.

W lot byłaś przy mnie i pytasz mnie, bogini,
Siejąc z twych oczu uśmiechy i blaski:
„Cóż to serce twoje tak strwożonem czyni,
Że mojej aż wzywasz łaski?

Jakiemże pragnieniem miłosnem pierś wzbiera,
Kogo pożąda serce gorejące,
Od jakiejż to wzgardy dusza ci umiera
I skargi roni płaczące?

On cię unika? więc zaraz ścigać będzie,
Hardy był? teraz on cię będzie błagać,
W miejsce nienawiści miłość go posiędzie,
Choćbyś ty miała się wzdragać“.

Przybądź więc znowu i rozprosz czarne cienie,
Które mi biedne moje serce gniotą,
Nakarm tęsknicę, ucisz moje pragnienie,
Ratuj, błagam cię o to.

(A. Szczepański).

b) Życzenie.

Lubię rozkoszne blaski; więc gdy piękność złota
Zgaśnie dla mnie — o Hadzie! otwieraj swe wrota.

c) Matczyne skarby.

Moja śliczna dzieweczka
Ma urodę kwiateczka.
Gdybyście mi dawali
Wszystko złoto, co w fali
Rzeka Hermos przetoczy,
Gdyby Lesbos uroczy —
Czybym ją też sprzedała?
Nie dałabym, nie dała!

d) Tęsknota.

Już ja moja pani matko,
Przy krosienkach siedzę rzadko;
Mnie za chłopcem rwie tęsknota,
Mnie już zmogła Kiprys złota.

e) Złoto i cnota.

Zły towarzysz złoto,
Gdy nie w parze z cnotą;
Wielkie szczęście twoje,
Gdyś posiadł oboje.

f) Pieśń weselna.

Jabłuszko się słodziutkie czerwieni wysoko,
Pewnie go sadowników nie dostrzegło oko;
Oj, dobrze sadownicy widzieli, widzieli,
Tylko dostać nie mogli, choć chcieli, choć chcieli.

(J. Czubek).

VII. Alceusz (Alkaios).

a) Prośba do Zeusa.

O dżdżysty Zeusie, co w ciemnych obłokach
Utwarzasz burze i szumisz w potokach,
Zniszcz nawałnice i pioruny szkodne,
A oszczędź wina słodkie i łagodne,
Które nas swoją ubóstwioną władzą,
W krainy marzeń przyjemnych prowadzą.

b) Zachęta do picia.

Zwilż płuca winem, zgaś pragnienia wrzące,
Nim w złej godzinie błyśnie gwiazd tysiące.

(B. Kiciński).

c) Na frasunek.

Smutkom się nie daj, bo to złe pany;
Strapieniem nic nie wskóramy.
Hej, Bakchu! wina: na takie rany
Wino najlepsze balsamy.

d) Po pogromie.

Idź i powiedz, niech usłyszy
Każdy z moich towarzyszy,
Że Alceusz (Alkaios) z boju wrócił,
Ale w polu tarcz porzucił.
Poszła w łupy — trudna rada,
Dziś się cieszy nią Pallada.

(J. Czubek).

VIII. Erynna.

Do siły.

Cześć tobie, siło! o Aresa córo!
W złotej przepasce błyszcząca wspaniale,
Ty, co panujesz nad Olimpu górą
W niezłomnej chwale.

Ty z przeznaczeniem w jednej stoisz wadze,
Z ciebie początek bierze królów sława,
Kiedy przy tobie wspierająca władzę
Odwaga stawa.

Wskazujesz drogi tym, co ziemskie łono,
I tym, co morze śmiałym prują trudem,
I ty śmiałością rządzisz niewzruszoną
Nad miejskim ludem.

Najpotężniejsza! Pęta kruszysz nagle
I zmienne życia naznaczasz koleje,
I sam wiatr nawet, wzdymający żagle,
Jak ty chcesz, wieje.

Ty, najmężniejsza! bohaterów godnych
I wojowników niezrównanych rodzisz,
Ty do zbierania Demetry [1]) łask płodnych
Ludzi przywodzisz.

(B. Kiciński).

---

[1]) Bóstwo ziemi, płodności ziemi, a więc rolnictwa.

IX. Teognis.

a) Obcowanie.

Zapisz to sobie w sercu: z złymi obcowania
Unikaj, niech twe serce ku dobrym się skłania.
Z dobrymi pij i ucztuj, do nich się przysiadaj,
By się dobrym podobać, pracę sobie zadaj.
Od dobrych zawsze zyskasz, od podłych zaś tłumu
I nic się nie nauczysz i zbędziesz rozumu.
Więc z dobrymi wciąż obcuj, a z czasem się ziści,
Że ma rada rzetelne przynosi korzyści.

b) Nowi ludzie.

Gród, Kirnie[1]), jak gród — ten sam; ludzie — nie ci sami.
Motłoch, co prawa nie znał, gardził zakonami,
Ci, co wpierw kozie skóry włożywszy na bary,
Niby trwożne jelenie przebiegali jary,
Dziś to szlachta, o Kirnie! a szlachta chłopicje:
O, jakże boli patrzeć na to, co się dzieje!
Oszukują się wzajem, hołdując obłudzie:
Ni to gmin, ni to szlachta — oto nowi ludzie.

c) Ciężar nędzy.

Męża dobrego, Kirnie, strasznie gnębi nędza,
Gorzej, niż ciężka zmora, niż starości jędza.
By przed nią uciec, rzuć się w ocean głęboki,
Albo w przepaść bezdenną ze skały wysokiej.
O, bo człowiek ubogi, niedolą znękany,
I ręce ma związane i język spętany.

d) Dar wieszcza.

Skrzydła ci, Kirnie, dałem, na których nad góry,
Nad lądy i nad morza bezmierne lazury
Bez trudu się uniesiesz: na każdem weselu,
Na każdej będziesz uczcie, żyjąc w ustach wielu.
Chóry pięknych młodzieńców przy dźwiękach lirenki
Śpiewać o tobie będą czarowne piosenki.
A kiedy wreszcie zejdziesz w podziemne otchłanie,
W kraje Hada, gdzie wieczny płacz i narzekanie,
I wtenczas, wtenczas nawet twa pamięć nie zginie:
Twe imię w ustach późnych pokoleń zasłynie.
Zwiedzać będziesz Hellady kraje i ostrowia,
Rybnego morza głuche przebywszy pustkowia,

[1]) Ulubieniec Teognisa, do którego poeta często się zwraca.

Ni statkiem, ni rumakiem; zaniosą cię dźwięki
Mej pieśni — dar, com dostał z Muz nadobnych ręki.
W późne wieki potomne żyć będziesz — bez końca,
Póki pieśni na ziemi, — póki ziemi, słońca.

e) Zadanie wieszcza.

Kto u Muz przyjął służby i posiadł rozumy,
Ten niech swej wiedzy ziarna rzuca między tłumy:
Jedno waż, drugie wskazuj, trzeciemu daj życie:
Na nic się nie zda mądrość, co się chowa skrycie.

f) Najdroższy skarb.

Na Sycylję mię niegdyś zagnała niedola,
Widziałem eubejskie winnice i pola,
I trzciny Eurotu, dumnej Sparty wieże,
I wszędzie mię, wygnańca, przywitano szczerze.
Mnie — wszędzie było smutno pomiędzy obcemi:
Ach! bo nam nie zastąpi nic ojczystej ziemi.

g) Używaj świątka, póki służą latka.

Mądrą radę dam ludziom: używać żywota,
Póki wiek służy, młodość nie przeminie złota,
Póki w głowie myśl świeża, w sercu chęć użycia:
Bogowie jedną ludziom dają wiosnę życia.
Śmiertelnikom śmiertelne zasądzone losy:
Przykra starość wnet garbi i chwyta za włosy.

h) Póki czas.

Gdy się człowiek pogrąży w Erebu otchłanie,
Pod berło Persefony gdy się raz dostanie,
Nie dla niego już słodkie Dyoniza[1]) dary,
Przepadły już na wieki lutni, piosnek czary.
Więc kiedy tak, hejże! biesiady, rozkosze!
Póki lekkie kolana, głowę prosto noszę.

i) Miłość.

Szaleć z miłości — dobrze, dobrze się ocucić,
Głowę zaś łatwiej sobie, niż komu zawrócić.
Tysiące trosk ma miłość, tysiące słodyczy,
Jednak posiada urok jakiś tajemniczy.

k) Jeszcze miłość.

Kiterejo,[2]) zdrad pełna, tobie Zeus na szkodę
Taką cześć dał na niebie i taką urodę;
Ludziom nawet rozsądnym zawracasz ty głowy,
I mędrcy i siłacze noszą twe okowy.

[1]) Dyonizyos — Bachus.
[2]) To samo co Afrodyta, Kiprys, t. j. bogini miłości.

l) Rezygnacya.

Znoś, o serce, pociechu i najgorsze losy,
Gmin tylko małoduszny w rozpaczy rwie włosy.
Jękiem nie zwiększaj złego, co się zmienić nie da,
Bo przyjaciół zasmucisz, a wrogów czereda
Hymn tryumfu podniesie. Człowiek nie uciecze
Wyroku, jaki bóstwo nań w niebie wyrzecze,
Nawet choćby się rzucił w ocean głęboki,
Lub się zapadł pod ziemię w Tartarejskie mroki.

(J. Czubek).

(Z XVI jeszcze wieku mamy przekład gnomicznych wierszy tego poety, wydany p. n. „Wybranych zdań Teognidesa Megareńczyka księga. Wilno 1592". Tłómaczenia dokonał Stanisław Kołakowski. Część przełożył prozą I. Krasicki: „Maksymy Teognisa z Megary". Zob. obszerny artykuł Aleksandra Walickiego: „Zjawienie się nowych rodzajów poezyi w literaturze greckiej: O poezyi elegicznej", *Athenaeum* Kraszewskiego r. 1844, t. V, str. 57—126).

X. Anakreon.

a) O sobie.

Chciałem śpiewać o Atrydach,
O Kadmusie chciałem śpiewać:
Lutnia wszakże Erosowi
Pieśń pochwalną chce wygrywać.
Odmieniłem struny lutni,
Odmieniłem lutnię całą:
Chciałem śpiewać trud Herakla,
Lecz znów z lutni: Eros! grało.
Taki widać duch już wieszcza.
Bohatery, bądźcie zdrowi,
Lutnia moja musi śpiewać,
Będzie śpiewać Erosowi.

(J. Szujski).

b) Miłość wieszcza.

Kruchej bułki odrobina,
A do tego czasza wina —
I po mojem wnet śniadaniu.
Teraz wezmę lutnię z ściany,
Polnebrze mej kochanej
Pieśń zanucę o kochaniu.

c) Przed bitwą.

Przynieś wina, przynieś wody,
Skroń mi kwiatem wieńcz różowym;
Bo się puścić chcę w zawody,
Bić z Erosem wartogłowym.

d) Skarga.

Moje włosy — ach! już białe,
Moja broda — ach! już siwa,
Zębów rzędy już niecałe:
Gdzie ma młodość, gdzie szczęśliwa?
I jasności tej słonecznej
Już mi wiele nie sądzono;
I płacz bierze mię serdeczny,
Bo mi straszne ziemi łono.
Ach! bo straszna, straszna droga
W loch okropny i daleki,
I jak łatwo schodzi noga,
Tak nie wróci już na wieki.

e) Przy pełnym.

Kto mi przy pełnym wciąż o bojach prawi
I łzawej wojnie, nie jest mój druh;
Lecz Afrodyty czar, Muzy kto sławi
I żarty płodzi, ten u mnie zuch.

f) Pieśń biesiadna.

Niech przyniesie dzban chłopczyna,
Bo chcę ciągnąć pełne łyki;
Niech dwie części leje wina,
Wody cztery da poniki.
Niech radością serce wzbierze,
Niech pohulam znów, a szczerze.

Ale precz niesforne krzyki,
Jakie lubi Scyta dziki,
Gdy się spije bez panięci:
Nam gdy w głowie się zakręci,
Czar piosenki niech się święci.

(J. Czubek).

XI. Anakreontyki.

a) Obraz kochanki.

Hej malarzu nad malarze!
Znasz rodyjskie malowanie,
Znasz malować ludzkie twarze:
Wymaluj mi me kochanie.

Jej tu niema, więc z mej mowy
Maluj powab po powabie:
Maluj włos jej hebanowy,
Maluj miękki jak jedwabie.

Po warkoczach rozlej wonie,
Jeśli pędzel twój podoła;
Niżej piękne maluj skronie,
Mleczny marmur maluj czoła.

Bądź uważny w brwi wyrazie,—
Nie dziel, nie łącz zbyt niebacznie,
Lecz jak u niej, tak w obrazie
Niech zlewają się nieznacznie.

Oczom dając wyraz szczery,
Pierwsze z ognia daj podkłady;
Na to tęskność wlej Kitery,
Na wierzch mądrość włóż Pallady.

Barwa lica niechaj będzie
Róża z mlekiem zlana w mierze;
Niech na ustach Pejto [1]) siędzie,
Że całować chętka bierze.

Dołek, co tam w bródkę wryty,
Śnieżne ramion jej marmury
Niechaj zajmą trzy Charyty. —
Całą postać skryj w purpurze.

Przez purpurę białość łona
Niech przegląda, niech migota —
Dość, malarzu: ach, to ona!
Tylko co nie zaszczebiota.

b) Nauka.

Pchasz regułki mi do głowy,
Subtelne wywody,
Po co mi te próżne mowy,
Po co te zachody!

---

[1]) Bogini namowy, przekonania, podbijania serc, a więc i kokieteryi.

Do dna ty mię ucz wychylać,
Ucz osładzać życie;
Ucz mię zgrabnie się przymilać
Złotej Afrodycie.

Włos mój siwy — więc niech piję:
Wina, przyjacielu!
Dzisiaj żyję, jutro gniję —
I już po weselu.

c) Lek na troski.

Piję wino, napój boski:
Zasypiają czarne troski.
Po co płacze, po co trudy,
Przykre troski, długie nudy?
Chcę, czy nie chcę, umrzeć muszę;
Po co więc umartwiać duszę?
Raczej słodkie pijmy czary,
Nadobnego Bakcha dary:
Kiedy pijem napój boski,
Zasypiają czarne troski.

d) Hola!

Hola, hola dziewczę młode!
Nie gardź memi dary,
Choć masz młodość i urodę,
Jam siwy i stary.

Wszak i oko barwność ceni,
Zachwyca się wieńcem,
Gdy lilijki biel się żeni
Z rożyczki rumieńcem.

(J. Czubek).

e) Starość — radość.

Często mi mówią kobiéty:
„Staryś, Anakreonie,
Włos twój już szronem okryty,
A w zmarszczkach twarz i skronie".

Co mnie włos siwy obchodzi,
Gdy mnie jeszcze siła krzepi;
Starcowi bawić się godzi,
Im bliższa śmierć, tem lepiej.

f) Pogrom.

Ten Frygów, ów Teban boje —
Ja głoszę wyprawy moje.
Nie w konnicy, nie w piechocie,
Ani walczyłem na flocie;
Alem godzien chlubnej wzmianki,
Walcząc z oczami kochanki.

(B. Kiciński).

g) Czemu piję?

Pije ziemia czarna,
Drzewa deszcze piją,
Oceanu fale
Z chmur powietrznych żyją;

Słońce pije morze,
Księżyc pije słońce:
Czemuż ja mam nie pić,
Gdy gardło pragnące?

(J. Szujski).

XII. Symonides z wyspy Ceos (Keos).

a) Termopile.

O jakże wielki, szczęsny, wspaniały
Los termopilskich rycerzy:
Ich grób — świątynia, łzy — pomnik chwały,
Żal ziomków — wawrzyn wciąż świeży.

Grób taki z wieków drwi poniewiery,
Rdzy nie zaszkodzą mu jady;
Na grobie, w którym śpią bohatery,
Usiadła chwała Hellady.

Świadkiem Leonid, Sparty król dzielny,
Co w pilskiej[1]) poległ cieśninie:
Grób mu ocenia laur nieśmiertelny,
I pamięć o nim nie zginie.

b) Maratońskim rycerzom (nagrobek).

Pod Maratonem Aten bohatery mężne
Stanęli murem w obronie Hellady,
I walcząc, porazili na głowę potężne
Medów od złota kapiące gromady.

c) Termopilskim rycerzom (nagrobek).

Przechodniu! powiedz Sparcie: tu leżym, jej syny,
Prawom jej do ostatniej posłuszni godziny.

d) Leonidasowi (nagrobek).

Zwierz najmocniejszy na tym grobie leży;
W nim najmocniejszy spoczywa z rycerzy.

e) Gorgonie (nagrobek).

Ostatnie słowa rzekła do kochanej matki
Gorgo, z płaczem ją czule objąwszy ramiony:
„Żyj i na lepszą dolę chowaj ojcu dziatki,
Będziesz miała podpory w starości zgarbionej“.

f) Cnota.

Między ludźmi chodzą słuchy:
Cnota na skale mieszka wysoko,
Sama jedna w ciszy głuchej,
Rzadko ją widzi śmiertelne oko.

Kto nad siły się utrudzi,
Ubiedzi, lejąc śmiertelne poty;
Kto bohaterem wśród ludzi:
Ten tylko ujrzy oblicze cnoty.

g) Los człowieka.

Ach! jakże słabi są ludzie.
Troska ich nęka niesyta;

[1]) t. j.: termopilskiej.

Krótki czas znoją się w trudzie,
A śmierć nad karkiem niezbyta.
Wszyscy jej łupem, nie pomogą modły:
Śmierć nie przebiera, szlachetnyś, czyś podły.

b) Skarga Danai.

Gdy malowaną arką ciosaną
Ciskała morska nawała,
W niebo szumiącą ciskając pianą,
Padła, ze strachu drżąc cała;
Łzami zalana dziecię porywa,
Perseja tuli do łona
I tak się smutna, kwiląc, odzywa:
„Matka-ż ja biedna, strapiona!
Ty śpisz spokojnie, śpisz, dziecię drogie,
W przeklętej skrzyni kowanej,
Śmieszki na liczku igrają błogie,
A wkoło czarne tumany,
A na twych bujnych kędziorków kaskadzie
Burza ci słone pocałunki kładzie.

Straszno — dla ciebie świeci słoneczko;
Wichr wyje — nie słyszysz wycia:
Jak mi się śmieje lube ciałeczko
Z purpurowego powicia!
Gdyby ci serce trapiła trwoga,
Skłoniłbyś ku mnie swe uszko,
Słuchał, co mówi matka nieboga —
Śpij tylko, śpij, moja duszko!
Ach, żeby tylko i burza spała,
Spała i w sercu mem troska;
Żeby odmianę jaką zesłała,
O Zeusie, wola twa boska!
A jeślim grzeszne w trwodze o dziecinę
Wyrzekła słowo, Zeusie! odpuść winę".

(J. Czubek).

XIII. Bakchilides.

a) Pieśń o pokoju.

Pokój szafarzem dóbr niezliczonych,
Szafarzem miodowych pieni;
Tam na ołtarzach cudnie rzeźbionych,
W słupie czerwonych płomieni
Palą się bogom rogate woły

I udźce owiec wełnistych;
Taniec, muzyka, śpiew brzmi wesoły,
Chłopców i dziewic śpiew czystych.

Szary pajączek sieć rozpościera
Po rękojeściach z żelaza;
Brzeszczot i kopij groty pożera
Rdzy czerwonawa zaraza.
Nie słychać grzmotu śpiżowej tuby,
Powieka słodko się zlepia;
Sen się nie płoszy przedwcześnie luby,
Co serce tak mi pokrzepia.
Gdzie okiem rzucić, zabawy głośne,
Młódź pieśni nuci radośne...

b) Droga do szczęścia.

Jeden kres ludziom — jeden szlak prosty
Prowadzi w szczęścia krainę:
Umieć omijać głogi i osty,
Wesołą zachować minę.

Lecz komu brzęczy strach za uszymâ,
Troska o jutro wciąż nęka,
Dla tego szczęścia w życiu już niéma
I serce z bolu mu pęka.

c) Sny winne.

Czar luby działa zrodzon w puharze:
Do serca słodka Kiprys kołata,
Co z Dyonizem przebywa w parze,
I troski pędzi gdzieś na kraj świata:
Więc jaki taki burzy już grody
I już licznemi włada narody:
Złotem mu błyszczą pyszne komnaty,
A statki wiozą przez morze szklane
Zboże z Egiptu, towar bogaty —
Takie sny miewa serce pijane.

d) Czem chata bogata.

Niema u nas mięsiw, złota,
Ni purpury, ni kobierca;
Lecz jest szczera Muz ochota,
Są życzliwe bratnie serca,
I beockie też puhary
Rozdzielają słodkie czary.

(J. Czubek).

XIV. Pindar.

a) Oda Olimpijska na cześć Azopicha z Orchomenu.

Azopich, syn Kleudama, zwycięzca w pieszych wyścigach na igrzyskach olimpijskich w r. 475, był rodem z miasta Orchomenu w Beocyi, siedziby starożytnego rodu Miniów, który najwięcej dostarczył ochotników do wyprawy Argonautów. Odę odśpiewał w Orchomenie chór młodzieńców, wprowadzając uroczyście Azopicha do świątyni dla złożenia Charytom dziękczynnej ofiary za odniesione zwycięstwo. Poeta wzywa najprzód Charyty jako opiekunki Orchomenu i dawczynie wszelkich powabów życia na ziemi i w niebie, żeby raczyły wejrzeć na uroczysty pochód ku ich czci urządzony, potem poleca Echu śpieszyć do Hadesu i oznajmić nieżyjącemu już Kleudamowi o zwycięstwie syna.

Strofa I.

Mieszkające w kropionej Cefizem krainie,
Kędy wam poryżają tłumy wiatronogie,
O świetnej Orchomeny szanowne władczynie,
Starożytnych Miniów opiekunki błogie!
Zwróćcie ku nam, Charyty, wejrzenia dziewicze!
Z wami dla błędnego świata
Miła oku piękność zlata,
Płyną nęty i słodycze!
Czy kto mądry, czy gładki, czy świetny na ziemi,
Takiegoście darami podniosły waszemi.
Bez Charyt same bogów gromady
Nie zaczną tańca, ani biesiady;
One i na niebie
W swych dzierżą łaski prawicach,
A przy ozdobnym w złoty łuk Febie,
Na boskich siedząc stolicach,
Zwracają swe serca stale
Wieczystej ku rodzica olimpskiego chwale.

Strofa II.

Nieśmiertelna Aglajo! i ty śpiewom rada,
Eufrozyno! grzmiącego niebowładcy córy!
Talijo, której sercu słodko pieśń przypada,
Wejrzcie na lot tej pompy w pełnem szczęściu skory:
Owo struny lidyjskiej harmonja tkliwa
Błagalne przerzuca tony,
Owo głos chóru pieszczony
Azopicha wykrzykiwa!
Wszak za waszym starownym przewodem, boginie,
Gród Miniów gałązką Olimpijską słynie!
Kędy się czarną zamknęła strzechą
Podziemna Pani, śpiesz, lotne Echo,
Słać wieść żądaną
Kleudamowi o synie:

Że mu na sławnej pizańskiej dolinie
Zwycięzcy stopą, ubrano
W nieśmiertelne warkocz młody
Modrawej skrzydła nagrody.

b) Oda Pityjska na cześć Hierona, tyrana Syrakuzańskiego.

W odzie tej, napisanej z okazyi zwycięstwa Hierona w wyścigach wozowych na igrzyskach pityjskich (470 r.), poeta opiewa najpierw potęgę muzyki (t. j. pieśni z muzyką i tańcem), która czarem swoim podbija wszystko, co dobre; tylko złość nie odczuwa jej słodyczy. Tak właśnie olbrzym Tyfeusz, który targnął się na bogów, przywalony Sycylią, ogień przez Etnę wyrzuca. U stóp tej góry, zostającej pod opieką Zeusa, założył Hieron osadę Etnę i zostawszy zwycięzcą na igrzyskach pityjskich, kazał się za Etnejczyka obwołać. Jak żeglarze, wypływając na morze, z pomyślnego wiatru wróżą sobie szczęśliwą podróż, podobnież ten dowód łaski monarszej zapowiada nowo-założonemu miastu świetną przyszłość. Oby Apollo, rozdawca laurów pityjskich, miał je także w swej opiece. W dalszym ciągu opiewa Pindar zasługę Hierona w okazaniu pomocy miastu Kumom (470 r.), zagrożonemu od Tyrenów (Etrusków), a że wyprawa ta wypadła podczas choroby króla, stąd porównywa go do chorego Filokteta, który zapewnił Hellenom zwycięstwo nad Trojąa. To też i Hieronowi za odparcie barbarzyńców Zeus w przyszłości sprzyjać będzie we wszystkich jego zamiarach. Niechże więc cieszy się zwycięstwem ojca Dynomen, ustanowiony królem w Etnie, której założyciel, pomny na pochodzenie jej mieszkańców od Hylosa, nadał ustawę dorycką. Oby tylko Zeus raczył ziścić pragnienia króla, a spokoju Etny nie zamącą ani Tyrenowie, ani Fenikowie (Kartagińczycy). Wreszcie, zestawiwszy zwycięstwo pod Kumami ze zwycięstwami pod Salaminą, Platejami i Himerą, Pindar kończy odę, przypominając Hieronowi obowiązki dobrego króla, i radzi mu oglądać się na sąd potomności; jeżeli chce, żeby go pieśń opiewała, niech naśladuje przykład Krezusa, który był hojnym opiekunem nauk, a nie okrutnika Falarysa, którego pamięci wiecznie ludzkość złorzeczyć będzie.

Oda, odśpiewana prawdopodobnie w Etnie, podczas uroczystej biesiady w pałacu Dynomena, miała — jak się zdaje — na celu pobudzić Hierona do zamiłowania pokoju, do krzewienia muzyki i pożytecznych kunsztów, do rzetelności w słowie, do ostrożności w wyborze przyjaciół i do oglądania się na sławę u potomnych. Hieron bowiem był kłótliwy, podejrzliwy, samowolny, nastawał na życie krewnych i wogóle nie miał przymiotów dobrego władcy.

Strofa I.

Złota lutni! Apollina
I czarnowłosych dziewięci
Urodziwej córPamięci
Dzierżawo dłoni jedyna!
Idzie taniec po twej woli,
Biesiadniczej wódz swawoli.
I śpiewak k' twemu skinieniu
Czarujące głosy zmienia,
Kiedy w wstępnem uderzeniu
Zaczniesz chór wiodące pienia.
Wiecznego ognia trójząb piorunowy
Na twe zwycięskie składa gniew namowy:
A goniec Zeusa[1]) na berło świetne
Powietrznych wolny mozołów,
Snem przechylone skrzydło szlachetne
Opuścił mocarz sokołów.

[1]) Orzeł.

Antystrofa I.

W słodkie mu oko ująwszy zamknienia,
Oblałaś zgiętą głowę czarniawym obłokiem:
On zczarowany na twe uderzenia
Marzy, kark falnym poruszając tokiem.
Sam Ares, gwałt zębatej odepchnąwszy włócznie,
Twardego znoje ducha miękkim snem wypocznie:
Bo twe harmonijne strzały[1]),
Pchnięte sztuką Muz i Feba,
Śród nieśmiertelnego nieba
Cieszą władców wiecznej chwały.

Epodon I.

A czego Zeus potężny nie pokochał w świecie,
Głos Pierydy uczonej
Popędzi w nieznane strony
Po krnąbrnej mórz topieli, po stepach rozmiecie.
Tak w stękającym Erebie
Leży Tyfeusz stugłowy[2]),
Co panującym na niebie
Zbójczemi groził okowy.
Tego przesławna, wieściami stara,
Niegdyś cylicka karmiła pieczara:
Dziś czoło wynurzone nad szklane poziomy[3]),
Co je fala przy Kumie słonym pasem ściska,
I sykulskich ziem ogromy
Kosmate gną mu piersiska:
A wzrostem dumna
Niebios kolumna,
Wieczna śniegów karmicielka,
Etna dociska.

Strofa II.

Kiedy pierzchliwe z gardzieli głębokiej
Niedostępnych pożarów buchają potoki:
W dzień gęstych dymów wąż bury
W Olimpu drze się sklepienie;
W noc iskrzące głazów chmury
Skrzydlatym płomień polotem
Z błyskiem i grzmotem
Na morze żenie.
Tak straszne z piersi on potwór zuchwały
Stopionych brył ciska wały!
Potworne oku te dziwy!
Dziw dla słuchu, gdy świadki zatwierdzą bez sporu,

[1]) Dźwięki liry.
[2]) Tyfon albo Tyfeusz (nosobienie trzęsienia ziemi i wybuchów wulkanicznych) był jednym z olbrzymów, którzy do Olimpu szturmowali. Zwyciężony od Zeusa, został przywalony Etną. Według Pindara mieszkał Tyfon pierwotnie w Cylicyi.
[3]) Wyspa Pitekuzy albo może górzyste wybrzeże Italii powyżej miasta Kum.

Antystrofa II.

Jak w Etnie olbrzym straszliwy
Pieczary zaległ denne, splótł się u otworu;
A łoże stalowemi zjeżone sztylety
Przebija mu ciężkie grzbiety!
Oby się tobie, Zeusie, podobać na wieki!
Tobie, co nad tym wierzchołem
Chleborodnej ziemi czołem
Rozlewasz promień opieki!
Twej świętej góry nazwiskiem
Uczcił sadzca[1]) sławny
Jaśniejący w dole blizkim
Gród Etny niedawny.
Już ją zwyciężył głosiciel przed świata obliczem,
Ku chwale wiekopomnych powołał mieszkańców,
Gdy na kręgu pityjskim kolem zawodniczem
Doleciał Hiero krańców.

Epodon II.

Biegącym na pławnym dębie
Przez wełnistego szumne Posejdona głębie
Pierwsza radość, na wstępie żaglowi pogonny
Gdy w piersi wydmuch zagniecie:
Bo z bijącym promieniem nadziei niepłonnéj
Błogo łódka przybije ku żądanej mecie;
W takim i Etny los płynie pędzie:
Stanie w pierwszych grodów rzędzie,
A lotnym koniem, wieńcami
I biesiadnemi śpiewami
W późne wieki głośna będzie!
Licejski Febie! Delijskiej ziemicy
Władco dobroczynny!
Któremu na Parnasie kastalskiej krynicy
Podoba się szelest płynny;
I to nam zdarz łaskawie, a z życzliwej chęci
Płodną w męże krainę w twojej złóż pamięci:

Strofa III.

Bo cnót śmiertelnych wyższe zawody
Pod bogów leżą skinieniem:
I męską piersią wieczyście młody,
I czarujący natchnieniem,
I krasomówca poradny
Z ich dłoni wybiegł wszechwładnéj.
Lecz biorąc wielkość Hierona śpiewać,
Czyliż się nie mam spodziewać,

[1]) Założyciel t. j. Hieron.

Że oszczep ten miedzioszczęki[1]),
Z silnej mej wyparty ręki,
Acz lotu nie wypędzi poza cel w zakresie,
Przecież wespół bieżące wystrzały przeniesie?
O bogdajby przyszłość cała
Wieniec na jego pańskie zataczała chęci!
Błogą mu gwiazdą jaśniała,
Trudy mętnej pomrokiem zwarła niepamięci.

Antystrofa III.

Niech wspomni dzielne zapały,
Kiedy z orężem dolatując chwały,
Wsparty na bogach, sercem niezłomny,
Odzierżał władzę, jakiej zdumieni
Nie znali jeszcze Helleni,
Potęgi laur wiekopomny.
Nawet dziś zmarłe wskrzeszając przykłady,
Szedł na boje choremi Filokteta ślady,
Gdy ktoś pochlebca[2]), głuchy na królewskie bole,
Odsłonił mu zwycięstw pole.
Głoszą, że na lemnejskim stanęli ostrowie,
Równi bogom danajskich zastępów królowie,
Śledzący wieczną raną niknącego męża,
Co Alcyda łuk natęża,
Śmiertelnie kuszę napina,
Peanta syna[3]).

Epodon III.

Ten Pryamową łukiem zwalił Troję,
Skończył Achajów długoletnie znoje.
Acz słabemi stąpał kroki;
Ale tak chciały wyroki!
Równą bóg dźwigacz[4]) dla Hierona
Zgotował przyszłość i chwałę:
Wielkiego serca pomysły śmiałe
Krzepkiem ramieniem dokona!
Posłuchaj, Muzo! nowemu panu
Zwycięstwo zabrzmi rydwanu,
Laury ojcowskie cnym potomkom znośne:
Dalej więc Dynomenowi,
Walecznej Etny królowi,
Wynajdźmy hymny radośne,

---

[1]) Śmiała przenośnia, zamiast: pochwała, którą poeta spodziewa się prześcignąć innych, ale nie przesadzić.

[2]) Kto jest tym pochlebcą — trudno się domyślić.

[3]) Filoktet.

[4]) Zeus.

Strofa IV.

Dla którego gród ów młody
Wzrósł, pędem wieków niestarty,
Na zakonie Hyla[1]) wsparty,
Złotemi jasny swobody.
Wiecznie na prawach, jakie dał Egymi[2]),
Chcą żyć Pamfila[3]) i Herkula syny,
Blizcy skałami twardej podwaliny,
Na której się Tajget wygarbił olbrzymi.
Z śnieżnego Pindu stopa ich spłynęła
Na amiklejskie posady,
Tam żyły białokonnym bliźniakom[4]) sąsiady.
A sława ich oszczepu z postrachem kwitnęła.

Antystrofa IV.

Skiń czołem, Zeusie, niech równe dole
Zlane na grody, zlane na króle,
Kędy Anemas[5]) bystry prąd leje,
Niekłamiący głos opieje!
Wszak twoim wyrokom gwoli
Najwyższy z Syrakuz króli
Synowi berło poruczył,
Narody szczęścia nauczył;
Lecz błagam cię, synu Krona,
Niech w pociszonej dziedzinie
Fenik i butnych wściekłość Tyrrenów zamknionа
Pod Syrakuzy nie płynie.
Niech na pogromcze wejrzawszy Kumy
Ściśnie zęba, spłaszczy dumy.

Epodon IV.

Tam im wódz syrakuski, harde zgiąwszy głowy,
Na dno morskie z bystrych łodzi
Zepchnął kwiat naczelnej młodzi
I niesione Heladzie potargał okowy.
W Atenach do lutni tonu
Przydam chwałę Salaminy,
Pośród Lakonów krainy
Zabrzmię laurem Cyteronu.
Ogłoszę, jak w wolnej ziemi
Potomkowie wschodu ciemni
Z łuki krzywemi
Padli nikczemni!

---

[1]) Syn Heraklesa, prawodawca Doryjczyków.
[2]) Król Dorów w okolicy Pindu osiadłych; przyjął do swego domu Hylosa.
[3]) Syn Egimiusza.
[4]) Kastor i Poluks, którym szczególną cześć oddawano w miasteczku Amiklei.
[5]) Rzeka, nad którą leżała Etna.

Nad zwycięskiemi Himery wody
Uniosę skrzydłem mej ody
Do wiecznych gwiazd chwałę czynów
Dzielnych Dynomena synów[1]),
Co śród słonej morza flagi
Zamknęli imię Kartagi.

Strofa V.

Lecz kończmy szybkie pochwały;
Zręcznej ogniwem krótkości wiązane,
Mniej drżą na obmów postrzały,
Mniejszą pociągną naganę.
Ciężki przesyt pośpieszną zbyt ciekawość strudza:
Do serc zawistnych niesnadnie
I nie bez goryczy wpadnie
Ozdoba cudza.
Jednak, mądry Hieronie,
Znając, jak zawiść wyższa od litości podłéj,
Kochaj poddanych, bierz w ojcowskie dłonie
Sternicze łodzi narodowej jodły.
Stałą pamięcią myśl o tem,
Co jest pięknem, co godziwem:
Na kowadle niekłamliwem
Hartuj język prawdy młotem.

Antystrofa V.

Bo jeśli błąd karli spłodzisz,
Lud go przekuje w olbrzyma:
Tysiąc świadków w straży-ć trzyma,
Bo ty ich losem dowodzisz:
Chcesz-li zachować duszę w blasku przyrodzonym,
Pozyskać chlubne wieści, być u świata czczonym,
Nie ściskaj prawicy hojnej,
Nieś krajowi wsparcie winne,
Roztocz, sterniku dostojny,
Łask twych żagle wiatropłynne.
Brzydź się spodloną pochlebców zgrają,
Co słabość królów zdradzają.

Epodon V.

Sama tylko zmarłych sława
Niepomna koron i tronów,
Śmiertelną pamięć poddawa
Pod sądy piór i bardonów.
Nie zgasną Kreza dobroczynne cnoty!
Lecz ciebie, okrutniku!
Coś w miedzianym skwarzył byku
Pokrewne niebu istoty,

[1]) Hieron i jego bracia zwyciężyli Kartagińczyków pod Himerą w sam dzień bitwy pod Salaminą (480 r.).

Wieczne, Falarysie, wszędzie
Przekleństwo doścignąć będzie;
Nigdy ku tobie żadna
Nie westchnie radość biesiadna,
Nigdy dla ciebie w dłoni młodzieńczej
Boska lutnia nie zabrzęczy:
Bo pierwsze dobro, gdy dola słodka,
Drugie, gdy sława jest z nami;
A kogo razem oboje spotka,
Ten się posadził z bogami.

(J. Wiernikowski).

XV. Eschilos.

A) Prometeusz w okowach.

Na scenę, wyobrażającą dziki, nadmorski krajobraz w Kolchidzie, Przemoc i Gwałt wprowadzają skrępowanego Prometeusza; Hefajst, posłuszny rozkazowi Zeusa, przykuwa go wbrew swojej woli do skały. Zostawiony sam sobie Prometeusz wybucha skargami na krzywdę, jaką mu Zeus wyrządził. Skargi te przerywa przybycie chóru Okeanid. Wyraża on Prometeuszowi swoje żywe współczucie i zapytuje o przyczynę okrutnego wyroku. Wśród wyrazów oburzenia na tyranię i niewdzięczność Zeusa, któremu do obalenia Kronosa dopomógł, opowiada Prometeusz, że ściągnął na siebie gniew jego, wykradając z nieba ogień i wbrew jego zakazowi udzielając go ludziom, których prócz tego wielu pożytecznych rzeczy nauczył. Chór, dowiedziawszy się, że uwolnienie Prometeusza zależy od samowoli Zeusa, radzi bohaterowi upokorzyć się. Prometeusz odrzuca z dumą tę radę, bo nie ukorzy się przed wrogiem, tem bardziej że to nie zmieni jego losu; przyjdzie wszakże czas, że Zeus dla własnego ocalenia będzie go musiał uwolnić, a zmusi go do tego jego własny potomek. Dyalog ten przerywa najprzód Okeanos, przybywający na chwilę dla wyrażenia rzekomego współczucia, następnie Iona, kochanka Zeusa, ścigana przez mściwą Herę. Prometeusz wieści jej przyszłe niedole i oznajmia, że z jej pokolenia urodzi się dla niego wybawca. Tymczasem Zeus, zaniepokojony napomknieniami nieugiętego przeciwnika, radby uniknąć grożącego mu niebezpieczeństwa; śle więc Hermesa, żeby od Prometeusza zasięgnął dokładniejszych wyjaśnień.

Hermes (przybywa). Do ciebie, mędrku, bogom nienawistny,
Bluźnierco bogów, ludzi dobroczyńco,
Złodzieju ognia, przemówić przychodzę.
Pan niebios każe ci wyznać natychmiast:
Co wiesz o przyszłych jego związkach, co wiesz
O tym, co z tronu ma zrzucić Kronjona?
Mów wszystko, szczerze mów i bez ogródek,
Nie chciej, bym dwakroć przychodził do ciebie,
Wszak wiesz, że Zeusa niełatwo złagodzić.
Prometeusz. Pyszałkowata, nadęta twa mowa
Zdradza, żeś bogów nikczemnym służalcem.
Świeżoście niebios złoty gród opadli,
I już bez troski chcecie się rozgaszczać?!
Czyżem nie widział, jak dwóch samowładców
Z wyżyny jego spadało na głowę?
Czyliż nie widzę, że pan twój tą drogą

Prędzej, haniebniej, niż tamci, poleci?
Albo, czyż myślisz, że gnę kark mój hardy,
Że drżę przed nowych bogów pokoleniem?
Do tego braknie wiele — wszystko braknie!
Ty zaś powracaj, skąd idziesz! niczego
Nie usłyszawszy, coś się chciał dowiedzieć!

Hermes. Wiesz, dokąd upór ciebie zaprowadził.

Prometeusz. Wiedz, żebym nie chciał zamienić mych męczarń
Na twoją służbę. Wolę być tu stróżem
Skalnych granitów, niż tam Zeusa woźnym!
Przeciw zuchwalstwu waszemu — zuchwalstwo.

Hermes. Los twój wygodnym zdawać ci się musi.

Prometeusz. Wrogom życzyłbym tej losu wygody,
A że należysz do nich, życzę tobie.

Hermes. Czyś i mnie losów twych przypisał winę?

Prometeusz. Wszystkich was bogów, wszystkich nienawidzę,
Boście za dobre złem mi odpłacili.

Hermes. Niemała widzę choroba opadła.

Prometeusz. Jeśli chorobą jest nienawiść wrogów.

Hermes. Któżby zniósł ciebie, gdybyś był szczęśliwym?

Prometeusz. Biada!

Hermes. Z ust twoich dziwne słowo padło.

Prometeusz. Czasu potęga wszystkiego nauczy.

Hermes. Ciebie rozsądnym być nie nauczyła.

Prometeusz. Zaiste, dałem dowód, mówiąc z tobą.

Hermes. A więc Zeusowi nie chcesz odpowiedzieć?

Prometeusz. Dłużny mu jestem, mam płacić mu za co?

Hermes. Jako z chłopięcia, szydzisz ze mnie.

Prometeusz. Jesteś
Bo też chłopięciem, głupszym od chłopięcia,
Myśląc, że złamię tajemnicę moją.
Niema męczarni i niema podstępu,
Coby mi z głębin łona ją wydarła,
Nim te haniebne popękają więzy.
Niech z wyżyn spadnie piorun jego jasny
W wichrach śnieżystych, wśród drgań poruszonej
Z posad swych ziemi, niech się świat w kawały
Spęka! napróżno! pierś ma milczeć będzie.
Nie będzie wiedział, kto go z tronu zwali.

Hermes. Bacz, czy to twojem może być zbawieniem.

Prometeusz. Baczyć nie trzeba, gdzie postanowiono.

Hermes. To spojrzyj w otchłań twej nędzy bez końca.

Prometeusz. Próżno mnie próżnych zlewasz słów powodzią.
Strach mi niewieściej nie wdroży natury,
Nienawistnego błagać nie potrafię
Rąk łamaniami i płaczem niewieścim,
By mnie uwolnił. Nie! nigdy, przenigdy!

Hermes. Mowy me próżne, zmiękczyć cię nie zdołam.
Jak rumak nowo wędzidłem ściągnięty,
Gryziesz wędzidło, ściskasz je zębami,
A dęba stając, rwiesz lejce za sobą.
Bezsilność twoja gwałtownym cię czyni,
Boć upór siłą nazwać się nie może.
Jeśli mojego nie słuchasz rozkazu,
Wiedz, jaki nieszczęść wichr na ciebie czyha,
Jaka cię nędzy oczekuje fala.
Najprzód Zeus rodzic pioruna płomieniem
Granit tej skały napoły rozpłata,
A ciało twoje, zmiażdżone w szczelinie,
W odwieczną ciemność Hadesu pogrąży.
Po długich czasów powolnym upływie
Ujrzysz znów światło. Wtedy orzeł Zeusa
Straszny ogromnem na cię skrzydłem zleci
I szarpać będzie szczątki twego ciała.
Gość nieproszony, żarłok całodzienny,
Czarną się twoją paść będzie wątrobą,
I nie myśl, nie myśl o końcu tej męki,
Chyba kto z bogów zastąpić cię zechce
I w czarne Hadu ponurzyć się głębie.
To usłyszawszy, radź teraz o sobie,
Boć groźną prawdą jest moja zapowiedź.
Nie umią kłamać święte Zeusa usta,
Co rzekł, wykona. Tobie zaś roztropność
Niech od uporu gorszą się nie zdaje.

Chór. Poczestne słowo, zda się, Hermes niesie.
Lepsza-ć roztropność pono od uporu,
Posłuchaj! hańbą zaciekłość mądremu.

Prometeusz. Nie mi nowego twa mowa nie wieści,
Od wroga cierpieć nie ujmuje cześci.
Niechże więc we mnie piorun rozczochrany
Godzi, powietrze niechaj uragany
Szarpią, niech burza z posad ziemię ruszy,
Niech fal wyjąca drogi gwiazd opryska,
Ciało me biedne, które skała skruszy,
Niech w Tartarosa bezdenną głębinę
Rwący przeznaczeń prąd ciska;
Ja nieśmiertelny! nie zginę!

Hermes. Tu groźny przykład, jak szaleństwa ramię
Rozsądek w mowach i uczynkach łamie.
Cóż mu brakuje do szaleństwa miary,
Cóżby nie czynił, gdyby uszedł kary?
Lecz wy, dziewice, co litości rosą
Chcecie nieść ulgę strasznym jego losom,
Odlećcie! daleko odlećcie skrzydłami,
Do ojca powróćcie wy groty,

Nim niebo złotymi rozpłonie błyskami,
Nim Zeusa przerażą was grzmoty!
Chór. Nie takie podawaj mi rady,
Nie chciej, bym była nikczemną.
Co cierpieć ma, niech cierpi ze mną!
Ohydy większej od zdrady
Nie znam; ominąć ohydę,
Chętnie do Hadu z nim idę.
Hermes. Pogonicie za waszą więc zgubą,
Nie mówiąc, że Zeus wam przyczyną,
Same ku męczarń głębinom,
Ślepotą wiedzione grubą,
Lecicie, jak sarna leci
W zdradziecko rozpięte sieci.

(Hermes odchodzi. Błyskawice. Grzmoty).

Prometeusz. Ha! czynem już staje się słowo,
Ziemia drga,
Huczy grzmot po skałach,
O ognistych błyskawice strzałach
Świat w szatę odziały ogniową;
Wicher gra,
Gęste pędzi piasku uragany!
Do walki zburzone powstają żywioły,
Morze bije o niebiosów ściany,
Niebo z falą miesza się pospoły!
Takim na mnie idzie Zeus tumanem,
Abym zadrżał i uznał go panem.
O matko moja, o święte powietrze,
Co jasnem światłem cały świat przenika,
Patrzajcie, jaka krzywda mnie spotyka!

(J. Szujski).

Na tem kończy się tragedya.

B) Oresteja.

a) Agamemnon.

Scena wyobraża plac przed pałacem królewskim w Argos. Strażnik, stojący na wieży pałacowej, uskarża się, że od lat wielu z rozkazu Klitemnestry wygląda sygnałów, mających zwiastować o zdobyciu Troi, ale napróżno, a tymczasem w domu królewskim knuje się coś niedobrego .. Wtem spostrzega upragniony sygnał i uradowany, że doczeka się jeszcze powrotu kochanego pana, zbiega do pałacu, żeby zanieść Klitemnestrze pożądaną nowinę. Na opróżnioną scenę wchodzi chór starców argiwskich. Chór ten, pełen smutnych przeczuć, w długim śpiewie przypomina sobie, że właśnie dziesięć lat upływa, jak Agamemnon odpłynął pod Troję, i wyraża obawę o przyszłość swego króla, bo ten naraził się bogom, zarzynając im w ofierze córkę swą Ifigenię.

O, niech mnie dzisiaj smutek omyli,
Co w duszy się wszczął bez powodu,
W blasku tym przyszłość zawita szczęśliwa:
O to się modli argiwskich
Synów starszyzna sędziwa.

Od Klitemnestry dowiaduje się chór, że Troja zdobyta. Widzi on w tem dowód sprawiedliwej kary bogów za porwanie Heleny; ale to samo utwierdza w nim obawę, że i Agamemnonowi nie ujdzie bezkarnie szafowanie krwią i życiem poddanych dla płochej żony Menelaja.

Strofa 3.

Boć lubi Ares, wśród bitw kurzawy
Nad umarłemi wznieść oszczep krwawy
I liczyć trupy pochmurny,
Lubi tęskniącym matkom z pod Troi
Smętne popioły, miast synów w zbroi,
W sztucznie rzeźbione słać urny.
Aż płacz się zacznie i lament, jak owo
Jeden padł w bojach wsławiony
Wielce, a drugi jedynaka głową
Cudzej przypłacił grzech żony,
Aż z smutku zawiść powstanie
I głowy Atrydów dosięże,
Że dla nich najlepsi mężе
W Hadesu poszli otchłanie.

Antystrofa 3.

A ciężka władcom zawiść ludowa,
Pod wolą ludu gnie się ich głowa,
A bogów źrenica cicha
Srogo się patrzy na skroń w koronie,
Jeśli krwią ludu zlane ma dłonie!
Dlatego wiem, że tam czyha
Niemała troska na starość moją:
Że na szczęśliwych Furje się zbroją,
Że grom Zeusowy drga niecierpliwie,
By na zwycięzców uderzyć w gniewie!
Wiem, i mierności oddany cały,
Od obcej wolen swawoli,
Nie chcę zasiadać wśród króli,
Tryumfu nie pragnę, ni chwały!

Goniec Agamemnona, poprzedzający przybycie króla, opowiada Klitemnestrze i chórowi szczegóły zdobycia Troi. Klitemnestra udaje radość z powrotu męża.

Długom z radości wołała szczęśliwa,
Gdym pierwszy płomień wieści zobaczyła,
Że Troja u stóp małżonka w ruinach...
Więc myślę tylko, jako najwytworniej

Wracającego przyjąć męża doma.
Bo czyż świetniejszy dzień kiedy niewieście,
Jak gdy otwiera bramy domu swego,
Dokąd mąż wraca za pomocą bożą?

A zwracając się do gońca, mówi:

Więc idź, niech wraca utęskniony do miasta!
A powiedz, żonę że zastanie wierną,
Jako charcicę, co drzwi pana strzeże,
Nieprzyjaciołom wrogą, a powolną
I słuchającą pana rozkazania,
Co nie zaznała tak z innym rozkoszy
Ani złej sławy, jako rdzy żelazo.

Chór uspokaja się i z radością wita Agamemnona, który wjeżdża na scenę na tryumfalnym wozie; za nim jako branka postępuje Kasandra. Klitemnestra przyjmuje męża przemową:

Męże rodacy, starszyzno argiwska,
Nie wstyd mnie miłość mą ku małżonkowi
Wyznać przed wami. Bo czas wstyd zaciera,
A co wam powiem, nie od innych wzięłam,
Lecz własnej duszy opowiem cierpienia,
Gdy pod Iljonem był mój mąż kochany.
Już być niewieście samej bez małżonka,
Samotnej doma, wielkieć to nieszczęście:
Cóż, gdy co chwila inną wieść jej niosą
Straszliwej treści, którą wnet wieść druga
Okropniejszego jeszcze spędza dźwięku!
Gybyż ran tyle odebrał on w boju,
Jako ich fama zaniesie do domu,
Jużby był pewnie dziurawy, jak sito;
A tyle razy gdyby zginął w bitwie,
Ile to trwożne rozgłoszą języki,
Jużby jak Gerjon chlubił się trójciały
Potrójnym grobem w łonie matki — ziemi,
Coby trzy jego pogrzebał postacie.
Gniew mnie już bierze na to! I dlatego
Już raz niejeden gwałtem mi ze szyi
Morderczą szarfę zdjęto, zrozpaczonej.
Że zaś tu syna nie widzisz twojego,
Słodką małżeńskiej stałości rękojmię,
Jakby godziło się dzisiaj, toć powiem:
Druh twój po mieczu wziął go: wziął Strofejos,
Władca focyjski. On mi to przełożył
Niebezpieczeństwo: jakoś ty pod Trają
Życia niepewien, jak radę argiwską
Łatwo pospólstwa rozruch zrzucić może,

Który ma zwyczaj na słabych się zrywać.
Widzisz, że niema zdrady w tym uczynku...
Lecz mnie nieszczęsnej źrenice pobladły
Od łez strumieni, że łza nie została...
Oczy osłabły od nocy bezsennych,
Gdym haseł twoich szukała po niebie,
A z snu mnie budził komara brzęk cichy,
Bom więcej nieszczęść widziała nad tobą,
Niżli ich było, niż ich trzeba było,
Aby się nigdy nie zwarła powieka.
Lecz dziś mi nie żal wszystkich moich cierpień,
Bo widzę ciebie i nazywam ciebie
Pasterzem owiec i sterem okrętu
Zbawczym, kolumną domu granitową.
Nazywam ciebie jedynakiem rodu,
Ziemią, co szczęściem śmieje się żeglarzom,
Dniem najśliczniejszym po burzy ponurej,
Źródłem napoju wędrowcom spragnionym!
Warteś zaprawdę wszystkich nazwisk owych,
Coś wyszedł szczęśnie tak ze wszystkich trudów,
A zazdrość niechaj precz od nas odlata!
Wieleśmy, wiele cierpieli, o luba
Głowo małżonka! lecz teraz zejdź z wozu,
Ale nie tykaj ziemi, schodząc z niego,
Boś mi ty Troi powrócił pogromcą!
Wy niewolnice! czemu nie kładziecie
Złotych kobierców pod króla sandały?
Purpurą ścieżkę wysłać aż do domu,
Niespodziewanych tak się uczcić godzi!

(Na stronie).

A reszty myśl ma, sprzysięgła z bogami,
Co nie zasnęła w mej duszy, dokona.

Agamemnon. Córo Ledowa! stróżko mego domu,
Cudownie rzekłaś o mej niebytności
Długiemi słowy. Aleć się nie chwalmy
Sami, lecz niechaj inni nas pochwalą.
Toć mnie dziś przyjmij niewieścią miłością,
Lecz nie chciej, jak przed królem barbarzyńskim,
Przypadać do nóg z niewolnicy krzykiem.
Ni mi kobierców nie ściel ty pod nogi,
Co budzą zazdrość. Bogów czcić kobiercem!
Jam ci śmiertelny, więc bałbym się srodze
Kwiaty kobierca podeptać nogami.
Czcij mnie, lecz czleka we mnie czcij, nie boga!
Wszakże ma sława i tak się rozniesie
Bez tych kobierców, a nad wszystkie sławy

Najpierwszym darem niebios umysł prosty.
Szczęsny, co w szczęściu wiek żywota spędzi.
A gdybym wszędzie tak postąpił sobie,
O moją przyszłość byłbym spokojniejszy.

Na usilne jednak prośby żony Agamemnon odchodzi do pałacu po kobiercach, a Klitemnestra, postępując za nim, mówi do siebie:

Ale ty, Zeusie, opiekunie czynu,
Ty bądź dziś przy mnie i wspieraj twą sprawę.

Po odejściu króla chór dziwi się, że go nie opuszczają trwożne przeczucia.

Strofa.

Czemuż to jeszcze
Dziwnej obawy
Biorą mnie dreszcze?
Wyroczni krwawej
Czemu mnie straszą wieści?
O czemu raczej
Luba otucha,
Rozegnawszy te mary boleści,
Nie najdzie ducha?
Wszakże już dawno, jak iljońskie floty,
Skrzydlate szparkiemi wiosły,
Na wojen srogie obroty
Argiwską młodzież poniosły.

Antystrofa.

A choć własnemi
Patrzę oczami
Na powrót króla do ziemi,
To duch pieśniami
Erynij [1]) pieje;
A z mojej duszy
Głos ich straszliwy
Nielitościwie spycha nadzieję
I radość głuszy.
A serc przeczucie omylnem nie bywa,
Obawy nie kłamie drżenie,
Bogi! dłoń wasza szczęśliwa
Odwlecze chyba spełnienie!

Tymczasem Kasandrę, zostawioną na scenie, napada szał wieszczenia. Wieszczym duchem odgaduje ona dawne zbrodnie, dokonane w domu Atrydów, i coraz wyraźniej widzi, jak Klitemnestra zamorduje męża, a wreszcie i ją, brankę; ale jednocześnie zapowiada i zemstę.

Lecz nie! nie zginiem bez zemsty od bogów,
Bo w ślady nasze pójdzie mściciel wielki,
Co ojca śmiercią macierzy odkupi.

[1]) Erynie, albo — jak je później nazywano — Eumenidy — (po łacinie Furye) — były to jędze z wężami we włosach, ścigające i dręczące zbrodniarzy, którzy łamali zasadnicze prawa moralności. Urodziła je ziemia z krwi Uranosa, należały więc do rzędu bóstw starszego pokolenia.

Tułacz bezdomny, wygnaniec tej ziemi,
Wróci, by spełnić zbrodni domu miarkę,
Wróci, a w dom go nie przyjmą rodzica,
Co wtedy będzie w zimnym już spał grobie...

Po odejściu Kasandry chór, zaniepokojony jej wieszczbami, zdaje się godzić z myślą, że Agamemnonowi zagraża śmierć z rąk żony.

Wiecznie pragną szczęścia śmiertelnicy,
Każdy do swej woła je świetlicy,
A niebezpieczny doma to gość.
Ot i Atryda, co z woli bogów
Zwycięzcą wraca do swoich progów,
Jeśli swych ojców odpłaci złość,
Jeżeli padnie krwawą ofiarą:
Któż uwierzy, że póki żywota,
Szczęścia się jego nić utrzyma złota,
Co senną tak pierzcha marą...

Agamemnon (za sceną). Och! och! śmiertelną odebrałem ranę.

Półchór 1. Cicho! ktoś woła o ranie śmiertelnej.

Agamemnon (za sceną). Och! och! raz drugi cios mnie śmierci trafił.

Półchór 2. To jest jęk króla — zbrodnia się snać stała.
Radźmyż więc z sobą, co czynić należy.

Półchór 1. Ja podam radę: należy okrzykiem
Zwołać natychmiast przed pałac mieszkańców.

Półchór 2. Jabym zaś radził wpaść zaraz do domu
I na gorącym ich napaść uczynku.

Półchór 1. I ja podzielam tę radę i mówię:
Trzeba coś działać. Zwlekać nie należy.

Półchór 2. Lecz i ostrożność potrzebna, bo zwykle
Taki początek tyranidy bywa.

Półchór 1. My tu zwlekamy, a oni na hańbę
Naszą nie dają swym usypiać dłoniom.

Półchór 2. Nie wiem, co mowa pomoże do rady.
Kto czyni, ten się naradza zarazem.

Półchór 1. I ja tak myślę, boć mową zaiste
Raz zabitego nie wskrzesimy nigdy.

Półchór 2. Jeśli tak będzie, mamyż dom ten stary
Rzucić na pastwę bezczelnym książętom?

Półchór 1. Nie! umrzeć raczej, niżli znieść rzecz taką.
Stokroć — bo milsza śmierć od tyranidy.

Półchór 2. Ale czy z jęków tych wolno nam wnosić,
Że król w istocie doma jest zabity.

Półchór 1. Mówić to wolno, co się wie dokładnie:
Inna przypuszczać jest, a inna wiedzieć.

Półchór 2. Temu to zdaniu dank mój oddać muszę:
Należy wiedzieć, jak się ma Atryda.

(Z pałacu wychodzi Klitemnestra z siekierą na ramieniu. Słudzy wynoszą za nią przykryte zwłoki Agamemnona i Kasandry).

Klitemnestra. Nie wstyd mnie będzie wyrzec rzecz przeciwną
Temu, com wprzódy z potrzeby mówiła.
Tak bo rad każdy nienawistnych sobie,
Co go przyjaciół oszukują mianem,
W nierozgmatwane złego pędzić sieci,
By się z nich nigdy dobyć nie zdołali...
Przybył zwycięstwem napuszon po latach,
Jakby się wspierał na zbrodniach spełnionych,
Alem go zmogła — jawnie to wyznaję —
Że drgnąć mi nie mógł, ni śmierci wyminąć.
Sieć nań rzuciłam, jak na potwór morski,
Gęstą, zgmatwaną — z bogactw naszych składu.
Podwójnym ciosem uderzam w kark dumny,
I z dwoma jęki padł o ziem trafiony,
A upadłemu trzeci cios dodaję,
Bogu Hadesu na chlubę i radość...
Cieszcie się, starcy, cieszcie, kiedy chcecie,
Ja chluby krzykiem zawiodę po domu:
Bo jeśli wolno zmarłym nieść ofiarę,
Tom ją poniosła...

Mówiąc to, Klitemnestra daje do zrozumienia chórowi, że zabijając męża, pomściła na nim śmierć Ifigenii i ukarała go za złamanie wiary małżeńskiej dla Kasandry. Chór nie uznaje jej racyi i grozi karą.

Klitemnestra. A ja na Hades klnę się dziś przed tobą,
Na Atę[1]) czarną, na Erynje klnę się,
Które mą córkę pomściły, a którym
Męża mojego zabiłam w ofiarę:
Progu mojego nie najdzie strach blady,
Ni rozpacz, póki Egist, co mnie kocha,
Ogień u mego ogniska zażega.
Na nim się wesprę, jak na tarczy silnej.

Istotnie po chwili przybywa na scenę Egist, otoczony strażą, i wśród pogróżek oznajmia chórowi, że on teraz razem z Klitemnestrą, której do spisku na życie Agamemnona dopomagał, obejmuje władzę. Chór ulega przywłaszczycielowi w nadziei, że przybędzie kiedyś mściciel — Orestes.

b) Ofiarnice.

Scena ta sama, co w Agamemnonie, tylko opodal grobowiec Agamemnona. Do grobowca zbliża się Orest w towarzystwie Piladesa.

Hermesie, władco! co z ojca wyroków
Rządzisz Hadesem, usłysz me błagania:
Oto cię proszę o pomoc, o wsparcie,
Tułacz, do własnych wracający progów.

[1]) Bogini klęsk, niedoli.

A ty, mój ojcze, słuchaj z grobu głębi
Synowskiej mowy i ślubów synowskich.
Otom ja przybył z dalekiej krainy,
Od Strofiosa, druha twego w boju,
Co mnie wychował i mówił dziecięciu
O twoich czynach i o twojej śmierci,
A był mnie razem ojcem i macierzą.
Otom tu przybył uczcić twe popioły
Cześcią pogrzebną i dom twój oczyścić,
Gdy zechcą bogi, od hańby i wstydu,
I znowu chwałę wrócić mu królewską,
Abyś spokojnie mógł odpocząć w Hadzie...
A władca Hermes i Loksyasz[1]) potężny,
Co mnie tak radził z delfickiej stolicy,
Niechaj zamysłom moim błogosławi...

Monolog ten przerywa ukazanie się chóru dziewic pałacowych, na których czele postępuje siostra Oresta — Elektra. Orest usuwa się za grobowiec, a chór podstępuje ku niemu; z pieśni jego okazuje się, że ubiegłej nocy zaniepokoił Klitemnestrę sen złowieszczy. Śle więc córkę, żeby ofiarą na grobie Agamemnona przebłagać cień męża i odwrócić nieszczęście. Ale Elektra, źle traktowana przez matkę, pamięta jej zbrodnię, natomiast płacze po ojcu.

Dziewy służebne, wierne domu sługi,
Wysłane ze mną do tego obrzędu,
Dajcie mnie radę, co mam rzec za słowo,
Jaką modlitwę wznieść ku ojca cieniom,
Lejąc obiatę na jego grobowiec?
Czy powiem może, że wdowa żałosna
Niesie ofiarę drogiemu mężowi?
Nie! Na to nie mam odwagi. Nie mogę
Dobyć tchu z piersi, aby to powiedzieć!...
W tem was o radę proszę, o służebne!...
Chór. Grób twego ojca dla mnie jest ołtarzem,
Więc powiem szczerze, co mi serce każe.
Elektra. Więc mów, jak uczcić mogiłę kochaną?
Chór. Módl szczęścia dla tych, co ojcu wiernemi.
Elektra. Lecz kogoż nazwę wiernym rodzicowi?
Chór. Tego, ktokolwiek wrogiem jest Egista.
Elektra. Z całego serca modły za tych niosę.
Chór. Myśl ci poddałam, więc dalej idź w modłach.
Elektra. Kogoż na drugiem miejscu mam położyć?
Chór. Wspomnij Oresta, choć go niema doma.
Elektra. Myśl mi zaprawdę podałaś najlepszą.
Chór. A pomnij strasznej zbrodni wykonawców.
Elektra. Cóż mam powiedzieć? Rozum mnie odbiega.
Chór. Błagaj którego z demonów lub ludzi.

[1]) Apollo.

Elektra. Na sędzię wołać mam, czy na mściciela?
Chór. Tak! na mściciela! aby wyrzec krótko.
Elektra. Czy żądać zemsty nie obraża bogów?
Chór. Czy zło złem płacić — grzechem jest i winą?
Elektra. Hermesie cieniów! zwołaj do mej modły
Duchy podziemne, świadki ojca mordu,
Ziemicę przyzwij, wszechmatkę stworzenia,
Co wszystko rodząc, wszystko w łonie chowa,
I ojca mego, któremu przynoszę
Cieniom święcony napój ofiarniczy,
Niech się zlitują nademną, nad bratem,
I niech do władzy przywrócą nas w domu,
Boć w hańbę pchnęła nas macierz rodzona,
Z mordercą ojca sromotnie związana.
Jam jest miast sługi. Orest wydziedziczon
Tuła się w świecie. Domowym dobytkiem
Bezczelnie przybysz zbrodniczy swawoli.
Więc niechaj Orest powróci szczęśliwie,
Błagam cię, ojcze, a ja nic nie żądam,
Prócz, żebym była cnotliwszą od matki
I ręki czynem bezbożnym nie tknęła.
To dla nas modlę — ale im, lecz wrogom,
Wrogom mściciela wieszczę za krew twoją!...

Wtem, lejąc ofiarę, spostrzega pukiel włosów, który Orest był sobie uciął i na grobowcu złożył; gdy miotana niepewnością nie wie, co włosy te znaczą, Orest, przekonawszy się dostatecznie o usposobieniu siostry, wychodzi zza grobowca i daje się jej poznać. Wyjawia on jej cel swojego przybycia, a Elektra opowiada mu szczegółowo o śmierci ojca i swojej niedoli. Opłakawszy zgon rodzica, umawiają się oboje, jak zemsty dokonać. Elektra wraca do pałacu, a Orest z Piladesem, żeby się tam dostać, uciekają się do podstępu: stają przed pałacem jako posłowie ze zmyśloną wiadomością od Strofiosa, że Orest umarł. Klitemnestra wpuszcza ich do środka i śle Kilisę, mamkę Oresta, żeby sprowadziła Egista dla wysłuchania pożądanej nowiny. Kilisa, opłakując śmierć wychowanka, oburza się przed chórem na Klitemnestrę, że lubo udaje smutek, cieszy się ze śmierci syna. Po odejściu Kilisy na miasto chór zanosi modły do bogów o powodzenie mścicieli.

Strofa 1.

Olimpu bogów
Władco wszechmożny,
Pomagaj tej sprawie
Tej sprawie pobożnej.
Obrońcy tych progów
Błogosław, błogosław łaskawie!

Antystrofa 1.

W jarzmie cierpienia
Sierota dziecię
Wolny kark gniecie.
Użycz wytchnienia!
Niech nie usycha
Bez rodzinnego dachu cienia.

Strofa 2.

I was, o bogi,
Pańskiej świetlicy
Przychylne bogi,
Wołam w tęsknicy
Niech przebłagana, niech krwią winną zmyta,
Zbrodnia już nigdy w ten dom nie zawita.

Antystrofa 2.

Ty zaś, o panie
Delfów pieczary,
Zrządź, niechaj stanie
Pan ze krwi starej
Na tronie ojców i wzrok swój łaskawy
Rzuci na ciemność upadku niesławy...

Epodon (do Oresta).

Ale ty, synu,
Do dzieła, do czynu,
Ty nabierz ducha!
Słyszysz! jęk ojca dolata do ucha.
Odpowiedz mu głosem godnym.
Bądź mu synem nieodrodnym!
Spełnij przeznaczeń wyroki!
Nabierz serca Persesusza.
Oto woła Had głęboki!
Oto woła drogich dusza!
Mścij się jako kochający.
Niech płynie krwi struga różowa,
Niech winna upada głowa.

Tymczasem przybywa Egist i wchodzi do pałacu; po chwili daje się słyszeć rozpaczny głos jego, a na scenę wypada z komnat niewieścich zaalarmowana Klitemnestra. Wchodzi też Orest i Pilades.

Orest. Teraz na ciebie kolej; tamten gotów.
Klitemn. A więc zginąłeś, Egiście mój drogi!
Orest. Kochasz więc tego męża. Spocznij przy nim,
Abyś zmarłego nie smuciła zdradą.
Klitemn. Stój, stój, mój synu! i pierś tę uszanuj,
Przy której drobnem usypiał dziecięciem
I ssałeś pokarm usty dziecinnemi.
Orest. Piladzie! mamże zabić matkę swoją?
Pilades. Gdzież wieszczby Feba, gdzie twoje przysięgi?
Niechaj świat cały wrogiem tobie będzie,
Ale nie bogi, bogi nieśmiertelne.
Orest. Dobrze mi radzisz, pójdę za twą radą.
(do Klitemn). Idź za tym trupem i padnij w krwi twojej...
Klitemn. Jam cię karmiła swem mlekiem za młodu,
Pozwól spokojne doczekać starości.

Orest. W mym domu ojca ma żyć morderczyni!?
Klitemn. Synu mój, temu winno przeznaczenie.
Orest. Toż przeznaczenie cię teraz dosięga.
Klitemn. Czy cię nie lęka macierzy przekleństwo?
Orest. Jakaś ty matka, coś mnie w świat rzuciła!
Klitemn. Czy cię druh — rycerz nie chował troskliwie?
Orest. Syna wolnego rodzica sprzedałaś!
Klitemn. Gdzież jest zapłata, com wzięła za ciebie?
Orest. Wstydzę się twoją odkrywać sromotę.
Klitemn. Mów, ale mówiąc ojca win nie przemilcz!
Orest. Nie bluźń na ojca — on walczył pod Troją.
Klitemn. Ciężko dalekiej od męża niewieście.
Orest. Wieść trudów męża winna ją spokoić.
Klitemn. Więc ty chcesz zabić twą matkę, o synu!
Orest. Sama mord spełniasz na sobie, niewiasto.
Klitemn. Jakże odpędzisz Furje matki mordu?
Orest. A ojca mordu jak Furje odpędzę?
Klitemn. Daremnie widzę nad mym grobem płaczę.
Orest. Los ojca mego przyczyną twej śmierci.
Klitemn. Wężam zrodziła — wężam wychowała.
Orest. Spełnia się sen twój, bojaźń twa nie marna!
Giń od niezbożnej ręki, jakoś ojca
Niezbożną niegdyś ręką ugodziła.

Z temi słowy uprowadza ją do pałacu. Po chwili wychodzi z niego i w przemowie do chóru tłómaczy się z pobudek, dla których matkę swą zabił. Uczuwa jednak wprędce, że zaczynają go dręczyć Furye; napół nieprzytomny, domyśla się, że popełnił zbrodnię, zadając śmierć Klitemnestrze, i zbiega ze sceny, ażeby szukać opieki Apollina, który go do matkobójstwa skłonił.

c) Eumenidy.

Przez otwarte drzwi świątyni delfickiej widać Oresta, trzymającego się znaku środka ziemi, i śpiące na krzesłach Eumenidy czyli Furye. Apollo z Hermesem zbliża się do Oresta, uspakaja go i obiecuje być jego obrońcą, ale radzi mu uciec się do Aten pod opiekę Pallady. Zaledwie Orest odszedł pod opieką Hermesa, a Apollo zasiadł na swym tronie, ukazuje się duch Klitemnestry i robi wyrzuty Furyom:

Śpicie? ha! śpicie? Wobec mojej sprawy
Sen dozwolony? Wśród umarłych rzeszy
Bogiń korowód pomścić się nie śpieszy
Tej, która sama ma na ręce krwawej
Ślad mężobójstwa... Mnie zhańbić nie wina!
A przeciem padła z ręki mego syna....
Uciekł wam z dłoni bezsilnej i starej,
Jak jeleń przedarł sieci waszej gęstwie,
Po odniesionem szydząc z was zwycięstwie.
Lecz ja was wołam, ja was ze snu ruszę...

Eumenidy mruczą i zaczynają się poruszać.

Jak pies myśliwski skomlisz w marze sennej,
Zamiast się zerwać zębami wściekłemi!
Wstań! Niech cię dłużej nie trzyma kamienny
Sen! Gdzieś do wnętrza zaszarp się ostremi
Pazury! Skruchy oćwicz biodra biczem!
Goń! goń kapiącem od krwi go obliczem.
Żarem oddechu wysusz mu jelita,
Niech pada marny, niech zębami zgrzyta,
Niech wyciągnięty gonitwą się kruszy.

Eumenidy budzą się, spostrzegają ucieczkę ofiary i czynią Apollinowi wyrzuty, że sprzyja matkobójcy:

I ty, wieszczu, o ty, Apollinie,
Hańbie dajesz twą złotą świątynię,
Czcząc śmiertelnych mimo prawa boże,
Stare Mojry[1]) deptając nogami!
Gardzę tobą i twemi mocami:
Nie ustąpię, gdzie rękę położę....
Niema kąta, gdziebym nie dopadła,
Niema kąta na ziemi, ni w Hadzie;
Na kim matka krwawą dłoń układła,
Zginąć musi w swej zbrodni szkaradzie.

Apollo groźnemi słowy każe im opuścić świątynię.

Eumenidy. Daj przyjść do słowa, władco Apollinie!...
Oddam ci słuszność: współwinny nie jesteś,
Na tobie cała tego mordu wina.
Apollo. Jakim sposobem? Tobym chciał usłyszeć.
Eumenidy. Tyś sam go zbroił w oszczep matkobójczy.
Apollo. Morderstwo ojca wymagało pomsty.
Eumenidy. A teraz matki morderstwo osłaniasz.
Apollo. By się oczyścił, przyjść mu tu kazałem.
Eumenidy. Lecz nas wyganiasz, jego towarzyszki.
Apollo. Świątynia moja dla was niedostępna.
Eumenidy. Przecież z bożego przyszłyśmy rozkazu.
Apollo. Jakiż to rozkaz? jaka to powinność?
Eumenidy. Powinność święta gonić matkobójcę.
Apollo. Zabójcę matki, co mężobójczynią?
Eumenidy. Nie ma się krwawić syn matki morderstwem
Apollo. Więc niczem tobie związek uświęcony
Zeusa i Hery ślub małżonków dwojga?
Więc niczem tobie Kiprydy rozkazy,
Wszelkiej rozkoszy dawczyni na ziemi?
Świętym jest związek męża i niewiasty,
Świętszym ślub taki od przysięgi świętej.
Lecz ty nie karzesz, ty go nie dochodzisz,

[1]) Boginie przeznaczenia ludzkiego (po łacinie Parki), były też zarazem stróżkami praw i porządków moralnych na świecie.

Choć rozerwany morderstwem, ty wściekła
Tylko Oresta umiesz prześladować.
Sprawiedliwości nie widzę w tej sprawie,
Więc pod Pallady poddam ją rozsądek.

Eumenidy. Nie puszczę nigdy, nie puszczę Oresta.

Apollo. Goń za nim dalej; pogonisz napróżno.

Eumenidy. Czci mojej takiem nie ubliżaj słowem.

Apollo. Wzgardziłbym iście taką czcią nazawsze.

Eumenidy. Tak! zwą cię wielkim przy tronie Zeusowym.
Lecz mnie krew matki, krew pędzi przelana,
I nieznużona za tą krwią pogonię.

Apollo. Ja zaś na pomoc pośpieszę mężowi,
Co mej opieki pożądał i straży...
Kto w tem niepilny, bóg-li, czy śmiertelny,
Na srogą zemstę bogów się odważy.

Scena się zmienia. Eumenidy, węsząc ślady matkobójcy, odnajdują Oresta w świątyni Pallady w Atenach. Orest oznajmia im, że oczyściwszy się ofiarą, oddaje się pod opiekę Pallady.

Eumenidy. Próżno Apolla i próżno Pallady
Wołasz. Na wściekłość naszą niema rady.
Nie! nie! nie zaznasz rozkoszy spokoju,
Blada ofiaro, z Erynjami w boju!
Mojąś ty pastwą, żertwą jesteś moją,
Ofiary próżne, słowa nie dostoją!
Żyw będziesz naszym: żyw w wieczystym grobie,
Gdy straszną klątwy pieśń zanucim tobie...
O, macierzy moja, o Pranocy!
Coś zrodziła nas na świata strach,
Pod Apolla stopą w krwawych łzach
Mamż upadać w hańbie i niemocy?
Maż mi z ręki uchodzić zwierzyna
Matkobójcy, matkobójcy syna?
Nie! oplączmy go pieśni rytmami,
Co miesza zmysły, co rozum odbiera.
Strasznej pieśni chłostany strunami,
Niech w szaleństwie zbrodniczy umiera.
Mojry dały z wiecznego wyrobu
Świętych węzłów Erynjom straż,
Mężobójców kazały na oku,
Ojcobójców mieć na oku twarz.
Na dno piekieł puszczać oko wieszcze,
Na dnie piekieł nie przebaczać jeszcze.
Nie! oplączmy go pieśni rytmami,
Co miesza zmysły, co rozum odbiera,
Strasznej pieśni chłostany strunami,
Niech w szaleństwie zbrodniczy umiera...

Przybywa Atena. Orest powiada jej, kto jest, co uczynił i błaga o opiekę i sąd. Atena nie uznaje za właściwe wyrokować sama w tak zawiłej sprawie i dla jej rozstrzygnięcia ustanawia sąd przysięgłych — Areopag, który ma być instytucyą stałą. Eumenidy widzą w pomyśle Ateny zamach na bezpieczeństwo publiczne.

Wszystko obalą bogów prawa nowe,
Jeśli matkobójca śmiało
Przed sądem podnosić ma głowę.
Co będzie dzieci trzymało,
Rodziców chronić co będzie,
Jeżeli pójdzie na sędzie,
Co z góry przeklętem bywało?
Drżeć będą wkoło przelękłe sąsiady,
Gdy mordu wołanie usłyszą;
W krwi upadnie mordowany, blady,
Bezprawia otoczon ciszą.
W trop za zmarłym nie pójdziem Menady,
Wolno puścim zabójstwa szkarady —
Bogi nowe niech skutek przypiszą...

Występują sędziowie; przybywa i Apollo jako obrońca Oresta. Atena zagaja sąd Eumenidy jako oskarżycielki zapytują Oresta:

Odpowiedz naprzód, czy zabiłeś matkę?
Orest. Nigdy nie chciałem przeczyć tego czynu.
Eumen. Tożto podobno wygrałyśmy sprawę!
Orest. Nie chełp się próżno, aż koniec jej będzie.
Eumen. Więc powiedz jeszcze, jak matkę zabiłeś?
Orest. Głowę odciąłem mieczem od tułowia.
Eumen. Z czyjej namowy było to i rady?
Orest. Z wyroku boga, który mi poświadczy.
Eumen. Bóg wieszczy chciał mieć ciebie matkobójcą?
Orest. I wyrok jego dziś mnie jeszcze trzyma.
Eumen. Powiesz inaczej, gdy cię sąd potępi.
Orest. Grób mego ojca będzie mi pomocą.
Eumen. Nie dufaj grobom, ty, coś grób otworzył.
Orest. Dwukrotną zbrodnią splamiła się matka.
Eumen. Gdzie ta dwukrotność? Słyszałabym rada.
Orest. Męża mordując, ojca mi zabiła.
Eumen. Ale ty żywy, gdy ona nieżywa!
Orest. Czemuście żywej nie prześladowały?
Eumen. Nie była jednej krwi z swoim małżonkiem...
Orest. Ha! ty, Apollo, świadcz mi, ty wiesz jeden,
Czym sprawiedliwie krew matki przelewał?...
Apollo. Rado ateńska! wieszcz boży, niemylny,
Powiem wam prawdę samą, prawdę świętą.
Nigdym nie wieszczył nic, czyli to mężom,
Czyli niewiastom, czy miastom, czy ludom,
Coby nie było z ojca Zeusa woli.
To z wieszczb wam moich uczyć się przystoi,

Jako objawień boga nad bogami,
Ponad piekielne wyższego przysięgi.

W obronie swej Apollo dowodzi, że ojciec więcej waży niż matka, i powołuje się na samą Atenę, która zawdzięcza swoje istnienie tylko Zeusowi. Po wysłuchaniu stron obydwóch Atena zwraca się do sędziów:

Wstańcie, zdań waszych rzucajcie kamienie,
Jako wam każe przysięga, sumienie...
Eumen. I ja dam radę: strzeżcie się, sędziowie,
W czemkolwiek czci nam gościnnej ubliżyć.
Apollo. Ja wam czcić Zeusa wieszczbę nakazuję, —
Zeusową wieszczbą każda moja bywa.
Eumen. Niepowołany mieszasz się do sądu,
A stroną będąc, wieszczyć już nie możesz.
Apollo. Możo mój ojciec pomylił się w sądzie,
Gdy Iksyona oczyścił od zbrodni?
Eumen. Rzekłeś, co prawda. Wiedz, że pokrzywdzone
Krajowi strasznie damy się we znaki.
Apollo. Przecież zwyciężę, a ty pośród bogów
Nowych i starych utracisz cześć twoją...
Eumen. Kiedy sędziwe poniewierasz młodszy,
Czekam wyroku, co sprawę rozsądzi,
I gniew mój słuszny wstrzymuję do czasu.
Atena. Mnie z prawa winno służyć rozstrzygnięcie
Tego wyroku, więc z góry zapowiem,
Że Orest wolny przy głosów równości...
Wysypcie z urny już kamienne głosy.
Orest. O Febie wielki! jakiż los mnie czeka?
Eumen. O czarna nocy, patrzaj, co się dzieje!
Orest. Śmierć z ręki kata — lub światło żywota!
Eumen. Hańba się nasza z czcią wieczystą waży...

Ilość głosów okazuje się równa i Orest uwolniony odchodzi do Argos, błogosławiąc mądrość i sprawiedliwość Pallady i Ateńczyków.

Eumen. Ha! młodszego rodu bogi! wy co władzę nam wydarli,
Co praświata depcząc prawa, w świecie dzisiaj się rozparli,
Zbezcześcili nas nieszczęsne, poterali naszą głowę,
Na zgniecione wy porządki stanowicie tutaj nowe,
Że na ziemię mojej hańby z krwawych serc trucizna broczy!

Ha! z trucizny nierodzajnych niech się porost mchów roztoczy,
Niech podgryzie łanów bujność, niech w śmiertelnych wód krawędzie
Jad się zbierze, co zarazę między ludźmi szerzyć będzie.
Zemsta ludziom! ziemi zemsta! co z nas szydzić się ośmiela,
Głód i mór ją niechaj trapi, śmierć i noc niech ją zaściela!

Pallada łagodzi rozsrożone Eumenidy obietnicą wystawienia im w Atenach świątyni; przejednane obiecaną czcią odchodzą, życząc miastu pomyślności i przyrzekając mu swoją opiekę.

Bywaj mi zdrowe miasto raz jeszcze,
Młodzieńcy, ojce i dziady,
Dzieci, niewiasty i bogi wieszcze,
Gród zajmujący Pallady.
Dopóki dochowasz mi cześci,
Nie bój się, nie bój boleści,
Nie bój nieszczęścia, ni zdrady.

(Józef Szujski).

XVI. Sofokles.

A) Edyp król.

W Tebach rozpostarła się zaraza. Lud modli się do bogów o odwrócenie klęski. Król, który posłał brata żony, Kreona, do Delf po wyrocznię o sposób przebłagania bogów, wychodzi na scenę i mówi do chóru Tebańczyków:

O biedne dzieci! wiem ja, co się dzieje,
Wiem, co was do mnie tu po prośbie wiedzie!
Cierpicie wszyscy, lecz w tej wspólnej biedzie
Nikt z was odemnie srożej nie boleje.
Każdy z was bowiem w dzisiejszej potrzebie
Na własną jeno niedolę narzeka;
Ale ja cierpię nietylko za siebie,
Lecz za każdego w mem państwie człowieka.
Więc żałość wasza bynajmniej nie we śnie
Pogrążonego mnie tu zaskoczyła.
O! nie; ja-m jęczał długo i boleśnie
I myślą przebiegł dróg gatunków siła...
Jedna mi tylko została nadzieja:
Więc wraz wysłałem do świątyni Feba
Brata mej żony, syna Menojkeja,
Kreona, aby spytał, co potrzeba
Działać na dobie, jakie czynić śluby,
Iżby ojczyznę ratować od zguby.
Gdy zaś dni liczę jego oddalenia,
Ciężki niepokój w duszy mej się jawi;
Nie takie-ć długie moje polecenia;
Cóż on więc robi, przecz tak długo bawi?
Ależ zaprawdę, powróci raz przecie!
Więc słowa boże gdy zważę w umyśle,
To byłbym człekiem najgorszym na świecie,
Gdybym się do nich nie stosował ściśle.

Przybywa Kreon i donosi, że według wyroczni Teby powinny się oczyścić od krwi przelanej, powinny ukarać lub wygnać zabójcę poprzedniego króla, Laja. Edyp czyni wszystko, co może, ażeby dojść, kto był tym zabójcą, i z góry straszny nań wygłasza wyrok:

Tego człowieka nikt ani w gościnę
Przyjmie do siebie, ani doń zagada,
I do rąk wody dać mu się nie waży,
Ni u ofiarnych stanie z nim ołtarzy
Ni mu dozwoli kroku do swych progów.

Postanawia wezwać wieszczbiarza, Tyrezyasza. Ten z początku nie chce dawać jasnych odpowiedzi, ale obrażony podejrzeniem, w samym Edypie winowajcę wskazuje. Król ani na chwilę nie przypuszcza takiej możliwości, i sądzi, że to Kreon z żądzy władzy namówił wieszczka do takiego postępku. Kreon upewnia Edypa, że nie powodują nim bynajmniej przypisane mu pobudki, ale król nie pozbywa się podejrzeń i tylko żonie jego Jokaście udaje się ocalić życie bratu. Zostawszy z mężem sama, stara się go przekonać, że całe zamieszanie wynikło ze słów wieszczka i doradza nie wierzyć mu wcale. Ale słowa Jokasty rzucają w duszę Edypa pierwszy zarodek przypuszczenia, że on-to właśnie zabił Laja.

Jokasta. Słuchaj mię, mężu! porzuć niepotrzebne troski;
Wiedz, że nie ma nikogo między śmiertelnemi,
Coby sztukę wróżenia posiadał na ziemi.
I wraz ci na to dowód przytoczę niedługi.
W wyroczni, nie powiadam, że przez Apollina,
Było przepowiedzianem, lecz przez jego sługi,
Iż przeznaczeniem Laja — zginąć z ręki syna,
Którego ja porodzę. A tu wieść powiada,
Że go zabili jacyś obcy rozbójnicy
Tam, kędy na trzy ścieżki droga się rozkłada.
Chłopiec miał ledwie trzy dni, gdy go służebnicy
Z rozkazu ojca wziąwszy, nożęta związali
I on na pustej górze złożon jest w oddali.
A więc się nie ziściły Apollina słowa,
Iż on własnego ojca zabójcą się stanie
I próżna była o to obawa Lajowa,
Chociaż takie wyroczni było wówczas zdanie.
Więc i tobie daremny ta rzecz kłopot sprawia;
Bo co bóg chce objawić, to on sam objawia.

Edyp. Co ty mówisz? co słyszę! żono nieszczęśliwa!
Jakąż trwogą twa mowa duszę mą przeszywa!

Jokasta. Cóż to za nowy przestrach na ciebie napada?

Edyp. Z twych słów się pokazuje, że Laja zabili
Tam, gdzie się na trzy drogi gościniec rozkłada?

Jokasta. Tak mówiono i mówią nawet do tej chwili.

Edyp. A jak się zowie miejsce, na którem on zginął?

Jokasta. Ziemia, na której zginął, zowie się Focydą;
W miejscu, kędy dwie drogi z Delf i Daulji idą.

Edyp. A od tego wypadku długi czas upłynął?

Jokasta. Nim się poczęło u nas twoje panowanie
Nieco wprzód ogłoszono to po ziemi naszej.

Edyp. Jakiego Laj był wieku, jakich kształtów ciała?

Jokasta. Był wzrostu wysokiego, włos jego białawy,
A podobny do ciebie z twarzy i postawy.

Edyp. Biadaż mnie nieszczęsnemu! toż ja nieświadomy
Sam na siebie rzuciłem strasznych przekleństw gromy...
A przez kogo te wieści do was się dostały?
Jokasta. Przez jednego służalca, który uszedł cały.
Edyp. Czy ten człowiek w tym dworze dotąd pozostaje?
Jokasta. Nie; bo kiedy powrócił i po Laja zgonie,
Widząc, że rządy kraju powierzono tobie,
Błagał mnie, pochwyciwszy moje ręce obie,
Że chce wyjść z tego grodu w najdalsze ustronie.
Ja posłałam go na wieś, by pasł nasze trzody,
Ale ten wierny sługa większej wart nagrody.
Edyp. Czy nie mógłby on prędko przedemnie się stawić?
Jokasta. Owszem. Lecz gwoli jakiej wołasz go potrzebie?
Edyp. Och! wszystko mi się zdaje, że co on ma zjawić,
Tegom się ja aż nadto wywiedział od ciebie.
Jokasta. On przyjdzie, lecz tymczasem i ja-m warta przecie,
Byś mi powierzył troskę, która duszę-ć gniecie,
Edyp. Powiem ci, byś wiedziała, z jakim niepokojem
Oczekuję na wieści. Jestże kto na świecie
Z kimbym chętniej cierpieniem podzielił się mojem!
Ojciec mój był z Koryntu, Polibem go zwano,
A matka rodem z Dorys, Meropa jej miano.
Ja byłem pierwszym mężem wśród mego narodu
Na ziemi koryntyjskiej, gdy raz mię spotkało
Zdarzenie, które mogło zdziwić mię niemało,
Chociaż się przez nie martwić nie miałem powodu.
Oto podczas biesiady ktoś, rozgrzany winem,
Przymówił mi, że jestem podrzuconym synem;
A to mnie tak obeszło, żem ledwie mógł przeżyć
Ten jeden dzień! Nazajutrz zaś idę co żywo
Zapytać się rodziców, czy mam w to uwierzyć.
Lecz i ich gniew ogarnia na tę wieść kłamliwą.
Odpowiedź ich na chwilę mój niepokój głuszy,
Lecz słów raz wyrzeczonych zapomnieć nie mogę;
Ten cios nazbyt głęboko utkwił w mojej duszy.
Więc bez wiedzy rodziców do Delf idę w drogę;
Lecz Feb bynajmniej nie ma pytań mych na pieczy,
Jedno wróży mi straszne, niesłychane rzeczy:
Że w kazirodztwie z matką me lata przeżyję,
Że hańba ludzka będzie mych dzieci udziałem,
Że rodzonego ojca nareszcie zabiję.
Przerażony wróżbami, jakie usłyszałem,
Uciekam coraz dalej od korynckiej ziemi
I mierząc jej odległość gwiazdy jedynemi,
Idę z kraju do kraju, dbały tylko o to,
Aby przed wywróżoną schronić się sromotą.
I tak idąc bez przerwy, w onem miejscu staję,
Gdzie Laj zginął, jak z mowy twojej się wydaje.

Powiem ci prawdę, żono; gdym wszedł na te szlaki,
Gdzie potrójny gościniec we trzy strony wiedzie,
Aliści idzie woźny, a za nim mąż taki,
Jakiego opisałaś tuż na wozie jedzie.
Uważam, że i starzec i woźnica społem
Chcą mię spędzić precz z drogi, którą iść począłem;
Wtedy ja gniewem o to uniesiony srodze,
Woźnicę-m napastnika powalił na ziemię,
A starzec postrzegając, że k'niemu podchodzę,
Dwakroć bodźcem na konie ciął mię w samo ciemię.
Ale miał też za swoje, choć nie w równej mierze;
Bo gdy kijem go za to z tej ręki uderzę,
Wraz w wozu na wznak pada, a ja w tejże chwili
Morduję wszystkich, którzy mu towarzyszyli.
Jeśli więc co wspólnego ma ten nieznajomy
Z zabitym Lajem, jest-że czyj los równie srogi?
Mogą-li kogo bardziej nienawidzić bogi!
Obcy i swoi zamkną przedemną swe domy,
Nikt do mnie nie przemówi słowa w mieście całem.
Ja sam ten straszny wyrok na siebie wydałem.
Muszęż tedy wygnańcem opuścić te strony;
A nie wolno mi nawet widzieć się z mojemi,
Nie wolno nogą stąpić do rodzinnej ziemi,
Bo tam mam zostać mężem mej matki rodzonej
Bo tam, niestety, Polib, jak w wyrokach stoi,
Mój rodzic i karmiciel, zginie z ręki mojej
I czyż nie słuszna twierdzić, że klęsk takich siła
Jakieś chyba zawzięte bóstwo na mnie zsyła.
Lecz bogi sprawiedliwe! nie dopuśćcie przecie,
Abym ja miał dnia tego doczekać na świecie!
Niech ja wyłączon będę wprzód z śmiertelnych grona,
Nim ta sprośna ohyda na mnie się dokona!

W duszy Edypa jest jeszcze nadzieja, że nie on był zabójcą Laja, gdyż według opowiadania żony, tłum go zamordował; oczekuje więc niecierpliwie przybycia pasterza, jedynego świadka z owych czasów. Jokasta tem stara się pocieszyć męża, że zabójcą Laja miał być własny syn jego. Wtem przybywa goniec z Koryntu z wieścią o śmierci Poliba; to na chwilę przejmuje króla radością i pobudza do wypowiedzenia słów wątpliwości co do prawdy wieszczb dawanych w świątyniach, ale niebawem wpada znowu w smutek, gdyż Meropa jeszcze żyje; nie chce więc wracać do Koryntu, do czego nakłonić go się stara Goniec, opowiadając, że Polib nie był wcale jego ojcem, że Edypa znaleziono dzieckiem na górze Kiteronie z przekłótemi nogami. Niewolnik, od którego on (Goniec) wziął chłopca, żyje dotąd, to ten sam, który był świadkiem śmierci Laja. Jokasta słuchając tych wyjaśnień, domyśliła się już strasznej prawdy, lecz radaby odwieść męża od dalszego wywiadywania się: „Dość już i tego, co ja cierpię“ — powiada ona i oddala się wołając: biada tobie, biada! Nadchodzi Pasterz, w którym Goniec poznaje owego niewolnika, co mu oddał dziecko, ale ten z przestrachu wypiera się wszystkiego, tak że Edyp zmuszony jest do użycia groźby śmierci, ażeby wymusić wyznanie.

Sługa. Miał on być synem Laja; ale wreszcie, kto wie!
Żona twoja, Jokasta, najlepiej ci powie.

Edyp. Ona-ć je dała?
Sługa. Ona.
Edyp. A w jakim zamiarze?
Sługa. Sądziła, że mu życie odjąć się poważę.
Edyp. Jakto! rodzona matka! co mówisz, na bogi!
Sługa. Złowieszcze ją wyrocznie nabawiały trwogi.
Edyp. Jakie?
Sługa. Że on rodzica zabije.
Edyp. A czemu
Ty to dziecię starcowi powierzyłeś temu?
Sługa. Litość mnie nad niem zdjęła: sądziłem, że chłopca
Weźmie do swej ojczyzny, a to ziemia obca.
On zaś go ku nieszczęściu zachował wielkiemu:
Bo jeżeli on prawdę o tobie wyrzeka,
To niemá biedniejszego od ciebie człowieka.
Edyp. Wszystko już wyszło, przebóg, z tajemniczej matni!
O, światło! ja cię widzę dziś po raz ostatni:
Poczęcie, ojcobójstwo, kazirodna sprawa.
Zgubiony-m! Ja najświętsze pogwałciłem prawa!

Chór skarży się przejmująco na dolę ludzką, stawiając nieszczęsnego Edypa za przykład:

Strofa 1.

Przebóg! przebóg! ludzki płodzie,
Jakżeż marną dola twa!
Najszczęśliwszy mąż w narodzie
Pozór tylko szczęścia zna!
I ten ledwie przed oczyma
Jego błyśnie, już go niéma.
Twoja dola nieszczęśliwa
Tę mi prawdę dziś wykrywa;
Tak, Edypie, mówię śmiało,
Szczęsnych ludzi nie bywało.

Antystrofa 1.

Wielką myślą tyś na szczyty
Najwyższego szczęścia wzbity.
Gościła tu dziewa sprośna [1]),
Zbrojna szpony drapieżnemi,
Z tajemniczych wierszy głośna...
Tyś ją sprzątnął z naszej ziemi
I kraj własnem broniąc ciałem,
Przeciw śmierci stanął wałem.
Stąd to ziemia nasza cała
Królem swoim cię wybrała.
Chlubneż było twe, o panie!
W wielkich Tebach królowanie!

Strofa 2.

A dzisiaj, jest-że drugi kto,
Co przewyższył nędzę twą?
By sroższe klęski, brzydszy kał
Ze dni żywota wysnuć miał?
O, cny Edypie, myślę wciąż,
Żeś ty, jak syn i jako mąż
Na jednem łonie składał głowę!

Antystrofa 2.

Lecz czas na wszystko czujny ma wzgląd;
Jemu się jawną stała twa wina,

[1]) Sfinks zadający ludziom zagadkę (w greckim Sfinks jest rodzaju żeńskiego).

On to sam wydał surowy sąd,
Na ślub, co z matką połączył syna.
O synu Laja! złorzeczę chwili,
Gdyśmy cię pierwszy raz zobaczyli,
Jęczę nad tobą, gorzkie łzy leję.
Bo jeśli prawdę powiedzieć mam,
To ty w nas tchnąłeś życia nadzieję,
I ty też oczy zamknąłeś nam.

Z pałacu wybiega Poseł z wieścią o strasznej scenie, jaka się rozegrała we wnętrzu. Edyp szuka swej żony i matki zarazem.

Pod jego pięścią pękły i drzwi i zawiasy.
Jakby wiedzion przez kogo, wpada do łożnicy.
Tam widzimy niewiastę zwieszoną w pętlicy;
Co gdy on wreszcie zoczył, ryknął jak szalony
I odczepił pętlicę od szyi swej żony.
A kiedy już jej ciało spoczęło na ziemi,
Straszliwy obraz stanął przed oczy naszemi.
On złote sprzączki z płaszcza Jokasty obrywa
Wbija je sobie w oczy i tak się odzywa:
„Oczy, z których pożytek był mi w życiu mały;
Bo od klęsk nie ustrzegły, zbrodni nie widziały,
Niech odtąd na nich wieczne ciemności osiędą,
Niech odtąd i ci dla nich niewidzialni będą,
Co bodaj zawsze byli ode mnie zdaleka
I ci, na których dusza z upragnieniem czeka".
Tak on mówiąc, powieki targa z całej siły;
Wraz zakrwawione oczy lice mu zrosiły,
Lecz nie sama krew tylko sączyła z oprawy,
Jeszcze jakiś deszcz czarny i niby grad krwawy.

Wychodzi wreszcie oślepiony już król z pałacu, by z ludem się pożegnać i Teby opuścić nazawsze. W rozmowie z chórem objaśnia powód, który go skłonił do wydarcia sobie oczu, nie zaś życia.

Ja-m uczynił, co byłem powinien uczynić;
Niemasz czemu przyganiać ni za co mnie winić;
Widzący, czyżbym w Hadzie mógł spojrzeć pogodnie
W oczy ojcu mojemu i mojej rodzicy,
Przeciw którym spełniłem dwie okrutne zbrodnie,
Jakich nawet nie zmaże sama śmierć w pętlicy?
Lecz przyjemnie byłoby, powiecie mi może
Popatrzyć się na dzieci, pocieszyć się niemi;
Nie, ja nie mógłbym na nie już spojrzeć na ziemi:
Ni na gród, ni na mury, ni na chramy boże,
Które-m sam sobie zamknął, sam między Tebany,
Rozkazując, by zbrodzień z kraju był wygnany.
I dziś jak bezbożnika każdy mię przeklina,
I bogi zwą nieczystym Lajowego syna!

Gdy więc wszem wobec zbrodnie me się ukazały,
Jakże mógłbym na ziomków wzrok podnosić śmiały?
O, nie! ja chciałbym jeszcze źródła słuchu stłumić
I ciało me odrętwić, ażeby już wtedy
Być i ślepym i głuchym i nic nie rozumieć;
Bo nie czuć swych nieszczęść to jeszcze pół biedy.
Czemuż mnie, Kiteronie! schroniły twe szczyty,
Albo czemuś mi zaraz nie odebrał życia,
By ród mój nigdy, nigdy nie wyszedł z ukrycia!
O, Polibie, Koryncie! dworcu znamienity,
Który ojcowskim zwałem! jakąż mnie plugawą
Pod pięknemi pozory karmiliście strawą?
Dziś ja i ród mój bogom i ludziom niemiły.
O! potrójne rozdroże, posępna dolino!
Lesie! w którym trzy ścieżki schodzą się i giną,
Co krew mojego ojca z ręki mej wypiły,
Pamiętacież ówczesne me zbrodnie i ową
Którą-m spełnił przyszedłszy za ziemię Kadmową?...[1])
Lecz dość już; co wspominać takie sprośne czyny?
Dalej, przebóg! wypędźcie mnie precz z swej krainy
Wydrzyjcie życie, rzućcie gdzie w morze głęboko,
By mnie już nigdy ludzkie nie widziało oko.
Zbliżcie się, nie lękajcie dotknąć bezbożnika,
Bo ta plaga mnie tylko jednego dotyka.

W rozmowie z Kreonem, największe spółczucie okazującym biednemu, poleca pogrzebanie zwłok Jokasty i opiekę nad córkami, Antygoną i Ismeną, które mu przyprowadzono.

Ja tu żyw nie postanę już w ojcowskiem mieście,
Lecz pójdę mieszkać w góry, na szczyt Kiteronu,
Gdzie mi za życia, z woli rodzica i matki,
Grób był przeznaczon; tam ja doczekam się zgonu,
Choć wiem, że mnie choroba i inne wypadki
Nie zmogą, bobym śmierci nie był wyrwan przecie,
Gdyby mnie coś gorszego nie czekało w świecie.
Teraz niechaj się spełni moje przeznaczenie.
Co się tyczy mych dzieci to tylko nadmienię,
Że synów moich[2]) tobie nie zlecam, Kreonie.
Oni męże, chleb znajdą w każdej świata stronie.
Ale-m dwie biedne córki zostawił na ziemi;
One zawsze siadały u mojego stołu,
Z niemi każdy kawałek dzieliłem pospołu:
Och! ty mię teraz wyręcz i czuwaj nad niemi;
Pozwól ich dotknąć ręką: o błagam cię o to!

---

[1]) Kadmus, założyciel Teb.
[2]) Eteokles i Polinik.

Pozwól popłakać razem nad wspólną zgryzotą.
Królu! bracie szlachetny! spełnij me żądanie,
I pozwól mi rękami dotknąć je koleją;
Wzdy mi się będzie zdawać, że ja patrzę na nie.
Lecz co słyszę? toż one podobno łzy leją!
Czy to wy, drogie dzieci? czyli ja się mylę?

Kreon. Nie mylisz się; ja właśnie przyjść im dozwoliłem,
Wiedząc, ile przybycie ich będzie ci miłem.

Edyp. Bądź szczęśliwym, bodaj cię za ten czyn wspaniały
Bóstwa w lepszej opiece niżeli mnie miały.
Gdzież jesteście, o, córki! o, mój płodzie miły!
Przyjdźcież, te bratnie ręce przybliżcie ku sobie,
Które ojcu waszemu oczy wylupiły.
Ja dziś płaczę nad wami; choć ślepy-m, lecz przecie
Czuję to, jak wam przykro żyć będzie na świecie.
Czy zgromadzenie ludu, czy krajowe święto —
To wy, zamiast zabawy, powracać będziecie
Do domu z twarzą na wskroś łzami przesiąkniętą.
A przyjdzie pora za mąż, któż z obywateli
Znajdzie się, biedne córy, i kto się ośmieli
Przyjąć udział w tej całej hańbie i ohydzie,
Jaka na mnie i na was z urodzenia idzie?
Takie wyrzuty codzień będziecie słyszały.
I któż was, biedne dzieci, zechce wziąć za żony?
Nikt! Bezpłodne dziewictwo to wasz widok cały.
Teraz dla nich, Kreonie, tyś ojciec jedyny.
Strzeż od opuszczenia i od żebraniny,
Aby się nie tułały, boć to krewne twoje.
Przyrzeknij i daj rękę, o, mężu wspaniały!
Dzieci, ja chciałbym jeszcze radzić wam w niedoli;
Lecz gdy mię wiek wasz młody pojąć nie dozwoli,
To życzę: niech wam zawżdy dni żywota biegą
Spokojniej i szczęśliwiej niż ojca waszego.

Odchodzącego Edypa żegna Chór, zwracając się do widzów z przestrogą:

Patrzajcie, to Edyp! Patrzajcie, Tebanie,
Co odgadł wiersz Sfinksa, mąż dzielny i prawy;
Niejeden mu szczęścia zazdrościł i sławy,
A dzisiaj w klęsk jakich zepchnięty otchłanie!
I stąd wam nauka, że nigdy człowieka
Nie można szczęśliwym mianować, aż wtedy,
Gdy on już ostatnich dni życia doczeka,
Nie wiedząc, nie znając, co nędze i biedy.

(Kazimierz Kaszewski).

B) Antygona.

W prologu tragedyi występują córki nieszczęsnego Edypa: Antygona i Ismena. Pierwsza przedstawia siostrze zamiar pogrzebania ciała brata swego Polinika, który naprowadziwszy wrogów na Teby, zginął w pojedynku z Eteoklem, swym bratem. Z rozkazu króla tebańskiego Kreona, wuja zmarłych, Eteokles miał doznać zaszczytu pogrzebu, gdy Polinik, jako zdrajca kraju, miał się stać łupem zwierząt drapieżnych niepochowany. Antygona wyżej stawiając wiekuiste prawo rodzinne, nad prawo wydane przez władcę doczesnego, z miłości ku bratu, wiedząc, że się na karę naraża, chce uczcić ciało jego pogrzebem i namawia ku temu Ismenę, ale ta odmawia jej spółudziału i przypomina jej groźbę wuja a zarazem króla, jeśli rozkaz jego nie zostanie spełniony. Antygona, trwa w swym zamiarze, twierdząc, że chociażby los obszedł się z nią jak najsroższej, „pięknéj śmierci“ nie pozbawi jej przecież. Po ich odejściu Chór, złożony ze starców tebańskich, opiewa skutki bolesnej bratobójczej walki między synami Edypa. Wtedy występuje Kreon i wyjaśnia wobec Chóru powody znanego już rozporządzenia:

Mężowie! bóstwa, co długo kraj cały
Burzami siekły, dziś mu spokój dały.
Ja-m was dlatego wezwał przed innemi,
Bo wiem, że wyście każdej życia chwili
Dzielnem ramieniem tron Laja[1]) chronili;
Później Edypa, gdy władał w tej ziemi,
A później z równą wiernością i chwałą
Wspierali synów, gdy ojca nie stało.
A kiedy wspólne wywiodły ich losy
Do boju, w którym przez dwa niecne ciosy
Razem z ich życiem zginęła i zwada;
Więc tron i władza mnie, po krwi, przypada.
Nie wprzód człowieka człowiek zmierzyć umie
Po jego duszy, sercu i rozumie,
Aż się u rządów z myśli swych wygada.
Co do mnie wszakże, ja rządów sternika,
Co rad cnych ludzi w żadnej nie ma cenie,
Owszem ich usta postrachem zamyka,
Najgorszym człekiem mieniłem i mienię.
A ten, co dobro druha ma na straży
Więcej niż kraju, nic u mnie nie waży.
Świadczę się Zeusem wszechwidzącym, jako
Sam pierwszy wydam przed wami wszelaką
Zdradę, grożącą ojczyźnie; jej wrogi
Nigdy do uczuć mych nie znajdą drogi.
Ja-m dobrze świadom, że dola szczęśliwa
Wszystkich nas z dobra ojczyzny wypływa,
I że, gdy szczęściem cały kraj zasłynie,
To nam na wiernej nie zbędzie drużynie.
Takie zasady państwo nasze wzmogą.
Takich ja zasad postępując drogą,
To, względem synów Edypa, ziomkowie!
Dla powszechnego pożytku stanowię:

[1]) Władca Teb, ojciec Edypa.

Eteokl, który przy obronie kraju
Legł, dzielnie walcząc, śmiercią bohatera,
Niechaj ma pogrzeb, niechaj cześć odbiera
W świętych obiatach, według obyczaju.
Ale brat jego, ów Polinik srogi,
Ten zbieg z wygnania, co wyciągnął w pole,
By spalić miasto z domowemi bogi,
Wypić krew bratnią, narzucić niewolę:
Tego nie uczci ni łza, ni mogiła.
Owszem mój rozkaz miastu zapowiada,
By leżał nagi, jako zdobycz miła
Dla psów żarłocznych, dla ptaków biesiada.
Tak chcę. — I za mnie nigdy nie ujrzycie,
By zły był z dobrym porównan w zaszczycie;
Lecz prawy kraju syn, zawsze i wszędzie,
Żyw czy umarły, kochanym mi będzie.

W tem wbiega Strażnik, który pilnował ciała Polinika, donosząc z trwogą a starając się zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność, że trup został pogrzebany niewiadomym sposobem. Chór lękliwie wypowiada przypuszczenie, że sprawcami są tu może sami bogowie; ale skarcony przez Kreona, milknie i słucha wywodu króla, który się domyśla, że pewnie niechętni mu w państwie straż przekupili:

Siła klęsk ciąży na ludziach, a przecie
Klęska pieniędzy najzgubniejsza w świecie!
Bo pieniądz grody i strzechy pustoszy,
Pieniądz i z prawych serc uczciwość płoszy,
Uczy podstępem osiągać złe cele,
Czynów haniebnych dopuszczać się śmiele.
Lecz sprawiedliwość takich nie prześlepi,
Których do złego widok zysku krzepi.

Zapowiada więc, że strażnicy strasznemi mękami odpowiedzą za zniknięcie trupa, jeżeli sprawcy nie odnajdą. Chór śpiewa pieśń o potędze człowieka, dopóki jest prawom bożym posłuszny i rozumem się rządzi; rozwija też w końcu motyw podany przez króla:

Strofa 1.

Wiele jest dziwów, a przecie
Człowiek — największy dziw w świecie.
On-to w siną głębię mórz
Oślep się rzuca, nie zważa,
Czy go pęd ryczących burz
Po drżących prądach wytarza.
On wielkiej bogini — Ziemi
Nieśmiertelnej, niezmęczonej
Rok w rok pługami konnemi
Pruje brzemię w różne strony.

Antystrofa 1.

W jego rozstawione sieci
Ród leciuchny ptasząt leci:
Człowieka przemyślny um
Chwyta w splątane pętlice
I leśnych zwierząt tłum
I wód łuskate dziedzice.
Człowieka wola łagodzi
Najdziksze potwory gór
W jego jarzmie milczkiem chodzi
I koń grzywiasty i tur.

Strofa 2.

Człowieka darem — słowa grom
W człowieku górnej myśli dom,

A w myślach swych badawczy człek
Przyszłości nawet odgadł bieg.

Ni on się zlęknie mrozów tchu,
Ni ciosów gradu, ani dżdżu
I sama niemoc przed nim pada;
Z śmiercią mu tylko trudna rada.

Antystrofa II.

Olbrzymia ludzkiej myśli potęga
Na podziw wielkich celów dosięga;
Lecz człek, swawolny w działaniu swem,
Chwieje się między dobrem i złem.
A kto podepcze prawa ojczyste,
Kto na domowe porwie się bogi,
Tego przekleństwo ściga wieczyste,
Tego ojczyzna rzuci za progi.
O, bodaj taki nigdy pospołu
Nie dzielił ze mną myśli, ni stołu.

Strażnik zadowolony, że kary uniknie, prowadzi Antygonę przed króla, opowiadając o jej wysiłkach, by zmieciony już przez strażników piasek z ciała Polinika nanowo na nie nagarnąć. Następuje świetna rozmowa pomiędzy Antygoną a Kreonem:

Kreon. Jakżeś ty prawom sprzeciwić się śmiała?
Antygona. Bo to nie Zeus mi ogłosił je przecie,
Ni Sprawiedliwość, co zasiada w świecie
Podziemnych bogów, których rzecz jedynie
Uświęcać prawa w śmiertelnych dziedzinie.
Więc nie sądziłam, ażeby uchwały
Twoje, zawarte w śmiertelnika słowie,
Tym niepisanym prawom górowały,
Którym niezłomność nadali bogowie,
Których nie od dziś, nie od wczoraj wątek:
Żyją, choć nie wie nikt, gdzie ich początek.
Miałażbym, ziemskim ulegając trwogom
Przez wzgląd na ludzi, narażać się bogom?
Nie! sama wszakże wiedziałam dokładnie,
Że i bez ciebie umrzeć mi wypadnie;
A iż przyśpieszam chwilę śmierci mojej,
To mi za rozkosz i za korzyść stoi,
Bo kogo srogi, jak mnie, ból pożera
Przez całe życie, ten wesół umiera.
A więc nie trwożę się groźby twojemi;
Lecz gdybym wspólnej matki naszej syna
Bez czci grobowej odeszła na ziemi,
Wtedy-by trwogą przejęła mię wina.
Mniemasz, że działam w szale, bezprzytomnie?
Ej, sam szalony, kto tak myśli o mnie.
Chór. Dzielny duch ojca odrodził się w córze:
Oboje równo niebaczni na burze.
Kreon. O! i najtrwalszy duch za czasem pęknie:
Przecież żelazo ma twardość nielada,
A patrz, jak w ogniu kruszy się i mięknie.
Najdzikszych koni rozhukane stada
Słabe wędzidła spokojnie prowadzą.
Jak śmie być hardym ten, kto jest pod władzą!
Ona wiedziała, że mnie już znieważa

Lekceważeniem mojej woli prawéj,
A teraz jeszcze zniewagę powtarza,
Śmiejąc się, pyszniąc z gorszącej niesławy.
To gdyby jej się zwycięstwo udało,
Ją, nie mnie mężem zwać-by można śmiało.
Ale czy ona krewną mi przez siostrę,
Czy bodaj bliższą niewiastą w rodzinie,
Zawsze jej kara przykładna nie minie.
Ja na nie obie pomsty dłoń rozpostrę,
Bo i Ismena, jej siostrzyczka miła,
Do tej się sprawy, ręczę, przyłożyła.
Wołać ją tutaj! Ja dobrze wiedziałem,
Że ona jakimś opętana szałem,
A szał, niepokój zdradza i dowodzi,
Że ktoś pocieniku w zdrożne cele godzi.
Ja zaś najbardziej potępiam człowieka,
Co w piękne słówka brzydki czyn obleka.

Antygona. Czegóż chcesz więcej! zabij! ja-m gotowa.

Kreon. Nic nie chcę więcej, to dość... ani słowa.

Antygona. Więc przestań mówić, bo próżna twa mowa —
I próżno drażnią zobopólne słowa.
Cokolwiek powiesz, wielka dla mnie chwała,
Żem brata ze czcią w grobie pochowała;
I każdyby mnie chwalił z mego dzieła,
Tylko że bojaźń usta im zamknęła.
Bo król przy innych i tę moc dziedziczy,
Że każdy mówi, jak on sobie życzy.

Kreon. Jedna tak sądzisz pomiędzy Tebany.

Antygona. Nie; ale głos ich milczy zestrachany.

Kreon. Jak śmiesz od innych różnego być zdania?

Antygona. Jakież to prawo brata czcić zabrania?

Kreon. Nie również blizkim Eteokl jest tobie?

Antygona. Z jednych rodziców był mi równie bratem.

Kreon. Czcić jego wroga nie godzi się zatem.

Antygona. Eteokl za to nie gniewa się w grobie.

Kreon. Lecz ty go we czci równasz z bezbożnikiem.

Antygona. Toż on był bratem, nie zaś niewolnikiem.

Kreon. Ten ziemię niszczył, tamten bronił ziemi.

Antygona. Każdemu równe śmierć nadaje prawa.

Kreon. Zdrożna rzecz — w prawie równać złych z dobremi.

Antygona. Kto wie, jak Hades prawo to uznawa.

Kreon. Wróg i po śmierci druhem się nie stanie.

Antygona. Mnie nie nienawiść modlą, lecz kochanie.

Kreon. Kochaj zdrowa, lecz na tamtym świecie:
Ja żywy nie dam władać tu kobiecie.

Przyprowadzają Ismenę, która, chociaż poprzednio odwodziła Antygonę od sprzeciwiania się prawu, teraz z miłości siostrzanej chce los jej podzielić, lecz zostaje przez nią trochę szorstko odsunięta.

Kreon. Czyś brała udział w występnym pogrzebie?
Ismena. Owszem, niech tylko siostra mi zezwoli,
Przyjmuję udział w jej czynie i doli.
Antygona. Nie; Słuszność za złe wzięłaby to w niebie;
Wszak tyś nie chciała, odepchnęłam ciebie.
Ismena. Lecz kiedy widzę cię w takiej opale,
Dzielić twej kaźni nie wstydzę się wcale.
Antygona. Oj! wie to Hades i piekieł bogowie,
Że mi ten niczem, czyja miłość w słowie.
Ismena. O! nie sądź, siostro, że mi braknie siły
Umrzeć wraz z tobą u brata mogiły.
Antygona. Po co umierać? dosyć mego zgonu.
Co się domagasz nie swojego plonu!
Ismena. Cóż, gdy cię stracę, życie mi osłodzi?
Antygona. Ty żyj, ja-m duszą umarła za młodu;
I dziś jam tylko sługą zmarłych braci.
Kreon. Z tych dwu-tu dziewek ta dziś rozum traci
A tamta, widzę, nie miała go z rodu.
Ismena. Królu, gdy człowiek z losem złym się biedzi,
Najtęższy rozum w miejscu nie dosiedzi.
Kreon. Twój odbiegł, skoro chcesz ginąć ze złemi.
Ismena. Bez siostry, cóż mi po życiu na ziemi?
Kreon. Trudno, od dzisiaj już jej życie kona.
Ismena. Wszak to twojego syna narzeczona!

Kreon drwi sobie z tego, że syn jego utraci narzeczoną i coraz zacieklejszym się staje, zapominając o własnych słowach poprzednio wypowiedzianych o potrzebie radzenia się ludzi zacnych. Ma też ciężką rozprawę z synem Hemonem, który mu je w sposób dotkliwy przypomnieć widzi się zmuszonym.

Kreon. Na to o dzieci każdy prosi bogów,
W domu wszystkiego synowi udziela,
By ten był wrogiem dla ojcowskich wrogów,
A tak jak ojciec wielbił przyjaciela.
Kto zasię dzieci niesforne napłodzi,
To sobie ukuł kajdany na nogi
I śmiech zeń wielki pójdzie między wrogi.
Niech cię więc, synu, z rozsądku nie zwodzi
Rozkoszy żądza: odpędź jej podniety.
. . . . . .
Kto dobrym rządem w domu swym zasłynie,
Temu i z rządów kraju będzie sława.
Lecz kto w uporze swoim zatwardziały,
Łamiąc swawolnie rządowe uchwały,
Jeszcze zwierzchnikom przeczyć się ośmiela;
Ten mieć nie będzie ze mnie przyjaciela.
Kogo najwyższą zaszczycono władzą,
Tego się woli niech wszyscy poddadzą,
Czy to, co każe, jest małe czy wielkie,
Słuszne, niesłuszne, jednem słowem wszelkie.

Kto tego pilnie strzeże w swym rozumie,
Ten umie władać i ulegać umie;
A gdy go rozkaz wezwie na bój krwawy,
Dotrwa w obronie sprzymierzonej sprawy.
Lecz gdzież złe większe znajdziesz od niezgody?
Ona-to niszczy rodziny i grody,
I płosząc wojska wiedzie do niesławy;
A ci, co w miejscu przebyli wytrwalćj,
Przez posłuszeństwo ratunek zyskali.
Słuchajmyż władzy postanoweń raczéj,
Niż tego, co się kobiecie majaczy:
Wielka-bo mężom byłaby niesława,
Gdyby niewieście rządzić miały prawa.

Hemon. Tak, ojcze! między darami bożemi
Rozum najwyższem jest dobrem na ziemi,
Nie przeczę temu, coś mówił w tej chwili,
Ani znam takich, coby zaprzeczyli;
Lecz czemuż drugi nie ma rzec słów prawdy?
Niech co chce będzie, ty nie sięgniesz zawdy
W to, co o tobie kto myśli zdaleka,
Bo nikt na ciebie nie wyrwie się słowy:
Twarz twoja trwogą przejmuje człowieka.
Ale ja chwytam ich te ciche mowy.
Słyszałem w mieście narzekania słowa:
Że najzacniejsza z wszystkich białogłowa
Nie dozwoliła, by braterskie ciało
Pastwą się ptaków, dzikich zwierząt stało.
Więc za pobożność godną złotej chluby,
Ma się stać winną kary i zguby.
Tak oni szepczą. Mnie zaś to obchodzi
Najwięcej, co się z twym pożytkiem godzi:
Bo cóż za obraz dla dzieci wspaniały:
Widzieć rodzica w całym blasku chwały!
Więc nie trwaj, ojcze, w niewczesnym uporze,
Iż twój li rozum coś znaczy i może;
Bo i sam przyznasz, że ci, co w swej dumie
O własnym tylko trzymają rozumie,
Swoim zdolnościom hołdują i mowie,
Że ci najczęściej mają pustki w głowie.
A mąż im jaśniej spoziera w głąb rzeczy,
Tem więcej słucha i nie zawsze przeczy.
Gdy zamieć trzęsie drzewami, to owo,
Które się ugnie, przetrzyma ją zdrowo;
Inne, chcąc sprostać własnem wysileniem
Naciskom burzy, wali się z korzeniem.
A żeglarz, jeśli, choć go wicher nagli,
Nie wstrzyma biegu i nie zwinie żagli;
To łódka jego chwieje się, rozpada,

A on na szczątki, ratując się, siada.
Więc lepiej, ojcze, porzuć ten gniew — radzę —
I do umysłu daj przystęp rozwadze;
Bo ja tak sądzę w mym młodym rozumie:
Dobrze-to, jeśli człowiek samodzielnie
Zaradzić sobie w każdym razie umie;
Jeśli przeciwnie (a mówiąc rzetelnie,
To traf najczęstszy), więc niechaj już lepiéj
Cudzym rozumem swój rozum pokrzepi.
Chór. I cóż ty na to, co on mówi, panie!
Zdaje się, oba słuszne macie zdanie.
Kreon. Na starość dla mnie hańba niesłychana,
Bym miał się żywić radami młodziana.
Hemon. Ja-ć źle nie radzę; i cóż stąd, żem młody?
Nie na wiek zważaj, ale na dowody.
Kreon. Chcesz ze mnie zrobić złych ludzi czciciela?
Hemon. Tej przecie rady nikt ci nie udziela.
Kreon. Toż tej twa luba uległa chorobie.
Hemon. Cała Teb ludność sprzeciwia się tobie.
Kreon. Ludność mi tedy ma dawać rozkazy?
Hemon. Widzisz, jak młode są twoje wyrazy!
Kreon. Któż tedy prócz mnie w tej krainie włada?
Hemon. Gdzie jeden rządzi, tam wolności biada!
Kreon. Prawo od władcy kraj zależnym czyni.
Hemon. Będziesz ty wkrótce władał tu... w pustyni.
Kreon. Tak o kobietę chodzi mu: o wstydzie!
Hemon. Czyś ty kobieta? — mnie o ciebie idzie.
Kreon. Ojcu śmiesz przeczyć, niegodziwy synu!
Hemon. Bo się dopuścić chcesz zdrożnego czynu.
Kreon. Zdrożnego? strzegąc me prawa od wrogów?
Hemon. Nie; ty je depcesz, gwałcąc prawa bogów,
Kreon. O sługo babi! o wyrodne dziecię!
Hemon. Sługą występku nie nazwiesz mnie przecie!
Kreon. Słowa twe za nią więc walczą jedynie?
Hemon. Za ciebie, za mnie, za bogi podziemne.
Kreon. Żywą zaślubić chęci twe daremne.
Hemon. Jeśli ma zginąć, to nie sama zginie.
Kreon. Jeszcze śmiesz z groźbą wyjeżdżać, zuchwalcze!
Hemon. Z groźbą?... że przeciw niesłuszności walczę?
Kreon. Sam bezrozumny, mnie chcesz uczyć ninie?
Hemon. Gdybyś mi nie był ojcem, rzekłbym śmiało,
Że ci rozumu dziś właśnie nie stało.
Kreon. Sługo niewieści, męczysz mię zbyt srogo.
Hemon. Chcesz mówić, ale nie słuchać nikogo.
Kreon. Czy tak?... Przez Olimp! to już przeszło miarę.
Ta ci obelga nie ujdzie bezkarnie!
Zaraz mi tam tę sprowadzić poczwarę,
Niech w oczach gacha poniesie męczarnie!

Hemon. Nie! Ja nie będę świadkiem jej męczeństwa,
I ty mnie już tu nie ujrzysz na ziemi.
Sam tu pozostań z przyjaciółmi swemi,
Co radzi znoszą twoje okrucieństwa.

Po odejściu Hemona, Kreon skazuje Antygonę na zamknięcie w podziemnej jaskini, tyle jej tylko pozostawiając pożywienia, według ustawy, ile starczyć może na dzień jeden. Chór zawodzi pieśń o potędze miłości.

Strofa.

Miłości! twoja potęga
Niezłomna wszędzie dosięga.
Urok na licach dziewicy
W wieśniaczej składasz świetlicy;
Na morskie zstępujesz tonie;
Każdego moc twa owionie:

Bóg nieśmiertelny na niebie,
Na ziemi człowiek nietrwały,
Nie ustrzegą się od ciebie:
Przeszyjesz ich swemi strzały.
A w kogo padnie twój strzał,
Tym zaraz owłada szał.

Antystrofa.

Przez cię nawet męże godni
Idą oślep drogą zbrodni.
Ot i dziś przez ciebie właśnie
W całym rodzie dzikie waśnie.
Lecz któż oprzeć się ośmieli,
Gdy weń wzrok dziewicy strzeli?
U przybytków nawet prawa,

Pośród władców, miłość stawa.
Afrodyta-to bogini
Takie z ludzi żarty czyni.
Dusza, wbrew prawu, wzburzona
Łez w oku wstrzymać nie może
Gdy widzę, jak Antygona
Na śmiertelne dąży łoże.

Wchodzi Antygona, wiedząc już o wyroku, żegna ziemię rodzinną i młodość swoją:

Strofa.

Tebańska drużyno bratnia!
Otóż ma podróż ostatnia,
Otóż na słońca promienie
Ostatnie rzucam wejrzenie.
Żywą mię Hades zabierze

Na Acheronu wybrzeże.
Nie dla mnie ślubne już stroje,
Godowe chóry — nie moje,
Tam, tam Acheron zdaleka,
Narzeczony mój mnie czeka.

Antystrofa.

Słyszałam kiedyś o córze
Tantala, która stąd słynie
Że we frygijskiej krainie,
Na Sypilowej tam górze
W zwojach niby bluszczu cała
Stoi w głazie zamartwiała [1]).

I czoło jej — wieść powiada —
Wieczystym śniegiem pokryte,
A z oczu w krople obfite
Łza po łzie na piersi spada.
Tak i mnie dłoń przeznaczenia
Uśpi w powłoce z kamienia.

Wpada Kreon wściekły, że jeszcze rozkazu jego nie wykonano; powtarza go więc z naciskiem.

Antygona. O zimne grobowisko! podziemna tajnico!
O ślubne łoże! wieczna, więzienna strażnico!
Gdzie ja mam się połączyć z moich krewnych gronem,
Których liczba największa Persefony plonem!

[1]) Niobe, po zabiciu jej dzieci przez Apollina, skamieniała.

Ja umieram ostatnia, nędzna męczennica
Wprzód, nim mnie Przeznaczenia wskazała prawica.
Lecz ojcze, matko, bracie! to przynajmniej tuszę,
Że wam przybyciem mojem rozraduję duszę:
Bom ja mą własną ręką myła wasze ciała,
Ja-m też czystą obiatę na wasz grób wylała.
Ja gdybym miała męża, gdybym miała dziecie,
To pogrzebać ich nigdy nie śmiałabym przecie,
Gdyby mi tego władców wzbraniały wyroki.
Dziś pochowałam brata: dlaczego, spytacie?...
Mąż?... Znalazłby się drugi po jednego stracie.
Gdybym straciła syna, innyby się zrodził
Z innego męża, coby boleść mą osłodził;
Lecz gdy rodzice moi zeszli z tego świata,
Toć już przecie nie mogę spodziewać się brata.
A żem cię, miły bracie, pochowała godnie,
Więc mię Kreon oskarżył o okropną zbrodnię,
Samowolnym wyrokiem skazał na katusze;
I mnie z pośrodka ziomków gwałtem pochwycono,
I ja w dziewiczej szacie zejść ze świata muszę,
Nie znając, co za rozkosz być matką i żoną.
Opuszczona od wszystkich, sama, nieszczęśliwa!
Do jaskini umarłych wloką mię za żywa.
W czem ja wam przewiniłam, nieśmiertelne bogi!
Lecz i do was ja próżno wznoszę okrzyk trwogi,
Gdy mnie za czyn pobożny, tu pod waszem okiem
Karzą, jak bezbożnicę, śmiertelnym wyrokiem!
Ha! jeżeli bogowie uznają mą winę,
Więc dobrze: niech się spełni moich cierpień miara,
Lecz jeśli ja niewinnie z rąk mych katów ginę,
To życzę, by ich sroższa nie dotknęła kara...
Rodzinna ziemio, o Teby moje!
Bogi ojczyste! tebańscy woje!
Patrzcie, zaświadczcie, jak ginę marnie,
Na co mi wyszła troskliwość bratnia,
Od jakich ludzi znoszę męczarnie,
Ja, waszych królów córa ostatnia!

Zjawia się niewidomy wieszczbiarz Tyrezyasz i opowiada Kreonowi objawy gniewu bożego z powodu niepogrzebania ciała Polinikowego; lecz zacięty władca pomawia go o przekupstwo. Wówczas wieszczek przepowiada nieszczęścia, jakie spadną na Kreona, i odchodzi w gniewie. Naglony przez Chór chce w końcu Kreon odwołać swe wyroki i pośpiesza uwolnić Antygonę, niestety! zapóźno. Poseł opowiada Chórowi, jaką Kreon ujrzał scenę w jaskini:

Posłuszni rozkazowi pół-żywego króla
Idziemy w głąb pieczary: patrzym, Antygona
Wisi, wstęgą z przepaski lnianej okręcona,
A przy niej klęczy Hemon, do piersi przytula,

Zanosi się od płaczu nad zgonem swej lubéj.
Przeklina srogość ojca i nieszczęsne śluby.
Westchnął Kreon głęboko, zobaczywszy syna,
Zbliża się i w te słowa, jęcząc upomina:
„Co ty czynisz nieszczęsny! jakie masz zamiary?
Nie gub się, synu, błagam, wynijdź z tej pieczary!“
A Hemon na to dzikie wlepił weń źrenice
I nic nie odpowiedział i plunął mu w lice;
Pochwycił miecz dwusieczny; ojciec byłby nie żył,
Szczęściem w porę się cofnął; miecz w stronę uderzył.
Wtedy on już na siebie całą wściekłość zionie,
Utyka na ostrz miecza, topi go w swem łonie:
Krew bryzga, a on czując, że w nim życie kona
Pochwycił narzeczoną w mdlejące ramiona...
Leżą więc we wzajemnym uścisku ujęci,
I Hades w domu śmierci wieczny ślub ich święci.

Posłyszawszy opowiadanie, matka Hemona, Eurydyka, również sama sobie śmierć zadaje. Kreon, zrozpaczony, woła do Chóru:

Kreon. Uprowadźcież stąd już przecie
Nieszczęsnego, co w szaleństwie
Zabił żonę, zabił dziecię!
O ja w życia dziś męczeństwie
Nie mam spojrzeć już na kogo.
Nie wiem, jaką pójść mam drogą.
Wszystko poszło tam, pod ziemię!
O zwodniczeż życia brzemię!
Nad mą głową straszne gromy
Los rozwiesił niewidomy.

Chór. Gdy cios bólu ugodzi w człowieka,
Tem znośniejszy, im krócej dopieka.
Na toż rozum — to szczęście — ma z nieba,
By posłusznym był bogom, jak trzeba.

A kto słowem się pysznem porywa,
Za tym w ślady każń idzie straszliwa;
Wtedy pozna rozsądku zalety
I żałuje, lecz późno, niestety!

(K. Kaszewski).

C) Filoktet.

W tragedyi tej odmalowane są wybornie trzy charaktery: przebiegłego Odyseja, szlachetnego Neoptolema oraz zgorzkniałego i zdziczałego długim pobytem na samotnej wyspie Filokteta. Udając się na wyprawę trojańską, wodzowie Greków zatrzymali się, z rozkazu wyroczni, na pustej wyspie dla złożenia ofiary Atenie na ołtarzu, na którym niegdyś Herakles składał również obiaty Filoktet, który był na wyprawie z Heraklesem, wyszukując teraz owego ołtarza wśród zarośli, ukąszony został przez żmiję, skut-

kiem czego była straszliwa rana, wydająca woń odrażającą. Odysej, w porozumieniu z głównymi wodzami, odprowadził Filokteta na bezludny brzeg wyspy Lemnos i tam go podstępnie pozostawił. Lat dziesięć nieszczęśliwy tu przebył. Gdy oblężenie Troi szło uporczywie, wyrocznia oznajmiła, że Troja zdobytą być może tylko przy pomocy strzał Heraklesa, znajdujących się u Filokteta. Odyseja wysłano na Lemnos, ażeby strzały owe wydostał. Przewiduje on, że sam we własnej osobie nie potrafi nakłonić Filokteta, któremu taką krzywdę wyrządził, więc bierze sobie do pomocy syna Achillesowego, Neoptolema, który nie był zgoła znany Filoktetowi a wspomnieniem ojca mógł poruszyć dawnego jego przyjaciela. Płyną więc do Lemnos w towarzystwie drużyny, stanowiącej Chór tragedyi. W prologu Odysej wykłada Neoptolemowi stan rzeczy pod Troją, pouczając go, jak ma sobie postąpić z Filoktetem, ażeby go podstępem zwabić na okręt. Neoptolem, jako prawy młodzian, wzdryga się na myśl o całym szeregu kłamstw, które mu nasuwa przebiegły towarzysz, ale gdy mu Odysej wystawił niepodobieństwo załatwienia sprawy w inny sposób, zgadza się, lubo niechętnie, odegrać wstrętną sobie rolę. Odysej naturalnie trzyma się na uboczu, ażeby nie budzić podejrzeń samotnego wygnańca i nie narazić się na śmiertelne strzały. Chór pozostawszy sam z Neoptolemem, ubolewa nad losem Filokteteta, który

Sam, samotny wśród swych łez!
Towarzyszem jego zwierz
Cętkowany lub kudłaty.
Godzien on litości wszelkiéj,
Bo i głód go nęka srodze
I ból mu doskwiera w nodze
I niepokój dręczy wielki.
Echem głośnem jego żal
Brzmi i idzie z dali w dal.

Gdy się ukazał Filoktet wynędzniały, w łachmanach, bosy, powłóczący nogą i gdy się dowiedział od Neoptolema, że ma przed sobą syna Achilla, wybucha skargą na swe losy i opowiada dziesięcioletnie swe męki. Neoptolem, z porady Odyseja, udaje, że ani nazwiska ani przygód Filokteta nie zna.

Filoktet. O nienawistny bogom! o ja nieszczęśliwy!
Zatem wieść nieszczęść nie doszła do domu,
W całej Helladzie one nieznane nikomu!
A ci, co porzucili mnie tutaj nikczemnie,
Śmieją się gdzieś w milczeniu; gdy choroba we mnie
Wre i z każdym dniem sroższej wciąż nabiera siły.
O dziecię! o ty synu Achillesa miły!
Ja-m jest ten, który, jeśli rzecz ta ci jest znana,
Przyszedł do posiadania Heraklesa broni;
Zowią mnie Filoktetem, jestem syn Peana,
Którego dwaj wodzowie [1]) i król Kafalonji [2])
Najbezwstydniej znęcili w te bezludne strony,
Bym tu skonał z boleści, jako ukąszony
Żądłem zabójczej żmii. — W takim stanie oni,
Samego porzuciwszy, odpłynęli w chwili,
Gdy z morskiej Chryzy tutaj na statkach przybyli.

[1]) Agamemnon i Menelaus.
[2]) Odysej.

Ja, ciągłem kołysaniem statku umęczony,
Zasnąłem na wybrzeżu w skale wydrążonéj;
Co widząc ci, z radością odemnie odlecą,
Nędznemu wygnańcowi zostawiwszy nieco
Drobiazgów, łachman jakiś i posiłek mały.
Oby im kiedyś losy wszystko to oddały!
Domyśl się, synu, jako było dla mnie miłem
Przebudzenie się ze snu, gdy ci byli w drodze!
Ilem gorzkich łez wylał, jak-em jęczał srodze,
Widząc, że wszystkie statki, na których przybyłem,
Znikły, a na tem miejscu nie było nikogo,
Coby mi radził, pomógł na chorobę srogą.
Gdzie spojrzę, nic nie mogę znaleść prócz boleści —
I tej było już tyle, co się w człeku zmieści.
Dzień schodził za dniem; wreszcie musiał przemysł własny
Zaradzać mym potrzebom w tej pieczarze ciasnéj.
Tak oto, synu, ten łuk przynosił mi jadło,
Bijąc lotne gołębie, któremi się żywię;
I kiedy pomknie strzała, biegnąc po cięciwie,
Wlokę, nieszczęsny, nogę, by podjąć, co padło.
A jeżeli spragniony potrzebuję wody,
Lub, jak w porze zimowej, gdy zalegną lody,
Potrzeba drew urąbać; ja sam nieszczęśliwy,
Czołgam się, by zaradzić. Ognia tu nie było;
Nuż tłuc kamień o kamień, by wydostać siłą
Ukryty płom, któremu zawdzięczam, żem żywy;
Boć z ogniem i poddaszem ta moja jaskinia
Daje mi wszystko, tylko zdrowia nie przyczynia.
Teraz dowiedz się więcej o całym ostrowie:
Do niego żaden żeglarz z chęcią nie zawinie,
Bo ni portu nie znajdzie, ni siądzie w gościnie,
Ni żadnego tu zysku nie mają majtkowie,
Roztropni ludzie tędy nie żeglują wcale;
Chyba wbrew woli kogoś zapędzą tu fale...
Więc jeżeli z przymusu kto tutaj zagości,
Darzy mię dobrem słowem, litując się da mi
Trochę odzieży, albo kruszynę żywności.
Ale mnie ani słuchać nie chcą, jeśli komu
Wspomnę, by mię stąd zabrał i zawiózł do domu.
Taki zabójczy żywot dziesięć lat już pędzę,
Karmiąc złe, co mię trawi, cierpiąc głód i nędzę!

Neoptolem podając się za skrzywdzonego przez Atrydów i Odyseja, łatwo zyskuje sobie ufność biednego wygnańca, w którym gorycz przeciw tymże osobom wpijała się w duszę przez lat dziesięć. Dowiedziawszy się o śmierci najdzielniejszych mężów, a o pomyślnem życiu przewrotnych lub tchórzów, woła sarkastycznie:

Tak być musiało; — gdy dotąd nic złego
Wzdy nie zginęło, bo je bóstwa strzegą;

Gdy złe przewrotne, z radością ich siła
Dobywa z Hadu a cne tam posyła.
Co o tem trzymać? Chwalić je?.. Toż chwalę;
Lecz bóstwa ziemi zdają mi się wcale.

Pozyskawszy ufność, dostaje też i łuk i owe sławne strzały Heraklesowe; a więc osiąga cel zamierzony; ale wtem Filoktet doznaje ataku cierpienia, który kończy się omdleniem i snem.

Filoktet. Już ból się zbliża... Nieszczęśliweż życie!
Nie uciekajcie! widzicie, widzicie!
Królu Itaki! oby w twojem łonie
Zawrzał ból, który ja cierpię w tej chwili.
Wodzowie wojska, o! Agamemnonie,
O! Menelaju! obyście żywili
Ten żar tak długo, jak on we mnie płonie!
O! śmierci, śmierci codzień upragniona,
Przecz nie przybywasz na moje wołanie?
O! zacny synu, ujmij mnie w ramiona,
I spal mnie, spal mnie, szlachetny młodzianie,
Lemnejskim ogniem; tak jak moje ręce
Potomka Zeusa[1]) spaliły...

Podczas snu Filokteta, Neoptolem wzruszony jego cierpieniami, nie chce podstępem zdobytej broni zabierać i uciekać, lecz pragnie samego Filokteta zawieść do Troi; postanawia mu więc odkryć prawdę i uzyskać jego przyzwolenie. Po przebudzeniu się nieszczęśliwego wszczyna się między nimi następna rozmowa:

Neopt. Więc nic nie kryję: popłyniesz do Troi,
Gdzie z Atrydami grecka flota stoi.
Filokt. Przebóg! co mówisz?
Neopt. Nie jęcz-że daremnie
Lecz wprzód wysłuchaj.
Filokt. Co chcesz zrobić zemną?
Neopt. Chcę naprzód z twojej wygoić cię rany,
A potem z tobą burzyć Troi ściany.
Filokt. Takież istotnie są twoje żądania?
Neopt. Ciężka konieczność do tego mnie skłania,
Lecz ty się przeto nie gniewaj daremnie.
Filokt. Zgubiony jestem, nieszczęśliwy, zdrada!
Gościu, ty, gościu! czemu godzisz we mnie?
Oddaj mi łuk mój jaknajprędzej.
Neopt. Biada,
Nie mogę! Dobrem, powinnością moją
Jest tym ulegać, co na czele stoją.
Filokt. Wszechzgrozo! ogniu, gotujący zbrodnię!
Coś ze mną zrobił? Oszukał niegodnie,
I nie wstyd tobie, że błagam zbolały,
Na klęczkach ciebie? Z tym łukiem i strzały

[1]) Heraklesa.

Życieś mi wydarł. Błagam, synu drogi,
Zwróć mi broń moją. Przez ojczyste bogi,
Nie bierz mi życia... Biada! ja daremnie
Wołam; on oczy odwraca odemnie,
Milczy, jakgdyby nie chciał oddać broni.
Zatoki! góry! goście tej ustroni,
Zwierzęta górskie! o, urwiste skały!
Coście tu zwykłych żalów mych słuchały,
Wam i obecną skargę moją zwierzę.
Bo niema duszy, którejbym mógł szczerze
Zjawić, co sprawił mi syn Achillowy.
Na wiarę dotknął ręką ręki mojej
A wziął Herakla łuk święty i chce go
Wydać Argiwom. Jak męża silnego
Ima mnie siłą; nie widzi, żem trupem,
Że widmo, dymu cień będzie mu łupem.
Co mówisz?... Milczysz?... Więc już ja na świecie
Niczem nie jestem! Znowu do mej skały
Dwudrzwiowej wrócę, bezbronny, zgłodniały?
A gdy mi łuk mój posługi nie czyni,
To ja samotny uschnę w tej jaskini;
Ni skrzydlatego ptaka nie ubiję,
Ani zwierzęcia, co na górach żyje;
Tych, z których żyłem, żywnością się stanę.
Polować będą na mnie polowane;
Za śmierć ja śmiercią zapłacę...
Nie klnę cię jeszcze... może zmienisz zdanie,
Jeśli nie zmienisz, przepadnij, młodzianie.

Wpada Odysej i zamierza zrazu użyć przemocy, chcąc zabrać wygnańca na okręt, potem pozostawia Filokteta i tylko z łukiem, będącym u Neoptolema, uchodzi; ale młodzieniec nie mógł przenieść na sobie tej krzywdy wyrządzonej nieszczęśliwemu, więc stoczywszy z Odysejem walkę na słowa, wraca do Filokteta, wraca mu łuk i zachęca, żeby dobrowolnie popłynął do Troi, ale gdy widzi w nim niczem niezwalczony wstręt do Atrydów i Odyseja, obiecuje odwieźć go na rodzinną wyspę Skiros. Zbierają się tedy do drogi, gdy w obłoku ognistym zstępuje między nich Herakles, z oznajmieniem woli Zeusa, żeby Filoktet popłynął do Troi, gdzie ma zabić Parysa. Filoktet poddaje się wyrokowi bóstwa i żegna się z miejscem swego dziesięcioletniego wygnania:

Pieczaro! coś mi użyczała schrony,
Mokrych łąk nimfy! fale, których piana
Świszczącym wiatrem z południa miotana
Wilżyła głowę mą, gdym spał znużony
Wewnątrz pieczary, Hermesowa skało,
Od której echo jęk mój odbijało,
Żegnam was! Żegnam, o likijskie zdroje,
Których opuścić nigdy nie myślałem,
Bądź zdrowa, Lemnos, otoczona wałem
Morskich odmętów! Spraw, abym pod Troję

Szczęśliwie przybył, dokąd prze mnie siła
Wielkich wyroków i przyjaciół rada,
I bóstwo, co nam te przygody zsyła,
A wszemi rzeczy nieodzownie włada.

(K. Kaszewski).

(Wszystkie tragedye Sofoklesa w pięknym przekładzie wierszowanym dał nam Kazimierz Kaszewski, Warszawa 1888. Filologicznie wierne tłómaczenie Z. Węglewskiego wyszło w Poznaniu 1875. Pojedyńcze tragedye tłómaczyli: Eliaszewicz, W. Smaczniński, A. Małecki, A. Mierzyński, Jan Czubek).

XVII. Eurypides.

1) Hekaba.

Tragedya rozgrywa się na morskiem wybrzeżu w Tracyi, gdzie zatrzymali się Grecy, wracający z pod Troi; na przedzie namioty branek trojańskich. W prologu ukazuje się duch Polidora, najmłodszego syna Pryama. Opowiada on, że Pryam, przewidując upadek Troi, wysłał go ze znacznymi skarbami do Polimestora, króla Tracyi, żeby go w ten sposób od zagłady ocalić; gdy jednak Troja została zdobyta, przeniewierczy Polimestor zamordował wychowanka, skarby jego przywłaszczył sobie, a zwłoki rzucił w morze. Żeby dostąpić czci pogrzebowej, uprosił Polidor bogów podziemnych, iż ciało wyrzucą na brzeg morskie bałwany i w ten sposób wpadnie ono w ręce matki, znajdującej się tu w liczbie branek trojańskich. Nieszczęśliwa Hekaba dowie się jednocześnie, że Grecy dla uczczenia Achillesa, postanowili na radzie poświęcić mu na ofiarę jej córkę Poliksenę, zagarniętą także w niewolę. To oznajmiwszy, duch Polidora znika, a na scenie ukazuje się Hekaba, otoczona brankami, stanowiącemi chór. Hekaba zwierza się im z niepokoju, jakiego ją nabawił sen złowieszczy, zdający się zapowiadać śmierć Polikseny i Polidora. Co do Polikseny, chór potwierdza jej obawy, bo już doszły do niego wieści o postanowieniu Greków. Przerażona tem Hekaba wywołuje z namiotu córkę i wśród łkań wyjawia jej straszną wiadomość. Poliksena biada nie tyle nad sobą, co nad nieszczęśliwą matką.

Och! biada!
Już tyle klęsk zniosłaś, co życia wdzięk chłoną,
Rodzico nieszczęsna, ścigana zgryzotą,
A oto znów demon cię dręczy sromotą
Okropną i niewysłowioną.
Już córka nie twoja; już biedna w niewoli
Starości wraz z tobą biedną nie przeboli.
By sarnę, co w górach się chowa, za młodu
Nieszczęsną mnie zoczysz nieszczęsna z uścisku
Swojego wydartą i ostrzem pocisku
Przeszytą, w podziemne ciemności do grodu
Hadesa wysłaną, gdzie biedna, och! w gronie
Umarłych mam spocząć po zgonie!
Ach! ciebie, rodzico, i nędzne twe życie
Opłakać im trzeba w lamencie okwicie.

Na moje bo życie dlaczegoż się skarżyć?
Na krzywdę i hańbę przecz płaczliwym głosem
Narzekać, gdy oto śmierć ma mię obdarzyć
Szczęśliwszym, niż życie to, losem!

Dalsze narzekania przerywa Odyseusz. Przybył on oznajmić uchwałę Greków i zabrać Poliksenę. Hekaba zwraca się do niego z prośbą, aby wpłynął na zmianę wyroku i w tym celu przypomina mu, jak mu ongi wyświadczyła dobrodziejstwo, gdy przebrany wszedł do Troi na zwiady, a ona go poznała.

Hekaba. Kiedyś w mojej był mocy, cóż wówczas prawiłeś?
Odys. Sadziłem się na słówka, aby ujść zagłady.
Hekaba. A ja cię ocaliłam, wyprawiwszy z miasta.
Odys. Że dziś oglądam jeszcze blask słońca na niebie.
Hekaba. Czyż nie dowodzisz złości przez sprawy obecne?
Bo sam przyznajesz zacność uczynku mojego,
A nie wypłacasz mi się dobrem, lecz niecnością.
O plemię niewdzięczników, co o względy gminu
Stoicie, było mi was nie poznać, was, którzy
Krzywdzicie lekkomyślnie przyjaciół, byleby
Gminowi wasze mowy przypadły do myśli.
Jakimże gmin wywodem chytrym nakłoniony
Na tę dziewicę oto wydał wyrok śmierci?
Czy bieda pchnęła go do mordowania ludzi
Na grobie, gdzie pójść winien buhaj na ofiarę?
Czy Achil, pragnąc śmiercią ukarać na odwet
Tych, którzy go zabili, słusznie zamorduje
Tę, która krzywdy żadnej mu nie wyrządziła?
Winien był żądać, aby śmierć zadać Helenie,
Bo ona go zabiła, zawiódłszy do Troi.
Jeżeli zaś ofiarą paść ma wyborowa
Branka przedniej piękności, nie na nas to godzi.
Najwięcej Tyndaryda[1]) z wdzięków ciała słynie,
A krzywd się dopuściła nie mniej przecie, niż my!
Dotychczas wywodami słuszności szermuję;
Lecz czem ci wywzajemnić się trzeba, gdyż błagam,
Posłuchaj! Jak przyznałeś, dotknąłeś się ręki
I policzka zgrzybiałej mnie na klęczkach[2]); teraz
Ja twoich się dotykam rąk i twojej brody —
I równej za ówczesny czyn żądając łaski,
Błagam cię: nie wydzieraj z rąk mi córki mojej!
Niech żyje! Toć już dosyć ofiar grób pochłonął.
Ona rozkoszą moją, przy niej zapominam
O niedoli, za wielu ona mi pociechą,
Ona ojczyzną, niańką, strażą i podporą.
Nie powinien, kto rządzi, żądać podłych rzeczy,
Ani szczęśliwy w szczęściu swojem się bezpieczyć.

[1]) Córka Tyndara, t. j. Helena.
[2]) W Troi, gdy błagał, aby go nie zdradziła.

Szczęśliwa byłam niegdyś, już nie jestem teraz;
Wszystko szczęście mi w jednej zabrano godzinie.
Oblicze drogie! wiek mój uszanujże przecie!
Litości! do Achejów rzeszy obozowej
Powróć i w głos przestrzegaj, że gdyby niewiasty,
Które przedtem, porwawszy je z świętych ołtarzy,
Zostawili przy życiu z litości, obecnie
Zamordowali, ściągną na siebie nienawiść.
Toć i u was jednaka wymierza się kara
Zbrodniarzom, czy krew pana czy sługi przeleją.
Choćbyś niezręcznie prawił, wygrasz dla wziętości;
Bo gdy możni i ludzie z gminu przemawiają,
Mowa ich, choć ta sama, nierówny wpływ miewa.

Usłyszawszy odmowną odpowiedź Odyseusza, Hekaba zwraca się do Polikseny:

O córko, próżno gadam, na wiatr słowa moje
Poszły rozwiane, ciebie nie dźwignęły z toni,
Może silniejsze niż ja ty sprawisz wrażenie!
Pokwap się i, by słowik z gardziołki, snuj jęki
Na wszystkie tony, aby ocalić swe życie.
Przypadnijże do kolan Odyseja z płaczem
I wzrusz go. Nie zabraknie ci wątku. Toć dzieci
On ma; to broń nań, by się twej doli litował.

Poliksena. Widzę, pod odzieniem chowasz, Odyseju,
Prawicę i odemnie odwracasz oblicze,
By brody się nie dotknąć twojej. — Nie trwóż sobą!
Nie narzucę się tobie wraz z błagaczów bogiem [1])
Pójdę, pójdę tam, dokąd konieczność mnie wzywa,
I umrzeć chcę. Inaczej pokazałoby się,
Żem tchórzliwa i życie to wysoko cenię.
A na co żyć mi? Ranek mi życia upłynął
W tym czasie, kiedy Frygią całą władał rodzic;
W błogiej nadziei potem rosłam wychowana
Dla królów i zazdrości niemałej przedmiotem
Będąc, przy czyjem siądę ognisku domowem.
Królową ja nieszczęsna byłam w oczach niewiast
Idejskich, podziwiana śród dziewic i bogom
Podobna, gdyby nie to, żem śmierci podległa.
A dalej mogę dostać się do domu pana
Surowego, za pieniądz nabyta na własność.
Ten Hektora i tylu innych dzielnych braci
Siostrę do mełcia zboża zechce użyć gwałtem,
Lub postawi przy krosnach, lub przez opłakany
Dzień długi każe biednej zamiatać pokoje...
Nie! dobrowolnie ciało oddam Hadesowi

[1]) Zeus był opiekunem błagających.

I światło dnia pożegnam z spokojnym umysłem.
Więc prowadź mnie i zabij, Odyseju. Ducha
Nie łudzi już nadzieja wcale, ani krzepi
Myśl, żebym jeszcze kiedy żywot wiodła szczęsny.
Ty czynem mnie ni słowem nie wstrzymuj i drogi
Nie zastępuj mi, matko! Owszem, życz mi zgonu
Wczesnego, nim sromoty dożyję niegodnej...

Hekaba. Piękne wyrzekłaś słowo, lecz nie bez przyprawy
Bolesnej, moja córko! — Jeśli zaś Pelidzie
Oddać cześć tę należy i jeśli wam trzeba
Zarzutu ujść, Odysie, niech żyje ma córka,
Mnie do Achillowego zaprowadź kurhanu,
Mnie zgładźcie bez litości! Ja zrodziłam tego,
Który pociskiem z łuku zmiótł syna Tetydy.

Odys. Nie twej, staruszko, śmierci Achilla duch żąda
Od Achejów; nie, o n e j tylko się domaga.

Hekaba. Więc z córką mnie pospołu przynajmniej zabijcie.
W dwójnasób tak posoki płynem się napiją
Ziemia i zgasły, który t ę sobie wyprasza.

Odys. Dosyć, że córka padnie. Przecz dodać do mordu
Mord! Obyśmy i tego nie potrzebowali!

Hekaba. Koniecznie umrzeć muszę razem z córką moją.

Odys. Co? Nie wiem o tem, żebym miał panów nad sobą.

Hekaba. Jak dęby bluszcz, tak koło córki się oplotę.

Odys. Zaniechasz przedsięwzięcia, powolna mędrszemu.

Hekaba. Nie, dobrowolnie nigdy nie puszczę mej córki.

Odys. A ja bez córki twojej stąd się nie oddalę.

Poliks. Posłuchaj mnie, rodzico, a ty się nie gniewaj
I przebacz, Laertyado, słuszne skargi matki.
Och! nie śmiej z zwycięzcami bojować nieboga!
Chcesz-li runąć na ziemię, chcesz-li krwią z ran zbroczyć
Sędziwe ciało swoje, gwałtem odpychana,
I znieść obelgę, gdy cię młodzieńcze ramiona
Potrącą? Tego doznasz. Nie! to się nie godzi.
Matko droga! niech doznam rąk twoich pieszczoty,
Niechaj lice przycisnę do twojego lica,
Bo już nigdy, ostatni raz dzisiaj oglądam
Krąg słońca promienisty. Więc na pożegnanie
Posłuchaj słów ostatnich twej córki. Och! matko!
O rodzicielko moja! już schodzę do grobu.

Hekaba. A ja mam żyć w niewoli, córko, na tej ziemi?

Poliks. Nie wiem, co ślub, co hymen, a powinnam przecie —

Hekaba. Ach! nieszczęsnaś ty, córko! nieboga ja matka.

Poliks. Tam w Hadu grodzie spocznę z tobą rozłączona.

Hekaba. Cóż uczynię? ach biada! jakiż zgon mnie czeka!

Poliks. Córka wolnego męża, umrę niewolnicą!

Hekaba. A ja po pięćdziesięciu dzieci moich zgonie!

Poliks. Cóż Hektorowi powiem, cóż ojcu od ciebie?

Hekaba. Oznajm, żem najnędzniejszą istotą na świecie.
Poliks. Bądź zdrowa, matko, i ty, Kasandro, bądź zdrowa!
Hekaba. Niech zdrowiem inni cieszą się, ale nie matka.
Poliks. Bądź zdrów u jezdnych Traków, bracie Polidorze!
Hekaba. Jeśli żyje; lecz wątpię. Zewsząd złe się wali.
Poliks. Żyje i konającej tobie zamknie oczy.
Hekaba. Udręczenie zabiło mnie, nim śmierć nadeszła.
Poliks. Wiedź mię, Odysie, głowę zakrywszy rańtuchem,
Bo słysząc żal rodzicy, przed śmiercią me serce
Rozpada się — a matkę nęka córki skarga!
O światło! jeszcze promień twój powitać mogę!

Po odejściu Polikseny Hekaba mdleje i przychodzi do zmysłów dopiero na głos herolda Taltybiosa, który przybywa jej oznajmić, żeby się zajęła pogrzebaniem zarzezanej córki. Hekaba, wysłuchawszy szczegółowej opowieści o mężnym zgonie Polikseny, rozkazuje słudze przynieść z morza wody do obmycia zwłok. Sługa wraca na scenę z martwem ciałem Polidora, które pod jej nogi bałwan morski wyrzucił. Hekaba domyśla się, kto i dlaczego wydarł jej syna i gdy przybywa Agamemnon, żeby się dowiedzieć, dla czego zwleka z pogrzebem córki, — ona nie odpowiadając na jego pytania i łaknąc zemsty, myśli zużytkować go do jej wykonania.

Hekaba. Co tu począć? Czy do kolan
Przypaść Agamemnona, lub milczkiem znieść klęskę?
Agam. Przecz jęczysz, odwróciwszy twarz od mojej twarzy,
I nie mówisz, kto to jest[1]) i co się tu stało?
Hekaba (na stronie). A gdy mnie niewolnicą i nieprzyjaciółką
Mieniąc, odepchnie, bólu tem sobie przyczynię!
Agam. Nie jestem wieszczem, abym życzenia twej duszy
Mógł odgadnąć, nie słysząc ich z ust twych wyraźnie.
Hekaba (na stronie). Może nieprzyjaznego upatruję ducha
W onym mylnie: on może zawiścią nie dyszy!
Agam. Nuż chcesz, bym nic nie wiedział o tem, nasze chęci
Zgadzają się; ja także nie chcę nic usłyszeć.
Hekaba (na stronie). Bez męża tego pomścić niepodobna śmierci
Dzieci moich? więc czemuż namyślam się jeszcze?
Uda się lub nie uda, odważyć się trzeba.
Agamemnonie! u nóg twoich błagam ciebie,
Dotykając prawicy twej szczęsnej i brody.
Agam. Czego pragniesz? azali wolności zażywać
Do końca życia? tego dostąpisz z łatwością.
Hekaba. Nie o to chodzi. Byle ukarać zbrodniarzy,
Przez całe życie dźwigać chcę jarzmo niewoli.
Agam. O jakąż tedy pomoc zamyślasz mnie prosić?
Hekaba. Nie o taką, zaiste, jaką myślisz, królu!
Widzisz trupa, którego oblewam tu łzami?

I przedstawiwszy mu całą sprawę z Polidorem, tak dalej mówi:

Lecz słuchaj, czemu płackiem padłam do twych kolan.
Cierpliwie zniosę krzywdy, jeśli zdaniem twojem

[1]) Pytanie to stosuje się do zwłok Polidora.

Cierpię je zasłużenie; inaczej daj pomoc,
Mszcząc się na przyjacielu mym najbezbożniejszym,
Co przed bogami w ziemi i w niebie obawy
Nie mając, tak bezbożnej zbrodni się dopuścił.
On, który często u mnie przy gościnnym stole
Siedząc, najmilszym bywał gościem w liczbie gości
I doznał wszelkich względów należnych, on, mówię,
Zabił syna i, kiedy już życie mu wydarł,
Nie uczcił nawet grobem, lecz puścił na morze.
My iście, niewolnice i słabe istoty,
Lecz bogów rządy silne, ich zakon potężny.
Wierzyć w bogów ten zakon uczy nas i on nam
Stanowi, co w tem życiu słuszne i niesłuszne.
Pod twoją on opieką. Jeżeli zagładzie
Ulegnie i nie wezmą w zapłacie ci kary,
Co gości zabijają i depczą zuchwale
Świątynie bogów, wówczas w rodzie ludzkim niema
Nic już trwałego wcale. Na hańbę to przeto
Podawszy, miej wzgląd na mnie i litość nademną!
Jak malarz stań i wejrzyj na mnie z oddalenia
I zapatrz się dokładnie na złe, co mnie dręczy![1])
Oto ja sługa twoja, niegdyś pani można,
Niegdyś w dzieci bogata, dziś stara, bezdzietna,
Bezdoma, opuszczona, z niewiast najbiedniejsza!

(Agamemnon odwraca się).

Och! biada mi! dokądże unosi cię noga?
Widocznie nic nie wskóram. Ach biada mi biednej!
Przecz śmiertelni wnikamy, jak słuszna, we wszystkie
Umiejętności z trudem, a sztuki namowy,
Co jedynie sercami ludzi powoduje,
Gruntowniej za zapłatą nikt z nas się nie stara
Nauczyć się, abyśmy ludzi nastroili
Gwoli sobie i oraz dopięli swojego.
Któż może jeszcze łudzić się szczęścia nadzieją?
Tak liczne miałam dzieci; nie mam ich już teraz,
Ja sama branka doli zażywam sromotnej,
A tam widzę ot! kłęby dymu ponad miastem!
Może niedorzeczności dowodem to będzie,
Wmieszać w tę rzecz Cyprydę. Przyzywam ją jednak.
Przy tobie się znajduje, królu, córka moja,
Wieszczka, którą Kasandrą lud Frygów nazywa.
Jakież jej życzliwości swojej dasz dowody?...
Słuchaj dalej: zmarłego tu oto oglądasz.

---

[1]) To znaczy: popatrz na mnie bezstronnie.

Gdy uczcisz go, cześć oddasz krewniakowi swemu.
Jedno mi tylko jeszcze trzeba dodać słowo.
Oby rękom tym, włosom, stopom i ramionom
Dała sztuka Dedala [1]) lub cud boga mowę,
Aby wszystkie do kolan twoich padłszy z płaczem,
Społem natarły na cię rozlicznych próśb brzmieniem!
Władarzu, najjaśniejszy świeczniku w Helladzie!
Wysłuchaj mnie, mnie starej podaj dłoń mściciela!
Chociaż ona nikczemna, wysłuchaj ją przecie!...

Agamemnon obiecuje jej ułatwić zwabienie Polimestora wraz z dziećmi, żeby się na nim przy pomocy branek zemściła, a nadto przyrzeka wpływem swoim powstrzymać Greków, gdyby chcieli nieść pomoc wiarołomcy. Z tą obietnicą odchodzi, a po chwili, którą wypełnia śpiew chóru o ostatniej nocy spędzonej w Troi, przybywa z synami Polimestor. Hekaba, tłumiąc w sobie uczucie żalu i zemsty, zapytuje go o zdrowie Polidora i jego skarby, a otrzymawszy bezczelną odpowiedź, że syn zdrów i skarby nienaruszone, oznajmia mu, że ma w namiocie nieco skarbów, które chciałaby, żeby także dla Polidora przechował. Dla ich zabrania wchodzi za nią Polimestor z synami do namiotu... Po chwili wypada z niego Hekaba i Trojanki, a za niemi wypełza oślepiony Polimestor

Polimestor. Dokąd pobiegnę? gdzie nogi postawię?
Którędy kroki skieruję niebogi?
Jak ślad wytropię, pełznąc czworonogi,
Wsparty na dłoni, by zwierz leśny prawie?
Po której, o tej albo też po owéj
Puszczę się ścieżce, Troi białogłowy
Chcąc schwytać, moje zabójczynie srogie?
Niebogie Frygów podwiki, niebogie!
Ha! gdzież przeklęte i na którą stronę
Pierzchły i w kątach pokryły się one?
Obyś źrenice zakrwawione w oku
Ciemnem wyleczył, Heljosie, i wzroku
Światło przywrócił! Ha! cyt! cyt! stąpanie
Słyszę tych niewiast ciche. Kiedyż na nie
Wpadłszy, ich kośćmi i mięsem się najem...

Na jego okrzyki wściekłości przybywa Agamemnon. Polimestor oskarża Hekabę, że przy pomocy Trojanek zabiła mu dzieci, a jemu samemu wyłupiła oczy; żeby zaś sędziego na swoją stronę korzystnie usposobić, tłómaczy się, że zabił Polidora z pobudek politycznych, dla bezpieczeństwa Greków i swego. Hekaba zbija jego tłómaczenie i przekonywa go, że popełnił szkaradną zbrodnię jedynie powodowany chciwością. Agamemnon przyznaje jej słuszność i zemstę jej pochwala.

2) Ifigenia w Taurydzie.

Do Taurydy w towarzystwie Piladesa przybywa Orest, ażeby stosownie do polecenia Apollina ze świątyni Artemidy wykraść obraz bóstwa, bo tym czynem dostąpi uwolnienia od Erynij, które go dręczą za zabicie Klitemnestry. Schwytani jako cudzo-

[1]) Dedal — wielki budowniczy i mechanik mityczny, twórca labiryntu na wyspie Krecie, miał robić posągi, które poruszały się swobodnie.

ziemcy, mają według miejscowego obyczaju być złożeni na ofiarę bogini. Kapłanką, która odpowiedniemi obrzędami przygotowuje ofiary na śmierć, jest Ifigenia, uratowana niegdyś cudem przez boginię zpod noża ofiarnego w Aulidzie i uniesiona do Taurydy. Tu żyje od lat wielu, stęskniona do ojczyzny i do rodziny, o której nie ma żadnych wiadomości. Nie wie ona, kto są dwaj Grecy, których ma poświęcić na rzeź, powiedziano jej tylko, że jeden drugiego nazwał Piladesem, ale i to imię jest jej nieznane. Po raz pierwszy przystąpi ona obojętnie do spełnienia przykrego obowiązku, bo ostatniej nocy miała sen, z którego wnioskuje, że Orest już nie żyje. Ujrzawszy jednak przed sobą jeńców, ubolewa nad ich losem.

Orest. Przecz narzekasz i, gdy nas obydwóch śmierć czeka,
Utyskujesz, niewiasto, ktokolwiek ty jesteś?
Niemądry mojem zdaniem, kto, gdy mu śmierć grozi,
Płaczem jękliwym chce strach przed śmiercią zagłuszyć,
Choć zbawienia spodziewać się nie może. Złe więc
Podwójne on z jednego płodzi, bo się wyda
Z głupoty, a wżdy umrze. Niech los, co chce, zrządzi,
A ty nas nie opłakuj! Znany kraju tego
Zwyczaj ofiarowania ludzi nas nie trwoży.
Ifig. Powiedzcie, który z was dwóch zwany Piladesem
Po imieniu? To najprzód chciałabym usłyszeć.
Orest. Ten tu, gdy wiedzieć o tem przyjemność ci sprawia.
Ifig. Któryż kraj w ziemi greckiej jest jego ojczyzną?
Orest. Na cóż się przyda tobie dowiedzieć się tego?
Ifig. Czyście bracia i matka was jedna zrodziła?
Orest. Nie urodzenie, miłość nas z sobą zbratała.
Ifig. A tobie jakież imię nadał twój rodziciel?
Orest. Powinienem właściwie zwać się nieszczęśnikiem.
Ifig. Nie do tego pytaniem zmierzam; to zdaj na los!
Orest. Nie doznam szydu, kiedy umrę bezimiennie.
Ifig. Czemu odmawiasz tego? czy tak dumnym jesteś?
Orest. Zabijesz na ofiarę ciało me, nie imię.
Ifig. Nie nazwiesz-li też grodu, który twą ojczyzną?
Orest. Mam umrzeć; nie przyniosą zysku twe pytania.
Ifig. Cóż wyświadczenia łaski mi tej wzbrania?
Orest. Słynne Argos ojczyzną moją — tem się chlubię.
Ifig. Przebóg! czy stamtąd rodem jesteś rzeczywiście?
Orest. Tak, z Micen, które niegdyś były tak zamożne.
Ifig. Czyś wygnany opuścił kraj, czy z innych przyczyn?
Orest. Dobrowolniem wygnany poniekąd wbrew woli.
Ifig. Czy dowiem się od ciebie tego, czego pragnę?
Orest. Niech to będzie dodatkiem do mojej niedoli!
Ifig. Zjawiłeś się tu z Argos bardzo pożądany.
Orest. Jam nie pożądał; jeśli ty zaś, rzecz to twoja.
Ifig. Znasz Troję przecie, którą wszędzie w ustach mają?
Orest. Było mi nigdy nie znać jej, nawet nie przez sen!
Ifig. Powiadają, że padła orężem zburzona?
Orest. Tak jest. Wistocie stało się to, co wam mówią.
Ifig. Czy Helena znów w domu jest Menelaosa?
Orest. Niestety! bo ktoś z moich nieszczęście stąd poniósł!

Ifig. Gdzież bawi? Dawno mnie też zawiniła srodze.
Orest. Żyje w Sparcie, złączona znów z pierwszym małżonkiem.
Ifig. Ha! w obrzydzie ją Greków lud ma, nie ja sama.
Orest. I jam oberwał nieźle wskutek jej gachostwa.
Ifig. Achejowie wrócili, jak wieść się rozeszła.
Orest. Toć wszystkiego dobadać się chcesz na mnie naraz.
Ifig. To w zysku mieć chcę jeszcze, zanim śmierć poniesiesz.
Orest. Pytaj, gdy tego pragniesz; odpowiem na wszystko.
Ifig. Czy powrócił do domu z Troi wieszczek Kalchas?
Orest. Po Micenach krążyła pogłoska, że umarł.
Ifig. He! to pięknie, bogini! a syn Laertesa?
Orest. Nie powrócił do domu, lecz żyje, jak słychać.
Ifig. Niech zginie i nie wróci nigdy do ojczyzny!
Orest. Nie złorzecz mu! on w każdym względzie niedomaga.
Ifig. A syn Tetydy, córy Nereja, czy żyje?
Orest. Niemasz go! Nadaremnie w Aulis ślub wziął niegdyś.
Ifig. Obłudny ślub; jak mówią ci, co udział mieli[1]).
Orest. Kto jesteś, żeś tak dobrze świadoma spraw greckich?
Ifig. Stamtąd pochodzę; dzieckiem jeszcze będąc, znikłam.
Orest. Słusznie zatem tamtejsze sprawy pragniesz poznać.
Ifig. Co robi wódz, którego szczęsnym mianowano?
Orest. Kto to taki? ja nie znam żadnego ze szczęsnych.
Ifig. Agamemnonem, synem Atreusa, był zwany.
Orest. Przestań mówić, niewiasto, o tem! tego nie znam.
Ifig. Nie, przebóg! cudzoziemcze! mów i mnie tem pociesz!
Orest. Umarł biedny i kogoś do grobu tem wpędził.
Ifig. Umarł, jakiemże zrządzeniem boskiem? och! ja biedna!
Orest. Dlaczego tak jęknęłaś? czy twoim był krewnym?
Ifig. Nad szczęściem jego dawnem utyskuję z jękiem.
Orest. Od niewiasty zabity strasznie zszedł ze świata.
Ifig. Opłakani zabity i wraz zabójczyni.
Orest. Teraz przestań nakoniec i nie pytaj dalej.
Ifig. O to jeszcze: czy żyje żona nieszczęśliwa?
Orest. Nie żyje już; syn własny ze świata ją zgładził.
Ifig. Och! skołatany domie! W jakimże wżdy celu?
Orest. Aby krwi zabitego rodzica się pomścić.
Ifig. Och! jak dzielnie wykonał czyn niecny, a słuszny!
Orest. Choć słuszność miał, a bogów łaski nie dostąpił.
Ifig. Czy Agamemnon dzieci inne pozostawił?
Orest. Córki w panieńskim wieku, Elektry, odumarł.
Ifig. A o ofiarowanej córce nic nie słychać?
Orest. Nic krom tego, że zmarła i że leży w grobie.
Ifig. Biedni ona i rodzic, co ją zamordował!
Orest. Śmiercią smutną umarła dla niecnej kobiety.
Ifig. Syn zabitego ojca zali żyje w Argos?

---

[1]) Ifigenia została zwabioną do Aulidy pod pozorem, że miał ją poślubić Achilles.

Orest. Żyje w niedoli ciężkiej, i nigdzie i wszędzie.
Ifig. Precz z snami zwodniczemi! toć w nic się rozwiały....

I naraz błyska jej nadzieja ocalenia i powrotu do kraju:

Słuchajcie! Wpadłam właśnie na myśl jakąś, która
Wam korzyść, przyjaciele, przyniesie i mnie też
Dobrego coś wykonać najsnadniej w tym razie,
Gdy to samo dogadza i po myśli wszystkim.
Ocalę ciebie, jeśli udasz się do Argos
Z orędziem do przyjaciół moich i zawieziesz
Im pismo...
Nie było tu nikogo, coby powróciwszy
Do Argos, zawiózł moje orędzie i pismo
Ocalony do moich przyjaciół wyprawił.
Ty więc — a szlachetnego snać jesteś umysłu
I znasz Miceny i tych, o których mi chodzi, —
Cało tam powróć, wziąwszy zapłatę niemałą
Za przewiezienie listu lekkiego: zbawienie.
Ten zaś, gdy gród do tego zmusza, odłączony
Od ciebie niech bogini pójdzie na ofiarę.
Orest. Piękne słowo, niewiasto rzekłaś prócz jednego;
Bo wielką klęską dla mnie tego wydać na rzeź!
Mojem bowiem nieszczęściem ładowna jest nawa;
On wraz ze mną wypłynął, by ulżyć mi cierpień.
Niesłusznością byłoby więc, gdybym twej łaski
Dostąpił przez śmierć tego, a sam wybrnął z biedy.
Nie, tak niech stanie się: list temu daj! Do Argos
Zawiózłszy go, on sprawi tobie wszystko dobrze.
Mnie niech ktobądź zabije! Największą to hańbą,
Gdy kto w przepaść niedoli wtrąci przyjaciela,
Aby siebie ocalić. Ten jest druhem moim,
O życie jego nie mniej stoję, niż o swoje.
Ifig. O zacna duszo! rodu, zaiste, przedniego
I prawdziwym przyjaciół przyjacielem jesteś!
Oby takim był ten, co z mojego rodzeństwa
Przy życiu jeszcze! Wiedzcie o tem, przyjaciele,
Że ja także mam brata, chociaż go nie widzę.
Skoro taka więc wola twa, wyślemy tego
Z listem, a ty poniesiesz śmierć; bo, jak się zdaje,
Przygotowany jesteś do tego stanowczo.

Ifigenia odchodzi do świątyni po list, a Pilades oświadcza Orestowi, że ma postanowienie zginąć z nim razem; ale Orest przekonywa go o zbyteczności tej ofiary i poleca wrócić mu do kraju i pojąć za żonę Elektrę.

Ifig. (wracając). Otóż jest, przyjaciele obcy, list złożony
Z wielu stronic; a czego nadto żądam od was,
Posłuchajcie! Inaczej myśli mąż, gdy z trwogi
Wybawiony, otuchy i serca nabierze.

To też ja się obawiam, że może, wróciwszy
Do domu, o zlecenie moje wcale nie dbać
Ten, który pismo moje ma zanieść do Argos.
Orest. Czegoż więc żądasz? W czemże masz wątpliwość jakąś?
Ifig. Przysięgą zobowiąże się, że list doręczy
W Argos druhowi wedle mojego życzenia.
Orest. Czy wykonasz nawzajem ty także przysięgę?
Ifig. W jakim celu? cóż zrobić lub nie zrobić? powiedz!
Orest. Że żywego wypuścisz z barbarzyńskiej ziemi.
Ifig. Naturalnie. Jakżeby mógł być moim posłem?
Orest. Azali władca ziemi tej na to przystanie?
Ifig. Skłonię go; tego sama do nawy zawiodę.
Orest. (do Piladesa) Przysięgnij! (do Ifigenii) ty przysięgi rotę zbożną wygłoś!
Ifig. Przysięgnij, że doręczysz to mym przyjaciołom.
Pilad. Oddam przyjacielowi twojemu to pismo.
Ifig. A ja ciebie ocalę za skały cyańskie.
Pilad. Którychże bogów wzywasz na świadków przysięgi?
Ifig. Artemidę; w jej domu sprawuję kapłaństwo.
Pilad. Ja władcę nieba zasię, prześwietnego Zeusa.
Ifig. A jeżeli złamawszy przysięgę, mnie skrzywdzisz?
Pilad. Niech nie wrócę do domu! A ty, gdy ją złamiesz?
Ifig. Niech nigdy nie postoję żywa w Argos ziemi.
Pilad. Posłuchaj jeszcze tego, cośmy pominęli
Ifig. Jeśli to co słusznego, powiesz jeszcze w porę.
Pilad. Na ten wyjątek zgódź się: gdy łódź się rozbije
I list we falach morza wraz z całym ładunkiem
Przepadnie, a ja życie tylko z fal wyniosę,
Wtedy niech mnie przysięga już dłużej nie wiąże.
Ifig. Z rąk więcej większa pomoc. Wiedz przeto, co zrobię.
Treść pisma zawartego w liście tobie ustnie
Opowiem, abyś wszystko mym druhom oznajmił.
Tak się zabezpieczymy. Gdy ocalisz pismo,
Ono samo się zwierzy milczkiem z treścią swoją;
Jeżeli zaś pochłoną list ten fale morskie,
Wraz z życiem swem ocalisz moje też orędzie.
Pilad. Masz pieczę i o bogów i o mnie chwalebną.
Lecz powiedz, komu pismo to doręczę w Argos
Lub doniosę to, co mam usłyszeć z ust twoich.
Ifig. Syna Agamemnona, Oresta, zawiadom:
„Zabita na ofiarę w Aulis Ifigenia,
Miana tam za umarłą, żywa przecie, śle to —“
Orest (przerywając). Gdzież ona jest? czy z martwych znów ona powstała?
Ifig. Stoi przed tobą; lecz nie przerywaj mi mowy!
„Sprowadź, bracie, do Argos mię, nim umrę, z kraju
Barbarów i z ołtarza bogini mnie zabierz,
Przy którym cudzoziemców zabijam z urzędu —“
Orest. Piladzie, co powiedzieć? gdzież się znajdujemy?

Ifig. „Albo klątwę na dom twój rzucę, Orestesie!“
Imię słyszysz raz drugi, abyś zapamiętał.
Orest. Bogowie!
Ifig. Czemuż bogów wzywasz w mojej sprawie?
Orest. To nic. Jam o czem innem myślał. Dokończ swego!
Ifig. Powiedz, że w moje miejsce podstawiwszy łanię,
Bogini ocaliła mnie — którą mój ojciec
Zabił, sądząc, że ostrym mieczem na mnie godzi —
I przeniosła do kraju tego. — Takie daję
Zlecenie i tak listu mego brzmi osnowa.
Pilad. Ty, coś zobowiązała lekką mnie przysięgą
I sama też przysięgła pięknie, nie odwlokę
Długo, jeno dopełnię przysięgi złożonej!
Oto przynoszę list i do rąk ci oddaję,
Orestesie, od siostry twej mi powierzony.

(*Z. Węclewski*).

Następuje teraz scena zobopólnego poznania i radości, potem narada, jak wszystkim razem uciec do Grecyi wraz z wizerunkiem bogini. Ifigenia, zapewniwszy sobie milczenie chóru, oznajmia, że nie może cudzoziemców przygotować do ofiary, ponieważ ciąży na nich przelana krew i musi wprzódy oczyścić ich i wizerunek bogini w morzu; każe więc służbie ofiarniczej prowadzić za sobą jeńców, a sama, wyniósłszy posąg ze świątyni, zamierza udać się na brzeg morski, gdzie stoi w ukryciu łódź przybyszów. Właśnie w tej chwili nadchodzi Toas, król Taurydy, żeby się dowiedzieć, czy ofiara została już dokonana. Ifigenia, nie tracąc przytomności, tłómaczy mu potrzebę oczyszczenia jeńców i posągu zdala od widzów i namawia go do pozostania w świątyni aż do jej powrotu. Podstęp się udaje i Ifigenia podąża z jeńcami nad morze. Po chwili nadbiega goniec z doniesieniem, że przybysze z kapłanką uciekli na okręt i byliby już odpłynęli, gdyby przeciwny wiatr nie trzymał ich u brzegu. Rozgniewany Toas rozkazuje ścigać czemprędzej zbiegów, ale oto w powietrzu ukazuje się Atena i każe mu zaniechać pościgu, bo wolą jest bogów, żeby Orest zawiózł wizerunek Artemidy do Attyki, gdzie w Brauron zbuduje dla niego świątynię, a Ifigenia będzie jej kapłanką; w końcu oznajmia, że i branki helleńskie, składające chór, mają także wrócić do kraju. Toas poddaje się woli bogów.

(Całkowity przekład wszystkich tragedyj Eurypidesa dał Zygmunt Węclewski, ogłosiwszy go w Poznaniu 1883 w 3 tomach. Pojedyńcze tragedye tłómaczyli: Muśnicki, Łabuński i inni).

XVIII. Arystofanes.

1) Rycerze.

Nazwa komedyi nadana została od chóru w niej występującego, a złożonego z rzeczywistych rycerzy. Treścią jej jest wydrwienie i zohydzenie wybitnej w Atenach od r. 427 przed Chrystusem osobistości politycznej, właściciela garbarni, Kleona, który mianowicie nadspodziewanie szczęśliwą wyprawą do Pylos w czasie wojny peloponeskiej, pozyskał sobie miłość Ludu (Demos), uosobionego w komedyi w postaci nieradnego, zdziecinniałego, rozkapryszonego staruszka. Kleona, przedstawionego pod postacią niewolnika Demosowego, Paflagończyka, nienawidzi stronnictwo arystokratyczne, uosobione w dwu innych niewolnikach, przedstawiających Nikiasza i Demostenesa, dwu wybitnych mężów politycznych, nie umiejących podołać przebiegłemu i przewrotnemu Kleonowi. Nie oni też odnoszą nad nim zwycięstwo, lecz również przewrotny, z motłochu najlichszego pochodzący Kiełbaśnik, umiejący jeszcze lepiej od Kleona pochlebiać Ludowi; jest-to „złodziej może nie większy, ale szczęśliwszy“, jak go nazywa Paflagończyk, porównywając ze sobą, gdy mu godła władzy odbierają i skazują na zajęcie się rzemiosłem

swego przeciwnika, t. j. na roznoszenie po Atenach kiszek i kiełbas. Dwaj owi niewolnicy, sami nie mając odwagi, by wystąpić przeciwko Paflagończykowi, popierają tylko Kiełbaśnika, dawszy w jego ręce broń najdzielniejszą w mniemaniu Ludu i samego jego ulubieńca, t. j. wykradzioną wieszczbę o upadku Paflagończyka; jest-to poboczny, ale niemniej doniosły rys komedyi; wystawia bowiem łatwowierność i zabobonność ludu ateńskiego, powodującego się w działaniach swoich ladajakiemi przepowiedniami.

Poznajmy najprzód z rozmowy niewolników charakterystykę Demosa (Ludu) i Paflagończyka (Kleona):

Niewolnik I. Mamy otóż pana
Raptusowego gbura, co od rana
Na niewolników, co pracują w domu,
Zmyśla oszczerstwa wierutne bez sromu,
Stąd na nas baty; sam zaś wkoło biega
I od każdego, który mu podlega,
Groźbą i prośbą, strachem naprzemiany
I żebraniną wyciąga kubany.
„Czy widzisz“ — rzecze, — „jak Hylasa biją?[1])
Moją to sprawką, moją, a nie czyją!
W ciemności dzisiaj powędrujesz kraje,
Jeśli mi nie dasz!“ — Cóż? człek biedny daje.
A gdybym nie dał, dałżeby mi stary!
Przodem i tyłem kichając bez miary,
Wnetbym wykichał ducha pod kijami! —
Do kogoż teraz, jakiemi drogami
Uciec stąd mamy, twojem, lubciu, zdaniem?
Niewolnik II. Tą drogą, którą zowiem u m y k a n i e m!
Niewolnik I. Lecz Paflagona, czy ujdzie co oka?
Na wszystko ślepiem rzuca on z wysoka:
Gdy zaś krok zrobi — jedna noga długa
Leży gdzieś w Pylos, a wśród Pnyksu druga!
A w tej podróży posładek spasiony,
Jakby miech jaki dmie na wszystkie strony!
Wszak w szponach jego wszystko pozostaje
Od Wysp Złodziejskich — aż w Kubanów kraje!
Niewolnik II. Jedyna zatem nadzieja jest — w grobie!
Niewolnik I. Nie widzę innej; przeto o sposobie
Bohaterskiego załatwienia sprawy,
Pomyśl stanowczo!

Niewolnicy znalazłszy w przepowiedni, wykradzionej Paflagończykowi, wskazówkę, że go pokona Kiełbaśnik, z zapałem witają nadchodzącego, zachęcając go do walki z nienawistnym sobie ulubieńcem Demosa. Ależ ja ledwie czytać umiem — woła Kiełbaśnik. — Nic to nie szkodzi — odpowiadają mu:

Wszak wiesz, by zostać naczelnikiem ludu,
Nie trza już teraz ni nauki trudu,
Ni charakteru o sercu podniosłem,
Dość, gdyś prostakiem; dość, gdyś, bracie, osłem!

[1]) Hylas, jeden z niewolników, towarzysz Nikiasa i Demostenesa. Być może, że Arystofanes ukrył pod tem imieniem jakąś osobistość, znaną wówczas powszechnie w Atenach.

Kiełbaśnik. Lecz ludem rządzić czy zdoła ma głowa?
Niewolnik I. Fraszka! rób dalej to, co teraz robisz:
Sprawy tak mieszaj, jak kiszki sposobisz,
Mięsa przeróżne mieszając bez braku —
Dowcipem kuchty osłodź je dla smaku!
By rządzić, wszystkie posiadasz przymioty:
Masz kram, głos straszny, pochodzisz z hołoty;
Wszystko do rządów potrzebne jest w tobie,
A wieszczba z Pityą zgadzają się obie.
Spraw więc obiatę dla gapiów patrona,
Uwieńcz skroń swoją, kpa zaś Paflagona
Turbuj wet za wet.

Kiełbaśnik zapewniony, że rycerze, nienawidzący Paflagończyka, dopomogą jego przeciwnikowi, przyjmuje propozycyę. W pierwszem starciu się obu, Chór rycerzy bez ogródki wymyśla Paflagonowi, wołając do Kiełbaśnika:

Bij, wal zbója, potwarcę rycerskiego znaku!
Mytnika, łapigrosza, bezdenną kałużę
I łotra, łotra, tysiąc to razy powtórzę,
Gdyż tysiąc razy na dzień złożył dowód tego.
Nuże! pędź, grzmoć, bij łotra, piecz go do żywego,
Wszak my z tobą! puść finfę, zakadź mu pod nosem,
Gdy zaś będziesz nacierał, ryknij strasznym głosem,
Lecz strzeż się, by ci nie zemknął...

Z utarczki na słowa wychodzi Kiełbaśnik zwycięsko; Paflagończyk wybiega rozzłoszczony. Tu następuje właściwa komedyi greckiej przerwa w akcyi, zapełniona tak zwaną „parabazą", t. j przemową chóru do publiczności, wypowiadającą poglądy autora polityczne lub literackie, częstokroć zgoła się z treścią sztuki nie wiążące. Przytaczamy tu część parabazy I-ej, przedstawiającej zdanie Arystofanesa o dawniejszych komedyopisarzach i o trudnościach tego zawodu.

Bo z autorstwem dziś komedyj łączą się najcięższe znoje;
Każdy do niej się umizga, — ona skąpi względy swoje.
Wie on nadto, że dziś u nas zmienne jak wiatr są fawory,
Że nasz lud swych ulubieńców w późnym wieku zdradzać skory.
Zna on Magna[1]) los, cierpienia, gdy mu włosy pobielały,
Magna, który za swe Chóry mnóstwo miał tryumfów chwały,
Co wprowadzał wam na scenę ptasząt śpiewy, cyter dźwięki,
Chóry Lidów, chrząszczów Chóry, ba i nawet żabie jęki,
Przecież was nie zadowolił, bo gdy nadszedł wiek zgrzybiały,
Gdy mu brakło już dowcipu — wszystkie ławy nań świstały!
Pomni autor też Kratyna[2]), co na sławy wartkiej fali
Płynął jak po niwach strumień, a wyrwawszy gdzieś w oddali

[1]) Magnes Ikaryjczyk był jednym z najzdolniejszych poprzedników Arystofanesa; utwory jego zjednały mu 11 razy palmę zwycięską. Z następnych słów Chóru okazuje się, że nie szczędził on wysiłku fantazyi, aby tylko rozweselić kapryśną publiczność. Z komedyj jego nie doszła żadna naszych czasów.

[2]) Kratynos, syn Kallimedesa (żył 519—422 r.), był największym komedyopisarzem greckim obok Arystofanesa. On to stworzył pierwszy ze starej komedyi greckiej komedyę polityczną, a w sztukach jego łączył się niezrównany dowcip z tak nieustraszoną śmiałością, że nawet Peryklesowi nie płazem nie puszczał. Jako starzec 96-cio letni otrzymał nagrodę za komedyę „Pytine" (Flaszka)—a do jej napisania miały go skłonić sarkastyczne przycinki Arystofanesa w guście powyższych.

W wir porwał swoich wrogów, jakby klony, dęby ścięte.
Wszak przy ucztach tylkoś słyszał: „Hej kubanów bóstwo święte!“
„Hej misternych mistrze pieśni!“ [1]) Tak to on przekwitał w sławie!
Dziś was wcale to nie boli, że on błaznem, głupcem prawie,
Że mu z lutni już wypadły perły, że w niej zmarły tony,
Że mu nawet lutnia pęka... Starzec błądzi opuszczony,
W zwiędłym wieńcu, tak jak Konnas[2]), i z pragnienia ginie stary,
On, co godny dla swej sławy pić w Prytanii win puhary,
I nie marnieć, lecz w teatrze siedzieć przy Dyonizosie[3]).
Jakież znowu Krates[4]) znosił fochy wasze, muchy w nosie,
On, co za pieniądze małe gościł zawsze was tak szczerze,
I z ust czystych, niezepsutych niósł dowcipy wam w ofierze;
On się jeden przecież ostał, bądź wśród świstów, bądź wśród brawa.
Tych się otóż bojąc następstw — wieszcz nasz z takiem zdaniem stawa,
Że wpierw trzeba być wioślarzem, nim twej pieczy ster poruczą,
Potem zostać podsterniczym, badać wichry, walczyć z tuczą,
Wreszcie można wieść swój statek. Że więc pomny tej nauki,
Bez rozwagi na toń morza dziś nie puszcza swojej sztuki,
Wy go oklasków burzą witajcie bez miary i tam
W wesołej Lenajów godzinie,
By wieszcz w myśl zdziaławszy wam,
Wesół także odszedł sam,
O lśniącej z radości łysinie. —

Strofa.

Chór. O rycerski Posejdonie!
Ty, którego ucho chwyta
Mile srebrny dźwięk kopyta,
I co rżące lubisz konie —
Ty, któremu barwnodzióbe,
Lotne nawy trójwiosłowe,
Chłopiąt turniej, gry wozowe,
Buta, szwanki ich są lube,
Zstąp tu do Chóru, w trójząb uzbrojony
Władco delfinów, panie Suniona,
Synu Kronosa, w Gerajstos[5]) czczony,
Ty, coś najdroższy sercu Formjona[6]),
Ty, co cię wielbi za opieki trud
Najwięcej z bogów, Ateńczyków lud!

---

[1]) Początek dwóch Chórów z komedyi Kratynosa.
[2]) Sławny, niegdyś na igrzyskach olimpijskich uwieńczony kitarzysta, nauczyciel muzyki Sokratesa, popadł w starości tak dalece w zapomnienie, że nędza jego przeszła w przysłowie.
[3]) Rozumieć tu należy posąg Dyonizosa, umieszczony w teatrze; miejsce obok niego było najbardziej zaszczytne a zarazem i najwygodniejsze.
[4]) Krates, Ateńczyk, uważany był przez Arystotelesa za właściwego twórcę komedyi, jako dzieła sztuki. Pierwsze zawiązki komedyi greckiej przedstawiały mieszaninę luźnych scen bez związku i celu. Krates nadał pierwszy w sztukach swych (wspominają o 9) akcyi większą jednolitość, łączył sceny pojedyńcze wspólną myślą przewodnią. Komedya jego nie była jeszcze polityczną, lecz bardziej obyczajową, społeczną.
[5]) Sunion i Gerajstos przylądki, na których znajdowały się świątynie Posejdona.
[6]) Formion, syn Azopiosa, znakomity admirał ateński w czasie wojny peloponeskiej.

Przodownik Chóru.

Wielbić chcę ojców naszych, którzy bezwątpienia
Godni byli ojczyzny, godni uwielbienia;
Którzy w walkach na lądzie, i wśród mórz głębizny,
Zawsze nam wrogów bili na chwałę ojczyzny!
Nikt z nich ujrzawszy wroga nigdy go nie liczył:
Im duch Nieustraszenia w walce przewodniczył;
A choć tylko w zapasów upadł który szranku,
Wnet kurz strzepnął ze siebie, wypierał się szwanku,
I walka wrzała dalej.

Antystrofa.

Chór. Matko miasta, o Pallado!
Ty, co dzierżysz rządy swemi
Kraj najświętszy z krajów ziemi,
I co mądrą wiedziesz radą
Lud, co innych przodownikiem
W wieszczów ogniu, w walk zwycięstwie —
Przybądź z tą, co jest mi w męstwie,
W bitwach, walkach pomocnikiem,
Z Nike [1]) śpieszącą za Chóru śpiewami
I wrogom ze mną stawiącą czoło!
Z nią się w tej chwili zjaw pomiędzy nami,
Racz nam, co Chóru tworzymy koło,
Jeżeli kiedy, to dziś pośród szrank,
Łaskawie zesłać za zwycięstwo dank!

I w zabiegach też około pozyskania łaski Demosa Kiełbaśnik pokonywa Paflagończyka. Oto scena, w której oba przychodzą do niego z koszami pełnemi różnych przysmaków.

Kiełbaśnik. Pozwól, współzawodem
Służyć ci będziem w zapaśniczym biegu.
Demos. Niech i tak będzie — stańcież do szeregu!
Kiełbaśnik i Paflagończyk (stając w tyle sceny koło koszów).
Już!
Demos. A więc gońcie!
Kiełbaśnik (odpycha Paflagończyka).
O, nie pójdziesz przodem!
(borykają się ze sobą).
Demos. Przebóg! bądź stanę dziś na szczęścia szczycie,
Bądź mnie me gachy zaduszą w zachwycie!
Paflagończ. Widzisz, ja pierwszy krzesełko ci stawię!
Kiełbaśnik. Lecz nie masz stołu — z tym ja wpierw się jawię!
(Demos siada za stołem).
Paflagończ. Oto masz tutaj hreczane kluseczki,
Z święconej w Pylos zgotowane hreczki.

[1]) Bogini zwycięstwa, towarzyszka Pallady-Ateny, opiekunki Aten.

Kiełbaśnik. Oto łyżeczka — sama ją bogini
Żłobiła rączką swą z kości słoniowej![1])
Demos (oglądając łyżkę).
Wielkie gdzieś palce masz cudotwórczyni!
Paflagończ. Ot zaciereczka na juszce grochowej,
Smaczna aż lubo — co za barwa miła!
Ją Pylos-burcza Atena micsiła!
Kiełbaśnik (trzyma nad głową Dema misę kaszy).
Widocznieś w łaskach u bogini naszej,
Gdy ci nad głową trzyma misę kaszy.
Demos. Jakto, ojczyzna byłaż-by dziś cała,
Gdyby nam ona kaszy nie trzymała?
Paflagończ. Rybkę ci zsyła zgrozosiejna Pani!
Kiełbaśnik. Córeczka Zeusa zsyła ci znów w dani,
Smaczniutkie mięso wprost wzięte z rosołu,
Tłuste kiszeczki, świeże flaczki z wołu!
Demos. Pięknie, że pomna Peplosu[2]) ofiary.
Paflagończ. Meduzogłowa[3]) zjeść ci każe stary
Te oto chyżki[4]), gdyż chodzi jej o to,
Byś panie, chyżo mógł pomykać z flotą.
Kiełbaśnik (daje mu ryby).
Weź i to także.
Demos. Jakież znów zadanie
Te ryby mają?
Kiełbaśnik. To są liny panie,
Które ci zsyła bóstwa afekt szczery,
Byś z nich miał liny na swoje tryery:
Jawnie na sercu leży mu dziś flota. (Podaje mu wino).
Ot winko z wodą — specyały! pysznota!
Demos (pije). Boże! jak słodkie! ani czuć w niem wody!
Kiełbaśnik. Tritogeneja[5]) gniotła nań jagody.
Paflagończ. Ot placka z serem masz kawał nie mały.
Kiełbaśnik. Co, kawał placka? Masz tu placek cały!

---

[1]) Mowa tu o arcydziele Fidyasza, kolosalnym, bo 26 łokci wysokim posągu partenońskiej Ateny; na prawicy jej spoczywała statua bogini Nike, cztery łokcie wysoka. Odpowiednich rozmiarów do kształtów bogini musiała też być i łyżeczka z chleba, ofiarowana przez Kiełbaśnika Demosowi, a żłobiona jej ręką; stąd też wniosek Demosa we wierszu następnym.

[2]) W czasie uroczystości Panatenajskich, obchodzonych co cztery lata z nadzwyczajną świetnością, jako narodowe święto Greków, niesiono w uroczystym pochodzie do posągu Ateny, opiekunki miasta, płaszcz, tak zwany Peplos, utkany z bardzo kosztownej materyi i ozdobiony mistycznemi wyszywaniami, przedstawiającemi wypadki z dziejów mitologii greckiej.

[3]) Meduza, jedna z trzech Gorgon, potworna istota niewieścia o wzroku tak strasznym, że ludzie przed nim kamienieli z trwogi. Głowa jej znajdowała się na hełmie; podług innych, na tarczy Ateny.

[4]) Grecy jadali placek, który się zwał ἐλατήρ t. j. poganiacz. Kiełbaśnik radzi otóż Demosowi uraczyć się owym poganiaczem, aby mógł potem żywo *poganiać* flotą. Ponieważ my jednak, niestety, żadnych poganiaczów nie jadamy, należało go zastąpić innym jakimś przysmakiem. Chcąc zatrzymać grę wyrazów, wybraliśmy, a do wyboru niewiele pozostawało — chyżki, czyli studzeniec, galaretę na zimno.

[5]) Przydomek Ateny od jeziora Tritonis w Libii, albo też od rzeki Triton w Beocyi, gdzie obok Aten i Tessalii był najstarszy kult tej bogini. Przekład dosłowny tego wiersza, bardzo skomplikowanego w oryginale, opiewa: „Sama Tritogeneja przygotowała mieszaninę z 3 części wody a 2 wina".

Paflagończ. Lecz jak ja, dasz mu ty pieczeń z zająca?[1])
Kiełbaśnik (zmieszany). Skąd ją tu wyrwać? o chwilo piekąca!
Hej, sprycie, pomyśl o jakimś wykręcie!
Paflagończ. (pokazując mu zająca).
Widzisz, chuchraku?
Kiełbaśnik. To mi gdzieś grzmi, w pięcie!
Bo oto właśnie nadchodzą —
Paflagończ. Kto taki?
Kiełbaśnik. Posłowie niosą we workach srebrniaki.
Paflagończ. (podbiega na środek sceny).
Gdzie? gdzie?
Kiełbaśnik (bierze zająca z kosza Paflagończyka).
A zasię! puścisz mi tych gości?! —
Demciu! szaraka dźwigam Jegomości!
Paflagończ. Gwałtu! jak podle skradłeś mi szaraka!
Kiełbaśnik. Sprawa z pod Pylos kubek w kubek taka!
Demos (ucieszony).
Powiedz, zaklinam, skąd plan tej kradzieży?
Kiełbaśnik (wyniośle).
Plan do bogini, czyn do mnie należy!
Paflagończ. Jam go tak gonił! tak go upiekł ładnie!
Demos. Precz! Kto go podał, temu dank przypadnie!
Paflagończ. O, mej czelności już gwiazda przyćmiona!
Kiełbaśnik. Przecz nie rozsądzisz, Demie, która strona
Wierniejsza twojej, twego brzucha sprawie?
Demos. Ależ na jakiej sądzić mam podstawie,
By wyrok mądrym nazwała publika?
Kiełbaśnik. Ja ci dam radę: idź, głębie koszyka
Mego i jego przeszukaj dokładnie,
A wierz mi, mądry wyrok z ust twych padnie!
Demos (wskazując na kosz Kiełbaśnika).
Cóż tam jest zatem?
Kiełbaśnik (otwiera swój kosz).
Pustki i nic więcej,
Wszystkom dał tobie w miłości dziecięcej!
Demos. Sam kosz twój nawet dobry patryota!
Kiełbaśnik. Idź, zbadaj teraz, co ów ma niecnota
Widzisz? (Demos przeszukuje kosz Paflagona).
Demos. Kosz mnóstwo łakoci zawiera!
O, placków górę schował ten przechera,
A mnie dał tyćko — ot jakby na kpinki!
Kiełbaśnik. Zdawna już takie są jego uczynki!
Jeśli coś złapał, dał ci kąsek mały,
Część większą — jego szpony porywały!

---

[1]) Pieczeń z zająca uchodziła w Atenach za tak wielki przysmak, że Arystofanes nie mówi w Osach: żyć w szczęściu, lecz żyć wśród pieczonych zajęcy. Dar taki był tem milszy dla Demosa, że były wtenczas czasy wojny, a więc głodu i niedostatku.

Demos. Więc mnieś kradł, zwodził, nędzny Paflagonie,
A jam cię darzył, wieńcem zdobił skronie?!
Paflagończ. Kradłem, chcąc państwu pomódz dziełem takiem!
Demos. Łotrze, zrzuć wieniec, bym tym świętym znakiem
Jego skroń ubrał.
Kiełbaśnik. Zrzuć-że leniu, żwawiej!
Paflagończ. O nie, bo Pityi mam wieszczbę, co prawi,
Komu jedynie mam dać za wygranę.
Kiełbaśnik. Toć tam zbyt jasno mnie imię nazwane.
Paflagończ. Wpierw cię wybadam — chcę dowodu na to,
Czy się w czem zgadza wieszczba z twą facyatą.
I tak ci najpierw zadam to pytanie,
W jakiej to szkole wziąłeś wychowanie?
Kiełbaśnik. Ot — w świńskim chlewie, kułakiem kształcony.
Paflagończ. (przerażony).
Co?! (na stronie). Ta mi wieszczba w serce wpija szpony!
Niech będzie!
Czegoś się uczył w zapaśnictwa szkole?
Kiełbaśnik. Kraść, krzywoprzysiądz, być o brudnem czole.
Paflagończ. (na stronie).
Febie! Apollo, wielki boże słońca!
Twoich zamiarów któż dopatrzy końca? (Głośno)! —
Mężem, kunszt jaki schwyciłeś do ręki?
Kiełbaśnik. Kiszkim sprzedawał.....
Paflagończ. (na stronie).
Przepadłem! Straszny wypadków obrocie!
Nie, jeszcze we mnie skra nadziei wzrasta! (Głośno).
To jeszcze powiedz: czyś w rynku wistocie
Kiszki sprzedawał, czy też w bramach miasta?[1])
Kiełbaśnik. W bramach, gdzie ryby sprzedają wędzone.
Paflagończ. (z rozpaczą).
Przebóg! więc słowa mej wróżby spełnione!
(Upada nieprzytomny — po chwili).
Precz mnie stąd weźcie, com igraszką doli!

(Fr. Konarski).

Demos odprawia Paflagończyka, i choć nowy jego ulubieniec jeszcze jest gorszym od poprzedniego, nabiera siły, młodnieje, przywdziewa szaty, przypominające czasy zwycięstwa pod Maratonem.

[1]) Szczwany Paflagończyk sformułował ostatnie pytanie rozmyślnie w ten sposób, że Kiełbaśnik myśleć może, iż on się obawia, czy Kiełbaśnik nie prowadzi w rynku handelku swojego. Sztuczka ta nie doprowadziła atoli do celu, bo Kiełbaśnik, nie bity w ciemię, przyznaje się do prawdy i — zwycięża!

2) Chmury.

W komedyi pod tym napisem drwi Arystofanes z wykrętnej nauki sofistów, do liczby których jako ich przewódcy zalicza całkiem niewłaściwie Sokratesa. Strepsyades, ze wsi rodem, mało ukształcony, ożeniwszy się z panną miejskiego wychowania i wykwintnych przyzwyczajeń, córką Megaklesa, doczekał się syna (Fejdypida), zamiłowanego w popisach konnych, wyścigach i zaciągającego długi na te kosztowne zabawy. Komedya rozpoczyna się w chwili, kiedy Strepsyades, nie mogąc zasnąć z powodu niepokojącej myśli o blizkim terminie (dniu „nowym-starym") płacenia rewersów synowskich, każe słudze podać sobie rejestr gospodarski, zagłębia się w odczytywaniu pozycyj i przypomina sobie dawne czasy.

Strepsyades. Potem ów synalek, gdy na świat nam przyszedł
Mnie gburowi i tej szumnej pani, wtedy
Kłótnie się o jego imię rozpoczęły.
Jejmość coś od konia zawsze nadawała:
Ksantyp, Charyp [1]), zwąc go, albo Kallipides
Jam zaś dawał imię Fejdonida dziadka.
Spór nie prędko ustał, przyszło wszak do zgody,
Imię mu daliśmy Fejdypida wreszcie.
Temu chłopcu jejmość, pieszcząc go, mawiała:
„Gdy dorósłszy, będziesz wracał jak Megakles
Na zwycięskim wozie, płaszcz zwiesiwszy dumnie..."
Jam zaś mawiał: „gdy tam, kózki pędząc z wzgórza,
W kusej ot opończy, jak twój ojciec czynił..."
Lecz te moje słowa były groch o ścianę;
On w koniarstwie krwawe me utopił grosze.
Teraz przez noc całą myśląc jak wyjść z biedy,
Jednę-m dróżkę znalazł, boską, niezrównaną;
Jeśli do niej chłopiec ów namówić da się,
Tom napewno wygrał... Trza go najpierw zbudzić!...
Jakże go najmilej ze snu wyrwać teraz?
Mój ty Fejdypuszku!... Fejdziu!...

Fejdypides. Cóż tam, ojcze?

Strepsyades. Daj mi buzi, synku!... Podaj rączkę tacie!

Fejdypides. Masz!... Lecz cóż to znaczy?

Strepsyades. Kochasz mnie ty? powiedz!

Fejdypides. Jak mi ten Posejdon koniowładca miły!

Strepsyades. Daj mi święty pokój z twoim koniowładcą...
Bóg ten całej biedy właśnie mi narobił.
Jeśli jednak szczerze, z duszy mnie miłujesz,
Chłopcze, słuchaj, proszę!...

Fejdypides. W czemże cię mam słuchać?

Strepsyades. Zmień natychmiast, synku, ten twój sposób życia
I gdzie ja-ć zalecę, tam mi idź w naukę.

Fejdypides. Powiedz, czego żądasz?

---

[1]) Po grecku w skład tych imion wchodzi wyraz h i p p o s, t. j. koń.

Strepsyades (pokazując na domek Sokratesa).
Patrz-no tam, w tę stronę!
Widzisz tam tę furtkę z tą chałupką lichą?
Fejdypides. Widzę... Cóż dalipan, ojcze, to ma znaczyć?
Strepsyades. Toć jest, synu, mądrych duchów marzycielnia,
Tam mieszkają ludzie, którzy wmówią w ciebie,
Twierdząc, że niebiosa są fajerką... że ta
Wszędzie nas otacza... żeśmy w niej węgielki.
Ci już cię nauczą, byleś im zapłacił,
Pobić wszystkich, słusznie czy niesłusznie prawiąc.
Fejdypides. Cóż za jedni?
Strepsyades. Nie znam nazwisk ich dokładnie;
Są-to jednak zacni marzycielodumce.
Fejdypides. Krocset... te gałgany!... Wiem już o paplarzach
Mówisz i bladoszach, o bosakach, co to
Sokrat ów obdartus i Chajrefon z nimi.
Strepsyades. Sza!... Stul gębę, lepiej głupstwa-byś nie gadał!
Dbasz-li, by się ojcu choć kęs chleba został
Przystań do nich, końskie porzuciwszy kunszta...
Są, jak słychać, u nich jakieś dwie tam mowy:
Lepsza bądź-jak-bądź, a obok niej też gorsza.
Z tej dwojakiej mowy druga, to jest gorsza,
Nieuczciwą racyą zawsze bierze górę.
Tej się więc nieprawej mowy tylko naucz,
A ze wszystkich długów, które-m za cię winien,
Aniby szelążka zgoła nikt nie dostał.
Fejdypides. Nie usłucham!... Jakże mógłbym ja rycerstwu
Stawić się przed oczy z cielskiem tak znędzniałem?
Strepsyades (grożąc synowi).
Już wy mego chleba żreć mi nie będziecie,
Ni ty, ni dyszlowy, ni ów folblut waścin!
Boć wypędzę z domu na złamanie karku!
Fejdypides. O! nie ścierpi wujcio mój, Megakles, bym ja
Był bez koni! Idę doń, o ciebie nie dbam!

Nie mogąc namówić syna, Strepsyades sam po naukę udaje się do Sokratesa. Ten wyśmiawszy jego wiarę w bogów, ukazuje mu istotne bóstwa — chmury, które w postaci niewieściej zjawiają na scenie, przywołane modlitwą mędrca:

Władco i panie, Powietrze bez końca, ziemię co trzymasz w zawiesi,
Świetny Eterze, czcigodne boginie, Chmury ognisto-piorunne,
Wzlećcie, objawcie się, aby myśliciel ujrzał wiszące nad głową...
Owóż przybądźcie, o arcyczcigodne Chmury, ukazać się temu,
Czyście Olimpu prześwięte wierzchołki, śniegiem osute, zasiadły,
Czy w Okeana rodzica ogrodach Nimfom cne tany wodzicie,
Z Nilu czy odnóg czerpiecie złotemi wody dzbanami, boginie!
O wysłuchajcie, ofiarę przyjąwszy, łaskę zsyłając obrządkom!

Gdy Chmury, stanowiące chór w tej komedyi, odezwały się za sceną, Strepsyades zdziwiony pyta, kto to poważnem pieniem go zachwycił; Sokrates odpowiada:

Przecież to Chmury niebieskie, potężne wszelkich próżniaków boginie,
Które pojęcie i biegłość nam dają w sporach i bystrość rozumu,
Przytem kuglarstwo i sztukę, by innych wzruszać, porywać, przegadać.

Streps. To też, gdym słyszał ich głosy, wnet dusza w górę wysoko mi wzlata,
Pragnie rozkrawać już słówka i myśli, zwięźle gawędzić o dymie,
Obce zaś zdanie szturchając swem zdańkiem, mowę wypalić na mowę.

Strepsyades pragnąłby coprędzej wyuczyć się od Sokratesa owej wykrętnej mowy, którąby mu posłużyła do pozbycia się lichwiarzy i odprawienia ich z kwitkiem, ale mędrzec chce naprzód przećwiczyć starą jego mózgownicę i oczyścić ją z przesądów, więc wykłada mu przyczyny zjawisk niebieskich. Któż grzmi na niebie — pyta Strepsyades — czyż nie Zeus? Bynajmniej — odpowiada Sokrates — to Chmury. Jakim sposobem?

Sokrat. Skoro się wodą przepełnią i z miejsca ruszyć się muszą swojego,
Wisząc na niebie i deszczem brzemienne; potem ciężarem ciągnione
Jedne na drugie spadają, a przeto łamiąc się łoskot wydają.

Streps. Któż zaś do ruchu je tego przymusza, czyliż nie Zeusa potęga?

Sokrat. Nie on, lecz Wiry Eteru.

Streps. O Wirze mówisz?... Jam tego nie wiedział,
Że tam snać Zeusa na niebie już niema, Wir zaś króluje za niego...
Skądże zaś znowu spadają pioruny ogniem płonące? wytłómacz,
Które nas rażąc, wnet jednych upieką, innych przynajmniej osmalą;
Te oczywiście Zeusowa prawica na wiarołomców snać miota.

Sokrat. Jakże to, głupcze, starzyzną cuchnący, przedpotopowy człowiecze!
Gdyby je rzucał na krzywoprzysięsców, Symon[1]) nie spłonął do szczętu
Ni też Kleonim z Teorem[1])? Toć oni krzywoprzysięsców hersztowie.
Lecz on swe własne wzdy razi świątnice, Sunion, ów Aten przylądek,
Szczyty też dębów najwyższych, a za cóż?... przecie te dęby nie grzeszą!

Streps. Nie wiem! Jednak to słuszne, co mówisz. Czemże więc gromy u ciebie?

Sokrat. Wiatr gdy gorący, podniósłszy się w górę, w chmur się dostanie pośrodek,
Jako pęcherze, tak zwewnątrz je nadmie; potem przedarłszy je wreszcie
Siłą wyparty, wypada na zewnątrz, dla swej gęstości gwałtowny.
Skutkiem szybkości i szumu wśród tarcia sam zapalając się przez się.

Streps. Klnę się na Zeusa, żem tego przypadkiem w czasie Dyazyów[2])
[doświadczył.
Dla mych krewniaków, gdym kiszkę raz smażąc, naciąć jej wprzódy
[zapomniał,
Wzdęła się mocno, a potem zaś nagle w same pękając mi oczy,
Prysła gwałtownie i całą swym tłuszczem twarz oparzyła mi srodze.

Chór. Człecze ty, który pożądasz mądrości od nas i wielkiej i szczytnej,
Wśród Ateńczyków i Greków o jakże żywot szczęśliwy twój będzie,
Jeśli masz pamięć i skłonność do myśli, jeśli na biedę wytrwałość
W duszy jest twojej i jeśli się staniem, ani chodzeniem nie męczysz;
Jeśli ci marznąć zbyt przykrem nie będzie, albo się obejść bez jadła,
Wstrzymać od wina i ćwiczeń cielesnych, innych takichże marności,
A za najlepsze zaś jeśli uważasz, sprytny jak człowiek powinien
W sprawach i radach sądowych być górą, dzielnie językiem wojować.

---

[1]) Przewrotne osobistości w Atenach za czasów Arystofanesa.
[2]) Uroczystość ludowa w Atenach.

Strepsyades zgadza się na twarde warunki, byleby tylko mógł wierzycieli zbyć niczem. Nauka idzie ciężko, coś niecoś jednak stary korzysta, nie tyle wszakże, ile pragnął, więc syna zmusza w końcu, by poszedł do Sokratesa. Wraca Fejdyp wyćwiczony w dowodzeniu i... okazuje się hardym względem ojca, w końcu go bije. Powód tego opowiada przed Chórem Strepsyades:

. . . . . Przy wieczerzy, gdy, jak wiecie, siedzim,
Najpierw mu kazałem, aby lutnię wziąwszy, śpiewał
Znaną piosnkę Symonida: „Strzygli tam barana“.
On zaś rzekł, iż grać na lutni rzecz to przestarzała,
Śpiewać pijąc, to rzecz baby, która kasze miele.
Fejdyp. Czy już nie trza było wtedy bić i kopać waści,
Boś mi śpiewać kazał, jakbyś świerszcza miał w gościnie.
Streps. Prawił już to samo w domu, z czem wyjeżdża tutaj,
Symonida zwąc bezczelnie nędznym wierszokletą.
Jam się ledwo już posiadał, jednak się wstrzymawszy
Potem mu kazałem, by mi, gałąź mirtu biorąc
(Bo Eschila ja uważam za poetów księcia)
Coś z Eschila też zaśpiewał. On zaś wręcz zawołał:
„To chropawiec, pełen szumu, paplacz napuszysty!“
Łatwo pojąć, jak mi wtedy serce bić poczęło;
Wszakże gniew mój połykając, rzekłem: „Coś innego
Więc zaśpiewaj, z nowszych rzeczy, co tak arcymądre!“
Wnet on Eurypida wierszyk pocznie —
To mi trochę nadto było, przetoż mu sypnąłem
Całą gębą brzydkie słowa, skąd, jak pojąć łatwo,
Ząb za ząb się wszczęła kłótnia. On zaś potem skoczył
Do mnie, gniótł mnie, młócił, dławił, do cna mię zmarnował.
Fejdyp. Czy nie słusznie za to, że mi Eurypida lżyłeś,
To mądrości dziwo?
Streps. On? Mądrości?... Jak cię nazwać?
Lecz mnie bić znów niewart gotów.
Fejdyp. Słusznie, jak Zeus miły!...
Najpierw, odpowiadaj: czy mnie biłeś, gdym był chłopcem?
Streps. Biłem, lecz z miłości, albo troskliwości.
Fejpyp. . Powiedz,
Czy niesłusznie, bym i ja też, równie z życzliwości,
Bił cię, skoro życzliwości bicie jest dowodem?
Skądże bowiem ma twe ciało plagom ujść bezkarnie,
Nie zaś moje? „Toć i ja też wolny się rodziłem,
„Różdżką dziatki biorą, nie miał-że-by ojciec?“
Powiesz snać, że li w dziecinnym to stosowne wieku;
Jabym odrzekł, że staruszek to podwójne dziecko
I że słuszniej, aby stary plagi brał, niż młody;
Sprawiedliwie bowiem starszy mniej powinien grzeszyć.
Streps. Takich praw nie znajdziesz nigdzie, by to ojciec cierpiał.
Fejdyp. Nie był że to człowiek, tak jak ja i ty, co pierwszy
Prawa nadał i przekonał przodków słowy swemi.
Czemuż mnie-by nie przystało nowe dać na przyszłość

Prawa synom, by na odwet ojców swych gromili.
Ile zaś wzięliśmy plag, nim prawo to ogłoszą,
Z tych kwitując, puścim płazem, że nas dawniej bito
Patrz-no na koguty, albo inne takie twory,
Jak to ojców odpędzają; czemże-to się one
Od nas różnią, chyba tem, że uchwał nie gryzmolą!

Gdy się takich i tym podobnych dowodzeń nasłuchał Strepsyades, uznaje swoją winę, że syna sam do Sokratesa zaprowadził i wwiódł na drogę wykrętów. Więc też na Sokratesie mści się, rozwalając i paląc jego chatę przy pomocy swych niewolników. Mędrcy wyskakują a Strepsyades woła:

Goń ich, bij, potrącaj! jak z tysiącznych przyczyn,
Tak najbardziej za to, iż krzywdzili bogów...

(Marcelli Motty).

---

3) Żaby.

Wielki zwolennik poezyi dawnej, zapalony wielbiciel Eschila, przedstawia Arystofanes w tej komedyi swoją cześć dla niego, łącząc ją z dowcipną krytyką tragedyj Eurypidesa. Dyonizos (Bachus), bóg wina, niezadowolony z żyjących tragików, w sukni więc szafranowego koloru z lwią skórą zarzuconą na ramiona, z maczugą w ręku, wybiera się tedy do Hadesu, by stamtąd wydobyć niedawno zmarłego Eurypidesa. Niewolnik jego Ksantyas, przybrany za Sylena (bożka leśnego), objuczony dużym pakunkiem, siedzi na ośle i radby pożartować w guście trywialnym, ażeby sobie choć tym sposobem ulżyć w odbywaniu utrudzającej drogi. Dyonizos jednak nie pozwala mu na to, łając go:

Dyonizos. Toż mi dopiero pieszczoch i zuchwalec!
Ja, bóg Dyonizos, prawy syn — Okseftu,
Piechotą łażę sam, on sobie jeździ,
Aby się tylko nie podźwigał zbytnie.
Ksantyas. Alboż nie dźwigam?
Dyonizos. Jakże dźwigasz, jadąc?
Ksantyas. Dźwigając jadę.
Dyonizos. Jakżeż?
Ksantyas. Ciężko dźwigam
Dyonizos. Alboż pakunku osioł twój nie dźwiga?
Ksantyas. O nie, dalipan! czuję go na sobie.
Dyonizos. Jakżeż ty czujesz? ciebie czuje osioł!
Ksantyas. Nic nie wiem, tylko to wiem, że ja czuję.
Dyonizos. Więc kiedy osioł na nic ci się nie zda,
Złeź z niego, sam go weź i dźwigaj jego.
Złeź z osła, ty hultaju! Jużem prawie
U bramy stanął, gdzie wprzód wstąpić muszę[1]).
(puka) Jegomość! hej jegomość, słuchaj wasze!

---

[1]) Udający się do Hadesu wstępować musieli poprzednio do świątyni Heraklesa w Melite (w Attyce); tę więc zapewne świątynię wyobrażał domek na scenie.

Ksantyas zsiada z osła, który natychmiast ucieka. Z domu wychodzi Herakles.

Herakles. Któż tu tak stukał? kto tu przycwałował,
Jakgdyby jaki Centaur? Co to było?
Dyonizos (do Ksantyasa). Widziałeś?
Ksantyas. Cóż?
Dyonizos. Toś nie uważał?
Ksantyas. Czego?
Dyonizos. Jak mnie się boi?
Ksantyas. Myślał chyba, żeś ty waryat.
Herakles. Dalibóg, niepodobna mi się wstrzymać
Od śmiechu! Ażem już się ugryzł w język!
Dyonizos. Poczciwy człeku, przystąp bliżej, proszę!
Herakles. Śmiech tak mię dusi, że już nie wytrzymam.
Jak dobrze mu z lwią skórą na tej sukni!
Co to ma znaczyć koturn ten z maczugą?
Skąd idziesz?
Dyonizos. Na Klistena wsiadłem okręt.
Herakles. I biłeś się na morzu?
Dyonizos. Chyba z tuzin
Albo i więcej statków naszym wrogom
Do szczętu zatopiliśmy.
Herakles. Wy we dwóch?
Dyonizos. Klnę się na Apollina!
Herakles. Ot, po wszystkiem!
Dyonizos. Więc potem siedząc na okręcie, czytam
Tak sobie, dla zabawy, Andromedę[1]),
Wtem nagle, jakby piorun przeszywając
Me serce, wpada mi zachcenie —
Herakles. Duże?
Dyonizos. Maleńkie, wzrostu może — powrożnika!...
Herakles. Więc mów, braciszku, cóż to?
Dyonizos. Ach, nie mogę!
Tylko zdaleka chyba dam ci poznać.
Czy ci się kiedy chciało już powideł?
Herakles. Powideł? albo raz od lat dziecinnych!
Dyonizos. Czyś pojął? czy też jaśniej wytłómaczyć?
Herakles. Rozumiem doskonale! O! powideł!
Dyonizos. Więc widzisz, taki sam uczuwam pociąg
Do Eurypida, który już nie żyje.
Nikt mi już nie wyperswaduje, żebym
Natychmiast doń nie zstąpił.
Herakles. Gdzie? do Hadu?
Dyonizos. Klnę się na Zeusa! choćby jaknajgłębiej!
Herakles. O cóż ci idzie?

---

[1]) Andromeda, jedna z zaginionych tragedyj Eurypidesa.

Dyonizos. Trzeba mi poety,
Takiego prawdziwego! Albo żadnych
Nie widzę, albo ci, co są, nic warci.
Herakles. Wszak Jofon[1]) żyje.
Dyonizos. To też to nam jedno
Zostało dobre, jest naprawdę.
Sam bo nie wiem, jak te rzeczy stoją.
Herakles. A zamiast Eurypida, czyż nie lepiej
Większegobyś sprowadził Sofoklesa,
Gdy już sprowadzać sobie chcesz koniecznie?
Dyonizos. Nie prędzej, aż po tonie dobrze poznam,
Co Jofon bez Sofokla będzie znaczył.
A zresztą figlarz to, ten Eurypides,
Czmychnąłby z tamtym razem i bez śladu.
Herakles. Cóż przecie z Agatonem[2])
Dyonizos. On daleko!
Poeta dobry! każdy tu go pragnie.
Herakles. Gdzież więc się podział?
Dyonizos. Na królewskiej uczcie...
Ksantyas. O mnie się nie pyta,
Choć mnie na plecach skóra się przetarła...

Herakles wskazuje Dyonizowi drogę do Charona. Wsiadłszy do jego łódki bożek słyszy odzywające się chóry Żab na jeziorze piekielnem:

Chór. Berekekekeks! koaks! koaks!
Berekekekeks! koaks! koaks!
Więc my, bagnistych źródeł ród,
Zanućmy teraz w jeden głos
Naszego hymnu chórem pieśń melodyjną.
Koaks! koaks!
Którą przy synu Zeusa, Nizejskim
Bachusie, tam w kałuży śpiewamy,
Gdy w upojenia zachwycie
Dzikości pełen, w święto Garnków[3])
Do naszej świątnicy roi się lud.
Berekekekeks! koaks! koaks!
Dyonizos. Żebyście pękły, koaksując!
Toć nic w was niema, tylko koaks!
Chór. Dobrze ci tak, mospanie Wścibski!
Mnie bo wybrała Muza, lirze rada,
I z koziem kopytem Pan[4]),
Który przygrywa na fujarze.

---

[1]) Jofon, syn Sofoklesa, autor kilku uwieńczonych tragedyj, które jednak podejrzewano, że je utworzył jego ojciec.
[2]) Agaton, znakomity tragik, bawił na dworze króla macedońskiego.
[3]) W świątyni Bachusa w Limnach (bagnach) obchodzono uroczystości zwane Antesteryami przez trzy dni; trzeci dzień zwano świętem Garnków, ponieważ ustawiano wtedy garnki z gotowanemi jarzynami dla przebłagania podziemnego Dyonizosa (Hermesa).
[4]) Pan, bożek leśny.

Z radością słucha mię nawet sam arfiarz Apollo,
Dla trzciny na denko do cytary,
Którą wilgotną trzymam mu w bagnie.
Brekekeks! koaks! koaks.

Dyonizos. Mnie już odgniotły się pęcherze
I ciało poci się oddawna,
A gdy się schyli, wnęt zawoła:
Brekekeks! koaks! koaks!
Lecz muzykalny ludku, daj pokój raz[1]).

Chór. Głośniej jeszcze niech zabrzmią nasze śpiewy,
Gdy w słoneczne dni wesoło,
Wskakując przez zielony tatarak
I przez zielsko pieśniom rade,
Na powierzchnię wypływamy;
Lub gdy przed Jowisza chroniąc się deszczem
Pluskamy kółkiem na dnie
W pstrym tańcu i pstrej ochocie,
Przy piany wirze nad nami.
Brekekeks! koaks! koaks!

(F. H. Lewestam).

Chór Żab jest ciętą satyrą na chóry spółczesnych Arystofanesowi dramaturgów, pełną dowcipnych alluzyj, które dopiero po dokładnem zgłębieniu politycznych i literackich stosunków Aten mogą się stać zrozumiałemi.

Po przebyciu jeziora piekielnego, dostrzega Ksantyasz potwory i strachy, a opowiadając o nich, wielką bojaźnią przejmuje Dyonizosa. Gdy zmierzają do mieszkania Plutona, zachodzi im drogę jeden z sędziów podziemnych Eak. Dyonizos przedstawia mu się jako Herakles, a ponieważ ten nienawistny jest Eakowi, dlatego że niegdyś zabrał mu psa Cerbera, grozi teraz przychodniowi strasznemi mękami. Dyonizos przelękniony prosi Ksantyasa, żeby mu do serca przyłożył mokrą gąbkę, wskutek czego serce opada mu do żołądka. A że Ksantyas nie zląkł się Eaka, więc Dyonizyos oddaje mu skórę lwią i pałkę Heraklesa, a sam zamierza dźwigać swoje tłomoki: Bogini podziemna, Persefona, dowiedziawszy się o przybyciu Heraklesa każe, mu przez służącą przyjść do siebie Ale Heraklesem jest teraz Ksantyas. Gdy służąca opowiedziała, jakie to potrawy i napoje przygotowała bogini, jakie-to młode tancerki tam znajdzie, Ksantyas mówi do Dyonizosa:

Ksantyas. Niewolniku, bierz tłomoki i idź za mną.

Dyonizos. Ciszej. Żartem cię tylko przerobiłem na Heraklesa, a ty wziąłeś to za prawdę.

Ksantyas. Jakto? Myślisz odebrać mi to, coś sam dał.

Dyonizos. Nie, ja nie myślę odebrać, ale odbieram. Zdejm skórę

Ksantyas. Bądźcie świadkami, wielcy bogowie, jak on ze mną postępuje!

Dyonizos. Jacy bogowie? Czyś ty głupi, czy szalony? Ty, niewolnik i śmiertelny, masz być synem Alkmeny?

Ksantyas. Dobrze, weź sobie. Kiedyś, jak bogom się podoba, będziesz mię jeszcze potrzebował.

Chór. Człowiekowi roztropnemu i światłemu, co wiele po morzu wędrował, przystoi zawsze żagiel swój na tę stronę rozpinać,

[1]) Gniew Dyonizosa stąd głównie pochodzi, że według taktu coraz szybszego skrzeczenia mimowoli coraz szybciej robić musi wiosłem.

skąd wiatr wieje, nie zaś stać prosto i nieruchomo jak jaki bałwan przydrożny. Zmieniać rolę dla dobra osobistego jest to być człowiekiem zręcznym, prawdziwym Teramenem[1]).

Dyonizos rzeczywiście, lękając się Eaka, musi znów prosić Ksantyasa, by udawał Heraklesa. Eak każe wiązać tego „złodzieja psów", Ksantyas się nie daje, zaklinając się, że nigdy nic nie kradł, i proponuje Eakowi, żeby jego niewolnika to jest Dyonizosa poddać próbie.

Eak. Jakiej próbie?

Ksantyas. Wszelakiej. Możesz go powiesić, posiekać razami, nalać octu w nos, nakładać nań cegieł, możesz z nim zrobić, co zechcesz, tylko go nie bij czosnkiem ani porami[2]).

Eak. Zgoda; ale jeżeli razy okaleczą twego niewolnika, to ty mię pozwiesz o straty?

Ksantyas. Wcale nie. Idź go poddać próbie.

Eak. Zrobię to tutaj i chcę, żeby mówił przy tobie. No, tymczasem zdejm tłomok i nie waż się kłamać.

Dyonizos. Zabraniam ci poddawać mię próbie, bo jestem nieśmiertelny; biada ci, jeśli się ośmielisz.

Eak. Co takiego?

Dyonizos. Powiadam, że jestem nieśmiertelny, Dyonizos, syn Zeusa, a ten — ten jest moim niewolnikiem.

Eak (do Ksantyasa). Słyszysz?

Ksantyas. Tem większa zasada bić go rózgami; jeżeli on jest bogiem, to nie poczuje uderzeń.

Dyonizos (do Ksantyasa). A kiedy tak, toć i ty podajesz się za boga; czemuż więc nie bić i ciebie.

Ksantyas (do Eaka). Słusznie. Sprobuj: kto z nas pierwszy zapłacze przy biciu, kto pierwszy będzie zmęczony, ten oczywiście nie jest bogiem.

Eak każe im się rozbierać i po kolei bije obu. Ale każdy z nich upewnia, że nie czuje razów, tłómacząc mimowolne wykrzyki innemi przyczynami. Nie wiedząc co robić, Eak pozostawia decyzyę Plutonowi i Persefonie. Oni sami są przecie bogami i poznają się na was — powiada. — Prawda — odrzecze Dyonizos — ale trzeba było pomyślić o tem przed biciem. W Hadesie straszna wrzawa, krzyki i spory. Eschil i Eurypides kłócą się o pierwszeństwo. Eschil zajmował tron tragedyi, ale pojawienie się Eurypidesa wywołało w Hadesie burzę. Eak, czując sympatyę dla Ksantyasa, opowiada mu, że Eurypides zaczął deklamować wiersze swoje przed oszustami, ojcobójcami i rozbójnikami, któremi piekło przepełnione; jego giętkie zasady zachwyciły to tałałajstwo, które uznało go za pierwszego tragika. Eurypides, pełen zarozumiałości, zasiadł na tronie Eschila. A czyż Sofokles nie domagał się pierwszego miejsca dla siebie? — pyta Ksantyas, na co Eak: Bynajmniej. Przybywszy tutaj, uścisnął Eschila; on mógłby był zasiąć obok Plutona, bo Eschil ustępował mu miejsca, ale Sofokles wolał być drugim. Ma się odbyć walka o pierwszeństwo między Eschilem a Eurypidesem; za sędziego obrano Dyonizosa, jako znającego się na tragedyi. Obaj z początku sobie wymyślają, że Dyonizos musi im przypomnieć, iż poeci nie powinni się kłócić jak przekupki, iż raczej wypadałoby im zanieść modły do bogów. Eschil wzywa Demetry, a Eurypides

[1]) Jeden z trzydziestu tyranów panujących nad Atenami, głośny z życia lekkomyślnego.

[2]) To jest lekkiemi uderzeniami, jak bito dzieci.

nie uznając bogów, zwraca się do Eteru, który go wspomaga w gibkości języka. Gdy przyszło do walki, Eurypides kładł nacisk na brak akcyi w tragedyach Eschila, na napuszoność jego mowy, na brak życia i prawdy w jego postaciach, Eschil zaś, którego zdaniem poeta powinien uczyć dojrzałych ludzi, jak wychowawca uczy dzieci, wyrzuca Eurypidesowi, że nauczył Ateńczyków paplaniny, drobnostkowych subtelności retorycznych, że psuł młodzież różnemi sofizmatami, że osłabił poczucie obowiązku. Ażeby spór bezowocny zakończyć, Eschil pzoponuje zważyć wiersze ich obu. Dyonizos zapowiada, że będzie przedawał talent poetycki na wagę, jak się sprzedaje ser na rynku. Spółzawodnicy trzymając się szalek wagi, wypowiadają kilka razy po jednym wierszu, szala Eschila zawsze przeważa. Eschil zgadza się, żeby na jednę szalę położyć dwa jego wiersze, a na drugą samego Eurypidesa, z jego dziećmi, żoną i wszystkiemi tragedyami, bo jest przekonany, że i wtedy nawet jego szala przeważy. Dyonizos zadaje potem obu poetom pytania, dotyczące spraw ateńskich, podziwia odpowiedzi jednego i drugiego, tak że nie może się zdecydować, kogo wybrać; znaglony jednak przez Plutona, wybiera Eschila, czem wywołuje wielkie niezadowolenie Eurypidesa. W odpowiedzi na jego zarzuty posługuje się cytatami z własnych jego tragedyj.

Eurypides. Brałeś bogów na świadków, że mnie stąd zabierzesz; przypomnij sobie przysięgę i wybieraj.

Dyonizos. Tak, usta moje przysięgały, ale ja wybieram Eschila.

Eurypides. Coś ty zrobił? nie masz sumienia.

Dyonizos. Ja! Przyznałem pierwszeństwo Eschilowi; więc cóż?

Eurypides. I po takim bezczelnym postępku śmiesz mi patrzeć w oczy?

Dyonizos. Cóż w tem bezczelnego, jeżeli widzowie bezczelnem tego nie nazywają?

Eurypides. Okrutniku! to ty mię zostawisz tu bez litości z umarłymi?

Dyonizos. Oczywiście! Być może żyć jest-to umrzeć, oddychać — jeść obiad, a sen — runo.

Pluton. Wejdźcie do mego pałacu; chodź Dyonizosie.

Dyonizos. Cóż my tam robić będziemy?

Pluton. Chcę poczęstować gości, zanim się oddalą.

Dyonizos. Doskonale, klnę się na Zeusa i to lubię!

. . . . . .

Pluton. Żegnaj, Eschilu, wracaj na ziemię; niech miasto nasze (Ateny) ocalą twoje szlachetne nauki, niech poprawią nierozumnych a ich tam tak dużo!

Eschil. Spełnię rozkazy twoje, a ty posadź Sofoklesa na mojem miejscu. Niech on zatrzyma je dla mnie, jeśli kiedyś wrócę. Naznaczam dla niego drugi stopień między tragicznymi poetami. A co do tego łotra, tego nędznego żartownisia, patrz, żeby nigdy sobie nie przyswoił zaszczytnego miejsca, chociaż go inni na niem posadzili.

Chór. Bogi podziemne! ześlijcie drogę szczęśliwą poecie, który nas opuszcza i na ziemię wraca; ześlijcie także miastu naszemu myśli rozumne i zbawienne. Połóżcie w ten sposób koniec strasznym nieszczęściom, co nas dręczą, okropnemu szczękowi broni.

XIX. Teokryt.

A) Amaryllis.

Wesołym śpiewem ucieszyć idę
Kochaną Amaryllidę.
Niechaj się pasą kozy nad wzgórzem,
Tytyros[1]) będzie ich stróżem!

Och! mój Tytyrze! serduszko moje,
Paś kozy, żeń je nad zdroje!
Kozła unikaj wzdy Libijczyka
Masłowatego, bo tryka.

Amaryllido wdzięczna! przecz z groty
Wołając na mnie: „mój złoty!“
Już nie wyglądasz teraz ukradkiem?
Zali-m ci obmierzł przypadkiem?

Zali, gdy zblizka patrzysz, perkaty
Nos mój? czy-m nazbyt brodaty?
Dziewucho, widzę, że cię ucieszę,
Gdy się z rozpaczy powieszę.

Dziesięć przynoszę jabłek ci oto!
Zerwałem one z ochotą
Tam, gdzie kazałaś, posłuszny słowu
Inne dam jutro ci znowu.

Patrz-że na boleść serce trawiącą!
Obym był pszczołą brzęczącą!
Przez bluszcz i gęste paproci sploty
Do twojej wleciałbym groty.

Wiem już, czem Eros, bóg srogi. Lwica
Jego karmiła; rodzica
Chowała zasię, gdzie knieja dzika.
Och! żre mię i wskroś przenika!

Dziewko, wabnego śmieszkiem spojrzenia
Daj, czarnobrewko z kamienia
Gęby w uścisku! Całować usta —
Zabawka słodka, acz pusta.

Chcesz-li — drę zaraz wianek na szmaty
Z bluszczu, wonnemi róż kwiaty
I potocznika, ot, przetykany
Dla Amarylli kochanéj.

[1]) Tytyros (=kudłaty) tu znaczy kozła przewodnika trzody.

Biada! cóż poczne? Nie słuchasz wcale?
Niebogi rzucę się w fale,
Ściągnąwszy kożuch, gdzie dla tuńczyka
Toń rybitw Olpis przenika.

Ha! ależ gdy się w falach pogrzebię,
Wielce ucieszy to ciebie!
Gdym, czy mię kochasz, badał niedawno,
Powziąłem wróżbę złą jawno:

Liść maku nie pękł z trzaskiem, bez dźwięku
Rozdarty w tłustych zwiądł ręku.
Wyszła z Agroi ust prawda szczera,
Gdy kłosy po niwie zbiera.

Że lgnę do dziewki — wróżyła z sita —
Co o mnie wcale nie pyta.
Wiedz, z dwojgiem bliźniąt dla ciebie biała
Kózka się u mnie chowała.

Mieć Erytakis, Mermnona śniada
Dziewka chciałaby ją rada.
I podaruję onej, ponieważ
Drożąc się, ty mnie wyśmiewasz.

Drga oko... prawe. Zoczę-ż ją może?
Pod limbą, ot, się położę.
Wiem, spojrzy na mnie, gdy nucić pienia
Zacznę, toć nie jest z kamienia.

„Hipoman[1]), żony pragnąc, przegoni
Dziewczynę, z jabłkami w dłoni,
A Atalanta, widząc to, spłonie
I w szale miłości utonie.

Czy pasąc w górach Adonis trzody,
Cyprydy, wdziękiem urody
Zdobnej, nie wprawił w szał, że po zgonie
Nawet go pieści na łonie?“

Ach, boli głowa! Tyś zimna wcale.
Precz z śpiewem! Tu się powalę.
Pożrą mię wilcy. Niechże to słodziéj
Niż miód do gardła ci wchodzi!

(Z. Węclewski).

---

[1]) Hipoman dostawszy od Afrodyty złote jabłka, obudził nieuli miłość w Atalancie, która zalotników wyzywała na wyścigi z sobą; pokonany, śmiercią śmiałość swą przypłacał.

B) Kosarze.

Milon. Kosarzu, robotniku dobry, co-ć się stało?
Przedtem między czeladzią nad cię nie bywało.
Teraz, ani docinasz i pokosy psujesz,
Ani równo z inszymi w rzędzie postępujesz,
Ale po wszystkich idziesz; tak za trzodą w pole
Owca idzie, gdy nogę na cierniu zakole.
Jakim w południe będziesz, abo do wieczora,
Jeślić zaraz z poranku robota nie skora.
Battos. Dusza twoja z kamienia kędyś się urwała.
Słuchaj, abo-ć tęsknica nigdy nie bywała?
Milon. Nie bywała; po kimże chłop prosty ma tużyć,
Który ustawnie musi robić albo służyć?
Battos. Ani-ć się przytrafiło, abyś zamiłował
I nie spał całej nocy i zalot pilnował?
Milon. Bodaj się nie trafiało; szkoda tam być musi
Bez pochyby, kędy pies rzemienia zakusi.
Battos. Alem ja zamiłował; już to wyminęła
Wtóra niedziela, jako napaść ta mię wzięła.
Milon. Pan-eś ty, bracie, a my prosty chleb jadamy;
Ty z pełnej beczki toczysz, my drożdży nie mamy.
Battos. W tem państwie chwasty u mnie zarosły zagony,
A jakom posiał, jeszcze żaden nie plewiony.
Milon. Któraż to zuchwalica tak cię popsowała?
Battos. Owa, co nam przy żniwie pieśni zaczynała.
Milon. Dostałeś, czegoś szukał. Bóg frantom nagali:
I świerszcze w słomie, kiedyś spał, o tem śpiewali.
Battos. Nie każ na hardą i nie śmiej się z mej głupości;
Nietylko ślepi żebrzą, lśnią ludzie w miłości.
Milon. Nie moja rzecz być hardym, wszakże nie próżnujmy,
Ale śpieszno przy inszych z kosą postępujmy.
Ty zaśpiewaj co o swej miłej, lżejsza będzie
Tak robota; wszak i ty dudką słyniesz wszędzie.
Battos. Muzy, ucieszne Muzy, teraz zaczynajcie,
A ze mną moją piękną pannę wysławiajcie!
Kogo się wy dotkniecie przez wdzięczne śpiewanie,
Każdy się urodziwym, każdy pięknym stanie.
Bombiko ma najmilsza, wszyscy cię i małą
I chudą i cyganką zowią ogorzałą,
Ja subtelną, ja Greczką; nie wszystko są białe
Fijołki, są brunatne, są i podpalałe.
Są i ziółka ciemniejsze, a wzdy je zbierają
Piękne panny i w wieńcach przodek im dawają.
Oracz za pługiem chodzi, za oraczem wrona,
Ja za tobą, Bombiko moja ulubiona.
Gdybym miał skarb królewski, abo złote bani,
Stalibyśmy oboje ze złota odlani.

Tybyś bębenek, abo piszczałkę trzymała,
Abo różę, abo mi jabłko podawała.
Jabym stał, jako stawam, gdy tańce wywodzę
Piórko za czapką, gładka skórzenka na nodze.
Bombiko ma najmilsza! twoja nóżka biała,
Słówka jedwabne, łaska nie wiem jako trwała?
Milon. Wejże tego kosarza, jako chytrze z nami
Obchodzi się; tak długo tail się z pieśniami.
Wierę-ś ją dobrze wyciął, moja brodo miła,
Nie darmoś to konopie tak bujno puściła.
Posłuchaj też ty moich; lecz ja nie swojego
Nie zaśpiewam, rym tylko dawny Litjersego[1]).
Demetro wielożyzna! zdarz, aby to było
Plenne zboże, aby się do gumna zwoziło.
Grabcie i wiążcie mocno, aby nie rzeczono:
Słomiany-to robotnik, płacę tu stracono.
Gdy wiatr z północy abo z zachodu powiéwa,
Rozstawcie snopy, bo tak kłos ziernistszy bywa.
Kto młóci, niech się strzeże w przypołudnie spania;
W południe zbite zboże — lepsze do wywiania.
Kosarz ma wstać z skowronkiem, a ledz, gdy on siędzie;
Dobremu kosarzowi znój nigdy nie będzie.
Najlepszy żabi żywot: nigdy nie upragnie,
Nigdy nie woła: daj pić, zawsze mieszka w bagnie.
Urzędniku, nie umiesz tylko nam chwast warzyć,
Kiedy pokrzywy dzielisz, waruj ręki sparzyć.
Azaby takie pieśni, kiedy słońce pali,
Przy robotach kosarze nie raczej śpiewali?
A ty więc o miłostkach swoje narzekanie
Zachowaj do macierze, kiedy rano wstanie.

(Sz. Szymonowicz).

C) Syrakuzanki na uroczystości Adonisa.

Dwie Syrakuzanki Praksynoa i Gorgo, których mężowie mieszkają w Aleksandryi, umówiły się pójść razem do zamku Ptolemeuszów, na uroczystość Adonisa. Gorgo przybywa do Praksynoi a usiadłszy na podanem jej przez sługę krześle, mówi:

Ledwie, że dyszę! Z biedą uszłam cała
Ze ścisku wozów i ludu natłoku!
Buty na każdym — i na każdym kroku
Wojacy w płaszczach. A ten kawał drogi!
Och, zadaleko mieszkasz na me nogi!

---

[1]) Lityerses z Frygii, syn Midasa, sławny kosarz-okrutnik i śpiewak, zabity przez Heraklesa.

Słowa te pobudzają Praksynoę do skarg na kochanego mężulka, który w gruncie rzeczy wszystkiemu winien:

Ten mój uparciuch — loch mi, nie mieszkanie
Na końcu ziemi ten zakamieniały
Kat mój, abyśmy nie sąsiadowały,
Na złość mnie, najął...

Gorgo przerywa jednak przyjaciółce, mówiąc:

Nie mówże, kochanie,
Tak o Dynonie twoim, gdy tu mały
Synek obecny. Ot! jak patrzy na cię!
Hej, Zopiryonku, mowa nie o tacie.

A Praksynoa, niby przestraszona, omamić chce chłopca i opowiada:

Tak, prawda święta! coś rozumie dziecię.
O! tatko drogi!

— lecz nie przestaje skarg swoich wywodzić:

Ten tatuś niedawno
Temu (a wszystko niedawno kobiecie)
Nie róż z saletrą mi po mojej woli
Przyniósł od kupca, ale prostej soli
Zakupił, osioł trzynasto-łokciowy.

Gorgo nie daje się wyprzedzić przyjaciółce w satyrycznym opisie swego małżonka:

I mój nie lepszy, ten pochłońca złota
Dyokleidas. Za pięć skór baranich, —
Kłaki pogniłe i kudły psie na nich,
Plugastwo samo i straszna robota —
Ot wczora jeszcze siedem drachm zapłacił.

Wzywa następnie towarzyszkę niedoli małżeńskiej do pójścia na zamek królewski, gdzie królowa świetne podobno zrobiła przygotowania do wspaniałego obchodu uroczystości Adonisa. Praksynoa przystaje, a ubierając się, łaje służącą:

Eunojo! odnieś przędzę, a broń Boże
Nie rzuć na ziemię jej znowu, leniuchu!
Tak, tak, koteczki lubią miękkie łoże...
Rusz się i wody przynieś mi co duchu!
Mnie wody naprzód trzeba — a ona
Mydło przynosi. No, dajże! Niesyta,
Nie lej za wiele! Och, ty utrapiona,
Po cóż koszulę zlałaś mi? — Dość tego,
Przecie-m, jak chcieli bogowie, umyta.
Gdzież klucz do wielkiej skrzyni? Dajże go!

Kiedy nareszcie Praksynoa włożyła suknię odświętną, w której prześlicznie jej do twarzy, płaszcz i kapelusz, obie przyjaciółki, zostawiając w domu beczącego chłopca i poleciwszy słudze pobawić się z nim i zamknąć furtkę podwórzową, wychodzą na

ulicę i przez tłumy narodu snujące się i zdążające także na zamek, przeciskają się z biedą na miejsce widowiska przy samem łożu Adonisa. Tam podziwiają wspaniałość przygotowań, odgryzają się jakiemuś natrętnemu sąsiadowi i milkną wtedy dopiero, gdy kapłanka zaczyna śpiewać hymn na cześć ukochanego Afrodyty. Po skończeniu hymnu radeby wprawdzie dłużej pozostać w zamku, ale jedna z nich przypomina sobie, że mąż-zrzęda nic jeszcze do tej pory nie jadł i że należy pośpiesznie wracać do domu.

(Z. Węclewski).

D) Rybacy.

Jak to nad morzem rybacy,
Spać sobie poszli po dziennej pracy.
Liść suchy i dwie rogoże
Jedno czyniły im łoże.
Tuż ich narzędzia ze trzciny,
Niewody, matnie i haczki,
Ponęta, muchy, robaczki
I jedno naczynie z gliny,
W niem było trochę jarzyny.
Toż przewrócony czółen do góry
A przy nim i dwa leżały wiosła;
Pod głową płachty i czapki ze skóry:
Był to ich cały majątek rzemiosła.
Nie było u nich rozkazywać komu;
Pracując razem jak jeden tak drugi,
Nie mieli sobie ni pana, ni sługi.
Nie mieli nawet psa w domu.

Ledwo się księżyc pod ziemię zawróci
Jeden drugiego przecuci.
Noc jeszcze głucha gęste siała cienie.
Przetarłszy oczy na snu odpędzenie,
Jęli rozmawiać. „Przyjacielu — rzecze —
Jakże się ta noc długo nazbyt wlecze“. —
— Opak, zda mi się, słyszałem,
Że latem krótsza noc leci;
Wszak-to ja tysiąc snów miałem
A jeszcze zorza nie świeci.
„Jakto, mój bracie, — odpowie mu drugi —
Przeciąg ci nocy zda się teraz długi?
Musi być jakaś niespokojność prędzej,
Która twój umysł porusza i trudzi;
Ta spać nie daje, ta człowieka budzi.
Długa noc każda w nędzy!“
— Umiesz ty, proszę, sny tłomaczyć? bowiem
Cud mi się przyśnił, który ci opowiem.
Ot, jak na jawie (cóż-to za sen żywy!)
Znaczną ja nętę na hak zasadziłem,

A złowić właśnie coś dobrego chciwy
Zlekka w morze zarzuciłem.
Aż duża jakaś ryba mi przybywa,
Za nętę moją natychmiast porywa. —
„Co komu w myśli, to mu i sen o tem.
Cóż potem?“
— Oto się na wędę wzięła
I krew z niej ciec poczęła;
A przez usiłek niemały
Zgiął się ku dołu pręt cały
Ledwie go ręka dźwignęła.
Aż naostatek wyciągnąwszy wędę
Szczęśliwie połów dobędę.
Cudo! stanę jak wryty, wszak to ta
Złota mi ryba, ze szczerego złota!
Widząc przed sobą połów tak drogi,
Zaraz na wszystkie poprzysiągłem bogi
Nie być rybakiem, ale żyć na potem
Jako król jaki, z tem złotem —
I tu-m się ocknął, postrzegam dopiero
Że mi ta ryba marą była szczerą.
Ale przysiągłem, jakże się to zgodzi?
Ta mię przysięga obchodzi.
„O nie lękaj się — zawoła — mój bracie!
Taka przysięga, jaką rybę macie.
Idź na to miejsce (bo już, widzę, świta),
Może tam będzie korzyść znakomita.
By nie przyszło umrzeć z głodu,
Pilnuj tu swego niewodu“.

(Swobodny przekład *Fr. Kniaźnina*).

E) Eros ukąszony przez pszczołę.[1])

Kiedy łotrowski Eros się skrada
Zwolna po miodek do ulu,
Żądłem cios srogi pszczoła mu zada.
W ręce dmuchał ci on z bólu,
Tupał nogami, skakał i biegał,
Bo palce wszystkie zażegał
Ogień — aż wreszcie z wymówką
[rzecze,
Wskazując, kędy ból piecze,
Do Afrodyty: Lichy twór pszczoła,
A jakże ranić on zdoła!
Ukrasi lice rodzicy wesoły
Uśmiech i powie: Do pszczoły
Czyś niepodobny? Ty malec taki
A jak się dajesz we znaki!

(Z. Węclewski).

---

[1]) Wiersz ten przyznawany jest także Bionowi.

XX. Bion.

a) Żal po zgonie Adonisa.

Piękny młodzieniec pasterz Adonis, ukochany przez Afrodytę (Cyprydę), raniony kłem dzika, umiera; poeta zwraca się do bogini, by śmierć jego opłakiwała.

Tu na wzgórku młodzian leży
Jak młoda lilija świeży,
Ranny w udo kłami dzika
Boginię smutkiem przenika.
Świetne ciało krew mu broczy,
Pod powieką gasną oczy
I z ust jego róża znika.
Na śnieżnem udzie młodziana
Jak strasznie krwią zaszła rana!
. . . . . .
Ledwie Cypryda w rozpaczy
Ranę kochanka zobaczy,
Drżące załamuje ręce
I tak woła w srogiej męce:
„O, Adoni, zostań jeszcze,
Niechaj z tobą się napieszczę,
Nieszczęśliwa przerażona
Niech przycisnę cię do łona.
Zostań, zostań, mężu drogi!
Nim nastąpi rozdział srogi.
Zespól usta z usty memi,
Ocknij się jeszcze dla ziemi
Jeszcze mi na pożegnanie
Daj ostatnie uściskanie.
Niechaj tyle choć mam w zysku,
Ile życia jest w uścisku.
Z głębi duszy we mnie śmielej
Jedno twoje tchnienie przelej,
Niech czarowne uniesienie,
Niech miłosne upojenie
Wleje we mnie twoje tchnienie.
Gdy już ciebie tutaj nié mam
Niech choć uścisk twój zatrzymam.
Już mi znikłeś! Próżno wołam,
Jękiem wstrzymać cię nie zdołam,
Już w Plutona schodzisz kraje
A ja sama tu zostaję.
Losu twego nie podzielę,
Nieśmiertelność mam w udziele.
Persefono! Twoja władza
Szczęściu mojemu zagradza;
Wszystko, co piękne, zagaszcza.
Niech choć jego grób uwieńczę!
O, najdroższy oblubieńcze!
Znikłeś, zabrałeś pieszczoty,
A mnie zostały tęsknoty.
Jak sen znikła rozkosz cała!
O miła ziemi ozdobo!
Czemuś lubił zgubne lasy,
I z dzikami szedł w zapasy!“.

(Br. Kiciński).

b) Pory roku.

Kleodamas. Powiedz mi, luby Mirsonie, czy jesień, wiosna, lub zima,
Czyli też lato u ciebie pierwszeństwo milsze otrzyma?
Bardziej zachwyca-ż cię lato, że pracę dojrzewa ci wszelką,
Albo się cieszysz jesienią, przyjazną nam żywicielką?
Albo zimową przenosisz nieczynność? Wszak nieraz wśród zimy
Grzejąc się koło ogniska, spokojne chwile pędzimy.
Może się bardziej zachwycasz nadobną porą wiosnową.
Odkryj twą myśl, tak wolną godzinę skrócimy rozmową.

Mirson. Nie nam śmiertelnym przystało roztrząsać dzieła Przedwiecznych;
Wszystkie są święte i błogie i pełne łask użytecznych.
Lecz, gdy tak chcesz, Kleodamie, myśl moją tobie objawię.

Mniej lubię lato, bo skwarem i blaskiem razi jaskrawie,
Mniej lubię jesień, bo nieraz choroby przynoszą owoce,
Zimy nie lubię za mróz i szron i długie jej noce;
Wiosna — ta mi najmilsza, ta niechaj trwa mi bez końca,
Kiedy zbytni nam mróz, ani zbytni dokucza skwar słońca;
Wszystko odmładza się z wiosną i wszystko kwitnie śród wiosny,
Zmniejsza się noc i świetniej dzionek jaśnieje radosny.

(Br. Kiciński).

c) Do gwiazdy wieczornej.

Gwiazdo wieczoru! ty święta nocy ozdobo!
Słusznie bogini kochania szczyci się tobą.
Gdy księżyc świeci, tyś blada,
A świetnaś, gdy noc zapada.
Prośby młodziana wysłuchaj, zaiskrzyj jaśnie,
Bo dzisiaj księżyc zawcześnie na niebie gaśnie.
Rzuć światło na moje drogi,
Od płochej uwolnij trwogi;
Nie na kradzieże ja wcale z domu wychodzę,
Ani też myślę wędrowca śledzić przy drodze.
Miłość-to sen mi odbiera.
A pięknie, kto miłość wspiera!

(Br. Kiciński).

XXI. Moschos.

a) Żal po zgonie Biona.

Niech smutne z gajów westchnienie
Szerzy się w pola i błonie
I wy z tęsknoty, strumienie,
Płaczcie po lubym Bijonie;
Drzewa, rośliny i kwiaty
Zwiesiwszy na dół korony
I wy żałujcie tej straty
O, róże i anemony!
Hijacyncie, niech twój listek
Powtarza tęsknoty zgłoski [1]),
Niech twój kwiatek więdnie wszystek,
Bo zgasnął już śpiewak boski.
O, Muzy sykulskiej obrony!
Narzekalne wznoście tony!
. . . . . .
Słowiki, co jego śpiewów
Uczyły się w gęstwie krzewów
Wesołego tracą ducha
I gołąbek smutniej grucha.
I któż będzie tak zuchwały
O, Bijonie upragniony!
Z fletu twego ciągnąć tony
Gdy twe śpiewki nie przebrzmiały,
Gdy w swych skałach jeszcze echo
Przechowuje je z pociechą?
Pan chyba flet swój dostanie,
Lecz się i Pan może zlęknie:
Czy potrafi równie pięknie
Oddać twe lube śpiewanie
O, Muzy sykulskiej strony,

[1]) Na kwiecie hiacynta Hellenowie wyczytywali zgłoskę: aj, wyraz żalu i narzekania.

Narzekalne wznoście tony
. . . . . .
Tyś mię uczył, tyś mi chlubę
Pozostawił z swych pamiątek
Krewnym dałeś swój majątek,
Mnie piosenki twoje lube.
Biada ludziom! Kwiaty więdną,
Ale kwiaty z nową wiosną
Rozwiną się i podrosną,
Lecz my koleją niezbędną
Ludzie możni, mądrzy, śmieli,
Gdy nas zgon zadławi niemy,
Nie będziem już wiosny mieli,
Niezbudzonym snem zaśniemy.
Ty nawet będziesz w drzew cieniu
Spoczywał w wiecznem milczeniu;
Tymczasem z wiosną coroczną
Żaby z kwakaniem nie spoczną;
A jakież może powaby
Mieć jednostajny głos żaby?
O, Muzy sykulskiej strony
Narzekalne wznoście tony!
Stań przed Persefony tronem
Nuć sykulski śpiew szlachetny.
Wszak niegdyś bogini miła
Igrając w dolinach Etny
Doryckie piosnki lubiła,
Śpiew twój uczci. I Orfeja
Niepłonna wiodła nadzieja,
I na jego dźwięk bogini
Zadość jego prośbom czyni
I powrót dozwala żonie.
O, gdyby, drogi Bijonie —
Bogini raczyła przecie
Naszym górom cię powrócić!...

(Br. Kiciński).

b) Nad brzegiem morza.

Gdy od podmuchu wiatru się rusza
Morze sinawe bez drżenia,
Przynętę czuje trwożna ma dusza;
Ku sobie tęskne marzenia
Toń gładka z większą przyciąga siłą
I ziemia już mi niemiłą.
Lecz gdy zaryczą szare bezdenie,
Łukiem się morze przelewa,
Piana i fale straszne szalenie
Huczą — na ziemię i drzewa
Wtedy spoglądam, odwracam oczy
Od morza topieli słonéj,
Wtedy cień gajów i lud uroczy
Miły, bo choć wiatr szalony
Dąsa się, limba dźwięcznie szeleści.
Och, biedny żywot pędzi rybołów,
Któremu łódka jest chatą,
A ryb tułaczych omylny połów
Za trud na morzu zapłatą.
Wolę sen słodki pod gęstym klonem,
Słuchając szmeru strumyka
Blizkiego, co się mile pomyka,
Nie trzęsąc łonem wzburzonem.

(Z. Węclewski).

XXII. Kalimach.

a) Kąpiel Pallady (Elegia — nieco skrócona).

Kwap się, wszystka łaziebnic Palladowych rzeszy,
Śpiesz się — rumaków słyszę jej świetnych parskanie —
Zbliża się i tuż z niemi możne bóstwo śpieszy.
Jasnowłose pośpieszcie na jej przywitanie
Pelasgijki[1])! — Atana[2]) pierwej rąk nie zmyje,

[1]) Argiwki. — W Argos corocznie podczas uroczystości Pallady — Ateny kąpano w rzece Inachos posąg bogini, wraz z tarczą Dyomedesa, który Palladzie w Argos wystawił świątynię.
[2]) Forma dorycka, zamiast Atena.

Dopóki z boków koniom kurzu nie pozgania,
Kiedy zbroję jej zewsząd krwawy znój okryje,
Wracającej z grzesznego ludzi pomieszkania.
Przedewszystkiem z zaprzęgu oswobodzi swoje
Rumaki i opłócze potoki czystemi
Pot, w kroplach ściekający i zapiekłe znoje
Wędzideł, przeżuwanych pyskami twardemi.
Bieżcie, Achajki, bieżcie! Nie maści, wonności —
Słyszę już żartkich kół jej głośne echo dzwoni —
Nie maści, łaziebnice, nieście, nie wonności,
Bo mieszaneby maści jej nie tknęły dłoni —
Ni zwierciadła. Pogodne zawsze jest jej oko.
Gdy na Idzie Frygijczyk[1]) dawał sąd wyroczny,
Ni w kruszce nie zajrzała — .....
Zatem przynoście dla niej męskie namaszczenie,
Którem Kastor swe członki i Herakles skrapia[2]),
I grzebień szczerozłoty — ona nim pierścienie
Warkoczy rozczesując, w oliwę zatapia.
Znijdź, Atano! posłuszne ciebie czeka grono
Dziewic Akestórowien[3]). Atano, bogini,
Oto i Dyomedesa tarczę wyniesiono,
Jak to się w Argos dawnym obyczajem czyni.....
Z złotym grodoburczyni hełmem znijdź, Pallado,
Co w zgrzycie tarcz i w koniach podobasz zziajanych.
Dziś, służebne dziewczęta, niechaj Argos pije
Czyste źródła, nie rzeki. Dzisiaj służebnice
Niech wiadra swoje niosą bądź do Fizydyje,
Albo do Amymony Danajki krynice[4]).
Sam bowiem dzisiaj, złotem ubrawszy strumienie
I kwiatami, z gór Inach przybędzie zielnistych;
Atanie kąpiel zrządzi. Ale miej baczenie
Pelasgu[5]), byś nie ujrzał jej członków przeczystych,
Bo ktoby ujrzał nagą Pallas gromowładą,
Tenby ostatnie widział w życiu swojem dziwy.
Święte bóstwo! racz zstąpić; ja przed tą gromadą
Opowiem mit nie własny, lecz dawny, prawdziwy: —
Panny! Atana niegdyś w Tebach pokochała
Nimfę, jedną ze wszystkich towarzyszek grona,
Tejrezyasza matkę; z nią zawsze bywała
Razem, czyli tespijska przyjęła ją strona,
Albo też Koroneja, gdzie jej święte gaje
I nad Kuraliosem ołtarze wieńczono,

---

[1]) Parys.
[2]) Oliwę.
[3]) Akestorydowie — ród argiwski
[4]) Fizydeja i Amymona dwa źródła pod Argos, tak nazwane od córek Danausa, które w nie zostały przemienione.
[5]) Pelasgowie — Argiwowie.

Czy w Koronei lub nad Haliartem staje[1]) —
Oko na Beotyjców mając obrócone,
Nieraz ją na swym wozie sadowiła,
I wszystkie nimf uciechy i swobodne tany
Charyklo swym wyborem zawsze prowadziła.
Ale i ją też czekał wyrok opłakany,
Chociaż była Atanie panna ulubiona.
Raz bowiem, kiedy spinki obsłonek odpięła
I tam, gdzie Hipokrena płynie z Helikona[2])
Kąpią się — cała góra dnia znojem usnęła —
Kąpią się obie społem w sam czas południowy.
Cała góra w głębokiem usnęła milczeniu.
Tejrezyasz nadbiegł z psami, przebiegając łowy,
Chcąc pragnienie zagasić w biegącym strumieniu.
Mchem jemu miękkim lica dopiero porosły.
I wtem ujrzał to, czego widzieć się nie godzi,
Niechcący. Pallas z gniewem zwraca głos podniosły:
„Jaki cię bóg niechętny na tę ścieżkę zwodzi,
Ewera synu, skąd już nie odniesiesz wzroku!“
Tak rzekła; a noc jemu wnet oczy osiada.
Stanął niemy, w niepewnym chwiejący się kroku
I głos jego tamuje zgrozą bojaźń blada.
A nimfa zaś wołała: „O! cóżeś zrobiła,
Bogini? także drogiej przyjaźń bogów ceny!
Za coś mi nieszczęsnego syna oślepiła?...“
Rzekła i syna w swoje utula ramiona
Matka i słowiczemi ciężkie swoje żale
Rozwodzi głosy. — Na to Pallas jej wzruszona
Łagodzi boleść słowy: „Na rozwagi szale
Weź, o boska niewiasto, twoje narzekanie.
Nie jam twojego syna nieszczęsnym zrobiła, —
Jakież w tem Pallas może mieć upodobanie? —
Ale tak Kronidesa wola przeznaczyła,
Że kto nieśmiertelnego, sam nie nieśmiertelny
Postrzeże, ciężko swoje zapłaci widzenie...
Lecz nie wyrzekaj: naszej ja przyjaźni kwoli,
Ześlę dar, co mu ciężkich boleść cierpień skróci,
I uczynię go znawcą w wyroku kryjomym
Nad innymi celniejszym w trafności i wierze;
Odtąd i ptaki pozna, w ich locie świadomym
Godło szczęsne lub zgubne przepowiednie zbierze
I przepowiadać będzie Beotom, Kadmowi
Przyszłe losy i później Labdaka plemieniu.
Laskę dam, przewodniczkę ślepemu krokowi,
I długich lat przysporzę w późnem pokoleniu.

[1]) Tespie, Koroncja, Haliartos — miasta w Beocyi.
[2]) Hipokrena źródło spływające z góry Helikonu w Beocyi.

On jeden i po śmierci wśród umarłych grona
Mądry. Sam Agezylas wielbić jego będzie".
To mówi i skinęła — jej wola spełniona,
Bo Zeus wielki Palladzie w boskich cór swych rzędzie
Samej oddał rodzica potęgi połowę...
Przybądź ku nam, Atano, panny na spotkanie
Jej pośpieszcie, to święte wasze, panny, dzieło.
Zanoście prośby, modły, pokorne błaganie.
Witaj bóstwo, coś Argów gród w swą pieczę wzięło!
Witaj — i twoje w Argos znowu odwróć konie
I cały kraj Danajów chowaj w swej obronie.

(A. Walicki).

b) Epigramaty.

Charmisowi.

Któż zgadł, jakie wyroki dzień nam jutrzejszy obwieści?
Wczoraj jeszcze, Charmisie, życiem kwitnęły ci lica,
Dziś cię płacząc grzebiemy. Nigdy cios sroższej boleści
W serce wprost nie ugodził Dyofona, twego rodzica.

(A. Walicki).

XXIII. Muzeusz.

Hero i Leander.

Prześliczna Hero z woli rodziców jest kapłanką Afrodyty w Sestos. Skazana w ten sposób na dozgonne dziewictwo.

W nadmorskiej wieży, którą po przodkach dziedziczy,
Mieszka więc, rzeklbyś, równa władczyni Kiprydzie.
Nigdy ona w dziewiczej skromności i wstydzie
Rozmowy innych niewiast ni zabaw nie dzieli,
Ni serca pląsem w kole rówieśnic weseli,
Przed zawiścią zjadliwą strzegąc swojej cześci —
Bo na piękność zawistny bardzo ród niewieści!
Ona ciągle śle tylko modły Afrodycie,
A chcąc z matką niebianką przebłagać i dziécię,
Erosowi też często dań ofiarną składa,
Grotów jego widokiem strwożona i blada.
A przecież nie zdołała ujść ognistej strzały!

Raz bowiem, podczas uroczystości, na którą, jak zwykle, zebrały się tłumy okolicznych mieszkańców, ujrzał ją po raz pierwszy Leander z Abydos, położonego na przeciwległym brzegu Hellespontu.

Oto w świątynię Hero wstępuje dziewicza,
Siejąc wokoło blaskiem cudnego oblicza,

Tak, jak o wschodzie świeci księżyc bladolicy.
Rumieniec tylko zakwitł na twarzy dziewicy,
Jak róża, co dwubarwną pierś z pączka wychyla:
Więc rzekłbyś, że się wdzięcznie oczom twym przymila
Z jej postaci obrazek w róże strojnej łąki...
Mylnie w trzech Gracyj starzy wierzyli istnienie:
Bo gdy ona z uśmiechem rzuci ci wejrzenie,
Oko każde — ich setkę sieje blaski swemi.

Na jej widok nietylko młodzi, ale nawet starsi zajmują się płomieniem miłości.

Ty zaś, biedny Leandrze, widząc cud dziewoję,
Nie chciałeś skrycie żądłem zatruć serce swoje;
Lecz ognistemi strzały znienacka rażony,
Żyć już nie chcesz na świecie bez pięknej Herony!
Pod ócz jej blaskiem strzelił żar uczuć płomieniem,
Serce — wrzało pod ognia niezwalczonem tchnieniem!
Bo piękność cnej dziewicy, która zachwyt budzi,
Ostrzej, niż wartka strzała, rani serca ludzi.
Oko jej drogą — oko srogie groty ciska,
W sercu młodzieńca ranie szukając siedliska.
I jego więc zdjął podziw, śmiałość, wstyd i trwoga,
Drży w sercu; wstyd mu, że popadł w moc wroga.
Zdumiał na tyle cudów — lecz miłość wstyd płoszy!
Śmiałość więc w duszy pieszcząc i śniąc o rozkoszy,
Staje przed nią.

Hero, rażona także grotem Erosa, nie może pozostać obojętną na jego miłosne zaklęcia; oznajmia mu przecież, żeby się nie spodziewał posiąść jej otwarcie za żonę.

„Szumu fal pełna wieża, co się k'niebu wspina —
To dom mój; ze mną mieszka służebna jedyna.
Tam przed miastem, u brzegu, co nad fal pokładem
Stromych się wznosi, morze jedno mi sąsiadem,
Gdyż tak rodziców srogie kazały wyroki!
Ni tam rówieśnic którą, ni ochocze skoki
Młodzieży w tańcu ujrzysz, lecz czy noc, czy dnieje,
Wciąż tylko świst burz morskich w uszach ci szaleje!“

Rozkochany Leander proponuje jej małżeństwo tajemne.

„Dziewczę! dla twej miłości mórz przebrnę otchłanie,
Choćby ogniem kipiało, bez dna było morze,
Nie drżę przed zgubnym wałem na wodnym przestworze,
Ni też ryku się zlękuę fal, ziejących grzmotem!
Zawsze nocą, przemokły, nurtów niesion lotem,
Ja, mąż twój, Hellespontu przebrnę wirowisko,
Bo nawprost twego miasta mój gród leży blizko —
A nim Abydos. Ty zaś z swej wieży wysokiej
Pochodnię tylko wznieś mi wśród nocnej pomroki,

Aby mnie, korabiowi Erosa, wśród jazdy
Gdy ją ujrzę, służyła za przewodnie gwiazdy....
Lecz strzeż się, kochanie,
Aby wichrów gwałtownych nie zgasiło wianie,
Pochodni, światłodajnej przewodniczki życia,
Bo zginę!“....
Stanął układ — połączyć miał ich ślub tajony;
I przysięgli, pochodnię wzywając na świadki.

Odtąd codziennie, gdy zmrok zapadał, Leander przepływał cieśninę przy świetle pochodni, którą zapalała Hero, i nad ranem tą samą drogą wracał do Abydos.

Tak swą miłość przeważną w skryte tuląc ciemnie,
Ukradkiem się Kiterą poili wzajemnie.
Lecz czas krótki tak żyli i niedługo wzajem
Tej tułaczej żeniaczki cieszyli się rajem.
Bo gdy nadszedł czas zimy, co świat śniegiem bieli,
Kłębiąc spiętrzone wiry przepastnych topieli,
A bezdeń mórz ruchliwą i mokre posady
Ryły wciąż wichrów wściekłych hukliwe gromady,
Morza toń rozszalałym siekąc uraganem:
Żeglarz już okręt czarny po morzu smaganem
Ciągnął do brzegów suchych bezpiecznej przystani,
Rozhukanej i zdradnej strzegąc się otchłani —
Lecz ciebie strach nie wstrzymał mroźnej nawałnicy,
Wielkoduszny Leandrze, a hasło z wieżycy,
Błyszcząc znanem światełkiem, co ci dziewosłębi,
Uwiodło cię, coś gardził rykiem wściekłych głębi.
O zdradne i okrutne! Hero zaś nieboga,
Winna była, gdy zima zbliżyła się sroga,
Pozostać bez Leandra....
Lecz ją szał i los przemógł: więc w szału brnąc toni.
Śmierci już, nie miłości pochodnię ma w dłoni!
Noc była — kiedy wichry fal ziejące grzmotem,
Wichry, mroźnym oddechem rażące, jak grotem,
Tłumnie ku brzegom morskim runęły zawieją.
Lecz i wtedy Leander, ożywion nadzieją
Utęsknionej Herony, podążał miotany
Na fal grzbiecie. Już bałwan roztrąca bałwany,
Otchłań wre — a z powietrzem zmieszało się morze!....
Leander zaś nieszczęsny na srogiem przestworzu
Wciąż błaga Afrodytę, co z morza zrodzona,
Wciąż nawet mórz samego władcę Posejdona.
Boreasza też zdrajcy Atenki[1]) nie mija —
A przecież nie wspomogła go ręka niczyja
I Eros Przeznaczenia nie wstrzymał wyroku!

[1]) Boreasz porwał za żonę Orejtyę, córkę Erechteusza, króla ateńskiego.

Bo w piętrzących się zewsząd przed nim fal natłoku
On się błąka miotany; omdlały nóg siły,
Rąk mu strudzonych władze ruchu odmówiły,
A wody moc się wielka do gardła mu wciska —
I pił ten zgubny trunek wirów topieliska!
A w tem pochodnię zdradną wichrów gasi wycie,
A z nią — miłość Leandra biednego i życie!...
Jego niema — a Hero wciąż z bezsennym wzrokiem
Stała, a strach w jej sercu nurtuje potokiem.
Zorza błysła — kochanka nie ujrzała przecie!
Wzrokiem więc po rozległym morza wodzi grzbiecie,
Czy zbłąkanego męża oko nie dobieży,
Gdy pochodnia już zgasła. A wtem — u stóp wieży
Spostrzegłszy ciało męża wśród skał poszarpane,
Rwie na swych piersiach szaty misternie utkane,
Gwałtownym skokiem z wieży wyniosłej, szalona,
Rzuca się w toń przepastną...
Zginęła Herona,
W zgonu godzinie zgonem poprzedzona męża,
A tak w wspólnym uścisku i śmierć ich zwycięża.

(Fr. Konarski).

XXIV. Heliodor.

Teagenes i Charykleja (Aethiopica).

Nad brzegiem morza, przy ujściu Nilu, wśród mnóstwa poległych piękne dziewczę pielęgnuje rannego młodzieńca; ale gdy ku jej radości ranny do sił przychodzić zaczyna, na pobojowisko przybywa hufiec zbrojnych rozbójników i na rozkaz swego wodza uwozi młodą parę w głąb kraju do swojego warownego siedliska. Tu kochankowie — Teagenes i Charykleja (swój stosunek i imiona zdradzają oni sami w skargach na okrutne losy) znajdują pocieszyciela i doradcę w osobie młodego jeńca, Ateńczyka Knemona. Tymczasem Tyamis, wódz bandy, postanawia brankę pojąć za żonę; zanim jednak zdołał przywieść do skutku swój zamiar, napadają na jego kryjówkę wojska egipskie i biorą go w niewolę. Jeńcy odzyskują tedy wolność, ale że nie mogą opuścić rozbójniczego schroniska razem, umawiają się więc, że się zejdą w wiosce Chemmis, i Knemon pierwszy udaje się w drogę. Zbliżając się już ku umówionemu miejscu, spostrzega on nad Nilem starca, którego zachowanie się świadczy o wielkim smutku. Zapytany o przyczynę zmartwienia, starzec oznajmia, że od kilku dni boleje nad stratą dwojga młodych ludzi, któremi się opiekował i których porwali mu rozbójnicy. Knemon, dowiedziawszy się, że chodzi tu o Teagenesa i Charykleję, uspakaja go co do ich obecnego położenia i prosi go, żeby mu opowiedział o przeszłości zakochanej pary. Ucieszony starzec zabiera z sobą Knemona do mieszkania kupca Nausiklesa, u którego gości, i tu opowiada mu, co następuje: — Jest on wieszczkiem egipskim i nazywa się Kalazyrys; zmuszony okolicznościami, opuścił w Memfis stanowisko naczelnego kapłana i zamieszkał w Delfach. Tu poznał młodą kapłankę Charykleję i dowiedział się od kapłana Charyklesa, że była to jego wychowanka, otrzymana jeszcze dzieckiem od pewnego gimnozofisty etyopskiego Syzymitresa, razem z jakąś opaską, na której jest wyszyty tajemniczy napis.

Właśnie Charykles zamierzał swą wychowankę zaślubić swojemu siostrzeńcowi, gdy do Delf przybył z Tesalii potomek Achillesa Teagenes, żeby w świątyni Apollina złożyć ofiarę. Podczas uroczystego obrzędu nastąpiło spotkanie się Teagenesa z Charykleją i oboje zapłonęli ku sobie gorącą miłością, co nie uszło bacznego oka Kalazyrysa. Po skończonym obrzędzie Charykles, zaniepokojony dziwnym stanem swej wychowanki, wpadł na domysł, że musiał na nią rzucić ktoś urok i zwrócił się do Kalazyrysa z prośbą, żeby ją uzdrowił. Kalazyrys przyrzekł mu swą pomoc, ale w duszy postanowił sprzyjać kochankom. Wyłudził więc od Charyklesa ową tajemniczą przepaskę i z jej etyopskiego napisu dowiedział się, że Charykleja jest córką Hydaspesa, króla Etyopii, którą matka zaraz po urodzeniu się oddała na wychowanie Syzymitresowi, gdyż z powodu jej białej cery obawiała się, że ją mąż odtrąci. To odkrycie skłoniło Kalazyrysa do stanowczego działania, tem bardziej, że Apollo i Artemida we śnie zalecili mu zaopiekować się kochankami. Namówił więc ich do ucieczki i razem z nimi wsiadł na okręt fenicki, który odpływał do Sycylii. — Dalszą opowieść Kalazyrysa przerywa przybycie Nauzyklesa. Oznajmia on wesołą nowinę, że wojska egipskie, które na jego prośbę wyruszyły na rozbójników, żeby im odebrać jego kochankę, wróciły z wyprawy, lecz zamiast poszukiwanej dostały w moc swoją o wiele piękniejszą dziewicę. Kalazyrys i Knemon poznają w niej Charyklejęę, która razem z Teagenesem wpadła w ręce żołnierzy; dowódca, przypuszczając, że jest-to właśnie kochanka Nauzyklesa, wydał mu ją, a Teagenesa zabrał z sobą, żeby go podarować na usługi króla perskiego. Kalazyrys wykupuje Charyklejęę, poczem kończy przerwaną opowieść: Podróż na okręcie była z początku pomyślna, lubo niepospolita uroda Charyklei narażała zbiegów na ciągłe niebezpieczeństwo; w końcu przecież napadli na nich korsarze i wzięli do niewoli, a ich wódz postanowił Charyklejęę pojąć za żonę. Gdy jednak rozbójnicy, zawinąwszy na noc do brzegu przy ujściu Nilu, zasiedli do uczty, Kalazyrys, który odgrywał rolę ojca kochanków, zdołał wmówić w jednego korsarza, że Charykleja wolałaby zostać jego żoną, niż żoną jego zwierzchnika. Ten uwierzył podstępnym słowom i wszczął o brankę spór z wodzem; podochoceni towarzysze jedni stanęli po jego stronie, inni po stronie wodza. Spór przeszedł w bitwę, w której prawie wszyscy wymordowali się wzajemnie; pozostał przy życiu tylko buntowniczy korsarz, ale Teagenes zwyciężył go w krwawej walce i zmusił do ucieczki. Nazajutrz, zaledwie weszło słońce, Kalazyrys, który przebył noc na poblizkiem wzgórzu, ujrzał zbliżający się hufiec rozbójników egipskich i ci uprowadzili młodą parę z pobojowiska w głąb kraju. Dokończywszy swojej opowieści Kalazyrys rozstaje się z Nauzyklesem i Knemonem, który ma otrzymać w małżeństwo córkę gospodarza, i w towarzystwie Charyklei udaje się na poszukiwanie Teagenesa. Tymczasem Teagenes dostaje się znów w moc Tyamisa, który odzyskawszy wolność za sprawą przyjaciół, zebrał nowe siły i obległ Memfis. Jak wprzódy, gdy stanął na czele zbójców, podobnież i teraz czyni on to tylko dlatego, żeby odzyskać stanowisko naczelnego kapłana, wydarte mu niesłusznie przez młodszego brata. Kalazyrys przybywa do Memfis właśnie w chwili, gdy za zgodą Arsaki, żony nieobecnego satrapy Oroondatesa, Tyamis ma się orężem rozprawić z bratem. Kalazyrys poznaje w zapaśnikach swych synów i doprowadza ich do zgody; on to był niegdyś owym naczelnym kapłanem i teraz powagą swoją sprawia, że Tyamis odzyskuje należne mu stanowisko. Ale wkrótce potem Kalazyrys umiera i kochankowie tracą w nim opiekuna. Dorodny Teagenes wpada w oko Arsace. Namiętna wielkorządczyni różnymi sposobami stara się go pozyskać dla siebie; lecz gdy ten pozostaje obojętnym na jej zabiegi, wtrąca go do więzienia, a Charyklejęę chce otruć z zazdrości. Ale przez pomyłkę truciznę wypija kto inny. Wówczas Arsaka oskarża ją o trucicielstwo i skazuje na spalenie. Na szczęście Charykleja ma na palcu pierścień z cudownym kamieniem i ten ją od śmierci na stosie ratuje, a zaraz potem od Oroondatesa, który właśnie prowadzi wojnę z Etyopami, przybywa goniec z rozkazem, żeby Teagenesa i Charyklejęę zabrał do obozu: Arsaka obwiesza się, a kochankowie w drodze do obozu dostają się w moc wojsk etyopskich. Hydaspes, król etyopski, pokonawszy wreszcie Oroondatesa, wraca z jeńcami do swej stolicy Meroe. Tu kochankowie mają być spaleni na dziękczynną ofiarę Heliosowi i Selenie; Charykleja musi wprzód jednak poddać się próbie, stwierdzającej jej panieństwo. Próba wypada dla niej pomyślnie, więc oboje stają na stosie ofiarnym. Wówczas Charykleja odsłania swoje pochodzenie i na dowód składa opaskę i pierścień z cudowym kamieniem, a gimnozofista Syzymitres, który ją niemowlęciem był na wychowanie otrzymał, stwierdza wiarogodność jej zeznania. Hydaspes za zgodą ludu uwalnia ją od śmierci i oddaje rozczulonej matce. Tymczasem Teagenes poskramia rozjuszonego wołu, przeznaczonego także na ofiarę,

i zwycięża w szermierce na pięści potężnego zapaśnika. Te dowody jego przytomności umysłu, siły i zręczności powstrzymują wstydliwą Charykleję od wyznania matce swej miłości, bo widząc, jak jej ukochany zyskuje poklask i sympatyę ludu i króla, ma nadzieję, że i jemu życie będzie darowane. Napróżno jednak: obyczaj narodowy na to nie zezwala i Teagenes znów ma wstąpić na stos, gdy wtem staje przed królem kapłan delficki Charykles, który aż tu przywędrował, szukając porwanej wychowanki. Ujrzawszy Teagenesa, oskarża on go przed królem o jej porwanie. Następują wyjaśnienia, po których Teagenes odzyskuje wolność, bo nie godzi się, żeby poniósł śmierć ten, co wrócił królewnę rodzicom. Hydaspes, widząc w tem wszystkiem opiekę bogów nad kochankami, oznajmia ludowi, że przyjmuje Teagenesa za zięcia i za swojego następcę. Lud okrzykami zadowolenia przyjmuje postanowienie monarchy. Przytaczamy tu wyjątek, zawierający opowieść Kalazyrysa o spotkaniu się Teagenesa i Charyklei (ks. III. rozdz. 1 — 5).

....Na czele (pochodu ofiarnego Teagenesa) postępowała hekatomba ze zwierząt ofiarnych, prowadzona przez krajowców (Tesalczyków) w stroju narodowym. Ubrani w białe tuniki, za pomocą pasa uniesione aż do kolan, w obnażonych prawicach trzymali dwusieczne topory. Bydlęta wszystkie były czarnej maści, miały karki mięsiste, silne i zlekka wygięte; ostre rogi, nie nadto duże ani zakrzywione, albo pozłacane albo obwinięte kwiecistymi wieńcami, uda kabłąkowate i podgardla zwisłe aż do kolan — słowem rzeczywista hekatomba, ściśle odpowiadająca swej nazwie. Za nią postępowała gromada różnych innych bydląt ofiarnych, rozgatunkowanych i prowadzonych w należytym porządku, przy dźwiękach fletów i syryng[1]), których muzyka uświęcała i zapowiadała ofiarę. Za tem stadem i jego poganiaczami postępowały z rozpuszczonemi włosami tesalskie dziewczęta, przepasane pięknymi i szerokimi pasami. Były one podzielone na dwa chóry. Jedne z nich, składające chór pierwszy, niosły koszyki pełne kwiatów i dojrzałych owoców; drugie tworzyły kanefory[2]), niosące w naczyniach ciasto ofiarne i kadzidła, z których przyjemna woń rozchodziła się wokoło. Ręce jednak miały wolne; koszyki bowiem dźwigały na głowach, a trzymając się za ręce, tworzyły chór z prostego i ukośnego szeregu, tak iż posuwały się jednocześnie naprzód i tańczyły. Takt podawał im chór drugi, któremu było powierzone odśpiewanie hymnu. Hymn składał się z pochwały na cześć Tetydy i Peleusza, później ich syna i wreszcie jego syna.. Przytem jednak harmonia i zgodność chórów była tak doskonała, posuwanie się ich tak przystosowane do muzyki, iż słuch odciągał wzrok od tego, co godne było widzenia, i obecni, porwani dźwiękami pieśni, podążali za korowodem dziewic. Po nich wystąpili konni efebowie[3]) z przewódcą na czele i przedstawili takie widowisko piękności, że zmalała przy niem wszelka rozkosz słuchu. Efebów było pięćdziesięciu, rozdzielonych na dwa hufce po dwudziestu pięciu w każdym, które z obu stron osłaniały wodza poselstwa. Ich buty były powyżej kostek umocowane purpurowymi rzemieniami,

---

[1]) Syrynks — flet pasterski, z krótszych i dłuższych trzcin ułożony.

[2]) Kanefory — dziewczęta niosące w naczyniach jęczmień ofiarny.

[3]) Młodzieńcy, składający chór ofiarniczy.

zadzierzgniętymi w misterne węzły; białe chlamidy, obszyte u dołu ciemno-błękitną lamówką, spięte na piersiach złotemi klamrami. Wszystkie ich konie były tesalskiej rasy, a szlachetność ich ojczyzny tryskała z ich oczu: z niechęcią bowiem znosiły przymus wędzideł i często okrywały je pianą; znosiły wszakże, bo one kierowały niemi stosownie do woli jeźdźców... Lecz jakkolwiek pięknie wyglądali efebowie, wzrok przecież zgromadzonego ludu przesunął się tylko po nich i skierował się na ich wodza. Był nim właśnie mój ukochany Teagenes. Jak błyskawica przyćmiewa wszelkie inne światło, podobny blask rozpostarło ukazanie się jego. Był on jednocześnie jeźdźcem i hoplitą[1]), a w ręce trzymał jesionowy oszczep, spiżem okuty. Posuwał się naprzód z głową odkrytą, bez hełmu; z ramion zwieszała mu się purpurowa chlamida, na której złotem wyszyta była walka Lapitów z Centaurami[2]); klamra z bursztynu wyobrażała Atenę z głową Gorgony na pancerzu. Lekki powiew wiatru dodawał temu wszystkiemu jeszcze więcej wdzięku; jego łagodne tchnienie muskało delikatnie włosy, spadające na ramiona, rozdzielało je nad czołem i zrzucało poły chlamidy aż na grzbiet i uda konia. Rzekłbyś, że i sam koń oceniał piękność swego pana i wiedział, że sam będąc pięknym, dźwigał na sobie najpiękniejszego jeźdźca: bo wyginał swój kark, strzygł ostremi uszami i nastroszył dumne brwi nad oczyma. W takiej postawie posuwało się zuchwałe zwierzę, szło posłuszne naprzód i lubo przechylało się to na jedną to na drugą stronę i zaledwie brzegiem kopyt dotykało ziemi, trzymało przecież swe kroki w karbach spokojnego chodu. Widok ten zadziwił wszystkich obecnych i wszyscy przyznali młodzieńcowi pierwszeństwo pod względem męskości i piękności; nawet kobiety niższego stanu, które nie umieją panować nad swojemi uczuciami, ani ich ukrywać, obrzuciły go jabłkami i kwiatami, ażeby w ten sposób — jak im się zdawało — otrzymać jakąkolwiek oznakę jego uprzejmości. Jedno bowiem tylko było zdanie wszystkich, że niemasz między ludźmi nikogo, ktoby pięknością przeszedł Teagenesa.

„Lecz gdy o świcie powstała różanopalca Jutrzenka“ —

jakby powiedział Homer; gdy ze świątyni Artemidy wyszła piękna i rozumna Charykleja, przekonaliśmy się wówczas, że i Teagenes może być przewyższony, ale przewyższony o tyle, o ile prawdziwa piękność kobieca bardziej pociąga, niż najprzedniejsza nawet piękność męska. Siedziała ona na wozie, ciągnionym parą białych wołów, przyodziana w długą purpurową szatę, przetykaną złotymi promieniami. Pierś jej obejmował pas, na który artysta wysilił cały swój kunszt, gdyż nigdy przedtem ani potem nie zrobił nic podobnego. Na plecach bowiem pomiędzy łopatkami związał go w kształcie

---

[1]) Hoplita — żołnierz pieszy, ciężko uzbrojony.

[2]) Lapitowie, lud tesalski, mieli wyrugować Centaurów z ich siedzib.

ogonów dwóch wężów, ich szyje splótł pod piersiami w sztuczny węzeł, przez który przesunął ich głowy i zwiesił je jako końce aż do nóg sięgające. Można było pomyśleć, że węże istotnie pełzały, ale nie straszyły ponurym złowrogim wzrokiem, bo wyglądały jakby ułagodzone w lekkiej drzemce i uśpione rozkoszą na piersi dziewicy. Były one ze złota, ale koloru niebieskiego, bo złoto było sztuką zczernione, ażeby mieszanina czarnego i żółtego koloru lepiej uwydatniała chropowatość i pstrą połyskliwość ich łuski. Taki-to był pas dziewicy. Włosy jej zaś nie były całkiem splecione, ani też rozpuszczone; jedna ich część spływała w bujnej pełni na ramiona i plecy, na ciemieniu zaś i czole ujęte w delikatne gałązki laurowego wieńca, nie mogły bezładnie rozsiewać się w powietrzu. W lewej ręce trzymała łuk złocony; kołczan był zawieszony na prawem ramieniu; drugą zaś ręką unosiła płonącą pochodnię. Ale jej oczy rozsiewały jaśniejszy blask, niż pochodnia". — „Tak! tak! — zawołał Knemon — to oni! to Charykleja i Teagenes!" — „Gdzież są? Pokaż mi ich, zaklinam cię na bogi!" pytał Kalazyrys, myśląc, że Knemon widzi ich istotnie. — „Ach, ojcze! zdawało mi się, że patrzę na nich oboje, tak żywo, tak dokładnie — o ile ich znam — odmalowało mi ich twoje opowiadanie" odrzekł na to Knemon. — „Nie wiem — odparł tamten — czy widziałeś ich kiedy w takim blasku, jak w owym dniu oglądała ich Hellada i słońce, podziwianych i uwielbianych od wszystkich: ją — przedmiot pożądania mężczyzn; jego — cel pożądania kobiet. Mieć bowiem każde z nich w małżeństwie stawiali wszyscy narówni z nieśmiertelnością; tylko że młodzieńca bardziej podziwiali krajowcy, dziewicę zaś — Tesalczycy, bo każda strona wyżej stawiała to, co oglądała po raz pierwszy albowiem widok przedmiotu obcego łatwiej wprawia w zdumienie, niż opatrzonego.. Kiedy już procesya obeszła wkoło posąg Neoptolema i efebowie okrążyli go potrzykroć na koniach, kobiety i mężczyźni wydali okrzyk radości. Jakby na dany znak padły w ofierze woły, owce i kozy; na olbrzymim ołtarzu ułożono mnóstwo polan rąbanego drzewa, na nich podług obyczaju poukładano części bydląt ofiarnych i zawezwano Febowego kapłana, żeby libacyą rozpoczął ofiarę i stos podpalił. Ale Charykles oznajmił, że do niego należy tylko spełnienie libacyi, a wódz poselstwa podpali stos pochodnią, którą mu wręczy kapłanka — taki bowiem obrządek nakazuje prawo ojczyste. Po tych słowach wylał on libacyę, a Teagenes ujął pochodnię. Wówczas to przekonaliśmy się dowodnie, że dusza ludzka ma w sobie coś boskiego i jest pokrewna wyższym istotom. W chwili, gdy się młodzi ludzie ujrzeli, dusze ich pokochały się nawzajem, jak gdyby przy pierwszem spotkaniu poznały, że są sobie równe i dla siebie stworzone. Najprzód zatrzymali się nagle i stali chwilkę nieruchomi i jakby zmieszani; potem nieśmiało ona podała i nieśmiało on ujął pochodnię; długo oboje trzymali oczy utkwione w siebie, zupełnie tak, jak gdyby widzieli się i znali się już dawniej, a teraz przypominają to sobie, i uśmiechnęli się oboje, ale tylko

zlekka i ukradkiem, tak że ten uśmiech dał się poznać jedynie w rozjaśnionem spojrzeniu. Potem jakby się wstydząc tego, co się stało, sponsowieli ognistym rumieńcem i znowu zbladli, gdy choroba — jak się domyślam — przedarła się aż do serca. Słowem, niezliczone zmiany przemknęły w krótkim czasie po obliczu obojga, a wieloraka zmiana twarzy i oka zdradzała zaniepokojenie ich duszy".

(Edw. Gr.).

2. RZYMIANIE.

I. Enniusz.

Annales. (Roczniki).

Jestto poemat historyczny, opiewający heksametrem dzieje Rzymu w chronologicznym porządku od przybycia Eneasza do Lacyum aż do roku 174 przed Chrystusem. Dzieje pierwotne przedstawia w nim poeta zgodnie z tradycyami, jakie już za jego czasów, lubo nierozwinięte, istniały. Z całości podzielonej na 18 ksiąg, dochowały się zaledwie drobne fagmenty (razem trochę więcej niż 600 wierszy). W jednym z nich Ilia, córka Eneasza a matka Romulusa i Remusa, tak opowiada siostrze wieszczy sen o swojej przyszłości:

Gdy z snu zbudzona światło przyniosła drżąca staruszka,
Ona tak rzecze wśród łez, sennem strwożona widzeniem:
„O córko Eurydyki, którą nasz ojciec miłował,
Wszystkie siły i życie całkiem już mnie odbieżało.
Przyśniło mi się, że jakiś mąż mnie dorodny unosił
Nad brzegiem rzeki przez mile zarośla i miejsca nieznane.
Potem mi się zdawało, że ciebie, siostro, goniłam,
Lecz wciąż zbyt późno w twe ślady zdążając, nie mogłam
Ciebie dogonić, nogi bo żadna nie wsparła ścieżyna.
Potem znów mi się zdało, że ojca słyszę wołanie
W te słowa: „O córko! wiele masz jeszcze przecierpieć
Zmartwień, zanim ci z rzeki pomyślność powstanie".
Zaledwie wyrzekł to, siostro, zniknął mi nagle z przed oczu
I nigdy się już nie ukazał, dla serca tak pożądany,
Chociaż ku nieba błękitom częstokroć ręce błagalne
Wznosiłam i pieszczotliwym głosem go przyzywałam,
Tylko co z sercem zbolałem ze snu się tego zbudziłam".

Romulus i Remus, synowie Ilii i boga Marsa, wykarmieni przez wilczycę i wychowani przez pasterza Faustulusa wdają się w kłótnię z pasterzami króla Amuliusza,

Remus zostaje pojmany i stawiony przed królem. Wówczas Faustulus wyjawia Romulusowi tajemnicę ich pochodzenia; Romul uwalnia brata i daje się poznać Amuliuszowi, poczem obaj bracia, na miejscu, gdzie zostali wyrzuceni, zakładają miasto.

Wtedy w wielkim frasunku obadwaj żądni władania
W wieszczbach szukają porady i w locie ptaków wróżebnych.
Tu Remus osobno poświęca się wróżbie i czeka
Ptaka pomyślno-wieszczego; a hoży Romul się radzi
Na Awentynie wysokim i wzrokiem ród śledzi skrzydlaty.
Spór toczyli, czy Romą czy nazwać miasto Remorą.
Wszyscy się męże kłopocą, kto z nich dwóch królem zostanie?
Jak na igrzyskach konsul kiedy znak podać się zbiera,
Wszyscy oczy ciekawie zwracają w tę stronę areny,
Kędy z wrót malowanych rychło wóz w szranki wypadnie;
Tak w milczeniu głębokiem wygląda lud końca sporu:
Komu da niebo zwycięstwo i rządy nad państwem szerokiem.
Tymczasem słońce świetlane skryło się w nocy czeluści,
Potem znów w górę strzeliło światło promieńmi jasnemi
Wtem po lewicy z wysoka nadleciał ptak dobrowróżbny
Prześliczny i jednocześnie słońce też złote powstaje.
Spuszczają się z góry święte trzykroć po cztery ptaki
I lot swój kierują ku miejscom wróżebnym, szczęśliwym.
Widzi stąd Romul, że jemu oddane zostało pierwszeństwo,
Wieszczbą wskazany tron państwa i jego podstawy.

(Edw. Gr.)

II. Plaut.

A) Trojak.

Ojciec marnotrawnego syna i dorosłej córki Charmides udał się z Aten w podróż dla poprawienia swoich handlowych interesów. Opiekę nad dziećmi zostawił przyjacielowi swemu Kalliklesowi, zwierzając mu się, że w domu są zakopane pieniądze, o których nikt wiedzieć nie powinien, a najmniej syn jego. Tymczasem syn ten Lesbonik straciwszy już wszystko, co posiadał, postanowił sprzedać dom ojcowski. Kallikles, nie chcąc puścić domu i zakopanych w nim pieniędzy w obce ręce, sam go kupuje. Siostrę Lesbonika chce wziąć za żonę syn jednego z przyjaciół ojca; ale ponieważ nieprzystojném-by było wychodzić za mąż bez posagu, opiekun Kallikles zamierza dostać zakopany w domu skarb, chcąc pieniądze te przedstawić jako przysłane przez Charmidesa z Seleucyi. Wtem sam Charmides wraca i komedya kończy się weselem i córki i syna. Podajemy najprzód scenę, w której Megaronides czyni wymówki Kalliklesowi za kupno domu Charmidesa.

Megaronides. ... Zgnilizna zanadto zaraziła dobre
Nasze tu obyczaje; a tak w większej części
Jesteśmy w rękach śmierci. Kiedy dobre chore,

Wybujały obficie, jak skrapiane zielsko
Nasze złe obyczaje i nic nie jest tańsze
Już teraz między nami, jak złe obyczaje:
Z nich możesz najobfitsze już zbierać owoce...

(wchodzi Kallikles dający ostatnie rozporządzenia żonie co do przystrojenia świeżo kupionego domu uczczenia bóstwa domowego — Lara):

Kallikles. Żono, Lara naszego przyozdób mi w wieńce,
A czcij go, aby dom nasz otoczył opieką,
Ażeby mu dał szczęście i błogosławieństwo —
(do siebie) I abym jaknajprędzej widział cię na marach.
Megaron. (do siebie). Oto ten, który wpośród starości zdziecinniał
I dopuścił się winy, godnej ukarania.
Przybliżę się do niego.
Kallikles. Czyj głos ja tu słyszę?
Megaron. Przyjaciela, jeżeli jesteś po mej woli,
Ale nieprzyjaciela i rozgniewanego,
Jeśli takim nie jesteś
Kallikles. Witaj, przyjacielu
Drogi i rówieniku! Jak się masz,
Mój Megaronidesie?
Megaron. Kalliklesie, witaj!
Jak się masz? jak się miałeś?
Kallikles. Dobrze, bardzo dobrze.
Megaron. A żoneczka co porabia? zdrowa?
Kallikles. Nad życzenie.
Megaron. Chwała Bogu, że zdrowa i że jest przy życiu.
Kallikles. Widzę, że się ty cieszysz z mojego nieszczęścia.
Megaron. Ja wszystkim przyjaciołom życzę tak jak sobie.
Kallikles. Tak? — a twoja jak się ma?
Megaron. Nieśmiertelna baba
Żyje mi i żyć będzie.
Kallikles. Bardzo mnie to cieszy,
Niech bogowie ją dłużej na świecie trzymają,
Niż ciebie.
Megaron. I ja tobie życzyłbym tak samo,
Gdyby twą była żoną.
Kallikles. Więc się pomieniajmy;
Ja twoją żonę wezmę, a ty weźmiesz moją,
Ja bynajmniej doprawdy źle na tem nie wyjdę.
Megaron. O, nie myśl, aby ci się udało mnie złapać.
Kallikles. Zobaczyłbyś dopiero, jaki to jest handel!
Megaron. No, zostańże przy swojem; najłatwiej się znosi
Nieszczęście już nam znane; bo gdybym ja teraz
Miał nieznane mi dostać, nie wiem, cobym zrobił.
Zaiste długo żyje ten, kto żyje dobrze.

Ale rzućmy już żarty, a uważaj sobie,
Gdyż ja po interesie do ciebie przychodzę.
Kallikles. Po jakim?
Megaron. Ażeby ci dobrze natrzeć uszu.
Kallikles. Komu? mnie?
Megaron. Czyż jest tutaj kto prócz mnie i ciebie?
Kallikles. A niemasz.
Megaron. Cóż więc pytasz, czy chcę skarcić ciebie?
Chyba myślisz, że siebie samego chcę karcić.
Bo jeśli w tobie chora dawna dobra dusza,
Jeśli złym obyczajem chcesz zmienić charakter,
Lub jeśli obyczaje charakter twój psują,
Że rzucasz cnotę dawną, za niecnotą gonisz,
Zadajesz wielką ranę twoim przyjaciołom;
Ciebie widząc i słysząc, oni sami chorzy.
Kallikles. Skąd ci przyszło do głowy takie gadać rzeczy?
Megaron. Bo jest mężczyzn i kobiet dobrych obowiązkiem
Strzedz się nietylko winy, lecz i podejrzenia.
Kallikles. Ale obie te rzeczy nie są w naszej mocy.
Megaron. Dlaczego?
Kallikles. Pytasz o to? By winy uniknąć,
To w naszem leży sercu, ale podejrzenie
Spoczywa w piersi obcej. Bo gdybym ja teraz
Chciał ciebie podejrzewać, że z głowy Jowisza
Ty ukradłeś koronę, — z Kapitolu, który
Jest na najwyższym szczycie; choćbyś tak nie zrobił,
Lecz mnieby się widziało ciebie podejrzewać,
Jakżebyś mógł zabronić tak o tobie sądzić?
Ale powiedz, interes jaki do mnie miałeś?
Megaron. Czy znasz ty przyjaciela, albo też krewnego,
Któremubyś zaufał?
Kallikles. Wypowiem ci szczerze.
Jedni są prawdziwi — a tamtych tak sądzę,
A innych trudno pojąć umysły i serca,
Czy mi są przyjaciołmi, czy nieprzyjaciołmi.
Lecz ty między pewnymi jesteś najpewniejszym.
Jeśli wiesz, żem uczynił co błędnie, przewrotnie,
A o to mnie nie winisz, sam godnyś skarcenia.
Megaron. Tak jest; a jeślim przyszedł tu z innej przyczyny,
Masz słuszność.
Kallikles. Cóż mi powiesz?
Megaron. Oto przedewszystkiem
Powiem ci, że tu ludzie źle o tobie mówią,
Nazywają cię chciwym haniebnego zysku;
Inni zowią cię sępem, któremu zajedno,
Czy szarpie przyjaciela, czy nieprzyjaciela.
To gdy słyszę o tobie, trapię się tem biedny.

Kallikles. W mej to i nie w mej mocy, Megaronidesie;
Nie w mej mocy, że mówią; lecz aby mówili
Nieprawdę, jest w mej mocy.
Megaron (wskazując na dom). Czy ten tu Charmides
Był twoim przyjacielem?
Kallikles. Jest nim i był dawniej;
A ażebyś mi wierzył, że tak jest, dowiodę,
Bo kiedy mu syn jego zaszargał majątek,
A on widział, że bieda już go się czepiała,
I córka jego była już dorosłą panną,
Gdy jej matka, a żona jego mu umarła,
Wtenczas on chcąc pojechać tu stąd do Seleucyi,
Oddał mi swoją córkę w opiekę i syna
Owego zepsutego i cały majątek.
Będąc nieprzyjacielem, nie byłby tak zrobił.
Megaron. Dlaczego się nie starasz naprawić młokosa,
Którego tak złym widzisz, który jest powierzon
Twej opiece przyjaźni? Czemuż go na dobrą
Nie naprowadzasz drogę? O to się ubiegać,
Abyś go mógł poprawić, więcej ci przystało,
Niż abyś na się ściągał tę samą niesławę,
I swoją własną winę z jego winą złączył.
Kallikles. A cóż ja uczyniłem?
Megaron. Co czyni człek podły.
Kallikles. Nigdy w świecie.
Megaron. Czyż domu tego nie kupiłeś
Od młodzieńca. Cóż? milczysz? — w którym teraz mieszkasz?
Kallikles. Kupiłem i czterdzieści min[1]) mu zapłaciłem
Megaron. Dałeś mu zań pieniądze.
Kallikles. Tak — i nie żałuję.
Megaron. A to dobra zaiste była twa opieka!
Miecz mu więc dałeś w rękę, ażeby się zabił.
Bo czyż to co innego dać do rąk pieniądze
Młokosowi głupiemu i zakochanemu,
Ażeby swej rozpusty już dopełnił miarę?
Kallikles. Czyż mu nie miałem płacić?
Megaron. Tak, ani kupować
Nie miałeś nic od niego, ani mu sprzedawać,
Ani mu do zgorszenia nastręczać sposobność.
Który ci był powierzon, tego ty zgubiłeś,
A który ci powierzył, tegoś wypchnął z domu.
Piękne bo to zlecenie! a spełnione ślicznie!
Temu się oddaj w ręce — a będzie ci dobrze.
Kallikles. Zmuszasz mnie obelgami, Megaronidesie —
Dla mnie rzecz niesłychana, iż co powierzone
Jest mojemu milczeniu, wierze, uczciwości,

[1]) Mina moneta. Srebrna warta była mniej więcej 140 zł.; złota zaś pięć razy więcej; tu pewnie mowa o srebrnej.

Bym nikomu nie mówił, ni uczynił jawnem —
Iż koniecznie powierzyć już ci teraz muszę.
Megaron. Wiedz, że co mnie powierzysz, jakbyś rzucił w wodę.
Kallikles. Obejrzyj się dokoła, ażeby nas jaki
Świadek tu nie podsłuchał — a obejrzyj dobrze.
Megaron. Słucham cię, co mi powiesz.
Kallikles. Milczysz, to więc powiem.
Kiedy stąd za granicę wyjeżdżał Charmides,
Skarb mi wskazał w tym domu — tu w jednym pokoju —
Lecz oglądaj się dobrze.
Megaron. Tu niemasz nikogo.
Kallikles. Około trzech tysięcy Filipów[1]), a płacząc
Zaklinał mnie na przyjaźń, na uczciwość moją,
Abym jego synowi tego nie powiedział...
A teraz gdy powróci, oddam mu w całości;
Jeśli go zaś co spotka, znajdzie córka jego,
Którą on mi powierzył, taki przecież posag,
Iż ją jakoś uczciwie będę mógł dać za mąż.
Megaron. Bogowie nieśmiertelni! Jakże kilku słowy
Prędko mię przerobiłeś! Inny tu przyszedłem...
Kallikles. .....Mów, co miałem robić?
Czy miałem mu skarb wskazać przeciw woli ojca
I mimo jego prośby? Czy miałem dozwolić,
Ażeby domu tego został inny panem,
Któryby razem z domem kupił skarb ukryty?
Ja raczej dom kupiłem i dałem pieniądze
Z przyczyny tego skarbu, bym go cały oddał
Przyjacielowi memu. Lecz go nie kupiłem
Dla siebie i dla zysku — tak, tylko dla niego
Za me własne pieniądze...
Taka więc moja zbrodnia, taka moja chciwość!
Czy dla tych moich czynów tak źle o mnie mówią?
Megaron. Dosyć już pokonałeś swego gromiciela,
I usta mu zamknąłeś, nie mam co powiedzieć...

(zostawszy sam)

.....Nie masz zaiste nic ani głupszego,
Nic więcej błazeńskiego, ani kłamliwszego,
Ani gadatliwszego, ani zuchwalszego,
Nic coby skorszem było do krzywoprzysięstwa,
Jak owe zbijobruki, których plotkarzami
Nazywają; a jednak i ja do ich cechu
Należę, iż dawałem ucho ich szalbierstwom.
Wszystko oni chcą wiedzieć, chociaż nic nie wiedzą;
Co kto ma w głębi duszy, lub mieć ma — już wiedzą.

---

[1]) Moneta złota bita za Filipa macedońskiego, wartości około 40 zł.

Wiedzą to, co królowej król mówił na ucho,
Wiedzą, o czem mówiła Junona z Jowiszem,
Co się ani nie stanie, ani się nie stało,
To oni jednak wiedzą. Za nic sobie mają,
Czy słusznie, czy niesłusznie, chwalą albo ganią
Byle tylko wiedzieli, co im się podoba.
Cały świat już tu mówił o tym Kalliklesie,
Że to człowiek niegodny i siebie i państwa,
Ponieważ wyzuł tego młodzieńca z majątku.
Ja tedy, oszukany plotkarzy słowami,
Skoczyłem przyjaciela najniewinniej karcić.
Gdybyśmy dochodzili plotki aż do źródła,
A pogardą i słowy karali plotkarza,
Któryby nazwać nie mógł źródła swoich wieści,
Byłoby państwu dobrze. Bo gdyby tak było,
Niewielu-by wiedziało to, czego nie wiedzą,
I trzymali-by język za zębami.

Przypatrzmy się teraz rozmowie marnotrawcy z przebiegłym służącym, który wyrachowuje dziwiącemu się panu, na co poszły tak prędko pieniądze:

Lezbonik. Jeszcze nie dwa tygodnie, jak od Kalliklesa
Odebrałeś czterdzieści min za dom sprzedany;
Wszakże tak, Stazymosie?
Stazymos. Jak się zdaje, prawda.
Lezbonik. Cóż się stało z pieniędzmi?
Stazymos. Zjedzone, przepite,
Wydane na olejki, utopione w łaźni;
Mają je teraz: rybak, piekarz, rzeźnik, kucharz,
Ogrodnicy, olejkarz, ptasznik — prędko po nich!
Jakgdybyś na mrowisko porzucił garść maku.
Lezbonik. Lecz na to nie wydano z pewnością min sześciu!
Stazymos. A to, co ja ukradłem?
Lezbonik. Tak, to najważniejsze.
Stazymos. Jeśli dobrze policzym, to się nie pokaże,
Chyba, że ci się zdaje, iż twoje pieniądze
Są skarbem nieprzebranym. (do siebie) Zapóźno i głupio!
Co dawniej był powinien robić, robi teraz:
Zmarnowawszy majątek, bierze się do kredki.
Lezbonik (rachując). Jednakże w żaden sposób liczba się nie zgadza.
Stazymos. O, liczba już się zgadza — pieniądz się rozhuknął.
Odebrałeś czterdzieści min od Kalliklesa,
A on za to od ciebie dom nabył przez kupno.
Lezbonik. Prawda.
Stazymos. Tysiąc drachm olimpijskich[1]), któreś został winien
Z rachunku, zapłaciłeś przecież bankierowi

[1]) Mniej więcej 1290 zł.

Lezbonik. Które mu obiecałem —
Stazymos. Które zapłaciłem —
Które za poręczeniem przymuszony byłeś
Zapłacić za owego młodzieńca, co ci się
Bogatym być wydawał.
Lezbonik. A tak, tak się stało.
Stazymos. Tak, straciłeś pieniądze.
Lezbonik. Tak — i to się stało,
Bo go w biedzie widziałem i żal mi go było.
Stazymos. Innych bo ty żałujesz, siebie nie żałujesz,
Ani się też nie wstydzisz.

Przytaczamy wreszcie scenę, w której występuje przyjaciel lekkomyślnego, ale w gruncie dobrego Lezbonika, poważny i rozumny Lizyteles, który chce zaślubić siostrę marnotrawcy, nie żądając posagu; a Lezbonik się na to nie zgadza.

Lizyteles. Idzie mi o twe dobro.
Lezbonik. Może nawet więcej
Niżeli mnie samemu? Dosyć mam rozumu,
I dosyć sam pojmuję, czego mi potrzeba.
Lizyteles. Ale czyż to jest rozum — gardzić dobrodziejstwem
Przyjaciela?
Lezbonik. Ja tego nie zwę dobrodziejstwem,
Co się temu, któremu czynisz, nie podoba.
Wiem ja i sam to czuję, com czynić powinien,
I znam me obowiązki, a twojemi słowy
Nie skłonisz mnie do tego, bym głosem ogółu
Pogardzał.
Lizyteles. Co ty mówisz? Dłużej już nie mogę
Wstrzymać się, bym nie skarcił ciebie, jak należy.
Czyż na to ci przodkowie zostawili sławę,
Ażebyś to, co oni przez cnotę nabyli,
Najhaniebniej zmarnował? Czy, abyś potomkom
W ich imieniu zostawił niezatartą skazę?
Twój ojciec i dziadowie uczynili tobie
Drogę łatwą i gładką do czci i znaczenia,
A ty ją uczyniłeś trudną — własną winą,
Lenistwem i tak głupim twym sposobem życia.
Tak, ty dałeś pierwszeństwo rozkoszy przed cnotą,
I myślisz, że twe błędy teraz tem pokryjesz?
Wcale nie! Lecz zagarnij do twojego serca
Cnotę, a wygnaj z duszy twojej precz lenistwo,
Służ twoim przyjaciołom na rynku, przed sądem...
Dlatego to ja pragnę i usilnie żądam
Grunt ten tobie zostawić, byś miał jaki środek
Do poprawienia siebie, a obywatele,
Twoi nieprzyjaciele, ażeby nie mogli
Obrażać cię i gardzić tobą dla ubóstwa.

Lezbonik. Wszystko to, co mówiłeś, wiem ja bardzo dobrze,
A nawet mógłbym dodać, że majątek ojca
I sławę moich przodków okryłem niesławą.
Com powinien był czynić, dobrze to wiedziałem,
Alem czynić nie umiał. Tak siłą rozpusty
Zwyciężony, lenistwem zdjęty, wpadłem w przepaść.
Tobie bardzo dziękuję według zasług twoich.
Lizyteles. Lecz tego znieść nie mogę, że zabiegi próżne,
Że ty słowy mojemi w swem sercu pogardzasz;
Zarazem tem się martwię, że masz mało wstydu.
A nareszcie, jeżeli mnie nie zechcesz słuchać
I uczynić, co mówię, zostaniesz w ukryciu
Nazawsze, a honory szukać cię nie będą,
Ciągle będziesz w ciemnicy, chcąc być na widowni.
Znam ja, mój Lezboniku, dobrze twój charakter.
Wiem, że ty nie grzeszyłeś z własnej swojej woli,
Lecz że miłość twe serce uczyniła ślepem;
A miłości znam dobrze wszystkie kręte ścieżki.
Bo taką to jest miłość: trafia jako pocisk;
Nic nie jest takie prędkie, ni tak szybko leci,
W głowie ludziom przewraca, robi kapryśnymi;
To jej się niepodoba, co się więcej radzi,
A to, co się odradza, właśnie się podoba,
Kiedy się czego nie ma, pragnie się posiadać,
A kiedy się posiada, wtenczas mieć się nie chce;
Kto odradza, ten radzi; kto radzi — zabrania,
U Kupidyna goście wielkie to szaleństwo.
Lecz ja cię upominam, byś pilnie rozważał,
Co uczynić zamyślasz. Jeśli usiłujesz
Uczynić, co mi mówisz[1]), w ród swój rzucasz ogień.
Aby płomień ugasić, będziesz szukać wody,
A jeśli jej dostaniesz — jako zakochani
Są w swem sercu przebiegli — nie zostawisz pewnie
Ani jednej iskierki, by twój ród zaiskrzał.
Lezbonik. Ale ją łatwo znaleść, bo ognia dostaniesz
Choć od nieprzyjaciela. Jednak ty mnie karcąc
Za moje przewinienia, na gorszą pchasz drogę.
Radzisz, bym bez posagu dał ci moją siostrę.
To przecież nie przystoi, bym ja zmarnowawszy
Tak wielką ojcowiznę, miał jeszcze majątek
I posiadał folwarki — a ona by w biedzie
Słusznie mną pogardzała. Kto nie ma znaczenia
U swoich, nigdy mieć go u obcych nie będzie.
Zrobię, jak powiedziałem, dłużej się nie mozól.
Lizyteles. To więc ma być lepsze, byś z przyczyny siostry
Biedę znosił i abym ja raczej posiadał
Grunt, niż ty, na którymbyś obowiązki pełnił?

[1]) To jest: oddać grunta na posag siostrze.

Lezbonik. Nie chcę, byś o tem myślał, jak ulżyć mej biedzie,
Lecz myśl, ażebym w biedzie nie był bez honoru,
Ażeby nie mówiono, że ci siostrę moją
Oddałem ot tak sobie, całkiem bez posagu...
. . . . . Któż za podlejszego
Mógłby być uważanym? Takiej wieści rozgłos
Przyniósłby tobie zaszczyt, a mnie pohańbienie.
Lizyteles (ironicznie). Myślisz być dyktatorem, jeśli grunt ten przyjmę?
Lezbonik. Ani chcę, ani pragnę, ani myślę o tem;
Lecz dla męża honoru to jest celem życia,
Aby o obowiązkach swych zawsze pamiętał.
Lizyteles. Co ty myślisz, przeczuwam, widzę, wiem, zgaduję:
Tego pragniesz, ażebyś po zawarciu związku
Przekazawszy mi folwark, nie mając żyć z czego,
Goły z miasta się wyniósł, opuścił ojczyznę,
Krewnych, bliskich przyjaciół, skoro się ożenię;
Aby ludzie sądzili, żeś stąd jest wygnanym
Przezemnie i mą chciwość. Ale nie myśl o tem,
Ażebym ja dozwolił, iżby wina tego
Na mnie kiedy spaść miała. Któż za podlejszego
Mógłby być uważanym? Takiej wieści rozgłos
Przyniósłby tobie zaszczyt, a mnie pohańbienie.
Stazymos. Nie mogę się już wstrzymać, abym nie zawołał:
Brawo! brawo! Jeszcze raz! mój Lizytelesie,
Przy tobie jest zwycięstwo, a ten zwyciężony.
Oto twoja komedya ma palmę zwycięstwa.
Ten lepiej treść rozwinął, robi lepsze wiersze!
Lezbonik. Skąd tobie tu się mieszać i wciskać do rady?
Stazymos. Jak się tutaj wcisnąłem, tak się i wycisnę (usuwa się).
Lezbonik. Chodź, pójdziemy do domu. Tam, Lizytelesie,
Więcej mówić będziemy jeszcze o tych rzeczach.
Lizyteles. Ukradkiem, potajemnie nic czynić nie zwykłem.
Co myślę, wypowiadam. Jeśli twoją siostrę,
Jak za słuszne uważam, bez posagu wezmę,
A ty stąd nie wyjedziesz, wtenczas to, co moje,
Będzie razem i twojem. Jeśli tego nie chcesz,
Niech ci się jaknajlepiej we wszystkiem powodzi,
Ale ja przyjacielem pod innym warunkiem
Nigdy twoim nie będę. To jest moje zdanie. (Rozchodzą się).
Stazymos. Więc i ten sobie poszedł! Jesteś sam, Stazymie.
Cóż ja teraz mam począć? Uwinę tobołek,
Zawieszę tarcz na plecy, trzewiki podbiję,
Gdyż ustać już nie mogę. Wyraźnie to widzę,
Że będę obozowym ciurą niezadługo,
Gdy królowi jakiemu mój pan się wynajmie
Na wypas. Jestem pewien, że z najdzielniejszymi
Bohaterami będzie on wybornym zbiegiem.

I ten zdobycz tam weźmie, który panu memu
Odważy się zajść drogę... Lecz ja skoro wezmę
Łuk i sajdak i strzały, hełm wsadzę na głowę,
Spokojnie w mym namiocie snu używać będę.
(Jan Wolfram).

B) Garnek złota (Aulularia).

Euklio niezamożny znalazł w domu swym zakopany garnek ze złotem; opanowuje go troska, żeby nikt o tym skarbie się nie dowiedział; posądza wszystkich, że domyślają się, co posiada, i czyhają, by mu złoto wydrzeć. Niewolnicę Stafilę wypędza, aby go nie podglądała, gdy on do garnka, dla nacieszenia się widokiem złota, śpieszyć będzie.

Euklio. Precz! mówię ci, precz zaraz, dalej precz mi z domu!
Cóż się wkoło oglądasz tem świdrzącem okiem (bije ją).
Stafila. Czemuż mnie nędzną bijesz?
Euklio. Abyś nędzną była
I nędzne wiodła życie, godne twojej złości.
Stafila. Dla jakiejże przyczyny wypychasz mię z domu?
Euklio. Tobie się mam tłómaczyć, ty stary tłomoku?
Precz mi zaraz ode drzwi! Tam! Patrz, jak to lezie!
Czy ty wiesz, co cię spotka? Doprawdy, jak schwycę
Kij lub kolec do ręki, to ja cię nauczę
Większymi postępować od żółwich krokami.
Stafila. Niech raczej z woli bogów na stryczku zawisnę,
Bylem ci w taki sposób dłużej nie służyła.
Euklio. O, jak pod nosem mruczy niegodziwa jędza!
Zobaczysz, ja ci ślepie wyżgam, czarownico,
Ażebyś mnie nie mogła szpiegować, co robię.
Precz! Dalej! Jeszcze dalej! Jeszcze dalej! Stójże!
W tem miejscu! a pamiętaj, jeśli się stąd ruszysz,
Choćby na jeden palec, albo i na włosek,
Lub jeśli się obejrzysz, zanim ci rozkażę,
Zaraz na szubienicy nauczysz się słuchać...

Obejrzawszy skarb każe Stafili wracać do domu, i pilnować go, gdyż sam wyjść musi

Stafila. Czy domu mam pilnować, by go kto nie ukradł?
U nas złodziej nie bardzo pewnie się obłowi:
W czterech kątach piec piąty, pył i pajęczyna.
Euklio. Więc pająków, mówię ci, żebyś pilnowała.
Jestem biedny, wiem o tem; znoszę, co Bóg zsyła.
Idź do dom! zawrzyj wrota! ja niedługo wrócę;
A pamiętaj, obcego do domu nie wpuszczać!
Ogień zgaś, by się komu poń przyjść nie zachciało,
I nie było powodu, aby kto przychodził.
Bo jeśli ogień znajdę, ja ci go wygaszę.
Gdyby kto wody żądał, powiedz, że wyciekła;

Nóż kuchenny, siekierę, moździerz albo tłuczek
I sprzęty, jakich lubią pożyczać sąsiedzi,
Powiedz, że nam niedawno ukradli złodzieje.
Krótko mówiąc, niech w dom nasz, dopóki mnie niemasz,
Nikt nie wchodzi! To tobie zapowiadam głośno:
Choć Fortuna wejść zechce, ty jej nie masz wpuszczać.

Powracając do domu, Euklio spotyka sąsiada swego Megadora, który oświadcza mu się o rękę córki. Zrazu przestraszają go te oświadczyny, gdyż przypuszcza, że Megador dowiedział się o jego skarbie, ale nabrawszy przekonania, że tak nie jest, zgadza się na jego prośbę. Megador posyła podczas nieobecności Eukliona, który poszedł kupować zapasy na wesele, niewolników do jego domu, ażeby przygotowali ucztę. Skąpiec nie wiedząc o tem, mówi za powrotem do siebie:

Chciałem dzisiaj koniecznie być hojnym, rozrzutnym,
By przecież na weselu córki sobie użyć.
Idę przeto na rynek i pytam o ryby;
Powiadają, że drogie; baranina droga,
Wołowina też droga, droga cielęcina,
Ryba morska, świnina — słowem drogie wszystko;
Dla mnie tem bardziej drogie, bom nie miał pieniędzy.
Odchodzę rozgniewany, nie mogąc nic kupić.
A tak tedy oszukałem tych wszystkich plugawców[1]),
A potem idąc drogą, mówiłem do siebie:
„Jeśli się w uroczysty dzień puścisz na zbytki,
To możesz w dzień roboczy łapy lizać z biedy".
Wpoiwszy tę zasadę sercu i brzuchowi,
Kazałem chęci mojej zgodzić się z tem zdaniem,
By z kosztem jaknajmniejszym wydać córkę za mąż.
Kupiłem więc kadzidło, te kwieciste wieńce,
Złożę je na ognisku dla naszego Lara,
By dał szczęście mej córce w małżeńskiem pożyciu.
Lecz co widzę? Drzwi mego domu są otwarte!
A jaki hałas wewnątrz! Czy mnie okradają?

Kongryo (kucharz przysłany przez Megadora, mówi z domu):

Pożycz garnka większego tu zaraz w sąsiedztwie,
Jeżeli dostać możesz, bo ten jest za mały,
Nie chce się wszystko zmieścić.

Euklio.

O, ja nieszczęśliwy!
Już po mnie! kradną złoto i szukają garnka!
Zginę, jeżeli zaraz nie wpadnę do domu.
Przyjdź w pomoc, Apollinie! ratuj, błagam ciebie!
Przeszyj twemi strzałami tych rabusiów skarbu!
Wszak już i w innych razach byłeś mi pomocnym.

Wpada do domu, a po chwili wybiega stamtąd Kongryo wraz z kilku kuchcikami.

Kongryo. Przyjaciele, ziomkowie, krajowcy, przybysze,
Koloniści, sąsiedzi, precz z drogi, bym uciekł!

[1]) Bo myśleli, że Euklio co kupi, a nie kupił nic.

Ustępujcie mi z ulic, bom wpadł wśród szalonych,
By dla szalonych warzyć! Tak wysmarowali
Mnie biednemu kijami plecy i czeladzi!
Wszystko boli — umieram! Tak mnie dziad ten ćwiczył!
Nigdy mi w mojem życiu lepiej drew nie dano!
Mnie i tych tu kijami obdarzonych wygnał.
Lecz, na bogi, zginąłem! drzwi otwiera! idzie,
Ściga mię!

Podejrzenia względem Megadora wraca Euklionowi, więc gdy mu proponuje wypicie kieliszka, odmawia, mówiąc, że zawsze wodę tylko pija.

Megador. Jednakże, jakom żywy, dzisiaj cię upoję.
Euklio (do siebie).
Już wiem, co on zamyśla — chce mnie pod stół dostać,
Ażeby moje złoto zmieniło mieszkanie.
Lecz ja temu przeszkodzę — zakopię je bowiem
Gdziekolwiek po za domem, a tak będzie szkoda
Jego czasu, zachodów i starego wina.

Jakoż zakopuje garnek w świątyni Wierności (F i d e s), lecz źle na tem wychodzi, gdyż jeden z niewolników podpatrzył Eukliona i zakradł się do świątyni. Skąpiec przeczuciem tknięty wraca pomieszany:

Euklio. Nie bez a l e zawrzeszczał kruk po mojej lewej,
Pogrzebał ziemię nogą, a potem zakrakał.
Serce moje wyprawia dziwne jakieś skoki
I wali jakby młotem! I ja się nie śpieszę!

(Spostrzegłszy niewolnika Strobila, chwyta go i bije).

Precz, glizdo, coś dopiero z pod ziemi wylazła,
Że cię tu nie widziałem; więc zginiesz wylazłszy!
Ja ciebie, czarowniku, na sucho nie puszczę!
Strobil. Jaka cię zła myśl trapi? Czego chcesz ty, dziadu!
Czemuż mnie ty wywracasz, czemu szarpiesz, bijesz!
Euklio. Jeszcze pytasz? smagańcze, złodzieju, rabusiu!
Strobil. A ja co ci ukradłem?
Euklio. Oddaj!
Strobil. Co?
Euklio. Ty pytasz?
Strobil. Ja ci nic nie ukradłem.
Euklio. Lecz oddaj, co wziąłeś.
Strobil. Co ty chcesz?
Euklio. Boś mi ukradł.
Strobil. Co chcesz? nie rozumiem.
Euklio. Dawaj!
Strobil. To ty, stary, lepiej znasz ode mnie
Euklio. Dawaj zaraz! bez żartów! Żartów tutaj nie masz!
Strobil. Co mam dać? powiedz przecież, nazwij po imieniu!
Na bogi! nic nie wziąłem, ani nie ruszyłem.

Euklio. Pokaż ręce.
Strobil. Tobie?
Euklio. Tak!
Strobil. To je masz!
Euklio. A trzecia?
Strobil. Widma, wściekłość, szaleństwo trapią ciebie, starcze,
Robisz mi krzywdę; czy nie?
Euklio. Wielką, że nie wisisz!
To przyjdzie, jeśli skłamiesz.
Strobil. Czego nie mam kłamać?
Euklio. Co stąd wziąłeś?
Strobil. Bóg mię skarz, jeślim wziął co twego...
Euklio. Albo nawet wziąć chciałeś? To mi płaszcz swój rozwiń!
Strobil. I owszem.
Euklio. Lecz pod suknią?
Strobil. Patrz, gdzie się podoba.
Euklio. A to złodziej! przez grzeczność chce kradzież zataić...
Powiedz mi, kto był drugi tam z tobą w świątyni.
Bogowie! ten tam szpera! Puszczę tego — drapnie.
Ależ go przeszukałem, nic nie ma. Idź, gdzie chcesz,
Idź na złamanie karku.

Strobil się ukrywa i podsłuchawszy, jak Euklio mówi, iż skarb swój w gaju Sylwana ukryje, zakrada się tam i zabiera garnek. Euklio w rozpaczy:

Już po mnie! już zginąłem! przepadłem na wieki!
Gdzież mam biedz? gdzie biedz nie mam? Łapaj! chwytaj! Kogo?
Kto? nie wiem; jestem ślepy, niczego nie widzę,
Gdzie jestem, lub czem jestem, gdzie mam iść, nic nie wiem.
(do widzów) Was błagam i zaklinam, proszę, pomagajcie,
Pokażcie mi człowieka, który garnek ukradł.
Co mówisz? Tobie ufam, z oczu dobrze-ć patrzy.
Dlaczego się śmiejecie? Znam was! Tu złodziei
Dużo jest między wami, którzy szatą białą[1])
Brudy swe pokrywając, siedzicie jak zacni.
Hem! więc żaden z tych nie ma? Zginąłem! Przepadłem!
Cóż po życiu, gdy tyle utraciłem złota,
Które-m pieścił starannie. Ja sam się okradłem
Z chęci życia i szczęścia! Inni się niem cieszą —
Z mem nieszczęściem i szkodą. Tego znieść nie mogę.

(Jan Wolfram).

Pan Strobila, Likonid, kochający córkę Eukliona, zwraca mu garnek i pozyskuje przez to rękę panny, która wolała jego, niż Megadora.

(Najpierw przełożono u nas komedyę Plauta *Trinummus* p. n. „Potrójny", Zamość 1597. Tłómacz, Piotr Ciekliński, i nazwy polskie nadał osobom i wiele rysów

[1]) Rzymianie wogóle chodzili w białych szatach, ale ci, co się o jaki urząd ubiegali, mieli jeszcze bielsze i dlatego zwali się: *candidati* od *candidus* = jasny, biały.

obyczajowych przydał ze swego otoczenia. Najwięcej komedyj przełożył Jan Wolfram. Wyszły w dwu książkach: „Komedye Plauta — Aulularia — Mostellaria — Trinummus — Capteivei“ — Poznań, 1873; „Dwie komedye — Żołnierz Samochwał — Bliźnięta“ — Warszawa 1890. J. I. Kraszewski dał „Komedyj pięciu parafrazy“, Złoczów, 1888; mieszczą się tu: Samochwał — Pasorzyt — Trojak — Rozbitki — Koszyk. Bliźnięta czyli Menaechmi wyszły też w przekładzie ks. A. Kanteckiego w Poznaniu 1875).

III. Terencyusz.

Bracia (Adelphi).

Z dwóch braci, Ateńczyków, jeden jest żonaty i dzietny (Demeasz), drugi kawaler (Micyon). Demeasz ma dwu synów: Eschinesa i Ktezyfona; pierwszego wziął na wychowanie Micyon i rozpieścił go tak, że ma wiele z tego zgryzoty; staje się to powodem wymówek ze strony Demeasza, który utrzymuje, że Ktezyfon żyjący na wsi, wychowany surowo nie mógłby popełnić takich zdrożności. Tymczasem okazuje się, że istotnym powodem złych postępków Eschinesa był właśnie brat jego. Demeasz przyznać musi, że jego surowy sposób wychowania ma także swoje złe strony. Podajemy sceny, w których malują się charaktery obu braci:

Micyon. Możnaż kogo polubić, tak, jako ja robię,
Ażeby mu był milszy, niż on jest sam sobie?
Wszakże-to nie jest mój syn... syn brata... Z tym mamy
Humory bardzo różne od młodości samej.
Jam sobie obrał w mieście żywot nieznudzony,
Co inni szczęściem zowią, nie pojąłem żony,
Lubiąc spokojność; on zaś obrał wiejskie życie
W troskach i oszczędności, twardo i ukrycie,
Wziął żonę... Urodziło mu się dzieci dwoje.
Starszego z tych ja wziąłem na porękę moję;
Z maleńkiego-m go chował, jak swego kochałem
I całe-m szczęście moje miał w tem dziecku małem.
Kocham go i żeby on mnie kochał wzajemnie,
Czego tylko chce żywnie, to wszystko ma ze mnie.
Daję, przebaczam i to wcale mu nie szkodzi,
Że go nie trzymam groźno.. Wreszcie inni młodzi
Kryją przed rodzicami coś z swych obyczai,
Jam go zaś przyzwyczaił, że mi nic nie tai,
Bo kto się kryć rodzicom własnym ma dość czoła,
Taki tem bardziej obcych oszukiwać zdoła.
Wstydem i uczciwością zręczniej dzieci mogą
Być prowadzone, myślę, aniżeli trwogą.
Ale mój brat w tej mierze innego jest zdania;
Ledwo co wnijdzie czasem, już ci mi przygania:
„Co czynisz? zgubisz chłopca, Micyon, niestety!
Oto się kocha, stroi i daje bankiety,
A ty dostarczasz kosztów na to... nie do rzeczy!“
Lecz on bardziej rozsądek i słuszność kaleczy.
Błądzi zawsze, komu się ta myśl uroiła,

Że silniej w podległości trzyma mus i siła
Niźli słodkie ogniwo mocy przywiązania...
Tak mniemam i tem mego popieram mniemania:
Kto pod obuchem grozy powinność swą czyni,
Strzeże się tylko oka tej czułej mistrzyni,
Ale gdy go ujść może, inną ścieżkę bierze.
Tylko kto z przywiązania czyni, czyni szczerze.
Strzeże się sam obecny, nieobecny wszędzie,
Tenże sam stale, zawsze nieodmienny będzie;
Mądry ojciec swym dzieciom nawykać pozwoli
Czynić dobrze, nie z musu, lecz z ich własnej woli.
To jest, co różni pana od ojca; inaczej
Kto czyni, nie umie być ojcem, niech wybaczy —
Lecz nie ten-że to, o kim mowa? Tak, on właśnie,
Jakiś smutny! niesie mi, ręczę, zwykłe waśnie.
Witam cię, Demeaszu, w zdrowiu dobrem, stałem?

Demeasz. Dobrze, iż cię znajduję... ciebie też szukałem.

Micyon. Czemużeś smutny?

Demeasz. Pytasz? czyż ojciec Eschina
Ma być rad?...

Micyon. Nic mówiłem?... otóż już zaczyna.
Cóż zrobił?

Demeasz. Co? ten, który nie zna wstydu granic,
Ani się kogo boi, co prawa ma za nic?
Bo, że jego dawniejsze postępki pominę,
Co dziś zrobił!

Micyon. Powiedz-że! odkryj jego winę.

Demeasz. Oto, drzwi wybił... oto naszedł na dom cudzy,
Zbił właściciela domu, którego i słudzy
Śmiertelnie zbici. Niedość!... Całe miasto krzyczy
Na ten gwałt... Tylkom stanął, zaraz ta rozpusta
Doszła mnie, bo nią wszystkich zatrudnione usta.
Jeżeli mam porównać niepodobnych sobie,
Nie maż on wzoru w brata swojego osobie,
Który majątek zbiera, na wsi siedzi skromnie,
Nie robi głupstw, któreby sięgały aż do mnie!
Lecz co tu o nim mówię, do ciebie jest mową,
Boś ty przyczyną rozpust jego początkową.

Micyon. Nic niesprawiedliwszego nad człeka bez zdania,
Bo czego sam nie zrobił, wszystkiemu przygania.

Demeasz. Do kogóż-to?...

Micyon. Do ciebie... bo w tem sądzisz krzywo;
Bo nie jest, wierz mi, nie jest błędem jako żywo
(Wyjąwszy to, co słyszę, co chcę poznać wprzody),
Że się bawi uczciwie czasem człowiek młody.
Bo jeśliśmy się i ty i ja nie bawili,
Tośmy nie mieli na to, gdyśmy młodzi byli.
Coś z niedostatku robił, niesłusznie zwiesz cnotą;

I mybyśmy hulali, gdyby było złoto!
I tybyś dziś nie łajał synowi twojemu,
Wolałbyś, że się bawi, kiedy wiek po temu,
Niż gdyby (późno ojca zbywszy się z gospody)
Szalał stary dlatego, że nie szalał młody.

Demeasz. Jowiszu! ja przez niego dziś w szaleństwo wpadnę.
Toż nie są jeszcze błędem czyny tak szkaradne?

Micyon. Słuchaj! nie nudź mnie proszę dłużej w tym sposobie.
Chciałeś, bym syna twego przysposobił sobie,
Przez ten układ już jest mój... jest w nim jaka wada,
Mnie gorzej, bo największa część jej na mnie spada.
Je? — z mego. Pije? — z mego. Stroi się? — za moje.
Umizga się? — i na to dam, póki obstoję;
Jak braknie... któż wie? może wypchnięty zostanie.
Wybił drzwi? zapłacę je. Zdarł suknie? dam na nie.
Jest, dzięki bogom, z czego i dawać uczciwie,
I przecie się, choć daję dotychczas, nie krzywię.
Wreszcie lub przestań, lub weź kogo chcesz na zgodę,
A ja ci, że ty bardziej błądzisz w tem, dowiodę.

Demeasz. Ucz się być ojcem od tych, co są w rzeczy niemi.

Micyon. Tyś mu naturą ojciec, ja — radami memi.

Demeasz. Radami?...

Micyon. Nie chcesz przestać? otóż ja przestanę...

Demeasz. . . . . . I nareszcie, gdy ci się tak zdaje,
Niech traci, hula, ginie... jego obyczaje
Nie do mnie... ani pisnę.

Micyon. Już znowu z zapałem?...

Demeasz. Bo czyż mi nie dowierzasz? czy ja go brać chciałem?
Boli mnie, bo mój!... ale jeśli się sprzeciwię
Odtąd kiedy, bodajem!... lecz zmilczę cierpliwie,
Chcesz, bym dbał o jednego, dbam, i bogom dzięki,
Że jest takim, jakim być powinien z mej ręki.
Lecz ten twój pieszczoch... uzna... po swej słodkiej szkole
Kiedyż-tedyż później!... ach!... ale zmilczeć wolę.

Przekonawszy się jednak, że ten syn, któremu tak ufał i którym się szczycił, nie jest bynajmniej lepszym od owego pieszczocha, zmienia Demeasz zdanie, mówiąc:

Nikt nie był w trybie życia tak wyrachowany,
By majątek, wiek, moda, nie wniosły weń zmiany
I nie szepły mu w ucho, że złe dobrem sądzi
I co ma za najlepsze, w tem najbardziej błądzi.
Doświadczam tego, gdyż to ostre obchodzenie,
Którem tak lubił, w schyłku od dziś dnia już mienię.
A to czemu? spyta kto. Doświadczyłem zblizka,
Że przez dobroć i słodycz najwięcej człek zyska.
Dowód tej prawdy z brata mojego i ze mnie.
On żył zawsze bez troski, wesoło, przyjemnie;

Cichy, łagodny, słodki w pożycia sposobie,
Żył sobie podług woli, nie żałował sobie,
Nigdy nie znał, co jest gniew, zżymanie i focha.
Każdy go też wspomina i każdy go kocha...
Ja, wieśniak nieotarty, straszącej postury,
Srogi, zrzędny, łakomy, uparty, ponury;
Wziąłem żonę... źle! Przyszły na świat dziatki?...
Jeszcze gorzej! A chcąc im zostawić dostatki,
Straciłem na zbieranie całe moje lata.
Dziś na starość za pracę jakaż mi zapłata?
Oto mnie nienawidzą... On, bez żadnej prace
Ma całą korzyść ojca, ja ją całą tracę;
Jego kochają czule, mnie się tylko boją;
Jemu każdy powierza każdą skrytość swoją,
Jego lubią... I teraz bawi się z obiema.
Ja sam tylko, wedle mnie żadnego z nich niema.
Gdy jemu życzą, by żył dla nich w późnej porze,
Mojego zgonu tylko wyglądają może!
Jam ich chował, on ujął małą rzeczą, proszę!
Mnie się sam trud zostaje, a jemu rozkosze.
Doświadczę też przeciwnie, czy i ja być mogę
Słodkim i dobroczynnym, jak brat wskazał drogę?
I ja też być od swoich kochanym mam żądzę.
I gdy trzeba pobłażać i sypać pieniądze,
Nie zostanę się w tyle... A gdy nie wystanie?
Alem też starszy! krótsze będzie szafowanie...

(K. Tyminiecki).

I rzeczywiście pobłażliwością i hojnością zyskuje sobie Demeasz miłość synów; sztuka kończy się weselem.

(Wszystkie sześć komedyj Terencyusza przełożył wierszem Konstantyn Tyminiecki i ogłosił w drugim tomie „Pism“ swoich, Warszawa 1817; dwie zaś komedye: Niewiasta z Andros i Eunuch wierszem miarowym przetłómaczył Jan Wolfram, wyszły one w Warszawie 1885 r.).

IV. Lukrecyusz.

O przyrodzie wszechrzeczy.

Mając w poemacie swoim wyłożyć zasady filozofii Epikura, czuje Lukrecyusz trudność tego zadania, więc wzywa pomocy Muz i bogini piękności:

Na bezdrożne Pieryd wstępuję wyżyny,
Gdzie żadna jeszcze ludzka nie postała stopa;
Pragnę dotrzeć odważnie do najczystszych źródeł,
Sam z nich czerpać i świeże własną ręką kwiaty
Uszczknąć na śmiertelną skroni mych ozdobę,
Jaką żaden wieszcz dotąd nie uwieńczył czoła.

Opowiem rzeczy wielkie — przesądnej ślepoty
Uciskające duszę chcę potargać więzy
I świętej prawdy ludziom ukazać oblicze.
Ku temu słodkich pieni pożyczę jej czaru.
I nie dziw. Bo jak lekarz choremu dziecięciu
Gorycz zbawienną w przykrym podając napoju,
Brzegi kubka miodową namaszcza łakocią
I przez złudzone wargi wlewa mu przezornie
Nowe siły i zdrowie; tak i ja mój, Memmi[1]),
Gdy wysokie mądrości prawdy opowiadam,
Mniej pojętnym umysłom z pozoru tak wstrętne,
Rad słodzę ich surowość słów powabnych miodem.
Tuszę, że i twój umysł zniewolę, gdy poznasz
Naturę całą w cudnej piękności uroku.

W pierwszych trzech księgach wykłada poeta teoryę atomistyczną świata, uderzając na wyobrażenia mitologiczne, a uwielbiając majestat natury:

Gdy wzniesiem wzrok na niebios wspaniałą budowę,
Na te gwiaździstych stropów błyszczące klejnoty,
Te wiecznemi gościńcy dzień z nocą wiodące
Słońca i przemiennego księżyca obroty:
Wtedy i w głębi duszy obudza się z trwogą
Myśl, powszedniemi życia troskami tłumiona,
Może jest jakieś bóstwo, potęgi tak strasznej,
Tak wielkie i wszechwładne, że zdoła swą mową
Poruszać i w swych ręku ważyć te ogromy...
Ach! gdzież człowiek, któryby na to pomyślenie
Nie zadrżał, z chwiejącą się pod nogami ziemią,
Gdy huk straszny piorunu górami zatrzęsie
I krwawa błyskawica niebiosa zapali.
Czyliż taką bojaźnią nie drżą ludy całe?

Na dowód szkodliwości wiary w bóstwa przytacza przykład Ifigenii, (ffianassy), która dla przebłagania bogów musiała być zabita.

Jak sromotnie skalali krwią Ifijanassy
Ołtarz Dyany greccy wodzowie w Aulidzie!
Stała smutna dziewica — jasnych włosów sploty
Zwieszały się w nieładzie po bladych jej licach;
Ojciec błędne wejrzenie rzucał od ołtarza:
Przy nim w ręku kapłana błyskał nóż ofiarny.
Na ten widok płacz wielki powstał między ludem.
Ona klękając padła na ziemię zemdlona...
Ach, nie pomogło czułe: „ojcze mój!“ wołanie,
Królem tylko był ojciec... Dano znak: rycerze
Nieszczęśliwą porwawszy, przed ołtarz powlekli;
Nie jak oblubienicę w świeżym życia kwiecie,

[1]) Przyjaciel Lukrecyusza, ku któremu w poemacie swoim wciąż się zwraca.

Przeznaczoną hymenu ozdobić się wieńcem
I w wybranego męża zawisnąć objęciach;
Ale smutną ofiarę srogości i mordu —
O, zgrozo! własnej córki ojciec krew rozlewa —
Za co? aby u bogów uprosić dla floty
Wiatr pomyślny i powrót szczęśliwy do domu.

Przemawia gorąco przeciwko obawie śmierci i zbija wyobrażenia o świecie podziemnym (Orkus):

Wyobraź sobie, jakby Natura przed nami
Stanęła i w te do nas przemówiła słowa:
Cóż jest, czem się tak trapisz, człowiecze śmiertelny?
Czego płaczesz i próżno na śmierć się użalasz?
Nie zeszło-li twe dawne życie bez owocu,
Spełniłeś-li aż do dna błogą pociech czarę?
Czemu się, nasycony duchu, wahasz jeszcze
I wzdrygasz, nie rad wrócić do twojej ojczyzny?
Jeśli-ć, przeciwnie, życie upłynęło marnie,
Jeśli ci jest goryczą; dlaczegoż niebaczny
Starasz się je przedłużyć, a z niem twe cierpienia?
O! posłuchaj mnie, zostaw dla innych to brzemię,
Którego siły twoje dźwigać nie są zdolne:
Tak chcą losy, tak każe konieczność niezbędna;
Życie nikomu nie jest oddane na własność,
Używamy go tylko do czasu — tysiące
Przeszło już ludzi światem, nim my na świat przyszli,
Powiedz, co nas obchodzą?...
...Trwożą cię podobno
Jakieś po śmierci kaźnie, potwory i piekła:
O! wierz mi, to co prawią o krainie Orku,
O Acherontu wodach, to wszystko jest bajką,
A raczej to się wszystko dzieje w naszem życiu.
Tu w życiu dręczy ludzi próżna bojaźń bogów
I bojaźń kar po śmierci — o! tam nie ma sępów
Szarpiących Tytyosa nad Kocytu[1]) brzegiem.
Nie, mój Memmi; tu właśnie, tu mieszka ten Tytjos,
Ofiara dobrowolna ślepych żądz, któremu
Sęp namiętności szarpie wątrobę i serce.
Nie jeden Syzyf w naszych przesuwa się oczach:
Widzim, jak się upędza, aby z rąk narodu
Godła władzy pozyskać, rózgi i toporý,
Które mu ustawicznie kto inny wydziera,
A on pole Marsowe porzuca z rozpaczą.
O, przyjacielu, pragnąć wysokich godności
Z trudem się ich dobijać, a zawsze bez skutku,
To jest, wierz mi, ów kamień, który Syzyf z męką

[1]) Rzeka w kraju podziemnym wedle wyobrażeń mitologicznych.

Wiecznie do góry wtacza, a on mu na głowę
Ciągle i z wzrastającym ciężarem upada.
Żywić w niesytem sercu gorące pragnienia
Pomnażania dostatków, których nam tak dużo
Z taką rozmaitością i z takim powabem
Matka ziemia dostarcza w każdej roku porze,
A nigdy w chciwej duszy nie uczuć sytości,
To nam właśnie tłómaczyć zda się owę bajkę
O Danajdach, ciągle z pilnością daremną
Napełniających wodą ciekące naczynie.
A też jędze piekielne, ów Cerber straszliwy
(I choćby tak daleko nie sięgała zgroza)
Są-to niespokojnego sumienia zgryzoty
Ścigające przestępcę zasłużoną kaźnią.

Wobec udręczeń, jakie ludziom sprawiają nienasycone żądze, wysławia poeta spokój ducha:

Miło jest z brzegów patrzeć na trudy żeglarza,
Po wzdętych morza falach miotanego burzą;
Nie iżby cudze rozkosze sprawiały nam bóle,
Lecz że się od nich wolni czujem szczęśliwymi.
Miło niemniej spoglądać z bezpiecznej uchrony
Na krwawe wojsk walczących zapasy i mordy;
Ale milej nad wszystko, w mądrości świątyni,
Objaśnionej prawdami wielkich myślicieli,
Zabawiać się i umysł poić ich nauką,
Z dumą szlachetną patrzeć na szaleństwa gniewu,
Błądzącego w ciemnościach po życia bezdrożu,
Jak o łaski, godności i władze zabiega,
Marzy o berłach świata, dzień i noc rozmyśla,
Jakby tylko największe zebrać złota stosy.
O! ślepoto, o! ludzie nikczemnego serca!
Jakże nędzne wleczecie w tylu walkach życie!
Czemu żaden Natury nie słucha przestrogi:
„Człowiecze! chroń twe ciało od przykrych boleści,
Staraj się o spokojność i swobodę ducha,
Oddalaj próżne troski, smutki i obawy;
Bądź wesół! Czyż nie widzisz, jak mało potrzeba,
Aby każde natury nasycić pragnienie,
I czystych życia pociech łatwe zbierać plony!
Świecą-ć innym ozdobne w pałacach posągi,
Złotym i srebrnym kruszcem błyszczące naczynia:
Ty za to na zielonej miękkich mchów pościeli,
Pod jaworowym cieniem, nad brzegiem potoku,
Co szemrząc lekkim do snu namawia szelestem,
Spoczywasz bez wymysłu, bez zbytku, bez kosztu;
Jeszcze ci przytem wiosna dla uciechy zmysłów
Świeżym przystraja kwieciem wonnych łąk kobierce.

Więc gdy ni perskich skarbów, ani tronów blaski
Nie zdołają nic zgoła pomódz twemu ciału,
Jakąż przynieśćby mogły korzyść twojej duszy?

W księdze IV-tej poeta stara się objaśnić, jakim sposobem nabywa człowiek wyobrażenia o rzeczach, twierdząc, że od przedmiotów oddzielają się ich wizerunki *(simulacra)* i działają na zmysły; następnie tłómaczy senne marzenia i rozmaite inne objawy życia psychicznego. W księdze V-tej przedstawia powstanie ziemi, nieba, morza, gwiazd, słońca i księżyca, zwierząt, mowy ludzkiej, religii i wogóle cywilizacyi. Ród ludzki był w początkach w stanie dzikim, z chwilą przyniesienia ognia z nieba na ziemię, doskonalił się coraz bardziej, tworzył społeczeństwa, zaczął używać metali, oddał się nauce i sztuce. Z księgi tej podamy parę opisów zjawisk natury:

Słuchaj teraz, jak groźne powstają pioruny,
Których moc wieże zamków na pował wywraca,
Domy z węgłów wysadza, rozrywa i kruszy,
Pomniki wielkich ludzi jak proch zmiata z ziemi...
Gdy w powstającej burzy grać tajemnie poczną
Żywioły piorunowych błyskawic i grzmotów,
Ściągają naprzód w koło gęstych chmur gromady
I całe niebo czarnym powłóczą całunem.
Rzekłbyś, że sam Acheron[1]) zbył się swych ciemności
I niemi wszystkie niebios napełnił przestrzenie.
Noc okropna i widma wszelakie przestrachu
Wiszą nad ziemią...
. . . . . Często legnie ponad morzem
Chmura taka, podobna do smoły roztopu,
Straszna pomroką, ogniem i wichrem ziejąca,
Gdy opadnie na fale, porywa się burza,
Grzmią błyskawice, wściekłe szaleją orkany —
Wtedy wszystko, co żyje, od brzegów ucieka.
Wśród pożogi błyskawic trzaskają pioruny,
Zda się, że całe niebios walą się sklepienia.
Wstrząśniona nimi ziemia dygoce ze strachu.
W górze dudni huk głuchy i obłoki warczą.
Wszystko w zamieszce: niebo, powietrze i ziemia.
Po takim szturmie, nagle z niebieskich upustów
Spuszcza się deszcz rzęsisty gwałtowną ulewą.
Rzekłbyś, że wszystek eter w jednę spłynął powódź
I jakby nowym światu zagrażał potopem.
. . . . . .
Kiedy z przestrachem ziemi czujemy trzęsienie,
Walą się wtedy stare zręby jej budowy,
Kratery wnętrznych otchłań i góry podziemne.
Słychać w głębi huk głuchy jakby grzmot daleki...
Tenże skutek sprawują i powietrza ruchy:
Gdy wiatr, bądź w łonie ziemi, bądź zzewnątrz wzbudzony,
Silnemi prądy puste przeniknie podziemia,

[1]) Świat podziemny, piekło (właściwie: rzeka w świecie podziemnym).

Zrywa się wewnątrz burza — żywioł rozhukany
Wstrząśnioną nagłym szturmem wypycha powierzchnię;
Pęka skorupa ziemska — a z strasznym wybuchem
Otwierają się głębie przepaści bezdennych.

Mówiąc o echu, kreśli wyobrażenia o niem wśród ludu krążące:

Każdy głos, który zdala nie dosięga ucha,
Rozchodzi się w powietrzu: trafi-li na opór,
Na twarde ciało, wraca łudzącym odgłosem,
Powtarzając te same wyrazy i zgłoski.
Widziałem takie miejsca, gdzie sześć i siedm razy
Wiernie jedna je skała oddawała drugiej;
Wszystkie brzmiały na podziw głośno i wyraźnie.
Zdumiony wieśniak mniema, że w takiem ustroniu
Nimfy i kozionogie mieszkają Satyry;
Słyszy Faunów rozmowy, śmiechy i igraszki,
Przerywające nocy poważnej milczenie;
Zdaje mu się, że uchem omamionem łowi
Słodkie śpiewy i tony czarujących fletni,
Po których samo czucie biegłe wodzi palce;
To samo powtarza się w każdej okolicy,
Gdzie z półzwierzęcą głową Pan[1]) w wieńcu sosnowym
Dmie śpiewnemi wargami w piszczałkę ze trzciny.
By nigdzie gajom wiejskich nie zabrakło pieśni.
(Karol Mecherzyński).

W księdze VI wychwala poeta najprzód Ateny jako miasto, które wydało największego filozofa Epikura; potem objaśnia różne zjawiska meteorologiczne, wykłada teoryę magnetyzmu, mówi o chorobach i zarazach, kończąc swe dzieło opisem morowego powietrza w Atenach podczas wojny peloponeskiej:

Doszedł niezdrowy upał do cekropskich[2]) krańców,
Ogałacając drogi i miasto z mieszkańców
Z nim Pomór od egipskiej przychodzący strony,
Przeminąwszy powietrza przestwór niezmierzony,
Spadł na kraj Pandjona[3]). Odtąd całą zgrają
Ludzie chorób i śmierci ofiarą się stają.
Naprzód mieli z gorąca głowę ociężałą
I oko ich zaćmione krwią zaczerwieniało.
Od cierpienia wnętrznego pociło się gardło
W szyi przejście dla głosu mnóstwo ran zaparło.
Język, ten tłómacz duszy, stanął jak z kamienia
I był szorstki w dotknięciu, trudny do ruszenia.
Gdy przez piersi do serca doszedł już ból srogi,
Wszystkie wówczas żywotne zamknęły się drogi,
Z ust szło tchnienie tak przykre, tak odrażające,
Jakie wydają zwłoki na polu gnijące.

---

[1]) Bożek pól.
[2]) Ateny założone były według podania przez Cekropsa.
[3]) Podaniowy król ateński.

W samym już progu śmierci zarazem zgnuśniała
Dawna moc ich umysłu, dawna dzielność ciała.
Bólom niedozniesienia towarzyszył stale
Niepokój i z jękami pomieszane żale
I częsta w nocy czkawka, która męcząc żyły,
Nadwerężała członki, osłabiała siły.
Już zbytniego upału nikt wstrzymać nie zdoła,
Gdy piecze wnętrznym ogniem sam wierzchołek czoła.
Ból nie dawał spoczynku; martwe legły ciała,
A nauka lekarska z trwogą przemawiała.
Noce dla nieszczęśliwych wlokły się jak wieki;
Wzrok im pałał, nie mogli przymrużyć powieki.
Bliskość zgonu rozliczne znaki zwiastowały:
Umysł mieli od trwogi i smutku zwątpiały,
Brew ponurą, wzrok dziki, lód w dotknięciu ręki,
Brzmiały im ciągle w uszach niespokojne dźwięki,
Po szyi i po barkach pot lał się strumieniem,
Spluwali ślinę z żółcią z trudnem odetchnieniem,
Ledwie kaszlem dobytą z chropawej gardzieli,
Drgały im w ręku żyły, sami nawet drżeli,
Od stóp szło zwolna zimno aż na łono całe,
Zatkane nozdrza, oczy wklęsłe, podsiniałe,
Skórę mieli na czole twardą, wyprężoną,
Aż legli wśród męczarni śmiercią niezmożoną.
Od początku choroby ledwie do jej końca,
Ośm albo dziewięć razy widzieli blask słońca.

(Bruno Kiciński).

(Tłómaczenia całego poematu Lukrecyusza nie posiadamy; cząstkowe przekłady dawali: F. H. Lewestam, Józef Szujski, Karol Mecherzyński, Bruno Kiciński i inni. Rozpraw o tym poecie-filozofie mamy dwie: Kazimierza Kaszewskiego p. t. „Epikureizm i Lukrecyusz“ w *Bibliotece Warszawskiej* r. 1861, tom I.; oraz Karola Mecherzyńskiego p. t.: „O poemacie filozoficznym Lukrecyusza de Natura rerum, uważanym ze strony estetycznej“ w *Rozprawach Wydziału Filologicznego Akad. Umiejętności* 1880 r. tom VII. Tu właśnie mieszczą się tłómaczone przez autora wyjątki).

V. Katullus.

A) Do Lesbii.

1. Żyjmy, kochajmy, moja Lesbio miła;
Mniejsza o zrzędę surowej starości,
Słońce zachodzi i wstaje w światłości,
Nam, gdy pomrzemy, nie będzie świeciło.

Gwiazda żywota noc przejdzie bez końca;
Więc daj całusów tysiąc, sto tysięcy,
Znów drugi tysiąc i stem jeszcze więcej;
Potem znów tysiąc, potem pół tysiąca.

A kiedy wiele już tysiąców zliczę,
Zagubim liczbę, ażeby zazdrosny
Nie zajrzał mojej pieszczoty miłosnej
Aby nie wiedział, jaki skarb dziedziczę.
(J. Szujski).

2. Jeśli się z ludźmi bóstwo równać godzi,
Oto mi bożek, lub bożków przechodzi,
Kto cię, Lesbijo, zasiadłszy przy tobie
Słucha w każdej dobie
I na twój uśmiech czarowny spoziera,
Który mi zmysły biednemu odbiera;
Bo skoro twoje napotkam wejrzenie
Wpadam w osłupienie.
Trętwieje język, lotny płomień goni
Po stawach ciała, nad uszami dzwoni
Głośne brzęczenie, a zdumiałe oczy
Noc podwójna mroczy.

3. Przyrzekasz mi, kochanko, moje życie miłe,
Że nasza słodka miłość zwalczy czasu siłę.
Wielcy bogowie! stwierdźcie to święte przymierze:
Niech ona przyrzekając mówi z serca, szczerze;
Niechaj związek, któryśmy poprzysięgli sobie,
Dopiero chyba z życiem opuści nas w grobie.

4. Mnie tylko dawniej lubiłaś wzajemnie,
Aniś Jowisza wolała odemnie.
Wtedym cię kochał, nie jak gmin poczyna,
Lecz jak zwykł ojciec kochać zięciów, syna.
Dziś cię poznałem, więc choć silniej gorę,
Za nikczemniejszą w kochaniu cię biorę.
Jak to być może? Bo krzywda niniejsza
Powiększa miłość, lecz szacunek zmniejsza.

5. Nikt zaiste nie kochał z tak silnym zapałem,
Z jakim ja ciebie, Lesbijo, kochałem.
Nigdy taką wiernością świat nie był zdziwiony
Jakąś w kochaniu widziała z mej strony,
Dziś, Lesbjo, twą winą me serce się zwraca,
I świętą skłonność na zawsze utraca:
Ni cię zdołam szacować, choćbyś wierną była,
Ni przestać kochać, byś wszystko czyniła.

B) Żale nad skonem wróbla.

Płaczcie, boginie, płaczcie Kupidyny,
I wszyscy, których nadobność okrywa.
Umarł, niestety, wróblik mej dziewczyny,
Wróblik, ta rozkosz kochanki prawdziwa,

Co go wolała nad własne źrenice,
Gdyż był milutki, znał dobrze, kto ona,
Jako córeczka zna swej matki lice;
Ani odlatał z jej śnieżnego łona,
Lecz skacząc wkoło, swawoląc bez miary,
Dla pani tylko świegotliwie nucił.
Ach! on już poszedł w te ciemne pieczary,
Skąd nikt nie wraca, ani kto powrócił,
Bądźcie przeklęte, wy piekła otchłanie,
Przed których paszczą nic się nie ostanie:
Mnie tak ładnego wzięłyście wróbelka!
O, biedny ptaszku! co za szkoda wielka!
Teraz się z twojej czerwienią przyczyny
Spłakane oczki mej smutnej dziewczyny.

C) Powrót wiosny.

Oto już wiosna łagodna przybywa,
Już dzikiej zimy nawałność burzliwa
Cichnie, gdy Zefir odetchnął pieszczony.
Porzuć, Katullu, frygijskie zagony,
Skwarną Niceę[1]), gdzie bujny plon wzrasta.
Lećmy w przesławne Azyanów miasta!
Już myśl polotna do biegu mię znęca,
Już krzepkie nogi gotowość zachęca.
Żegnam was, bracia, towarzysze mili,
Obyście zawsze zdrowiem się cieszyli!
Razem ojczyste rzuciliśmy progi,
A dziś tak różne poniosą nas drogi!

D) Do samego siebie.

Biedny Katullu, rzuć brednie na stronę,
A co przepadło, miej już za stracone.
Niegdyś ci błogie płynęły godziny,
Gdyś biegł ochoczo na rozkaz dziewczyny
Tak ukochanej, jak żadna nie będzie.
Rosły swawole w miłosnym zapędzie,
Któreś ty lubił, od czego nie była.
Wtedy ci zorza dni błogich świeciła.
Dziś ona nie chce, ty pokaż moc duszy,
Nie ścigaj marzeń i chroń się katuszy:
Znieś raczej wszystko mężnie i wytrwale.
Dziewczę, bądź zdrowe; Katull stłumi żale,
Ni cię poszuka, ni prośbami znudzi.
Lecz ty zapłaczesz samotna śród ludzi!

[1]) Miasto w Bitynii, dokąd Katullus jeździł w roku 57 przed Chrystusem.

Pomyśl okrutna, co grozi twej głowie.
Kto cię odwiedzi? kto, żeś piękna, powie?
Kogo ukochasz? otoczysz ramieniem?
Czyjem się teraz poszczycisz imieniem?
Lub czyje usta będziesz całowała?
Lecz ty, Katullu, bądź twardy jak skała.

E) Do Dyany.

Czyste chłopcy i dziewczęta,
Nas Dyana strzeże święta,
Więc dziewczęta i młodziany,
Nućmy pieśni dla Dyany.

O Latonko[1]), wielki płodzie
Największego w bogów rodzie,
Ciebie matka w Delos była
Wśród oliwnych drzew powiła,

Abyś wzięła pod obronę
Góry, lasy i zielone
Niedostępnych gajów boki
I szumiące wód potoki...

O bogini rok dzieląca
Odległością dróg miesiąca,
Ty napełniasz wiejskie chaty,
Dając z roli plon bogaty.

Jakie zechcesz brać imiona,[2])
Pod takiemi będziesz czczona;
Ratuj tarczą twej opieki
Lud Romula w dalsze wieki!

F) Elegia na śmierć brata.

Odkąd raz pierwszy wziąłem śnieżne szaty,[3])
Gdy wiosny życia rozkwitły mi kwiaty,
Dość, dość igrałem...
Ale to wszystko żałosna śmierć brata
Wzięła. O, bracie! dni twoich utrata
Rozwiała moje szczęśliwości chwile;
Z tobą dom cały zagrzeban w mogile,
Z tobą przepadły me wszelkie pociechy,
Któreś ty wskrzeszał słodkiemi uśmiechy...
Teraz daleko, nie pomiędzy swemi,
Nie w grobach ojców, ale w cudzej ziemi
Troja ohydna, Troja nieszczęśliwa
Na łonie swojem twe prochy ukrywa...
Dużom zwiedził narodów i dużo mórz minął,
Niżlim, bracie, u twojej mogiły zawinął,
Aby uczcić zmarłego ostatnią ofiarą,
Opłakać twe popioły, pomówić z czczą marą.
Niestety! los mię ciężko uderzył w tej stracie!
Wydarty-ś mi niegodnie, o biedny mój bracie!

---

[1]) t. j. córko Latony.
[2]) Dyana zwała się także: Lucyna, Hekate, Luna.
[3]) W 17 roku życia młodzieńcy przywdziewali białą togę.

Teraz pełniąc pradziadów obyczaj nasz stary,
Odbierz smutne podarki pośmiertnej ofiary,
Którą łzami skropiły braterskie powieki:
Raz cię jeszcze pozdrawiam i żegnam na wieki!

G) Do Cycerona.

Z wnuków Romula, w krasomówców gronie,
Którzy dziś istną, co niegdyś już żyli;
Albo się zjawią w późniejszych lat chwili,
Najwymowniejszy Marku Cyceronie!
Katullus dzięki ci składa bez końca,
Katullus z wszystkich najgorszy poeta,
Jak ty — najlepszy ze wszystkich obrońca.

H) Na Cezara.

Zyskać twe względy to kłopot zbyt marny,
Ani chcę wiedzieć, czyś biały lub czarny.

I) Niestałość miłości kobiecej.

Mnie tylko, mówi, poślubi na świecie,
Choćby sam Jowisz zalecał się z nieba,
Lecz co kobieta kochankowi plecie,
Na wiatr lub strumień zapisać potrzeba.

(Szymon Baranowski).

(Przekład Poezyj Katulla przez Szymona Baranowskiego wyszedł we Wrocławiu roku 1839 wraz z tekstem oryginalnym obok).

VI. Tybullus.

1. Do Delii (Księga I., elegia 1).

Ubóstwo memu życiu niech spokój sprowadzi,
Póki ognisko słabem światłem płonie;
Niechaj wiejska ma ręka winorośle sadzi
I w czasie swoim podrosłe jabłonie.
Nie zwiedzie mnie nadzieja, ale zbożem brogi
I winem czystem naczynia obdarzy.
Czy stoi posąg z drewna, ja czczę w polu bogi,
Czy z wieńcem kamień w zbiegu dróg się zdarzy;
I skoro pierwsze jabłko lato mi wychowa,
Zaraz rolnemu bogu dar się czyni;
Tobie z pól mych, Cerero, korona zbożowa
Niech przy podwojach wiewa się świątyni...

Już darmo i za miernym dostatkiem dziś gonić
Lub sięgać długich podróżą przestrzeni;
Lecz wypada przed skwarem w cień się drzewa chronić
Do czystej wody bieżących strumieni.
Ni mnie teraz zawstydzi nieść widły przy wozie,
Lub biczem woły nękać przez zagony,
Albo jagnię pod pachą, lub płód z pola kozie
Przynieść od płochej matki zapomniony.
Nic są skarby bogaczów ni plon w mem żądaniu,
Co nabył żniwem przodek oddalony:
Dosyć zbiór szczupły, dosyć spocząć na posłaniu
I mieć je pewne, kiedy człek strudzony.
Niech mi się to uiści: z bogactw niech ten słynie,
Kto wściekłość morza i pluski ponosi —
Niechaj wprzód wszystko złoto z szmaragdami zginie,
Nim dla mej drogi łza piękną twarz zrosi.
Tobie walczyć, Messalo[1]), na morzu i ziemi
Coś okrył sławą twe plemię, przystoi;
Mnie dziewica trzyma pęty niezłomnemi,
Czyham odźwierny u krnąbrnych podwoi.
Przy tobie, ma Deljo, niech jako zgnuśniały
Słynę u świata; niech mię każdy stroni.
Oby w zgonie me oczy w ciebie się wlepiały!
Obym konając twą rękę miał w dłoni!
Zapłaczesz, gdy me martwe zwłoki będą brane,
Łzami polane dasz mi całowania.
Zapłaczesz, nie z żelaza twe piersi skowane,
Ni krzemień serca twego nie osłania
Z suchem okiem z pogrzebu tego w dom nie wkroczy
Żadna dziewczyna, ni żaden z młodzieży.
Nie chciej dręczyć mych cieniów, niech się włos nie moczy;
Pomnij, Delijo, pomnij na lic świeży.
Póki losy sprzyjają, łączmy dziś zapały;
W żałobnym kwefie stanie śmierć surowa;
Przyjdą lata, a z żartów i z miłości chwały
Siwizną kryta nie odnosi głowa.
Teraz służmy miłości, gdy łamać podwoje
I zwodzić spory nie przynosi skazy.
Tu-m ja wódz i rycerz; wy, miecze i zbroje,
Nieście zdaleka na chciwców swe razy,
Nieście i skarby wielkie; hardy pełnym brogiem
Gardzę śmiało bogactwy, gardzę głodem srogim.

(Jędrzej Moraczewski).

---

[1]) Przyjaciel Tybulla, wzywający go na wyprawę wojenną, od której poeta pragnął się uwolnić.

2. Do pokoju. (Księga I, elegia 10).

Któż był ten, co zabójczej pierwszy dobył stali?
Dzikie, żelazne serce bogowie mu dali;
Stąd to klęski śmiertelnych, stąd wojen pożoga,
I chciwej śmierci krótsza otwarła się droga.
Lecz on nędzny nie winien. Człowiek sam wymierza
Przeciw bliźniemu ostrze wykute na zwierza;
Złoto bogate winno. Ani wojen znano,
Kiedy bukową czarę do stołu stawiano,
Nie było wież i murów, a pasterz w swobodzie
Spokojny sen wysypiał przy paszonej trzodzie;
Wtenczas mi żyć przystało; próżen zbójczej sławy,
Ani z bijącem sercem słuchałbym trąb wrzawy;
Dziś do boju mię wiodą; może wróg morderca
Już trząsa dzidą, co krew wytoczy mi z serca.

Brońcie Lary ojczyste! wyście pomoc dały,
Kiedym przy stopniach waszych igrał jeszcze mały,
Nie wstydźcie się, wy, z prostych pni ciosane bogi!
Jakeście niegdyś ojców zamieszkały progi.
Lepiej trzymano wiarę, kiedy bóg drewniany,
Skromną cześć miewał między ubogiemi ściany:
Tu dawał się ubłagać, czy kto rozlał wonie,
Czyli kłosisty wieniec kładł na święte skronie,
Czy po spełnionym ślubie sam wino lał z czary,
A drobna córka miodu składała ofiary.

Wy bogi! wy żelazne odpierajcie ciosy,
Doczeka z pełnych obszar ofiara na stosy,
Za nią ja pójdę, w czystą szatę się ustroję,
Mirtem koszyk uwieńczę, mirtem czoło moje;
Tak się wam upodobam — inny w boju srogi,
Inny z Marsem przychylnym niech rozgania wrogi;
A mnie przy dzbanie żołnierz niech zadziwia bojem,
Na stole kreśli obóz rozlanym napojem.

Szaleństwo śmierć wyzywać w boju, krwi roztokiem,
Godzi ona tajemnie, cichym dąży krokiem.
Nie kłosy są pod ziemią, nie winnic jagody;
Cerber tam jest, woźnica brudnej Styksu wody;
Sam z włosem zapalonym, z zapadłą powieką,
Tłumami cienie błądzą nad obrzydłą rzeką.
Ach! raczej tego sławić, kto wśród skromnej chatki
Spokojną starość kończy troskami o dziatki:
Jemu straż trzody, synom jagniąt powierzona,
Strudzonemu rzeźwiącą stawia kąpiel żona;
Tak żyć pragnę, tak dajcie, niech włos mój siwieje!
Niech dzieciom starych czasów opowiadam dzieje.

A teraz, pokój niechaj pola nam umaja;
Pokój sam w krzywe jarzmo nagiął kark buhaja,
Pokój przepełnia grona i wytłacza wina,
Aby puhar po ojcach pienił się dla syna,
Pokój dzierży pług z radłem, a broń bohatera,
W ciemny kąt zarzuconą, tajnie rdza pożera,
Kmiotek krzepiąc do chaty siły wytrudzone,
Tocząc wóz, wiedzie z lasu i dzieci i żonę.

Lecz wtedy Wenus walczy; sama już dziewica,
Płacze na drzwi wyparte, na zranione lica,
Ucięte piękne włosy, w łzach stroskana tonie;
Lecz i zwycięzca płacze na porywcze dłonie,
A chytry Amor, który sam poswarki rodzi,
Zmiękczony, siada w środku i zwaśnionych godzi.

Kamieniem jest, żelazem, kto bije swą lubę,
Sam on bogom wyrywa grom na własną zgubę...
. . . . . .
Dośćby przywieść o nieład włosy utrefione,
Dość już do łez pobudzić. O stokroć szczęśliwy,
Kto pogniewany, widzi płacz kochanki tkliwy;
Kto dziki, rąk używa, niech tarczę, broń bierze,
Daleko niech łagodnej uchodzi Wenerze.

A ty bywaj, pokoju! Kłos potrząsaj z dłoni,
Niech przed tobą owoce, czyste pole roni.

(Kazimierz Brodziński).

(Wszystkie elegie Tybulla przełożył na nasz język Jędrzej Moraczewski i wydał wraz z tekstem łacińskim we Wrocławiu 1839. Dwie elegie: Do Bachusa i Do pokoju przetłómaczył Kazimierz Brodziński).

VII. Propercyusz.

1. Pochwały Cyntyi. (Księga II, elegia 2).

Wolny byłem, samotnym wiecznie zostać chciałem,
Kiedy mię miłość zwiodła przymierzem niestałem.
Dlaczegoż ta twarz boska wśród śmiertelnych gości?
Jowiszu! przebaczam ci twe ziemskie miłości.
Włos ma żółtawy, ręce w najpiękniejszym toku,
Przewyższa inne wzrostem i żywością wzroku;
Czoło siostry Jowisza, ruszenie Pallady,
Gdy ta, niosąc egidę najeżoną gady,
W Dulichium odwiedza przybytki swej chwały,
Albo z kąpieli Feru niesie krok wspaniały.

Taka była to króla nad Lapity żona[1]),
Gdy gromada Centaurów, winem upojona,
Porwać ją wśród wesela w krwawym chciała sporze
Piękniejsza niż boginie, co na Idy górze
Dziwnemi wdzięki oko pasterza łudziły.
Oby tej twarzy boskiej lata nie zmieniły!
Ani zmarszczki starości czoła nie zorały,
Choćby kumejskiej wróżki[2]) wiek przeżyła cały!

2. Do Tullusa. (Księga I, elegia 14).

Siadłszy rozkosznie na tybrowym brzegu,
Ze złotych czaszy cedząc słodkie płyny,
Patrz na twe statki w szybkim z wodą biegu,
Patrz, jak je zwolna wloką nazad liny.
Patrz na twe lasy, którym ziemska kula
Ledwo ma równe na Kaukazie bory.
Mnie gdy kochana do serca przytula,
Za nic uważam bogactwa i zbiory.
Miłość nie klęka przed złota bałwanem;
I mnie nie łudzi tronów świetność cała.
Nie żądam berła, nie pragnę być panem,
Oby mi Wenus jedynie sprzyjała!
Kto tę wszechwładną obrazi boginię,
Szalony, jeśli o szczęście się kłóci;
Dla mnie nadzieja szczęścia nawet ginie,
Gdy Wenus okiem zagniewanem rzuci.
Ona jad wlewa w twarde dusze srogi,
Ona miedziane piersi zmiękczyć może,
Pysznych ją świątyń nie odstręczą progi,
Ni złotem tkane zatrzyma ją łoże.
Co mu bogate wezgłowia pomogą?
Co mu potrójna zasłona udzieli?
Ręką Wenery gdy uciśnion srogą
Wzdycha bezsenny wśród miękkiej pościeli.
Co do mnie, jeśli zawsze me ofiary
Dojdą do tego bóstwa majestatu,
Gardzę pysznemi Alkinoja dary,
Ni chcę panować schylonemu światu.

3. Do Cyntyi. (Księga I, elegia 2).

Co ci pomoże nosić włosy utrefione
I suknię w Koos tkaną kryć członki pieszczone?

---

[1]) Asterope w Tesalii.
[2]) Sybilla, która miała żyć lat tysiąc w Cumae w Italii.

Woniami zlewać ciało i wdzięk twej osoby
Obciążać bez potrzeby obcemi ozdoby,
Twe powaby przedażnem piększydłem zacierać,
Zazdrościć swej urodzie i blask jej odbierać?
Wierz mi, tym skarbom, które zlały na cię nieba,
Żadnej pomocy, żadnej sztuki nie potrzeba.
. . . . . .
Patrz, jak natura ziemię w żywe farby stroi;
Patrz, jak bluszcz bez uprawy wspina się po płotach,
Jak ta jeżówka buja w tych samotnych grotach
Kto ten strumyk nagina po łąkach tak mile?
Kto te konchy na brzegu ustroił w farb tyle?
Kto te ptaszęta uczył tak miłego pienia?
Zrównałaż kiedy sztuka dziełu przyrodzenia?

(Przytoczywszy kilka przykładów z mitologii o pięknych niewiastach, które wdziękami swemi, a nie strojami i upiększeniami zjednywały wielbicieli, poeta mówi dalej):

Gdy podbijały serca te sławne kobiety,
Skromność, wstyd i niewinność były ich zalety.
Niemniej żywe płomienie tyś wzbudziła we mnie,
I wierzę, iż mnie kochasz, kochana wzajemnie;
Jednemu się podobać dziewczyna sposobna
Już jest dosyć przybrana i dosyć ozdobna.
Cóż, kiedy ci Feb sprzyja? gdy twe palce zręczne
Na lutni Kalliopy tworzą tony wdzięczne;
Gdy twe ciało, twój rozum wszystkie wdzięki mieści,
Gdy cię Minerwa darzy, gdy cię Wenus pieści;
Ach, bez pomocy sztuki, tylu ponęt siła
Propercego ci serce nazawsze podbiła.

(Euzebiusz Słowacki).

VIII. Wergiliusz.[1])

A) Eneida.

(Księga I—VI. Wędrówka Trojan do Lacyum). W siódmym roku tułaczej swej żeglugi Eneasz z towarzyszami, jakich miał na siedmiu ocalonych okrętach, za sprawą gniewnej Junony zostaje z Sycylii zapędzony ku brzegom libijskim w Afryce. Wenus, opiekująca się Eneaszem, zanosi za nim prośby do Jowisza, który odkrywa jej świetne losy jego potomków w Italii i pozwala jej pokierować krokami ulubieńca. Za jej pomocą okryty mgłą wchodzi Eneasz z wiernym Achatesem do Kartaginy, gdzie odnajduje towarzyszów swoich i zostaje przez królowę Dydonę gościnnie przyjęty. Wenus, chcąc pozyskać całkowicie serce Dydony dla Eneasza, posyła syna swego, Kupidyna,

[1]) Tak filologowie dzisiejsi piszą nazwisko znakomitego poety, zamiast dawniejszego: Wirgiliusz.

by w duszy królowej miłość ku bohaterowi trojańskiemu podniecił. Na życzenie Dydony Eneasz opowiada (w księdze II) dzieje zburzenia Troi, poczynając od historyi konia drewnianego, w którym ukryci byli rycerze greccy. Tu się mieści epizod o śmierci kapłana Laokoona, który owego konia ośmielił się ranić pociskiem:

Padł los na Laokona, by wołu w ofiarze
Wielkiego przed Neptuna powalił ołtarze.
Wtem od wyspy Tenedu po morskiej głębinie
(Drżę jeszcze, gdy to mówię) para wężów płynie;
Oba w kręgach ogromnych czołg ku brzegom wiodą;
Pierś ich tkwi pośród wody, krwawy pysk nad wodą,
A ogon w mnóstwo kłębów za nimi zwinięty
Pławił się przez spokojne słonych wód odmęty.
Krzyk powstaje, skłócone morze piany ciska.
Wchodzą na ląd: krew z ogniem z oczu ich wytryska,
A sycząc ozorami liżą paszczę srogą.
Uciekamy wybledli; oni prostą drogą
Na Laokona skręty wymierzyli swoje,
I najpierwej spotkawszy dzieci jego dwoje,
Wpadli na nie obadwa, w kłęby opasali
I drobne ciała nędznych okropnie skąsali.
Bieży z mieczem na pomoc ojciec żalem zdjęty,
Wnet i jego krępują straszliwemi pęty;
Dwakroć ciało ściśnięte i barki i szyja,
Dwakroć gad hardym karkiem nad głowę się wzbija
Czarnym jadem okryty i posoką zlany,
Oburącz targa z siebie dręczące kajdany;
A wyciśnięte bólem okropne jęczenia
Do gwiaździstego niebios dochodzą sklepienia:
Podobnie zbiegły cielec od ołtarzy ryczy,
Gdy z grzbietu strąci chybny topór ofiarniczy.
Wtem czołg swój ku świątyni obróciwszy gady,
Uciekają i w zamku kryją się Pallady.
Tu nowa trwoga w drżące przeciska się łona.
Wszyscy za grzech skaranym mienią Laokona,
Który na święte drzewo dłoń swoją wymierzył
I zbrodniczym pociskiem w bok konia uderzył.
Cały gmin błagać bóstwo domaga się w zgodzie,
Wiedźmy konia — wołają — i umieśćmy w grodzie

(Franciszek Wężyk).

Gdy konia wprowadzono do Troi, Grecy, którzy udali tylko odjazd, wracają i dostawszy się do miasta, wypuszczają rycerzy z wnętrza owego konia i szerzą spustoszenie. Eneasz, przestrzeżony we śnie przez Hektora, zabiera na barki swe starego ojca, Anchizesa, i wraz z synkiem Askaniuszem uchodzi z płonącego grodu, a sam wraca po zabłąkaną małżonkę Kreuzę, której cień tylko oznajmia mu, że już tu jej na ziemi nie znajdzie. Resztki Trojan poddają się kierownictwu Eneasza i opuszczają kraj ojczysty. Jadą do Tracyi, na wyspę Delos i Kretę, gdzie we śnie bogowie każą mu udać się do Italii. Żegluga do Epiru, potem do Sycylii, odrzucenie okrętów przez burzę na brzegi Afryki wypełniają dalsze opowiadanie Eneasza. W księdze IV opowiada poeta walkę rodzącej się w sercu Dydony miłości ze ślubem dochowania wiary zmarłemu małżonkowi. Królowa zwierza się ze swych niepokojów siostrze swej Annie:

Anno, siostro, bezsenność dręczyła mię do dnia.
Jakiegoż w moje progi puściłam przychodnia!
Jaki w nim wdzięk z powagą, jak pierś nie zna trwogi,
Niepłonnie go być mienisz pokrewnionym z bogi.
Jak wywierał na niego Wyrok[1]) siły swoje!
Jak wzruszające litość opowiadał boje!
Gdybym sobie już była stale nie przysięgła,
Abym w małżeńskie jarzmo z nikim się nie wprzęgła,
Gdyby nie wstręt do związków z żałosnej przyczyny:
Ten tylko byłby godnym wciągnąć mnie do winy.
Wyznam przed tobą, siostro, po przeciętej parze,
Gdy bratnia ręka zlała krwią męża ołtarze[2])
Ten jeden w moich zmysłach czułość wzbudzić umiał,
Ten dawne wskrzesić ognie, które żal przytłumiał.
Ale niech się wprzód ziemia podemną zawali,
Niech na mnie Jowisz piorun ognisty zapali,
I między blade strąci Erebu straszydła,
Niżeli święte wstydu przestąpię prawidła!
Tamten, co pierwsze moje skłonności ku sobie
Jak w życiu miał jedyne, tak niech ma i w grobie".
Rzekłszy, łzy na swe łono upuszcza obficie.
Na to Anna: „O, siostro, droższa mi nad życie!
Czemu tęsknotą nikniesz w samym wieku kwiecie?
Bez dziatek, bez największej rozkoszy na świecie?
Co stąd za korzyść mają popioły i cienie?
Alboż nie dosyć długie twoje udręczenie?
Wzgardziłaś zalotników potęgą i skarby
I w Tyrze i możnego w Afryce Hyarby;
Do libijskich cię królów skłonność nie prowadzi,
Ale nie gardź miłością, którą serce radzi.
Zastanów się z uwagą, jakie masz sąsiady:
Tu krążą wyuzdanych Numidów gromady,
Stąd nas Getulów srogich krainy obległy...
Pomnij, że brat zawzięty gotuje nachody
I pragnie z ziemią zrównać wznoszące się grody.
Wierzę, iż bogów łaska, przychylność Junony
Trojański zastęp w nasze przypławiła strony.
O, siostro! wprędce będziesz oglądać radośnie,
Jak się państwo rozszerzy, jak twe miasto wzrośnie,
Jeśli przez to małżeństwo, na pożytki wieczne,
Trojany z Fenikami połączysz waleczne.
Tylko ty błagaj bogów; a czyń uczty hojne,
Znajdą się przewlec odjazd pozory przystojne..."
Większą po tej rozmowie ognie wzięły żywość,
Wzmagały się nadzieje...

---

[1]) Fatum, konieczność, przeznaczenie.
[2]) Brat Dydony Pigmalion zabił jej męża Sycheusza przy ołtarzu.

Bije owce dwulatki, prosząc o sprzyjanie
Junony, o małżeństwach mającej staranie.
Albo czyni obchody przed obcene bóstwa
Na ołtarzach stłuszczonych od ofiary mnóstwa.
Z otwartej piersi bydląt wyrwane jelita
Zważa drgające jeszcze — i o losy pyta.
O, błędne wieszczków zdanie! cóż palone wonie,
Cóż ofiary, ołtarze pomogą Dydonie?
Gore i sercu rana dojmuje niezgojna.
Po wszystkich miasta stronach biega bezspokojna.
Tak mniej obaczny łowiec, gdy pierzchliwej łani
Bok polotnem a tkwiącem żeleżcem zarani,
Ta ucieka po górach, ucieka po lesie,
Ale wszędy zabójczą strzałę z sobą niesie.
To wiodąc Eneasza okazywać rada,
Jak liczne jej dostatki, jak można osada;
To zaczyna coś mówić i miesza się z mową;
To po uczcie obiednej ucztę daje nową.
Chce jeszcze wojną Troi mieć pojone zmysły,
Od ust jego jej wszystkie wzruszenia zawisły.
Po rozejściu, gdy księżyc blask wydaje ciemny
I gwiazdy nachylone radzą sen przyjemny,
Dom się jej zdaje pustym; przejęta żałobą
Słyszy nieprzytomnego i widzi przed sobą;
Albo Askanijusza na swem łonie pieści,
Że się w nim żywy ojca wizerunek mieści.
Nie zbroi portu, wszczętych nie podnosi wieży,
Nie dogląda wojennej ćwiczenia młodzieży:
Próżno stoją machiny wzniesione pod chmury,
Zaniedbane są twierdze i grożące mury.

(Stanisław Trembecki).

I Eneasz odpłacił wzajemnością miłość Dydony, lecz Jowisz na prośby Hyarby, króla Getulów, pragnącego poślubić założycielkę Kartaginy, wysyła do bohatera trojańskiego Merkuryusza, by go skłonić do opuszczenia Afryki i pożeglowania ku Italii. Eneasz puszcza się w nocy na morze. Dydona, w rozpaczy miotając nań przekleństwa, życie sobie odbiera na stosie przygotowanym we własnym swym pałacu:

Widząc królowa, skoro blade wstało zorze,
Że pełnym żaglem flota wychodzi na morze,
Gdy i brzegi i porty bez majtków obaczy,
Trzykroć ozdobne piersi uderza w rozpaczy
I śliczny włos targając: „Ach! pójdzież ten zbrodzień!
I tak się państwu memu urąga przychodzień!
Nie porwież się do broni lud po całem mieście?
Nie zepchnież naw do wody? Idźcie, ogień nieście!
Rozpościerajcie żagle, napierajcie wiosły...
Co mówię? Jakież mnie to szaleństwa uniosły?
Czy teraz czyn bezbożny przeraża Dydonę?

A nie przerażał, kiedyś dawała koronę!...
Taż-to wiara, pobożność! Onże bogi Troje,
On ojca zgrzybiałego wziął na barki swoje!
Nie mogłam go rozszarpać? w morskie cisnąć wały?
Wyrżnąć Trojan i zniszczyć ich ród pozostały?
Nie mogłam w samym Julu[1]) żelaza zakrwawić?
Pociąć w sztuki? i z członków ojcu ucztę sprawić?...
Lecz bitwy los niepewny... Próżna dla mnie trwogo!
Odważywszy się na śmierć, możnaż się bać kogo?
Zniszczyłabym okręty, z ogniem na nie wbiegła,
Lud z ojcem, z synem zniosła — i sama poległa.
Słońce! którego oku jawne wszystkie rzeczy,
I ty, Juno! mająca me troski na pieczy!
Ostatniego Dydony słuchajcie westchnienia:
Jeżeli kiedy zbrodzień do portu zawinie
I ten konieczny wyrok Jowisza nie minie;
Niech się przynajmniej z mężnym ludem bronią ścina,
Niech żebrze wsparcia, tułacz, oderwan od syna,
Niech widzi pogrzeb sprosny Trojan ległych w boju,
A gdy kark poda w jarzmo twardego pokoju,
Niech się nie cieszy długo ni życiem, ni tronem,
Lecz na piasku niegrzebny prędkim padnie zgonem.
Tak życzę, niech się zdrajcy bezbożnemu dzieje;
Ten ostatni głos wznoszę, nim duszę wyleję.
Wy zaś, Kartagińczycy, ród i przyszłe plemię
Ścigajcie; te mnie dary przyślijcie pod ziemię:
Niech żaden mir nie przerwie ludów zawziętości,
Powstań kiedy, mściciela jaki, z moich kości!
Byś ogniem i żelazem niszczył ród niemiły
Teraz, potem, jak tylko pozwolą wam siły,
Niech brzegom będą brzegi, morza morzom sprzeczne,
Broń broni; wy i wnuki toczcie walki wieczne"...

. . . . . .

Okropnem przedsięwzięciem zdziczała Dydona
Krwawym powłócząc wzrokiem i sine znamiona
Na drżących mając licach, blizką śmiercią blada,
Wewnątrz domu szalona śpiesznym krokiem wpada,
Wstępuje na wierzch stosu i tam nieszczęśliwa,
Nie na to przeznaczony miecz z pochwy dobywa...
A gdy szaty trojańskie...
Ujrzała, łez i westchnień przytłumić nie może.
Przyciska je, wydając te ostatnie głosy:
„Słodkie zabytki! póki bóg szczęścił i losy!
Weźcie ten duch i zrzućcie ze mnie ciężar srogi.
Żyłam, jaką dał Wyrok, dokonałam drogi;

[1]) Toż samo co Askaniusz, syn Eneasza.

I dziś z wielkiem imieniem wstąpię w kraj ponury.
Wzniosłam gród wiekopomny, widziałam swe mury;
Ukarałam na bracie z małżonkiem czyn krwawy,
Szczęsna, ach nadto szczęsna! gdyby tylko nawy
Trojańskie nie przybyły w tę krainę!...
Niechaj z morza Dardańczyk widzi blask płomieni
I niesie z sobą straszne śmierci mej widziadła!"
Rzekła; w tych słowach widzą przytomni, iż padła;
Krwią ręce zabroczone, miecz kurzy się zlany.
Żałobnemi krzykami brzmią wysokie ściany;
Rozległa się wieść smutna po wzruszonem mieście;
Po domach żale, płacze, kwilenia niewieście,
Powietrze napełnione przeciągłemi jęki,
Właśnie jakgdyby padał z nieprzyjaciół ręki
Kartagi lub dawnego Tyru mur zdobyty,
A i ludzkie i boskie zajął pożar szczyty.
Śpieszy Anna, żałosną wieścią przerażona,
Drze lice i razami nie oszczędza łona,
Wzywając konającej mową nadaremną:
„Ten był zamysł twój, siostro, ten podstęp przedemną!
W tym celu wzniosłaś ołtarz, miałaś stos zapalić!
Na cóż się opuszczona będę najprzód żalić?
Czy, żeś nie dała w śmierci towarzyszyć sobie?
Ach, w jednej chwili jeden cios zgubiłby obie!
Sama stawiałam, sama czyniłam wezwanie
Bogów, bym cię znalazła w tak okropnym stanie!
Mnie i siebie i naród i starszyznę razem
I miasto twoje, siostro, niszczysz tem żelazem.
Dajcie mi czystej wody, na rany wyleję
I schwycę usty ducha, jeśli jeszcze tleje".
Tak płacze, na wierzch weszła i ująwszy w dłonie
Konającą tuliła siostrę na swem łonie
I ocierała szatą krew, która ją broczy.
Ta siliła się podnieść ociężałe oczy,
Znowu mdleje; pierś rana głęboko rozdarła;
Potrzykroć się podniosła i na ręce wsparła,
Trzykroć padła na łoże i zbłąkanym wzrokiem
Szukała światła, jękła nad światła widokiem.

(Fr. Ks. Dmochowski)

Opuściwszy Kartaginę, Eneasz znów zostaje zapędzony do Sycylii, gdzie uprzejmie przyjęty, obchodzi rocznicę śmierci ojca, czyniąc ofiarę na grobie jego i wydając igrzyska. Wtem Trojanki podpalają swoje okręty; cztery z nich spłonęło. Eneasz przestrzeżony we śnie przez ojca, pozostawia kobiety i starców niedołężnych w Sycylii, a sam z wyborem mężów do Italii pośpiesza. Przybywszy do Kum zasięga wieszczby u Sybilli o przyszłości, w jej towarzystwie schodzi do świata podziemnego, gdzie na widok jego Dydona szybko ucieka, a Anchizes przepowiada mu przyszłe losy Albańczyków i Rzymian, a między innemi wielbi Marcella, syna Oktawii, zmarłego w wieku młodzieńczym. Ze świata podziemnego powraca przez bramę z kości słoniowej do swych towarzyszy, opuszcza Kumy i udaje się do Kajety.

(Księga VII—XII. Walki Trojan w Italii). Eneasz przybija szczęśliwie przy ujściu Tybru do morza w kraju, którego królem był Latyn; do króla tego wysyła posłów z podarunkami i prośbą, ażeby mógł założyć miasto. Latyn zgadza się i oddaje dobrowolnie córkę swoją Lawinię za żonę Eneaszowi. Tymczasem Junona, niechętnem patrząc okiem na powodzenie Trojan, wywołuje dla zmącenia pokoju jędzę z piekieł, która najprzód Amatę, żonę Latyna, potem Turnusa, króla Rutulów, gniewem przeciw Trojanom zapala. Z powodu zabicia obłaskawionego jelenia przez młodzież trojańską, powstała między Latynami a Rutulami utarczka, od której Latyn zdala się trzymał, chociaż Amata i Turnus wciągnąć go do niej chcieli. Turnus nakłania sąsiedzkie plemiona do pomagania sobie w powstałej stąd wojnie; Eneasz również stara się pozyskać sprzymierzeńców i dostaje pomoc od Ewandra, który uszedłszy z Arkadyi, osiadł był nad brzegami Tybru. Na prośbę żony swojej, Wenery, Wulkan sporządza dla Eneasza broń, wśród której zwracał szczególniej uwagę puklerz, gdzie były wyrażone przyszłe czyny potomków bohatera trojańskiego. W czasie jego nieobecności Turnus napiera na Trojańczyków, a ci wysyłają Nizusa i Euryala do Eneasza, ażeby na ratunek powracał. Piękny ten ustęp malujący męstwo i poświęcenie dwu przyjaciół przytaczamy (księga IX):

Bramy strzegł Nizus, plemię Hirtaka rycerza,
Który, rzucając Idę, płodną matkę zwierza,
Poszedł za Eneaszem, nowej szukać chwały;
Zręczny w miotaniu dzidy i w ciskaniu strzały.
Z nim był Euryal, wpośród młodzi tej wyprawy,
Nikt go nie przeszedł w kształcie twarzy i postawy.
Młodość mu brodę miękkim kryła jeszcze puchem.
Czułym przyjaźni obaj złączeni łańcuchem,
Razem biegli na boje, i razem w tej chwili,
Obaj do straży bramy przeznaczeni byli.
„Czyli bóg jaki — Nizus rzekł do Euryala —
„Podwaja we mnie męstwo, i serce rozpala?
„Czyli człowiek swą żądzę przeistacza w boga?
„Nie wiem, lecz duszą miota niespokojność sroga,
„I bitwę, lub wielkiego co przedsięwziąć wzywa.
„Widzisz, jak pyszny Rutul bezpiecznie spoczywa;
„Rzadkie migają światła... po ucztach weseli
„I winem upojeni głęboko usnęli.
„Cichość panuje... Słuchaj, jakie mam zamysły,
„Losy nasze od wodza powrotu zawisły.
„Posłów wyprawić radzą. Niech więc w tej potrzebie
„Nagrodę mego czynu zapewnią dla ciebie,
„Dla mnie dość chwały... Idę... W uboczu tej góry
„Znajdę drogę, wiodącą pod Pallanckie mury".
Takiej mowy Euryal słucha z zadumieniem,
I wnet mu serce chwały zagore płomieniem.
„Co — rzecze — mnie wspólnictwa zazdrościsz twej sławy,
„Broniąc, bym dzielił twojej przypadki wyprawy?
„Wśród walk owych, gruzami co okryły Troję,
„Nie te uczucia ojciec wpajał w serce moje.
„Nie te mi dawał Ofelt, w bojach sławny, rady,
„Ani wraz z tobą idąc w Eneasza ślady,
„Mogłem nieść słabą duszę... Tak, Nizie wspaniały,
„To serce gardzi życiem, goreje do chwały,

„I śmierć nie może sądzić zapłatą zbyt drogą
„Tych laurów, za któremi śmiałą dążysz nogą".
„Nie — rzekł Nizus — znane mi twe męstwo niezłomne.
„Oby tak Jowisz, wsparłszy zamiary ogromne,
„Zwycięzcą mnie powrócił na twe łono miłe.
„Lecz jeśli (widzisz groźną niebezpieczeństw siłę)
„Jeśli mi tu przeznaczyć kres zdało się bogu;
„Przeżyj mnie, jeszcze stoisz w samym życia progu.
„Ty wrócisz ziemi Niza, odzyskawszy, zwłoki;
„Lub gdyby tego nawet wzbroniłyć wyroki,
„Cień mój próżnym grobowcem zbłagasz, Euryalu.
„Zważ, w jakim serce matki pogrążyłbyś żalu,
„Matki, co sama z tobą żegluje i wojnę
„Przekłada nad mury Acesta spokojne".
„Nie, nic mnie nie odmieni, daremne twe rady,
„Rzecz przedsięwzięta, śpieszmy, idę w twoje ślady".
Rzekł: budzi nowe straże... ci przy bramie stają,
Oni się śpiesznym krokiem do króla udają.
Ze snu natenczas znużone stworzenia,
Piły po trudach słodki napój zapomnienia.
Sami wodzowie Trojan, bezsenni w tej chwili,
O ważnych sprawach stanu troskliwie radzili.
Na długich wsparci włóczniach, w zbroje przyodziani,
Stali w środku obozu, dzielni, lecz stroskani,
Kogo wysłać do króla, jakiego być zdania?
Wtem Nizus z Euryalem proszą wysłuchania,
Ogłaszają rzecz wielką i ważne układy.
Jul pierwszy dwóch przyjaciół wprowadza do rady:
„Męże — rzekł Nizus — wielkie zamierzamy sprawy,
„Niechaj wam młodość nasza nie czyni obawy,
„Rutulów sytych wina uśpił sen głęboki,
„Ognie pogasły, dymy wstępują w obłoki.
„Znamy miejsca wycieczki; przy nadmorskiej bramie
„Na dwie się kręte ścieżki wielka droga łamie.
„I jeśli się wam, męże, myśl podoba nasza,
„W murach Pallanckich pójdziem szukać Eneasza;
„A posławszy Latynów mnogie w piekło trupy,
„Wrócimy, niosąc laury i zwycięskie łupy.
„Ni zbłądzić możem. Nieraz wychodząc na łowy,
„Widzieliśmy pod górą Pallanckie budowy,
„Bieg rzeki doskonale znajomy nam cały".
Wtem powstał Alet, w latach i radzie dojrzały.
„Bogowie — rzekł — pod których Troja jest opieką,
„Jeszcześmy od zupełnej zagłady daleko,
„Gdy takim młodzież nasza jest duchem natchniona".
To mówiąc bohaterów przyciskał do łona,
I łzy czułego starca zrosiły ich twarze.
„Jakież nagrody waszej zrównają ofiarze?

„Jakiej godniście chwały? Najpiękniejszą przecie
„Już teraz w gruncie serca swego znajdujecie.
„A Eneasz, i wierny dziedzic jego chęci,
„Nigdy tak wielkich zasług nie zmażą w pamięci".
— „Tak przysięgam na nieba! — Askaniusz powie:
„Świadkiem mi ogień Westy i Troi bogowie!
„Że to wszystko, czem kiedy władnąć będę w stanie,
„Powrotu mego ojca nagrodą zostanie.
„I fortuną i władzą z wami się podzielę.
„Szukajcie Eneasza, dzielni przyjaciele!
„Przy nim was nie dosięgną złego losu groty...
„Dwa dam drogie naczynia misternej roboty,
„Które zdobył, Aryzbie gdy narzucił pęta;
„Dwa trójnogi, i złota dwa wielkie talenta;
„I czaszę starożytną, drogi dar Dydony.
„To mało; lecz gdy Latyn będzie ukorzony;
„Zwycięzcy, kiedy łupów będziem czynić działy:
„Wiesz, na jak dzielnym koniu siedział Turnus śmiały,
„Tego, i hełm z purpurą, i puklerz, i zbroję,
„Wyłączam od podziału, Nizie, te są twoje.
„Dwunastu jeńców, z bronią, pójdzie w twą niewolę:
„Twojem będzie Latyna urodzajne pole.
„Ty zaś, co do mnie zbliża wiek młodości świeży,
„Już całe moje serce do ciebie należy,
„I jakikolwiek obrót wezmą moje sprawy,
„Ni żyć bez ciebie mogę, ani szukać sławy.
„W pokoju, w wojnie, w tobie moje zaufanie —
„I rada i życzenie złożonem zostanie".
„Nigdy — wzruszony na to Euryal odpowie —
„Czy szczęście, czy nieszczęście nadarzą bogowie,
„Nie stanę się niegodnym tak wielkiej ofiary.
„Lecz jest dar milszy dla mnie, niż te wszystkie dary.
„Jestem synem: z Pryama dawnego plemienia
„Mam matkę, towarzyszkę mego przeznaczenia:
„Ani ją ziemia Troi zatrzymała żyzna,
„Ani nowa wśród murów Acesta ojczyzna.
„Tę dziś, gdy serce szukać przypadków mnie skłania;
„Zostawiam niewiadomą, i bez pożegnania.
„Świadczę się twą prawicą, i świętością nocy,
„Że oprzeć się łzom matki nie miałbym dziś mocy.
„Pocieszaj więc jej żale, wspieraj opuszczoną,
„Niechaj tę pewność niosę w niebezpieczeństw łono.
„Nic mię strwożyć nie zdoła z tą miłą nadzieją".

Julus przyrzeka Euryalowi zaopiekować się jego matką jakby własną i odpasawszy miecz piękny od swego boku daje go młodzieńcowi. Nizus otrzymuje na ramiona lwią skórę od jednego z wodzów, a przyłbicę od drugiego. Pożegnani przez Trojan w cieniu nocy dążą przez obóz Latynów i srogą w nim rzeź sprawiają, poczynając od wieszczbiarza Ramneta. Już opuścili obozowisko:

Wyszli obaj: tymczasem z Latyna stolicy
Oddział wyboru jazdy przebywał te pola,
I pysznemu Turnowi niósł odpowiedź króla.
Trzemset w pancerzach Wolscens przewodniczył śmiały.
Już widzą twierdze miasta i obozu wały,
Gdy blizko dwóch idących manowcem ubocznym
Ujrzeli... świt już walczył z cieniem nocy mrocznym.
Promień ranny od świetnej odbity zdobyczy
Wydał młodych rycerzy. „Nie mylę się — krzyczy —
„Widzę kogoś...“ Skąd, ludzie, czemu uzbrojeni?
„Gdzież dążycie — rzekł Wolscens — wpośród nocnych cieni?“
Nic mu na to nie rzekli, ale śpiesząc kroku,
Lasów i zbawczej nocy szukają pomroku.
Wtem w zakrętne manowce jazda się rozbiega
Tu i owdzie; i wszystkie ucieczki zalega.
Las był czarny, najeżon cierniami i krzaki,
Mylne go w mnóstwie ścieżek przerzynały szlaki.
Błąd radzi różne drogi, waha każdym krokiem.
Idzie Euryal gęstwią w milczeniu głębokiem
Wpośród zarośli, łupów ciężarem ugięty,
Wikła się w zgubnych ścieżek omylne zakręty.
Nizus przebył. Już wierzchu tych wzgórków dopada,
Gdzie się wtedy Latyna bujne pasły stada,
Później widziały Rzymu osadę przemożną.
Stanął i Euryala gdy szuka napróżno,
„Nieszczęsny— krzyknął — w którąż udaleś się stronę?
„Gdziem cię stracił? którędy poniosęć obronę?“
Wnet nazad w ciemnych lasów rzuca się pustynię,
Szuka śladów, i błądzi po głuchej gęstwinie.
Słyszy już tentent koni, słyszy zgiełk rycerzy,
I wnet o uszy jego smutny wrzask uderzy.
Zbłąkanego dróg mnóstwem i ciemnotą nocy
Postrzega Euryala w nieprzyjaciół mocy.
Tłumem otoczon, walczy, lecz słabą już dłonią...
Jakąż go siłą wyrwie? jaką zbawi bronią?
Cóż pocznie? czy sam wpadnie wpośród obcej rzeszy
I w chlubnych ranach zgonu godzinę przyśpieszy?
Lecz jego dzielna wstrząsa już dzidą prawica:
A patrząc w miłą zorzę, która noc oświéca,
„Bóstwo — rzekł — które zdobisz święte niebios kraje,
„Córo Latony, której hołd przynoszą gaje,
„Wspomóż w niebezpieczeństwie, i wspieraj zamiary;
„Jeśli ci nieraz Hirtak święcił liczne dary,
„Jeślim sam leśne łupy wieszał u twych progów;
„Pozwól, abym rozproszył tę nawałę wrogów,
„I moich strzał w powietrzu chciej kierować lotem“...
Rzekł, i wyrzucił dzidę całym siły miotem.
Leci pocisk, i świszczy wśród nocnego mroku,

I w Sulmona uwięza, i łamie się w boku;
On pada, a krwi z piersi rzygając strumienie,
W długich wymiotach traci wnętrzności i tchnienie.
Patrzą wszyscy zdziwieni; a Nizus bez trwogi
Wznosi w górę, i znowu grot wymierza srogi,
Gdy ci drżą zaniemiali, Taga obie skronie
Ostra włócznia przebija, i wśród mózgu tonie.
Sroży się Wolscens: sprawca klęsk mu nieznajomy,
Nie wie, na którą stronę zwrócić zemsty gromy.
„Twoja śmierć, rzecze, stratę mi obu nagrodzi“.
Rzekł i już mieczem w piersi Euryala godzi.
Na taki widok rozpacz duszę Niza miota,
Na nic mu się już lasów nie przyda ciemnota:
Ani tylu boleści może przenieść razem...
„Mnie — woła — mnie, Latyni, przeszyjcie żelazem!
„Jam przewinił... Niestety, ten młodzieniec miły
„Nie miał ani odwagi, ani tyle siły.
„Jego zbrodnią jedyną... (bóg mi świadkiem wieczny!)
„Był zapał w nieszczęśliwej przyjaźni stateczny!“
Tak mówił, ale włócznia już uderza mściwa,
I białe Euryala piersi wpół rozrywa:
Krew broczy piękne członki, głowa nachylona
Cieniem śmierci okryta spada na ramiona.
Tak się schyla deszczami i burzą mak zgięty,
Tak więdnieje kwiat złoty lemieszem podcięty!
Nizus rzuca się zjadły, na Wolscensa zmierza,
Wolscensa tylko szuka, na niego uderza.
Próżno go towarzyszów zgraja otaczała,
Nizus wywija mieczem, jak piorun nim działa:
Aż w gębie, którą Rutul, wołając, otwiera,
Miecz pogrąża, i ginąc, życie mu wydziera.
Sam zaś na zimne pada Euryala zwłoki,
I sławne życie zmienia w spoczynek głęboki.
Święta przyjaciół paro, jeśli moje pienia
Późnych prawnuków będą czytać pokolenia:
Dopóki pobożnego Eneasza plemię
Schyloną w swojej władzy trzymać będzie ziemię;
Póki Kapitol będzie przybytkiem zwycięstwa;
Nie zaginie pamiątka waszych cnót i męstwa.

(Euzebiusz Słowacki).

Turnus uderza na Trojan z całą mocą, lecz od większej siły odparty, cofa się do swoich. Tymczasem powraca Eneasz z 30 okrętami i wobec wrogów wojsko posiłkowe wysadza na brzegi. Rutulowie starają się nieprzyjaciela od lądu odeprzeć; z obu stron powstaje straszna klęska, w której Pallas, syn Ewandra, wielu położywszy trupem, sam ginie z ręki Turnusa. Eneasz z żalu nad tak wielką stratą wielu Rutulów zabija na ofiarę za przyjaciela. Junona, lękając się o los Turnusa, uprowadza go tajnie z pola walki. Dla pogrzebania trupów następuje zawieszenie broni na dni 12. Poczem Latyn, nie mogąc żadnych otrzymać posiłków do prowadzenia dalszej wojny, doradza prosić Eneasza o zgodę. Ale Eneasz z wojskiem dwiema drogami pośpiesza do oblężenia

miasta Laurentu; Turnus rozdzieliwszy podobnież swe wojsko na dwie części zachodzi mu drogę. Wszczyna się żwawa utarczka jazdy; w niej ginie dzielna Kamilla z plemienia Wolsków (księga XI):

Wtem wpada amazonka, gdzie te boje wrzały,
Z nagą piersią Kamilla, w ostre zbrojna strzały.
To lekkie ciska groty, puklerzem okryta,
To silną dłonią topór niestrudzona chwyta;
Dzwoni na niej łuk złoty i zbroja Dyany.
Gdy ją znów nieprzyjaciel odpiera zebrany,
Zwraca się, strzały miota, stawia dumne czoło.
Mężne ją towarzyszki otaczają wkoło:
Tullę, silną Tarpeję, Larynę ma z sobą,
Dziewice, jej orszaku będące ozdobą...
Kto pierwssy, kto ostatni padł grotami twemi?
Dziewico, ilu mężów usłałaś po ziemi?...
I tu mężów Troi dziewica obala,
Ile rzuca pocisków. — Ornit leci zdala,
Myśliwiec kryty zbroją dziką i ponurą,
Odziany na ramionach zdartą z wołu skórą;
Paszcza wilka ogromna nasroża mu czoło
I groźnie błyszczącemi świeci kłami wkoło,
A kolczastą buławę w silnej ręce dźwiga.
Ten na koniu japiskim[1]) przeciwników ściga
I walczących wysoką postawą przechodzi.
Zwalczywszy jego rotę, Kamilla nań godzi,
Przebija i nad ległym tak rzecze rycerzem:
„Czy sądziłeś, Tyrreńcze[2]), że gonisz za zwierzem?
Patrz! oto dumę twoją starł oręż niewieści!
Idź i te twoim ojcom nieś do piekieł wieści,
Żeś przecie nie bez chwały padł Kamilli grotem“.
Wnet Butes i Orsyloch szybkim pędzą lotem,
Ogromni z ciał Trojanie. Dziewica straszliwa
Lecącego Butesa wprzód włócznią przeszywa,
Między zbroją i hełmem świszczący cios wbija,
Gdzie odkryta z puklerza naga błyszczy szyja.
Biegnąc kołem unika Orsylocha broni,
Lecz zabiegłszy mu z tyłu goniącego goni.
Nadaremnie ją błagał, wściekła, bez litości,
Nurza w nim ciężki topór przez tarczę i kości,
A ciepły mózg wypłynął z wrzącej krwi potokiem.
Rzuca się, lecz wnet staje zlękły jej widokiem.
Widząc, że go ucieczka z tej walki nie zbawi,
Że zajadłej królowej oporu nie stawi,
Uczony snuć wykrętów, temi rzecze słowy:
„Co za chwała na koniu toczyć bój Marsowy?

[1]) Japigia, część południowej Italii.
[2]) Tyrrenia = Etrurya, część Italii.

Porzuć właściwą trwożnym ochronę nikczemną
I pieszo równą siłą potykaj się ze mną;
Ujrzymy, żądzę chwały kto przypłaci zgonem".
Ta gniewna, rozjuszona i z bijącem łonem
Konia swego natychmiast towarzyszce daje
I pieszo z gołym mieczem, z samą tarczą staje.
On sądząc, że podejściem dni swoje ocalił,
Spiął rumaka i bystrym pędem się oddalił.
„Taka-ż to śmiałość twoja, Ligurze[1]) nadęty!
Próżno się zbogaciłeś w ojczyste wykręty!"...
Ognista, lekką stopą rumaka dosiada,
Bodzie go, puszcza cugle, leci zemstą wrząca,
Broczy ziemię krwią zdrajcy i w piekła go wtrąca.
Tak za lotnym gołębiem pomiędzy obłoki,
Puszcza się krwawy jastrząb z wyniosłej opoki,
Chwyta go w krzywe szpony, rozrywa, a z góry
Krew w drobnych spada kroplach z wyrwanemi pióry...
Tarchon[2]) wpada z rumakiem w pierzchające szyki,
Upomina, do walki zwraca wojowniki,
Każdego po imieniu woła i duch krzepi.
„Nędzni! zawsze będziecie i gnuśni i ślepi.
Jakaż to podła trwoga w sercach waszych wzrasta;
Tłumy wasze rozprasza, kto? jedna niewiasta?
A do czegoż ten oręż, te w ręku pociski?
Dążycie do biesiadą zastawionych stołów,
Lubicie, gdy z ust wieszcza wróżba was szczęśliwa
W świętych gajach do tłustej ofiary przyzywa!"...
Wtedy należny Parkom[3]) Aruns z włócznią w dłoni
Z bacznem okiem zdaleka za Kamillą goni;
Czeka, aż zapalona wpadnie między zgraje,
Nadbiega i w milczeniu na przesmyku staje.
Gdy ta mężnie uchodzi z nieprzyjaciół tłoku,
Ten szybkie zwraca konie, czai się na boku,
Wszystkie drogi przegląda, zawsze jest na straży,
Okrąża i niemylną zdrajca włócznię waży.
Wtem Chloreus, Cybeli niegdyś kapłan w Troi,
Błyska oczom Kamilli we frygijskiej zbroi,
Leci spienionym koniem, a czapraka skóra
Świeci się złotą łuską najeżoną w pióra.
Sam w brunatnej purpurze jeździec okazały...
Łuk mu dzwoni na barkach, hełm na głowie złoty.
Wtedy błyszczące płaszcza szkarłatnego sploty
Zwijał w bogate węzły, pod płaszczem brzęczący
Lśnił się pancerz szkarłatem i złotem płynący.

[1]) Liguryа: północna część Italii; z niej pochodził Orsyloch.
[2]) Jeden z wodzów trojańskich.
[3]) t. j. mający wkrótce zginąć.

Tego, zbroją trojańską chcąc piersi otoczyć
I w zdobytych bogactwach na pole wyskoczyć,
Niewieścią drogich łupów żądzą pałająca,
Ślepo ściga Kamilla, jednego z tysiąca.
Wtenczas w pomyślnej chwili cios wypuszcza srogi.
I tak z chytrej zasadzki wzywa Arms bogi:
„Pierwszy z niebian, Sorakty[1]) boskiej stróżu, Febie!
Tyś jest celem czci naszej, jeżeli dla ciebie
Ofiarne paląc stosy, pełni świętej wiary,
Bez szkody przez ogniste przebiegamy żary:
Daj obmyć naszą hańbę siłą tej prawicy!
Nie żądam ja tryumfu z poległej dziewicy,
Ni żadnych po niej łupów, niech mi inne sprawy,
Inne czyny, wszechmocny, dadzą wieniec sławy.
Lecz byleby mym grotem padł ten piorun srogi,
Już bez chwały w ojczyste nie powrócę progi".
Skończył. Część jego modłów doszła uszu Feba,
Część rozproszył wiatrami po przestrzeniach nieba.
Pozwolił mu utopić miecz w Kamilli łonie,
Ale nie dał w ojczyste powrócić ustronie.
Wiatry wyrok poniosły... Gdy więc z silnej ręki
Pchnięta włócznia w powietrzu przykre dała dźwięki,
Wszystkich Wolsków wejrzenia na królowę padły.
Na świst srogi niepomna, ni na cios zajadły,
Uczuła go, aż włócznia w nagiej piersi jękła,
I zdrojem krwi dziewiczej obficie przesiękła.
Zlękłe ją towarzyszki otaczają wkoło
I wspierają swej pani chwiejące się czoło.
Ta z piersi pocisk dłonią wyrywa omdlałą,
Lecz ostrze krwią zakrzepłe aż w głębi zostało.
Upada konająca, gasną jej powieki
I purpurowe usta blednieją na wieki.
Wtedy na pół umarła rówieniczkę swoję
Powierną, z którą wszystkie podzielała znoje,
Przyzywa i tak rzecze: „Akko ukochana!
Tracę siły, śmiertelna obala mię rana
I wokoło grobowym świat czernieje cieniem;
Zostaw mię i do Turna bież z tem ostrzeżeniem:
Niech śpieszy i Trojanom do bram wstępu broni.
Żegnam cię!" Z temi słowy leje upuszcza z dłoni,
I z konia mimowoli spływając upada;
Już się na zimne piersi skłania szyja blada,
Oręż ręka upuszcza, dusza oburzona
Ucieka z smutnym jękiem w krainy Plutona.

(Fr. Kowalski).

[1]) Góra w Etruryi.

Rutulowie cofają się do miasta; Eneasz postępuje za nimi, lecz zbliżająca się noc nie pozwoliła stoczyć potyczki. Nazajutrz Turnus oświadcza chęć pojedynku z Eneaszem, na co tenże się zgadza, lecz za sprawą Junony umowa zostaje przez Latynów zerwana i znów rozpoczyna się walka wojsk, w której Eneasz odbiera ranę; nie tracąc jednak odwagi do bitwy zachęca. Nakoniec następuje osobista walka Eneasza z Turnusem. Eneasz, spostrzegłszy na Turnusie zbroję zabitego Pallasa, żalem nad poległym przyjacielem i gniewem ku zabójcy uniesiony, piersi jego mieczem przeszywa. Na tem zwycięstwie Trojan, odniesionem nad największym ich w Italii wrogiem, kończy się poemat.

(Całkowitych przekładów Eneidy mamy cztery: Jędrzeja Kochanowskiego 1590, Franciszka Ksawerego Dmochowskiego 1809, drugie wydanie 1830, Jacka Przybylskiego 1811, Franciszka Wężyka, dokonany między 1804 a 1827, ale wydany dopiero w 1878. Częściowo tłómaczyli: Marcin Molski, ks. Jakubowski, Euzebiusz Słowacki, Fr. Salezy Dmochowski, Franciszek Kowalski, Jan Pawlikowski w „Przeglądzie Akademickim“ 1881, K. Ehrenberg w „Ateneum“ 1888, gdzie też mieści się rozprawka krytyczna tegoż autora „O polskich przekładach Eneidy“.

B) Ziemiaństwo (Georgiki).

W pierwszej księdze tego dydaktycznego poematu, po pięknem wezwaniu bogów, zaledwie zaczął mówić poeta o czasie orki, zasiewów i o poznaniu gatunków ziemi, a już myśl o pracy i trudach, do rolnictwa przywiązanych, zwraca go do opiewania podań mitologicznych i szczęśliwego wieku Saturna. Od opisu pory zasiewów przechodzi do odmalowania czterech części roku. Wyznaczając ludziom zatrudnienia każdej porze właściwe, toruje sobie drogę do opisu burzliwej wiosny i jesieni. W księdze II-gej mówi o hodowli i rozmnażaniu drzew, między któremi pierwsze miejsce daje latorośli winnej i oliwce. Wyliczając rozmaite rodzaje drzew owocowych, zbacza do pochwały krainy ojczystej. Poznanie ziemi odpowiedniej każdemu rodzajowi drzew, sposoby jej poprawy, nauka o sadzeniu drzew i rozmaitych środkach rozmnażania zajmuje następnie poetę; a mówiąc o zwierzętach drzewom szkodliwych opisuje początek i przyczynę zwyczaju zabijania kozła na ofiarę Bachusowi. Ostrzegłszy wreszcie rolników, że potrzeba wielkiej pilności około winnic i sadów, kończy ustępem zawierającym pochwały życia wiejskiego. Ten ustęp przytaczamy, poprzedziwszy go opisem pożaru w lesie.

Od niebacznych pasterzy często ogień padnie,
Który pod smolną naprzód korę się zakradnie.
Tam rozdęty do górnych wnet gałęzi zmierza,
I po całem powietrzu smutny trzask rozszerza,
A chwytając drzew wierzchy, zwycięzca zuchwały,
Pustoszącym płomieniem ogarnia las cały.
Smolistą zgęszczon sadzą podnosi do góry
Mgły i czarnego dymu nieprzejrzane chmury;
Zwłaszcza kiedy z obłoków spadnie wicher srogi
I zadmie czarna burza nosząca pożogi.
. . . . . .
Trzykroć szczęśliwi, gdyby dobra swoje znali,
Rolnicy, co nie słysząc szczęku zbójczej stali,
Łatwy z łona łaskawej biorą pokarm ziemi.
Jeżeli pałac pyszny wroty wspaniałemi
We drzwi ich zrana zgrai pochlebców nie tłoczy,
Ni farb igrzysko z drogich skorup bawi oczy;
Jeśli miedź efirejska, szata złotem tkana
I wełna assyryjskim jadem farbowana,

I struta cynamonu przyprawą oliwa
Jest im obcą. Jednakże spokojność szczęśliwa,
Życie od zdrad dalekie, dostatków do woli
I swobodne zabawy na szerokiej roli,
Groty i wody żywe, łąki, gaje ciemne,
Ryk bydląt i pod drzewem uśpienie przyjemne:
Tam zarośle, tam knieja w zwierzynę obfita!
Młódź w żądzach wstrzemięźliwa, w pracy niepożyta.
Tam cześć bogów, tam cnoty synowskiej przykłady;
Sprawiedliwość ostatnia tam wysyła ślady,
Gdy z ziemi ku niebieskiej wzniosła się krainie.
Mnie nad wszystko, o święte Parnasu boginie,
Którym cześć niosę, wielką miłością przejęty,
Chciejcie gwiazd tajnej drogi pokazać zakręty;
Dlaczego się ćmi słońce, mieni nocy zorze,
Czemu się trzęsie ziemia, czemu wzdyma morze,
Czemu wzdęte wysoko, na odwrót opada?
Jaka spóźnionej nocy wstrzymuje zawada?
Lub czemu słońce, kiedy rzeki wiążą lody,
Tak się śpieszy zanurzać w oceanu wody?
Jeżeli krew oziębła, zmysł pojęcia tępy,
Do tych tajni natury zamkną mi przystępy;
Choć bez chwały naówczas, w lasach i strumykach
Rozkocham się w dolinach i cichych gaikach.
O, gdzie Sperchius płynie, gdzie Bacha kapłanki
Pląsają pod Tajgetem, nadobne Spartanki,
Któż mnie tam zaprowadzi, kto w Hemu dolinie
Postawi, i w drzew ciemnej ukryje gęstwinie!
Szczęśliwy ten, kto dociekł rzeczy przyrodzenia,
Zdeptał bojaźń i wzgardził losem przeznaczenia,
Chciwego Acherontu szumów się nie lęka!
I ten szczęsny, kto w wiejskich świątyniach przyklęka,
Czci Pana i Sylwana, i święte nimf zbory!
Nie mami go purpura, ni rzymskie topory;
Ani waśniące braci obchodzą niezgody,
Sprawy Rzymu, i zgubą grożące narody;
Ani te, które wściekłość od Istru napędza;
Nie zazdrości bogactwom; nie wzrusza go nędza.
Zbiera owoce, które obciążają drzewa,
I które hojna ziemia obficie wylewa.
Nie znają praw żelaznych, pism sądowych zbiorów,
Szalonych trybunałów, i prawniczych sporów.
Ci wiosłem mórz nieznanych zwiedzają przestwory,
Biegną na śmierć, lub wchodzą na monarchów dwory;
Ten ogniem niszczy miasta, i bogi domowe,
By miał perły w napoju, łoże purpurowe;
Inny czuwa nad złotem i skarby zgromadza;
Tego zachwyca mówców i sława i władza;

Ten słysząc, osłupiały, teatrów oklaski
Zazdrości świetnej chwale, wielbi gminu łaski,
Tych przelew krwi braterskiej napełnia rozkoszą:
Ci porzucają domy, mieszkania przenoszą,
Pod obcem niebem obcej szukając ojczyzny:
Rolnik, gdy krzywym pługiem grunt zaorze żyzny,
Nagrodzon, wyżywi dom i dzieci ochocze
I liczne stada bydląt i woły robocze.
Bez przerwy urodzaje: albo sad dojrzéwa
Albo stada zarodzą, lub żółknieją żniwa;
I role się upłodnią, przepełnią zagrody.
Przyjdzie zima; sycyońskie tłoczą się jagody,[1])
Tuczne żołędzią stada wracają, a lasy
Dają owoc, i jesień rozliczne zapasy,
Dojrzewają winogron na wzgórkach ostatki.
Tu lube koło szyi wieszają się dziatki,
Skromny wstyd domem włada, krów wymię ciężące
Tryska mlekiem, tu tłuste na wesołej łące
Walczą rogami kozły, w zbyt żywej rozprawie.
Sam rolnik w dni świąteczne, leżąc na murawie,
Nieci we środku ogień, drudzy czasze wieńczą,
Cześć dając wina bogu, wnet na grę młodzieńczą
Stawi cele, gdzie lotna ma ugodzić strzała,
Lub do wiejskich zapasów obnaża ich ciała.
Tak wzrośli Etruskowie, tak stare Sabiny,
Tak żył Romul i Remus, sławne Marsa syny,
Tak Rzym, król wszystkich rzeczy, do potęgi zdążył,
I jednym murem siedem twierdz wielkich okrążył,
Nim król dyktejski[2]) berłem swym ogarnął ziemię,
Nim się krwią bydląt dzikie paść zaczęło plemię,
Saturn chętny po świecie przetaczał wiek złoty,
Nie jęczała stal twarda pod ciężkiemi młoty;
Ani trąba okropna i wieszcząca wojnę
Zatrważała swym grzmotem narody spokojne.

(Euzebiusz Słowacki).

W księdze III-ej oświadczywszy, że ma mówić o rzeczy dotychczas przez nikogo nietkniętej, opiewa obyczaje zwierząt domowych, ich użycie, ich własności, wady i zalety, łącząc to ze wspomnieniem krajów, które były pierwszą owych zwierząt ojczyzną, z pomnikami dziejów albo mitologii, mającemi jaki związek z traktowanym przedmiotem. W księdze IV-tej nakoniec mówi o walkach, zatrudnieniach, zwyczajach, ustawach rojów skrzydlatych t. j. pszczół. Całe dzieło kończy się ustępem o pasterzu Arysteju, który użaliwszy się matce swojej, boginee Cyrenie, na stratę poniesioną w pszczołach, zostaje przez nią zaprowadzony do Proteusza, a ten odkrywając mu przyczynę jego nieszczęść, opowiada o przygodzie Orfeusza i Eurydyki.

(Na język nasz przełożył Ziemiaństwo najprzód Waleryan Otwinowski 1614, potem Jacek Przybylski 1813, następnie Feliks Frankowski 1819, Aleksy Kotiużyński 1821. Częściowo tłómaczyli Ign. Krasicki, Euz. Słowacki, Felicyan Faleński i inni).

---

[1]) T. j. oliwki.
[2]) Jowisz.

C) Bukoliki.

Po bitwie filipińskiej, Oktawiusz Cezar zwycięsca, na ukaranie przywiązanych do strony Kasyusza i Brutusa miast, a między niemi Kremony, role ich zasłużonym żołnierzom podzielić rozkazał. Pola mantuańskie, sąsiedzkie Kremony, popadły temuż losowi. Wergiliusz za wstawieniem się Mecenasa otrzymał powrócenie łanów ojcu swemu. W osobie Melibeusza, który wychodzi z dziedziny i spotyka spokojnego wśród powszechnej klęski Tytyra, wystawia nieszczęśliwych Mantuańczyków: a ojca swojego w osobie Tytyra.

Melibeus. Tytyrze! pod bukowym spoczywając cieniem
Dumasz, na wątłej słomce wiejskiem nucąc pieniem:
My pola, my ojczyste rzucamy zagrody,
My wygnańce! Ty uczysz wśród lubej swobody
Brzmieć imieniem nadobnej Amarylli gaje.
Tytyr. O Melibeju! bóstwo te mi wczasy daje.
Bóstwem on będzie dla mnie; jemu z trzody mojej
Często pierwotne jagnię krwią ołtarz napoi.
On mym wołom dozwala błąkać się po roli,
I mnie na wiejskiej fletni przygrywać do woli.
Melibeus. Nie zajrzę ci, Tytyrze, lecz raczej się dziwię;
Wszakże dotąd panuje ucisk na tej niwie:
Oto słaby już pędzę stąd ubogą trzodę;
Tę chorą jako widzisz macierz ledwo wiodę,
Co na gołe krzemienie pomiędzy leszczyną,
Bliźnięta, trzód nadzieję, zroniła jedyną!
Ach dawno nam te klęski dąb, gromem rażony,
I złowrogiej na jodle krzyk objawił wrony!
Ale któż jest tem bóstwem? niech Tytyr mi powie.
Tytyr. Miasto, które się Rzymem, Melibeju, zowie,
Prostak mniemałem wprzódy, że nasze podobne,
Dokąd na targ pędzimy stąd przychówki drobne;
Psom równałem szczenięta, jagnię do macierzy;
Tak się zwykle po małej rzeczy wielka mierzy:
Lecz tyle Rzym swe szczyty wzniósł nad inne miasta,
Ile cyprys poziome kaliny przerasta.
Melibeus. Co Rzym zwiedzić, Tytyrze, chęć zajęło w tobie?
Tytyr. Wolność, która mi w późnej zajaśniała dobie,
Gdy z mej twarzy sędziwsza już spadała broda.
Przyszła jednak choć długo żądana swoboda,
Jak zaczęła mej sprzyjać Amarylla doli;
Bo gdy mię Galatea trzymała w niewoli,
Ni swobody nadzieja, ni pieczy o stadzie!
Choć często na rzeź poszedł skop w mojej gromadzie,
Choć z mleczywa tłoczyłem ser dla miasta mnogi,
Z próżną dłonią w domowe powracałem progi.
Melibeus. O Amaryllo! czemu twe oczy płakały?
Na kogo owoc czekał na drzewie dojrzały?
Domyślam się: Tytyra nie miały te kraje:
Ciebie wzywały krzewy, strumyki i gaje.

Tytyr. Cóż czynić? ni mi wolność tu sprzyjała droga,
Ni tak możnego indziej mogłem znaleść boga.
Tam poznałem młodziana, mą słodką nadzieję;
Jego ołtarz co miesiąc memi śluby tleje:
On pierwszy rzekł, mojemi prośbami zmiękczony:
„Me dzieci! paście trzody, składajcie zagony.“
Melibeus. Szczęśliwy starcze! twoją ty posiadasz niwę.
Ty masz dosyć: choć głazy na niej sterczą siwe,
Chociaż bagniste łąki sit kryje dokoła,
Jednak owce nie będą gryść nieznane zioła.
Twe stado zarażonej trzody nie spotyka,
Szczęśliwy! ty na brzegu znanego strumyka,
Lub u źródła, gdzie z młodu piłeś słodkie wody,
Szukać będziesz wśród letnich upałów ochłody.
Tu przy płocie, gdzie kwiatów przynęcone wonią
Hybli pszczoły na wierzbie miód zbierając dzwonią,
Do snu słodkiego swoim zachęcą cię brzmieniem;
Ciebie, pod skałą robiąc, kmieć ucieszy pieniem,
Dla ciebie gruchać będą miłośne gołębie,
I grzywacz się chrapliwy odezwie na dębie.
Tytyr. Więc wprzódy na powietrzu paść się będą łanie,
Ryba wody rzuciwszy na brzegu zostanie,
I własne zamieniając na obce zagrody
Part będzie pił Araru, Niemiec Tygru wody;
Niżli w mojej pamięci jego obraz zginie.
Melibeus. A my pójdziem po Afrów tułać się krainie,
Do Scytów, lub gdzie Oaks rwie kretejskie skały,
Gdzie Brytanów od świata morskie dzielą wały.
Czy kiedy los dozwoli nam słodkiej pociechy
Ujrzeć domów ojczystych darniem kryte strzechy?
Widzieć po długich latach łanów naszych plony?
Srogi żołnierz te gnojne posiędzie zagony,
Pozbiera z naszej pracy żniwa już gotowe.
Gdzie nas przywiodły, bracia, niezgody domowe!
Patrzcie, komuśmy naszą zasiali pszenicę!
Szczepże tu teraz gruszki, sadź w rzędy winnicę.
Idź więc już, moja trzodo, tak niegdyś szczęśliwa!
Już w chłodnej grocie leżąc, którą liść okrywa,
Nie ujrzę cię wiszącą na pochyłku skały,
Już mych pieśni nie będą gaje powtarzały.
Inny pasterz powiedzie was, me drogie kozy,
Ogryzać gorzki listek szczodrzeńca i łozy.
Tytyr. Melibeju! niech jeszcze tę noc z tobą dzielę,
Miękkie ci łoże z liści zielonych uścielę;
Znajdziem tu słodkie jabłka i smaczne kasztany,
I ser tłoczony z mleka i mnogo śmietany.
Już się nad wioską wznoszą dymu gęste chmury,
A dłuższy na dolinę cień upada zgóry. *(Józef Lipiński).*

IX. Horacyusz.

a) Satyra I księgi I.

Skąd to pochodzi, że trudno taki się znajdzie, Meceno,
Coby poprzestał na losie, który mu rozum nastręczył,
Albo przypadek narzucił; innych wżdy chwali dążności?
„O, wy kupcy szczęśliwi!“ lata gdy ciążyć mu poczną,
Woła mnogimi już wojak wypraw trudami złamany.
Kupiec przeciwnie, gdy nawą wichry z południa miotają:
„Lepsza żołnierka! Bo czemuż?... zetrą się szyki, godzinka
Szwanku wnet zgonem się kończy, albo radośnem zwycięstwem“.
Życie rolnika wysławia prawnik w zakonach przebiegły,
Gdy wraz z pianiem koguta klient we wrota kołacze.
Tamten wywleczon do miasta z wioski, bo złożył rękojmię,
Krzyczy, że szczęśliw jedynie taki, co w mieście zamieszkał.
Tego rodzaju przykłady (tyle ich bowiem) potrafią
Choć Fabiusza gadułę znużyć;... byś czasu nie tracił,
Słuchaj, do czego ja zmierzam. Z bogów jeżeliby który
Rzekł: „Ot, uczynię, co chcecie. Będziesz, wojaku, nateraz
Kupcem; prawniku, ty pilnuj pługa; więc role zmieniwszy,
Wy z tej strony, wy z tamtej schodźcie! Dalejże, co prędzej!
Cóż stoicie?“... Nie przyjmą;... szczęście wszak od nich zależy!
Czemużby Jowisz im nie miał słusznie, obadwa policzki
Z gniewu nadąwszy, pogrozić: „Ludzie, na potem nie będę
Tak powolny, bym uszu waszym życzeniom nadstawił!“
Zresztą, by tego nie zbywać śmiechem, jak taki, co prawić
Zwykł żarciki zabawne,... chociaż i nieźle to czasem
Prawdę żarcikiem osłonić; (wszakże przychlebny bakałarz
Abecadło pierniczkiem żaczkom częstokroć osładza)
Przecież igraszki pominiem, rzeczy poważnie rozbierzem.
Taki, co ciężką ziemicę twardym przewraca lemieszem,
I ten szalbierz kupczący, żołdak i żeglarz, co śmiało
Po wszem włóczą się morzu, wszyscy nam prawią, że tylko
Na to się biedzą, by mogli spocząć bezpiecznie na starość,
Napełniwszy śpichlerze: otóż jak mrówka maluczka
(Zwykli to bowiem przytaczać), wielce robocze zwierzątko,
Wszystko, co może, do swojej pyszczkiem zawłóczy śpiżarni,
A przeczuwając złe doby, bywa przezorną zawczasu;
— Ale, gdy z roku obrotem Wodnik niebiosa zachmurzy,
Nie wyłażąc z swej dziury, tego roztropnie używa,
Co zebrała, gdy ciebie żadne odpędzić od zysku
Skwary nie mogą, ni mrozy, morza, ni ogień, ni miecze;
Wszelka przeszkoda ci za nic, byle kto nie był bogatszy.
Cóż ci to nada, żeś nocą w ziemi głęboko, ze strachem,
Złota i srebra niezmierne skarby ukradkiem zakopał?

— „Szeląg zostanie się podły, jeśli z nich będziesz ubierał“.
— „Jakież ma zapas powaby, kiedy naruszyć go nie mam?
Niechbyś na swojem klepisku korcy wymłacał tysiące,
Wszak więcej spożyć niż ja, zaręczam ci, nie byłbyś w stanie.
Jak ów niewolnik, co sakwy z chlebem choć dźwiga w podróży
Na swym grzbiecie zgarbionym, więcej od innych, idących
Bez ciężaru, nie zyska. — Powiedz, zależyż co na tem
Zgodnie z naturą żyjącym, morgów czy setkę, czy tysiąc
Zorzą? — — „A jednak to miło z kopców ogromnych ubierać!“ —
— Z małych jeżeli mi nabrać tyle jest wolno, co z wielkich,
Pocóż nad moją skrzyneczkę twoje śpichlerze wynosisz?
Tak, jak gdybyś, żądając wody li tylko dzbaneczka
Lub kubeczka, powiedział: z rzeki-bym wielkiej zaczerpnąć
Wolał, niż z mego strumyka. Często już, wierzaj, tych ludzi,
Co w obfitości zbytecznej swojej szukają rozkoszy,
Aufid gwałtowny pochłonął, z brzegu wyłomem porwanych.
Kto zaś li tyle pożądać, ile mu trzeba, nawyknie,
Wody ten mętnej nie pije, ani też ginie w bałwanach.
Zaślepiona jednakże gawiedź chciwością zwodniczą:
Niema nic nazbyt, krzyczy, worek jest miarą znaczenia!
Cóż więc z nią począć? Niech będzie nędzną, o ile samochcąc
Przy tem obstaje, jak ongi mawiał ów bogacz w Atenach,
Który w swem skąpstwie plugawem ludzkie wyśmiewał języki:
Wygwizdują mnie wszędzie... mniejsza!... bo w domu ja za to
Sam się pocieszę poklaskiem, oczy gdy wlepię w szkatułę!
Nurty zwodnicze ustami Tantal spragniony daremnie
Chwyta... Ty śmiejesz się?... pozwól... Odmień nazwisko, wnet poznasz,
Że tu jest mowa o tobie. Zewsząd-eś worów nazwłóczył,
Na nich jak psisko wylegasz, dysząc, a przytem je musisz
Jakby świętości szanować, cieszyć się jakby obrazkiem.
Nie znasz wartości pieniędzy? Nie wiesz, jak użyć ich trzeba?—
— Kupi się chleba, jarzynki, czasem i wina kwaterkę,
Słowem, bez czego już zgoła człowiek się obyć nie może“. —
— Czy ci też miło, gdy czuwasz dniami i nocą bez duszy,
Drżąc przed ogniem, rabusiem, własnych gdy boisz się ludzi,
By cię złupiwszy, nie zemkli? Drzewo-bym rąbać ot wolał,
Niżli te skarby posiadać, skoro w nich tyle kłopotu!
A gdy się człowiek przeziębi, ciało mu całe zboleje,
Albo go inna choroba wreszcie do łoża przykuje,
Czy cię pilnować, naparzać będzie ktokolwiek i błagać,
Drogim by tobie osobom wrócił, wskrzesiwszy cię, lekarz?
Oj, ni to żona, ni dzieci zdrowia twojego nie pragną,
Wszystkim bo kumom, sąsiadom, starym i młodym obmierzłyś.
Jeszcze się dziwisz, pieniądze ceniąc nad wszystko na świecie,
Że nikt ci miłości, boś nie wart, zgoła nie myśli okazać?
Czyliż to, gdybyś twych krewnych, których natura ci sama
Dała bez twoich zabiegów, zechciał w przyjaźni utrzymać,
Groch rzucałbyś o ścianę, równie jak pustak, co osła

Na wędzidle ujeżdża w polu Marsowem, jak konia? —
Przestańże wreszcie już zbierać; mając zaś więcej, niż trzeba,
Mniej niedostatku się lękaj, zacznij folgować mozołom.
Wszakże nabyłeś, coś żądał; niechaj (powiastka to krótka)
Będzie-ć Umidyusz nauką. Taki on bogacz był pono,
Że aż korcami pieniądze mierzył, a skąpiec tak brzydki,
Iż najpodlejszy niewolnik gorszej nie miewał sukmany.
Przytem do śmierci był ciągle w strachu niezmiernym, by z głodu
Kiedy nie umarł; aż wreszcie sknerę spłatała we dwoje
Wyzwolenica toporem, dzielna jak córa Tyndara. —
— „Żyć więc mi radzisz, jak żyje Meniusz rozpustnik, lub może
Jak Nomentan hulaka?“ — Czemuż bo dwie przeciwności
Łączysz ze sobą niezgodne; zaraz więc przeto rozwiązłym
Utracyuszem byś został, gdybyś twe sknerstwo porzucił?
Wszakże jest miara we wszystkiem, pewna jest wszędzie granica;
Za nią, czy w lewo, czy w prawo, zacność się ostać nie może.—
Niktże więc (wracam napowrót) zgodny z swym losem nie będzie,
Jak ów chciwiec, i raczej innych wychwalać dążności,
I że koza twojego sąsiada mleczniejsza, dlatego
Masz z zazdrości usychać? Z tłumem biedniejszych zechciejmy
Los nasz tylko porównać; pocóż prześcigać każdego?
Zawsze się w takich gonitwach znajdzie przed nami bogatszy,
Jak to już w cyrku się dzieje; z szranek gdy wozy wypadną,
Każdy woźnica naoślep przodem pędzących dojeżdża,
Patrzy z pogardą na resztę z tyłu daleko dyszącą.
Stąd się też rzadko nadarzy taki, co wyrzekłby śmiele:
Szczęśliw żyłem... i kontent z latek ubiegłych, jak syty
Po bankiecie biesiadnik, żegnał się z światem ochoczo.
Dosyć... ni słówka nie dodam, abyś nie myślał przypadkiem,
Iżem cickąco-okiego szafy splądrował Kryspina[1]).

(M. Motty).

b) Ody.

1) Do ludu rzymskiego[2]).

Dokąd, przebóg! Więc znowu, niezbożny narodzie,
Broń chwytasz dłonią zuchwałą!
Toż nie dosyć po lądach, nie dosyć po wodzie
Krwi się łacińskiej rozlało?
Czy może nienawistną Kartagę pokona
Ten oręż w rzymskiej prawicy?
Czy niezbitego dotąd sprowadzi Bretona
W więzach po Świętej ulicy?

[1]) Kryspin — stoik moralista posiadał wielką łatwość pisania wierszy.
[2]) Z okoliczności wojny domowej między drugim tryumwiratem i republikanami.

O nie! zniszczenia pragną ojczystego grodu
Dla pociechy wroga Parta!
Od lwów gorsi i wilków; boć własnego rodu
I bestya szczędzi zażarta!
Porwaniście wściekłością, czy nadludzką siłą?
Mówcie: co wam walczyć każe?
Milczą: zdrętwienie szału umysły przeszyło,
Bladością zbielały twarze!
Tak jest: to nas porywa losu kolej mściwa!
Bratobójstwa ciężą brzemię!
To o pomstę fatalna krew Remusa wzywa
Na wieki wsiąkła w tę ziemię!

(Aleksander Krajewski).

2) Pochwała Augusta.

Jowisz grotami straszny ognistemi
Jedynie dotąd czczony był za pana;
Dziś boski August panem jest na ziemi,
Gdy mu Brytania i Persya poddana.
A dawnoż jeszcze, jak Krassa żołnierze
(O obyczaje! o rodzime progi!)
Dla obcych dziewek przynieśli w ofierze
Zaszczyt rzymskiego puklerza i togi![1])
O wieczna hańbo! syn włoskiej ojczyzny,
Nad rolą teścia Azyaty schylony,
W poddaństwie Medów doczekał siwizny,
Gdy Jowisz bogiem, gdy Rzym niewzruszony!
Takiej-to właśnie lękał się szkarady,
Bo ta i przyszłym wiekom się udziela,
Ów mężny Regul, gdy radził układy
Zerwać, podane przez nieprzyjaciela,
I nie żałować, chociaż marnie zginie
Tysiące jeńców pośród obcej ziemi.
„Widziałem — rzecze — punickie świątynie
Przyozdobione sztandary naszemi!
Widziałem miecze, z żywych rąk wydarte,
Potem też same ręce skrępowane,
A bramy wroga na roścież otwarte
I pola jego wkoło uprawiane!
Czy może jeńcom tym przybędzie cnoty,
Kiedy ich wolność złotem odzyskacie?
Przybędą tylko koszta do sromoty!
Farba splamionej nie pomaga szacie,

[1]) Tryumwir Krassus zginął w bitwie z Partami, a jego żołnierze, wzięci do niewoli, zostali osiedleni w kraju nieprzyjacielskim.

Ani też ujmę na naszym honorze
Spodlony żołnierz powetować zdoła,
Prędzej do walki łania stanąć może,
Gdy ją myśliwcy obskoczą dokoła,
Niż się w odwagę nikczemnik uzbroi,
Co się zląkł śmierci, broń haniebnie cisnął,
Niż w nowej bitwie przed wrogiem ustoi,
Komu raz powróz na karku zawisnął.
Dla kogo życia radością jedyną,
Że go aż szukał, tchórz, na Marsa polu!...
O! jakżeś wielka dzisiaj, Kartagino!
Wielka, niestety, z hańbą Kapitolu!"
To powiedziawszy, z szlachetnem obliczem
Przypadł do ziemi, niby pozbawiony
Praw Rzymianina w stanie niewolniczym;
Nie chciał uścisków dzieci ani żony,
Póki senatu chwiejącej się rady
Na swoje wreszcie nie przechylił zdanie —
Jedyne w dziejach! poczem wśród gromady
Smutnych przyjaciół, głuchy na ich łkanie,
Na rozpacz ludu, co mu zaszedł drogę,
Wracał bohater niezachwianym krokiem,
By się w niewolę oddać, gdzie go srogie
Czekały męki, i spokojnem okiem
Żegnał pokrewnych, klientów i sługi.
Rzekłbyś, że miejskie załatwiwszy sprawy,
Wyjeżdża sobie, chcąc miesiąc i drugi
Na wsi wypocząć od stołecznej wrzawy!

(A. Krajewski).

3) Na zbytek w budowlach.

Szczupłe już tylko pod pług idą łany,
Tak gmachy rosną; staw każdy z Lukrynem[1])
Równa się niemal, a nagie platany
Wiąz wypychają ożeniony z winem.

Gdy wprzód gospodarz z sadów zbierał tyle
Przednich oliwek i owoców kosze,
Teraz fiołki, mirty i badyle
Wonne mu tylko przynoszą rozkosze.

Laur, gęsto sadzon, nie przepuszcza za to
W upał promieni słonecznych przez szpary —
Lecz tak nie myślał brodaty nasz Kato,
Ani Romulus, ni obyczaj stary.

---

[1]) Jezioro w Kampanii.

Każdy miał mało, lecz ojczyzna dużo
I nikt nie stawiał dla miękkiej wygody
Długich portyków, co jedynie służą,
By w skwar wracały ułowione chłody.

Pogardzać z darni ukleconą chatką
Nie dozwalano: — za to świątyń mury
I grodów kosztem publicznym nierzadko
Przyozdabiały ciosane marmury.

(L. Siemieński).

4) Do gąsiora.

Mój rówieniku, gąsiorze stary
Z roku konsula Manliusza!
Czy się przez ciebie w radość bez miary,
Czy w smutek pogrąży dusza;
Czy żądze zbudzisz, czy gniewy dawne,
Mniejsza już, czyjej tam daty
Zawarte w tobie wino wytrawne:
Pójdź tu, poczciwcze pękaty!
Nie wzgardzi tobą ten mąż uczony,
Choć Sokratesem się poi:
Wszak nieraz wino Kato wielbiony
Dolewał do cnoty swojej.
Szturmem łagodnym winko uderza,
Serca najtwardsze zdobywa;
Mędrców poważnych troski uśmierza,
Żartem myśl tajną wykrywa;
Siłę, otuchę w umysł znękany
I męstwo wlewa w nędzarza,
Że go już władcy wzrok zagniewany,
Ani błysk mieczów nie zraża.
Niech nam tej nocy Bachus nie szczędzi,
Wenus i Gracye swych darów!
Święć się gąsiorze, aż gwiazdy spędzi
Blask Feba z górnych obszarów.

(A. Krajewski).

5. Do Filidy.

Mam ja beczułkę wina z Albano,
Co od dziewięciu lat stoi;
Mam ja, o Filis! moc nieprzebraną
W ogródku kwiatów, powoi.

Same się złożą dla cię na wianek —
Mam srebrne misy, puhary;
Ołtarz majony jest i baranek
Gotów do krwawej ofiary.

Po całym domu chłopców i dziewek
Tam i sam pełno się zwija —
W kuchni kłąb dymu z płonących drewek
Do góry słupem się wzbija.

Czy wiesz, na jakieś gody proszona?
Oto na Idy kwietniowe; [1])
Dzień, w którym morska Wenus jest czczona,
Przypada w kwietnia połowę.

Huczniej, niż własne me urodziny,
Obchodzę dzień owych świątek;
Bo odeń liczy druh mój jedyny,
Mecenas, lat swych początek.

Ty do Telefa wzdychasz, — nie radzę —
Wysoki to próg dla ciebie:
Bogata piękność ma nad nim władzę
I z nią mu dobrze, jak w niebie.

Z bujnych nadziei bądź wyleczona
Przykładem dwóch śmiałków onych:
Belerofonta i Faetona,
Na ziemię z niebios strąconych.

Równego sobie poszukaj lepiéj;
Niechaj cię próżność nie łechce.
Czekam cię — stary się nie odczepi,
Po tobie żadnej już nie chcę.

Przybywaj z nowych piosnek zapasem,
Głosik weź z sobą łabędzi;
A czarne troski, co żrą mię czasem,
Twoje śpiewanie rozpędzi.

(L. Siemieński).

6) Do Arystyusza Fuska.

Człek bez plamy pełen jest dziwnej siły!
Ni mu kołczan zatrutych strzał, ni dzida
Maurów trybem, ni łuk się na co przyda,
Fusku mój miły!

Niechby nawet w burzliwe Syrt pustynie,
W niegościnne Kaukazu szedł parowy,
Lub w bajeczne Indye, gdzie zagadkowy
Hidaspes płynie.

Patrz — w sabińskiej puszczy raz, gdy bez trwogi
Błądzę z pieśnią, w której Lalaga słodka
Myśl mą pieści — znagła mię wilk napotka —
I dalej w nogi!

[1]) 13 kwietnia — dzień urodzin Mecenasa. Miesiąc kwiecień był poświęcony bogini Wenerze.

A był z takich, jak nawet w Daunii zrzadka
Leśny zwierz się zdarzy podobnie gruby,
Albo jakie rodzi ojczyzna Juby,
Lwów chuda matka.
Więc mię osadź bądź w owych lądów głębi,
Gdzie drzew letnie nigdy nie rzeżwi wianie,
Gdzie mgłą z szronem kraj cały nieprzerwanie
Chłodny bój ziębi —
Bądź gdzie wrzące rydwanu dnia gorąco
Ziemię z chat wyludnia — Horacy wszędzie
Słodko uśmiechniętą Lalagę kochać będzie,
Słodko szepcząca.

(F. Faleński).

7) Do Apollina.

Czego ma żądać wieszcz od Apollina
W dniu poświęcenia mu chramu;
O co się modlić, kiedy czaszę wina
Wylawszy, ofiarę da mu?

Wżdy nie o wina ze sardyńskich włości,
Nie o kalabryjskie trzody,
Ni złoto Indów i słoniowe kości,
Lub smugi, gdzie Liru [1]) wody

Cieką leniwie. Niech tam nożem krzywym
Obrzyna grona w winnicy,
Kto się dziedzicem winnic zwie szczęśliwym:
Niech kupiec w złotej szklanicy

Łyka sok winny, co go za towary
Syryjskie dostał i częściej
Niż trzykroć w roku atlanckie obszary
Opływa, a bóg mu szczęści.

Dla mnie oliwki, sałata, ślaz lekki
Wystarczą aż nadto — byle
Swej mi Apollo nie skąpił opieki
I chował w zdrowiu i sile.

Synu Latony! pozwól mi wesoło
Żyć na tej, co mam, chudobie;
Daj starość znośną i pogodne czoło
I lutnię o każdej dobie.

(L. Siemieński).

[1]) Liris — rzeka między Kampanią i Lacyum, teraz Garigliano, przepływała przez okolice bardzo urodzajne.

8) Do Licyniusza Mureny.

Chcesz żyć najlepiej, nie leć na przygody.
O mój Licyni, w ocean szeroki;
Ni brzegiem płynąc, nie myśl, że od szkody
Uchronisz nawy twej boki.
Kto złotą mierność kocha, średnim torem
Pójdzie on w życiu; ani się oswoi
Z brudną lepianką, ni stęskni za dworem,
O jego przepych nie stoi.
Im wyższa sosna, tem w nią silniej burze
Uderzać lubią; wieża im się hardziej
Wspina, tem prędzej runie, a na górze
Pioruny biją najbardziej.
Mędrzec w dniach błogich nieszczęść się obawia,
A w czarnej doli lepszą przyszłość roi;
Ten bóg, co zimę zsyła, ten odnawia
Świat wiosną i kwieciem stroi.
Złe nie trwa wiecznie; cierpienia przebolą,
Nie zawsze w łuku napięta cięciwa;
Milczące Muzy niekiedy Apolo
Dźwiękiem cytary wyzywa.
Gdy cię przeciwny los ściga okropnie,
Hartem swej duszy możesz mu urągać,
A gdy wiatr dobry wciąż sprzyja — roztropnie
Umiej twe żagle pościągać.

(L. Siemieński).

9) Do Grosfa.

O ciszę żeglarz modli się na morzu
Falami bity, gdy światło księżyca
Chmury zakryją, i żadna w przestworzu
Z gwiazd znanych mu nie przyświéca
O ciszę woła Trak srodze wojenny,
Ciszy Med pragnie o złotym kolczanie;
Spokój — to towar nad purpurę cenny,
Za klejnot go nie dostanie.
Skarby koronne, konsulne liktory
Żrących sumienie zgryzot nie wymiotą;
U zdobnych stropów troski, istne zmory,
Wiszą nad tobą i gniotą.
Dobrze ten żyje, kto na skromnym stole
Stawi przed sobą solnicę ojcowską;
Sny on ma lekkie, o zmarszczkach na czole
Nie siedzi łakomstwo z troską.

Życie tak krótkie; czemuż narowistą
Żądzą je targać lub zmieniać podniebie?
Czy porzucając kto ziemię ojczystą,
Potrafił uciec od siebie?
Zgryźliwa troska i na okręt wsiada,
Ona za konnym orszakiem w cwał leci
Prędzej niż jeleń, choć biegun nielada,
Niż Eur[1]) w zimowej zamieci.
Wesołyś — nie myśl, co potem nastąpi;
Smutnyś — cukrujże uśmiechem gorycze:
Pełnego szczęścia niebo zawsze skąpi,
Daje mu różne oblicze.
Sławny Achilles legł w przedwczesnym grobie,
W długiem zgrzybieniu Tyton[2]) dogorywa —
I mnie dać może, czego nie da tobie,
Jedna godzina szczęśliwa.
U ciebie, Grosfie, wypasa się spełna
Sto krów sykulskich, dziarska u rydwana
Poryża czwórka, a na tobie wełna
Dwakroć w purpurze maczana.
Mnie tylko szczupłe dostały się grzędy
I greckich dźwięków[3]) coś się tam dostało
Z Parek szczodroty, by o ludzkie względy,
Jeśli się zmienią, dbać mało.

(L. Siemieński).

10) Do Wipsaniusza Agrypy[4]).

Niechby meońską pieśnią[5]) Waryusz[6]) śpiewał
Czyny twe, krajów zdobywco i sławy, —
Co morski, konny żołnierz dokazywał
Pod sterem takiej buławy.
Ja, mój Agrypo, na to się nie zrywam,
Zgubnym Achilla gniewom nie dam rady,
Ni błędne drogi Odysa wyśpiewam,
Ni Pelopidów szkarady.
Ogrom nad siły! Człowiek sam się boi
I Muza mówi do lutni mej: po co
Sławie wielkiego Cezara[7]) i swojéj
Uwłaczać ducha niemocą?

---

[1]) Wiatr wschodni.
[2]) Tyton wyprosił sobie u bogów długowieczność.
[3]) Talent liryczny w duchu greckim.
[4]) Wódz Augusta; dowodził jego flotą w bitwie z Antoniuszem pod Akcyum.
[5]) Epopeja. Homer miał pochodzić z Meonii.
[6]) Waryusz — poeta współczesny Horacemu.
[7]) Augusta.

Kto godnie Marsa w zbroi twardej wyda,
Lub Meryona kurzem bitw czarnego!
Albo Pallady sztuką kto Tetyda[1])
Do bogów podniesionego?
Jam śpiewak biesiad i wojny dziewczęcej
Na tępy pazur, co się krwią nie broczy —
I czy się kocham, czy nie kocham więcej,
Zawszem do pustot ochoczy.

(L. Siemieński).

11) Do Melpomeny.

Skończyłem pomnik; przy nim niepożyty
Spiż niczem; wyższy nad piramid szczyty;
Nic go nie zniszczy, ani pleśń wilgoci,
Ni wichr szalony, ni potok lat kroci,
Ni czas, depczący tylko po ruinie...
Nie umrę wszystek — najlepsza nie zginie
Cząsteczka moja! Sławę mą prawnuki
Odnawiać będą bez końca, dopóki
Najwyższy kapłan na Kapitol chadza
Z cichą Westalką, którą tam wprowadza.
Powiedzą kiedyś: żem ja z ziemi onéj,
Gdzie Aufid szumi, gdzie Daun wysuszony
Wziął imię króla, co władał tym ludem;[2])
Żem wzrósł z niczego; żem eolskie tony
Pierwszy w italską nutę przeniósł cudem...[3])
Pysznij się, Muzo, swoim wychowankiem
I skroń laurowym opasuj mu wiankiem.

(L. Siemieński).

---

c) List do Fuska Arystyusza.

Zaciekły ty mieszczuchu! niech zawzięty
Hreczkosiej, ciebie listem dziś nawiedzę.
To jedno kładzie między nami miedzę —
Bo zresztą niemal równiśmy z bliźnięty —
Tak to nas w zdaniach naszych nic nie waśni.
Tylko — jak stoi w Ezopowej baśni,
Z braci gołębi dwóch, tyś rad, gdy gnuśnie
Pilnując gniazda, duch twój w tobie uśnie —

---

[1]) Dyomedesa.

[2]) Horacyusz urodził się nad rzeką Aufidem w Daunii, krainie, która otrzymała swą nazwę od bajecznego króla Daunusa.

[3]) Pierwszy uprawiał lirykę podług greckich [eolskich] wzorów Alceusza i Safony.

Mnie zaś niesforny umysł mój wygania
W szum puszcz, w łąk świeżość, w zboża falowania,
W skały obrosłe mchem i w chłodne gaje.
Cóż chcesz? W tem życiu i królestwo moje.
Bom ja dopiero wtedy, miły bracie,
Swobodny całkiem, kiedy mi się uda
Mieć za plecyma wasze duszne cuda,
Które wy równie z niebem wywyższacie.
Jam jak z kapłańskich jeden posługaczy,
Co, gdy mu kością w gardle już pierniki
Stanęły słodkie, drapnął, drągal dziki,
I gdzieś się w kącie chlebem czarnym raczy.
Jeśli z przyrodą radbyś żyć wesoło,
To, jak gdy chatę stawiasz, wprzód w swej porze
Grunt opatrujesz — tak tu — czyż być może
Miejsce po temu: jak jest ciche sioło?
Kędyż jak na wsi znośniej zbieży zima?
Kędyż łagodniej wiatr na wodzy trzyma
Lwa[1]), gdy słonecznym żarem wskroś przeszyty,
Psią się wścieklizną miota? I gdzież, proszę,
Znane są komu słodsze snu rozkosze?
I czyż libijski marmur w drobne płyty
Zieleńszy u was, lub choć w woń bogaty,
Jak nasze łąki, bujno tkane w kwiaty?
Woda, przemocą wzięta w ciasne rury,
Które rozsadzić w każdej chwili rada,
Czyż jest czyściejsza od strumyka, który,
Szemrząc swobodnie, z pochyłości spada?
Wszak nawet sami w waszych kolumn lesie
Chętnie drzew licznych las pielęgnujecie —
I dom jest u was tem cenniejszy przecie,
Im z niego widok w szersze błonia niesie.
Ci, co w Akwinie[2]) — pragnąc nieostrożni
Tyryjskiej szaty — lichą czerwień kupią,
Mniej stratni jeszcze, niż ów z głową głupią,
Który od błędu prawdy nie rozróżni.
Im więcej żądz swych kto w pomyślność włoży,
Tem w przeciwności cierpieć będzie srożej —
Bo wszak utracić wielce cię rozżala
To, coś ukochał? — Miej od siebie zdala
Wielkość wszelaką. Tam, gdzie dach słomiany,
Rozkoszniej żyjesz, niźli król z dworzany.
Jeleń, przeważną obdarzony siłą,
Często koniowi nie dał jeść na łące.

[1]) Konstelacya letnia.

[2]) Aquinum [teraz Aquino] miasto w południowych Włoszech, znane w starożytności z wyrobu purpury.

Temu nareszcie gdy się to sprzykrzyło,
Człeka przyzywa w pomoc. Ten mu lśniące
Dał w pysk wędzidło. — Hajże! Teraz gonim
Wspólnego wroga! — Ale, gdy już po nim,
Koń wzdycha. Wprędce współka mu ta zbrzydła,
Bo — ni się jeźdźca pozbył, ni wędzidła.
Tak, kto ubóstwa gdy go zdjęła trwoga,
Swej się swobody wyrzekł, która przecie
Po nad najdroższe skarby bywa droga,
Pana, podobnie jak ten koń na grzbiecie,
Wciąż w újarzmionej trzymać będzie dumie,
Przeto, iż sobie starczyć sam nie umie.
I kto chce lepiej, niźli ma, ten blizki
Człeka, co zprędka wszedł w obuwie nowe.
W nazbyt przestronnem — padł i rozbił głowę,
W ciasnem — ból srogi zyskał i odciski.
Więc, drogi Fusku! żyć tak, jak nam bywa
Z góry znaczono — mądrość to prawdziwa.
Dlatego proszę, jeśli nad potrzeby
Ujrzysz co u mnie, cóż dopiero, żeby
Dojść miało wiedzy twojej: że gromadzę
Dostatki w znoju — to ci daję władzę
Zelżyć mię zaraz ostatniemi słowy.
Gdyż pieniądz — wierz mi — w miarę, jak kto woli:
Lub z niego sługa, albo pan gotowy...
Co do mnie — wolę wolność od niewoli.
List ten skreśliłem u świątyni starej [1],
Kędy się modlą ludzie cichej cnoty —
Lecz nie zupełnie jestem swój, z tej miary,
Że ciebie niema ze mną, Fusku złoty.

F. Faleński.

Wszystkie utwory tego poety przetłómaczył prozą Fijałkowski (2 tomy Wrocław, 1818). „Pieśni“, w przekładzie różnych tłómaczów wyszły w 2 tomach (Warszawa 1773). Częściowo je tłumaczyli: K. Tymowski (Warszawa 1816), Jeżowski (2 tomy, Wilno, 1821), Krajewski (Bibliot. Warszawska); Siemieński (Kraków, 1869). „Satyry“ wierszem miarowym przełożył Motty (Poznań, 1853) i niektóre Faleński. „Listy“ tłómaczył Fr. Ks. Dmochowski (Warszawa, 1826) i niektóre Faleński w „Przekładach obcych poetów“ (Warszawa, 1878 i Kraków, 1892).

[1]) Sabińskiej bogini Wakuny.

X. Owidyusz.

a) Elegie miłosne.

Elegia 3 księgi III.

Poeta dziwi się, że jego ukochana, lubo stała mu się niewierną, nie straciła swej piękności i wyrzuca bogom brak kary za jej przeniewierstwo.

Idź, wierzaj, że są bogi! Ślub przysięgły łamie,
A twarz jej wiarołomstwa nie piętnuje znamię!
Jak długie miała przedtem, nim przysięgła, włosy,
Tak długie ma, niewiarą zelżywszy niebiosy.
Jak przedtem białość róży wstyd zapalał twarzy,
Ten się teraz rumieniec w białem licu żarzy.
Nóżka była malutka i teraz tak mała;
Kształtnie była wysmukła, wysmukłą została.
Chytre miała, jak gwiazdy lśnią się oczka teraz,
Któremi wiarołomna zwodziła mię nieraz.
Bez wątpienia, dziewczętom poprzysięgać zdradnie
Z Niebios wolno; a piękność bóstwa mocą władnie.
Pomnę świeżo, że na me oczy i na swoje
Przysięgała — jej zdrowe, a bolały moje!
Powiedzcie mi, bogowie? gdy was ona zwodzi
Bezkarnie, za co cudzy mnie występek szkodzi?
Nie godnaż Cefeusza córa[1]) od was wsparcia,
Za zuchwałość swej matki dana do pożarcia.
Nie dosyć, żem za świadków użył was daremnie!
Nie dość, że ta bezkarnie z was szydzi i ze mnie!
Trzebaż, by swą niewiarę mą gładziła karą;
Ja zwodzony, zwodzącej mam stać się ofiarą?
Albo czczą Jowisz marą jest i głupią ludzi
Swojej zemsty bojaźnią omamia i łudzi;
Albo jeżeli jest jaki — ten płeć lubi ładną
I samym tylko daje moc nad wszystkim władną.
Nas Mars płytkiem przeraża ostrzem swojej broni!
Nas dosięga Pallady włócznia silnej dłoni!
Nas rażą zgiętych łuków lotne strzały Feba,
Na nas mściwe pioruny Jowisz rzuca z nieba!
Samych dziewcząt z bojaźni gniew bogów nie ściga,
Gdy się nieba nie boją, ich się niebo wzdryga.
Niechże odtąd z kadzidłem kto się bogom kłania!
Pewnie więcej mężczyźni mieć powinni zdania;
Jowisz swym gromem lasy i wieże obala,
A same wiarołomne od gruzów ocala,

[1]) Kasyopa, żona Cefeusza, chełpiła się, że jest piękniejsza od Nereid. Na prośby obrażonych Posejdon czyli Neptun został na kraj Cefeusza potworę; dla pozbycia się jej musiał Cefeusz oddać na pożarcie córkę swą Andromedę. Nieszczęśliwą dziewicę wybawił od śmierci Perseusz.

Gdy tyle zasłużyły!... Nieszczęsna Semele
W ufności szuka kary i ginie w popiele... [1])
Lecz na co fukam? na co niebianom złorzeczę?
I bogi mają oczy i ich miłość piecze.
Sam gdybym został bogiem, nie karałbym mściwie,
Choćby mię zwiodła jaka kobietka kłamliwie.
Sam przysiągłbym, że prawda, co kobieta powie,
Nie byłbym z bogów, co się skrupulatnym zowie.
Ty jednak, dziewczę, skromniej obchodź się z ich darem,
Lub mych oczu nie ściskaj boleści ciężarem.

(B. Hulewicz).

Elegia 13 ks. III.

Poeta żegna się z Wenerą i jej synem.

Lubej miłości matko ukochana,
Szukaj innego dla siebie poety,
Tu koniec bierze i dochodzi mety
Słodkich elegij praca dokonana.
Te ja mieszkaniec Peligna krainy [2])
Składałem w słodkim dla płci pięknej tonie,
Ani me za to lice wstydem płonie,
Żem mej rozkoszy dał na widok czyny.
A jeśli zacny ród co sławy nada,
Nie w zgiełku wojny uczyniony trafem,
Ni za pieniądze baronem lub grafem,
Lecz stary szlachcic z wieków od pradziada.
Mantua zaszczyt z Marona odnosi,
Katullus sławy przydaje Weronie,
Mnie wychowańca na Peligu łonie,
Sława zaszczytem Peligu ogłosi.
Złotej wolności zagrzany miłością,
Odważną rękę ściągnąłem do broni.
Gdy połączonej wspólnie zamach dłoni,
Rzucał o Rzymu losy sporną kością.
A tak z przychodniów mniemam, że ktoś powie,
Widząc Sulmony w okrąg szczupłe wały:
O mury! coście tak wielkiego dały
Poetę, ja was słusznie gmachem zowię.
Chłopcze! którego dla mnie prawem wola,
I matko dziecka odemnie wielbiona,
Niech już chorągiew wasza ułożona
Nie będzie odtąd znakiem mego pola.

---

[1]) Semele ukochana od Zeusa, spaliła się, gdy ten bóg na jej prośbę ukazał się jej w całej swej potędze.

[2]) Owidyusz był rodem z Sulmony w kraju Pelignów.

W huczniejszym Bachus trąby zagrzmiał tonie,
Słaby koń w wielkiem kole biedz nie zdoła,
Muzo elegii, cicha lecz wesoła,
Bądź zdrowa! będziesz kwitła po mym zgonie.

(B. Hulewicz).

b) Metamorfozy czyli Przemiany.

Zbiorowy ten poemat w 15 księgach zawiera w sobie 246 większych i mniejszych powiastek najrozmaitszej treści, misternie ze sobą w ciągłą połączonych całość tak, że tok opowiadania nigdy się nie przerywa. Wewnętrzną między niemi łączność stanowi jedynie to, że wszystkie mają na celu odmalować przed czytelnikiem jakąkolwiek przemianę, np. kształtu, własności, stanu lub czegoś podobnego. Treść do nich zaczerpnął Owidyusz z podań mitologicznych greckich; tylko na końcu zużytkował niektóre podania rzymskie, jak np. o Numie Pompiliuszu i Egeryi. Na czele całej wiązanki stoi podanie o powstaniu świata z chaosu, zamyka zaś ją przemiana zamordowanego Juliusza Cezara w gwiazdę i apoteoza Augusta. Trzymając się porządku chronologicznego, poeta zgrupował wszystkie przemiany w sześć następujących okresów: a) Czasy Inacha (ks. 1 i 2); b) Czasy Kadmusa (ks. 3 i 4); c) Czasy wyprawy Argonautów (ks. 5—7); d) Czasy Herkulesa (ks. 8—11); e) Czasy wojny trojańskiej (ks. 12—13) i f) Czasy Eneadów (ks. 14—15).

Z księgi I. Zatopienie zepsutego świata. Deukalion i Pirra. Ponowne zaludnienie świata. Apollo zabija smoka Pitona i na pamiątkę ustanawia igrzyska pityjskie, na których zwycięzców nagradzano wieńcem dębowym. Gdy w wieku żelaznym zuchwali olbrzymi targnęli się na samych bogów, lecz zostali przez Jowisza zgładzeni, z ziemi, krwią ich przesiąkłej, powstał ród ludzi bezbożnych i zbrodniczych. Jowisz postanowił zgładzić ich ze świata ogniem.

I już miał gromy swoje rozrzucać na ziemię;
Lecz z obawy, by pożar, wszczęty od piorunów,
Eteru nie ogarnął, nie spalił biegunów,
I pomny, że wyroków wolą niecofnioną
Kiedyś morza i ziemia i niebiosa spłoną
I cały świat powszechna ogarnie zagłada, —
Ukute przez cyklopów pioruny odkłada;
Inną karą chce zniszczyć ziemian ród zuchwały,
Chce, by z wszystkich chmur nieba deszcze razem lały.
Zasadza Akwilona do eolskiej góry
Z wiatrami, co skupione rozpędzają chmury,
Zsyła Nota. Na mokrych skrzydłach Not się zrywa,
Groźne jego oblicze gęsta mgła okrywa,
Chmury osiadły czoło, deszczem cięży broda,
Skrzydła i włosy siwe porosiła woda.
On gdy silną prawicą chmury z sobą zetrze,
Grom pada i rzęsisty deszcz siecze powietrze.
Iryda[1]), w różnofarbne przybrana odzienie,
Wciąga wody, podaje chmurom pożywienie.

[1]) Bogini tęczy, posłanka Junony.

Ścielą się zboża, smutna nadzieja rolnika,
Długiego roku praca nadaremnie znika.
Ale na zemście niebios Jowisz nie przestaje;
Brat jego[1]) w modrych nurtach posiłki mu daje.
Zwołał rzeki. Gdy weszły w dom swojego króla,
Czas drogi — rzekł on — śpieszcie, taka niebios wola,
Wywrzyjcie wasze siły i domy otwórzcie,
Puśćcie strumieniom wodze i tamy rozburzcie.
Kazał. Odeszli — zdrojom rozszerzyli łoże
I w wyuzdanym biegu stoczyli je w morze.
On sam trącił trójzębem w ziemię przelękniona,
Zajękła i otwarła wód ukrytych łono.
Wzdęte ryczą po polach, a niszcząc zasiewy,
I ludzi porywają i stada i krzewy,
Chaty i poświęcone przybytki niebianom.
Choć gmach jaki dostoi wzburzonym bałwanom,
Przecież silniejsza fala wkrótce go zabierze,
Runęły nawet w morze naciśnione wieże.
Już i ziemia i morze różnicy nie miało,
Wszystko jest morzem, morzu brzegów brakowało.
Ten zajmuje pagórek, w czółno siada drugi
I tam wiosłem kieruje, gdzie prowadził pługi;
Ten nad zbożami pływa i nad wsią zalaną,
Ów chwycił z szczytu wiązu rybę zabłąkaną,
Ten na łąkach zielonych zapuszcza kotwicę
I krzywym grzbietem nawy płynie przez winnice,
A gdzie wprzód zręczne kozy gryzły trawkę małą,
Tam byk morski pokłada swe niekształtne ciało.
Widząc pod wodą miasta, gaje i świątynie,
Morskie na to zjawisko zdumiały boginie;
Delfiny, tłukąc dęby, igrały po lesie.
Płynie wilk pośród owiec; tu fala lwa niesie,
Owdzie niesie tygrysa; moc dzika nie zbawi,
Ani lekkością biegów jeleń się zastawi;
Długo próżno szukając spoczynku i ziemi,
Ptak błędny upadł w morze skrzydły zmęczonemi.
Wreszcie i góry pokrył Ocean wezbrany,
Do szczytu ich wzburzone dosięgły bałwany.
Część ludzi legła w morzu; z morza pozostali
W długich męczarniach głodu życia dokonali.
Od mieszkańców Aonii[2]) Attykę dzieliła
Focyda, ziemia żyzna, póki ziemią była.
Teraz tylko dno morskie. Stamtąd góra stroma,
Wyniesiona nad chmury wierzchołkami dwoma,

[1]) Neptun, bóg mórz.
[2]) Dawniejsza nazwa Beocyi.

Parnas zwana, pod gwiazdy szczyty wzbija śmiało.
Tam Deukalion, gdy resztę morze pokrywało,
Przybił z Pirrą na szczupłej łodzi uniesiony.
Bóstwom góry i nimfom składają pokłony
I Temidzie, wróżącej w Korycejskiej grocie[1]).
Nad niego żaden bardziej nie kochał się w cnocie.
Widząc Jowisz, że morze jest ziemi mogiłą,
Że z tylu kroci ludzi jest już tylko dwoje,
Oboje bogom wierni, niewinni oboje,
Spędza mgły; Akwilonem pasmo chmur rozrywa,
Niebu ziemię, a ziemi niebiesa odkrywa
I gniew morza ustaje. Neptun trójząb złożył,
Bystre wiatry uciszył i wody ukorzył.
Woła Trytona. Tryton wyższy nad bałwany,
Wypływa samorodną purpurą odziany;
Pan morza w brzmiącą konchę dąć mu każe silnie
I wodom do odwrotu dać znak nieomylnie.
Tryton porywa trąbę, wydrążoną, krętą,
Wijącą się przy środku, a w końcu wygiętą;
Gdy w nią zagrzmiał po morzu, w oba ziemi końce
Głos się rozległ, gdzie wschodzi i zachodzi słońce;
Z mocnych piersi dobyty dzielny dech w nią przelał,
I tak rozkazów władcy poddanym udzielał.
Słyszą je wszystkie ziemskie i morskie potoki,
A te, co je słyszały, spełniają bez zwłoki.
Już Ocean ma brzegi, łoże swoje rzeka,
Wzgórki wychodzą z morzá, woda w zdroje ścieka
Ląd się wznosi i wzrasta przez morza ubycie.
Widać lasy bez liści; na ich martwym szczycie
I na konarach nagich muł pozostał tłusty;
Świat się wrócił, lecz niemy, odludny i pusty.
Gdy na milczącej ziemi byli tylko sami,
Deukalion do Pirry tak mówi ze łzami:
„Siostro! żono! kobieto! jedna pozostała,
Niedość, że nas od młodu krwi wspólność wiązała;
Później śluby, dziś jeszcze wiąże nieszczęść brzemię.
Od wschodu do zachodu na obszerną ziemię
W nas dwojgu wszystek naród; w morzu znikli inni.
I my jeszcze nadziei ufać nie powinni,
Jeszcze chmury nad nami prorokują burze.
Cóż, gdybyś sama jedna została w naturze,
Jakżebyś zniosła trwogę, o, nad życie miła,
Boleść albo zmartwienie z kimżebyś dzieliła?
Wierz mi, gdybym cię widział w morzu pochłonioną,
I ja w morze za tobą rzuciłbym się, żono!

[1]) W Delfach. Tu pierwotnie dawała wyroczna bogini ziemi, później Tetyda.

O, czemuż ojca mego[1]) nauką nie słynę
I nie umiem wlać duszy w ulepioną glinę?
Na nas stoi ludzkiego rodu utrzymanie,
W nas chcieli choć wzór ludzi zachować niebianie".
Rzekł. Zapłakali, nowych lękając się ciosów,
Chcą od wyroczni przyszłych dowiedzieć się losów.

Wyrocznia Temidy (później Apollina w Delfach) każe im dla zaludnienia świata rzucać za siebie kości matki. Stosując się do rozkazu, rzucają poza siebie kamienie, jako kości swojej matki-ziemi.

Głazy (któżby dał wiarę! lecz wieków podanie
Niemylne w niewierzących wlewa przekonanie)
Ostrości i twardości zaczęły pozbywać,
Mięknąć i już przemiękłe pewien kształt nabywać.
Gdy zmieniwszy naturę, zwolna rosnąć zaczną,
Przyjmują postać ludzką, choć jeszcze nieznaczną
I podobną do owych posągów rzeźbiarzy,
Gdy pierwsze cięcie dłuta odznaczy rys twarzy;
Część zimna lub wilgotna, jak kamień składała,
Zaraz przechodzi w ciało, w krew i w soki ciała,
Część twarda i niezgięta w kości się przemienia,
Żyła zostaje żyłą, nie tracąc imienia.
Tak odżył świat, potopu wyludniony klęską:
Głaz, rzucony przez męża, przybrał postać męską,
Z rąk kobiety kamienie kształt kobiet przybrały.
Stąd poszedł ród nasz twardy, na prace wytrwały,
To nasz dowód, z jakiego pochodzimy źródła.
Ziemia z własnego łona sama już wywiodła
Innych zwierząt rodzaje...

ale obok nich i olbrzymiego smoka Pitona.

Apollo ostrym grotem naciąga cięciwę,
Który wprzód ciskał tylko na łanie pierzchliwe.
Tysiąc strzał utkwił w smoku, wypróżnił kołczany,
Nim go zgromił, nim czarną krew wysączył z rany.
Lękając się, by sława tak wielkiego dzieła
W przepaściach zapomnienia kiedyś nie zginęła,
Na cześć swoją stanowi Pityjskie igrzysko,
Od zgromionego smoka biorące nazwisko.
Tam za męstwo i zręczność zwycięscy młodzieńce
Z liści dębu splecione zdobywali wieńce.
Jeszcze lauru nie było; nawet Feb przywdziewa
Wieniec, uwity z liści jakiegobądź drzewa.
Pierwszą miłość Apolla do nadobnej Dafny
Nie los ślepy, lecz wzniecił grot Kupida trafny.

[1]) Prometeusza, który stworzył ludzi, ulepiwszy ich z ziemi.

Król Delu[1]), dumny jeszcze z pokonania węża,
Widząc, jak syn Cyprydy cięciwę natęża,
Cóż ci — rzekł — słabe dziecię, po tak silnej broni?
Łuk i groty przystoją mojej tylko dłoni.
Ja potworom i wrogom pewny cios zadaję,
Ja smoka, co ogromem całe zaległ staje,
Przemogłem, niezliczone utkwiwszy w nim strzały;
Nieć miłość, lecz do naszej nie wdzieraj się chwały.
Na to Kupido: Wszystkich ty zwyciężasz, Febie!
Ale ja więcej mogę, bo zwyciężę ciebie;
Tak więc ile moc twoja moc wszystkich przewyższa,
Tyle od mojej chwały chwała twoja niższa.
Rzekł, lekkiem bijąc skrzydłem, w górne leci kraje,
Znika i w oka mgnieniu na Parnasie staje.
Zaraz z kołczana swego dwie wybiera strzały,
Ta niszczy, tamta wznieca miłosne zapały;
Ta, co wznieca, jest ostra i od złota błyszczy,
Tępa jest i z ołowiem ta, co miłość niszczy.
Prędko bożek swawolny cięciwę napina,
Tym grotem przeszył Dafnę, tamtym Apollina.
Już płonie Feb miłością, Dafne jej unika.
Najmilszem jej schronieniem gaj lub knieja dzika,
Chętnie przebiega lasy, a wśród łowów śmiała,
Włosy w nieładzie prostą przepaską wiązała.
Nieślubna jak Dyana, jak Dyana miła,
Rękę wielu kochanków z dumą odrzuciła.
Wstręt ma od męża, nie zna ani sobie życzy
Poznać pieszczot Himenu, kochania słodyczy.
Próżno chcąc jej odmienić Penej[2]) przedsięwzięcia
Mawiał: Winnaś mi, córko, i wnuków i zięcia.
Dafne, mając za zbrodnię małżeńskie ogniwa,
Na te słowa twarz skromnym rumieńcem okrywa;
A na ojca swojego rzucając się ręce,
Pozwól — rzekła — niech życie panieństwu poświęcę,
Wszak tego ojciec bogów pozwolił Dyanie.
Nie, Dafne, twoja prośba bez skutku zostanie,
Bo choć do niej ojcowska przychyla się władza,
Twoja piękność do takich ślubów ci przeszkadza.
Widzi Apollo Dafnę, widzi ją i kocha,
Zwodzą go własne wróżby i nadzieja płocha.
Jak się zajmuje słoma, kiedy nieostrożny
Przy niej pochodnię swoją zostawi podróżny.
Tak Apollo miłości płomieniem goreje,
A ogień podsycają zwodnicze nadzieje.

---

[1]) Apollo.
[2]) Rzeka w Tesalii, ojciec Dafny.

Widzi, jak po ramionach włos w nieładzie spadał,
Cóż? gdyby mu wdzięk sztuki więcej blasku nadał!
Widzi żywe i gwiazdom jej oczy podobne
I piękniejsze od róży widzi usta drobne,
Które nie dość jest widzieć. Chwali ręce, szyję,
Myśląc, że to piękniejsze, co jej skromność kryje.
Lecz ona, nad wiatr lżejsza, od bożka ucieka;
Próżno Apollo na nią tak wołał zdaleka:
„Stój, Dafne! Wszak ty we mnie nie masz przeciwnika.
Gdy drżąca gołębica jastrzębia unika,
Gdy przed wilkiem owieczka, przed lwem pierzcha łania,
Widzą w nich wrogów swoich; ja ścigam z kochania.
Gaje, przez które biegniesz, niedość ci są znane,
Ach! możesz sobie cierniem zadać ciężką ranę,
I ja miałbym być twojej przyczyną niedoli,
Powoli biegnij, będę gonił cię powoli.
Patrz, kogo twoje wdzięki miłością uwiodły,
Anim ja dziki góral albo pastuch podły,
Który zapędza trzodę w tę gęstwinę ciemną, —
Nie znasz mnie i dlatego uciekasz przedemną.
Jowisz jest ojcem moim; mnie wznoszą ołtarze
W Delfach, Klaros, Tenedos i żyznej Patarze.
Znam przeszłe, teraźniejsze i przyszłe zdarzenia,
Przezemnie z wdziękiem lutni zgadzają się pienia;
Grot mój zawsze był pewnym, lecz miłości strzała
Sercu memu cios jeszcze pewniejszy zadała.
Odemnie ma początek lekarska nauka,
Znam zioła, wsparcia mego nikt próżno nie szuka,
Ale ranę miłości któż uleczyć zdoła?
Innym pomocne, dla mnie bez skutku są zioła“.
Jeszcze mówił, lecz Dafne, na błagania głucha,
Ucieka i ginących słów jego nie słucha.
Coraz była piękniejszą, wiatr szatą szeleścił,
Uchylał ją niekiedy i z łonem się pieścił.
Rozpuszczone jej włosy powiewy unoszą,
Lekkość wdzięku dodaje, Feb pała rozkoszą.
Porzuca próżne skargi i czcze narzekania,
Przyśpiesza biegu, leci, kochankę dogania.
Jak na otwartem polu chart zająca żenie,
Ten pragnie znaleść zdobycz, tamten ocalenie;
Chart, doganiając, myśli, że schwyta zająca,
Ale tylko nozdrzami ślad jego potrąca,
Zając niepewny śmierci zręcznie się wymyka,
Otwartą zostawując paszczę przeciwnika.
Tak lecieli. Apolla nadzieja schwytania,
Dafnę bojaźń do biegu prędszego nakłania.
Ale bóg, gdy mu miłość skrzydeł swych użyczy,
Coraz żywiej dopędza, a blizki zdobyczy,

Już sięga, lecz go zwodzi nadzieja zdradliwa,
I tylko włos rozpierzchły tchem swoim rozwiewa.
Z sił spadłszy, zbladła Dafne, a zmożona biegiem,
Tak zawoła, stanąwszy nad Peneja brzegiem:
Jeśliś bóg, broń mię, Ojcze, niech zginie w przemianie
Piękność zbyt ujmująca i prześladowanie.
Ledwie skończonej prośby wysłuchała rzeka,
Miękka kora pieszczoną pierś Dafny powleka.
Widać włos w liściach, rękę niknącą w gałęzi,
Nogę, dawniej tak lekką, ziemia w sobie więzi,
Wierzch pokrywa jej czoło; i w drzewa postaci
Jeszcze nadobna Dafne piękności nie traci.
Jeszcze do niej Apollo silnym ogniem płonie,
Czuje bicie jej serca w zdrewniałem już łonie,
Przyciska lube drzewo dla pocałowania,
Ale i drzewo jeszcze uścisków zabrania.
Rzekł więc Apollo: Losu wolą niecofnioną,
Kiedy nie możesz, Dafne, zostać moją żoną,
Będziesz choć drzewem mojem; twym liściem uwieńczę
Kołczany, łuki, liry i skronie młodzieńcze.
Laurze! Ty będziesz wodzów latyńskich nagrodą,
Gdy ich do Kapitolu zwycięstwa przywiodą,
Będziesz zamku Augusta najświetniejszą strażą.
Z liściami dębu twoje liście się skojarzą;
A jak włos mój nie dozna wieków nienawiści,
Tak nigdy nie uwiędnie świeżość twoich liści.
Umilkł Pean[1]); w laur zaraz Dafne się przemienia
I schyla swój wierzchołek na znak dziękczynienia.

(Br. Kiciński).

---

2. Z „Żalów“ ks. I. elegia III.

Gdy nocy, co ostatnią dla mnie w Rzymie była,
Stanie w umyśle moim pamiątka niemiła;
Gdy wspomnę, ilem dobra utracił na wieki, —
Jeszcze teraz z pod mokrej płynie łza powieki.
Dzień ów nadchodził, w którym Cezara wyrokiem
Miałem się wiecznie żegnać z miłym Włoch widokiem.
Do wybrania się myśli, ni czasu nie było,
Krew ostygła w mych piersiach, serce ruch straciło.
Ni ja sług, ani dobrać towarzysza mogę,
Ni o zwykłe potrzeby mam staranie w drogę.
Zmiartwiałem: jak gdy kogo grom nieba ogłuszy,
Żyje, nie czując w sobie żadnej władzy duszy.

---

[1]) Przydomek Apollina.

Lecz gdy sam zbytek żalu rozpędził te burze
I obumarłej czułość przywrócił naturze,
Ozwę się do przyjaciół w tej ostatniej chwili,
Co z wielu przecie jeden i drugi przybyli.
Żona mnie płaczącego płacząca ściskała.
Po jej zdrapanem licu rosa łez spadała.
Córka, gdzieś pod Libii niebo przeniesiona,
O losie mym nie mogła być uwiadomiona.
Gdzieś spojrzał, wszędy łkania, wszędy jęki brzmiały,
Płaczliwego pogrzebu był wzorem dom cały.
Męże, niewiasty płaczą, płacze dom stroskany,
Każdy zakąt był łzami rzewnemi oblany.
Jeśli wielkie z małemi porównać przystoi,
Zdobytej niegdyś taka była postać Troi.
Ucichły ludzkie mowy i psów nawet głosy,
Już blady księżyc w górne wzbijał się niebiosy;
Na ten patrząc i widząc z mym domem zetknięte
Mury Kapitolium wspaniałe i święte, —
Bogowie — rzeknę — i wy, gmachy tryumfalne,
Świątynie, raz ostatni mym oczom widzialne;
Bóstwa, których Rzym czujnej doznaje opieki,
Stróże twierdzy Kwiryna, żegnam was na wieki.
Choć późno biorę puklerz, gdy z rany krew sączy,
Niech przynajmniej nienawiść z klęską się nie łączy.
Jaki błąd mnie omamił, powiedzcie mu szczerze,
Niech mąż boski pomyłki za zbrodnię nie bierze.
Sprawcy nieszczęścia mego, objawcie, co wiécie,
Gdy zbłagam boga, biednem nie będzie me życie.
Takie-m niósł w niebo modły i podobne żona.
Jej mowa gęstem łkaniem była przytłumiona.
Rozczochrana przed ołtarz domowy się ciska,
Drżącemi usty zgasłe całując ogniska,
Łaje bogom domowym, na ich gniew się żali.
Próżna rozpacz! co męża zguby nie oddali.
Lecz już noc blizka końca wszelką zwłokę skraca,
Już Parrazys swe koła od osi odwraca.
Cóż czynić? Tu mnie miłość ojczyzny trzymała.
Tu noc ostatnia w podróż nieprzebytą gnała.
Mówiłem, gdy kto śpieszył: czemuż tak naglicie!...
Zważ, skąd idziesz i dokąd przenosisz twe życie.
Jak częstom siebie zdradzał, stanowiąc godzinę,
W której rodzinną miałem opuścić krainę;
Trzy razy-m drzwi otwierał, zamykał trzy razy,
Leniwe nogi serca pełniły rozkazy.
Częstom: bądź zdrów — wyrzekłszy, bawił się rozmową;
I wszystkich uściskawszy, został jednakowo.
Łudzę sam siebie, jedne powtarzam zlecenia,
Patrząc na miłe sercu mojemu stworzenia

„Na co tu pośpiech — rzekłem. Scytya cię wzywa.
Rzym opuścić należy!... zwłoka sprawiedliwa!
Żywa ci żona jeszcze odjęta za życia,
Tracisz dom i wiernego słodycze pożycia.
O wy, których jak braci kochała ma dusza,
Przyjaciele, spojeni wiarą Tezeusza,
Niech was uściskam. Wkrótce wzbronią nam uścisku!
Tę ostatnią godzinę, niestety, mam w zysku!“
Czas uchodzi; zaczęte wyrazy przerywam,
Ściskam, kto bliżej stoi, i łzami oblewam.
Gdy to mówię i płaczę, na górnym obłoku
Jutrzenka blask rzucała przykry memu oku;
Wychodzę, i w tej chwili tak mi się zdawało,
Że na dwie części moje dzieliło się ciało.
Tak bolał Pryam, kiedy mniemana obrona,
Koń, wyrzucał mścicieli z niezmiernego łona.
Powstał krzyk, ozwały się jęki przygłuszone,
Tłuką pierś nagą ręce, rozpaczą wiedzione.
Żona, na idącego rzucając się łono,
Tę doń obraca mowę, łkaniem przytłumioną:
„Nie puszczę! z tobą raczej pójdę razem wszędzie.
Małżonka wygnanego z nim wygnanką będzie.
I dla mnie ta jest podróż, ten los niełaskawy:
Małem brzemieniem zbiegłej nie obciążę nawy.
Twoja kara jest gniewu Cezara wymiarem,
Moja cnota — ta dla mnie stanie się Cezarem“.
Tego chciała, te miłość stręczyła jej kroki,
Zaledwie ją pożytku wstrzymały widoki.
Jak zmarły bez pogrzebu odchodzę wybladły,
Na twarz posępną włosy rozczochrane spadły.
Odszedłem, a w rozpaczy, zmysłów pozbawiona,
Padła na środku domu nieszczęśliwa żona.
Gdy wstała, w prochu swoje uwalawszy włosy
I mdłe podnosząc członki, kląć zaczęła losy.
Nad swojem, to nad domu sieroctwem płakała,
To wydartego męża imię powtarzała,
Tak żałobliwie jęcząc, jakby stos wysoki
Jej córki albo moje miał pożerać zwłoki.
Umrzeć chciała i z życiem pozbyć się tęsknicy;
I przez wzgląd na mnie życia nie przeszła granicy.
Żyj dla nieprzytomnego, tak chce przeznaczenie!
Żyj, aż mu pomoc twoja przyniesie ulżenie.

(Euz. Słowacki).

3. Listy z Pontu.

List 7 księgi III. Przyjaciołom.

Słów mi brak, gdy tak często przykrzę się o jedno:
Wstyd bez skutku i końca widzieć prośbę biedną.
I was pewnie wiersz taki nudzi niepotrosze,
Wszyscy bodaj wskroś znacie, o co zawsze proszę.
Wprzód wiecie, czego w listach żądać nie przestanę,
Nim jeszcze są me karty z sznurków wywikłane.
Niechże się przedmiot naszej odezwy odmieni,
Nie bądźmy przeciw rzece tak często wleczeni.
Darujcie, Przyjaciele, żem w was miał nadzieję,
Już się skończą takowe grzeszenia koleje.
Ni żonie łajać będę, że nie jest dość stałą,
Jak dobra, tak tkliwa, a obrotna mało.
I to zniesiesz, Nazonie! gorsze zniósłszy rzeczy,
Już żadne twego czucia brzemię nie skaleczy.
Gdy od stada do pługa przyprowadzisz byka,
On zpod twojego jarzma nowy kark wymyka;
Ja, którego los chłoszcze z okrucieństwem takiem,
Już dawno w żadnej biedzie nie jestem nowakiem.
Tu przybyłem, niech umrę tu w Getów krainie!
Niech Parka, gdzie zaczęła, mej nici dowinie!
Dobrze karmić nadzieję, co nie zawsze myli,
I mniemać, że się w przyszłej twój ślub ziści chwili.
W wtórym stopniu jest wątpić o ratunku śmiało
I pewnie wiedzieć, że się w przepaści zostało.
Tak gojeniem niejedna powiększa się rana,
Lepiejby było, gdyby nie była tykana.
Lżej ów tonie, co wodę w nagłej połknął chwili,
Niż ten, co się ramiony wał wzdęty rwać sili.
Czemużem sobie tuszył o szczęśliwszej ziemi
I żem się mógł z miedzami rozstać scytyjskiemi?
Za cóż mi czemsi lepszem nadzieje schlebiły?
Czy mi tak me wyroki przewidziane były?
Srożej się dręczę, rojąc piękność Rzymu sobie,
Wznawiam smutne wygnanie i świeżem je robię.
Dogodniej, że przestali czynić za mną mili,
Niż, że bez skutku prośby, którychby użyli.
Druhy! szło o rzecz wielką, wy czynić nie śmiecie:
Gdyby kto prosił, był ten, coby chciał dać przecie.
Chyba Cezara w gniewie zakaz usłyszycie,
Ja przy euksyńskich wodach chętnie skończę życie.

(J. Przybylski).

Owidyusza „Elegie miłosne“ tłumaczył B. Hulewicz (Lipsk, 1784 i Warszawa, 1791); „Metamorfozy“ — Br. Kiciński p. t. „Przemiany“ (Warszawa, 1826). „Tristia“

i „Listy z Pontu“ — J. Przybylski p. t. „Wiersze na wygnaniu pisane“ (Kraków, 1802). Oprócz tego istnieją jeszcze dwa dawniejsze przekłady Metamorfoz: — J. Żebrowskiego i W. Otwinowskiego, oraz „Heroidy“ w tłumaczeniu A. Bardzińskiego.

XI. Lukan.

Farsalia.

Juliusz Cezar przekracza Rubikon; na wiadomość o tem Pompejusz i większość senatorów opuszcza Rzym; wieszczkowie Arruns i Figulus przepowiadają przyszłe klęski. Brutus radzi się Katona (młodszego), co ma czynić; Katon oznajmia, że stanie po stronie Pompejusza. Cezar oblega Corifinium i zmusza Domicyusza do poddania się. Pompejusz w Kapui przemawia do swoich żołnierzy, lecz poznawszy z ich milczenia bojaźń, usuwa się do Brundisium. Cezar zmusza go do opuszczenia Italii, hojnością pozyskuje lud i wkroczywszy do Rzymu, zabiera skarb państwa pomimo oporu trybuna Metellusa. Pompejusz zgromadza około siebie wojska z Grecyi i ze Wschodu. Cezar podąża za Alpy i po uporczywej walce zajmuje Marsylię, potem pokonawszy Afraniusza i Petrejusza, zajmuje pod swą władzę Hiszpanię. Tymczasem stronnicy Pompejusza walczą pomyślnie przeciw Antoniuszowi w Iliryi i przeciw Kuryonowi w Afryce. Cezar wraca z Hiszpanii, przeprawia się na okrętach do Epiru, a nie mogąc doczekać się przybycia floty Antoniusza z głównemi siłami, usiłuje w łodzi przedostać się nocą na drugą stronę, żeby przyśpieszyć przeprawę wojska; ale burza zmusza go do zaniechania tego zamiaru. Pompejusz odsyła swoją małżonkę Kornelię na wyspę Lesbos. Po utarczkach pod Dyrrhachium Cezar usuwa się do Tesalii, Pompejusz podąża za nim. Pod Farsalem stają oba wojska naprzeciw siebie. Tesalska wieszczka Erychto przepowiada Sekstusowi Pompejuszowi smutną przyszłość. W stanowczej bitwie Cezar rozprasza najpierw wojska ludów sprzymierzonych z Pompejuszem, potem uderza na główne jego siły. Zwyciężony Pompejusz ucieka na okręt, zabiera po drodze żonę z wyspy Lesbos i szuka przytułku najprzód w Cylicyi, później w Egipcie, ale tu za sprawą intryganta Potinusa, ulubieńca króla Ptolemeusza, zostaje zamordowany. Tymczasem Katon walczy pomyślnie w Afryce. Cezar w pościgu za Pompejuszem składa w Troadzie ofiarę cieniom Hektora; przybywszy do Egiptu, dowiaduje się o zamordowaniu współzawodnika i obłudnie opłakuje zgon jego. W Aleksandryi odwiedza Cezar grobowiec Aleksandra Wielkiego. Kleopatra ujmuje go swojemi wdziękami. Podczas uroczystej uczty kapłan Achoreusz tłumaczy mu przyczyny wylewów Nilu i przestrzega go, żeby nie próbował dotrzeć do jego źródeł, jak to napróżno czynili Persowie i Aleksander. Potinus knuje zdradę na życie Cezara, a gdy mu się to nie udaje, wywołuje bunt w mieście. Cezar chroni się do pałacu królewskiego, pali okręty egipskie i karze Potinusa śmiercią; jego współwinowajca Achillas ginie z ręki Arsynoi. (Poemat na tem się urywa).

Zobopólna nienawiść Pompejusza i Cezara. — Obraz obydwóch wodzów. — Przyczyny wojny domowej.

Niezgodna trwała w krótkich przeciągu lat zgoda,
I nie w smak była wodzom pokoju swoboda.
Krassus wojnę wstrzymywał. Jak szczupła cieśnina,
Która grożące sobie dwa morza rozcina,
Gdyby się rozerwała w silnej swej zaporze,
Wnet Jońskie z Egejskiem tłukłoby się morze;
Tak gdy Krassus, co srogiej był wojny przewłoką,
Zginął i zbroczył Karry łacińską posoką,
Wybuchnął z zajadłością swoją Rzym zażarty.
Więcejście, niż mniemacie, dokazały Party,
Zabrawszy zwyciężonym Rzymianom sztandary:
Wznieciliście w nich wojny domowej pożary!

Dzieli się mieczem państwo, a los, który w rządy
Przemożnego dał ludu i morza i lądy,
I świat cały ogarnął, dwóch objąć nie może.
Julia[1]) zmarła i męża dom osierociwszy,
Złączonej krwi poniosła związki do Ereba.
Lecz gdyby ci chwil dłuższych pozwoliły nieba,
Tyś jedna jeszcze mogła wstrzymać od oręża
Zajadłego z tej strony ojca, z tamtej — męża,
Wytrąciwszy żelazo, zbrojne sprządz prawice.
Jak z świekry sprzęgły zięciów sabińskie dziewice.
Z tobą zniknęła ufność: wolne boju wrota,
Chciwa pierwszeństwa bodźcem dla obydwóch cnota.
Ty, ażeby przy nowych stare laury twoje
I przy Gallach stłumione nie zgasły rozboje,
Obawiasz się, Pompeju; a ty bojem długim
I ciągłem wzniesion szczęściem, nie możesz być drugim.
Cezar wyższego nie chce, Pompej — z równym siedzieć:
Kto słuszniej przywdział zbroję? niepodobna wiedzieć:
Wielkich obiedwie strony mają sędziów na to:
Zwycięskiej sprzyja niebo, zwyciężonej Kato.
Nierówni się spotkali i wiekiem i stanem.
Jeden, laty schylony, już i być hetmanem
W długim odwykł pokoju: chciwy próżnej sławy,
Pospólstwu sypał dary, tworzył mu zabawy,
Cały ulegający dla gminnego wiatru,
Podobał sobie w klaskach swojego teatru.
Nie krzepił sił, zbyt w dawne ufny powodzenia,
I cień w nim tylko stoi dawnego imienia.
Tak dąb wyniosły w polu, który dawno wzięte
Dźwiga łupy narodów, wodzów dary święte,
Choć ciężarem, nie silnym trzyma się korzeniem,
Nagi w gałąź, ode pnia małym darzy cieniem,
Choć go pierwszy wiatr zwali z ogromnym hałasem,
Chociaż wkoło kwitnącym otoczony lasem;
Samemu jednak tylko naród cześć oddawa.
W Cezarze zaś nie sama była wodza sława,
Lecz umysł, nie cierpiący na chwilę pokoju,
A ten tylko wstyd jeden: nie zwyciężyć w boju.
Bystry, gdzie gniew go niesie, lub nadzieja wzywa,
Śpieszy z zapałem, leci, żelazo porywa,
Jednem szczęściem o drugie szczęście się dobija,
Wznosi lot wyżej, widząc, że mu niebo sprzyja,
Cokolwiek na przeszkodzie, śmiałym kruszy łomem,
I kontent, drogę sobie otwiera pogromem.
Tak z powietrza łoskotem, a z przestrachem świata,
Wiatrem wyparty piorun z obłoku wylata,

[1]) Córka Cezara, żona Pompejusza.

Ukośnym rażąc błyskiem, lud zdumiały trwoży,
I zajadły, na własne świątynie się sroży,
Padając i wracając, niecofnięty z drogi,
Wszystko wali i zbiera rozpierzchłe załogi.
Te wodzom; lecz publiczne do wojny powody:
Występki, które gubią przemożne narody.
Gdy Rzym podbite świata spanoszyły kraje,
A przy szczęściu zniknęły dawne obyczaje,
Wstał zbytek z łupów, wziętych na nieprzyjaciołach:
Niemasz miary w naczyniach, w pomieszkaniach, w stołach;
W szaty, które zaledwie kobietom przystoją,
Straciwszy wstyd i cnotę, mężczyźni się stroją.
Już nikt płodnego w mężów ubóstwa nie lubi,
A tego chciwie szuka, co narody gubi.
Skupują grunta nowe, a mierne zagony,
Które kopał lemieszem Kamilus wsławiony
I które Kuryuszów grzebały motyki,
Zbyt rozciągnione, obce widzą osadniki:
Już ten lud nie znał ceny pokoju i zgody,
Ni w ciszy broni drogiej używał swobody:
A stąd obfite sporów i niesnasek źródło.
Za nic zbrodnie, do których ubóstwo przywiodło:
Stąd żelazem szukana, niegodziwa sława —
Więcej módz nad ojczyznę; stąd gwałt mierzy prawa,
Stąd wyciskane mocą pospólstwa uchwały,
Stąd konsule z trybuny gwałcą trybunały,
Stąd porywane złotem pęki i topory,
Zepsuty lud swojemi frymarczy honory.
Stąd ambit, zgubne krajom rodzący bezprawia,
Coroczne na przedajnem polu walki wznawia:
Stąd brzydka lichwa, korzyść w zdzierstwach nieprzystojna,
Wiara zgasła i wielu pożyteczna wojna.

(F. Dmochowski).

(Dwa są całkowite przekłady Farsalii na język polski: Stanisława Chrościńskiego 1690 i Jana Alana Bardzińskiego 1691; oba słabe. Wyjątki tłómaczył Fr. Ks. Dmochowski).

XII. Persyusz.

Satyra 3 (początek).

Na gnuśne życie młodzieży majętnej.

Także to ustawicznie? już dzień w okna wchodzi
I ścisłe rozpadliny jasnością rozwodzi.
Chrapiemy, jak po twardem wczasując się winie,
Gdy już cień pokazuje na piątej godzinie.

Patrz, co czynisz? gorąco już dawno spędziło
Z pól żeńce i pod cienie bydło powchodziło,
Jeden rzecze z sług starszy: Czy prawda? tak wiera?
W skok sam kto pójdź gdzież który? Burzy się cholera,
Wrzeszczy, jakbyś oślego ryku słyszał głosy.
Już książkę, już i tekę pstrą, zczesawszy włosy,
I papier w ręce bierze z piórem do pisania,
Aż narzeka, że inkaust gęsty do puszczania,
Że się go nic od wody wlanej nie zostoi,
Narzeka, że rozdarte pióro krople dwoi.
I do tegoż to przyszło, nędzniku strapiony?
Czemuż się jak gołąbek, jak dzieciuch pieszczony
W delicyach książęcych papu nie napierasz
I mamie się od lali z gniewem nie wydzierasz?
Czyż się z tem piórem uczyć? Kogoż zdradzasz? czemu
Tak pleciesz? grać to twoja, gdyć to w myśl głupiemu
Nie idzie, za nic będziesz. Szczęka natłuczony
I nie głośny dźwięk garnicc ma niewypalony.
Mokreś i miękkie błoto, teraz cię pilnować,
Teraz na prędkim kręgu ustawnie kształtować.
Aleć ojciec do życia da chleb dostateczny,
Czegoż się masz obawiać? i sprzęt w dom bezpieczny.
Dość-że na tem? z tegoż się tak bardzo odymasz,
Że tysiączny potomek herb etruski trzymasz,
Albo że czcisz cenzora z twej krwie ustrojony?
Z tem się chełp u pospólstwa, mnieś dobrze znajomy.
Nie wstyd cię naśladować Nakki w nieprawości?
Ale ten już nie czuje i odrętwiał w złości:
Nie tak dalece winien, nie wie czego zbywa,
I na dnie zanurzony więcej nie wypływa.
Boże Wszechmocny! inszą okrutników trwogą
Nie chciej karać, gdy wpuszczą pożądliwość srogą
W swe skłonności, jadem ją ciężkim napuściwszy,
Tylko daj ujrzeć cnotę i schnąć ją straciwszy.

(M. Słonkowicz).

XIII. Petroniusz (Arbiter).

Satyrykon.

Jestto satyra, a raczej romans obyczajowo-satyryczny, napisany prozą, tu i owdzie przeplataną wierszem, i malujący w dosadnych barwach zdziczałą demoralizacyę średnich i wyższych warstw społeczeństwa rzymskiego za czasów Nerona. Bohaterem romansu jest obywatel rzymski Enkolpios, który sam opowiada swoje przygody, przez jakie przechodził, szukając wyrafinowanego zadowolenia. W tej pogoni za nizkiemi, a nawet wstrętnemi uciechami życia, ani on, ani towarzysz jego Ascyltus nie ogląda się na środki

i osiąga cel przy pomocy różnych sztuczek i praktyk szalbierskich, nie wyłączając morderstwa dla rabunku, a tem bardziej pospolitego oszustwa lub kradzieży. Z obszernej całości „Satyrykonu“ pozostało tylko 18 fragmentów z księgi XV i XVI. Przedstawiają one niedokładny obraz działalności Enkolpiosa i jego towarzysza, wraz z wspólnym ulubieńcem Gitonem, w południowych Włoszech, a mianowicie w Kampanii (Neapolu?) i Krotonie. Najobszerniejszym i najważniejszym z tych fragmentów jest opis uczty u bogacza Trymalchiona. Jest-to prostak i nieuk, który udając oczytanego w literaturze, każe Agamemnonowi porwać Helenę i prowadzić o to wojnę Trojanom z Tarentynami; za młodu był niewolnikiem i przez lat czternaście dogadzał chuciom swego pana, za co po jego śmierci otrzymał znaczny zapis i to właśnie było rozczynem jego majątku. Zbogaciwszy się na szczęśliwych przedsiębiorstwach handlowych i lichwiarskich pożyczkach, obecnie jest tak bogaty, że nawet nie wie, ile ma majątku. Popisuje się nim wszakże przy każdej sposobności, a nawet marzy o tem, żeby kupić całą Apulię. Używanie wyrafinowanych przyjemności stanowi jedyny przedmiot jego myśli. Na swoje zbytkowne uczty rad przyjmuje wszystkich, bo może w ten sposób popisać się wszystkiem, co jako swoją chlubę uważa, i zabawić się w towarzystwie ludzi tej samej wartości moralnej. Enkolpios i Ascylt, przygotowawszy się należycie, przybywają do niego na ucztę.

„Nakoniec położyliśmy się na sofach przy stole biesiadnym. Wnet ukazali się niewolnicy z Aleksandryi egipskiej i każdemu z nas nalali na ręce wody, ochłodzonej śniegiem. Inni znowu umywali nam nogi i obcinali paznokcie nader ostrożnie i zręcznie. Tej niezbyt miłej operacyi nie dokonywali oni bynajmniej w milczeniu, lecz równocześnie śpiewali. Wzięła mnie chętka przekonać się, czy też wszyscy niewolnicy śpiewają i w tym celu zażądałem napoju. Natychmiast przybiegł jeden z nich i powitał mnie przeraźliwym śpiewem; w taki sam sposób postępował każdy, od którego żądano, aby co podał. Rzekłbyś, że się znajdujesz pośród chóru teatralnego, nie zaś w sali jadalnej bogatego obywatela“.

„Po chwili wniesiono przekąski dla zaostrzenia apetytu. Wszyscy goście już się byli pokładli, oprócz samego Trymalchiona, któremu wedle nowomodnego zwyczaju pierwsze przeznaczono miejsce. Przekąska składała się z koryckiego dorsza, na którego grzbiecie leżały misterne sakwy, a w nich z jednej strony znajdowały się białe, z drugiej czarne oliwki. Ryba ta spoczywała na dwóch półmiskach, z których każdy miał na brzegu wyryte nazwisko Trymalchiona oraz wagę srebra. Na małych talerzykach, bramowanych stalą, leżały szczury marynowane w miodzie i posypane makiem. Dalej w srebrnych koszykach mieściły się gorące kiełbaski, a obok nich stały śliwki syryjskie i ziarnka jabłek punickich (granatowców). Gdyśmy się rozkoszowali w smakowitych przekąskach, dały się słyszeć dźwięki muzyki, śród której wniesiono niebawem samego gospodarza domu, Trymalchiona, i usadowiono go na miękkich poduszkach. Na ten widok niektórzy z lekkomyślnych gości wybuchnęli śmiechem. Co prawda, trudno było utrzymać powagę. Łysa bowiem jego głowa wystawała zabawnie ze szkarłatnego płaszcza, o wokół obciążonej ozdobami szyi zawiązano mu obszytą purpurowym szlakiem serwetę. Na małym palcu lewej ręki miał duży złocony pierścionek, a na przednim stawie sąsiedniego palca — mniejszy, lecz — jak mi się zdawało — szczerozłoty pierścionek, wysadzany gęsto stalowemi gwiazdkami. Ażeby więcej jeszcze pokazać swych bogactw, obnażył prawe ramię,

które było ozdobione złotym naramiennikiem i bransoletą z kości słoniowej, zamykającą się zapomocą błyszczącego łańcuszka. —„Przyjaciele, rzekł niedbale Trymalchion, czyszcząc sobie zęby srebrną wykałaczką, jeżeli mam prawdę powiedzieć, to mi się jeszcze nie chciało przybyć do sali jadalnej; ażeby was jednak przez nieobecność nie skazywać na wyczekiwanie, zrzec się wolałem własnej przyjemności. Pozwolicie mi jednak, że skończę zaczętą partyjkę". — Po tych słowach przystąpił doń niewolnik, niosąc warcabnicę z drzewa terebintowego i kryształowe kostki Przy tej sposobności wpadł mi w oko szczegół, świadczący o pańskim guście Trymalchiona. Zamiast bowiem zwykłych czarnych i białych liczmanów używał prawdziwych monet złotych i srebrnych. Gdy nasz gospodarz zajął się grą, a my dojadaliśmy reszty przekąsek, wniesiono serwis z okrągłym koszykiem, w którym znajdowała się drewniana kura z rozpostartemi skrzydły, zupełnie tak, jak gdyby siedziała na jajach. Jednocześnie ukazali się dwaj niewolnicy i śród ogłuszającej muzyki poczęli przetrząsać podścielisko kury i znalezione w niem jaja pawie rozdawać gościom. Trymalchion odwrócił głowę od warcabnicy i rzekł: „Przyjaciele! kazałem pod tę kurę podłożyć jaja pawie, lecz na Herkulesa! — jestem w strachu, czy się już nic zalęgły. Bądź co bądź, spróbujmy, czy się jeszcze na co przydadzą". — Wzięliśmy tedy do rąk srebrne łyżki, z których każda ważyła przynajmniej pół funta, i zaczęliśmy przebijać skorupy jaj, sporządzone — jak się okazało — z mąki nasyconej tłuszczem. Co do mnie, omałom nie upuścił swojej porcyi na ziemię, gdyż na pierwszy rzut oka byłem pewny, że wewnątrz utworzyło się już coś nakształt pisklęcia. Dopiero gdy usłyszałem, jak jeden ze starszych biesiadników zawołał: „tu z pewnością kryje się coś wyśmienitego", zapuściłem łyżeczkę głębiej i znalazłem ze zdumieniem tłuściutką figojadkę, a wokoło niej żółtko, zaprawione pieprzem..."

Przy falernie z roku konsulatu Opimiusza[1]), śród wesołej pogawędki uczta trwa dalej.

„Nikt z nas nie przeczuwał, żeśmy dopiero — jak mówi nasze przysłowie — połowę góry przysmaków przebyli. Skoro bowiem sprzątnięto ze stołu przy akompaniamencie muzyki, wprowadzone zostały do sali trzy białe świnie, ustrojone wstążkami i dzwoneczkami. Niewolnicy, którzy je wprowadzili, podawali jedną z nich za dwuletnią, drugą za trzyletnią, trzecią zaś za najstarszą, bo sześć lat mającą. Przypuszczałem, że to są petauryści[2]), pokazujący na placach publicznych rozmaite sztuki i figle. Lecz Trymalchion wyprowadził mnie z niepewności pytaniem: „Którą z tych świń życzycie sobie mieć przyrządzoną natychmiast? Chłopi i inni śmiertelnicy prażą sobie kapłony, kury i tym podobne drobnostki; ale moi ku-

[1]) Słynne wino w Kampanii. Opimiusz był konsulem w roku 121 przed Chrystusem.
[2]) Kuglarze.

charze gotują zwykle w kotłach całe cielęta". I nie czekając na naszą decyzyę, kazał przywołanemu kucharzowi przyrządzić świnię najstarszą".

Zagroziwszy kucharzowi surową karą, jeżeli prędko i dobrze nie wywiąże się z zadania,

„Trymalchion zwrócił się do nas z łaskawym uśmiechem i rzekł: „Jeżeli wam to wino nie smakuje, to każę przynieść innego. Z łaski bogów nie potrzebuję nic kupować: wszystko, cokolwiek przyjemnie łechce podniebienie, rośnie w tych dobrach moich, których jeszcze nie widziałem ani razu. Mówiono mi, że leżą w pobliżu Tarentu i Terracyny. Zamierzam właśnie zakupić obszerne posiadłości w Sycylii, ażebym, gdy mi przyjdzie ochota wybrać się do Afryki, mógł jechać wciąż przez własne dobra"...

Upłynął czas jakiś na wesołej pogawędce, w której gospodarz popisywał się ze swoją nieszczęsną erudycyą i dowcipem, a goście mu przyklaskiwali, gdy wtem

„Olbrzymia taca z odpowiedniej wielkości wieprzem zajęła stół biesiadny. Wszyscyśmy jęli podziwiać pośpiech kucharza i przysięgać, że w tak krótkim czasie niepodobnaby upiec nawet kurczęcia. Zdumienie nasze było tem potężniejsze, że wieprz wydał się nam nierównie większym, niż odyniec, któregośmy widzieli niedawno. Trymalchion zaczął mu się przyglądać coraz uważniej, wreszcie zawołał: „Cóż to? ten wieprz niewypatroszony? Nie, doprawdy, nie wypatroszony! Kucharzu! wołać mi tu natychmiast kucharza!" — Kucharz stanął smutny przed stołem i wyznał nieśmiele, że wistocie zapomniał wypatroszyć. „Jakto? co? zapomniałeś? Czyliż o tem można zapomnieć tak, jak o dodaniu kminu albo pieprzu? Obnażyć tego łotra!" Obnażono biedaka natychmiast i dwaj siepacze stanęli obok niego. Tymczasem wszyscy zaczęli za nim prosić i przekładać: „Wszakże to się każdemu może przytrafić, zapominać rzecz ludzka. Przebacz mu, przebacz tym razem; gdyby się to miało powtórzyć, nikt się za nim wstawiać nie będzie"... „No, kiedy masz taką złą pamięć, to wyjmij trzewia tutaj, w naszej obecności". Kucharz wziął na się odzież, schwycił za nóż i drżącą ręką w kilku miejscach rozpruł brzuch zwierzęciu. I ktoby się spodziewał? Naraz z otworów, które się coraz powiększały pod wpływem wewnętrznego zawarcia, zaczęły się wydobywać różnego rodzaju kiełbasy i kiszki".

(W. M. Dębicki).

Całkowity przekład uczty Trymalchiona wraz ze streszczeniem innych fragmentów „Satyrykonu" ogłosił drukiem W. M. Dębicki p. t. „Biesiada u milionera rzymskiego za czasów Nerona" (Warszawa, 1879).

XIII. Fedrus.

1) Wilk i baran.

Pragnieniem przymuszeni, raz do jednej strugi
Pierwszy wilk pić był przyszedł, a baranek drugi
Stanął po nim. Wilk: po co ty mi mącisz wodę?
Baranek: do mnie płynie. — Wilk: ja ci to dowiodę,
Żeś przed sześcią miesięcy... — Mam tylko półczwarta.
Wilk: może; ale matka twoja na wilki zażarta.
I zjadł go. — Kiedy przemoc do niecnoty zajdzie,
Grzech się uświątobliwi i przyczyna znajdzie.

2) Krowa, kózka, owca i lew.

Nikt się z możnym w bezpiecznej lidze nie zostoi;
Świadkiem propozycyi jest ta bajka mojéj.
Krowa, kózka i owca, co znosi cierpliwie
Krzywdę, były z lwem w jednej w lesie komitywie.
Gdy im się raz wielkiego jelenia poszczęści
Uszczwać, tak lew rzekł do nich, podzieliwszy części:
„Tę pierwszą biorę, że się lwem zowię, jak znacie,
Drugą, że mocny jestem, pogotowiu dacie;
Trzecia mi się, żem od was godniejszy, należy;
Nieszczęście go ogarnie, kto czwartą ubieży“.
I tak niecnota sam łup opanował cały;
Towarzyszom się części żadne nie dostały.

3) Liszka i kozioł.

Człowiek w niebezpieczeństwo wielkie kiedy wpadnie,
Myśli, jakby z drugiego szkodą wyszedł snadnie.
Gdy wpadłszy liszka w studnię nie wiedząc, z przygody,
Dla wysokiej nie mogła wyskoczyć zagrody,
Przyszedł kozioł spragniony tamże, oraz pyta,
Czy też słodki napój i woda obfita?
Ta zaś w sercu swem zdradę knując potajemną,
„Zstąp jeno, przyjacielu, wodę tak foremną
Mam, że się rozkosz moja nasycić nie może“.
Spuścił się brodacz; liszka, mając za podnóże
Wysokie kozła rogi, wyskoczyła z studni,
Zostawiwszy go, skąd mu wyniść było trudniéj.

(J. E. Minasowicz).

(Wszystkie bajki Fedra przełożył na język polski Józef Epifani Minasowicz i ogłosił je r. 1756 w 5-tym tomie „Zebrania Rytmów przez wierszopisów żyjących“. Osobno wydał w Warszawie 1777.

XIV. Marcyalis.

a) Epigramaty.

1) O Aryi.

Poczciwa miecz podając Arya Petowi
Z piersi swoich dobyty, tak do niego mówi:
Sztych, com sobie zadała, nie boli mię przecie,
Lecz mię ten, co go sobie zadasz, boli, Pecie!

2) Do Elii.

Jeśli pomnę, Elio, czteryś miała zęby,
Dwa jeden, dwa wytrącił drugi kaszel z gęby,
Możesz teraz bezpiecznie kaszlać, jak się godzi
I przez dzień cały, trzecić kaszel nie zaszkodzi.

3) O Dyaulu.

Niedawno był Dyaulus lekarz, dziś grabarzem,
Co teraz grabarz czyni, toż czynił lekarzem.

4) Do Leliusza oszczercy.

Wierszy swych nie wydajesz, Leli! szarpiesz moje;
Albo mych przestań szarpać, albo wydaj swoje.

5) Do Sekstusa.

Sędzia się dopomina, patron: daj — powiada;
Zapłać wierzycielowi lepiej, moja rada.

6) Do pewnego gospodarza.

Każesz chłopcom potrawy brać nazad ze stołu,
Każże i stół nogami przewrócić pospołu.

7) O jaszczurce zawartej w bursztynie.

Gdy się pnie po gałązkach jaszczurka topoli,
Ciec na nią bursztyn począł kroplami powoli.
Ona, gdy się dziwuje, że lgnie w lepkiej pianie,
Bursztynowym zakrzepnie lodem niespodzianie.
Niech się pysznym nie szczyci Kleopatra grobem,
Gdy jaszczurka w przedniejszym leży, tym sposobem.

8) Nie zginie, co dasz przyjaciołom.

Chytry złodziej z szkatuły pieniądze wykradnie,
Ogień gmachy ojczyste spalić może snadnie,

U dłużnika przepadnie suma pożyczona,
Płonna niwa rzucone nie zwróci nasiona,
Zalotnika niewierna złupi, ogołoci,
Fala okręt z towarem zanurzy, wywróci.
Co się da przyjaciołom, przypadkiem nie zginie,
Te, co rozdasz, dostatki mieć będziesz jedynie.

9) O Taidzie i Lekanii.

Tais czarne, Lekania ma białe i jasne
Zęby, - ta bowiem kupne ma, a tamta własne.

10) O Filonie.

Boży się Filon, w domu że nigdy nie jada:
Nie jada, gdy obiadu nie zje u sąsiada.

11) O sarnach mężnie z sobą walczących.

Widzisz, jak żwawe toczą słabe sarny boje,
Jak zawzięte w lękliwych są zwierzach rankory?
Na zabój czoła śmiało rozpędzają swoje.
Cesarzu[1]), chcesz te bitwy przerwać, spuść psy z sfory.

12) Do Domicyana, który zapaśnicze walki przywróciwszy, starożytnych czasów prostotę odnowił.

Wracasz nam, co u dziadów było w podziwieniu,
Nie cierpiąc, by wiek siwy ginął w zapomnieniu;
Gdy dawny rzymskich igrzysk zwyczaj się odnawia
I męstwo gołą ręką potyczki odprawia.
Tak i świątyniom starym za twych rządów chwała
Wraca; ma i Jowisza cześć świątynia mała.
Tak gdy stare odnawiasz, stawiasz nowe rzeczy,
Co jest, co było, słusznie twej należy pieczy.

b) Z „Księgi widoków“.[2])

1) O upokorzonym słoniu.

Cesarzu! żeć pokorne słoń chyli ukłony,
Od którego dopiero byk był przestraszony, —
Nie z rozkazu to czyni, nie z mistrza ćwiczenia:
Wierz mi, bóstwo twe czuje z jakiegoś natchnienia.

---

[1]) Cesarzem, do którego poeta często się zwraca w swoich epigramatach, jest Domicyan.

[2]) „*Liber spectaculorum*“ tak się nazywa zbiór epigramatów Marcyalisa, stojących na czele całego zbioru i napisanych w pierwszych latach panowania Domicyana.

2) O wodnej bitwie Domicyana.

Jeśli późno z dalekiej kto przychodzisz strony
Pierwszy raz na ten patrzeć widok poświęcony, —
Niech cię nie zwodzi flota i woda jak morze,
Bo tu ziemia dopiero była w tej przestworze.
Nie wierzysz? Patrz, jak wodnej bitwy koniec będzie,
Za chwilę rzeczesz: wszak tu morze było wszędzie.

3) O sarnie i chartach.

Gdy pierzchliwie przed charty mknie rączemi skoki
Sarna, różną im czyniąc sztuką w pędzie zwłoki,
Stanie u nóg cesarza w proszącej postawie
Z pokorą; a tu się jej psy nie tkną prawie.
Bóstwo cesarz ma, święta moc jest, władza święta,
Wierzcie: zwyczaju kłamać nie mają zwierzęta.

4) O Dedalu.

Dedalu! gdy cię szarpał niedźwiedź, mruk obrosły,
Jakbyś wtenczas rad skrzydła miał, by cię uniosły.

(J. E. Minasowicz).

Wybór epigramatów Marcyalisa przełożył J. E. Minasowicz. „Księgę widoków“ (31 epigramatów) wydał tenże w swoim przekładzie w Warszawie, 1759 r.

XV. Juwenalis.

1) Satyra wstępna — Dlaczego piszę satyry (w skróceniu).

Wiecznież mi tylko słuchać? Nie — pokusa
Pomsty mię dręczy. Dość już mam Kordusa,
Który mi przez nos, czyli śpię, czy idę,
Wszędzie swą lichą prawi Tezeidę —
I tych, co nudne deklamują żale —
I co komedye niedowcipne wcale —
I tego, co Telefem swym bezkarnie
Dzień cały srogie sprawia mi męczarnie —
I co Oresta swego w każdej porze
Czyta i nigdy skończyć go nie może.
Nie — nikt dokładniej własnej swej kieszeni
Nie zna, jak ja znam gaj Wenery gacha —
I dziurę, w której Wulkan młotem macha —
I jak złoczyńcy w piekle są dręczeni —
I jakto złote runo zdobywano —
I jak Monychus centaur, skądś wyrwaną

Jesionu wiechą wrogi swe przepędza; —
Tych wszystkich bowiem oklepanek nędza,
Niesforną gębą lada wierszoroba,
Czy brzask na niebie, czy wieczorna doba,
W sadach Frontona w sposób niepozbyty
Krużganki dręczy i drzew śpiące szczyty.
Więc czas już wielki, bym się dorwał bicza,
Gdyż to jest bierność zda mi się zbrodnicza:
Podczas gdy głośno lada chłystek skrzeczy
Zużyte bajdy, godne zbutwieć w pyle, —
Uparcie milczeć dłużej, mając tyle
Do powiedzenia całkiem nowych rzeczy.
Czemu zaś umysł mój się nie obawia
Wkroczyć na szlaki, które już Lucyli[1])
Zaszczytnie zwiedził? — z tego wam bezprawia
W nader się krótkiej wytłómaczę chwili...

. . . . . .

Ten ot, golarzem był — lecz co za zmiana!
Obecnie — patrzcie — śród patrycyuszy
Swemi bogactwy mizdrzy się i puszy!
Ów zaś, w egipskiej psiarni gdzieś wylęgły
Ciura i fagas — Kryspin — toż go znacie —
Jakże on dumny w swej szkarłatnej szacie!
Jak mu są twarde złote łoża węgły!
Jak on się wiatrów lub gorąca lęka!
Jak miękkich puchów trzeba jego głowie!...
To wszystko widząc, czyż nie świerzbi ręka
Satyry biczem kropić co się zowie?
Lub gdzież mi znaleść tak chłodnego człeka,
W którymby gniewy żółci nie wzburzyły,
Gdy ujrzy pełną lektykę baryły
Matona, który w trybunałach szczeka?
Tam się znów słania twarz i postać licha
Donosiciela, który już zgubiwszy
Własnego swego pana, coraz chciwszy,
Na zgubę innych i ich mienie czyha.
Więc mu się Massa bardzo nizko kłania,
Więc Karus datków śle mu bardzo wiele...

. . . . . .

Cóż jeszcze więcej? — Z drogi schodźcie! z drogi!
Tłum się klientów wali — i jak mnogi!
Za kim to? — A! to ty kochanie, który
Powierzonego pieczy twej sierotę
Obdarłeś z mienia aż do żywej skóry
I jeszcześ gwałtem zelżył jego cnotę?

---

[1]) Poeta rzymski († 103 r. przed Chrystusem), twórca satyry we właściwem znaczeniu.

— No, albo Maryusz? Temu choć daleka
Droga z wygnania, zbyt on nie wyrzeka:
Sąd mu cześć odjął, ale nie pieniądze,
Których on kupę nakradł; — a ja sądzę,
Że ta prowincya, co to nazbyt chyże
Zwycięstwo nad nim w sprawie tej rozwodzi, —
Z tego, co dzielnie złupił z niej ten złodziéj,
Nieprędko lub się nigdy nie wyliże.
No i to takich sprawek (z Horacyusza
Pochodnią w dłoni, by im w kose oczy
Zajrzała światłość) nie mam być ochoczy
Chłostać? — I czyż to mocniej — pytam — wzrusza
O Herkulesie lub o Dyomedzie
Lub Minotaurze dziwna bajka która —
Lub mądry Dedal, gdy w powietrze jedzie —
Lub Ikar głupi, gdy w głąb' daje nura.....
. . . . . .
Istotnie dość jest wyjść na miasto, aby
Podobnych wzorków zebrać coniemiara.
— Tam — któż się taki być widzianym stara?
Sześciu go niesie — chłop w chłop tęgie draby!
A on z wysoka wdzięczy się wspaniale —
Rzekłbyś: Mecenas w Augustowej chwale!
To nic. On tylko w pewnym dokumencie
Biegle sfałszował podpis i pieczęcie.
— A ta znów pani? — O! to wielka dama!
Tak było: że raz kubek wina sama
Mężowi dłonią gdy podała białą,
To mu się wprędce coś takiego stało,
Że wziął i umarł. — Odtąd, dusza tkliwa,
W opiece mając wszelką cześć kobiecą,
Jeśli się kędy zdarzy, jak to bywa,
Że mąż, przypadkiem zmarłszy, sczerniał nieco,
Radzi: jak wprędce w sposób jak najgładszy
Na stos wyprawić, nim się gmin opatrzy.
Słowem, gdyś tylko znaczyć rad na świecie,
Bądź kajdaniarzem. — Cnota? — o! — powiecie —
Rzecz to jest arcy-piękna. — Tak — lecz ona
Zębami z zimna szczęka, z głodu kona,
Podczas gdy zbrodzień i człek podłej duszy
Ni się zaziębi, zmoknie, ani pości;
Owszem — wszystkiego ma w pas i po uszy:
Ogrodów, gmachów, sreber, kosztowności.
Tchórz, kto podobnych rzeczy nie wywleka
Na światło dzienne!...
. . . . . .
O! i gdybym wątku

Poetyckiego nie wziął już w kolebce,
To oburzenie samo mi podszepce
Wiersz — zły, czy dobry? nie wiem — jednak sądzę,
Że jest mi dano sprośne chłostać żądze.
Odkąd z osiadłej arki na gór szczycie
Deukalion wyszedł — dalej zaś — z kamieni
Za sprawą Pirry, w ciała rozmiękczeni,
Pierwotni męże twarde wzięli życie —
Poczem w małżeński węzeł się złączyli
Z zastępem dziewic nagich — od tej chwili
Z czembądź się ludzie biedzą, z czem się noszą,
Czy to wściekłością, grozą, lub rozkoszą,
Czy też nadzieją lub strapieniem zową —
To wszystko będzie moich pism osnową.
Gdzież kiedy chciwość i rozrzutność w parze
Z brudnem się skąpstwem tak, jak dziś, ukaże?
Jednym zamachem w kości sto tysięcy
Wyrzuca w błoto twa wspaniała ręka —
A twój niewolnik cały dzień lub więcej
Nie jadł i z zimna w swych łachmanach szczęka.
Kiedyż, jak dzisiaj, tyle budowano
Pałaców? i czyż z przodków kto, myślicie,
Na ucztę, w skromnej chacie zastawianą,
Jak wy siedm razy zmieniać dał nakrycie?
Za to u progu, cóż za nędzne żarcie
Rzucacie w gębę takich, co uparcie,
Choć z nich niejeden starą zdobny togą,
Do waszej łaski tłoczą się, jak mogą!
Jeszcze nierzadko w rozdawania porze
W własnej osobie swojej sam nadęty
Patron przychodzi sprawdzać te klienty
Mocno zgłodniałe. Gdyż się zdarzyć może:
Że wśród tej zbiegłej z końca świata zgrai
Jakiś przybłęda obcy się zaczai —
Lub w zamieszaniu czasem tak wypadło,
Że ktoś podstępnie wziął podwakroć jadło.
— No — gadaj głośno, ktoś ty? — to ci dadzą.
Hej zrób tam woźny między niemi ciszę!
— Bogi! nazwiska toż ja tutaj słyszę,
W Rzymie najpierwszą zdobne niegdyś władzą!
— Daj mi — jam pretor! — A jam trybun! — Hola!
Ten wyzwoleniec już tu dawniej czeka.
— Tak — tak — ów mówi. — Cóż mi za niewola
Ustąpić komu? — zwłaszcza, żem zdaleka —
No, od Eufratu — jak to za pokutę
Wskazują uszy moje wskroś przekłute.
Lecz żem dość grosza zgarnąć był szczęśliwy,
Więc drwię ze świata i mam znaczne wpływy —

Podczas gdy wielce świetny ty Korwinie,
Mimo twe liczne w dziejach antenaty
W lichej gdzieś Wólce pasiesz własne świnie.
Tak — tak — pierwszeństwo ma i tu bogaty —
Mniejsza, że niegdyś kredą naznaczony[1])
Wszedł w Rzym, jak bydlę poganiacza biczem
Prosto na rynek. —
Dziś, będący niczem
Patrycyusz goły, winien jest pokłony
Lada chłystkowi z trzosem! Gdyż jedynie
W Rzymie grosz miły godzien mieć świątynię,
Jak miały niegdyś: Pokój, Dobra Wiara,
Cnota, Zwycięstwo stąpające butnie,
Jak je ma jeszcze kędyś Zgoda stara,
Choć w niej gorszące słychać tylko kłótnie....
. . . . . .
Nie — nie — do naszych niecnot przyszłe wieki
Doprawdy — cóż mieć mogą do dodania?
Więc zamiast głowę łamać, wnuk daleki
Nas naśladować tylko niech się skłania,
Lub nam zazdrościć, żeśmy w danej chwili
Już dla postępu nic nie zostawili.
— Lecz maszże w sobie godność wraz z odwagą? —
Słowem tych wielkich przodków dar uroczy,
Co to w szlachetnym gniewie prawdę nagą
Rznęli, nie patrząc, czyje skłuje oczy?
— Co? niźli palcem wytknąć — może lepiéj
Niech niegodziwca uczczę i pochwalę? —
— Tego ja mówić nie chcę. Lecz zachwale
Niech Tygelina język twój zaczepi,
To, nim w świat frunie sprawka ta junacka,
W cyrku się szrankach możesz znajść zniemacka
I tam zapłonąć żywcem, jak z tych który,
Co to u słupa wzięci w stryk za gardło,
Nim ich zarzewie zwolna w żużel zżarło,
Dymów gryzące rozwlekają chmury.
— Jakże? Ten zbrodzień, który jest podziwem
Świata? co trzykroć własne swoje stryje
Potruł, spojrzeniem będzie pogardliwem
Ze swej wyżyny w oczy patrzał czyje?
— Tak. Ten sam, bratku. I gdy go przypadkiem
Spotkasz, to z drogi w sposób jak najżwawszy
Dawaj drapaka, ręką wprzód zatkawszy
Gębę. Bo widzisz: być kupionym świadkiem
Lub zgubić kogo — tożto u nas fraszka.
Dość gdy kto szepnie: — To on! Bierzcie ptaszka!

[1]) Niewolnikom przeznaczonym na sprzedaż, kredą wypisywano cenę.

Stąd jest bezpieczniej: starych lat Eneje
W Lacyum osadzać, lub odwieczne w rzece
Hylasy topić, co już tak dalece
Nikogo ani ziębi, ani grzeje,
Albo z Hektora smucić się pogromu,
Którego przecież nie żal już nikomu.
Bo dziś złoczyńcę choćby niech Lucyli
W obroty weźmie — oho — padła trwoga!
Jedni się z tego wielce ucieszyli —
Lecz on za bezcen kupił sobie wroga,
Który mu od tej pory najniezłomniéj
Z całego serca pomsty nie zapomni.
Więc, Juwenalu, nim się owych panów
Szarpać podejmiesz, pilnie się zastanów.
Masz wóz i przewóz. Może to korzystniéj,
Zanim się zamiar twój urzeczywistni,
Dopóki pora jeszcze — te junacze
Myśli dla siebie schować. — Ha! zobaczę.

(F. Faleński).

Cztery satyry Juwenalisa (I, VI, X i XIV) przełożył F. Faleński w „Przekładach obcych poetów“ część I. i II. (Warszawa, 1879 i Kraków, 1892).

XVI. Auzoniusz

a) Epigramaty.

1) O swoich wierszach.

Są w naszych wierszach fraszki, są poważne rzeczy,
Swą Stoik, swą Epikur osobę udaje.
Byłem wzór obyczajów dawnych miał na pieczy,
Niech skromna Muza w wolnych żartach nie ustaje.

2) O zmienności fortuny.

Gdy stryczkiem szyję wiąże, skarb się tam objawi
Komuś; więc złoto weźmie, postronek zostawi.
Ów zaś, co skarb pochował, gdy próżne obaczy
Miejsce, wdzieje ten powróz na szyję z rozpaczy.

3) Z greckiego.

Jeśli co dobrze czynisz, czyń prędko, bo płaci
Skutek prędki, nierychła łaska wdzięczność traci.

4) Do Apollina o uciekającej Dafnie.

Porzuć łuk, strzały, Febie! Dożeniesz dziewoi,
Nie przed tobą ucieka, strzał się twoich boi.

5) O straconej kochance.

Trzy Gracye były; cztery — gdy ma Lesbia żyła;
Gdy zeszła, znowu dawna liczba się wróciła.

6) Na ślepego i kulawego.

Wisząc na ślepym, idzie chromy na dwie nodze,
Jeden wzajem drugiemu wygadza w tej drodze:
Ślepy nóg kulawemu pożycza, a chromy
Oczu za nogi temu, co jest niewidomy.

---

b) Epitafie (Nagrobki).

1) Ulisesowi.

Syn Laerta, Ulises spoczywa w tym grobie,
Chcesz więcej wiedzieć, czytaj Odyseję sobie.

2) Pryamowi.

Kto się pyta ciekawie o Pryama grobie,
Napis na Hektorowym niech przeczyta sobie:
Taż sama, co Hektora, ojca jest mogiła,
Obu bowiem ruina jedna przywaliła.

3) Hekubie.

Ja, com była królową, Dymantowa córa,
Ja Pryama małżonka, ja matka Hektora,
Tu Hekuba kamieńmi ległam przywalona,
Wprzód jednakże zajadłym językiem zemszczona.
Nie dufajcie w królestwa, w dziatki, w zacność rodu:
Czytajcie mój nagrobek — macie dość dowodu.

(J. E. Minasowicz).

XVII. Klaudyusz Klaudyan.

1) Porwanie Prozerpiny (poemat w 3 księgach).

Treść. Po podziale rządów nad światem między synami Saturna, Pluton, niezadowolony ze swej mrocznej dzielnicy, zamierza podnieść walkę przeciw Jowiszowi; ale zmiękczony prośbami Park, porzuca ten zamiar i śle do brata Merkurego z żądaniem, żeby mu ten dał przynajmniej towarzyszkę życia. Jowisz przeznacza mu swą córkę Prozerpinę, która razem z swą matką Cererą mieszka na wyspie Sycylii. Właśnie pod ten czas Cerera udała się do Frygii dla odwiedzenia swej matki Cybeli, zaleciwszy córce, ażeby dla bezpieczeństwa nie opuszczała mieszkania. Korzystając z jej nieobecności, Jowisz zwierza swój zamiar Wenerze i poleca jej wyprowadzić Prozerpinę w pola.

Wenera, przybrawszy sobie do towarzystwa Minerwę i Dyanę, nieświadome spisku, przybywa do Prozerpiny i wywabia ją na przechadzkę. Gdy się boginie rozkoszują wiosennem przyrodzeniem, zawiadomiony o tem Pluton wypada z pod ziemi w groźnej potędze swej władzy. Minerwa i Dyana oraz panny służebne chcą bronić Prozerpiny, ale Jowisz grzmotem daje im znak, żeby zaniechały oporu. Pluton uwozi Prozerpinę, a Jowisz najsurowiej zakazuje wszystkim bóstwom zdradzić Cererze tajemnicę. Tymczasem Cererę niepokoją złowrogie sny i przeczucia; pośpiesza więc do domu i nie znajduje córki. Zrozpaczona szuka jej wszędzie, ale napróżno; dopiero nimfa Aretuza, wzruszona jej boleścią, odkrywa jej, co się z córką stało. Cerera udaje się na Olimp i błaga Jowisza, żeby jej Prozerpinę zwrócić kazał. Jowisz przedstawia jej, że małżeństwo z Plutonem nie jest ujmą dla ich córki, uwzględniając przecież przykrość pobytu w Erebie, stanowi, że Prozerpina ma sześć miesięcy przemieszkiwać z mężem, drugie zaś sześć miesięcy pomiędzy bogami olimpijskimi. Radą z wyroku Cerera pośpiesza do córki i zwiastuje jej pożądaną nowinę. Prozerpina przyjmuje ją z radością, a Pluton, lubo nie rad wyrokowi, poddaje się woli brata.

Narzekania Cerery (z księgi III).

Stanie Ceres zdumiała i, co się już stało,
Trwoży ją, jakoby się stać dopiero miało.
Potem gniewem wzburzona na całe się sroży
Niebo. Jako w żelaznej gdy gniazdo obroży
Śmiały królewiczowi uwozi perskiemu
Myśliwiec, żre się tygrys i rączo prędkiemu
Chcąc wyrównać wiatrowi, wpław rozbójcę goni,
Cień chwyta i w głębokiej szczękę nurza toni;
Tak ona niebo nagłym wrzaskiem pomieszała:
„Wróćcie — mówi — oddajcie, i mnie nie wydała
Podła rzeka na ten świat; jak Jowisz, tak wiele
Mam: za ojca Saturna, za matkę — Cybelę.
Kędy prawa niebieskie? kędy teraz chodzi
Sprawiedliwość? cnotliwe na co się przygodzi
Życie, kiedy na więzy Wulkana mściwego
Niepamiętna, nie tylko nieba świadczącego
Nie wstydzi się Wenera?[1]) i po tej swawoli
Wszystko jej wolno, wszystko ma sobie po woli!
Wam, co tytuł panieństwa wzajemnie chowacie,
Wydziwić się nie mogę, że tak odmieniacie
Prędko czysty animusz i zbójcom z złośliwą
Wenerą kompanię czynicie życzliwą.
O, niezbożnej ofiary w dzikiej wystawionych
Scytyi i krwią ludzką ołtarzów skropionych
Obie godne boginie! skąd się urodziła
Ta zawziętość? którą z was moja uraziła
By słowem Prozerpina? Czyli się naparła
Twoich lasów, Dyano? czyć z mocy wydarła
Krwawe bitwy, Pallado? czy może przeszkodą
W czem wam była? I owszem, idąc z wami zgodą,
W Sycylii mieszkała; dla was ustąpiła
Nieba. Ale, cóż? I tam wasza ją odkryła

[1]) Wenera była małżonką Wulkana, ale niezawsze mu wierną.

Zazdrość, gdziem ją schowała". — Temi ją strofuje
Słowy, a one — zakaz ojca je hamuje —
Albo milczą, albo gdy wyjawić nie śmieją,
Gęste tylko z litości łzy naprzemian leją.
Cóż ma czynić strapiona? Widzi, że tak gorzej,
Znowu się do nóg padłszy, wszystkim upokorzy
I żal w sobie trzymając: „wybaczcie mi, proszę,
Jeśli się macierzyńską miłością unoszę
Nad potrzebę i hardziej, niżeli pozwala
Niefortuna, mówiłam. Czemuż się oddala
Ta wiadomość odemnie? Niech przynajmniej czego
Mam płakać, wiem napewno. Przyjmę z niebieskiego
Wszystko, co jest, dekretu; małego ujrzenia
Dozwólcie; trzymaj, kto masz, ani uwolnienia
Napieram się, a jeśli zaszły jakie zmowy,
Powiedz, proszę, Latono! U ciebie nie nowy
Ten afekt; tyś potomstwa dała na świat dwoje,
Jam nad jedną nie miała; niech tak zawsze twoje
Oczy cieszy Apollo, i imię matczyne
Tobie będzie szczęśliwsze". — Dopiero przyczynę
Świeżą wziąwszy, strumieniem nagłym łzy wyleje.
Cóż tak płaczu godnego? i cóż się tak dzieje
Zatajenia godnego? — „Ach, nieszczęsna! prawi,
Wszystkie idą od ciebie, i cóż cię tu bawi
Nadaremnie? Nie widzisz, w jakiej nieba zgodzie
Idą na cię? I owszem, po ziemi, po wodzie
Raczej wolę jej szukać, przez wszystkie godziny
Odpoczynku nie mając; odległe krainy
Zwiedzić przyjdzie, aż póki pociechy stracone
Nie odbiorę; lubo ją za morze czerwone
Wzięto, lubo w zachodnie zaniesiono kraje,
Lub za Renem i kędy słonecznym nie taje
Wieczna zima promieniem, scytyjskie ją lody
Trzymają: pójdę wszędzie, żadne niepogody,
Żadne mię nie ustraszą zimna i gorąca,
Kędykolwiek jasnego okrąg bieży słońca.
Noc ciemna nie utrzyma, Atlas na zachodzie
Ognie nasze obaczy, Hidaspes na wschodzie.[1])
Niechaj niezbożny Jowisz błąkającą widzi,
Niech Juno z poniewierki swej rywalki szydzi;
Naśmiewajcie się hardzi, w niebie rozkazujcie
I z potomstwa Cerery teraz tryumfujcie".

(A. W. Ustrzycki).

---

[1]) Rzeka w Indyach, teraz Behat.

2) Wiersz panegiryczny na konsulat Olibryusza i Probina (r. 395 po Chr.)

Poeta zwraca się najprzód do słońca i wzywa je, żeby z powodu mianowania nowych konsulów, żywszem zaświeciło światłem; następnie przypomina wielkość rodu Anicyuszów, z którego Olibryusz i Probin pochodzą:

Tych fortuna wątpliwym nie łudzi faworem,
Ani wie, co to zmiennym zbaczać od nich torem,
Lecz stały honor całe rodzeństwo obchodzi,
Kogo tkniesz z tego domu, z konsula się rodzi.
Po urzędach chwalebni liczą się przodkowie,
Równym wraz idą śladem zacni potomkowie.
Nikt się z niemi nie równa, chociaż Rzym i z bitnych
I z wielu się zaszczyca domów starożytnych.
Każdy Anicyuszom z nich pierwszy plac dawa,
Dość mają do drugiego dobijać się prawa.

W dalszym ciągu opiewa zasługi Probusa, ojca nowych konsulów, i chwali go szczególniej za hojność, o której tak się wyraża:

Szczodra ona prawica, sypiąc drogie dary,
Rzeki przeszła iberskie, bryl złotych pieczary.
Nie tyle Tagus toczy bogactw w swoim biegu,
Ani tak wiele kruszców na Hermowym brzegu
Da się widzieć lub w onym przesławnym Paktolu[1])
Co na lidyjskiem złoto rozpościera polu.
Nie zdołam, by mi usta brzmiały tysiąc słowy,
By napełnił całego duch Apolinowy,
Nie zdołam Probusowe wypowiedzieć dzieła.
Wielą rządził on państwy, wiele razy była
Pierwsza zdana mu godność, gdy i Afrykany
I Włochy w swojej władzy trzymał i Słowiany.
Przeszli ojca synowie i ci tylko sami
Słusznie nazwać się mogą ojca zwycięzcami.
Kiedyż bowiem tak nieba pomyślne zdarzyły
By dwom braciom młodzianchnym ten urząd zleciły?...
Poczynają tam zawód, kędy meta drugim,
Co ledwie starzy mają przy staraniu długiém.
Wprzód u kresu stawają, niżli wiek im młody
Siejącym się mchem wdzięcznie przyprószy jagody.
Naucz mię, Melpomeno, naucz słodką mową,
Co za bóg ich zaszczycił godnością takową?

W odpowiedzi na to pytanie tłómaczy poeta, jak Roma (Rzym) w postaci nadobnej niewiasty udaje się w majestacie monarszym do obozu cesarza Teodozyusza i przypominając mu zalety młodzieńców i zasługi ich ojca, prosi, żeby im urząd kon-

[1]) Hermos i Paktol rzeki w Lidyi, toczące piasek złoty.

sulów powierzył. Teodozyusz zgadza się tem chętniej, że sam nie widzi nad nich godniejszych kandydatów. Na wiadomość o zgodzie cesarza radują się mieszkańcy Rzymu, a Tyberyn (bóstwo Tybru) wróży nowym konsulom świetną przyszłość:

„Oto moi mieszkańcy, na których niebieskie
Koła przyjście czekają: już miejsca gotowe,
Kędy na strefie złotej błysną gwiazdy nowe.
Gdzie teraz świeci Polluks, tam Olibry stanie;
Gdzie Kastor, tam swe Probin założy mieszkanie.
Ci rządzić będą nawy, ci kiedy zabłysną,
Łacno żeglarz nawałność pokona zawistną.
Teraźże, teraz bogom ofiary składajmy,
Teraz hojną kielichy słodyczą spełniajmy!
Tu się skupcie gromadnie nimfy urodziwe,
Potrząsając kwiatami strumyki mrukliwe,
Niech słodkie leją miody okolne pasieki,
Niech się winem pijane zarumienią rzeki...

Wiersz kończy się następującą przepowiednią poety:

O! jak dobrze, jak szczęśnie z boskiego wyroku
Takich rządców imieniem naznaczonyś, roku!
Niech ci słońce poczwórny czas pędzi nanowo;
Pierwsza ci pójdzie zima nie Akwilonową
Strętwiona nawałnicą, nie okryta szronem,
Lecz zagrzana Zefirem lub Notem pieszczonym.
Tobie na letnim wozie pomknie się radosna,
Niosąc ciepło i rozkosz płodnym rolom wiosna.
Tobie lato łagodne włos polny rozwije,
Kłosistym wkoło wieńcem twe skronie okryje.
Ciebie jesień swym darem rumianym otoczy,
Dostałem swojem gronem napawając oczy.
Zacniejszyś nad rok wszelki, tobie jeno dana
Chwała taka, od wieków dotąd niesłychana:
Iżeś ujrzał swych rajców w dwóch braciach rodzonych;
Ciebie sława po krajach ogłosi postronych,
Ciebie na kwiatach różnych godziny wyrażą,
Żadne cię z wiecznych dziejów czasy nie wymażą.

(Fr. Kniaźnin).

Wybór poezyj Klaudyana w tłómaczeniu ks. And. Winc. Ustrzyckiego (z w. XVII) i innych wyszedł w r. 1772 w Warszawie.

WIEKI ŚREDNIE.

I. Poezya chrześcijańska w języku łacińskim.

I. Święty Ambroży.

Hymn „Aeterne rerum conditor".

Wieczny Budowniku świata,
Dzień i noc sprawia twa władza,
Czasy czasami przeplata,
Nudę przemianą osładza.
Już kur — zegar, gdy ściemnieje,
Czas wędrowcom w noc wygrywa,
Zwiastun dnia pobudkę pieje,
Grzywiaste słońce wyzywa.
Na ten śpiew jutrzenka wstaje,
Brzaskiem ciemność rozpromienia;
Strwożone złoczyńców zgraje
Rzucają drogę skażenia.
Żeglarz na siłach odżywa,
Ciszą się morskie odmęty;
Przy tym śpiewie winę zmywa
Kościoła opocznik święty.[1])

Wstańmy! nadeszła godzina,
Już leżących kur wiadomi,
Ospałych kur napomina,
Przeczących potrzykroć gromi.
Kuropiew tchnie ufność w serce,
Łagodzi chorym cierpienia;
Rozbraja krwawe morderce,
Grzesznym skruchę rozpłomienia.
Wejrz na upadłych, o Panie!
Poprawa nasza w Twem oku;
Gdy popatrzysz, każdy wstanie,
Zmywszy winę w łez potoku.
Zmysłom świeć, jak świecisz w niebie,
Zbudź duszę ze snu zaguby;
Pierwszy głos wznosim do Ciebie,
Przyjm nasze modły i śluby.

(Ignacy Hołowiński).

II. Prudencyusz.

Hymn na cześć męczennika Kwiryna.[2])

Męża cnego, Kwirynusa,
Ulubieńca bożej łaski,
Miasta Syscyi mury sławne
Męczennika zwierzonego
Dzierżą w ojczystym uścisku.

Ten za cesarza Galera,
Który brzegi illiryjskie
Silnem jarzmem wciąż przygniatał,
Wiarę świętą katolicką
Śmiercią swą wysławił piękną.

[1]) Święty Piotr.
[2]) Był biskupem w Syscyi w Pannonii (dziaj Sissek nad Sawą).

Nic był ni miecz tam w robocie,
Ni też ogień, ni zwierzęta,
Coby życia go zbawiły,
Jeno fale go chłonęły,
Na głębinę pochwyciwszy.

Mniejsza, czyli woda szklista,
Czy też strumień kwi gorącej
Skropi ciało męczennika,
Jedna sława spływa zawsze,
W jakiejkolwiek fali zginie.

Z wyżyn mostu wyrzucony
Biskup trzody swojej wiernej
Wpada w rzekę głową naprzód,
Mając sobie zawieszony
Kamień młyński wielki bardzo.

Rzeka przyjmie go spokojnie,
Na powierzchni swej unosi,
Ni mu wgrążyć się dozwoli,
Cudownemi fal ruchami
Wielki ciężar podtrzymując.

Z lądu patrzą zalęknione
Na pasterza swego tłumy,
Liczni bowiem chrześcijanie
Na zagięciach brzegów owych
Stali w ciasnych tuż szeregach.

A gdy Kwiryn z ponad wody
Usta wzniósł, niestety zaraz
Widzi zlękłych o swe życie;
Lecz na swoje już nie pomny
Niebezpieczne w nurtach losy,

W wierze serca ich utwierdza
Łagodnemi prosząc słowy,
By się nikt nie lękał męki,
Ni też wiary swej nie zachwiał,
By grzech kary nie miał swojej.

Gdy to mówił, rzeka niosła
Na fal swoich płynnym grzbiecie,
Ani głębia wody wielka
Pod kamieniem i tym mężem
Nie śmie się szerzej roztworzyć.

Uczuł biskup umęczony,
Że mu palma śmierci święta
Z rąk się już jakby wyrywa
I dostępu do stolicy
Przedwiecznego mieć nie będzie.

„Jezu wszechmogący, rzecze,
Nową i niezwykłą nie jest
Chwała i cudowność taka,
Żeś podeptał wściekłość morza
I zatrzymał chybkie wody.

Wiemy, jako Piotr, twój uczeń,
Gdy śmiertelną brodził stopą
Po twych śladach nieśmiertelnych,
Przy pomocy ręki twojej
Płynny żywioł zmienił w twardy.

O Jordanie także wiemy,
Jak szalony w wzdętych nurtach
Biegnąc pędem niehamownym,
Wrócił przecie w tył ku źródłu
Za twą wolą, o nasz Panie![1])

To są cuda twej potęgi,
Że tu właśnie wierzchem wody
Płynę lekko i swobodnie
Na największej wód głębinie,
Ciężar niosąc na swej szyi.

Już twa chluba jest spełniona
I potęga twego miana,
Która pogan lękiem poi.
Zwolnij, proszę, o najlepszy,
Duszę mą od dalszej zwłoki!

Co potrafisz, dowód jasny,
Że po wodzie płynie krzemień;
Niechże teraz reszta przyjdzie
Nad co nic droższego niema,
Umrzeć za cię, Jezu Chryste!“

Gdy się modlił, zaraz tchnienie,
Głos też, ciepło go opuszcza,
Duch zaś w górę się unosi;
Kamień ciężkim znów się staje,
Ciało pochłaniają wody.

(P. Chm).

---

[1]) Jest to alluzya do zatrzymania się Jordanu, wedle opowiadania księgi Jozuego rozdz. III. w. 15.

III. Sodoma.

Drobny ten poemacik (166 heksametrów), niewiadomo czyjego pióra, opiewa podług Biblii (Księgi Rodzaju rozdział XIX wiersz 1 — 29) zniszczenie Sodomy. Krajobraz zniszczonego miasta maluje w ten sposób:

Niemasz Sodomy; wpośród tej zagłady
Zatarł Bóg nawet jej gruzy i ślady;
Cała kraina w jezioro zmieniona,
Zatrutą wodę toczy z swego łona.
Lota siedlisko już też się nie śmieje,
Nikt tam nie orze, nie zbiera, nie sieje.
Sterczą opodal, jakby widma, skały.
Choć wiosna nawet urok swój rozléwa,
Widzieć się daje tylko pień spróchniały,
Którego ni liść, ni owoc okrywa.
Wszystko w ponurą grobu postać skryte,
Wszystko śmiertelne, wszystko nieużyte.
Żaden się strumień dolinie nie śmieje,
Obłok nie wdzięczy, wiatr miły nie wieje;
Wszystko zmienione rodzi serca rany,
Jak ten skarb w wnętrzu ziemi zakopany.
Niekiedy wicher czarnym nurtem mąci,
Raz na brzeg rzuca, znów w koryto wtrąci.
Siarczysty piasek otchłań bez dna żuje,
Na ląd szlam toczy i powietrze truje.
Potwory jakieś jawią się w głębinie,
Ze wściekłych paszczęk żar im jasny płynie.
Żaden tam sternik barką nie poleci,
Majtek nie śpiewa i żagiel nie świeci.
Jedna tęsknota dokoła się zlała,
Aby o karze Bożej znać dawała.

Wolny przekład tego utworu podał ks. B. Ostrzykowski w swoich „Pismach wierszem“ (Warszawa 1854).

IV. Wenancyusz Fortunat.

Hymn „Pange lingua gloriosi“.

Niech wawrzyn sławnego boju
Brzmią usta w rozgłos podniebny,
Zwycięstwom krzyża pokoju
Tryumf zanućmy chwalebny.
Jak zbawca miasto oręża
Śmierć z piekłem śmiercią zwycięża.

Człek, jedząc owoc wzbroniony,
Ród swój cały w śmierć wewleka;
Bóg, miłosierdziem wzruszony
Na ten upadek człowieka,
Już wtedy drzewo naznaczył,
Którem grzech drzewa przebaczył.

Takiej potrzebował rady
Porządek zbawienia skryty,
By ojciec kłamstwa i zdrady
Był własną sztuką pobity;
Czem wydobył śmierć obficie,
Tem właśnie wytrysło życie.

Kiedy pora przeznaczona
Pełnością czasu dolata,
Powstał z Ojcowskiego łona
Syn Przedwieczny, Twórca świata
I jako dziewicy plemię,
Wdziawszy ciało, wszedł na ziemię.

Kwili niemowlątko drogie,
W ciasnym żłobeczku spoczywa;
Członki w pieluszki ubogie
Matka — dziewica okrywa;
Powijaczkiem ściskać może
Nóżki i rączęta boże.

Ledwie trzydzieści trzy lata
Swym bytem ziemskim ogarnie,
Już ochotnie Zbawca świata
Idzie na srogie męczarnie,
Baranek na krzyża szczycie
Chce oddać na drzewie życie.

Żółcią poją; w mdłościach kona
Przez bicz, ciernie, włócznię, ćwieki,
Postać ciała poraniona
Wylewa z wodą krwi rzeki,
W których błogo się omywa
Wszechświat i ziemia szczęśliwa.

Krzyżu, stróżu w życiu, w grobie,
Jedno święte drzewo w świecie,
Niema w lasach równych Tobie,
W konarach, szczepie i kwiecie;
Słodkim gwoździem słodkie drewno
Dźwigasz ofiarę tak rzewną.

Wzniosłe drzewo! schyl ramiona,
Zwalniaj natężone słoje;
Niech się twardość ta pokona,
Co masz przez naturę swoję;
Ciało króla barki swemi
Na puhu miękkim schył ku ziemi.

Ty jedno godne nasienia
Baranka, w nim grzechów spłata;
Jedno tworzysz port zbawienia,
Arko rozbitego świata!
Krew cię maszcząc Barankowa,
W tobie tylko życie chowa.

(Ignacy Hołowiński).

V. Grzegorz Wielki Papież.

1) Hymn „Ecce jam noctis".

Oto już nocy rzedniejąą cienie,
Rumiana zorza świat rozwesela;
Wznieśmy pokornej modlitwy pienie
Do Stworzyciela.

Niech łaską winnym odpuści kary,
W trwogach zbawienia poda nadzieję,
Wiekuistego pokoju dary
Na nas wyleje.

Niech to Bóg sprawi błogosławiony,
Ojciec, Syn i Duch, którego chwały
Pełne są wszystkie wieczności strony,
Pełen świat cały.

2) Hymn „Audi benigne Conditor".

Nie gardź, Twórco miłosierny,
Skruchy łzami, modlitw słowy,
Które wylewa lud wierny
W post święty czterdziestodniowy.

Serc badaczu pełny życia,
Widzisz nasze osłabienie,
Chcącym szczerze win obmycia
Daj Twą łaską przebaczenie.

Wielkie nasze wykroczenia!
Przebacz kającym się Tobie!
Dla chwały Twego imienia
Uzdrów nas w ciężkiej chorobie.

Daj, niech wstrzemięźliwe czyny
Zmogą krnąbrne ciało nasze,
Niech serca postne od winy
Porzucą występku paszę.

Spraw, Trójco błogosławiona,
W trzech osobach jedno bóstwo,
Niech post dla naszego łona
Wydaje owoców mnóstwo.

(I. Hołowiński).

VI. Paweł Dyakon.

Hymn na uczczenie św. Jana Chrzciciela „Antra deserti teneris sub annis".

Jeszcze młodziuchny już w dzikie puszcz groty
Zbiegasz przed zgiełkiem świata, przed zebraniem,
Byś i najmniejszem duszy pokalaniem
Nie skaził cnoty.
Tam twarda suknia z wielbłąda przed chłodem
Kryła twe członki, skórą przepasana;
Tam cię karmiła w skorupkę zebrana
Szarańcza z miodem.
Inni prorocy przez tysiączne lata
Zdala śpiewali światło przychodzące;
Ty ukazałeś palcem już świecące,
Zbawienie świata.
Między mnogimi białych głów synami
Nie powstał większy na świecie od Jana,
Co gładzącego grzechy światów Pana
Obmył wodami.
Cześć Tobie Ojcze! Ci, zrodzony Synu!
I Tobie równa, od obojga tchnięty
Duchu najświętszy! Boże trzykroć święty!
Niech wiecznie słynie.

(A. Kitkiewicz).

VII. Św. Bernard.

Hymn „Jesu, decus angelicum".

Chwało aniołów orszaku,
Jezu, pieśni w uchu mojem,
W ustach miód dziwnego smaku,
W sercuś niebieskim napojem.

Pragnie, kto cię pije, Boże,
Łaknie, gdy skosztuje trocha;
Niczego żądać nie może,
Prócz Ciebie, którego kocha.
O Jezu, najsłodszy Panie,
Tęskniącej duszy nadziejo,
Ciebie wzywa serc wołanie,
Za Tobą w pogoń łzy leją.

Jezu miły, zostań z nami,
Niech Twój blask serca dziedziczą;
Spędź ciemność, co myśli plami,
I świat napełnij słodyczą.
Tobie, Matki Panny kwiecie,
Nasze najsłodsze kochanie,
Cześć imienia w całym świecie
I błogie Ci królowanie.

(I. Hołowiński).

VIII. Św. Tomasz z Akwinu.

Hymn „Sacris solemnis juncta sint gaudia".
(Na uroczystość Bożego Ciała).

Niech radość święta zostanie oddaną,
Niech z piersi zabrzmi Panu chwała nowa,
Precz wszystko stare, niech się nowe staną
Serca uczynki i słowa.
Dziś się obchodzi ostatnia wieczerza,
W której Pan karmił swoje zwolenniki,
Wedle zakonu starego przymierza
Dał baranka i przaśniki.
Po uczcie typy baranka skonały;
Pan żywi ucznie swem ciałem przed męką;
Tak wszystkim cały, każdemu się cały
Podaje własną swą ręką.
Mdłym, osłabionym dał posiłek ciała,
Dał zasmuconym najświętszej krwi czaszę;
Kazał pić wiernym krew, co się przelała
Za grzechy świata i nasze.
Tak postanowił ofiarą swą ciało;
Jej sprawowanie, szafarstwo w potrzebie
Oddał kapłanom, aby, jak przystało,
Karmili wiernych i siebie.
Chleb się Aniołów chlebem ludzi staje!
To wszystkich figur koniec i spełnienie.
O cuda! Boga swą karmią uznaje
Nędzarz, służalec, stworzenie.
O! jedno Bóstwo w troistej osobie,
Tyle nas zwiedzaj, ile czcimy Ciebie;
Wiedź Twemi ścieżki, jak dążym ku Tobie,
Do światła, gdzie mieszkasz w niebie.

(I. Hołowiński).

IX. Jakób z Todi (Jacopone da Todi).

„Stabat mater dolorosa".

Stała Matka Boleściwa,
Gdzie na krzyżu dogorywa
W srogich mękach Jej syn miły.
I w Niej biednej dusza cała
Z bolu mdlała, w łzy topniała,
Wskróś w Jej sercu miecze tkwiły.

Jakże była zrozpaczona,
Widząc, że już z cierpień kona
Ten wnętrzności Jej Syn Boży!
Oto, łkając, to ramiony
Obejmuje krzyż skrwawiony,
To znów sama sobą trwoży!

Jestże kto tak twardej duszy,
Kogo widok Jej nie wzruszy:
Gdy u słupa w wieńcu z cierni
Był w Jej oczach ten Jedyny
Syn Jej nie za swoje winy
Bity najniemiłosierniéj?...

Potem smutny w ganku stoi —
Potem go odbiegli swoi —
Potem krzyż Go nieść zmuszono...
Matko! w której zdrój słodyczy!
Z Tobą dusza moja życzy
Łkać i być niepocieszoną!

O! niech za Twą Boską sprawą,
Krzyż ów niosąc drogą krwawą,
U Golgoty w proch się wgrzębię...
Niech wie Ten, co zmarł przezemnie,
Iż mię kochał, — że wzajemnie
Więcej kocham Go, niż siebie!

(F. Faleński).

X. Św. Bonawentura.

Filomena.

W poemaciku tym, liczącym dziewięćdziesiąt zwrotek ośmio-wierszowych, autor przedstawia religijną ekstazę duszy pobożnej, która w miłosnem rozpamiętywaniu łask Zbawiciela umiera z rozkoszą w chwili, gdy opiewa śmierć niebieskiego Oblubieńca, do którego tęskni. Wyobrazicielem tej duszy jest Filomena t. j. słowik[1]), który według podania, gdy zgon swój przeczuwa, rozpływa się w natchnionej pieśni, aż wreszcie wyczerpany, ostatnie wydaje tchnienie.

I cóż znaczy ta ptaszyna
I czemże cię wzrusza?
Filomena — to cnót pełna
I miłości dusza,
Co pamiętna swej ojczyzny
I tęskniąca do niéj,
Takie hymny czarujące
Wciąż dzwoni a dzwoni.

By się wyżej, wyżej jeszcze
Wzbiły jej nadzieje,
Więc mistyczny jakiś dzionek
Dla niej zajaśnieje.
Laski, które Bóg nam daje
Mimo nasze winy,
W owym wielkim dniu mistycznym
Są jakby godziny.

---

[1]) Po grecku słowik brzmi właściwie: Filomela.

Świt poranny przypomina
Byt nasz na tej ziemi;
Rano stworzył Bóg człowieka
Rękami swojemi.
Prima znaczy chwilę, w której
Bóg w człeka się wcielił,
Tertia mówi, jak doczesny
Żywot z nami dzielił.

Sexta znowu, jak się oddał
Pan nasz w zdrajców ręce,
Jak był związan, wleczon, bity,
Jak w krzyżowej męce
Gwoździami mu ogromnemi
Ciało kaleczono,
Opasano świętą głowę
Cierniową koroną.

Nona — to śmierć Chrystusowa —
W godzinie tak wielkiéj
Spełniła się do ostatniej
Ofiara kropelki,
Moc szatana rozerwana,
Sam zwątpił o sobie —
Wieczór ciało Zbawiciela
Pochowano w grobie.

Wytłómaczywszy w ten sposób, jakie momenty życia Zbawiciela wyobraża przedśmiertna pieśń słowika, poeta w dalszym ciągu przytacza pieśń duszy, ułożoną zgodnie z jej pierwowzorem.

O mój Stwóco! — tak doń mówi —
Ty, dając mi życie,
Ze skarbnicy Swej miłości
Czerpałeś obficie.
Boś ukochał bez zasługi
Mnie z nizkiego światu,
Jeszcześ zrobił uczestnikiem
Swego Majestatu.

Jakież wielkie na mnie spadło
Naraz dostojeństwo,
Gdyś mnie stworzył, wielki Boże,
Na Swe podobieństwo.
I do większych byś zaszczytów
Jeszcze wzniósł mię, Panie,
Gdyby było nieczgwałcone
Twoje przykazanie.

Twoja wola była taka,
Bym się oddał Tobie
I do górnej tej ojczyzny
Tęsknił w każdej dobie.
Tyś mię żywił i nauczał
Jakby dziecko własne,
Abym kiedyś mógł zamieszkać
Twoje niebo jasne.

Odtąd chciałeś, bym z anioły
Sam stał się aniołem,
A co więcej, chciałeś we mnie
Zamieszkać pospołem.
Czemże takie dobrodziejstwo
Odwdzięczyć Ci, Panie?
Nie wiem — chyba całe moje
Oddam Ci kochanie....

Tak o świcie śpiewa dusza;
Lecz ledwo rozdnieje,
O godzinie pierwszej hymnem
Pobożnym zapieje,
Sławiąc czas ten, gdy na ziemię
Smutną i zbolałą
Pan nasz zstąpił i człowiecze
Wziął na siebie ciało...

O południu, kiedy słońce
Najmocniej dogrzewa,
Dusza żądzą wysilona
Napoły omdlewa,
Bo miłości żądło coraz
Głębiej serce krwawi
I już męka Chrystusowa
Jej oczom się jawi.

Rozszlochanej się przedstawia
Niewinny Baranek
Bieluteńki, a na głowie
Ma cierniowy wianek.
Obie nogi, ręce obie
Gwoździami przebite,
Ciało święte posiniało,
Ranami okryte...

Więc w przystępie szału woła:
Pójdźcie tu, oprawcy!
Na krzyż wbijcie mnie chudzinę
Obok mego Zbawcy.
Z wszystkich śmierci ta śmierć jedna
Dla mnie upragniona,
Gdy konając, Ciebie, Chryste,
Obejmę w ramiona.

Ten, nie inny tylko kordyał
Uleczyć mnie może
Z tej gorączki, co mi serce
Pali w każdej porze.
W Tobie cudna moc lecząca,
Źródło łaski wszelkiéj,
Mój Zbawiciel da ochłodę
Na ten upał wielki...

O pokarmie ty cudowny!
Rzeźwiący ruczaju!
Tych, co w Tobie zasmakują,
Prowadzisz do raju;
Ciało, krew Twą kto pożywa,
Sił mu nie zabraknie;
Dusza chłodna i fałszywa
Strawy tej nie łaknie.

Widok mąk Odkupiciela przejmuje ją żądzą podzielenia ich ze swoim Oblubieńcem:

Czemuż z Tobą nie cierpiałem
Na drzewo przybity?
Czemu, Panie, mi nie dano,
Bym skonał, jak i Ty?

Ominął mię zaszczyt wielki,
Małom miał zasługi —
A więc wydam się na męki
I wezmę krzyż drugi.
Płakać będę bez ustanku
I smutkiem się strawię,
Póki złepek ten mój ziemski
Ziemi nie zostawię.

I tak dusza rozkochana
Im więcej goreje,
Tem się bardziej zmysły mącą
I ciało martwieje,
Usta ledwie coś bełkocą
W ostatnim wybuchu
Tej miłości, — członki słabną
I leżą bez ruchu.

(L. Siemieński).

Umiera wreszcie i dostaje się pomiędzy zbawionych, a poeta kończy swój utwór zachętą, żeby ją naśladować i taką samą pieśnią męczeńską dobijać się szczęścia niebieskiego. „Filomenę“ przełożył Lucyan Siemieński w „Pieśniach mistycznej miłości“. (Lwów, 1877).

XI. Dies irae.

Dzień gniewu, dzień płomienisty
Rozwiąże świat w proch wieczysty,
Wedle słów króla psalmisty.

Jaki strach na duszach siędzie,
Kiedy w archaniołów rzędzie
Pan na sąd straszny przybędzie!

Trąba się grzmotem nasroży,
Umarłym groby otworzy
I zwoła świat na sąd boży.

Zdumieje się przyrodzenie
I śmierć, gdy wstanie stworzenie
Na ostatnie rozsądzenie.

Otworzą się księgi strony,
W której każdy czyn znaczony;
Z której świat będzie sądzony.

Wszystkie zbrodnie zatajone
Będą światu objawione
I wieczną hańbą zelżone.

Co grzesznik natenczas rzecze
I do kogo się uciecze,
Gdy i dobrym strach dopiecze?

Królu tronu straszliwego!
Z łaski zbawiasz Ty każdego:
I mnie z łaski zbaw grzesznego!

Pomnij sobie, Jezu błogi,
Żem przyczyną był twej drogi:
Nie chciej gubić mnie w dzień trwogi!

Szukając mnie, tyś strudzony!
Jam twym krzyżem odkupiony,
Niech ta praca wyda plony!

Sędzio mściwy, Jezu luby!
Odpuszczeniem zbaw od zguby,
Wprzód nim przyjdzie dzień rachuby!

Wzdycham jako obwiniony,
Wstyd mię za grzech popełniony:
Odpuść, Boże niezmierzony!

Tyś Maryi niebo otworzył,
Lotr przez Ciebie duszą ożył,
Jam w Tobie ufność położył:

Niegodne jest me wołanie,
Lecz Ty przez twe zlitowanie
Nie daj mi upaść w otchłanie!

Policz-że mię w owiec gronie
I od kozłów miej w obronie,
Stawiając po prawej stronie.

Gdy ukarzesz potępionych
W wieczny ogień przeznaczonych,
Powołaj mię do zbawionych.

Z prochem i w pokutnym worze
Błagam cichy i w pokorze:
Pomnij o mym końcu, Boże!

Płaczliwy dzień on, gdy stanie
Grzesznik na straszne wołanie;
Ach! przebacz mu wonczas, Panie!

(Antoni Czajkowski).

XII. Eckehard.

Waltharius (Walter z Akwitanii).

Attyla zbrojnie krainy zachodnie plądrując, każe dawać królom haracz i zakładników. Gibich, król Franków, pan Wormacyi, którego syn Gunter jest jeszcze chłopięciem, oddaje młodego Hagena, ze szlachetnego rodu trojańskiego (Troyes), wraz z wielkiemi pieniędzmi. Król burgundzki Herrich, pan Kawillonu (Châlons nad Saoną), daje jedynaczkę Hiltgundę, Alfar zaś, król Akwitanii, synka swego Waltera, którego z Hiltgundą w dziecinnym wieku zaręczono. Hagen i Walter dobrze się sprawują na dworze Attyli; we wszystkich sztukach wojennych celują i dowodzą wojskami króla. Hiltgunda, biegła w robotach kobiecych, pozyskuje łaskę królowej i zostaje dozorczynią skarbcu. Tymczasem umiera Gibich, a następca jego Gunter wypowiada Hunnom przymierze i odmawia haraczu. Hagen, dowiedziawszy się o tem, ucieka. Aby i Walter, podpora państwa, nie uciekł także, Attyla, za radą królowej, chce go ożenić z pewną księżniczką huńską. Walter uchyla się od tego małżeństwa, dowodząc, że uczyniłoby go ono mniej czynnym w służbie królewskiej. W jakiś czas potem, wracając z pewnej zwycięskiej wyprawy, spotyka się sam na sam z Hiltgundą. Ucałowawszy ją, na pamiątkę zaręczyn, i czarę wina wypiwszy, umawia się z nią o wspólną ucieczkę. Dla wykonania tego zamiaru, wydaje Walter wspaniałą dla dworu Attyli ucztę, po której wszyscy biesiadnicy upijają się i głęboko zasypiają. Hiltgunda napełnia dwie szkatułki złotemi naramiennikami ze skarbcu i zawiesza po bokach rumaka Walterowego, zwanego Lwem, którego za cugle prowadzi. Rycerz kroczy w pełnej zbroi, z tarczą i dzidą, Hiltgunda niesie wędzisko; żywią się ułowionemi ptakami i rybami.

Śpiesznie tak biegli noc całusieńką, a kiedy
Febus rumiany ukazał pierwsze ziemi promienie,
Ukryć się w lasach starają, cieniu szukając gęstego,
Strach ich napada, co gnębi nawet w miejscach bezpiecznych.
Serce dziewicze takim się lękiem strasznym przejmuje,
Że się już boi wszelkiego wiatrów powiewu,
Boi się ptaków szelestu i potrąconych szumu gałęzi,
Raz wygnania nienawiść, to ojczyzny prze miłość gorąca.
Wiosek wciąż unikają, prześliczne opuszczają zagony,
Wolą po górach lesistych krętemi iść ścieżynami,
Drżące swe kroki ciągle w bezdrożach zmieniając.

Attyla nadaremnie nagrodę przeznaczył temu, kto zbiegów dogoni. Żaden Hunn nie śmie podążyć za bohaterem. Czterdziestego wieczoru przybywają Walter i Hiltgunda nad brzeg Renu pod Wormacyą. Za przewóz płaci Walter pierwej złowionemi rybami; nazajutrz przewoźnik niesie je do miasta; dostają się one na stół króla Guntera, który wielce się dziwi, widząc takie ryby w kraju Franków. Przewoźnik na pytanie, skąd je ma, opowiada o wędrownym rycerzu i pięknej damie, dodając, że za każdem stąpieniem konia brzęczały szkatułki, jakby pełne były złota i klejnotów. Hagen, siedzący za stołem królewskim, zgaduje, że to jego towarzysz Walter z ziemi Hunnów powraca. Gunter nie posiada się z radości, że skarby, które ojciec jego haraczem pomnażał, wracają do kraju. Wnet wybiera dwunastu rycerzy, aby gonili za uciekającymi; Hagen, choć niechętnie, należy do wyprawy. Tymczasem Walter dostał się w Wogezy:

Las tam był wielki, obszerny, w nim zwierząt kryjówki
Liczne, ogarów i trąb odgłosy zwykle się tu rozlegały.
Góry są dwie na uboczu a w blizkim siebie odstępie,
Między któremi, choć wązka, jaskinia była przyjemna,
Nie przez ziemi wydrążenie, lecz ze skał sklepienia.
Schówek to dobry dla krwawych kup rozbójniczych.
Kącik ten miękką, zieloną murawą był kryty.
Gdy go spostrzegł młodzieniec: „tu pójdźmy — zawoła —
W takim obozie miło jest złożyć ciało znużone“.
Odkąd bo umknął z przykrego Hunnów siedliska,
Nigdy inaczej nie zakosztował we śnie spoczynku,
Jak na puklerzu oparty; przymykał ledwie powieki.
Wtedy dopiero ciężki rynsztunek złożywszy wojenny,
Rzekł, na łonie dziewicy kładąc swą głowę:
„Patrz uważnie, Hiltgundo, a kiedy chmurę czarną zobaczysz,
Słodkiem dotknięciem zbudzić mnie nie zaniechaj,
Choćbyś ogromną nawet ciżbę spostrzegła idącą
Wstrząsać mię nagle strzeż się, o moja najdroższa.
Stąd daleko orszaki widzieć możesz rycerskie,
Więc okolicę całą okiem przeglądaj roztropnem“.
Rzekł to i oczy przymknął błyszczące natychmiast,
Pożądanego oddawna kosztując spoczynku.

Hiltgunda, dostrzegłszy zdala kurzawę, budzi Waltera, który się uzbraja, porywa tarczę i dzidę i staje u wnijścia jaskini. Narzeczona, obawiając się Hunnów, prosi go, aby jej głowę uciął, bo niczyją byćby nie chciała. Ale rycerz poznaje Hagena, towarzysza swego, którego jedynie się lęka. Król Gunter szedł śladami na piasku wyciśniętemi; dopadłszy wreszcie z rycerzami swoimi, wysyła Kamela z Metzu, aby zażądał od

Waltera rumaka ze skarbami i panną. Rycerz ofiaruje sto złotych pierścieni, jeżeli go od walki uwolnią. Hagen radzi królowi zgodzić się na to, ale gdy słowa jego nie mają skutku, odjeżdża i zostaje na wzgórku. Kamelo jedzie raz jeszcze z poleceniem, aby żądał od Waltera całego skarbu, a w razie odmowy, aby rozpoczął walkę. Nadaremnie Walter ofiaruje dwieście pierścieni; Kamelo ciska dzidę, Walter się uchyla, rzuca swoją, trafia w prawą rękę, potem mieczem przebija Kamela. Następnie walczą inni rycerze po jednemu, gdyż wązkość ścieżki nie dozwala zrobić inaczej; Walter wszystkich po kolei przemaga. Król Gunter, zostawszy sam jeden, bieży do Hagena, błagając go, aby do walki przystąpił. Po długim oporze, Hagen zwabić chce przedewszystkiem Waltera z obronnej kryjówki. Odjeżdżają tedy i czynią zasadzkę. Tymczasem słońce zaszło; Walter nie chce po nocy jak złodziej umykać; przegradza tedy drogę do pieczary cierniami, zdobyte rumaki wiąże wićmi i zmówiwszy modlitwę, wyciąga się na ziemi.

Smutną swą narzeczoną wesołą pociesza przemową,
Członki znużone pokrzepia przyjętym pokarmem.
Lubo był mocno zmęczony, wsparł się jeno na tarczy,
Każąc swej pannie nad pierwszym snem swoim stróżować,
Rano bo sam się miał rozporządzić, gdyż większe wówczas
Mogły się zjawić trudności. Spoczął nareszcie.
Siedząc u głów Hiltgunda jako czuwała zazwyczaj,
Oczki mrużące się otwierając śpiewaniem.
Mąż gdy ze snu pierwszego budząc się zerwał,
Wstał natychmiast i pannie położyć się kazał.
Sam się dzielnie na wyciągniętym oparłszy oszczepie.
Przebył tak resztę nocy, tylko czasami
Konie obejrzał, to znów do zasieku się zbliżył
Nasłuchując i pragnąc, by światu jasność i kształty
Słońce wróciło...
Była godzina, gdy ziemię rosą skrapia Jutrzenka;
Rycerz wychodzi, by z wrogów łup zedrzeć pobitych,
Pozostawiając jednakże ubranie i broń zwyczajną,
Tylko naramienniki i pasy i miecze,
Hełmy pościągał i zabrał pancerze.
Cztery objuczył tem konie, narzeczoną zwoławszy,
Wsadził ją na piątego, na szóstym sam się umieścił,
Zasiek odrzuciwszy, sam się wysforował na czoło.
Rozglądając się w ścieżkach wzgórza blizkiego
Wokół oczyma bystremi wszystko badając,
Uszy nadstawił, by ruchy schwycić powietrza,
Czy nie poczuje szelestu lub też pochodu,
Czy nie posłyszy brzęczących wędzideł rycerzy
Albo też podkutych żelazem rumaków tententu.
Wszędzie dostrzegłszy milczenie, naprzód wysunął
Konie swe juczne jak nie mniej dziewicę;
Sam na rumaku, co dźwigał szkatułki,
W zwykłej swej zbroi na drogę wyjść się ośmielił.

Ledwie tysiąc kroków ujechał, Hiltgunda odwracając się („płeć bowiem słaba zmuszała ją drżeć sercem") ujrzała dwu jeźdźców goniących. Byli to Gunter i Hagen. Walter każe natychmiast narzeczonej wraz z koniem Lwem, niosącym skarby, wjechać do poblizkiego lasku, a sam staje do walki. Hagen za śmierć krewnych swoich pragnie

pomsty i głuchym jest na wspomnienia Waltera o ich dawnej przyjaźni, gardzi pełną tarczą złota, którą mu on ofiaruje. Od godziny drugiej do dziewiątej walczy nasz bohater pieszo z dwoma przeciwnikami. Nareszcie ciska nagle kopią na Hagena, a jednocześnie nacierając mieczem na Guntera, odcina mu kawał uda tak, że król pada na tarczę. Walter chce go dobić, ale Hagen wsuwa głowę swoją pod miecz, który pęka, uderzając o hełm Hagena, a gdy Walter z gniewem rękojeść precz odrzuca, Hagen rąbie go w prawą rękę. Chwyta on jednak ranionem ramieniem za tarczę, lewą ręką porywa krótki miecz huński i odcina Hagenowi prawą szczękę wraz z okiem. Tak okaleczywszy się wzajemnie, leżą obok siebie na murawie, obcierając ciekącą krew kwiatami. Walter, przywoławszy Hiltgundę, mówi do niej:

„Nalej-no wina i Hagenowi pierwszemu go podaj;
Dobry-to szermierz, co zachowuje przepisy wierności;
Potem zaś mnie podaj, bom więcej przeniósł nad innych,
W końcu niech pije Gunter, ponieważ wielce leniwie
Wśród mężów największych się w boju przedstawił,
W sprawie Marsowej działając bez ognia ni też zapału".
Wszystkim tym słowom posłuszną jest córa Herricha.
Hagen, choć pierś mu gorzała nieugaszonem pragnieniem,
„Podaj narzeczonemu wprzód — mówi — dziewico, i panu,
Wyznam bowiem, że on odemnie silniejszym jest wiele;
Nie odemnie też jeno, gdyż wszystkich wręcz on przewyższa".
Tak to Hagen kolczaty i Walter, Alfara syn dzielny,
Niepokonani w duszy, chociaż na ciele na całem znużeni,
Zbywszy się walki hałasu i strasznych pocisków
Wśród puharów żartami przekomarzają się sobie:
Hagen powiada: „Już odtąd na jelenie polować ci, druhu,
Skóra ich bowiem na rękawice potrzebna ci wielce;
Prawą swą rękę mięciutką, radzę, wypchaj wełnianką,
Zwieść bo możesz nieświadomych pozorem tym dłoni.
Ba! a cóż powiesz, gdy złamać musisz narodu obyczaj
Przypasując miecz swój ostry do boku prawego,
Żonę zaś, jeśli kiedykolwiek przyjdzie ci chętka,
Lewą obejmiesz?" Na to mu Walter tak odpowiada:
„Dziwię się wielce, miły Sykambrze[1]), co tak wydziwiasz.
Ja polować będę jelenie, ty z dzika mięsa nie dotkniesz
Patrząc z zazdrością, jak służba zajada żarłocznie,
Zezem też witać ci przyjdzie zebranie mężów rycerskich.
Pomny na dawne przyjaźni względy, dam ci tę radę:
Kiedy do domu powrócisz i druhów powitasz domowych,
Każ nagotować kaszki, słoninką ładnie ją krasząc,
Ona i pożywieniem ci będzie i lekiem także się stanie".

Po wymianie tych słów żartobliwych odnawiają, wśród krwi potoków, dawną swą przyjaźń; wreszcie sadzają jęczącego króla na konia; Frankowie udają się ku Wormacyi, a Walter do Akwitanii, gdzie się odbył ślub jego z Hiltgundą. Po śmierci ojca

[1]) Inna nazwa na oznaczenie Franków, z których pochodził Hagen.

panował swemu narodowi szczęśliwie lat trzydzieści i mnóstwo odniósł zwycięstw. W końcu poeta usprawiedliwia wady swego utworu młodym wiekiem, w którym go napisał.

(Powieść o Walterze znana jest u nas i umiejscowiona na Tyńcu. Zobacz szkic Szajnochy o „Walgierzu Wdałym“, oraz rozprawę Jana Karłowicza: „Podanie o Walterze z Tyńca“ w „Ateneum“ 1881, tom IV; tamże w roku 1883, tom III o tymże przedmiocie przez Wł. Nehringa: „Powieść kronikarza polskiego o Walterze i Helgundzie“).

XIII. Hroswitha.

Gallikan (dramat).

Wódz Konstantyna, Gallikan, zgadza się wyruszyć przeciw Scytom, ale stawia za warunek, żeby cesarz wydał zań córkę swą Konstancyę, która ślubowała dziewictwo. Konstancya pozornie przystaje, lecz ślub odkłada do czasu powrotu Gallikana z wyprawy i żąda, żeby Gallikan wziął ze sobą jej nauczycieli, chrześcijan Jana i Pawła, a jej powierzył na ten czas dwie swoje córki. Córki te przekonane przez Konstancyę, postanawiają poświęcić się Bogu, Jan zaś i Paweł w chwili ciężkiej dla wojska rzymskiego, namawiają Gallikana, by ślubował się ochrzcić, za co Bóg da mu zwycięstwo. Wróciwszy, Gallikan dobrowolnie zrzeka się ręki Konstancyi. Część druga dramatu opowiada dzieje męczeństwa Gallikana, Jana i Pawła za czasów Juliana Odstępcy. Przytaczamy ustęp z rozmowy bohatera z cesarzem i jego córką.

Gallikan. Starałem się zawsze, o Konstantynie, spełniać rozkazy twoje i nigdym nie wymawiał się od działania.

Konstantyn. Niema co przypominać tego; dobrze o tem pamiętam; dlatego mówię do ciebie, zachęcając raczej niż rozkazując. Postąp według swego zwyczaju.

Gallikan. Dołożę wszelkich starań.

Konstantyn. Rad jestem wielce.

Gallikan. Spełnienie rozkazów twoich droższem mi będzie od życia.

Konstantyn. Pochwalam twoje usposobienie.

Gallikan. Ale silne pragnienie spełnienia obowiązku wymaga większej zagrody, a trudność spełnienia pracy lżejszą się staje wskutek nadziei, że słuszna czeka nagroda.

Konstantyn. Rzecz jasna.

Gallikan. Dlatego proszę cię, obiecaj mi nagrodę za niebezpieczeństwo, na jakie się narażę, ażebym mężnie walcząc, nie padł w boju, lecz się pokrzepiał nadzieją.

Konstantyn. Nigdym ci nie odmawiał i odmawiać nie będę niczego, co się wydawało dobrem senatowi; dlatego uważany jesteś za mego przyjaciela i stoisz wyżej od reszty dworzan.

Gallikan. Prawda, ale nie o to mi teraz chodzi.

Konstantyn. Jeśli chcesz czego innego, powiedz.

Gallikan. Zupełnie czego innego.

Konstantyn. Czegoż?

Gallikan. Jeśli mi wolno powiedzieć...

Konstantyn. Ależ naturalnie.

Gallikan. Rozgniewasz się.

Konstantyn. Z pewnością nie.

Gallikan. Z pewnością się rozgniewasz.

Konstantyn. Wcale nie.

Gallikan. Nie będziesz panował nad sobą.

Konstantyn. Nie lękaj się tego.

Gallikan. Powiem, spełniając twój rozkaz: kocham córkę twoją, Konstancyę.

Konstantyn. Dobrze robisz: córkę cesarza należy kochać i szanować.

Gallikan. Przerywasz mi mowę.

Konstantyn. Nie przerywam.

Gallikan. Ja, jeśli pozwolisz, pochlebną żywię nadzieję wzięcia jej za żonę.

Konstantyn. Nie małej on żąda nagrody i dla was, dowódcy, niezwykłej.

Gallikan. Już się oburza. Przewidywałem to. Pomóżcie mi, proszę was, prośbami swemi.

Dowódcy. Wielki cesarzu, w prośbie jego niema nic uwłaczającego twojej godności.

Konstantyn. Co do mnie, zgadzam się, ale trzeba się wprzódy dowiedzieć, jak to przyjmie moja córka.

Dowódcy. Całkiem słusznie.

Konstantyn. Pójdę i zapytam ją, jeśli tego życzysz sobie, Gallikanie.

Gallikan. Wielce życzę sobie.

Konstancya. Cesarz idzie ku nam smutniejszy niż zwykle; dziw mię bierze, dlaczego?

Konstantyn. Chodź tu, córko moja. Chcę z tobą pomówić.

Konstancya. Jestem tu, władco. Rozkazuj, czego życzysz sobie?

Konstantyn. W wielkim jestem niepokoju i ciężkim smutku.

Konstancya. Jak tylko zobaczyłam cię nadchodzącego, spostrzegłam twój smutek i choć nie znałam przyczyny, zmieszałam się i zlękła.

Konstantyn. Ja boleję nad tobą.

Konstancya. Nademną?

Konstantyn. Tak jest, nad tobą.

Konstancya. Strach mnie zbiera. Cóż to takiego, panie!

Konstantyn. Ciężko powiedzieć; lękam się zasmucić ciebie.

Konstancya. Daleko gorzej mi będzie, jeśli mi nie powiesz.

Konstantyn. Wódz mój Gallikan, który wielu zwycięstwami pozyskał pierwszeństwo wśród wszystkich dowódców, i którego pomocy potrzebujemy tak często dla obrony ojczyzny...

Konstancya. I cóż on?...

Konstantyn. Prosi o rękę twoją.

Konstancya. O moją?

Konstantyn. Tak jest.
Konstancya. Wolę raczej umrzeć.
Konstantyn. Przewidywałem to.
Konstancya. Niéma w tem nic dziwnego; toż za zgodą twoją i pozwoleniem ślubowałam Bogu zachować dziewictwo..

II. Poezya prowansalska.

I. Bernard de Ventadorn.

a) Nie dziwcie się.

Nie dziwcie się, że śpiewam słodziéj,
Niż najuczeńsi w krąg pieśniarze:
Mnie sama miłość śpiewać każe,
Chętnego po swej woli wodzi.
Ciało, serce, i zmysły, i duch,
I moc wszystką skwapliwie jej zdam.
Na nią jedną wzrok zwrócony mam,
W nią jedyną zasłuchany słuch.

Umarł ten, komu sok ochłódą
Miłosny w piersi nie pociecze;
Bez niej czem życie jest człowiecze?
Ha! sobie nudą, innym nudą.
Niech tak srogo nie karze mię Bóg,
Abym przeżył miesiąc albo dzień,
Skoro miłość zajdzie dla mnie w cień,
Lub sam z świętych odwrócę się dróg.

Bez zawahania i bez zdrady
Kocham ją słodką, urodziwą;
Rzęsy me wilżą się, — nie dziwo,
Na jej wzajemność nie znam rady.
Bram więzienia, w którem trzyma mię,
Nie otworzy żaden w świecie klucz,
Nie rozwali żadna siła, prócz
Jej łask tylko, — a te znam-li?... w śnie!

Gdy ujrzę ją, to mdleję wszystek,
Czuję, że mieszam się i blednę,
Powieki drżą mi, drży mi biedne
Serce, jak przeciw burzy listek.
Dziecko może silniejszem się zwać,
Tak dziś we mnie organ życia zwiądł.
Komu smutek taką dolę sprządł,
Toć się litość dlań powinno znać.

Dobra ma pani, niech cię wzruszę,
Racz jeno przyjąć mię za sługę;
Wierność wam ślubię — o zasługę
Inną nad wzrok wasz się nie kuszę.
Oto staję pod wasz — pani — znak,
Nad dąb stalszy i czulszy nad bluszcz;
Jeśliś pani nie jest lwicą z puszcz,
Przestań — błagam — katować mię tak.

Z lubości tak mi serce taje,
A razem wślizga się do łona
Ból, że w nim stokroć duch mój kona
I stokroć z szczęścia zmartwychwstaje.
Ból dziwniejszy to boleści wszech,
Niźli innym radość — droższy mi;
Więc jeżeli dziś tak lube łzy,
Jak mi kiedyś będzie lubym śmiech!

Wyszłoby damom na przestrogi,
Kochankom wiernym zaś na zdrowie,
Gdyby na obłudników głowie,
Na głowie zdrajców rosły rogi.
Wszystko moje mienie chętnie dam,
Aby taki powstał w świecie rząd,
Aby zgadła moja dama stąd,
Jakie wierne dla niej serce mam.

b) Taki jestem rad.

Taki jestem rad, że cały
Świat mi staje w krasie;
W kwiat różowy, modry, biały
Szron przemieniać zda się;
Jakby wiatr i deszcz mi tkały
Szczęście na swem krośnie,
Pieśni moje wypiękniały
I mój zaszczyt rośnie.
Tak mi świeci cudnie
Miłości południe,
Że mi zakwitają grudnie,
Noc się rozzielenia.

Mogę chodzić bez odzienia
Nocą po ogrodzie,
Tak mię miłość rozpłomienia
I ogrzewa w chłodzie.
Mówią — błądzi, kto baczenia
Nie daje na życie;
Cóż, gdy jak mnie w raj się zmienia,
Odkąd mię w zachwycie
Trzyma czar niewieści;
Od niej czekam cześci,
Niech mię przyjmie i popieści, —
Nie chcę Fryzyi mienia.

Ona mego uwielbienia
Uważać nie raczy,
Lecz mnie dosyć łask jej cienia;
Już mi szczęście znaczy,
Gdy spojrzy na mnie oczyma
Błogosławionemi,
W tym dniu żal mnie się nie ima.
Ona radość śle mi,
A ja ślę jej duszę,
Sam cierpię katusze,
Bo daleko od niej muszę
Żyć w francuskiej ziemi.

Bez nadziei istnieć źle mi.
Gdy się nie użali,
Będę tłukł się z smutki memi,
Jak okręt na fali.
Tak mię sroga troska swemi
Podarzyła groty,
Że mi łoże ściele niemi
Jak ostremi szczoty
Z wieczora po ranek...
Ach, Tristan[1]) kochanek
Nie znał takich kołysanek
W służbie swej Izoty.[1])

Gdybym był podobny do tej
Jaskółki sąsiadki,
W czarną noc-bym zwracał loty
Do twojej komnatki.
Moja pani uśmiechnięta,
Twój wierny w mogile,
Duch mu z ciała się rozpęta
Na żałości tyle.
Pani, składam ręce,
Ulżyj mojej męce.
Twoim wdziękom pieśń mą święcę,
Choć się z żalu chylę.

Obojętny świat — na chwilę
Nie dba, czem się cieszę;
Mnie, gdy ją kto wspomni mile,
W sercu raj się krzesze.
I zaraz tajemną władzą
Twarz mi się odmienia.
Wam się pewnie śmieszne zdadzą
Takie zapłonienia...
Tak ją kocham szczerze,
Że, gdy żal mię bierze,
Nad najsutszą mi wieczerzę
Milsze są westchnienia.

Posłańcze mój młody,
Przez góry, przez wody
Bież, powiedz jej me zawody,
Moje udręczenia.

II. Marcabrus.

Przy krynicznej wodzie.

W gaiku przy krynicznej wodzie,
Gdzie na dębowej zieleń kłodzie
Porasta, w drzew cienistych chłodzie,
Gdzie się dywany kwiatów ścielą
I w śpiewie ptasząt wody głuchną, —
Znalazłem samą, hej, samiuchną,
Co mego nie chce znać kochania.

Dziewczyna niby zorza rana,
A córka zamku kasztelana.
Myślałem, że ta malowana
Błoń, te ją śpiewki rozweselą,
I ten uroczy czas majowy,
I że posłucha méj namowy; —
— Spojrzę, od płaczu aż się słania.

[1]) Tristan i Izolda — sławni w podaniach średniowiecznych kochankow

Z oczyma stoi spłakanemi,
Od westchnień jej aż serce wre mi.
— Jezu — powiada — królu ziemi!
Przez ciebie wszystkie me rozpacze,
Z ciebie niedola ma się bierze;
Najlepsi chłopcy i rycerze
Na wojnie, na uciechę tobie.

Odjechał chłopiec mój serdeczny,
Odważny, gładki, szczodry, grzeczny,
A mnie się został smutek wieczny,
Tęsknota, żale, modły, płacze.
Król Ludwik niech przeklęty będzie,
Że porozsyłał wici wszędzie
I mnie zostawił tu w żałobie. —

Gdy tak płakało dziewczę młode,
Przybiegłem prędko po nad wodę:
„Piękna ma, niszczysz swą urodę,
Łzy omuskają ci z barw lice.
Niechże ci serce już nie taje;
Powróci radość ten, co gaje,
Co wiosnę w nowy strój obleka“.

— Rycerzu — rzekła, — jać i czuję,
Że Bóg nademną się zlituje
I że weselem udaruje
W niebie, jak inne — ot — grzesznice.
Lecz tem się smutki me nie zmniejszą:
Tu mi rzecz zabrał najmilejszą,
A tamta druga tak daleka...

III. Jaufre Rudel.

Nudne mi dni majowe.

Nudne mi długie dni majowe,
Ani mi luby ptasząt gwar — daleki...
Choć odwrócilem stamtąd głowę,
Miłości mię krępuje czar — dalekiéj...
Wszystko mi zbrzydło, wszystko nuży:
I ptaków śpiew, i kwiecie róży
Mniej warte od zimowych tucz.

Nie kłamie pan mój, gdy powiada
Że lepszy kres miłości tej — dalekiéj;
A we mnie przecież serce gada:
Źle, że żyć muszę pani mej — daleki.
Jakżebym chętnie w głąb tej dziczy
Biegł, bylem w szacie mej pątniczéj
Mógł stanąć u jej ślicznych ócz?

Jak tem marzeniem duch mój pała,
Że wypłynąłem na ów brzeg — daleki,
Że mi przy sobie mieszkać dała!...
Ach, próżna chęć, ach próżny bieg — daleki!
Niema bo milszych pogadanek,
Jak gdy kochance swej kochanek
Z ust do ust zdaje myśli klucz.

W świat pójdę smutno i boleśnie,
Jeśli nie ujrzę miłości raz — dalekiéj.
Niestety, ujrzę chyba we śnie,
Bo obcy lud i kraj to nam — daleki.
Pustynia mórz, nieznane szlaki,
Jedne ją tylko znają ptaki.
Niech wezwie, polecę jak ptak.

Nie życzę innej znać miłości,
Prócz owej, gdzie me serce drży, — daleko.
Bo niema pośród świata włości,
Śród mórz i lądów, blizko ni — daleko,
Tak miłej mi, jak ona miła.
O, gdyby wezwać mię raczyła
Na owy saraceński szlak!

Oby Bóg, co mi wskazał drogę,
Co ku niej moje myśli słał — daleko,
Dopomógł, skoro sam nie mogę,
I piękność mi oglądać dał — daleką,
Choć okiem zaznać jej urody,
Pałace owe i ogrody
Oglądać, niby rajski gmach!

Mówią, żem smakosz nad smakosze,
Że mię pociąga przysmak ten — daleki.
O inną rozkosz bo nie proszę,
Niech mi się jeno sprawdzi sen — daleki.
Niech złośliwego Bóg pokara,
Co mię się w domu trzymać stara
I patrzy, że tak tonę w łzach.

IV. Bezimienny.

Ballada (taneczna).

Kiedy jasny maj nastanie — hej,
Słychać wszędy śmiech, śpiewanie — hej,
Więc królowa w kole stanie — hej,
Zazdrośnikom na wyśmianie,
Że jest zakochana.
Zazdrośnicy, żegnam was,
Puśćcie nas, puśćcie nas,
Obrócić się w kółko raz, w kółko raz.

Już królowa stać nie może — hej,
I posyła precz nad morze — hej,
Aby chłopcy, dziewki hoże — hej,
Wszystkie zeszły się na dworze
Do skocznego tańca.
Król nadchodzi z drugiej strony — hej,
Na te pląsy rozwścieczony — hej,
Zagniewany, zatrwożony — hej,
By mu kto nie porwał żony,
Uciesznej królowej.

Ale ona ani słucha — hej,
Ani spojrzy na starucha — hej,
Chłopcu szepce coś do ucha — hej,
On popieści i pogrucha
Ze słodziutką panią.

A kto ujrzy to jej w tanie — hej,
Przerozkoszne kołysanie — hej,
To oczarowany stanie — hej,
Rzecze: Szczęśliw, kto dostanie
Miluchną królowę.
Zazdrośnicy, żegnam was,
Puśćcie nas, puśćcie nas,
Obrócić się w kółko raz, w kółko raz!

V. Bertrand de Born.

a) Sirwenta.[1])

Sirwentes śpiewam w rymie zacny:
Dla mnie to miły trud i łacny;
Lecz dłoń prócz lutni szpadą władnie, —
Niechno brat czy swat na mnie wpadnie,
Mózg mu wykroję jak z łupinek;
A niechno schedę mi ukradnie,
Dorzucę mu go na przyczynek.

Wciąż się opędzam, wciąż uganiam:
Tym się odcinam, tym zasłaniam,
Jeden mi w grunta pługi wrzyna,
Drugi jabłonki mi wycina
W sadzie i ziarno miesza z słomą;
Niema takiego poganina,
Coby nie uszczknął choć kryjomo.

Wróg mój ustawnie na mnie dybie,
Wara, bo ja mu nie pochybię.
Gdy od Ryszarda i Azemara[2])
Gróźb ciągłych ku mnie leci chmara,
Hej, ja ich skłócę, że jeżeli
Rozjąć ich król się nie postara,
Kośćmi wnuk z wnukiem się podzieli.

Ja książąt po swej myśli wodzę;
To ich pokłócę, to znów godzę;
Chciałbym im serce wzmódz, lecz czarta
Robota taka z nimi warta,
Bo są z gorszego kruszcu kuci,
Niźli łańcuchy San Lenarta,
I głupi — co ich ze snu cuci.

Wilhelmie z Gordon[3]), w waszym dzwonie
Młot tłucze twardy, — toż was bronię
I kocham, niech mi Bóg da zdrowie!
Lecz płotą dwaj wicehrabiowie,
Widząc, jak kulisz się w fortecy,
Że wam nie staje klepki w głowie...
Ba! chcą mieć murem wasze plecy.

Talairan[4]), niby starowina,
Ani się ruszy od komina,
Na szpadę szyi nie wytyka,
Gnuśniejąc gorzej Lombardczyka,
I taki pełen jest nicości,
Że — kto żyw, w polu się potyka —
On ziewa i wyciąga kości.

Pod mur Peiraguerskiego dworu
I blizko tuż — na rzut toporu —
Na mym Bojardzie runę z góry;
A niech Poiteweńskiego ciury
Dopadnę, dowie się, jak siecze
Szpada ma, bo mu z czaszki wióry
Polecą, z mózgiem życie ściecze.

Panowie moi, bądźcie zdrowi,
Bogu oddaję was w obronę.
Rzeczcie ode mnie Ryszardowi,
Co rzekł paw', kiedy spotkał wronę.

---

[1]) Sirwenta (sirventes) jestto pieśń satyryczna.
[2]) Azemar (Ademar z Limoges), stronnik Ryszarda Lwie Serce.
[3]) Był przeciwnikiem Ryszarda, który mu zabrał zamek.
[4]) Talairand z Montignac, przeciwnik Ryszarda.

b) Lubię patrzeć.

Lubię patrzeć, gdy jest w biedzie
Bogacz chłop, co to na schedzie
Jak na czterech koniach jedzie;
Lubię patrzeć, jak śmierć łamie
Kości nędznej tej czeredzie,
Bieda zimą ich po ledzie
Boso puszcza; — jeśli kłamię,
Niech mię tak kochanka zwiedzie.

Chłop jak bydlę samowito
Żyć nie będzie, choćby bito;
A kiedy ma grosza syto,
To nadyma się jak duda.
Toż obroku mu w koryto
Sypać trzeba nieobfito,
Skubać, szczypać, gdzie się uda,
I przetrząsać jak złe żyto.

Swego chłopa kto nie ściska,
Nad bunt z niego nic nie zyska;
Więc kto wędzidła u pyska
Nie ukraca mu, — szalony!
Chłop, kiedy mu pełna miska,
Już się pańską butą ciska,
Już ogląda się schytrzony,
Dobierając legowiska.

Chłopskiej się nie lituj trwogi,
Nie jęcz, kiedy łamie nogi,
I nie dawaj zapomogi.
Chłopu — niech mi świadczą nieba —
Nie litośny bądź, lecz srogi,
Lub w nim wzmożesz złe nałogi.
Pieszczot jemu nie potrzeba,
Kiedy boli go — batogi.

Rassa,[1]) — chłopstwo boska kara:
Złość, fałsz, sknerstwo, co niemiara
Pychy, wszelka zła przywara
Siedzi w niecnej duszy chama.
Prawda dlań, uczciwość, wiara
I Bóg w niebie — próżna mara;
Małpować-by chciał Adama,
Niechaj-że go Bóg pokara!

VI. Pieśń Ryszarda Lwie Serce.

Nie umie jeniec w swej więziennej cieśni
Otwierać serca; lecz kiedy boleśniej
Wstyd dotknie, to się samo rwie do pieśni.
Przyjaciół wielu mam, lecz im się nie śni —
O hańbo! — okup zebrać, więc w tej pleśni
Dwa lata siedzę więźniem.

Wiedzą wasale moi i baroni
Z Anglii, Normandyi, Poitou, Gaskonji,
Że nie znam w świecie towarzysza broni,
Coby pomocy nie znalazł z mej dłoni;
Niech na wymówkę tę nikt się nie płoni...
Ja przecież jestem więźniem.

[1]) Tak przezwał poeta Gotfryda z Bretanii.

Wiem, otwartemi w świat patrząc oczyma,
Że trup i jeniec przyjaciela nié ma,
I teraz skąpstwo w niewoli mię trzyma.
Widzę... i żal — ach! — za serce mię ima,
Świat po mej śmierci na lud mój się zżyma,
Że dał mi skonać więźniem.

A temu jeszcze pieśń ma bólem zjęta,
Że pan mój ziemię mi rwie, ludzi pęta,
Ani przysięgi owej nie pamięta,
Którą złożyliśmy na sakramenta.
Jedna otucha tu mię krzepi święta,
Że krótko być mi więźniem.

Siostro hrabino, niech Bóg trzyma w sile
Cześć twą i krasę, które wielbię tyle
I których jestem więźniem.

VII. Guirault de Berneil.

Lubo, gdy gonię.

Lubo, gdy gonię wspomnieniem tamtędy,
Gdzie żyje miłość, co me serce więzi.
Ot, wczoraj szedłem między kwiatów grzędy,
Nade mną ptactwa chór śpiewał z gałęzi.
A kiedy w owym ogrodzie tam stałem,
Spostrzegłem lilię z licem śnieżno-białem;
Wzięła mi serce, porwała źrenice,
Tak, że od chwili tej już tylko do niéj
Pamięć powraca i myśl ma się kłoni.

Dla niej już tylko płaczę, dla niej śpiewam,
Do niej jedynej drży me serce młode,
Modlę się, wzdycham, z tęsknoty omdlewam
Za miejscem, gdziem to ujrzał jej urodę.
Bo kwiatem kobiet i na podziw ziemi
Jest ta, co wdzięki podbiła mię swemi.
Powolne serce i słodkie ma lice,
I ród dostojny, a twarzą wesołą
Wszystko, co zacne, rozwesela wkoło.

Bogacz, gdybym śmiał opiewać jej wdzięki,
Bowiem słuchać mię zbiegłyby się ludy.
Lecz zazdrośników boję się paszczęki,
Tak pełnej jadu, i gniewu, i złudy.

Mam wrogów wielu, co się na mnie ważą
I co gotowi skrzywdzić mię potwarzą.
Ale niech jeno sposobność pochwycę
I niechaj stanę przed kim z jej rodziny,
O tej piękności zaśpiewam jedynej.

Nie przestajecie pytać, zazdrośnicy,
Czyj tu był zaszczyt i nagrody czyje,
Blizkie? dalekie? głośne? w tajemnicy?
Ja się nie zdradzę, ani wam odkryję.
Niech umrę, jeśli z ust wypuszczę parę.
Przyjaciel nawet łamie dzisiaj wiarę,
Zły sąsiad oczy ma na okolicę
Zwrócone chciwie i potwarze łowi,
Toż nie zaufaj ojcu, ni synowi.

Bo zaraz na mnie szyderca zakrzyczy:
Aj, patrzcie franta, jak to oczy mruży,
Jak pręży łydkę, gwiazdy w niebie liczy.
Mnie tam pochwała, nagana nie zdurzy;
Lecz gdy mi ku niej serce zadrży w łonie,
I gdy obrócę oczy ku jej stronie,
I myślą widzę... to mi i na lice
Miłość wraz blaski wywabia i maje,
Bowiem nie kocha, kto poznać nie daje.

VIII. Arnold Daniel.

Sestyna.[1])

Żądzy, co mi w serce *wchodzi*,
Wydrzeć nie zdoła ząb ani *paznogieć*
Złośnika, który kłamstwem szkodzi *duszy*,
Gdy żadna przegnać nie zdoła go *rózga*,
Skrycie, gdzie żaden nie zabroni *wuj*,
Kochania zaznam w gaju lub *komnacie*.

Gdy pomyślę o komnacie,
Gdzie na mą szkodę — wiem — niejeden wchodzi
(Wszyscy czemś więcej są niż brat lub wuj),
To cały drżę od stóp aż po paznogieć,
Jak dziecko, gdy go matki straszy rózga,
Gdyż obcy jestem — przeczuwam — jej duszy.

---

[1]) Sestyna z 6 strof się składa; końcowe wyrazy pierwszej wracają w następnych w pewnym oznaczonym porządku.

W ciele chcę wejść, nie w duszy,
Jeśli mi miejsca udzieli w komnacie;
Bardziej mię niźli ostra boli rózga,
Że nawet nędzny pachoł jej tam wchodzi;
Jednak lgnę niby do ciała paznogieć,
Ni zważam, że mię gromi brat lub wuj.

Mniej ta, którą zwie wuj
Siostrą, miła mi, na zbawienie duszy,
Niż ona; blizko, jak ciała paznogieć,
Radbym z jej łaski sieść przy niej w komnacie.
Miłości poddan, co w me serce wchodzi,
Chcę być jak w silnej dłoni słaba rózga.

Od pór, gdy sucha rózga
Kwitła, z Adama poszedł brat i wuj, —
Miłość podobna tej, która mi wchodzi
W duszy głąb', w żadnej nie postała duszy.
Przy niej me serce, w polu czy komnacie,
Dopóki palca trzyma się paznogieć.

Z nią me serce jak paznogieć
I jako z korą spojona jest rózga:
Jako w pałacu, w twierdzy — w jej komnacie.
Słodsza też, niźli brat i swat i wuj,
Nagroda przypaść musi w raju duszy,
Jeśli za trwałą miłość człek tam wchodzi.

Arnold pieśń, której treść: *wuj* i *paznogieć*,
Śle tam, gdzie mieszka *rózga* jego *duszy*,
W *komnacie*, kędy *Pożądana wchodzi*.

IX. Peyrols.

Kiedy Miłość się spostrzegła.

Kiedy Miłość się spostrzegła,
Że od jej przykazań stronię,
Z wielkim krzykiem do mnie biegła,
W takiej łając mię tensonie: [1])
„Przyjacielu, w jakiej stronie
Chcesz się ukryć, a daremnie?
Gdy nie w pieśni, gdy nie we mnie
Swego serca zjawisz hart,
Powiedz, Wasze, cóżeś wart?“

„Miłość pani, sługiwałem,
A ty coś mi dała? Proszę,
Proszę, powiedz, jakie miałem
Z całej służby mej rozkosze?
Skargi na cię nie podnoszę;
Jednej łaski w ciągłym znoju
Błagam: Zostaw mię w spokoju,
Pozwól jeno błogo spać —
Reszty dóbr twych nie chcę znać“.

---

[1]) Zob. przypisek na str. 347.

„Peyrol, wyszła ci z pamięci,
Ani już ku sobie skłania
Dama pełna grzecznej chęci,
Przywiązania i kochania,
Wszystko z mego rozkazania?
Nie wierzyłam za posłuchem,
Byś był takim lekkoduchem.
Była czułość, był i śmiech,
Lecz nie płochość w piersiach twych“.

„Miłość pani, mojej damie
Sługiwałem długo, trwale,
I dziś jeszcze w służbie mamię,
Jak z początku serce palę.
Lecz w szaleństwo wpaść o małe?...
Płacząc, jedzie od kochanki
Ten i ów w wojenne szranki.
Tu zaznałby uciech dość,
Gdyby nie sułtana złość“.

„Peyrol, turecka ohyda,
Mimo waszych wojsk gromadę,
Nie pierzchnie z wieży Dawida.
Przyjacielu, dam ci radę:
Kochaj, śpiewaj, zarzuć szpadę.
Pójdziesz tam, a tu królowie
Jeno wojny roją w głowie,
A baroni z różnych stron
Ciągły z sobą stroją gon“.

„Miłość pani, żyłem prawo,
A gdym błądził, to zmuszony.
Proszę, niech za Boga sprawą
Pokończą się książąt gony,
Pokój z sobą zawrą trony.
Co mię smuci, co mię trapi,
To, że zemsta się nie kwapi,
A margrabia dzielny mój
Bez rycerstwa pójdzie w bój“.

„Peyrol, jedzie od kochanki
Ten i ów, w wojenne szranki.
W domu uciech miałby w bród,
Lecz zbić trzeba wroga wprzód“.

„Miłość pani, choć królowie
Pozostaną, nikt nie powie
O delfinie, że mu twój
Powab nie dał ruszyć w bój“.

X. Gaucelm Faidit.

Teraz za morze.

Teraz nas więc za morze
Wiedź, Jezu, prawy Boże;
Dla cię rzucam krainę
Jasną, kochaną, bratnią,
Gdziem miał chleba dostatnio,
Gdziem żył czczony, pieszczony;
Toż nie czytaj za winę,
Że odjeżdżam stęskniony.
Lemozyńska drużyno,
Już cię żegnam jedyną,
Żegnam pieśni i grania,
I rozkoszne dziewczęta,

Brać rycerską, książęta,
Damy pełne kochania;
Więc żal serce me pęta,
Noc me słyszy wzdychania.

Mimo owe ponęty,
Chcę do ziemi iść świętej.
Choćby skarby mi raju
Tu sypano dokoła,
Nic mnie skłonić nie zdoła,
Bym połamał me śluby,
Że wybiorę się w maju

Na spełnienie tej próby,
Jeśli Bóg mię swej dłoni
Majestatem osłoni;
A w pątniczej odzieży,
Sercem służąc jak szatą,
Już niechybnie pod lato
Książę w trąby uderzy
I pchnie flotę skrzydlatą
Do syryjskich wybrzeży.

Szczęścia ten nie ułaknie,
Komu Boga nie braknie.
Bóg doświadcza i krzepi
W służbę swoją wybranych,
Na cześć jego poddanych.
Lecz nie boskich wasali
Godłem piszą się ślepi
I ci, co go sprzedali.
Aj, nieszczęśni i głupi,
Za żywota już trupi, —
Złoto, choćby bez miary,
Raju wam nie wymodli,
Skąpi, chciwi i podli,
Nie ma do was Bóg wiary.

Ohydę Antychrysta
Noc wywarła wieczysta
Na świat; cnota się ziębi,
Wyzwolone złe hula,
Cnych baronów i króla
Ku powszechnej sromocie
Ubezwładnia i gnębi,
W grzesznej dusząc martwocie.
Król, w Paryżu co siedzi,
Do Saint-Denis się biedzi,
Do Normandyi biedz woli
Po sterlingi błyszczące,
Niż po więźnie, płaczące
W Saladyna niewoli.
Toż mu powiem w rozłące:
Zje, jak sobie posoli.

Więc kto z nami nie idzie,
Niechaj mierznie we wstydzie.
Nam się lepsze przygodzą
Czyny cnego korzenia.
Niech nas w służbę zbawienia
Przyjąć raczy Duch Święty, —
Za potężną tą wodzą
Na mórz wpłyniem odmęty.
Od saraceńskiej szkody
Niech nas strzeże, aż grody
Zdobędziem Chrysta Pana,
Cel dróg wszystkich pielgrzyma,
Który sułtan dziś trzyma.
A niech Panna Wybrana,
Której boża estyma,
W tem nam będzie oddana.

Szmaragdzie piękny, czysty,[1])
Ciebie i Poiteweńca
Z rajskiego ogrodzieńca
Niech Bóg strzeże wieczysty.

Równie Pani Eliszka
Wie, jak jestem jej rady,
Bez ohydy i zdrady,
Czy daleka, czy blizka.

XI. Savaric de Malleo.

Tensona.[2])

Sawaryk z Mauleonu.

Gaucelm! miłosne trzy pytania:
Rozwiąż mi je ty i pan Hugo.
Nie namyślając się zbyt długo,
Wybierzcie, gdzie wam sąd się skłania.

Ma pewna dama trzech rycerzy:
Tak jej na sercu każdy leży,
Że gdy ich raz u stołu gości,
Wszystkim im znaki śle miłości:

[1]) Szmaragdem jest tu piękna Marya z Ventadour.
[2]) Tensona jest rozmową poetycką z osobami żywemi lub allegorycznemi.

Do tego mruży swe oczęta,
Temu dłoń w dłoni czule pęta,
Tego zaś — nóżką, uśmiechnięta.
Dotyka; — komuż, czyniąc tak,
Najtkliwszej chęci dała znak?

Gaucelm Faidit.

To, Sawaryku, zdanie moje:
Najszczerszej dowód to przyjaźni,
Kiedy bez zdrady, bez bojaźni,
Spojrzy nań czule oczu dwoje.
Z serca wprost idą te słodycze,
Toż je sto razy cenniej liczę;
Podczas gdy w prostym rąk uścisku
Nie widzę straty — lecz też zysku,
Bo bez miłości się odmienia
W zwyczajny wyraz pozdrowienia.
W trąceniu nogą też ni cienia
Miłosnych nie dostrzegam prób:
Nie tak się serca wiąże ślub.

Hugo z Bakalaryi.

Gaucelmie, niech waść, co chce, mówi,
Sąd się waszmości nie utrzyma.
Myślę, że żadnej zgoła niéma
Korzyści z spojrzeń kochankowi.
Jeśli ją widzi — jest szalony.
Oczy na wszystkie patrzą strony;
Wzrok da-li rozkosz już, choć pała?..
Lecz gdy bez rękawiczki biała
Ręka — kochanka czule ściśnie,
Miłość od serca w serce tryśnie.
Sawaryk znów, co tak przemyślnie
Pod stół za nogą goni w ślad,
Niech pieści piętę jej, gdy rad.

Sawaryk z Mauleonu.

Skoro mi lepsze oddać chcecie,
Zatrzymam chętnie, z czem mi błogo.
Powtarzam, że trącenie nogą
Damy — najmilsza rzecz na świecie,
Bo skryte oczom zazdrośnika
I od stóp szczerze w serce wnika;
Od takiej poufałej łaski
Na twarz ucieszne biją blaski.
Ten, kto za lepsze uścisk bierze
Dłoni... takiego żal mi szczerze —
Co do spojrzenia — mocno wierzę,
Nie wpadłby Gaucelm w taki szał,
Gdyby kochanie lepiej znał.

Gaucelm Faidit.

Panowie, kto z was oczy gani
I wzrok płonący, czuły, hoży,
Nie wie, że to ambasadorzy,
Do kochanego w lot posłani,
Oznajmiający mu bez dźwięku,
Co serce w głębi chowa z lęku.
W nich to jest cały czar zawarty:
Nogą się trąca, strojąc żarty,
A jaka taka nóżką drażni
Po znajomości lub przyjaźni,
Pan Hugo błądzi najwyraźniéj,
O ręce tracąc wiele słów:
Nie gada miłość w sposób ów.

Hugo z Bakalaryi.

Gaucelmie, wbrew miłości prawisz —
I ty, w swej nóżce zaślepiony.
Przedmiot nasz dobry do tensony.
Oczy, które tak dworno sławisz,
Dowody wynajdując składne,
Już niejednemu były zdradne,
A zdradnej damy choćby cały
Rok czule stopy mię trącały,
Sercu nie doda to ochoty.
Uścisk — ach! — szczery, bez sromoty
Za tamte stanie mi pieszczoty.
Kochanka nie popieści dłoń,
Gdy jej nie pośle serce doń.

Sawaryk z Mauleonu.

Niechaj wam wstydem to nie będzie,
Żeście pobici w każdym względzie.
Chcecie, niech służy nam za sędzie,
Gaucelmie, panie z Bakalarya:
Mój Serca Stróż, ma pani Marya.[1])

[1]) Wspomniana poprzednio Marya z Ventadour.

Gaucelm Faidit.

Zwycięstwo nie u waszmość pana;
W sądzie się wyda ma wygrana.
Niech jako druga będzie dana
Na pomyślnego wróżbę kresu
Dona Wilhelma z Benaguesu.

Hugo z Bakalaryi.

Tak mocnem sądzę moje zdanie,
Że się wam stawię na wezwanie.
Znam taką, która w mojej stanie
Obronie sądem swym, jak tarczą.
Na sąd nasz damy trzy wystarczą.

XII. Piotr Cardinal.

a) Ciemięga (sirwenta).

Ciemięga u mnie ten i głupi,
Co się na miłość znęci,
Bo miłość tego gładziej łupi,
Który jej ufa święciéj.
Ktoś z ogniem igra, aż się sparzy;
Z miłości rzadko zysk się darzy,
A za to codzień strata.
Niechajże, kto na głowę chory,
Z jejmością tą się brata —
Ja tam nie skory.

Mnie tam kochanka nie posiędzie,
Póki jej sam nie trzymam,
Ani mieć ze mnie rozkosz będzie,
Dopóki ja z niej nie mam.
Reguły jednej w każdej dobie
Strzegę: Jak ty mnie, tak ja tobie.
Obłudna li — to znajdzie
I zazna obłudnika we mnie;
Prostą mię drogą zajdzie —
To ja wzajemnie.

Nigdym wesoło tak nie igrał,
Jak gdym kochankę stracił:
Ją przegrywając — siebiem wygrał,
Na czystom się zbogacił.
Gubić się sam — nie zysk, lecz strata;
Lecz zgubić to, co cię ugniata,
W tem chyba dojrzysz zysku —
A jam zaciężkie utrapienie
Znosił, żyjąc w ucisku
Niezasłużenie.

Jam całem ciałem przylgnął do niéj,
Oddał me ciało, ducha;
A teraz ona precz mię goni
I do innego grucha.
Kto daje więcej, niż ma w domu
I sobie sprzyja mniej niż komu,
Samochcąc licho kusi.
Bo nikt nie wesprze go sam przez się
I tem się karmić musi,
Co z wiatrem wessie.

Rozbrat dziś biorę z nią na wsze dni,
A bogdajbym wziął prędzej!
Bom z gliny znalazł ją pośledniéj,
Fałszywą, z sercem jędzy,
Jadem syconą w swej słodyczy.
Licha jej miłość przewodniczy
I po manowcach gania,
Bo ku lichemu zwraca chęci;
Co warte zaś kochania,
To jej nie nęci.

Wiem to, że wiernej przyjaciółce
Człek być powinien wierny:
Lecz ktoby z nią chciał wytrwać w spółce,
Koniec-by miał mizerny.
Mężczyzna zdradza — to wie, za co;
Rad będę więc, gdy jej odpłacą,
I ów kochanek świeży
Pierwszy ją zdradzić się postara,
Tak bowiem hańbę swą ubieży,
A ją pokara.

b) Dziwny deszcz (sirwenta).

W stolicy, nie wiem już której,
Spadł deszcz tak dziwnej natury,
Że na kogo tylko prysły
Wody krople, stracił zmysły.
Każdy — powiadam — zwaryował,
Prócz jednego, co się chował
Wtedy w domu i w złowrogą
Ową burzę drzemał błogo;
A gdy przespał nawałnicę
I gdy wyszedł na ulicę,
Stanął w zdziwieniu niemałem,
Widząc dziwnym zdjętych szałem:
Ten w przebraniu szedł, ten nago,
Ten do nieba pluł z powagą,
Ten kamieńmi tłukł o ścianę,
Ten na sobie darł sukmanę.
Ten sąsiada bił z zacięciem,
Ten uroił, że jest księciem,
I trzymał się dumnie w boki;
Ten wyprawiał dziwne skoki,
Ten klął, ten do bicia rwał się,
Jeden płakał, drugi śmiał się;
Jeden pleść bez związku zacznie,
Drugi krzywi twarz dziwacznie.
On, widząc rzecz tak ciekawą,
Ogląda się w lewo, w prawo,
Rozumnego gdzieś ażali
Niema?... Wszyscy zwaryowali.
Dziwi się im niewymownie,
Ale oni jemu równie:
Widząc go, że w szał nie wpadał,
Myśleli, że zmysły stradał.
Ten go zrani w twarz, ten w szyję;
Padł na ziemię, tłum go bije,
Ten podepce, ten go kopnie;
Chciałby uciec, zbit okropnie.
Ten go szarpie, ten przysiada.
Pognębiony, wstaje, pada.
Pada, wstaje, krew zeń ciecze,
Ledwo do dom się zawlecze
Obłocony, napół żywy,
Że im uszedł z rąk — szczęśliwy.

Ta przypowieść jest o świecie
I o was, co w nim żyjecie.

(Edward Porębowicz).

XIII. Jordi.

Sonet.

O! złe i dobre, które w sercu noszę!
Którego pragnę, a zyskać się boję,
Życiem twem bole, a śmiercią rozkosze,
Gdyś ty nie miłość, jakież imię twoje?

Jeśliś ty dobre, czemu tyle znoszę,
Gdyś złe, za co cię lubi serce moje?
Rozkoszne bole, bolesne rozkosze!
Gdyś ty nie miłość, jakież imię twoje?

Czemu bez winy jestem niespokojny?
Nie mam pokoju, nie prowadząc wojny?
Chcę serca innych, nienawidząc swoje?

Bezsilny, świat chcę jąć rękami memi,
Wzbijam się w niebo, a martwy na ziemi,
Gdyś ty nie miłość, jakież imię twoje?

(K. Brodziński).

XIV. Arnaut de Carcasses.

Nowella.

W ogrodzie, za wysokim murem,
Taka raz wiodła się rozmowa,
Jak tu powtórzę wam do słowa:
Z dalekich stron w godności posła
Papuga pokłon damie niosła,
Mówiąc tak: „Pani, Bóg cię strzeż,
Poselstwo moje mile bierz,
Ani się gniewaj, gdy wywiodę,
Po co zleciałam w tę zagrodę:
— Śród ziemskich najgrzeczniejszy wło-[ści
Rycerz, dóbr pełen i zacności,
Antyfanor, królewskie dziecię,
Co dla was lance kruszył w świecie,
Przeze mnie pokłon tu przynosi
Stokrotny i o miłość prosi,
Gdyż bez niej nie wyleczy się
Z niemocy serca, w której schnie.
Ja zaś przyczynę dodam inną,
Dlaczego mu się litość winno:
Bez ciebie raczej skonać życzy,
Niżli żyć z drugą, choć w słodyczy". —
— „Mój ty łaskawy przyjacielu,
Jak śmiałeś przyjść tu w takim celu?"
(Tak na to pani się uniosła).
„Jaki to, proszę, mędrek z posła!
Czyś widział waszmość której pory,
Bym oddawała me fawory
Chrześcianinowi? Jako żywo,
Wybrałeś wasze drogę krzywą.
Ale że poseł tak dorzeczny,
Może przede mną tu bezpieczny
Mówić, co zechce, bez bojaźni,
Że dozna klatki albo kaźni:
Choć skaraćby się należało
Za mowę dziwną i zuchwałą
I za namowę zbyt szaloną". —
— „Pani, łatwiej się dziwić pono,
Że z własnej go nie kochasz chęci". —
— „Papugo, miej to na pamięci,
Że ukochanym moim wciąż
Jest najgodniejszy". — „Któż?" —
— „Mój mąż". —
— „Nigdy o mężu nie słyszano,
By nosił takie cenne miano.
Jego powinnaś kochać głośno,
Lecz skrycie tego, co miłośną
Niemocą tak się w sobie łamie
I dla cię nędznie mrze — nie kłamię".
— „Aj, jaki z waści mówca gładki!
Gdyby-ć rycerskiej nie brak szpadki,
Umiałbyś prosić, — na mą duszę,
Mimo to jednak spytać muszę,
Dlaczego mam popełniać zbrodnię
I sprzeniewierzać się niegodnie,
Gdym ślubowała wytrwać w wierze?" —
— „Pani, coś powiem ci w tej mierze:
Miłość przysięgi spędza z pola,
Za pożądaniem idzie wola". —
— „Dobrze powiadasz, na Bóg miły,
Lecz racye moje zwyciężyły.
Ja męża mego nad świat cenię
I wiary mojej mu nie zmienię,
Ani innego chcę kochanka.
Proszę!... zuchwała to zachcianka
Żądać, wbrew sercu bym kochała". —
— „Ni to zachcianka, ni zuchwała;
Niech-no twój gniew się udobrucha,
Chciej moim racyom podać ucha.
Zobaczysz, jak, gdy je wyłożę,
Rozkochasz się w Antyfanorze.
Ptakiem rozsądnym, a nie chlystkiem
Jestem: wiem, że mąż przedewszystkiem:
Lecz po nim ten, co dla cię gore
I mrze....
Cóż zyszczesz, gdy Antyfanora
Przez cię miłosna zdusi zmora?
Miłości bóg i bogi Cnoty
Tej nie pochwalą ci roboty;
Ja sam przekleństwa wszystkie zwołam,
Jeśli namówić nie podołam,
Abyś odparła mu przeze mnie,
Że go pokochać chcesz wzajemnie". —
— „Papugo, niech mi Bóg da zdrowie,
Zdumienia mego nie wysłowię,

Że tak rozprawiać umiesz grzecznie.
Skoro więc prosisz już koniecznie,
Idź, powiedz mu, że mię nakłania
Do wzajemności bóg Kochania.
Odprawę daję-ć: pośpiesz żwawo,
Tę mu odpowiedź nieś łaskawą:
Że przez rozsądne twe orędzie
Przychylność moją wnet posiędzie;
I to mu donieś prócz pokłonu,
Że nie opuszczę go do skonu,
Skoro już chce mię kochać tak.
A jako ślubów moich znak
Ten pierścień nieś i ten roboty
Przedziwnej łańcuch szczerozłoty.
Kiedybądź widzieć mię zechcecie,
Zawsze w tym gaju mię znajdziecie". —
— „Pani, niech mię tak Bóg powstydzi,
Rzadko się w świecie dary widzi
Wypracowane tak misternie.
Ja panu je doniosę wiernie.
A że masz takie oczy hoże,
Wraz ukłon mu kazany złożę.
Pani, jeśli Bóg, co nie błądzi,
Antyfanora ci przysądzi,
Jako że w nim nie mieszka zdrada,
Za rok mu jeszcze będziesz rada". —
Na tem rozmowa się urwała,
Poczem papuga, nader dbała
O dobro pana oraz damy,
Wzleciawszy za ogrodu bramy,
Przebywszy drogę w jednym pędzie,
Opowiadała swe orędzie,
Mówiąc: — „Podobno takiej drugiéj
Nie widział w świecie nikt papugi,
Aby wierniejsza, bardziej dbała,
O pańskie dobro się troskała.
Wleciałam do ogrodu chyłkiem,
Bojąc się, aby ktoś, zatyłkiem
Podszedłszy, nie wziął do niewoli...
Źle wyglądałabym w tej roli.
Znalazłam ją śród zieloności,
Złożyłam twojej hołd miłości.
Pierścień przysyła i roboty
Przedziwnej łańcuch szczerozłoty
W zakład przyjaźni i kochania.
Mówiła: Niech go Bóg osłania,
Darzy bogactwy całe życie. —
Lecz teraz nie wiem, jakby skrycie
Do owej przekraść się zagrody
Tak, by się nie nabawić szkody.
Na sercu mi ten kłopot leży...
Ot co: podpalę dach na wieży;
Gdy mury będą ogniem żarte,
Pan wtedy wejdź przez drzwi otwarte
I w pęd do pani swej pocwałuj,
Uściśnij czule i ucałuj". —
Więc Antyfanor rzecze: — „Żwawo!
Do pani naprzód idź z tą sprawą
I spytaj, sługo mój kochany,
Czyli się zgodzi na twe plany". —
Potem rozeszli się; papuga,
Jako żarliwy, wierny sługa,
Z tą ambasadą znów miłosną
Pogonił: damę zszedł pod sosną;
Więc, podleciawszy ku drzewinie,
Tak ją pozdrowił w swej łacinie:
— „Pani, niechaj bóg twojej wiary
Wypełnia wszystkie twe zamiary
I szczęście korcem ci odmierza,
Byleś swojego hołd rycerza
Przyjęła i tak doń zechciała
Pałać miłością, jak on pała,
Bez nagany i bez pochyby". —
— „Papugo" — rzekła pani, — „gdyby
Mój Bóg tak łaski mi nie skąpił,
Iżby mi cały świat odstąpił,
Wszystkobym oddać była skora
Za miłą chęć Antyfanora.
Ale ten ogród jest strzeżony,
Warty czatują z każdej strony
Od zmierzchu aż do wschodu słońca,
A noc marudna nie ma końca". —
— „I nie znasz pani rady żadnéj?" —
— „Ha! nie, i nie dziw, gdy tak radny
Poseł wymyślić nic nie może". —
— „I owszem, słuchaj, jak ułożę:
Teraz do pana zwrócę loty,
Który z miłosnej schnie tęsknoty.
W noc się dzisiejszą z nim wyprawię,
Jego u muru pozostawię,
A sam, przyniósłszy greckie świéce,
Jeżeli zgodzisz się, dzwonnicę
Podpalę niemi i dach wieży;
Pożar w momencie się rozszerzy,
Grozę i popłoch wraz zażegnie,
Kto żyw — ratować gmach pobiegnie.

A gdy tak będzie płonąć wieża,
Przez bramę wpuścisz tu rycerza.
Jeśli-ć podoba się ta rada,
Na pośmiech zazdrośnego dziada,
Zaprowadziwszy do komnatek,
Rozkoszy zaznasz z nim dostatek". —
A na to pani: — „Wyśmienicie!
Uczyńże, coś tu rzekł, a skrycie". —
Papuga, nie hamując lotów,
Goni: już Antyfanor gotów
Czeka siedzący na rumaku,
W pancerzu swoim i szyszaku;
W stalowy blach zakute nogi,
U pięt kolczaste lśnią ostrogi,
Powleka się od boku szpada.
Papuga staje i powiada:
— „Panie mój, dzięki mej pomocy,
Dzisiejszej jeszcze ujrzysz nocy
Tę, co nad wszystko jest ci miła.
Ona to właśnie mię przysyła,
Prosząc, w godzinę byś szczęśliwą
Na koniu do niej jechał żywo.
Ostrożnym jednak być wypada:
Niechaj nikt tropów nie wybada,
Ani się w świecie człek domyśli,
(Chyba zgadując) co się kréśli.
By dopisały nasze plany,
Rondel potrzebny nam blaszany
Na ogień grecki: niech pan każe,
By mi go dali ludwisarze". —
Już się wybrali; szybko bieżą,
Dobrze noc — pod zamkową wieżą.
Z wieży straż czuwa, aż zaświta:
Ta chodzi, a ta hasła pyta.
Przetrwają tak do wschodu słońca,
A noc marudna nie ma końca.
Więc Antyfanor z konia zsiada
I na murawie zbroję składa:
Cały rynsztunek, prócz pałasza,
Z którym się zawsze wiernie nasza.
Lecz i ten — wierzcie mi — zbyteczny,
Tak przed hazardem jest bezpieczny.
Pod ścianę więc nieustraszony
Podszedł; papuga z drugiej strony,
Podłożyć ogień, bo już pora.
Mądry ptak ogród zleciał wokół,
Obaczył panią i jak sokół
U samych stóp jej siadł na ziemi,
Poczem się ozwał słowy temi:
— „Pan mój, wyzuty z twardej zbroi,
Już tam przy wielkiej bramie stoi.
Wpuść go i nie chciej z nim się drożyć.
Ja śpieszę ogień mój podłożyć". —
— „Papugo, widzę" — pani rzecze, —
„Że się umiałaś stawić w słowie.
Jam klucze bram wykradła świeżo:
Patrz, oto na wezgłowiu leżą;
Na zamek śpiesz podłożyć głownie.
W życiu nie pomnę, aby równie
Zmyślnie sprawiła się papuga:
Nie żyje taka w świecie druga". —
Papuga skrycie, ale śmiało,
Zakłada ogień pod powałą.
Płomień na cztery buchnął rogi.
Zewsząd okrzyki słychać trwogi:
„Gore!" Służba tam i napowrót....
Pani tymczasem prosto do wrót;
Strażom na wielki wstyd, jak sądzę,
Podniosła rygle i wrzeciądze.
Wszedł Antyfanor do ogrodu.
A ludzka mowa tu nie może
Wydać, jak czuli się szczęśliwi,
Ni kto z nich rozkosz tę czuł żywiéj
Tak się obojgu — myślę — marzy,
Że są śród rajskich wirydarzy.
Ogień tymczasem ugaszono:
Więc Antyfanor, tknięt do żywa,
Tak się do damy swej odzywa:
— „Pani ma, co mi każesz robić?" —
— „Panie, tak męstwo swe sposobić,
Ażebyś po grobowe głazy
Zawsze je miał na swe rozkazy". —
Antyfanor po znanym szlaku
Odjechał szybko na rumaku.

Tak mówi Arnaut z Karkasony,
Nie jednąj pieśnią już wsławiony,
A zwłaszcza przeciw takim mężom,
Którzy przez zazdrość żony więżą.

(Edward Porębowicz).

III. Poezya francuska.

1. Pieśń o Rolandzie.

Po siedmiu latach walki Karloman, król Franków, podbija całą Hiszpanię z wyjątkiem Saragosy, w której włada Marsil, czciciel Mahometa i Apollina; ale i ten król czuje, że wkrótce będzie musiał uledz jego potędze. Żeby uniknąć smutnego losu, zwołuje on na radę swoich książąt i hrabiów. Najprzedniejszy z pomiędzy nich Blankandrin radzi mu pozbyć się najezdzcy podstępem: przez posłów zawiązać z nim układy i obiecać przybyć do Akwizgranu dla złożenia hołdu i przyjęcia chrztu, jeżeli Karol Hiszpanię opuści; dać mu nawet zakładników, a gdy ten do Francyi powróci i wojska rozpuści, obietnicy nie dotrzymać, chociażby zakładnicy mieli to życiem przypłacić. Rada zostaje przyjęta i Marsil wysyła Blankandrina z bogatymi darami w poselstwie do Karlomana. Karloman, wysłuchawszy propozycyi, oddaje ją na rozpatrzenie swoich parów i znakomitszych Franków. Roland pierwszy zabiera głos, przypomina królowi dawniejsze zdrady Marsila i oświadcza się za prowadzeniem wojny aż do zupełnego zgnębienia przeniewiercy. Przeciwnego zdania jest Ganelon, ojczym jego; zarzuca mu on nienasyconą żądzę bojowania, dla której radby szafować nawet życiem ludzkiem, i doradza królowi układy, bo jest pewny, że Saracenowie, znękani wojną, pragną pokoju szczerze. Inni Frankowie, znużeni długoletnią walką i stęsknieni do domów swoich, oświadczają się za zdaniem Ganelona. Karol po namyśle decyduje się zawiązać układy z Marsilem, ale kto się podejmie niebezpiecznego poselstwa do Saragosy? Ofiarują swoje usługi królowi i Roland i Oliwier i biskup Turpin, ale król ich nie przyjmuje. Wówczas Roland, podrażniony na Ganelona, proponuje go na posła; Frankowie pochwalają ten pomysł i Karol zatwierdza wybór. W towarzystwie Blankandrina odjeżdża Ganelon, wypowiedziawszy otwarcie wieczną nienawiść Rolandowi i jego przyjaciołom. W Saragosie jednak godnie spełnia obowiązki posła i zamierza drogo sprzedać swe życie, gdy podnoszą nań oręż poganie, oburzeni twardemi żądaniami Karlomana. Ale Blankandrin, który już w drodze do Saragosy poznał usposobienie Ganelona, powstrzymuje napaść i doradza Marsilowi oględnem postępowaniem zjednać sobie posła i wyzyskać na swoją korzyść jego nienawiść dla Rolanda. Marsil idzie za tą radą i Ganelon, przejednany jego darami i uprzejmemi słowy, oświadcza, że Karol dopóty nie zaprzestanie podbojów, dopóki żyć będzie Roland. Lecz jak zgładzić Rolanda? Jeżeli Marsil przyjmie warunki pokoju, Karol, wracając do Francyi, odda Rolandowi dowództwo nad tylną strażą; wówczas Marsil może napaść na nią w sto tysięcy ludzi i wszystkich trupem położyć. Wdzięczny Marsil obdarza hojnie Ganelona i obaj sprzymierzeńcy zaprzysięgają zdradę. Ganelon z zakładnikami wraca do obozu i oznajmia, iż Marsil warunki pokoju przyjął. Uradowani Frankowie gotują się do powrotu. Karol za radą Ganelona dowództwo nad tylną strażą oddaje Rolandowi. Z Rolandem pozostaje Oliwier, Gerier, Gerin, Anseis, biskup Turpin i inni parowie; reszta z cesarzem wyrusza przez Pireneje naprzód.

Karloman wstąpił na Franków ziemię,
Wielki płaszcz słoni postać złamaną.
Naim podąża przy króla boku.
„Skąd ci ten smutek, panie mój?“ — rzecze.
„Nie pytaj lepiej — odpowie Karol —
Ciężka żałoba ciśnie mi serce.
Przez Ganelona zginie kraj Franków:
Dziwy mi anioł ukazał we śnie.

Ganelon skruszył włócznię w mej dłoni;
On to na czaty wskazał Rolanda,
Jam go na ziemi zostawił cudzéj.
Jeśli go stracę, wrócąż go drudzy?“
Karloman łzami zalał oblicze,
Z nim sto tysięcy boleje Franków;
Trwożne rycerstwo drży o Rolanda.
Zdrajca Ganelon sprzedał go niecnie,
Od króla pogan drogie wziął dary...

Tymczasem Marsil, zgromadziwszy swoje wojska, podąża ku górskim wąwozom. Jego najdzielniejsi baronowie, hrabiowie, książęta i emirowie cieszą się zawczasu, że zgniotą wrogów; każdy z nich chełpi się, że swój miecz lub oszczep utopi w łonie Rolanda albo którego z jego towarzyszów... Słyszą Frankowie zbliżającą się wrzawę wojenną. Oliwier wdziera się na jodłę i spostrzega zastępy wrogów. Zaniepokojony ich mnogością, potrzykroć nalega na Rolanda, żeby zadął w swój Olifant (róg z kości słoniowej, oprawny w złoto) i dał w ten sposób Karolowi znać o niebezpieczeństwie. Ale Roland z dumą odrzuca jego radę, bo sądzi, że takiem wezwaniem pomocy splamiłby swą sławę, i wzywa Franków, żeby się gotowali do walki.

Wtem biskup Turpin wjeżdża na wzgórek,
Rumaka ostrą spina ostrogą
I do zebranych tak rzecze Franków:
„Tu, baronowie, król nas postawił,
Dla króla umrzeć winniśmy wszyscy,
Z nim wspierać świętą Chrystusa wiarę.
Wnet bój nastąpi, wszem to wiadomo,
Wszak wroga własnem widzicie okiem.
Odprawię spowiedź, przeprośćie Pana,
Ja rozgrzeszeniem serca ukoję,
Za krew męczeńską, w boju przelaną,
Bóg wierne dziatki weźmie na łono“.
Wszyscy obliczem padli na ziemię,
Biskup ich żegna w imieniu Boga,
A za pokutę bić każe wroga.
Wierni Frankowie powstają z ziemi,
Łaską z grzechowych rozkuci więzów,
Błogosławieństwem skrzepieni w duchu:
Na wiatronogie wskoczą bieguny,
Wszyscy w żelazne zbrojni pancerze.
W szyku bojowym stoją rycerze.
Do Oliwiera ozwie się Roland:
„Miły mój druhu! rzecz to wiadoma,
Że nas Ganelon wplątał w te sieci,
Otrzymał za nas dostatkiem złota.
Król Marsil nasze stargował życie.
Szablą mu za to płaćmy obficie!“

W pierwszem spotkaniu Frankowie ścielą trupem wielu z pomiędzy tych, którzy się przechwalali, że powalą Rolanda; Roland zabija Aelrota, Oliwier — Falcerona, biskup Turpin — Korsablisa, Angelier — Malpryma i t. d.

Wre bój zacięty, z wściekłą odwagą
Rąbie Oliwier i Roland mężny,
Turpin oszczepem wali pogany,
Dwunastu parów nie cofa kroku
I w takt za danym przez wodza znakiem
Frankowie rąbią z sercem jednakiem.
Pogańskich trupów legło tysiące,
Kto nie uciecze, nie chybi zgonu,
Rad nierad musi przeciąć dni wątek.
Frankowie tracą kwiat dzielnej młodzi,
Już im nie ujrzeć ojców ni domu!
Ni Karlomana, który zdaleka
Poza wąwozem wiernych swych czeka!
A burza wzbiera nad Franków ziemią,
Grom huczy w górze, dmie wiatr szalony,
To z czarnej chmury sypną się grady,
To lunie powódź, to grom uderzy,
To zadrżą nagle ziemi posady
Od bram Paryża aż do wybrzeży,
Gdzie gród Wizantu[1]) ze szczytu skały
Straż nad morskiemi sprawuje wały.
Odwiecznych gmachów pękają mury,
Wśród dnia ćmi słońce pomrok ponury,
Niekiedy chyba grom z błyskawicą
Przelotnie czarną przestrzeń rozświeca,
A lud zawodzi w ciężkiej boleści,
O końcu świata powtarza wieści:
Nie wie, że ziemia tak we łzach tonie
Przy bohaterskim Rolanda zgonie.

Jakoż, pomimo męstwa, z jakiem potykają się Frankowie, zastęp ich się przerzedza pod ciosami nieprzeliczonych tłumów nieprzyjacielskich. Po piątem natarciu pozostaje ich tylko sześćdziesięciu. Wobec takich strat Roland postanawia dać Karolowi znać o niebezpieczeństwie.

Z taką boleścią, z takim wysiłkiem
Waleczny Roland zagrzmiał w róg złoty,
Że krew czerwona z ust mu wytryska,
Że mózg rozsadza żyły na skroni.
Huk się rozlega za lasy, góry,
Król go posłyszał w ciemnym parowie,
Posłyszał Naim, słyszą Frankowie.
„To głos Rolanda! — Karol zawoła,
W boju on tylko trąbi w róg złoty“.

Napróżno Ganelon stara się uspokoić obawy króla. Podejrzany o zdradę zostaje uwięziony, a Karol pośpiesza z Frankami na pomoc zagrożonym.

[1]) Bizancyum t. j. Konstantynopol.

Wysokie góry czarno się piętrzą,
Bystro po skałach szumią potoki.
Bojowe trąby huczą naprzemian
Z Rolandowego rogu podźwiękiem.
Gniewny Karloman pędzi na koniu,
Na licu Franków żałość i trwoga,
Ze wszystkich oczu łzy gorzkie płyną,
Ślą za Rolandem modły do Boga:
Niechże do boju z nim staną społem,
Będąż sicc wroga z sercem wesołem!
Próżne marzenia! już pora minie,
Nim zdążą w odsiecz bratniej drużynie.
Król spina konia z gniewnem obliczem,
Na pancerz biała spływa mu broda,
Pędzą barony w kolczach ze stali,
Rumieniec gniewu lica ich pali:
Czemuż nie walczą z Rolandem mężnym!

Tymczasem w wąwozie Roncevalskim bitwa wre dalej. Frankom udaje się nawet zmusić do ucieczki Marsila, któremu Roland swą Durandalą odcina rękę. Ale na placu pozostają jeszcze znaczne siły niewiernych.

Trudnaż to rada! choć Marsil pierzcha,
Stryj jego został, Marganis dziki,
Co Kartaginę dziedziczy z bratem
I Etyopów przeklętą ziemię;
Jemu podległe murzynów plemię
Z rozdętem nozdrzem, z plugawą skórą.
Jest ich pięćdziesiąt tysięcy z górą,
A wszyscy gniewni, snać w zmowie z piekłem,
A krew im w łonie wre żarem wściekłym.
„Legniem męczeńsko! Roland wyrzecze —
Chwile żywota już nam zliczono,
Zdrajca, kto drogo krwi swej nie sprzeda!
Rąbać, rycerze, ostrem żelazem,
Niech wróg śmierć naszą drogo przypłaci,
Niech się Frankowie nie wstydzą braci!
Gdy Karol zwiedzi pole bojowe,
Skoro obliczy po walce świeżéj
Łbów ich piętnaście za Franka głowę,
Pobłogosławi król swych rycerzy!“

W rozpaczliwej tej walce Oliwier odnosi śmiertelną ranę; mimo to nie ustępuje z placu i chociaż mu wzrok się już mąci, rąbie na oślep, wykrzykując „Monjoie“, hasło Franków.

Roland na koniu łka ciężkim płaczem,
Druh ugodzony raną śmiertelną,
Już mu gasnący wzrok mgłą zabiega,
Nie już nie dojrzy zdala ni zblizka.

Jeszcze Hotklerę[1]) prawicą ściska.
Spotkał Rolanda, cięcie straszliwe
Z góry w złocony szyszak wymierzył
I aż do nosa na dwoje rozciął;
Ale na szczęście cios nie tknął głowy.
Roland z podziwem spojrzał na niego,
Zcicha słodkiemi przemówi słowy:
„Chciałżeśli mieczem godzić mnie twoim?
Jam przecież Roland, niegdyś kochany,
Tyś mnie nie wyzwał nawet przed bojem".
Oliwier rzecze: „Głos twój mi znany,
Lecz cię nie widzę! Bóg dobry w niebie,
Odwrócił bratni pocisk od ciebie!"
„Nic mi — odrzecze Roland z zapałem —
Bóg wie, żeć sercem przebaczam całem!"
I pocałunek połączył bratni
Usta walecznych w chwili ostatniéj.
Czuje Oliwier przedśmiertne męki,
Oczy mu słupem stanęły w głowie,
Na dźwięk mu wszelki zamarło ucho,
Głowę na miękką składa murawę,
Grzechy ze szczerą spowiada skruchą,
Ręce ku niebu unosi obie,
O spokój w raju woła do Pana,
Błaga o łaskę dla Karlomana
I błogosławi kraj Franków miły,
I błogosławi Rolanda brata.
Już krew zakrzepła, omdlały siły
I duch ku niebu lekko ulata,
I tylko martwe a sztywne ciało
Z dzielnego męża ziemi zostało.
A Roland płacze łzami rzewnemi:
Nikt nie zapłakał rzewniej na ziemi.

Wreszcie pozostaje przy życiu tylko trzech: Gautier z Luzy, Turpin i Roland, ale i ci walczą z taką zaciekłością, że poganie nie mają odwagi natrzeć na nich zblizka i tylko zdaleka ciskają oszczepy i strzały. Upada Gautier i Turpin odnosi ranę śmiertelną, a Roland utraciwszy konia, potykać się musi pieszo. Wtem dolatuje zdaleka dźwięk trąb wojennych; to Karol nadciąga z odsieczą. Przerażeni napastnicy pierzchają w popłochu, a Roland ułożywszy na zielonej darni Turpina, obiega pobojowisko, zbiera poległych bohaterów i znosi ich do stóp biskupa. Płacze nad niemi Turpin i kostniejącą błogosławi dłonią.

Roland na zmarłe patrzy barony,
Na Oliwiera miłego serce,
I łzy mu z oczu strumieniem płyną.
Nagle mu krasa z lica uciecze,

[1]) Hauteclaire — szabla Oliwiera.

Na serce spada żałoby brzemię
I ryknął płaczem, upadł na ziemię.
„Tyś był zbyt dzielny!“ Turpin wyrzecze.
Gdy biskup patrzy na łzy Rolanda,
Serce mu w piersi pęka od żalu.
Wyciąga rękę, bierze róg złoty.
Szumi po skałach zdrój w Roncewalu,
Chciał w nim zaczerpnąć krynicznej wody
Idzie pomału, jak liść drży cały,
Za śladem jego krew ziemię broczy;
Zachwiał się nagle, siły ustały
I blady pomrok padł mu na oczy,
Uczuł śmiertelny ból w głębi łona,
Zakrzepło serce: upadł i kona.

Roland, odzyskawszy zmysły, odnajduje zwłoki biskupa, opłakuje zgon jego i sam gotuje się do snu wiecznego.

Waleczny Roland czuje śmierć blizką.
Już mózg przez uszy spływa mu z czaszki,
Za wiernych druhów modli się Bogu,
Sam Gabryela wzywa opieki:
W lewicę bierze róg szczerozłoty,
A Durandalę dzierży prawicą.
Dalej niż wystrzał z kuszy dosięgnie,
W ziemię Hiszpanów zapuszcza stopy,
Wchodzi na wzgórek. Pod sosny cieniem
Piętrzą się szare granitu złomy;
Tam składa głowę na miękką darnię:
Wie, że cień śmierci wnet go ogarnie.

Spostrzega go w tym stanie jakiś pozostały Saracen, podbiega ku niemu, żeby mu miecz jako zdobycz odebrać. Ale Roland uderza go Olifantem w głowę z taką siłą, że ten pada trupem, a róg się kruszy. Roland postanawia teraz złamać swą Durandalę.

Wstaje na nogi, krzepi się dzielnie,
Ale z oblicza zbiegła już krasa.
Przed nim się piętrzy bryła granitu,
Dziesięćkroć szablą w granit uderzy,
Skrzypi stal twarda, ale nie pęka.
„Wesprzyj mnie, Maryo! zawoła Roland,
O Durandalo, szablico wierna,
Któż cię obroni, gdy śmierć mnie zmoże?
Z tobą walczyłem zwycięsko w boju,
Z tobą zdobyłem ziemie i grody,
Które dziś trzyma król siwobrody.
Gdy znojną głowę położę w grobie,
W niegodne ręce nie wpaść już tobie.
Dzierżył cię rycerz ręką niezłomną:
Na wieczne czasy Franki go wspomną!“

Uderza znowu o granit twardy,
Stal zaskrzypnęła, lecz pęknąć nie chce:
Wie, że hartownej nie skruszy stali,
Tak więc nad szablą Roland się żali:
„O Durandalo! jasnaś ty, biała!
Cudnie blask słońca w ostrzu twem pała.
Karol w dolinie był Maryany.
Kiedy z niebiosów anioł zesłany
Imieniem Pana, co włada w niebie,
W niezłomne ręce zdać kazał ciebie.
Mnie drogi zakład Karol powierza.
Z nią jam mu zdobył Maine i Bretanię,
Z nią jam mu zdobył Anjou, Piktawię
Z nią jam mu zdobył wolną Normandyę
Z nią i Prowancyę i Akwitanię
I kraj Lombardów, całą Romanię:
Z nią jam mu zdobył Flandryę, Bawaryę
Ziemię Bulgarów, całą Puillanię[1]);
Jam mu zhołdował Konstantynopol
I Sasów przywiódł do posłuszeństwa;
Zdobyłem Szkocyę, Walię, Irlandyę
I Anglię dałem jemu na własność.
Nią ja podbiłem tak liczne kraje,
W których panuje król siwobrody,
A teraz o nią wielce się trwożę,
By się nie stała pogan zdobyczą!
Srom ten od Francyi Bóg niech odwróci!“

Znów w twardy kamień tnie ostrzem stali;
Pod silnem cięciem kruszy się skała,
Stal ciężko skrzypi, lecz szabla cała!
Żadna na ziemi moc jej nie skruszy,
I uczuł Rolad ból w głębi duszy
I nad jej losem głucho się żali:
„O Durandalo z hartownej stali!
Tyś piękna, święta, w twej głowni złotéj
Są skarby droższe nad czcze klejnoty,
Co serc rycerskich wśród boju strzegą:
Jest w niej ząb Piotra, krew Bazylego
Włosy świętego Dyonizego
I cząstka szaty Maryi Dziewicy;
Nie! nie być tobie w ręce pogańskiej!
Ty możesz służyć tylko chrześćjanom.
Z tobą podbiłem ja tyle krajów,
Które w potężnej trzyma prawicy
Wielki Karloman, król siwobrody.

[1]) Puillanie — według jednych ma oznaczać Pouille (Apulia), według innych (L. Gautiera), Pologne (Polskę).

Nie daj jej, Boże, wpaść w ręce tchórza!“
Już Roland czuje, że śmierć go chwyta.
Z głowy do serca już się posuwa:
Pod wielką sosnę śpieszy co siły,
Na darń się kładzie twarzą ku ziemi,
Garnie pod siebie swój róg i szablę,
Lecz ku poganom zwrócony głową.
Bo chce, by Karol, gdy tu przybędzie
Z walecznym hufcem wiernych rycerzy,
Widział w poległym pogromcę wroga,
I pierś rycerską uderza w krusze,
Serdeczne modły wznosi do Boga
I Bogu grzeszną poleca duszę.
Już Roland czuje, że dobiegł kresu:
Na szczycie wzgórza, pod wielką sosną,
Zwrócon ku pięknej Hiszpanów ziemi,
Z serdeczną skruchą w piersi uderza
I *mea culpa* woła błagalnie:
„Przebacz mi, Panie, przez Twe zasługi
Wielkich i małych win szereg długi,
Które spełniłem w ciągu żywota
Od lat dziecięcych po grobu wrota“.
I rękawicę wznosi do góry;
Wtem go otoczą anielskie chóry.
Waleczny Roland leży pod sosną,
Zwrócon ku pięknej Hiszpanów ziemi,
Wierną pamięcią zbiega żałosno
Miejsca, gdzie toczył zwycięskie boje,
Wspomina wierne barony swoje
Złączone z sobą węzły świętemi,
I Karlomana w złotej koronie,
Który go dzieckiem niańczył na łonie.
Żałośnie Roland płacze i wzdycha,
Skruszoną myślą bada sam siebie,
Słowa modlitwy odmawia zcicha:
Boże Przedwieczny, któryś jest w niebie,
Któryś Łazarza wskrzesił z mogiły,
Wyrwał Daniela ze lwiej paszczęki,
Skoro mą duszę grzechy splamiły,
Obmyj ją, Panie, błagam Cię szczerze!“
I rękawicę z prawej swej ręki
Za winy Bogu składa w ofierze:
Podjął ją Gabryel z Rolanda dłoni,
A Roland głowę na ramię kłoni,
Ręce w znak krzyża układa obie,
I Pan z niebiosów w skonania dobie
Śle Rolandowi jasne cheruby,
Zsyła Michała i Rafaela,

I z Gabryelem aniołów grono
Unosi duszę hrabi do raju.

(S. Duchińska).

Karol przybywa na pobojowisko, zasłane trupami i opłakuje poległych. Naim, widząc unoszące się w dali tumany kurzu, domyśla się, że podnoszą go uciekający poganie, i radzi pomścić śmierć towarzyszy. Król zostawia hufiec Franków na straży, a z resztą wojska puszcza się w pogoń. Lecz oto zbliża się wieczór, a gdy noc zapadnie, niewierni ujdą zemsty pod jej osłoną. Na prośby Karola Bóg zatrzymuje słońce, Frankowie doganiają pierzchających i kładą ich trupem lub topią w rzece Ebro. Nazajutrz wraca Karol do Roncevalu, odnajduje zwłoki Rolanda, sprawia pogrzeb poległym, zwłoki zaś Rolanda, Oliwiera i Turpina każe złożyć w trumnach, żeby je zabrać do Francyi. Tymczasem Marsilowi w pomoc przybywa Baligant, emir Babilonu[1]), Karol stacza z nim bój zacięty, walczy osobiście z emirem i o mało nie ginie z jego ręki; na szczęście archanioł Gabryel przybywa mu w pomoc i Karol powala swego przeciwnika. Pierzchają nieprzyjaciele, Frankowie ścigają ich do Saragosy. Ranny Marsil na wiadomość o klęsce sprzymierzeńca umiera. Frankowie zajmują stolicę, karzą śmiercią mieszkańców, z wyjątkiem tych, którzy przyjmują chrzest, poczem wracają do kraju, uprowadzając jako brankę żonę Marsila Bramimondę. Karol składa zwłoki Rolanda, Oliwiera i Turpina w klasztorze Blaye i przybywa do Akwizgranu. Tu staje przed nim Alda (Auda), siostra Oliwiera, i pyta o Rolanda, swojego narzeczonego. Usłyszawszy, że poległ, pada nieżywa u stóp królewskich. Teraz składa Karol na Ganelona sąd publiczny i wobec wszystkich mianuje go zdrajcą. Ale Ganelon ma licznych przyjaciół, bo ze znakomitego pochodzi rodu. W obronie jego staje groźny Pinabel i podług prawa żąda sądu Bożego, a jako porękę oddaje pod straż trzydziestu zakładników. Jako oskarżyciel Ganelona występuje Thierri z Anjou. Przeciwnicy staczają śmiertelny pojedynek i Pinabel pada. Ganelon więc uznany zdrajcą, zostaje rozszarpany przez dzikie konie, a zakładnicy powieszeni.

(Przekład pieśni o Rolandzie, miejscami zbyt wolny, wydrukowała S. Duchińska w Bibliotece Warszawskiej, 1866, tom I).

II. Chrestien de Troyes.

Perceval walijski czyli powieść o Graalu.

Po śmierci Józefa z Arymatei, zmarłego wedle tej powieści w Anglii, należąca do niego misa cudowna (św. Graal), która się napełniała sama przez się obfitym pokarmem, jeżeli jej właściciel był niewinny i cnotliwy, niewiadomo gdzieś znikła z biegiem czasu. Wtedy to król Uter-Pendragon założył zakon Okrągłego Stołu, którego pierwszym obowiązkiem było odnalezienie św. Graala. Artus, syn Utera, dbał najwięcej o rozwój tego zakonu. Odnaleźć cudowną misę miał Perceval z Walii, z początku niedoświadczony wielce, lecz niewinny i dzielny młodzian. Zanim cel osiągnął, przebył tysiące przeszkód, staczał mnóstwo walk z rycerzami, olbrzymami i karłami; odwodzony był od zamiaru wdziękami najpiękniejszych kobiet, popełniał dużo omyłek. Jako człowiek podlegał Perceval słabościom, dawał się unosić próżności — i to wówczas najczęściej, gdy był najbliżej celu. Żal za grzechy, pokuta czynią go napowrót zdolnym do osiągnięcia upragnionego zamiaru i napawają go otuchą. Poniżej przytoczony w tłómaczeniu wyjątek przedstawia epizod, w którym bohater mógł był zakończyć wszystkie swoje trudy, posiąść misę cudowną; dość mu było zapytać, co znaczy niezrozumiała dla niego ceremonia, a byłby natychmiast wyleczył króla i otrzymał św. Graala. Dowiedziawszy się o tem, Perceval przez czas bardzo długi napróżno starał się

[1]) Rozprawę z Baligantem wielu krytyków uważa za epizod później dorobiony.

odszukać ów zamek tajemniczy, w którym był poprzednio. Nakoniec odbywszy pokutę i dokonawszy mnóstwa nowych zwycięstw, z których jedno jest opisane w drugim wyjątku, tu przytoczonym, dostaje się do zamku, leczy króla i otrzymuje misę. Panuje potem szczęśliwie przez lat siedem, a następnie, zabrawszy z sobą ś. Graala i lancę, uchodzi na puszczę. W dniu świątobliwej śmierci jego misa i lanca wzięte zostały do nieba; a duszę bohatera Bóg umieścił na tronie po swej prawicy.

Poemat ten: *Perceval le Galois ou le conte de Graal* liczy przeszło 45.000 wierszy. Chrestien de Troyes jest tu autorem wierszy 1282—10601. Tłómaczenie wyjątków dokonane zostało według wydania Karola Potvin 1866 w Mons.

W. 4368 — 4423.

....Podczas gdy z sobą rozmawiali,
Wszedł jakiś rycerz do świetlicy:
Ten białą lancę miał w prawicy
I niósł ją środkiem przytrzymaną,
Komnaty przeszedł między ścianą
Gdzie łoże stało i gdzie siedli
Ci, co rozmowę z sobą wiedli,
A między te rażące świéce,
Więc wszyscy obróciwszy lice
Widzieli lancę i grot biały
Z którego krople krwi padały:
Coraz na białą dłoń Rycerza
Spadała z ostrza kropla świeża.
Perceval patrzy na dziw owy,
Lecz nie śmie, jako przybysz nowy
Mruknąć i spytać niepośpieje
Jakim się cudem rzecz ta dzieje,
Zwłaszcza że pamięć mu odświeża
Radę słyszaną od rycerza,
Ażeby skąpy był w mówieniu.
Zatem i teraz w rozumieniu,
Że mogło stać mu się bezczesne
Pytanie próżne i niewczesne,
Przymilkł i nie dał wyniść słowu.
Wtem dwaj rycerze wyszli znowu:
Każdy niósł w ręku świecznik złoty,
Rzeźbiony, bardzo cnej roboty,
Oba młodzieńcy i dorodni;
W świecznikach dziesięć tkwi pochodni,
Każda się jasnem światłem pali.
Z nimi dziewica szła do sali,
Urodą bardzo okazała;
Ta misę oburącz trzymała,
Sama w kosztowne strojna szaty.
Zaledwo weszła do komnaty,
Od misy, którą w ręku niosła,
Taka ogromna światłość rosła,
Że nagle jasność gromnic mdleje,
Jak się na niebie gwiazdom dzieje
Od blasku słońca lub księżyca.
Za nią tuż druga szła dziewica,
Która stół niosła pogotowiem,
Samą wam prawdę o nim powiem:
Z litego złota lany cały.
W misie kamienie migotały
Drogie, kładzione w różne wzory,
Jak nie widziano do tej pory.
Taka z niej wielka jasność biła,
Że wszystko inne przechodziła.
Jak rycerz z lancą, w tym sposobie
Środkiem komnaty przeszły obie
Z sali do sali wolnym krokiem.
Perceval szedł za niemi okiem,
Ale nie pytał, zdjęty trwogą,
Co to za misa i dla kogo....

* * *

W. 5540 — 5645.

....Kraina była to północna,
Rankiem śnieżyca spadła mocna.
Ale Perceval już z zarania
Jak zwykle czynił, wstał z posłania,
Rad z nową spotkać się przygodą.
I przyszedł, gdzie stał król[1]) gospodą,
Na pole równe i przestrone,
Zmarzłe i całe zaśnieżone.
A gdy stał prawie pod namiotem,
Obaczył gęsi dzikie lotem
Lecące szybkim gdzieś do brzegu,
Które zmyliła białość śniegu,
Z ogromnym wrzaskiem i gromadą;
Bo sokół zalatywał stado,
Który na jednę, co została
W tyle, z powietrza spadł jak strzała.
Tak zaś gwałtownie z góry sunął,

[1]) Król Artus.

Że razem z nią na ziemię runął.
Ale był cios za mocny przecie,
Sokół przesadził w swym impecie,
Gęś się zerwała nagłym lotem
I próżno za nią gonił potem.
A Perceval obraca oczy,
Widzi, że ziemia krwią się broczy:
Gęś była w szyję obrażona.
Aż wytrysnęła krew czerwona.
Trzy krople padły na śnieg biały,
Barwy się naturalne zdały.
Śnieg starciem gęsi i sokoła
Widzi stłoczony, a dokoła
Ową krew wybroczoną z rany:
Na kopii wsparł się zadumany,
W owo barw dziwne pojednanie
Wpatrzył się i już trwał w tym stanie.
Więc malowidło, co do spółki
Śnieg biały z krwią rumianą tworzą
Wyobrażało mu twarz hożą
Niezapomnianej przyjaciółki.
Patrzy i duma wciąż i marzy
Aż się zapomni: na jej twarzy
Rumieniec się z białością dzieli,
Jako ta krew na śniegu bieli;
Nareszcie mu się zdaje prawie,
Że widzi panią swą na jawie.
Perceval duma nad przemianą.
W śnieg się wpatruje całe rano,
Aż niecierpliwie z tej przygody
Wyjdą rycerze doń z gospody;
Że się zadrzemał, rozumieli.
Jeszcze nie powstał król z pościeli
Jako, iż była ranna pora,
Ale spotkali Saigremora
U drzwi namiotu; ten ich witał,
Po co tak rano przyszli, pytał.
— Panie, tu przed namiotem w podle
Zda się nam, rycerz śpi na siodle.
— Rycerz? i w zbroi? — Nie inaczej.
— Pójdę ja spojrzeć, co to znaczy,
Zaraz do króla go przywiodę.
Saigremor idzie na gospodę
I budzi króla. — Tuż na błoniu —
Powiada, — rycerz śpi na koniu.
— Niech idą — rzekł król — i nie bawią
I niech go żywcem tu dostawią.
By mu rumaka prowadzili,
Saigremor każe w tejże chwili
I wraz podjeżdża, cały w zbroi
Tam, gdzie na błoniu rycerz stoi.
— Panie, — odzywa się doń grzecznie,
Król na dwór każe przyjść koniecznie!
A tamten nic nie odpowiada.
Saigremor znowu doń zagada,
A ten ni piśnie. — Ha! zawoła
Z gniewem: — na Piotra apostoła!
Siłą powiodę ja waszmości;
Już mi żal prośby i grzeczności,
Widzę, że była źle użyta.
Zaraz pochylił kopii drzewce,
Na lot pozwolił chorągiewce,
Porwał się pod nim koń z kopyta,
Na Percevala wprost pogonił.
Saigremor woła, by się bronił.
Perceval nań obraca oczy,
Widzi, jak pędzi, koniem toczy;
W swojej zadumie się owłada
I do natarcia kopię składa.
Wpadli na siebie jak dwa tury,
Broń Saigremora poszła w wióry;
Nie drgnęła kopia Percevala,
Tak silnie naparł przeciwnika
Że razem z koniem go obala....

Edward Porębowicz.

III. Quenes de Bethune.

I.

Miłość do śpiewu budzi mnie i nęci,
Gdym winien milczeć i w cieniu pozostać,
Boć i do pieśni odbiegły mnie chęci,
Gdy śpiewem ludziom nie zdołam już sprostać.

Francuzom nucić nie mogę dowoli:
Ganią me pieśni, iż obca w nich mowa;[1])
Wśród Szampańczyków złe wyrzekli słowa
I przed hrabiną, co najmocniej boli.

Czyliż przystało i samej królowej,
By z młodym królem w licznym dworzan tłumie,
O mojej pieśni sąd rzekła surowy?
Wszak każdy Francuz mój język zrozumie,
Więc nie jest pięknie, by skargi zawodził,
Gdy wtrącę słówko artezyjskiej mowy,
Jam ci się przecie w Pontoise nie rodził!

Boże! cóż czynić? Czyliż się odważę
Wprost o jej miłość najdroższą poprosić?
Przebóg, poproszę! Boć i zwyczaj każe,
Pragnąc co dostać, wprzód prośbę zanosić.
A jeśli serce zbyt śmiałym mnie czyni,
Niech pani moja, skoro ją obrażę,
Nie mnie biednego, ale miłość winí.

(T. Wodzicka[2]).

II.

Miłości moja! jakże się rozstanę
Z najlepszą, wyższą nad wszystkie istoty,
Jakie wżdy były czczone i kochane?
Niech Bóg się mojej zlituje tęsknoty
I tak połączy, jako dziś rozdziela!
Ale cóż mówię? Nic nas nie rozłączy:
Choć służba Boża ciało moje woła,
W sercu moc twoja nigdy się nie skończy.

Więc tęskny płynę w brzegi Palestyny,
Gdzie mej pomocy wzywa Bóg na niebie,
Gdyż nikt tej służbie nie chybi bez winy
I Bóg go w cięższej opuści potrzebie.
A niech wie dobrze i wielki i mały,
Iż tam rycerskie winien spełnić śluby,
Gdzie zdobyć może i niebo i chwałę,
I dzięk i sławę i miłość swej lubéj.

(T. Wodzicka).

[1]) Poeta ganiony był za swój dyalekt artezyjski przed Maryą, hrabiną Szampanii, wielką miłośniczką poezyi. Przymówka do królowej i młodego króla stosuje się do Alicyi, wdowy po Ludwiku VII, i do jej syna Filipa Augusta.

[2]) Przekłady Teresy Wodzickiej wzięte są z artykułu S. Karwowskiego: „Starofrancuska poezya miłosna“ (*Ateneum* 1893, t. III).

III.

Niejedna kibić zbroi w przepaski rzemienne,
Ale serce ma słabe, dla przyjaciół zmienne:
Temu łaski swe sypie, a za innym wzdycha,
Jednych trzyma i nęci, a drugich odpycha.

* * *

O! szalony i głupi, kto ku pięknej damie,
Stałości w jej kochaniu szukając, się zwróci;
Czy się piękna wystroi, czy rączki załamie,
Nieszczęsny jej kochanek tylko się zasmuci.
Gdyż biednemu się chłodnem milczeniem odpłaca,
A radość ma z niej bogacz, co jej miłość kłamie:
Miłość przeto jest niczem — ma nicości znamię,
Z nicości się poczyna i w nicość powraca.

(T. Wodzicka).

IV. Châtelain de Coucy.

Słodkiego głosu lotnego słowika
Słuchałbym dzisiaj całą noc, dzień cały:
On mi rozrzewnia serce i przenika,
Więc pragnę, by te śpiewy ciągle brzmiały.
Niech śpiewa, niechaj słuchać się pozwoli
Ta, której w hołdzie moje serce służy,
Gdy mię w swej służbie chce utrzymać dłużej,
Niech radość znajdzie w mojej dobrej woli.

Me serce nie zna fałszu ni płochości,
Acz to byłoby dla mnie lepiej może;
Jać hołdownikiem, sługą jej piękności,
Chociaż mych myśli snać jej nie otworzę.
Bo mnie jej krasa tak mocno zachwyca,
Iż w obecności jej wżdy tracę mowę,
Oczu nie wznoszę i opuszczam głowę
I nie śmiem patrzeć na jej szczere lica.

Tak stale serce moje u niej gości
Że innych myśli nie mam ni tajemnic;
Ów Trystan [1]), który pił napój miłości,
Zaiste wierniej nie kochał odemnie.
Bo w tem złożyłem wszystko, co mam zgoła,
Serce i rozum, żądze, nawet szały,

[1]) Trystan i Izolda pokochali się wzajemnie po wypiciu czarodziejskiego napoju. Nieszczęśliwa ich miłość, nie dająca się niczem przygłuszyć, była przez poetów średniowiecznych chętnie opiewana.

Jeszcze mię trwoży żywot krótkotrwały,
Że jéj miłości dość służyć nie zdoła.
Nie mówię tego, żebym szalał dla niéj,
Ni też, ażebym śmierci miał wyglądać;
Jednak piękniejszej w świecie od mej pani,
Ni mędrszej innej nie mógłbym pożądać.
Jam wdzięczny oczom, że mi ją wybrały:
Kiedym ją ujrzał w zakład dałem serce
I nie doznałem, by w uczuć rozterce
Rozerwać kiedy chciało węzel trwały.
Pieśni! w poselstwie dziś posyłam ciebie
Tam, dokąd sam ja pójść się nie ośmielę.
Niechaj tłum ciemny, co się w prochu grzebie,
Nie zgadnie nawet, jak zyskać w podziele
Miłości skarby: klątwa nad tą dolą!
Kochanek nieraz zyszcze gniew i szkodę,
Ja jednak z klęski mej ten zysk wywiodę,
Żem zniewolony iść za serca wolą.

(Bronisław Grabowski).

V. Teobald (Thibaut) król nawarski.

Moje strapienie i wielka tęsknota
Stąd idą, gdzie me myślenie zostało.
Wielka obawa moją duszą miota,
By w tych, co śliczne widzieli jej ciało,
Miłością ku niéj serce nie zawrzało.
Bóg ich nie kocha, mam to zapewnienie,
Dziwnaż, że takie przenoszę cierpienie!
Wszyscy zdumieni z westchnieniem pytają,
Gdzie Bóg odnalazł taki dziw urody?
Gdy ją pomieścił między ludzką zgrają,
Dał nam swej łaski niemałe dowody.
Blask nagły olśnił wsze ziemi narody,
Iż, jako wielkie jej wszystkie zalety,
Nikt wypowiedzieć nie zdoła, niestety!
Szczęście wytwarza szalone nadzieje,
Kochanek niemi cieszy się i poi;
Nadzieja znowu bóle w duszę leje.
Że ich uniknę, w zawziętości mojéj
Myślałem. Zda się, śmierć już przy mnie stoi.
Jednak złem nie jest pędzić życie w szale,
W zbytnim rozumie niema szczęścia wcale.
Znalazłby rozkosz w tej słodkiej niewoli,
Ktoby przywołał na myśl jej wspomnienie,
Bo ona wszystkim pomocą w złej doli,

Tym, którym niesie miłe pocieszenie.
Boże! jak ciężkie jest z nią rozłączenie!
Miłości! niechaj ona wie choć trocha,
Że nie zna szczęścia serce, co nie kocha.
Wspomnij, o pani, to słodkie przyjęcie,
Cel moich wielkich pragnień w dzień uroczy;
A jednak wtedy milczałem zawzięcie,
Nie patrząc na cię, opuściłem oczy,
Czułem, że jakaś siła usta tłoczy,
Nie mogłem wyrzec, co mam w sercu na dnie,
Aż żal mi tego.... stchórzyłem szkaradnie!
O pani! gdyby los dozwolił jeszcze
Pomówić z tobą, jakiejże wymowy
Złożyłbym dowód gorącemi słowy!
Wy do Raula, moje pieśni wieszcze,
Lećcie, niech wiernie cnej miłości służy
I jak ptak w gaju śpiewa nam najdłużéj.

(Bronisław Grabowski).

VI. Bajka (Fabliau) o kuropatwach.

Aczkolwiek bajki zazwyczaj prawię,
Jednak słuchajcie, proszę, ciekawie.
Prawdę poeta dzisiaj opowie.
Jak pewien wieśniak na ptaszym łowie
Dwie kuropatwy schwycił przypadkiem.
By się ucieszył jedzeniem rzadkiem,
Na ogniu piec je musiała żona:
Na takiej rzeczy znała się ona.
Dobywa rożna, ogień rozpala,
Mąż się tymczasem z domu oddala
Zaprosić księdza... niechaj się stawi
Zjeść dobry kąsek... Coś długo bawi.
Jedna i druga już upieczona,
Lecz gospodyni, wieśniaka żona,
Kawałek mięsa sobie odkrawa,
Bo kiedy Pan Bóg sposobność dawa,
Smacznego kąska skosztować miło.
Snać jej się dłużej czekać sprzykrzyło
Na swej łakomej żądzy spełnienie.
Jednak zostawia choć połowicę,
Wychodzi potem wnet na ulicę
Zobaczyć, czyli mąż nie powraca:
Lecz widzi, że to daremna praca,
Więc resztkę pilnie na rożnie piecze.
A na ten kąsek ślinka jej ciecze:
Na kuropatwę chciwie spoziera
I czuje, że w niej oskoma wzbiera.
Więc myśli sobie: „I tę zjem całą.
Gdy mię spytają, co się to stało,
Co odpowiedzieć — nie będę wcale
W kłopocie, prosto na koty zwale:
Odpędzam, ale trud to niemały:
Kociska ptaki mi rozerwały,
Każdy z nich uciekł z kawałem mięsa,
Iż nie zostało z ptaków ni kęsa“.
Znów na ulicę jejmość wybiega,
Lecz męża jakoś znów nie spostrzega.
Że nie powraca, niewielka bieda,
Tylko jej język spokoju nie da
I kuropatwa w myśli się kręci.
Że jeszcze jedna jest, ma w pamięci,
Przemódz nie zdoła żądzy szalonej:
Więc wraca do tej pozostawionej,
Z łaknieniem nie chcąc walczyć niesytem.
I z wielkim zjada ją apetytem.
„Stało się! Jakże tu począć sobie?

Wszystko zjedzone! Co ja tu zrobię?
Więc cóżem miała robić nieboga,
Kiedy mię żądza skusiła sroga?
Niech sobie będą swary i zwady,
Musiałam zjeść je, nie było rady".
W głowie tkwi babie kłopot niezbyty,
Lecz czuje, że ma żołądek syty.
Wtem wieśniak biegnie, co jeno zdoła,
Do izby wpada i głośno woła:
„No, kuropatwy czy już gotowe?"
„Ach! mężu — rzekła — strapienie nowe,
Bo niespodzianie koty je zjadły".
Wieśniak aż skoczy z gniewu pobladły,
Z wściekłości groźnie poczyna sapać,
Gotów swej żonie oczy wydrapać.
Wtem ona krzyczy: „To tylko żarty!
Niechaj je porwą wsze z piekła czarty!
By nie wystygły, stoją nakryte".
„To twoje szczęście, inaczej zbite
Miałabyś plecy". — „Ha, mój kochany,
Nie sierdź się... masz tu kubek drewniany;
Wiesz, jaka ze mnie jest gospodyni.
Bielutki obrus wyjmę ze skrzyni,
Usiądziem sobie w winnicy cieniu;
Tylko ten nóż twój ku naostrzeniu
Nieś do szlifierza, ale bezzwłocznie,
Bo z tępym nożem dyabeł co pocznie.
Niech go naostrzy na swym kamieniu".
Wieśniak wyskoczy wnet w oka mgnieniu,
W dłoni swej niesie nóż obnażony.
A wtem się zjawia ksiądz zaproszony,
Na kuropatwy łyka aż ślinę.
Przychodzi jejmość wkrótce, lecz minę
Ma niezbyt gęstą i niezbyt rada
Gościowi, więc mu wręcz tak powiada:
„O, panie! zmykaj, póki masz całą
Skórę, by ci się co nie dostało,
By ci bez mydła głowy nie zmyli:
Mój mąż na rynek pobiegł w tej chwili,
By naostrzyli mu nóż szlifierze,
Powiada, że wam gardziel podrzeże,
Skoro was w łapy swoje dostanie".
Ksiądz odpowiada: „O, Chryste Panie!
Co prawisz?... chyba bajki dla dziatwy?
Mąż mię zaprosił na kuropatwy,
Które dziś rano schwytał na półku".
A ona na to: „Miły księżulku!
Toć u mnie niema żadnego ptaka.
Żal mi byłoby was nieboraka,
Gdyby coś złego się przytrafiło.
Toż dziś widziałam — wspomnieć niemiło,
Jak nóż swój zaniósł na wyostrzenie".
„Ha! — ksiądz powiada — na me sumienie,
Widzę, że jejmość teraz nie kłamie".
Postał przez chwilę przy wiejskiej damie,
A potem nogi wziął za pas żwawo.
Wieśniaczka woła w lewo i w prawo:
„Chodźże, a chodźże, mężu mój miły!"
No, cóż tam?" pyta, biegnąc, co siły.
„Ha, co tam? Wnet się dowiesz wszystkiego.
Jeśli twe nogi szybko nie biegą,
Będziesz miał stratę zaraz gotową,
Bo uczciwości daję ci słowo,
Że ksiądz ci porwał dwie kuropatwy".
Tu nasz poczciwiec, w wierzeniu łatwy,
Co żywo rusza z nożem w swej dłoni
I wikarego ze wszech sił goni;
A gdy go zoczy, woła, co siły:
„Stój, nie uciekaj, księżulku miły!"
Choć się zadyszał, jednakże krzyczy:
„Nie wystudźże mi mojej zdobyczy.
To kradzież czysta, schwycę waspana.
Ładnego miałbym w tobie kompana,
Gdybyś zjadł oba ptaki bezemnie".
Ksiądz się ogląda wtył — niedaremnie
Wieśniak, co siły, wciąż za nim goni:
Ksiądz widzi, że nóż trzyma w swej dłoni,
Jeśli go schwyci, śmierć pewna czeka,
Więc, co nóg starczy, żwawo ucieka,
Wieśniak zaś myśli w najlepszej wierze,
Że gdy go złapie, ptaki odbierze.
Ksiądz, by uniknąć gwałtu i sromu,
Gdy dopadł izby, zamknął się w domu.
Powraca wieśniak do własnej chaty
I pyta żonę względem tej straty:
„Powiedz mi, proszę, żoneczko miła,
Jakim sposobem ptakiś straciła?"
A ta mu rzecze: „Świadczę się Bogiem!
Skoro ksiądz stanął za naszym progiem,
Zaraz mię prosił — w tem jest rzecz cała —
Bym kuropatwy mu pokazała,
Bo je obejrzeć chętka go bierze.
Więc ja, mniemając, że mówi szczerze,
Tam go prowadzę, gdzie są na stronie;

A on, że wolne miał obie dłonie,
W lot je pochwycił i dał drapaka.
Ja za nim... Darmo! biegł lotem ptaka.
Więc widzisz teraz, jak to się stało".
A wieśniak: „Prawdę poznaję całą:
Niech więc tak będzie, niema sposobu".
Tak więc wywiodła w pole ich obu —
Księdza i męża, co schwytał ptaki.
A z tej zaś bajki sens płynie taki:
Niewiasta z rodu do oszustw skora,
Kłamstwo jej prawdą — istna przekora —
A prawda to znów kłamstwo i zdrada.
Snać twórca baśni rzecz swą wykłada
Za długo, może nudzi troszeczkę.
O kuropatwach macie bajeczkę.

(Bronisław Grabowski).

VII. Jan Froissart.

Rondeaux.

1.

Odjeżdżam, lecz me serce przy tobie zostanie.
Pani moja! bądź zdrowa do mego powrotu!
Tęskne mi będzie w dali od ciebie mieszkanie.
Odjeżdżam, lecz me serce przy tobie zostanie.
Pani moja! bądź zdrowa do mego powrotu!
Słodka myśl każdej chwili osłodzi rozstanie.
Odjeżdżam, lecz me serce przy tobie zostanie.
Pani moja! bądź zdrowa do mego powrotu!

2.

Luby! bądź zdrów do chwili naszego widzenia!
Bodaj ta chwila prędko wróciła mi ciebie!
Wiernie i święcie spełnię dane przyrzeczenia.
Luby! bądź zdrów do chwili naszego widzenia!
Bodaj ta chwila prędko wróciła mi ciebie!
Gdyby chęć cię oglądać starczyło życzenia,
Trzydzieści razy w tydzień, widziałabym ciebie,
Lecz bezsilne tylko podnoszę westchnienia.
Luby! bądź zdrów do chwili naszego widzenia!
Bodaj ta chwila prędko wróciła mi ciebie!

3.

O miłości, miłości! Cóż uczynisz ze mną?
Mój wzrok w tobie zaufać, ni spocząć nie może,
Zdajesz mi się nieznaną, a sprawa twa ciemną,
O miłości, miłości! Cóż uczynisz ze mną?
Mój wzrok w tobie zaufać ni spocząć nie może!
Błagać, mówić lub milczeć — cóż lepiej pomoże?
Was pytam, którzy szczęścia znacie nić tajemną!
O miłości, miłości! Cóż uczynisz ze mną?

(T. Wodzicka).

VIII. Karol książę Orleański.

1.

Przez lasy żalów, przez nudów pustynie
Szedłem samotny, zbolały i smutny,
Aż raz spotkałem miłości boginię.
Wołała na mnie, pytając: gdzie idę?
A ja odparłem, iż mnię los okrutny
Oddawna wygnał w te dzikie bezdroża,
Żem jest jak człowiek, co bezmyślnie krąży
I zabłąkany sam nie wie, gdzie dąży.

Na to bogini z uśmiechem łaskawym
Odrzekła: Słuchaj! jeśli wiedzieć mogę,
Co cię pogrąża w udręczeniu łzawém,
Ile sił starczy, wesprę i pomogę.
Sama cię niegdyś przywiodłam na drogę
Wszelkich radości — któż cię z niej odwrócił?
Czemuż dziś jesteś jak człek, który krąży
I zabłąkany sam nie wie, gdzie dąży?

Niestety! rzekłem — wszechwładna bogini!
Na cóż mam mówić — toć sprawa ci znaną!
To śmierć, co wszystkim gwałt okrutny czyni,
I mnie wydarła istotę kochaną,
Co mi nadzieją była i świetlaną
Dróg przewodniczką w tej życia pustyni.
Przy niej nie byłem jak człek, który krąży
I zabłąkany sam nie wie, gdzie dąży.

A dziś jam ślepy i trafić nie mogę
I nie dbam dokąd — tylko kijem drogę
Przed sobą macam w tę lub ową stronę....
Biada mi, biada! że tak smutny krążę
I zabłąkany sam nie wiem, gdzie dążę!

(T. Wodzicka).

2.

O serce! dosyć już tobie
W ponurej drzemać żałobie;
Zbudź się! Pójdziemy do gaju
Rwać świeże gałązki maju,
Jak uczy obyczaj stary.
Tam ptasząt posłyszym gwary,
Brzmiące po gąszczach dąbrowy
W ten pierwszy ranek majowy.

Wszak gody w ten dzień radosny
Zwykł sprawiać bożek miłosny,
By czułe sług swoich serce
Uraczył, jako przystoi;
Więc drzewa w kwiaty im stroi,
Łąki w zielone kobierce,
Chce świat mieć w szacie godowéj
W ten pierwszy poranek majowy.

Wiem, serce, iż próżne trwogi
I żale obudzasz we mnie,
Gdy się oddalasz daremnie
Od lubej mojej niebogi.
Dziś słucham twojej przestrogi:
Ból w duszy kojąc tajemnie,
Idź pląsać w świeże dąbrowy
W ten pierwszy ranek majowy.

Przesyłka (Envoi).

Pani moja i myśli jedyna!
Czemże dla mnie jest jedna godzina?
Dni-by trzeba mi strawić tysiące,
By wyrazić uczucia gorące,
I żar mej męczarni sercowéj
W ten pierwszy poranek majowy.

(T. Wodzicka).

3. Rondeau.

Czas już nową szatę bierze,
Nie dmie, deszczem już nie rosi,
Lejąc blaski w hojnej mierze,
Słońce w górę bieg swój wznosi,
Każdy ptaszek, każde zwierzę
W swym języku radość głosi;
Czas już nową szatę bierze,
Nie dmie, deszczem już nie rosi.

W zdroju, w rzece i w jeziorze
Woda srebrną pianę nosi,
Świat weseli się dziś szczerze,
Odrodzenie wszystko głosi,
Czas już nową szatę bierze,
Nie dmie, deszczem już nie rosi.

(Bronisław Grabowski).

4. Piosnka.

Mały kupiec z małym koszem,
Lecz towarem się nie chwalę,
Nie do gustu jest wam, ale
Nie nagany chcę z mym koszem.
Zbieram sobie grosz za groszem,
Choć nie zyszczę skarbów wcale
Mały kupiec z małym koszem.

Trza pracować przez dzień biały,
Czasu szkoda na gawędę.
Moim handlem coś zdobędę,
A więc krzyczę z piersi całéj
Z małym koszem kupiec mały.

(Bronisław Grabowski).

5. Ballada. [1])

Stojąc jednego dnia nad morskim brzegiem,
W Dowrze, patrzyłem ku francuskiej stronie.
Przez myśl wspomnienia cisną się szeregiem
Rozkoszy, które tam żyły w mem łonie.
Westchnienie piersi rwie i serce płonie.
Jakąż sprawiało rozkosz niesłychaną
Patrzeć na Francyę, sercem ukochaną!

Poznałem, że to szalone zachcenie
Wstrzymywać westchnień tyle w sercu mojem;
Ach! gdybym wreszcie ujrzał choć błyśnienie
Przyszłości z tyle żądanym pokojem!
Dla mego ducha on pociechy zdrojem.
Rozkoszą serca jest niewyczerpaną
Patrzeć na Francyę, sercem ukochaną.

[1]) Napisana przez poetę w czasie pobytu w niewoli angielskiej (około r. 1435), gdy już poczynano mówić o pokoju pomiędzy Francyą i Anglią.

Wszystkie pragnienia me nadziei nawą
Puściłem z wodą, prosząc, by potoki
Morskie zaniosły je do Francyi żwawo,
Mówiąc jej o mej miłości głębokiéj.
Oby Bóg pokój wrócił bez odwłoki!
Wtedy radosne czucia w duszy wstaną,
Patrząc na Francyę, sercem ukochaną.
Pokój jest skarbem zbyt wielkiej korzyści;
Przeklętą wojnę mam dziś w nienawiści;
Przez nią na pewien czas mam zakazany
Widok mej Francyi, sercem ukochanéj.

(Bronisław Grabowski).

IX. Franciszek Villon.

1. Ballada „Epitaphe".[1])

Bracia w ludzkości, którzy po nas żyć będziecie,
Nie nieście nam serc twardych, jak odłam krzemienia;
Lecz, jeżeli litości dacie wonne kwiecie,
Bóg wam nie pożałuje łaski swojej tchnienia.
Spojrzcie!... nas pięciu, sześciu jarzmo opierścienia,
Ciało, pieszczone przedtem, pęka, trupieszeje,
Wymęczona kość nasza już próchnem bieleje,
Rozkładowych popiołów widać piętno sine — —
Z nieszczęść naszych, niedoli niech się nikt nie śmieje,
Lecz módlcie się do Boga, by przebaczył winę!

Wy — błagamy was, bracia! choć nam krtań przygniecie
Ręka sprawiedliwości — pogardy spojrzenia
Nie rzucajcie wy ku nam. Mało jest, wy wiecie,
Głów ludzkich, które silny umysł opromienia.
O! wstawcie się za nami, wy — serca z kamienia,
Do Syna Maryi Panny: niechaj rozpacz zwieje
I zdrój, niewyczerpany jeszcze, łask swych zleje,
Chroni gromu, co rzuca w potępień głębinę,
Zabija duszę, biorąc wszystkie jej nadzieje — —
Wy módlcie się do Boga, by przebaczył winę!

Rozmokliśmy od deszczów, jak zużyte śmiecie,
A słońce wysuszyło i w Negrów przemienia —
Wrony i kruki, dziobiąc, siadają na grzbiecie,
Drą oczy, szarpią brody, z brwi już niemasz cienia.

[1]) Wiersz ten napisał poeta w więzieniu, gdy za różne karygodne sprawki został skazany na powieszenie wespół z kilku towarzyszami; wyobraża w nim siebie już po wykonaniu wyroku.

Ach! myśmy nie zaznali ni chwili wytchnienia,
To tu, to tam nas targa wicher i szaleje,
W prawo rzuca i w lewo, i miota, i chwieje —
Zdziobani jak naparstek, żądni snu godzinę....
O, bracia! nie wstępujcie wy w nasze koleje,
Lecz módlcie się do Boga, by przebaczył winę!

O Jezu! moc którego nad światem widnieje,
Niech nad nami nie włada piekło, co goreje —
My rzucać się nie chcemy w zatraty krainę....
Nie szydźcie z nas, od szyderstw pierś zgnębiona mdleje,
Wy módlcie się do Boga, by przebaczył winę!

(K. Gliński).

2. Les dames du temps jadis[1]).

Powiedzcie, gdzie jest kraj i okolica,
Gdzie córa Romy żyła — piękna Flora?
Taida i jej cioteczna siostrzyca
Archipiadya, do miłości skora:
Gdzie echo, które bijąc w szmer jeziora,
Sławę ich wdzięków niosło za rzek brzegi,
Dzwoniąc każdego ranka i wieczora?...
Lecz gdzie są — pytam — zeszłoroczne śniegi?

Gdzie Heloiza mądra, co zachwyca
Wzrok Abelarda i serce, aż chora
Pierś skargą jękła, a ból i tęsknica
Wiodą go w mury cichego klasztora?
Gdzie jest władczyni do okrucieństw skora,
Na której rozkaz nad Sekwany brzegi
Buridan wiedzion wziął postać upiora?
Lecz gdzie są — pytam — zeszłoroczne śniegi?

Królowa Blanka miała lilii lica
I głos syreni, owych bóstw jeziora,
Stopiasta Berta, Allys i dziewica
Joanna dobra, której smutna pora
W Rouen nadeszła, gdy zawiści zmora
Stos udzierzgała w płomieniste ściegi —
Gdzie dziś jesteście, wy — władczynie wczora?
Lecz gdzie są — pytam — zeszłoroczne śniegi?

(K. Gliński).

[1]) Balladę tę wplótł Villon jako epizod w swój poemat większych rozmiarów, zatytułowany „Le grand testament". Wymienione w niej osobistości kobiece, mające dowodzić znikomości człowieka, są to albo heroiny poematów średniowiecznych, jak np. Berta „au grand pied", albo postacie historyczne, jak np. Joanna d'Arc i Heloiza, kochanka uczonego Abelarda, który prześladowany za swoje poglądy filozoficzno-teologiczne, zmuszony był usunąć się do klasztoru. Taida i Archipiadya — były to piękności greckie z czasów Peryklesa.

3. Wyjątek z „Wielkiego testamentu".

Żal mi was, czasy rozkosznej młodości,
Nikt jej nie widział tak rozpustnie złotą.
Aż się wsunąłem poza próg starości,
Kradnącej wszystko, co było pieszczotą.
Jam jej nie przebył konno ni piechotą —
A jak?... Niestety! Wśród szaleństw bezmiaru
Na lekkich skrzydłach wionęła — i oto
Żadnego nawet nie rzuciła daru.

Pierzchła — i dzisiaj wiodę żywot marny,
Z lichym rozsądkiem, biedoklep bez statku,
Smutny, zawiędły, jako Maur czarny,
Nie płacąc z renty żadnego podatku.
Najmniej — jest mojem!... Lecz w każdym wypadku—
Chyba nie chciałbym ująć prawdy w ręce —
Szczerze wam powiem: mego niedostatku
Przyczyną było: brak szczęścia — nic więcéj!

Gdyby... Hej! gdyby, mój ty dobry Boże,
Wstrętne mi nauk nie były mozoły,
Złym obyczajom nałożył obrożę:
Miałbym posłanie miękkie, dom wesoły — —
Ba! kiedym drapnął co chyżej ze szkoły,
Jak brzydki dzieciak, gdy się czegoś zlęknie.
Pisząc to, serce rwie mi się na poły
I w piersi biednej o mało nie pęknie.

(K. Gliński).

X. Farsa „Le maître Patelin".

Mistrz Piotr Patelin, adwokat bez klienteli, sprzykrzywszy sobie cierpkie wyrzuty żony Guillemetty, że jej nawet sukni sprawić nie może, oznajmia jej, że dziś jeszcze suknię mieć będzie, i wyszedłszy z domu, wstępuje pod pozorem pogawędki do sklepu sukiennika Joceaulme'a. Tu podczas rozmowy o zmarłym jego ojcu i ciotce, niby przypadkiem spostrzega sztukę sukna i zaczyna unosić się nad dobrocią wyrobu, napomyka nawet, że gotów byłby nabyć je na ubranie, bo o cenę mu nie chodzi, ale nie wziął z sobą pieniędzy, a zresztą dobrze jest być oszczędnym. Kupiec, znęcony nadzieją zysku, zachwala towar i oświadcza, że na zapłatę poczeka. Patelin nie może oprzeć się pokusie, bierze sześć łokci po dziewięć franków i odchodzi, zapraszając sukiennika, żeby dziś jeszcze przybył do niego na tuczoną gęś, to przy tej sposobności i należność swą odbierze. O wskazanym czasie sukiennik zjawia się w mieszkaniu Patelina i ku wielkiemu zdziwieniu dowiaduje się od jego żony, że jej mąż już od jedenastu tygodni leży chory. Nie chce wprawdzie temu dać wiary i ostro dopomina się swych pieniędzy, nie zważając na łzy i dąsy Guillemetty; gdy jednak złożony w łóżku Patelin, udając paroksyzm gorączki, zaczyna bredzić bez ładu różnymi językami, oszołomiony tem i zbity z tropu, przeprasza za swą napaść i odchodzi z niczem. Wkrótce potem do Patelina zgłasza się Agnelet, owczarz Joceaulme'a, z prośbą o poradę. Jest on oskarżony o to, że zarzynał sobie jego owce, pod pozorem, że są dotknięte mo-

tylicą, i zjadał je, wetując sobie w ten sposób lichą żywność i nicopłaconą służbę. Patelin radzi mu, żeby w sądzie na wszelkie pytania odpowiadał *bee*, naśladując beczenie owiec, on zaś sam przybędzie do sądu niby przypadkiem i pokieruje sprawą. Jakoż zjawia się u sędziego, gdy właśnie sprawa owczarza ma się rozpocząć.

Sędzia. Witaj, panie adwokacie!
Proszę zająć tu siedzenie.
Patelin. Wdzięcznym panu nieskoń-
[czenie
Za uprzejmość dla mnie taką.
Sędzia. Jeśli macie sprawę jaką,
Śpieszcie, bo się wnet wy-
[noszę.
Sukiennik. A ja pana sędzię proszę
O łaskawe poczekanie.
Aż obrońca mój tu stanie.
Coś go trochę zatrzymało.
Sędzia. Mam gdzieindziej spraw nie-
[mało!
Jeśli jest więc druga strona,
Sprawa będzie wnet są-
[dzona.
Czy pan jesteś pokrzy-
[wdzony?
Sukiennik. Tak.
Sędzia. — A gdzież jest oskarżony?
Czy we własnej jest osobie?
Sukiennik. Oto milcząc stoi sobie,
A co myśli, kto go zgadnie.
Sędzia. Więc gdy wszystko idzie
[składnie,
Proszę skargę wnieść nam
[swoją.
Sukiennik. Otóż tak tu rzeczy stoją,
Panie sędzio: Dla miłości
Pana Boga i z litości
Tego człeka dzieckiem
[małem
Przygarnąłem i chowałem.
A gdy zmężniał, ile trzeba,
Aby darmo nie jadł chleba,
Niech pracuje — myślę
[sobie, —
I pasterzem go swym robię,
Niechaj owiec mi doziera.
A ten nicpoń — prawda
[szczera —
Jak przed panem żyw tu
[stoję,
Jął zarzynać owce moje
I pożerać najzuchwalej.
Że doprawdy....
Sędzia. Mów pan dalej!
A zasługi czyś mu płacił?
Patelin. Tak! bo jeśli się bogacił.
Zatrzymując niegodziwie....
Sukiennik. Tak! to on jest! Niewąt-
[pliwie!
Świadczę się Najświętszą
[męką.
Sędzia. Coś tak twarz zasłonił ręką,
Panie Piotrze? Ząb dojmuje?
Patelin. Rzeczywiście, tak świdruje,
Aż się we mnie wściekłość
[warzy;
Nie śmiem w górę podnieść
[twarzy....
Ale proszę słuchać daléj.
Sędzia. Na cóż się więc powód żali?
Mów pan prosto i treściwie.
Sukiennik. Tak! to on jest, niewątpliwie
Rany Pańskie przenaj-
[słodsze!
Wszakżem sprzedał, Panie
[Piotrze,
Wam sześć łokci sukna
[przecie?
Sędzia. Co on tu o suknie plecie?
Patelin. Bałamuci. Snać przypuszcza,
Że swą sprawę nam wy-
[łuszcza,
Ale jakoś dziwnie plącze.
Sukiennik. Niech na stryczku życie
[skończę,
Jeśliś nie wziął sukna mego!
Patelin. O! patrzajcie ptaszka tego!
Jak zdaleka rzecz odsłania.
On chce dać nam do poznania,
Choć jest wielce podrażniony,
Że mój surdut jest zrobiony
Z wełny, którą — jak po-
[wiada —
Sprzedał owczarz z jego stada;

Mówi więc, że go obdziera
Pasterz, skoro mu zabiera
Wełnę z owiec.

Sukiennik. Niech mię [zgniecie
Bóg, gdyś nie wziął....

Sędzia. Znowu [plecie!
Czyliż w sposób odpowiedni
Nie potrafisz pan bez bredni
Mówić o swym interesie?

Patelin. Mimo bólu, śmiać mi chce się!
Tak mu się znąciło w głowie,
Że z pewnością nie odpowie,
Kiedy wszedł na ten ma- [nowiec.

Sędzia. Wróćmy tedy do tych owiec
Ileż było ich?

Sukiennik. Sześć łokci
Wziął po dziewięć franków.

Sędzia. Hola!
Czyśmy głupcy albo dzieci?
Co to roi się waszeci?

Patelin. On snać sobie wyobraża,
Że przed sobą ma owczarza.
Z głupia fraut! Słuchajmy [raczéj,
Jak przeciwnik się tłumaczy.

Sędzia. Masz pan słuszność. Żyją [wspólnie,
Więc się znają zobopólnie.
Chodź tu! gadaj!

Pasterz. Bee.

Sędzia. O zgrozo!
Co za bee? Czy jestem kozą?
Do mnie mów!

Pasterz. Bee.

Sędzia. Niech cię [czarty
Porwą sobie! Co to, żarty?

Patelin. Pewnie głupi, stiksowany,
Lub w nas widzi swe barany.

Sukiennik. A ja wciąż przy swojem [stoję,
Że to on wziął sukno moje.
O! pan sędzia nie wie o tem,
Jak podstępnym on obrotem...

Sędzia. Dość! Czyś waćpan niepo- [jętny?
Jest to szczegół obojętny,
Przejdź do rzeczy zasa- [dniczéj!

Sukiennik. Dobrze, gdy pan tego życzy,
I choć czuję pokrzywdzenie,
Więcej o niem nie nadmie- [nię.
Wszak podobno nie uciecze,
Co do czasu się odwlecze.
Więc pigułkę — trudna rada!
Przełknąć gładko mi wypada.
Lecz do rzeczy. Więc mó- [wiłem
O tem, panie, że straciłem
Ja sześć łokci — to jest, raczéj
Moje owce... pan wybaczy,
Że mój język tak się myli.
Ten szlachetny pan — ach! [czyli
Ten mój pastuch — chcę [powiedzieć,
Co miał przy mych owcach [siedzieć,
On obiecał mi, że w porę
Sześć talarów swych odbiorę
Gdy doń przyjdę.... Mówię [tedy,
Że trzy lata już, od kiedy
Ten mój pastuch był się [zgodził,
Że z owcami będzie chodził
I strzegł wiernie mej wła- [sności,
I utrzyma ją w całości
Bez mej krzywdy w swojej [pieczy.
A on teraz wręcz mi przeczy,
Że wziął sukno i z tej racji
Należności mi nie płaci.
Ach! co mówię? Panie Piotrze,
Chcę powiedzieć o tym łotrze,
Że pokrzywdził mię na [welnie,
Bo me owce, choć zupełnie
Zdrowe były, ciągle zgładzał,

Dużą pałką by rozsadzał,
Żeby zjadać pomaleńku.
A gdy sukno miał już w ręku,
Prosił, abym po dukaty
Zgłosił się do jego chaty.

Sędzia. Któż tu sensu się dobada
W tem, co waćpan opowiada?
Jedno z drugiem tak pan gmatwa,
Że zrozumieć — rzecz niełatwa.
To o suknie coś wspomina,
To o owcach rozpoczyna
I tak w kółko, po kolei.
Jedno z drugiem się nie klei.

Patelin. Ręczę, że za sługi pracę
Zatrzymywał sobie płacę.

Sukiennik. Przebóg! O tem milcz pan raczéj!
Moje sukno, wiesz, co znaczy!
A ja sam wiem lepiej przecie,
Niż kto inny, co mię gniecie.
A że masz je, mówię śmiało.

Sędzia. Ale co ma? co się stało?

Sukiennik. Nic już! Ale niech pan wierzy,
Że to szałbierz wśród szałbierzy.
Ha! już milczę.... I w tym względzie
Wzmianki więcej już nie będzie.

Sędzia. Dobrze! Proszęż się pilnować.
Teraz wnioski swe wyprowadź.

Patelin. Pasterz ten nie może zgoła
Powodowi stawiać czoła
Bez doradcy. Jest nieśmiały,
Czy też może sprawy całéj
Nie pojmuje. A więc panie,
Jeśli chcesz, na twe wezwanie,
Ja w obronie jego staję.

Sędzia. Chcesz go bronić? Mnie się zdaje,
Że tu próżno roisz sobie
Jakieś zyski.

Patelin. Ja to robię
Nie dla zysku — mówię szczerze —
Niech to przyjmie Bóg w ofierze!
Chciałbym tedy się dowiedzieć
Od biedaka, co powiedzieć
Mógłby on mi z swojej strony,
Nim przystąpię do obrony....
Przyjacielu! chodźno do mnie.
Gadaj!

Pasterz. Bee.

Patelin. Lecz mów przytomnie.
Co za bee? Na boskie rany!
Czy masz rozum pomięszany?
Sprawę swoją nam opowiedz.

Pasterz. Bee.

Patelin. Czyż słyszysz bek twych owiec?
Toż dla twego dobra. Gadaj,
Czy rozumiesz?

Pasterz. Bee

Patelin. Powiadaj.
Tak lub nie — aż do ostatku.
Lecz mów wszystko. Powiesz, bratku?

Pasterz. Bee.

Patelin. Ha! Tego idyotę
Można tylko przez głupotę
W sądzie skarżyć, procesować.
Wracaj owiec swych pilnować!
Panie sędzio! to idyota.

Sukiennik. Co?! O Boże! Ten niecnota
Mędrszy jest, niż pan dobrodziéj!

Patelin. Niechaj owce pasać chodzi
I niech więcej tu nie bywa.
Czart niech porwie, kto pozywa
Takich głupców! To niegodnie!

Sukiennik. Więc odejdzież on swobodnie
Wprzód, nim będę wysłuchany?

Patelin. Tak, dalipan! bo obrany
Jest z rozumu.

Sukiennik. Ależ, panie!
Niech wypowiem swe żądanie,

Proszę dać mi przyjść do słowa!
To nie sprzeczka bezcelowa,
Ani żadne jakieś drwiny!
Sędzia. Wszystko to czcze gadaniny
Procesować się z głupcami.
Pomyśl tylko: frazesami
Sąd zajmować się nie będzie.
Sukiennik. Więc w tej sprawie nie zasiędzie
Po raz drugi?
Sędzia. Co takiego?!
Patelin. Po raz drugi?... Nie! więcej
Głupca nigdzie nie znajdziecie:
Głupio czyni, głupstwa plecie,
Ja za szeląg go nie kupię.
Obaj mają łbiska głupie!
(Edw. Grabowski).

Kupiec zostaje ze swą skargą oddalony, a przebiegły owczarz, który tak dobrze udawał idyotę, gdy się do niego zwraca Patelin z żądaniem nagrody, odpowiada mu szyderczem *bee*, przetrzymuje obojętnie jego prośby i groźby i zmusza go wreszcie do przyznania się, że znalazł ucznia, który przeszedł swojego mistrza.

IV. Poezya włoska.

I. Św. Franciszek z Asyżu.

Hymn stworzenia czyli o Bracie słońcu.

O Wszechmogący, dobry gospodynie!
Błogosławieństwo, chwała, cześć we wszystkiem
Tobie jednemu, bo od Ciebie płynie —
I człek niegodzien nazwać cię nazwiskiem.
Chwała bądź Panu z tworów Jego likiem,
Szczególnie z bratem Słońcem, co obdarza
Dzionkiem nas, świeci swym własnym promykiem,
Jasno-promienne, Boga wyobraża.
Chwała Ci! siostrze księżycowi gwoli
I chwała gwoli tym gwiazdom na niebie,
Któreś rozsypał, jak ziarnka na roli,
Czyste, świetlane, by patrzyły w Ciebie.
Chwała bądź Panu gwoli Wiatru bratu,
Gwoli powietrzu, chmurom i pogodzie,
By świat wilżyły i wiały po światu,
Ku Twoich stworzeń dobru i wygodzie.
Chwała bądź Panu przez wodę siostrzycę,
Czy źródła, rzeki napełnia, czy morze —
Wszak pożyteczna i czyste ma lice
I zawsze nizko ściele się w pokorze.

Chwała ci Panie w bracie Ogniu, którym
Przyświecasz mrokom i nocom ponurym,
O jak wesoło skrzą się jego głownie!
W pożarze tylko straszny niewymownie.

Chwała bądź Panu gwoli matce Ziemi,
Ona nas żywi i dźwiga na grzbiecie,
Wiosną się stroi kwiatami barwnemi,
Owoc w jesieni nam daje i w lecie.

Chwała bądź Panu, chwała w tych, co mogą
Przebaczać krzywdy dla miłości bożéj —
Cierpliwie w życiu iść krzyżową drogą:
Błogosławieni, którzy cierpieć mogą,
Pan im zbawienia wieniec na skroń włoży.

Chwała bądź Panu i w tej siostrze naszéj,
Śmierci cielesnej, co nieunikniona —
A biada temu, który w grzechu skona,
A błogo temu, kto wolą Twą kona,
Bowiem śmierć druga już go nie przestraszy.

Niechże cześć, chwała będzie Panu dana;
Pełńcie w pokorze służbę wedle Pana.

(L. Siemieński).

II. Dante Alighieri.

1. Z „Vita nuova“ (Nowe życie).

a) Sonet 9.

Nieraz, gdy żal mi mojej zbladłej twarzy,
Której kochanie pozór śmierci dawa,
Pytam, sarkając na te dziwne prawa:
Komu drugiemu to, co mnie, się zdarzy?

Gdyż tak mię gnębi w swej wszechmocy wrażéj
Miłość, że zda się, już mi dusza zdawa
Z ciała się wymknie; wtem — czy sen czy jawa —
Myśl o mej pani znów mię życiem darzy.

Więc choć wiem z góry, że to czyn od rzeczy:
Zbolały, trwożny, dążę przez katusze
W nią spojrzeć, sądząc, że mię to uleczy.

Lecz kiedy ku niej wznieść się wzrok mój zmuszę,
Tak dziwne drżenie drętwi byt mój człowieczy,
Że znów mi z ciała coś wypłasza duszę.

(F. Faleński).

b) Sonet 15.

Tak dziwnie wdzięczną i tak skromną bywa
Panienka moja, gdy pozdrawia kogo,
Że usta drżące znaleść słów nie mogą,
Wzrok zaś olśniony nią jest aż do żywa.

Choć wie, że zewsząd cześć ją wielbi tkliwa,
W prostocie duszy kroczy w świat swą drogą,
Rzekłbyś: na ziemię z niebios w chwilę błogą
Spłynęły jakieś niepojęte dziwa.

I wszystkim, którzy patrzą w nią, przyjazna,
Tak silną słodycz w serce śle przez oczy,
Jakiej nie pojmie nikt, kto jej nie zazna.

Gdyż z ust przetwartych pani tej uroczéj
Coś tak Miłości słodkiej tchnie rozkosze,
Że wręcz do duszy mówi: Wzdychaj, proszę.

(F. Faleński).

2. BOSKA KOMEDYA.

a) Część pierwsza. — Piekło [1]).

Dante, przebiegłszy połowę drogi żywota ludzkiego, znalazł się, nie wiedzieć jak — w strasznym lesie, z którego gdy chciał wydostać się na górę, której wierzchołek jaśniał promieniami światła, stanęła mu na przeszkodzie najprzód pantera, później lew, wreszcie wilczyca. Na widok ostatniej Dante miał się już cofnąć, gdy wtem ujrzał przed sobą ducha Wergiliusza. Ten oznajmił mu, że na życzenie Beatryczy przybył mu na ratunek i dla jego dobra ma go oprowadzić po Piekle i Czyscu; jeżeli zaś zechce wznieść się aż do przybytku zbawionych, znajdzie innego przewodnika w osobie Beatryczy. Dante zgadza się na odbycie pouczającej wędrówki i w towarzystwie Wergiliusza staje przed bramą piekielną.

„Przezemnie droga do boleści grodu,
Przezemnie droga na wieczyste męki;
Do zgubionego nazawsze narodu.
Sprawiedliwości mego Stwórcy dzięki,
Ugruntowana przez moc boską w bycie,
Wyszłam z Mądrości i Miłości ręki.
Przedemną żadne nie wszczęło się życie,
Prócz odwiecznego — i ja wiecznie stoję.
Rzućcie nadzieję, wy, co tu wchodzicie!“
Te słowa oczy napotkały moje
Na szczycie bramy, ciemną barwą znaczne,
Gdyśmy przed straszne nadeszli podwoje.

[1]) Piekło wyobraża sobie poeta jako lejkowatą otchłań, której wierzchołek znajduje się w środku ziemi, podstawę zaś stanowi jej powierzchnia. Otchłań ta podzielona jest na dziewięć kręgów, a z nich niektóre składają się jeszcze z kilku obrębów. Im niższy krąg, tem węższy, ale za to tem sroższe w nim męczarnie. Pierwszy krąg stanowi właściwie przedpiekle.

Więc przerażony naraz mówić zacznę:
Mistrzu! dlaczego owe słowa ciemne
Takie mnie myśli przywodzą rozpaczne?
Na to on, rzeczy znający tajemne,
Rzekł: „Tu należy pożegnać się z trwogą,
Tu zamrzeć winno wszystko, co nikczemne.
Idziemy bowiem tą, com mówił, drogą,
Gdzie masz zobaczyć, jako cierpią oni,
Co utracili ducha jasność błogą".
To mówiąc, dłoń swą kładzie na mej dłoni
I pogodnemi krzepiąc spojrzeniami,
Do tajemniczej wprowadził mnie toni.
Tu[1]) płacz, wzdychania, z głośnemi jękami
Płyną w przestrzeni bez gwiazd, pełnej cienia,
Tak, że je słysząc, załałem się łzami.
Różne języki, mowy, złorzeczenia,
Słowa boleści, gniewu krzyk szalony,
Zmieszane głosy, rąk klaszczących brzmienia,
Sprawiały wrzawę, co na wszystkie strony
Wciąż się w powietrzu tem zmartwiałem kręci,
Jak piasek wirem wichru uniesiony.
A ja bez myśli stojąc i pamięci,
Rzekłem: Cóż to jest, co słyszę struchlały?
Co to za ludzie, takim bólem zdjęci?
A mistrz odpowie: „Taki los dostały
W udziale dusze smutne i mizerne
Tych, co bez hańby żyli i bez chwały;
Przyszły tu między anioły niewierne,
Które się przeciw Bogu nie zwróciły
I nie szły za Nim — lecz zostały bierne.
Wygnane z niebios, których piękność ćmiły;
Piekło nie chciało przyjąć w swe otchłanie,
Bo z nich źli chluby nie mają ni siły".
A ja znów: Co tak strasznego w ich stanie,
Że taką burzę podnoszą żałości?
Mistrz odrzekł: „Krótko odpowiem: ich trwanie
Tyle jest marne i pełne podłości,
Że łaknąc próżno śmierci, co wyzwala[2]),
Każdy z nich losu innego zazdrości.
Ich smutna sława po ziemi się wala,
Przez sprawiedliwość i litość wzgardzona;
Dość mówić o nich, patrz i mijaj zdala".

---

[1]) Tu — to jest: za bramą piekielną. W miejscu tem przebywają dusze tych, którzy za życia nie zasłużyli ani na zbawienie ani na potępienie. Są to istoty bez żadnej wartości, a symbolem ich — chorągiew ciągle się obracająca z powiewem wiatru.

[2]) Śmierci duszy, któraby położyła kres ich udręczeniu.

Patrzę i widzę, jak wirem niesiona
Wielka chorągiew, wciąż się kręcąc, biegła,
Niegodna swoje rozwinąć ramiona:
A za nią ludu ciżba tak rozległa,
Iż mi uwierzyć było rzeczą nową,
Że taka liczba śmiercią już poległa.
Gdy rozpoznałem postać tę i ową,
Dostrzegłem także tego cień nieśmiały,
Co przez nikczemność splamił się odmową [1]).
Pojąłem zaraz, że ten orszak cały
Składał się z grzesznych, co Bogu niemili
Również niemili wrogom jego chwały.
Tych nieszczęśliwych, co nigdy nie żyli,
Tu obnażonych kłuły straszne roje
Os i komarów, aż się krwią broczyli
I z krwią łzy razem przelewali swoje,
Co tak zmieszane z pod ich nogi chciwie
Wstrętnych robaków połykały zwoje.
Potem, gdy dalej spoglądam w podziwie,
Tłumy nad brzegiem wielkiej widząc fali,
Mistrzu — zapytam nieco niecierpliwie —
Co to za jedni? i co ich tak pali,
Że się z pośpiechem cisną do przeprawy [2]),
Jakto w mdłem świetle poznaję w oddali.
A on: „Wiadome będą ci te sprawy,
Kiedy już nasze zatrzymamy kroki
Nad Acheronu brzegiem smutnej sławy".
Spuściwszy oczy, zamilkłem bez zwłoki:
Trwożny, czy mową przykrości nie czynię,
Do brzegu szedłem w zadumie głębokiéj.
A oto ku nam po wodnej głębinie
Starzec [3]), którego kudły ubielone
Siwizną wieków, na łodzi podpłynie,
Wołając: „Biada! duchy potępione!
Już nigdy niebios widzieć nie będziecie!
Ja was przybywam wieźć na drugą stronę,
Gdzie między wieczne ciemności pójdziecie,
W wieczyste żary i wieczyste lody!
Ty zaś, żyjąca duszo [4]), odejdź przecie
Od tych umarłych i od owej wody".
Lecz widząc, że się nie ruszam — znów rzecze:
„Przez inne drogi, przez inne przechody.

[1]) Ma to być według komentatorów cień papieża Celestyna V, który wkrótce po swoim obiorze zrzekł się władzy papieskiej i przyczynił się w ten sposób do wyniesienia na stolicę apostolską Bonifacego VIII.

[2]) Przez rzekę Acheron, za którą rozpoczyna się właściwe piekło.

[3]) Charon, przewoźnik na Acheronie: postać wzięta z mitologii greckiej.

[4]) Charon mówi to do Dantego.

Do innych brzegów przybędziesz, człowiecze;
Łżejsza łódź w innej przeprawi cię porze".
Wtedy mistrz, swoją rozciągnąwszy pieczę:
„Charonie! — rzecze — tak chce Ten, co może
Wszystko, co zechce. A więc uchyl czoła,
Nie pytaj więcej i nie trwaj w oporze".
Poczem się zaraz uciszyły zgoła
Wełniste szczęki sternika otchłani,
Który w swych oczach miał płomienne koła.
Lecz nagim, drżącym duszyczkom w przystani
Odrazu przestrach odjął barwę z liców —
Zębami zgrzytać zaczęli skazani
I przeklinali Boga, swych rodziców,
Ród ludzki, miejsce i czas i nasienie
Swego nasienia i jego dziedziców.
Potem zaś wszyscy, płacząc nieskończenie,
Zbiegli się razem nad straszne wybrzeże,
Gdzie dla bezbożnych wspólne przeznaczenie.
Charon ich zaraz płomiennem dostrzeże
Okiem i wiosłem powolnych okłada,
Aż ich tak wszystkich do siebie zabierze.
Jako jesienią liść za liściem spada,
Aż w końcu gałąź pozostanie czarną,
Oddawszy plon swój ziemi — choć nie rada,
Podobnie tutaj złe Adama ziarno
Rzuca się z brzegu, jedno drugie goni,
Jak ptaki, co się do odlotu garną.
I tak wędrują po brunatnej toni;
A zanim jedno stąd odejdzie mrowie,
Znów nowy szereg stamtąd się wyłoni.
„Synu mój — do mnie mistrz uprzejmy powie —
Ci, co w niełasce umierają bożéj,
Wszystkich stron świata schodzą tu synowie!
I owe wody przebywać są skorzy,
Bo sprawiedliwość tak ich prze surowa,
Że pragną właśnie tego, co ich trwoży.
Dobry duch tutaj, to rzecz całkiem nowa:
Więc przeto Charon z gniewem cię wspomina,
Lecz ty już poznasz, jak brzmi jego mowa".
Skończył, a cała przeklęta kraina
Tak się trząść zacznie, że dziś jeszcze z trwogi,
Gdy wspomnę, dreszcz mię przechodzić zaczyna.
I z tej łez ziemi wicher wyszedł srogi
I blask rozniecił ohydny, czerwony,
Co wszystkie czucia odjął mi wśród drogi,
Żem padł, jak człowiek, od snu zwyciężony.

(A. Asnyk).

Za Acheronem, w pierwszym kręgu właściwego piekła, mają swe siedliska dusze tych pogan i niewiernych, których jedyną winą jest to, że nie znali prawdziwego Boga; to też nie znoszą one żadnych męczarni, ale trawią czas w wiecznej tęsknocie i smutku. Dante spotyka tu między innemi wielu starożytnych poetów (Homera, Horacyusza, Lukana) i mędrców (Arystotelesa, Platona, Sokratesa), oraz niektórych średniowiecznych mahometan (Awerroesa, Saladyna); tutaj przebywa i Wergiliusz. W drugim kręgu Minos słucha spowiedzi potępieńców i wskazuje im odpowiednie miejsce kary. Krąg ten jest zarazem miejscem potępienia tych, co grzeszyli występną miłością.

Tu jął mi drętwieć słuch od narzekania,
Gdyż tam już byłem, kędy za pokutę
Topią się dusze w łzy i gorzkie łkania.
Miejsce to z wszelkich światła łun wyzute,
Grzmi, niby morze w nocy bez miesiąca,
Gdy je w sprzecznościach szarpią wichry lute.
Zamieć tu, nigdy nie spoczywająca,
Porwane znagła duchów złych tułowy
Udręcza, miota, kręci i roztrąca.
Gdy je w swe szpony schwyci prąd takowy,
Zgrzytają, płaczą, krzyczą i zuchwali
Lżą Łaskę Boską bluźnierczemi słowy!
Słyszę: są słusznie na tej wichrów fali
Targani w wieczność ludzie grzeszni ciałem,
Co władzy zmysłów rozum swój oddali.
Jako lecących w zimny czas widziałem
Tłumny i zwarty szpaków obłok szary;
Tak i tu z tchnieniem tem zapamiętałem
W dół, w górę, w boki pędzą grzeszne mary,
Tylko nadziei żadnej mieć nie mogą,
Ani spoczynku, ni zmniejszenia kary.

W tłumie tych potępieńców Wergiliusz wskazuje Dantemu Semiramidę, Dydonę, Helenę, Achillesa, Parysa.

Więc rzeknę: Mistrzu! spraw mi to przez Boga,
Bym mógł z tą parą mówić, w jedno zwianą,
Którą tak lekko własna niesie trwoga.
A on mi: „Upatrz czas, gdy wiatru zmianą
Ku nam podpłyną; wtedy te dwie dusze
W imię ich smutków zaklnij, a przystaną“.
Otóż gdy ku mnie pomkną w zawierusze,
Wołam: — O biedni! zniżcie lot sokoli,
Jeśli was tylko nie wbrew Boga kuszę!
Jak dwa gołębie, kiedy je zespoli
Miłość, w słodkiego gniazda swego puchy
Lecą na skrzydłach jednej wspólnej woli;
Tak od Dydony grona te dwa duchy
Spłynęły ku nam z chmur, gdzie wicher siecze; —
Tyle w mej prośbie było snać otuchy.

— „O współczujący! o ty dobry człecze!
Coś zszedł w kraj nędzy w sposób tajemniczy
Nas widzieć, których krwią spłynęły miecze, —
Gdyby nam Łaskę mieć, jak serce życzy,
Bóg by cię wiecznie wspomógł najłaskawiéj
Za to, że litość naszych masz goryczy.
Cobądź powiedzieć chcesz lub znać, my łzawi
Słuchać i mówić będziem przez tę chwilę,
Gdy wiatr, jak teraz, błogą ciszę sprawi.
Jest u zatoki kraj, gdziem w blasku sile
Ujrzała słońce[1]). Dąży Po w tę stronę,
By w morzu spocząć, jak strug innych tyle.
Miłość, co żarem w serca tchnie stęsknione,
Tego tu przy mnie wdzięków mych promieni
Zażegła czarem — z czego wstydem płonę.
Miłość, co serca wzajemnością żeni,
Tak mię uczuciem jego tem wytrwałem
Zdobyła, żeśmy dotąd — patrz — złączeni!
Miłość nas wspólnym w śmierć popchnęła szałem!
Kain ma tego wziąć, co wziął nam życie[2])...“
Takie to słowa z ust jej usłyszałem.
Wtem, gdy umilkła — o! wszak uwierzycie?
W dół mi na długo twarz opadła blada,
Tak, że Mistrz spytał: „O czem dumasz skrycie?“
Gdym mu odpowiedź dał, tom rzekł: O biada!
Ileż błądzeniem tem ich współtułaczem
Marzeń i słodkich żądz się tu spowiada!
Zaczem się znowu ku nim zwrócę, zaczem
Rzeknę: Franczesko! patrz, jam bratem tobie
Współczuciem nędzy twej i gorzkim płaczem.
Lecz powiedz, proszę, w słodkich westchnień dobie
Jak wam i kiedy wstrzęgła poniewoli
Z bezwiedzy wiedza uczuć w dusze obie?
A ona do mnie: „Niema sroższej doli,
Jak gdy chwil błogich człek wspomnienie chowa
W swej nędzy! Mistrz twój wie sam, jak to boli.
Lecz gdy gorąco poznać chcesz, jak owa
Miłość nas wzięła w swoją siatkę złotą,
Zrobię jak ten, co wkłada płacz w swe słowa.
Raz dla rozrywki, gdy czytamy oto
Lancillotowych walk serdecznych śluby[3]),
Samiśmy byli z naszych dusz prostotą.

---

[1]) Jest to Franciszka, córka Gwidona da Polenta, władcy Ravenny, poślubiona podstępnie Lanciottowi Malatescie di Rimini. Nie kochając męża, oddała swe serce bratu jego, Pawłowi, i razem z nim została przez Lanciotta zamordowana. W piekle oboje kochankowie nierozdzielnie ponoszą karę.

[2]) To jest: Lanciotto dostanie się do najniższego kręgu piekła, zwanego Kainą i przeznaczonego dla bratobójców.

[3]) Lancelot du Lac, jeden z rycerzy Okrągłego stołu, był bohaterem romansu rycerskiego, bardzo w wiekach średnich poczytnego.

Nieraz się oczy nasze przy tej lubéj
Księdze spotkały, krwią nam barwiąc lica,
Aż nas ten ustęp wreszcie pchnął do zguby:
Gdy było, jak on z lubej ust pochwyca
Uśmiech i jak go pocałunkiem pali, —
Ten, z którym wieczna łączy mię tęsknica,
Ust moich dotknął, drżąc, jak liść na fali....
Tej księgi sprawca był nam złym aniołem
Jużeśmy więcej w dniu tym nie czytali".
Gdy te tej biednej słowa w serce wziąłem,
Jej wspólnik tonął w łzach, a mnie się zdało,
Że przez współczucie umrę z nimi społem.
I padłem tak, jak pada martwe ciało.

(F. Faleński).

W trzecim kręgu pod strażą Cerbera dręczą się w cuchnącem błocie obżartuchy; jeden z nich, Florentczyk Ciacco (Wieprzek) przepowiada Dantemu upadek stronnictwa Białych i wygnanie poety z rodzinnego miasta. W czwartym, nad którym straż ma Plutus, skąpcy i rozrzutnicy, tocząc ogromne ciężary, z wyciem i łajaniem ustawicznie uderzają na siebie. W piątym kręgu ponoszą karę popędliwi: zanurzeni we wrzących nurtach bagnistego Styksu, biją się zawzięcie głowami, rękami, nogami i zębami się gryzą. Przeprawiwszy się przez Styks w łódce Flegiasza, dostaje się Dante ze swoim przewodnikiem do warownego grodu — Dite, stanowiącego szósty krąg piekielny. Tu w rozpalonych grobach dręczą się kacerze, a pomiędzy niemi znajduje się Cavalcante Cavalcanti, ojciec Gwidona Cavalcanti, poety i przyjaciela Dantego, cesarz Fryderyk II. i papież Atanazy II. — Trzy ostatnie kręgi składają dolne piekło i przeznaczone są dla potępieńców, których grzechy były wynikiem nie słabości woli (jak ofiar górnego piekła), ale złej woli. U wnijścia do siódmego kręgu trzyma straż Minotaurus, symbol ślepego gniewu. Tu w potoku wrzącej krwi nurzają się tyranowie i mordercy — Dyonizy, tyran syrakuzański, Ezzelino da Romano, namiestnik cesarski w marchii trewizańskiej, Gwido z Monfortu, zabójca angielskiego księcia Henryka, Atyla, król Hunów, i inni. Centaur Nessus przenosi Dantego i Wergiliusza na drugą stronę krwawej toni, do miejsca kary samobójców.

Jeszcze był Nessus nie zszedł w swe parowy,
Gdy nam bór gęsty najniemiłosierniéj
Wszelkiego przejścia wzbronił. W puszczy owéj
Liść nie zielony jest, lecz rdzą się czerni,
Gałęzie w szorstkie ciernie się plątały
I zamiast jabłek jad tam ściekał z cierni.
Tak dzikiej kniei nie zna zwierz zuchwały,
Wróg żyznych błoni, tam, gdzie wód Cecliny
Oraz Corneta szumią wzdęte wały[1]).
W niej Harpie siedzą, których zastęp siny
Trojan ze Strofad gnał, i pomsty wraże
Wieszcząc, klęsk pełne wróżył im godziny.
Skrzydlate widma, ludzkie mając twarze,
U palców szpony, brzuch obrosły w pierze,
Wśród drzew tych dziwnych jęczą w smutnej gwarze.

[1]) Cecina rzeka w Toskanii, Corneto w państwie papieskiem.

W lesie tym, rozbrzmiewającym tajemniczemi jękami, Dante na rozkaz swego mistrza, zrywa gałązkę z ciernia

Wtem z pnia w owej chwili
Głos wyszedł: „Czemu dłoń mię twoja łamie?“
I zaraz zczerniał krwią i znowu kwili:
„Czemu dotkliwe sprawiasz mi katusze?
Czyż cię litości ludzie nie uczyli?
Człek byłem, chociaż drzewem dziś być muszę.
Więc miej współczucie, choćbyś pod tą zmianą
Złej żmii nawet odkrył we mnie duszę“.
Jak jednym końcem pełnięte w żar polano
W drugim na srogie skarżąc się opały,
Wilgocią broczy żywcem przypiekaną, —
Tak z pnia owego słowa z krwią spływały.
Więc upuściwszy z rąk tę gałąź, stoję,
Milcząc, jak człowiek czynić zwykł struchlały.
Rzekł doń mój mędrzec: „Stąd są mąk twych znoje,
Iż ten tu zgrzeszył w ciekawości szale,
Gdyż mu zagadką były słowa moje[1]).
I byłby nie tknął twoich członków, ale
Chciałem, by sam on rzecz tę niesłychaną
Zbadał — a teraz mam stąd cierpkie żale.
Lecz za twą krzywdę, niechbyś mu twe miano
Rzekł, a on chętnie pamięć twą odświeży
Tam, gdzie mu wkrótce wrócić będzie dano“.
A tamten: „Za twą dobroć, jak najszczerzéj
Wyznam, kto jestem i niech wzięty w łyka
Współczucia ulgę z waszych mam przymierzy.
Jam ów, co zdobył w serce Fryderyka
Klucz wszechpotężny, który w swym zaszczycie
To je odmyka, to, gdy chce, zamyka,
Iżby nikt nigdy nie mógł wejść w nie skrycie.
W to zaś tak wielka była moja wiara,
Żem wreszcie od niej stracił zmysł i życie[2]);
Gdyż znagła zawiść, która w dwór cezara
Utkwiony wiecznie wzrok ma, tchem z płomieni
Ku zgubie mojej, bezwstydnica stara,
Zażegła wszystkich, ci zaś rozognieni
Tak jęli dmuchać w pańskich łask objawy,
Iż mi wybrańtwo wnet we wstręt się zmieni.
Wtedy mój umysł wzgardą owej sprawy
Pogardę życia czerpiąc z mych boleści,
Znieprawił we mnie to, iż byłem prawy.

[1]) To jest: Doradziłem Dantemu, ażeby się przekonał, że nie jest zmyśleniem to, co w swojej „Eneidzie“ (ks. VI), mówię o męczarniach w Erebie.

[2]) Jest to Piotr de Vineis, poeta, kanclerz i ulubieniec cesarza Fryderyka II. Oskarżony przez zazdrosnych o zdradę, gdy mu za to wyłupiono oczy, z rozpaczy rozbił sobie głowę o mur więzienny w 1249 r. Dwa klucze oznaczają łaskę i niełaskę cesarską, któremi Piotr według swojej woli szafował.

Przez liść ten, który z członków mych szeleści,
Klnę się, iż nigdy wiary nie złamałem
Panu, godnemu owszem wszelkiej cześci!
Ktobądź z was na świat wróci, sercem całem
Błagam, niech kilka dobrych słów poświęci
Sławie, poległej nędznych złości szałem".
Staliśmy chwilę, tkliwym smutkiem zdjęci.
W tem Pieśniarz: „Mów z nim. Niech on w dalszem słowie
Uczyni zadość twej tajemnej chęci".
A ja: Ty sam go pytaj. Niech ci powie
To, czembym pewność zdobył w mym umyśle,
Gdyż ja nie mogę, cierpiąc grozy mrowie.
Wtedy On k' niemu: „Człek ten spełni ściśle,
O co go prosisz; lecz znów ty w zamianie
Powiedz mu: co się stawa, gdy Bóg wyśle
Grzesznego ducha w owych pęt skaranie?
I także — gdybyś mógł — czy nieskończenie
Trwać to ma, czy też kiedy być przestanie?"
Wtedy pień ciężko westchnął — to zaś tchnienie
Głosem się ludzkim wreszcie tak odzywa:
„W słowach ja krótkich z wami myśl wymienię.
Gdy z ciała dusza wyszła już wstrętliwa,
Śmierć mu zadawszy własną zdradą czarną,
Minos w siódmego kręgu śle ją dziwa.
Więc tu, choć zewsząd gąszcze ją ogarną,
W czas jakiś puszcza kieł, jak czyni w wiośnie
Na chybił trafił w smug rzucone ziarno.
Potem się zwolna w drzewny pień rozrośnie —
I wtedy Harpie wciąż z niej — jak widzicie —
Liść objadając, wciąż ją dręczą sprośnie.
Dawne nam ciało wróci w przyszłym bycie[1]),
Lecz nie na długo, gdyż to być nie może,
By człek miał żywem to, w czem zabił życie.
U drzewa swego każdy, w to bezdroże
Znów z niem wróciwszy, niby trup człowieka
Wisielcem będzie w tym tu smutnym borze".
Wtem, właśnie kiedy słuch nasz pilnie czeka
Dalszego ciągu mowy tajemniczéj,
Zgiełk przeraźliwy wszczął się gdzieś zdaleka.
Podobnie bywa, kiedy w leśnej dziczy
Odyniec pędzi, z nim zaś między drzewy
Wśród chróstów łomu zgraja psów skowyczy.
I oto, jakichś dwóch od strony lewéj
Skrwawionych, nagich szybka stopa wiedzie
W gonitwie sadzić przez kolczaste krzewy.

[1]) Na Sąd ostateczny.

„Przybywaj, śmierci!“ wołał mknący w przedzie.
Drugi zaś, biorąc nieco tchu w uboczy,
Krzyczał: „O Lano! Czemuś, mój sąsiedzie,
Zmykać pod Toppo nie był tak ochoczy?“ [1])
Snać potem tchu mu zbrakło, gdyż w tej chwili
Wszedł w krzak i z tymże wprędce się zjednoczy.
Alić tuż za nim z łóz przez łom badyli
Psi czarni, ziejąc; pędzą, tacy sami,
Jak gończe, które łowcy z smyczy spuścili;
I choć był w krzaku, wnet go sięgłszy kłami,
Roznieśli w kęsy, poczem w dalszej drodze,
Gdy z niemi lecą, krew im paszcze plami.
Wtedy ja z Mistrzem pod on krzak podchodzę,
Gdzie duch jakiegoś nędz tutejszych syna
Jęczał z przyczyny ran, krwawiących srodze.
„Ach! Ach! Jakóbie! — mówić on poczyna —
Cóż ci pomogło, żeś wszedł we mnie — skoro,
Żeś nie był dobrym, czyż to moja wina?“ [2])
Mistrz jął spowiadać oną duszę chorą,
Mówiąc: „Któż jesteś? i te uroczyście
Krwią tchnące słowa skąd się w tobie biorą?“
A on: „Ach, dobrzy ludzie! Widzieliście,
Jak straszne na mnie padło spustoszenie!
Błagam, zgarnijcie precz mi wzięte liście
W ten dół, gdzie smutne moje tkwią korzenie.
Jam rodem z grodu, który dla Chrzciciela
Marsa się zaparł, o co ten, szalenie
Gniewny, swą pomstą gęsto w niego strzela.
I gdyby nie to, że ten bóg nad Arno
Swój posąg dotąd ma, choć jeden z wielu —
To ci, co wreszcie z kupy zgliszcz wygarną
Ten gród, przez Hunów zżęty w puch przed laty,
Mogliby trud swój nazwać pracą marną [3]).
Jam szubienicę miał z mej własnej chaty“.

(F. Faleński).

W innym oddziale tegoż siódmego kręgu mają swe miejsce kary bluźniercy, dalej Sodomici, oddani na łup ognistego deszczu; w ich liczbie spotyka Dante uczonego Brunetto Latini, którego mistrzem swoim nazywa. Jeszcze dalej dręczą się lichwiarze. Stąd potworny Geryon z twarzą ludzką, ale ciałem płaza, znosi wędrowców do ósmego kręgu (Malebolga), przeznaczonego dla wszelkiego rodzaju oszustów, uwodzicieli, pochlebców, symoniaków, wróżbitów i czarowników, przedajnych urzędników, obłudników, złodziei, przewrotnych doradców, wichrzycieli i wreszcie fałszerzy. Rozmieszczeni w dziesięciu osobnych dołach, ponoszą różne męczarnie. Symoniacy n. p., pieką się w cia-

[1]) Lano, obywatel syeński, wielki marnotrawca, po stracie majątku, szukał umyślnie śmierci w bitwie pod Pieva del Toppo (1280), w której Syeńczycy walczyli z Aretynami. Goniący za nim jest to Jakób da Santa Andrea, również marnotrawca i samobójca.

[2]) Potępieniec ten jest to Rocco de Mozzi, albo może Lotto degli Agli.

[3]) W czasach pogańskich Florencya miała bóstwem opiekuńczem Marsa; później patronem jej został św. Jan Chrzciciel. Posąg Marsa nad rzeką Arno stał jeszcze w r. 1337.

snych wydrążeniach rozpalonej skały; jeden z nich, papież Mikołaj III, oznajmia Dantemu[1]), że tu dostanie się po śmierci Bonifacy VIII. i Klemens V. Przedajni urzędnicy, ażeby uniknąć złośliwego pastwienia się czartów, zmuszeni są przebywać w głębi wrzącej smoły. Na złodziejów czyhają zewsząd jadowite płazy; są to także złodzieje, a ich ukąszenie sprawia, że ranni albo zapalają się ogniem i rozsypują się w popiół, ażeby z niego powstać nanowo, albo też przeobrażają się w płazy, żeby ze swej strony kąsać innych. Pomiędzy przewrotnymi doradcami, spowitymi w płomienie, znajduje się Dyomedes i Odyseusz za doradzenie podstępu dla zdobycia Troi, oraz Gwidon z Montefeltro, głośny wojownik włoski, którego wtrącił tu swojemi frymarkami Bonifacy VIII. Wichrzyciele, poćwiartowani przez czarta, zrastają się i nanowo idą pod miecz oprawcy; pomiędzy nimi znajduje się Mahomet i trubadur Bertrand de Born. U wstępu do najniższego, dziewiątego kręgu, miejsca potępienia wszelakich zdrajców, znajdują się do połowy zamarznięci w lodach Kocytu buntowniczy olbrzymi mitologiczni: Bryareusz, Anteusz, oraz Nemrod. Krąg ten zawiera w sobie cztery oddziały: pierwszy — Kaina — to miejsce kary dla zdrajców swoich krewnych; drugi — Antenora — dla zdrajców ojczyzny; trzeci — Ptolomea — dla zdrajców przyjaciół; czwarty wreszcie — Giudecca — dla zdrajców swoich dobroczyńców. Wszyscy potępieńcy, stosownie do wielkości popełnionej zdrady są mniej albo więcej pogrążeni w lodowej skorupie jeziora, utworzonego z wód Kocytu, gdyż tu wszędzie panuje chłód straszliwy.

Zaiste, nigdy Dunaj mroźną porą
Swych fal nie stęża w takie szyby trupie,
Ni Don, gdzie wichry, wyjąc, pod swój biorą!
I taka twardość siedzi w tej skorupie,
Że gdyby nawet brzemię gór w nią wpadło,
Ten cios jej ani spryszczy, ni rozłupie.
I jak skrzeczące żaby w wód zwierciadło
Po szyję toną, gdy skrzypnęły wrota
I dziewczę wyszło z twarzą w gwiazdach zbladłą,—
Tak w tem jeziorze wmarzła w lód nędzota
Aż po część twarzy, która z wstydu kona,
Zębami, z zimna trzęsąc się, klekota.
I twarz tam każda w górę jest zwrócona,
Z ust szron im wieje, wzrok się zaś krysztali
Obrazem smutku ich wzdętego łona.
Gdym dość już okiem w krąg szedł po tej fali,
U stóp mych, widzę, leżą dwaj splątani
Tak, że się wspólne włosy mieć zdawali.
Ktoście wy — rzekłem — w mroźnej tej otchłani
Tak z sobą zwarci? — Więc się im zatoczy
Wzrok, a gdy wznieśli wzrok ci półszatani,
Łzy, które ból z nich wypełnić chciał przez oczy,
U rzęs im zwisły; wtedy je w najlepsze
Mróz pochwyciwszy, zmienił w lód przezroczy.
Dwóch bierwion nigdy klamra tak nie zeprze,
Jak, trybem kozłim tryknął gniewem zjadły
Jeden w drugiego, ryczące jak dwa wieprze.
Wtem inny grzesznik, co mu precz odpadły
Uszy od mrozu, z zimna całkiem siny,
Rzekł: „Czemu temi pasiesz wzrok widziadły?

[1]) Dante wielu potępieńcom przypisuje dar widzenia przyszłości.

Chcesz wiedzieć, kto są ci i skąd? Z doliny
Wyszli, Bisenzio gdzie się w smugach kręci.
Kwitł tam Alberto — ci zaś są dwa syny
Tegoż rodzica. Przy najlepszej chęci
Szukając w piekle, trudno znajśćby może
Godniejszych, aby byli tu wmarznięci[1]).
W kąt tu ten nawet, co mu pierś rozporze
Arthus rozmachem włóczni zbrojnej w haki[2]).
W kąt i Foccaccia[3]), i ten, co w tej porze
Wzbrania mi Ibem swym dalszych łbów odznaki,
A zwał się niegdyś Sasso Mascheroni, —
Jeśliś Toskańczyk, to wiesz, kto on taki[4]).
Znaj zaś, twych pytań szczędząc mi pogoni,
Żem Camiccione z Pazzich, i Carlina
Czekam, którego kląć mi nikt nie wzbroni!“[5])

W przejściu z Antenory do Ptolomei spostrzega Dante w rowie dwóch potępieńców, z których jeden, przytłoczywszy drugiego, z zawziętością wgryza mu się w czaszkę. Zapytany o przyczynę takiej obydnej zemsty,

Wzniósł ku mnie gębę grzesznik ten wychudły,
Chwilę z wyżartą biorąc rozbrat głową,
A gdy już krew z niej wytarł o jej kudły,
Tak zaczął: „Życzysz, bym ten ból nanowo
Z siebie wydobył, co, jak zmora we śnie,
Już myślą samą dławi ust mych słowo.
Dobrze! Bo skoro hańba z tego wskrześnie
Temu, nad którym pastwię się tak srogo, —
Mówić i płakać będę jednocześnie.
Ja nie wiem, ktoś ty, ani jaką drogą
Tu wszedłeś, — jednak Florentczyka miano
Z twej mowy zmysły moje zgadnąć mogą.
Wiedz: że mię hrabią Ugolinem zwano[6]),
On zaś Ruggierim niegdyś był, — a oto
Skąd nań tę pomstę wziąłem wyuzdaną: —
Że nazbyt ufny, jego zdrad robotą
Wpędzony w matnię, pęt uległem sile
I śmierć poniosłem — o tem wszyscy plotą.

[1]) Są to dwaj rodzeni bracia, Aleksander i Napoleon degli Alberti, którzy po śmierci ojca pokłócili się o dziedzictwo i zamordowali się w bratobójczym pojedynku.

[2]) W podaniach o rycerzach Okrągłego stołu jest mowa o tem, jak Mordred sfałszowanym listem chciał pozyskać żonę króla Artura; ten przebił zdrajcę.

[3]) Pistojczyk z rodu Cancellierich; odciął rękę stryjecznemu brata swemu, a potem zamordował jego ojca.

[4]) Przez chciwość zabił swojego synowca; za tę zbrodnię tarzano go po ulicach Florencyi w beczce, potem ścięto.

[5]) Camiccione zamordował zdradnie swojego krewniaka, Carlino, z tej samej francuskiej rodziny. Pazzich, zdradził stronnictwo Białych i wydał Czarnym zamek Piano di Trevigne w roku 1302, a więc Camiccione mówi tu o Carlinie jako o zdrajcy w przyszłości.

[6]) Hrabia Ugolino przywłaszczył był sobie rządy nad Pizą. Arcybiskup Ruggieri, powodowany zawiścią, oskarżył go o zdradliwe zamiary i, dobrawszy sobie do pomocy kilku panów (Gualandi, Sismondi, Lanfranchi), uwięził i wraz z dwoma synami i wnukami zamknął w wieży, a klucze od niej po jakimś czasie wrzucił do Arno. Uwięzieni wszyscy pomarli z głodu. Było to w r. 1288.

Ale to, czego nie wie nikt, to ile
Śmierć ta nie może równać się z niczyją —
Z niej poznasz, czy ja w zemście mej się mylę.
Przez otwór każni z tak oszczędną szyją,
Że on głodową jamą stąd się zowie,
W której, być może, drudzy dotąd gniją,
Już bardzo liczne oglądałem nowie:
Gdy mię nawiedził zły sen, niesłychanie
Okropny dla mnie w dzikiej swej osnowie.
Ruggieri niby sprawiał polowanie,
Wilka z wilczęty gnając, gdzie się ściele
Smug, skąd nie mogą Lukki znajść Pizanie[1]).
Gualandi, wiodąc chciwych psów gardziele,
Wraz z nim Sismondich zgraja w jedno zbita
I Lanfrankowie biegli tam na czele.
W niedługiej chwili pogoń owa chwyta
Ojca i dziatwę i w tej samej porze
Drapieżnie rwie z nich drżące krwią jelita.
Kiedym się zbudził, już świtało zorze.
Wtem jęk mych synów gromem wpadł mi w uszy:
Chleba! wołają — Ach! przez rany boże! —
Okrutny jesteś, jeśli nie drżysz z duszy
Na to, com wówczas doznał — i jeżeli
Dotąd nie płaczesz, cóż cię tedy wzruszy?
Pora to była dźwignąć się z pościeli,
Gdy jadło wnoszą. Cóż, gdy snu osnowa
Sprawiła, żeśmy o swe życie drżeli!
Wtem w zamku z zgrzytem klamka się grobowa
Zatrzasła na klucz. Z twarzą jam struchlałą
W mych synów spojrzał... lecz nie rzekłem słowa.
Łez jam nie ronił, wręcz się stawszy skałą,
Ci zaś gdy łkają, rzekł mój Anzelm drogi:
— Czego tak patrzysz, ojcze? Cóż się stało? —
Nie, anim płakał, anim dał znak trwogi
Ten dzień i całą noc. Aż kiedy wraży
Świt się zabłąkał w jamy naszej progi
I w niej bladawy światła blask rozżarzy —
I gdym oczyma, stojącemi kołem,
Mój własny wygląd zgadł z ich czterech twarzy, —
Z wściekłości sobie ręce gryść począłem.
A oni, sądząc, że to głodu sprawą
Ten czyn popełniam, wstali wszyscy społem
I rzekli: Ojcze! mniej nam będzie krwawą
Śmierć w twoich zębach. Tyś nam przecie z siebie
Dał nasze ciało, ty je wziąć masz prawo.

[1]) Góra Giuliano, wznosząca się między Pizą i Lukką.

Co? Ja mam katem być im w tej potrzebie?...
Niecśmy z sobą odtąd nie mówili....
O ziemio! gdzież twój dreszcz, co żywcem grzebie?!
W dniu czwartym, pomnę, Gaddo mi się chyli
Do nóg i woła: Ratuj, ojcze, panie!
Wołał i trupem padł w tej samej chwili.
Tak, jak mię widzisz, całkiem spodziewanie
Dni pięć musiałem w uczuć mych zniewadze
Patrzeć na dalszych synów mych skonanie.
W szał wpadłem. Wyjąc, iż nic nie poradzę,
Trzy dni tuliłem pierś w te zwłoki trupie...
Głód wściekły wreszcie wziął nad bólem władzę!"...
To gdy powiedział, znów z oczami w słupie
Jął on krwawiący czerep miażdżyć dalej,
Na podobieństwo psa, gdy kości chrupie.
Ach! Pizo! Pizo! czyż cię wstyd nie spali,
Żeś Włoch ohydą? A gdy twe sąsiady,
Aby cię skarać, nadto są ospali,
Niechby ci zaparł Faryj orszak blady
Arno przy ujściu, aby was w swe męty
Wchłonęło wszystkich na zapłatę zdrady!
Bo jeśli ojciec spełnił czyn przeklęty,
Że wasze zamki wydał, to czyż za to
Nad niewinnemi pastwić się chłopięty?
Bronić ich miało wczesne dni ich lato...
Brigata biedny! Ach! i Hugon mały!
I dwaj, com wprzódy bolał nad ich stratą.

W czwartym, ostatnim obrębie dziewiątego kręgu, na samym dnie otchłani piekielnej, znajduje się Lucyper, władca piekielny i największy potępieniec, co śmiał podnieść bunt przeciw samemu Bogu. Olbrzymiej postaci, do połowy zamarzły w lodach Kocytu, ma trzy oblicza — białe, oliwkowe i czarne (symbol władzy nad trzema częściami świata), i machając sześciu skrzydłami, sprawia wiatr, który ścina lodem wody Kocytu. W każdej swej paszczy miażdży zębami jednego potępieńca. Są to: Judasz Iskaryota, Brutus i Kasyusz.

b) Część druga. — Czyściec.[1])

Wydostawszy się wązką szczeliną z piekła na drugą półkulę, Dante z Wergilim znajdują się u podnóża góry czyscowej; u wnijścia na nią stoi na straży Katon Utyceński, opromieniony światłem czterech gwiazd (symbol czterech cnót kardynalnych). Ten, przepasawszy biodra poety trzciną (symbol pokory), wpuszcza go razem z przewodnikiem do przedsionka czyscowego, w którym gotują się do pokuty dusze tych, co za życia jej zaniedbywali dla jakichkolwiek powodów. Tu między innemi spotyka poeta swojego przyjaciela, śpiewaka Casellę, trubadura Sordello i kilku Florentynów, oraz monarchów: Manfreda, Karola Andegaweńskiego, Filipa III, cesarza Rudolfa z Habsburga i kilku innych. Z brzaskiem dnia postępując wyżej, dochodzi do bramy, do której prowadzą

[1]) Dante wyobraża sobie Czyściec jako górę stożkowatą, wznoszącą się wśród oceanu na południowej półkuli. Z dziewięciu kręgów, na jakie jest podzielony, pierwszy stanowi przedsionek czyscowy, siedm następnych, coraz wyżej leżących, — właściwy Czyściec, ostatni na spłaszczonym szczycie góry — to raj ziemski.

trzy stopnie marmurowe: biały — gładki i przejrzysty; ciemno-purpurowy — chropawy i popękany, i płomienno-czerwony (Symbolizują one trzy akty pokuty: rachunek sumienia, skruchę i miłość ku Bogu). Na dyamentowym progu bramy anioł płomienistym mieczem wypisuje na czole poety siedm razy literę P (symbol siedmiu grzechów) i wpuszcza wędrowców do właściwego czysca. W pierwszym jego kręgu, a raczej obejściu, pokutują za swą winę pyszni. Przytłoczeni ogromnymi ciężarami, niby karyatydy, mniej lub więcej zgięci, postępują oni wokoło góry, śpiewając psalm pokutny, przystosowany do natury ich winy.

„Ojcze nasz! któryś w Niebie jest i który
Nieogarnięty jesteś — chyba błogą
Czcią, gdy Cię wielbią archanielskie chóry,
Święć się wszelaką Imię Twoje drogą!
I niech stworzenia wszelkie, słodki Panie!
Twej mocy dzięki czynią, ile mogą.
Przyjdź ku nam słodkie Twoje panowanie!
Bo cóż mądrością zdziała człek, jeżeli
Ku Tobie z Tobą tylko iść jest w stanie?
Jak wolę własną biorą precz anieli,
By Ci hozanna korne nieść w ofierze,
Niechbyśmy również woli swej nie mieli!
Codzienną mannę niech z nas każdy bierze,
Bez której łatwo wrosnąć w puszczy smugi,
Choćby z niej wynijść człek pracował szczerze!
Jak gdy przewinił przeciw nam kto drugi,
My przebaczamy, — tak ty nam, Jehowo,
Przebacz, nie patrząc naszej w tem zasługi!
Od cnoty naszej wszelką próbę nową,
A z nią też od nas odwiecznego wroga
Z jego kuszącą oddal precz podmową!
I nie jest za nas prośba ta do Boga[1]),
Cośmy już zmarli, lecz ku tych korzyści,
Którym za nami zdążać jeszcze droga“.
Tak o nas myśląc, ci nie całkiem czyści
Szli, obciążony mając grzbiet brzemiony,
Jak się to chyba w śnie dręczącym iści.
Szli, choć nie każdy równo był zgarbiony,
Jęczący, z trudem wzdłuż pierwszego kręga,
By się grzechowej brudnej zbyć osłony.
Gdy myśl tych biednych stamtąd ku nam sięga,
Czegoż uczynić dla nich nie należy
Nam, w których dobrej woli tkwi potęga?[2])
Ach! śpieszmy ziemię zmywać z ich odzieży,
By co najprędzej każdy z nich aniołem
W kraje gwiazd wzleciał w szacie całkiem świeżéj!

[1]) Jako zmarli nie są już wystawieni na pokusy, prośba więc ich o oddalenie pokus ma na względzie żyjących.

[2]) Modlitwa żywych za dusze, w czyscu będące, ma moc skracania im pokuty.

„Z sprawiedliwością miłosierdzie społem,
Tam, gdzie tęsknoty ciągnie was oskoma,
Daj się wam wrychle skrzydłem wzbić wesołem!
Niech się nam wskazać żaden z was nie sroma
Drabiny waszej; tylko pytam śmiało:
Która tu do niej ścieżka najmniej stroma?
Gdyż ten, co ze mną idzie, mając ciało
Na sobie, ciężką odzież Adamową,
Trudniej nadąża, niżby się przydało".
Odpowiedź na to zapytania słowo,
Które z ust wyszło mego przewodnika,
Anibyś odgadł, czyją była mową:
Lecz była taka: — „Oto ustroń dzika
W prawo, tam idźcie, aż się przejście zdarzy,
Niem niech się śmiało żywy twój przemyka.
I gdybym nie był jednym z tych nędzarzy,
Którzy, skroń dumną mając od brzemienia
Ku stopom wbitą, wznieść nie mogą twarzy, —
Spojrzałbym: kto jest ten, co nie wymienia
Swej ziemskiej nazwy; aby gnąc kolana,
Mógł się użalić mego udręczenia.
Wielkiego niegdyś byłem syn Toskana
Aldobrandeschi Wilhelm dał mi życie[1]) —
Nie wiem, czy jego pamięć jest wam znana.
Mych przodków szereg lśniący znamienicie
W taką mię pychę wzbił, żem nędznie matki
Przepomniał wspólnej, którą wy wielbicie...
Tak wszystkiem gardząc, zbrodniarz wielce rzadki,
Głowę w Maremmach Syeneńczykom dałem,
Jak tego lada dziecko weź na świadki.
Jam Humbert! Nie dość, żem śmierć grzesznym szałem
Kupił, że wszyscy moi, jak już wiecie,
Wraz ze mną czołem padli w proch zuchwałem, —
Jeszcze i tu mię głaz ku ziemi gniecie;
Gdyż, nim nademną kary grom zadrzemie,
Tu muszę, czegom nie chciał znać na świecie!"
To gdy on mówił, milcząc patrzę w ziemię...
Wtem inny (tamten wszedł tymczasem w rzeszę)
Zwrócił się ku mnie, mimo swoje brzemię
Z trudnością patrząc, aż ku swej pociesze
Poznał mię, nazwał i wraz ku mnie skinie,
Podczas gdy smutny razem z niemi śpieszę:

[1]) Aldobrandeschi Humbert, syn Wilhelma, hrabia Santafiore, dumą swoją naraził się Syeneńczykom i ci zamordowali go w Compagnatico, miejscowości, należącej do jego hrabstwa w Maremmach.

„Tyżeś-to — rzekłem — coś był sam jedynie
Godzien w ksiąg mądrość pędzla kłaść ponęty,
On Oderisi, słynny mistrz z Urbino?“ [1])
A ten: „Gdy karty szukasz uśmiechniętéj,
Franka z Bolonii patrz dziś malowania [2]),
Mnie z bazgrzącemi chadzać już chłopięty!...
A wiesz, w ten sposób mówić co mię skłania?
Dawniej, pierwszeństwa gdy mię jadła trwoga,
Nie miałbyś tego z moich ust wyznania;
Lecz tu w proch wbija pychę mą każń sroga —
A jeszcze może byłbym zapadł gorzéj,
Gdybym się nie był zwrócił wczas do Boga.
Ach! tak: próżnością myśmy dziwnie chorzy!
Bo na cóż dziś ci kwitnąć, ziemska chwało,
Gdy cię sławniejsze jutro upokorzy?
Tak Cimabuemu marnie się wydało,
Że on miał pędzla królem być; jeżeli
Głośniejszy Giotto wziął cześć jego całą! [3])
Cavalcantiemu tak zdał Guinicelli
Języka berło z rąk [4]) — a któż odgadnie,
Czy go już inni znów mu z rąk nie wzięli?
Rozgłos po świecie — to jak wiatr, bezładnie
Wiejący w strony. Nuż z nim ziemskie ślepce!
Dziś bądźcie w górze, by siąść jutro na dnie!
Gdy śmierć twe ciało już zużyte zdepce,
Czyż wieść o tobie z większym brzmi łoskotem,
Niż gdyby anioł zdmuchnął cię w kolebce?
A cóż dopiero w lat tysiące potem!
Co jednak mniej jest, niżli błysk promiennéj
Źrenicy, gdy go zbliżysz z gwiazd obrotem!
Patrz! ów przed tobą, który szedł jak senny,
Toć-że Toskania hołd mu niosła cała —
Dziś ledwie o nim szepczą w grodzie Syenny,
Której był panem. Przed nim padła chwała
Florencyi, tyleż w czasie tym wyniosła,
Ile się dzisiaj bezwstydnicą stała!
Ach! sława ludzka więdnie tak, jak wzrosła!
Bo Tenże sam jest, który jesień ciemną
I który jasną wiosnę ma za posła“...
A ja mu na to: Z słów twych niedaremno
W serce pokorę bierze człek surową.
Lecz powiedz: kto jest ten, co szedł przedemną?

---

[1]) Oderisi d' Agubbio w księstwie Urbino był sławnym miniaturzystą w końcu w. XIII.

[2]) Franco Bolognese, także sławny miniaturzysta, młodszy nieco, niż Oderisi.

[3]) Cimabue († 1300) i Giotto († 1336) — dwaj najsłynniejsi malarze włoscy w końcu XIII i początkach XIV w.

[4]) Guido Guinicelli († 1276) był jednym z najwcześniejszych poetów włoskich; Guido Cavalcanti († 1301) należał do poetów współczesnych Dantemu.

„Tu go Salvanim Provenzanem zową[1]);
Z nami jest przeto, że zarozumiale
W Syenie zapragnął rządzić własną głową.
Nie zna on ulgi, odkąd umarł — ale
Znój bez wytchnienia spłatą tu jest człeka,
Co zbyt na ziemi ufał własnej chwale".
Rzekłem: Jeżeli duch, co krnąbrnie czeka
Z poprawą własną, aż w nim wymrze ciało,
Ma być tak długo od tych miejsc zdaleka,
Ażby nanowo przeżył istność całą,
(Chyba że od tych mąk go uwolnicie)
Że ten wśród was jest — jakże się to stało?[2])
„Oto tak było: na swej chwały szczycie
W Syenie na rynku, liczne mając świadki,
Ukląkł, jakkolwiek wstyd go trawił skrycie,
I tam, pokory dając przykład rzadki,
By Karolowi mógł wypłacić złoto,
Na przyjaciela wykup żebrał składki[3])...
Nie powiem więcej — trzeźwość słów mą cnotą,
A wierz mi, wprędce prawda będzie znana
Tobie i wszystkim twoim[4]). Dość, że oto
Czyn ten oczyścił w Czyscu Provenzana".

W przejściu z drugiego kręgu do trzeciego anioł zmazuje z czoła Dantego jedno P; to samo powtarza się i w dalszej wędrówce przez wszystkie siedm kręgów właściwego Czyscu. W kręgu trzecim jest miejsce pokuty dla zazdrośnych; z powiekami, pozszywanemi drutem, w grubej włosiennicy, jeden drugiego plecami podpiera, a wszystkich razem podpiera góra. Jak pyszni w cnocie pokory, tak ci ćwiczą się w cnocie miłości bliźniego. W gęstym i gryzącym dymie kręgu czwartego przebywają ci, co grzeszyli gniewem. Tu Marco Lombardo, zmarły przyjaciel Dantego, zapytany o przyczynę niezwykłego zepsucia na świecie, widzi ją w zachwianiu równowagi pomiędzy władzą cesarską i papieską i zagarnięciu władzy świeckiej przez namiestników św. Piotra. W kręgu piątym pokutują leniwi, nieustannym biegiem mażąc swoją winę i zaprawiając się jednocześnie do gorliwości. Po wnijściu do tego kręgu Wergiliusz tłómaczy Dantemu: dlaczego i jak ludzie grzeszą i na czem polega istota wolnej woli. W szóstym kręgu, gdzie oczyszczają się z win swoich chciwi, Dante znajduje papieża Adryana VI († 1276) i Hugona Kapeta, protoplastę panującej we Francyi dynastyi Kapetyngów; Hugo potępia nieuczciwą politykę swoich potomków, przepowiada niedaleki zamach Filipa Pięknego na Bonifacego VIII. i oburza się na ten czyn, jako na powtórne umęczenie Zbawiciela. Wtem wstrzęsła się góra czyscowa i ze wszech stron rozległ się okrzyk: »Gloria in excelsis Deo«. To jedna dusza ukończyła pokutę czyscową, a mianowicie poeta rzymski Stacyusz. Towarzyszy on w dalszej drodze Dantemu i Wergiliuszowi. W siódmym kręgu przebywają winni grzechu obżarstwa; w ósmym wreszcie — winni grzechu nieczystości. Pierwsi cierpią głód i pragnienie, drudzy skwar płomieni czyscowych. Anioł wzywa Dantego, żeby przeszedł przez te płomienie; poeta się waha;

---

[1]) Salvani Provenzano był wielkorządcą Syeny w tym czasie, kiedy Gibelinowie z Syeny zadali Gwelfom z Florencyi dotkliwą klęskę pod Montaperti (1260).

[2]) To znaczy: Jakim sposobem Salvani znajduje się tutaj, kiedy dusze tych, co odkładali pokutę aż do śmierci, muszą w przedsionku czyscowym pozostawać tak długo, jak długie było ich życie.

[3]) Tym przyjacielem był Vigna, trzymany w niewoli przez Karola I, króla Apulii.

[4]) Oderisi daje tu do zrozumienia Dantemu, że sam on wkrótce pozna na wygnaniu, jak jest boleśnie wyciągać rękę po wsparcie.

dopiero gdy Wergiliusz oznajmia mu, że za temi płomieniami ujrzy Beatryczę, nabiera odwagi do ich przebycia. Po drugiej stronie, u wnijścia do raju ziemskiego, zajmującego dziewiąty, najwyższy krąg góry czyscowej, Wergiliusz oznajmia poecie, że dalej prowadzić go już nie może, i wkrótce potem znika. Drogę Dantemu zastępuje jakaś Matylda (symbol życia czynnego, czy może kapłaństwa) i przyprowadza go nad brzeg Lety. Za tą rzeką, której wody dają zapomnienie grzesznej przeszłości, Dante widzi Beatryczę na rydwanie (symbol kościoła), ciągnionym przez gryfa (symbol Chrystusa), poprzedzanym przez dwudziestu czterech starców (dwadzieścia cztery księgi starego Testamentu) i mającym po bokach cztery tajemnicze zwierzęta skrzydlate i uwieńczone zielonym liściem (czterej ewangieliści). Beatrycze, mająca trzy niewiasty po prawicy (trzy cnoty teologiczne) i cztery po lewicy (cztery cnoty kardynalne), zwraca się do Dantego z wyrzutami, że zapomniawszy o niej, brnął coraz bardziej w nieprawości świata, i każe mu wyznać swoje winy, zanim przekroczy Letę. Przygnębiony wstydem i poczuciem win swoich, Dante pada zemdlony i odzyskuje przytomność już w nurtach Lety, podtrzymywany przez Matyldę. Oczyszczony w ten sposób i obmyty z grzesznej ziemskości, na rozkaz Beatryczy przygląda się allegorycznym dziejom kościoła od początku aż do przeniesienia stolicy apostolskiej do Avignonu. Beatrycze daje mu potrzebne wyjaśnienia, przepowiada kres nieporządków na świecie z chwilą, gdy władza cesarska odzyska należną powagę, i każe dla dobra zepsutego świata, wszystko, co widział, spisać po powrocie na ziemię. Poczem na jej życzenie Matylda prowadzi Dantego do rzeki Eunoe (przypomnienie dobrego). Pokrzepiony jej wodą, czuje się poeta zdolnym do oglądania cudów szczęśliwości Raju.

c) Część trzecia. — Raj.[1])

Unoszony niezienską siłą, a właściwie pragnieniem duszy czystej oglądania Boga, Dante w towarzystwie Beatryczy z błyskawiczną szybkością wzlatuje w bezmiar światła, a im wyżej się wznosi, im bliżej jest Boga, tem bardziej staje się uduchowionym, zdolnym do pojmowania, rzeczy nadprzyrodzonych. Beatrycze, coraz bardziej promieniejąca duchową pięknością, daje mu wszelakie wyjaśnienia, dotyczące najsubtelniejszych zagadnień filozofii i teologii. Na księżycu, stanowiącym pierwszą i najniższą sferę Raju, ogląda poeta zbawionych, którzy nie z własnej winy nie wypełnili swych ślubów. W ich liczbie znajduje się i Piccarda, siostra jego szwagra, przemocą wydarta z klasztoru i poślubiona Roselinowi della Tosa z Florencyi. Od niej dowiaduje się poeta, że jakkolwiek zbawieni mają swój przybytek w różnych sferach, stosownie do rodzaju i stopnia swych zasług, wszyscy przecież napawają się szczęśliwością w Empireum, oglądając bezpośrednio Boga, przedmiot najwyższej miłości. W drugiej sferze, na Merkurym, przebywają ci, którzy nie mogli osiągnąć wyższego stopnia doskonałości z powodu swej ambicyi. Tu cesarz Justynian Wielki, naszkicowawszy Dantemu dzieje cesarstwa rzymskiego aż do Karola Wielkiego, potępia zarówno gwelfów, którzy podkopują powagę cesarstwa, jak i gibelinów, którzy równą krzywdę wyrządzają papiestwu, i powołując się na swoje własne panowanie, daje do zrozumienia, że Bóg sprzyja rządom tylko tych cesarzy, którzy postępują zgodnie z kościołem. Wznosząc się do następnej sfery, Beatrycze tłómaczy poecie tajemnicę upadku ludzkiego i odkupienia. Na Wenerze, która stanowi trzecią sferę Raju, przebywają ci, którzy za życia zbyt folgowali miłości, ale winy swoje zmyli we właściwym czasie. Tu Karol Martel, królewicz neapolitański († 1295), potępiając przed Dantym rządy brata swojego Roberta, tłómaczy mu zarazem, dlaczego źli synowie rodzą się z dobrych ojców i odwrotnie: jest to skutek prawa indywidualności, które działa w całem stworzeniu. Czwartą sferę — Słońce — zamieszkują teologowie. Na tle jasności słonecznej odbijają oni jeszcze większem światłem i niby płonące słońca otaczają poetę i Beatryczę, a Tomasz z Akwinu wskazuje jako obecnych: Alberta Wielkiego, Gracyana, autora Dekretaliów, Piotra Lombardczyka, św. Franciszka z Asyżu, św. Bonawenturę i t. d., poczem razem ze św. Bonawenturą ubolewa nad upadkiem karności w zakonach: franciszkańskim i dominikańskim. W piątej sferze — na Marsie

[1]) Przybytek zbawionych mieści Dante na planetach i gwiazdach, które dzieli na dziewięć sfer: Księżyc, Merkury, Wenera, Słońce, Mars, Jowisz, Saturn, gwiazdy stałe i Primum mobile; wszystko to obejmuje w sobie Empireum, przybytek samego Boga. Podział ten jest zgodny z systematem astronomicznym Ptolemeusza.

jest siedlisko zbawionych, którzy się odznaczyli męstwem, zwłaszcza w walkach dla dobra wiary, jak n. p. biblijny Jozue, Karol Wielki, Roland, Gotfryd z Bouillonu i wielu innych krzyżowców. W ich liczbie znajduje się i Cacciaguida, prapradziad Dantego. Ten chwali przed nim prostotę i surowość obyczajów dawnej Florencyi, oburza się na obecne jej zepsucie, w końcu przepowiada mu, jak wielkie ściągnie na siebie prześladowanie, spełniając święte posłannictwo.

„Jak precz z ateńskiej niegdyś szedł ostoi
Hipolit, gnany Fedry złej niecnotą,
Tak ty z Florencyi masz uchodzić twojéj.
Chcą tak i groźnie zabiegają o to
Ci, co gotowi wrogom w każdej chwili
Nawet Chrystusa wydać znów za złoto.
Winnym cię zrobią ci, co zwyciężyli,
Jak zwykle bywa — lecz Bóg pomstą wzniosłą
Zasłonę prawdy ku twej czci odchyli.
Porzucisz wszystko, co z tem sercem zrosło,
I ten jest pierwszy w doli złej obsłudze
Strzał, co w tułacze czeka gna rzemiosło.
Poznasz: jak gorzką — bo cię ja nie łudzę —
Jest w chlebie obcym sól i jak to srodze
Tam i z powrotem deptać schody cudze.
I, co ci zwłaszcza ciężkiem będzie w drodze,
Ta myśl o zgrai, co w twym własnym domu,
Głupia i podła, w dłoń swą wzięła wodze.
Nędzni i nie chcąc wdzięczni być nikomu,
Przeciwko tobie staną — zaś niebawem
Nie ty, lecz oni spłoną wstydem sromu.
Tak sami siebie swem bydlęctwem krwawem
Zgnębią, iż tobie dobrem się poczyta:
Byś stał sam jeden za twem słusznem prawem.
Wielki ci Lombard, wiedząc, żeś banita,
Pierwszy udzieli w domu swym schroniska —
Temu Ptak święty w szczycie szczebli świta[1]).
Tak jego dusza jest twej duszy blizka,
Iż z dwóch was będzie dawca w dóbr wymianie
Poślednim, ten zaś pierwszym, który zyska.
Przy nim się zjawi ów, co w dni zaranie
Tak silnej gwiazdy piętno wziął na skronie,
Że się on przez nie w czynach świetnym stanie[2]).
Niezbyt jest jeszcze na swym wczesnym tronie
Znan, gdyż nie więcéj jak od lat dziewięci
Blask sfer niebieskich wkoło niego płonie.

[1]) Mowa tu o Bartłomieju della Scala, wielkorządcy Werony. Herbem rodziny della Scala (Scaligierów) był orzeł na drabinie.

[2]) Młodszy brat Bartłomieja, Can Grande della Scala, urodzony w 1291 r. pod konstelacyą Marsa. W roku 1310 podczas wyprawy Henryka VII. do Włoch, Can Grande jako stronnik cesarza wsławił się męstwem i wspaniałością serca. Dante przewidywał w nim odrodziciela Włoch.

Lecz nim Henryka Gaskon w matnię znęci[1]),
Równie go słynnym ujrzą narodowie
W pogardzie złota, jak i w trudów chęci.
O wspaniałościach jego świat się dowie,
Tak, że z tej miary nawet z nim zwaśnieni
Nie będą mogli być niememi w mowie.
Ofiarność jego noś aż w duszy rdzeni!
On tak spraw ludzkich przyszłość ubezpieczy,
Że z biednym bogacz dolę swą wymieni.
Com ci rzekł o nim, pomnij — lecz tych rzeczy
Nie zdradź". — A potem rzekł mi jeszcze słowa
O czemś, w co patrząc, wzrok by olśnął człeczy.
I dodał: „Synu! Treść tu i osnowa
W zgodzie są, lecz się sideł strzeż, albowiem
Na krótko czas je w cień przed tobą chowa.
Bacz, byś zazdrości nie znał, gdyż ci powiem:
Dłużej, niż pomsta zdrad spełnionych butnie,
Trwać masz i Bóg cię darzyć będzie zdrowiem".
Wtem gdy mąż święty na tych słowach utnie
Nić, snowającą wątek czarowniczy
Po mych zapytań podstawionem płótnie, —
Mówić począłem, jakby ten, co życzy,
By, choć on zwątpił, wzięła jego sprawa
Głos z ust współczucia pełnych i słodyczy:
Widzę, mój ojcze! iż mię przyszłość ława
Gna w dal, a z rąk jej cios się ucieleśni
Tem cięższy, im się człek mu lżej poddawa.
Stąd chcę przezorność zdobyć jak najwcześniéj,
Bym, gdy mój pobyt stracić mam uroczy,
Gnan nie był z innych miejsc przez moje pieśni[2])
Tam w świecie każni, który w łzach się mroczy,
Wśród pociech potem Odkupieńczej góry,
Kędy mię wiodły mej królowej oczy;
Tu wreszcie wszedłszy w blask, co zdeptał chmury,
Słyszałem rzeczy, których każde słowo
W niejednem uchu zbudzi dźwięk ponury.
Lecz jeślim trwożny, prawdę czcząc wiekową,
To iżbym nie chciał dla tych umrzeć, którzy
Starożytnością ten tu czas nazową[3]).
Tu skarb mój, w złotej uśmiechniętej róży,
Tak się roziskrzył, jak gdy mknąc ku wiośnie,
W zwierciadeł błyskach słońce się powtórzy.

---

[1]) Papież Klemens V, z pochodzenia Gaskończyk, okazał się wrogiem Henryka VII, gdy ten w r. 1310 wyruszył do Włoch dla przywrócenia powagi cesarskiej.

[2]) To znaczy: Lękam się, czy wygnany z ojczyzny (Florencyi), znajdę gdziekolwiek gościnę, jeżeli opowiem w pieśniach swoich wszystko, com widział w Piekle, Czyscu i Raju.

[3]) To jest: boję się, ażeby przyszłe wieki mnie nie potępiły, jeżeli nie powiem prawdy z obawy narażenia się możnym.

Wtem rzekł: „Sumienia, w które gradem chłośnie
Czy swój, czy cudzy wstyd, w twój śpiew łabędzi
Swych serc gorycze włożyć zechcą sprośnie.
Ty wszakże kłamstwo usuń z twych orędzi,
O wszystkiem prawdę dźwięcząc nader śmiało
I niech się chorzy drapią, gdzie ich swędzi.
Gdyż to, co powiesz, choć się będzie zdało
Dla smaku przykrem, niemniej doskonale
Zasili życia treść, gdy wejdzie w ciało.
Twój wykrzyk będzie jako wiatr, w swym szale
Godzien wyniosłość skarcić głośno znaną —
I to niemało doda czci twej chwale.
Więc też ku temu tylko ci wskazano
Równie na Górze jak i w zapadlinie
Tych, którym rozgłos dał swej cechy wiano“...

(F. Faleński).

W szóstej sferze, na Jowiszu, przebywają sprawiedliwi. W kształcie iskier płonących bujając, układają z siebie „Diligite justitiam, qui judicatis terram“ (miłujcie sprawiedliwość wy, co sądzicie ziemię), poczem tworzą wyobrażenie orła (symbol sprawiedliwej władzy i cesarstwa). Orzeł ten, na zapytanie poety: dlaczego Sprawiedliwość Boska skazuje na potępienie tych, którzy wiary prawdziwej poznać nie mogli, — odpowiada, że ograniczony umysł ludzki tego zrozumieć nie jest w stanie. Wypowiedziawszy następnie wyrazy surowego potępienia na niesprawiedliwych monarchów (Albrechta Habsburga, Filipa Pięknego, Wacława czeskiego i innych), wymienia dusze monarchów, które składają jego wyobrażenie, jak n. p. Konstantyn Wielki, Wilhelm Dobry, biblijny Ezechiasz, a nawet poganie Trojan i Ryfeusz, wyjątkowo przez Boga uwzględnieni. Siódma sfera — Saturn — przeznaczona jest dla ascetów i miłośników życia kontemplacyjnego. Dante ogląda ich, jak w postaci świateł niebiańskich schodzą i wschodzą po złocistych wschodach, których wierzchołek ginie w niedojrzanej okiem wysokości (symbol życia kontemplacyjnego). Jeden z nich, Piotr Damiani, na zapytanie poety co do przeznaczenia, odpowiada mu, że tego nie przeniknie żadne oko stworzone; drugi, św. Benedykt, opowiedziawszy dzieje swojego żywota, ubolewa nad skażeniem jego reguły zakonnej. W ósmej sferze gwiazd stałych przebywają wybrańsi święci, jak np. apostołowie, pierwsi ludzie i Najświętsza Marya Panna. Na razie jednak światła ich przyćmiewa obecność Chrystusa Pana; dopiero po jego usunięciu się w wyższe sfery, może Dante przyjrzeć się innym światłom, pomiędzy któremi najjaśniej płonie światło Matki Boskiej. Archanioł Gabryel, wirując wokoło niej, składa jej pozdrowienie, a chór zbawionych niebiańską harmonią nuci hymn Regina coeli. Na prośbę Beatryczy, żeby święci apostołowie dopuścili poetę do uczestnictwa w swej uczcie niebieskiej, św. Piotr bada go pod względem wiary, św. Jakób — pod względem nadziei, św. Jan — pod względem miłości. Dante składa im wszystkim zadawalniające odpowiedzi, poczem św. Piotr, mieniąc się z oburzenia, gorącemi słowy potępia Bonifacego VIII jako niegodnego swojego następcę, i poleca Dantemu po powrocie na ziemię nie zamilczeć o tem, co słyszy. Dziewiąta sfera — Perpetuum mobile, jest siedliskiem aniołów, którzy podzieleni na dziewięć chórów, koncentrycznemi kołami krążą wokoło Boga, jako swojego ogniska. Beatrycze poucza Dantego o stworzeniu i upadku aniołów, o ich naturze i działalności hierarchii anielskiej, której dziewięć chórów odpowiada dziewięciu sferom niebieskim i stanowi ich siłę poruszającą. Stąd wreszcie razem z Beatryczą wznosi się poeta do Empireum, które nie zna ograniczenia miejscem ani czasem i stanowi przybytek samego Boga, a jednocześnie i wszystkich mieszkańców Raju. Tu zaraz u wstępu Miłość Najwyższa ogarnia poetę jasnością cudowną, która wywyższa go nad własną jego naturę i uzdolnia do oglądania Boga. Istota Jego ukazuje mu się najprzód jako rzeka jasnego światła, po obu brzegach umajona kwiatami (zbawieni); z rzeki tej tryskają żywe iskry (aniołowie), osiadają na kwiatach i znowu zanurzają się w cudownej toni. Beatrycze uprzedza Dantego, że aby się przygotować do oglądania Boga, jakim jest sam w sobie,

musi wprzód napić się z tej rzeki jasności. Poeta skwapliwie zanurza wzrok swój w toń jasności — i oto naraz rzeka przemienia się w koło, a kwiaty i iskry — w dwa zastępy (zbawionych i aniołów) niebieskiego dworu i otaczają je w kształcie róży. Beatrycze wprowadza Dantego w środek tej róży i ukazuje mu w niej tron niezajęty, na którym zasiędzie Henryk VII wprzód, nim poeta znajdzie się w poczcie szczęśliwych. Kiedy poeta przegląda w zachwycie orszak wybrańców Pańskich, Beatrycze opuszcza go i zajmuje swój tron w kwiecie róży, a na jej miejscu staje św. Bernard. Ten wskazuje przybyszowi wybitniejszych zbawionych Starego i Nowego zakonu, poczem w jego imieniu zanosi modły do Najświętszej Panny, aby swoją łaską umocniła go do bezpośredniego oglądania Boga. Prośba zostaje wysłuchana i Dante zanurza żądny wzrok w wieczne światło; widzi, jak wszystko, co się w świecie rozmaitością wydaje, jednoczy się w Bogu, i wreszcie coraz bardziej się wpatrując, ogląda tajemnicę Trójcy Przenajświętszej i wcielenia Syna Bożego.

Boską Komedyę tłómaczył wierszem rymowanym Jul. Korsak (Warszawa 1860) i wierszem białym Ant. Stanisławski (Poznań, 1870); częściowo tercynami (z zachowaniem formy oryginału), oprócz Asnyka, F. Faleński w „Przekładach obcych poetów". Kilkanaście sonetów z „Nowego życia" i innych — tenże Faleński).

III. Petrarka.

a) Sonet 17.

Bywa zuchwały zwierz we wzroku względzie,
Co, w słońce patrząc, dank bezkarnie zyska;
Inny, nie znosząc blasków widowiska,
Nie prędzej wyjrzy, aż gdy mrok już wszędzie:
Inny, szalenie tusząc, że mieć będzie
Rozkosz wśród ognia, który wabnie błyska,
Wyzywa siłę, co go spali zbliska...
Oh! miejsce moje w tym ostatnim rzędzie!...
Gdyż nie mam mocy dotrwać wzrokiem, ani
Umiem się schronić przed twym blaskiem, pani,
Wśród chwil spóźnionych lub cienistych dali.
Więc choć chce życia trwożna w lzach źrenica,
Śmierć ją popycha iść w blask twego lica —
A tak wręcz dążę za tem, co mię spali!

b) Sonet 47.

Święć się rok, miesiąc, dzień, i bądź mi święta
Godzino, chwilo tego dnia, a dla niéj
Święć mi się miejsce, gdzie mię moja pani
W niewolę słodką swem spojrzeniem spęta!
Święć się tęsknoto, coś jest w pierś mi tchnięta,
Odkąd z miłością w jednośmy zbratani,
I ty, cięciwo, której pocisk rani
Tak, że go dusza wieczny czas pamięta!

Święćcie się ust mych słowa! W was ja przecie
Rozniosłem dźwięczne imię jej po świecie,
Tęsknoty własne, żądze, boleść łzawą!
Święćcie się rymy, z których za jej sprawą
Sławy nabyłem, — wreszcie myśli moje,
Które wyłącznie Laurą niepokoję!

c) Sonet 64.

Kochałem, kocham i dopóki ciałem
Duch mieszka, kochać będę coraz święciéj
Te błogie miejsca, kędy w niebo wzięci
Miłosnym wspólnie płakaliśmy szałem.
I ową chwilę kocham sercem całem,
Od której żadne więcej mię nie nęci
Inne staranie, oprócz wzniosłej chęci —
Gdyż w niej i przez nią Laurę pokochałem.
Ktoby dziś zebrał w jeden orszak błogi:
Laurę i miejsca te i ową chwilę —
Trzy słodkie mojej spokojności wrogi,
Nie byłbym pewny: czy mam jeszcze tyle
Siły, że życie we mnie nie dogaśnie,
Kiedy najmocniej żyćbym pragnął właśnie.

d) Sonet 76.

Swobodo wdzięczna, jakże mi jest luby
Mój rozbrat z tobą! odkąd w walce krwawéj
Ranę odniósłszy, z własnej rad niesławy,
Z mą się niewolą w wieczne sprzągłem śluby!
Tak chciwie wzrok mój swojej pragnął zguby,
Że ani olśnął, ani stał się łzawy;
Takiemu bowiem za nic ziemskie sprawy,
Kto z świetlanemi gościć zwykł Cheruby.
Odtąd, miłości całkiem zdawszy wodze,
Tą tylko drogą oszalały chodzę,
Kędy o Laurze słyszeć, lub się o niéj
Użalić mogę wiatrom pełnym woni,
I o niej tylko myśleć i w mym rymie
Jej tylko jednej godnie sławić imię! —

e) Sonet 126.

W jakiejże nieba stronie i u kogo
Wzór brano wtedy, gdy przyroda cała
Jej twarz zdobiła w blaski, jakby chciała
U nas pokazać: co tam w Niebie mogą?

Gdzież nimfa, patrząc w źródło nad rozlogą,
Włos taki czesze, który złotem pała?
I komuż w sercu cnót podobna chwała
Kwitła, jak te są, z których śmierć mam srogą?
Darmoby w piękno Boskie patrzał, ktoby
Nie znał, co może moc jej spojrzeń cicha,
Z których to rozpacz miota, to nadzieję —
Ani miłości dziwne znał sposoby,
Ktoby nie wiedział sam, jak Laura wzdycha,
Jak słodko mówi, jak się słodko śmieje.

f) Sonet 238.

Kwilą ptaszęta w gaju, brzmi wietrzyka
Wśród drżących liści skarga pieszczotliwa,
Srebrzystej strugi łkaniem szemrze niwa,
W czaharach leśnych szumi ustroń dzika, —
Ja dumam smutny, gdyż mię wskróś przenika
Ból mój.... W tem owa moja wiecznie żywa,
Której już nie mam, na obłoku spływa,
By w tęsknej doli cieszyć samotnika.
Przestań się łzami twemi, biedny człecze,
Truć — tak mi ona litościwie rzecze —
Mnie ty nie żałuj, gdyż wiedz, że dni moje
Przez śmierć wiecznością stały się — i właśnie
Gdyś mniemał widzieć, że więc wzrok mój gaśnie,
Światłości Niebios dniały mi podwoje. —

g) Sonet 269.

Znów wiosna wraca z jasnych dni pogodą;
Wśród łąk, na smugach igra rój motyli;
Śmiga jaskółka, słowik w gaju kwili;
Pierwiosnki z sobą orszak wonny wiodą.
Uśmiechem krasi niebo twarz swą młodą
I na cześć Bóstwa tej świątecznej chwili[1])
Wiatr, woda, ziemia w miłość się złączyli;
Zwierz nawet dziki mięknie słodką zgodą...
Ja tylko jeden garnę w moje łono
Tęskność przycichłą a nieuleczoną
Ku tej, co w siebie życie moje chłonie!
Nie dla mnie ptaków śpiew, ni kwiatów wonie,
Ani uroki jakiekolwiek, bowiem
W mej samotności świat mi jest pustkowiem.

[1]) To jest: Wenery.

h) SESTYNA VIII.

Tam ku jutrzence, kędy słodkie tchnienie
Z wiosny powiewem zwykło wzruszać kwiecie,
Ptaszęta budząc, by zabrzmiały pieśnią, —
Tkliwie mię wabi tęsknią żądzą duszy
Ta, w której dłoni jest mych uczuć władza,
Zdolna w żałosne zmienić je zaklęcia.
Oby te ciche moich ust zaklęcia
Wonne od Laury zbudzić mogły tchnienie,
By przy mnie spokój był, choć przy niej władza!
Lecz wprzód się zima przyozdobi w kwiecie,
Nim się miłości zbudzi kwiat w tej duszy,
Która nic nie dba, że jest czczona pieśnią.
Ileż wylałem łez, chcąc moją pieśnią
Jej serce wzruszyć i przez moc zaklęcia
Opokę zmiękczyć tej nieczułej duszy,
Od której słodkie odskakuje tchnienie,
Zdolne poruszać liść i barwne kwiecie, —
Ale nie walczyć z tym, z kim bywa władza!
Ludziom i Bogom jest Miłości władza
Głoszona zdawna prozą jak i pieśnią,
A jam ją głosił w mego wieku kwiecie.
Teraz ni miłość, ani słów zaklęcia,
Ni łzy zdołają zdziałać, by mi tchnienie
Lub choć męczarnię wzięto z mojej duszy!
Ku temu jednak, nędzo mojej duszy!
Niech potężnieje wszystkich sił twych władza,
Dopóki w tobie jest ożywcze tchnienie.
Gdyż niema rzeczy, której przez zaklęcia
Miećbyś nie zdołał, albo zdobyć pieśnią,
Prócz — gdybyś z lodu chciał wymaić kwiecie!
Lecz oto, w chwili, gdy się budzi kwiecie,
To czyż być może, bym w jej jednej duszy
Nie zdołał zbudzić wiosny moją pieśnią?
Gdy zaś przemożna jest złej doli władza,
Płacząc i łzawe wiążąc w pieśń zaklęcia,
W świat pójdę, duszy mej unosząc tchnienie!
W sieć chwytam t c h n i e n i e, w śniegi rzucam k w i e c i e,
Kusząc mą p i e ś n i ą tę, co ni jej d u s z y
Miłości w ł a d z a zmiękczy, ni z a k l ę c i a!

i) CANZONA XIV.

Czyste, chłodne, wdzięczne zdroje!
W których kształty swe urocze
Kąpała pani pieśni mych wspaniała!

Smukłe drzewo, kędy swoje
Złote splatając warkocze,
Niby oparta o kolumnę stała!
Podczas gdy jej szata biała,
Obnażywszy boskie łono,
Na murawie w kwiatach znika;
I ty, święty tchu wietrzyka,
Z którym w pierś miłość wieczną mi natchniono —
Świadki mąk mych! niech was wzruszy
Ostatnie słowo udręczonej duszy!

Gdyby się miłości zdało,
Jak jest napisano w niebie,
Na wieki oczy zamknąć mi spłakane —
Niechaj nędzne moje ciało
Wpośród was ktobądź pogrzebie,
Kiedy już duszą w mej ojczyźnie stanę.
Z tą nadzieją gdy w nieznane
Kraje myśl stęskniona goni,
Śmierć jej niemal jest wesoła!
Bo czyż dusza moja zdoła
Wśród spokojniejszej, w milszej gdzieś ustroni,
Lub w ciszy równie głębokiéj,
Odbiedz nazawsze utrudzone zwłoki?

Może zwykłą kiedy drogą
W te urocze zbiegłszy strony,
Laura zasięgnąć zechce o mnie wieści,
I tam, gdziem w jej postać błogą
Patrzał niegdyś zachwycony,
W swej ciekawości śledząc mię niewieściéj,
Już jedynie — o boleści! —
Ujrzy kamień grobowiska,
Wtedy może mej katuszy
Tak serdeczny żal ją wzruszy,
Że mi tem jednem zbawcy raj pozyska,
I ku niebu zwróci lice,
W zasłonę tuląc pełne łez źrenice.

Pomnę — z drzewa w owej dobie
Wiatr, wstrząsając liści fale,
Deszcz kwiatów sypał na jej skroń, a ona
Najspokojniej stała sobie,
Skromna w tak niemałej chwale,
Światłością błogą wskroś opromieniona.
Tak ich dużo u jej łona,
W jasnych splotach tak ich wiele
Pozostało, że się zdała
Klejnotami iskrzyć cała.

Ten jeszcze kwiatek u jej stóp się ściele,
Ten w powietrzu, nim padł na nią,
Zda się szeleścić: „Miłość tu jest panią“.

Wtedym nieraz myślał skrycie,
Dziwną grozą owładnięty:
Toż pewnie tylko snów są rajskich dziwa! —
Tak w zapomnień mych zachwycie
Boskie twarzy jej ponęty,
Uśmiech, co słodkim dreszczem wskroś przeszywa,
Wzroku jej wymowa tkliwa,
Wiedzę prawdy we mnie złamie,
Że pytałem roztęskniony:
Jak i kiedym zszedł w te strony?
Bom sądził biedny, żem już w niebios bramie,
Odkąd wszędzie, gdzie się schronię,
Spokoju nie znam, prócz w tej jednej stronie....

Pieśni! tyś zdobna w promieniste znamię!
Więc z twej kniei w świat idź śmiało
Brzmieć między ludźmi godną Laury chwałą!

(F. Faleński).

Wszystkie „Pieśni“ Petrarki przełożył F. Faleński (Warszawa 1881).

IV. Bokacyusz.

Sokół (Z „Dekameronu“ V, 9.)

Filomena[1]) skończyła opowieść swoją. Wówczas królowa[2]), widząc, że oprócz Dionea[3]), który miał kończyć dzień na mocy danego mu przywileju, ona tylko nie opowiadała jeszcze, z wesołą twarzą w te słowa zaczęła:

— Na mnie tedy kolej przychodzi i oto chcę wywiązać się z przyjemnego mojego obowiązku powieścią, która nieco z poprzednią ma podobieństwa. Tę tylko z niej szczególną wyciągniecie korzyść, kochane przyjaciółki, iż nauczycie się, jaką władzę mają wdzięki wasze nad szlachetnemi sercami, ale zarazem i tego, żeście powinny względów swoich z własnej woli udzielać, a nie spuszczać się na los szczęścia, który zwyczajnie najdziwaczniej dary swoje rozdziela.

Wiedzcie tedy, że przed niedawnemi czasy żył w mieście naszem i dziś jeszcze może żyje niejaki Coppo di Borghese Domenichi, mąż, który u wszystkich wielkiego poważania używał i więcej

[1]) Jadna z dam, należących do towarzystwa, które opowiada sobie nowele „Dekameronu“.
[2]) Królową dnia tego była Fiametta.
[3]) Jeden z mężczyzn, należących do tegoż towarzystwa.

jeszcze dla cnót i szlachetnych obyczajów, aniżeli dla szlachetności rodu swego zasługiwał na to. Ten w późnych latach znajdował upodobanie w opowiadaniu sąsiadom swoim i obcym ludziom o dawnych czasach i zdarzeniach, i nikt mu co do układu zręcznego, pięknej formy i doskonałej pamięci pod tym względem nie wyrównał.

Otóż pomiędzy innemi lubił on często opowiadać, że niegdyś we Florencyi był młody szlachcic, zwany Federigo Filippo Alberighi, którego pod względem rycerskiej biegłości i szlachetnych obyczajów wyżej od wszystkich ówczesnych panów we Florencyi ceniono.

Ten zakochał się w pewnej dostojnej damie, imieniem Monna Giovanna, uchodzącej podówczas za najpiękniejszą we Florencyi kobietę, i dla pozyskania jej wzajemności, na turniejach i rycerskich igrzyskach na najzuchwalsze hazardy się ważył, wyprawiał uczty i podarkami ją obsypywał, najmniej na stan majątku swego bacząc. Ale dama, równie uczciwa jak piękna, nic dbała o to, co on na jej cześć urządzał, ani o to, co wydał przy tem.

Tymczasem Federigo nad możność swoją wiele przepuścił i nic nie zyskawszy, popadł wkrótce w taką biedę, że z całych dóbr nic mu nie pozostało, oprócz małego folwarku, z którego miał nędzne utrzymanie, i sokoła, jakiemu równy prawie na świecie się nie znalazł. Miłość jednak jego przez to się nie zmniejszyła, owszem gorętszą jeszcze się stała; ponieważ jednak nie mógł w mieście już dłużej żyć na taką stopę, jakby pragnął, wyprowadził się tedy do owego folwarku i tam, niczyjej pomocy nie prosząc, chwytając ptaki, cierpliwie biedę swoją znosił.

Pod ten czas właśnie zdarzyło się, że małżonek Monny ciężko zachorował wkrótce i, czując się bliskim śmierci, zrobił testament, mocą którego małego synaczka zrobił dziedzicem wszystkich bogactw swoich, na przypadek zaś bezpotomnej śmierci tego chłopca, Monnie Giovannie, jako czule ukochanej żonie, cały majątek przekazał.

Po jego śmierci, wdowa, jak to u tamtejszych niewiast zwyczajem jest, schroniła się na całe lato do jednej z posiadłości swoich, położonej bardzo blisko folwarku Federiga. Stąd trafiło się, że synek jej, który niezmiernie ptaki lubił, wnet z Federigiem się zaprzyjaźnił i, widząc często jego sokoła, tak niezmiernie sobie w nim upodobał, że tylko żądzą posiadania go pałał; nie śmiał jednak Federiga o niego prosić, wiedząc, jaką wartość doń przywiązuje. Jakoś w niewiele dni potem chłopczyk zachorował.

Monna Giovanna, kochająca go z całej duszy, jako jedynaka, niewymownie chorobą jego się strapiła; całemi dniami nie odstępowała go i prosiła natarczywie, ażeby jej powiedział, czy czego przypadkiem nie pragnie, i obiecywała mu, że w takim razie postara się o to dla niego, cokolwiekby uczynić potrzeba było. Wielekroć już go o to pytała — bez odpowiedzi; nareszcie pewnego dnia chłopiec odrzekł:

— Matko, jeżeli zdołasz uzyskać dla mnie sokoła od Federiga, to czuję, że wnet przyjdę do zdrowia.

Dama, usłyszawszy tę prośbę, przez długi czas rozważała w milczeniu, co ma uczynić. Wiedziała dobrze, że Federigo ją długo kochał, a nigdy nawet spojrzenia od niej nie otrzymał. Pomyślała więc sobie:

— Jakże mogłabym się ośmielić posłać po tego sokoła do Federiga lub udać się do niego? Zresztą, jak słyszę, nigdy szlachetniejszy od tego sokoła ptak strzelcowi nie służył, a nadto podobno on środek utrzymania dla pana swego stanowi. Czyż więc podobna, ażebym szlachcicowi, któremu ta tylko radość i fortuna została, miała ją wydrzeć?

Tak rozważywszy, jakkolwiek pewna otrzymania natychmiast sokoła, skoroby tylko o niego poprosiła, — nie odpowiedziała nic na żądanie to synowi i odeszła. Wkrótce jednak, z pogorszeniem się choroby, miłość dla dziecka zwyciężyła wszystkie jej skrupuły. Monna Giovanna postanowiła bez względu na nic, udać się sama do Federiga i o sokoła prosić.

Rzekła więc do chorego:

— Moje dziecko, pociesz się i staraj wyzdrowieć, a ja ci przyrzekam, że będziesz mieć swego sokoła.

Na drugi dzień zaś rano udała się Monna Giovanna w towarzystwie drugiej damy spacerem do małego domku Federiga. Ponieważ nie był to czas do łowów na ptaki, zapytawszy o niego, dowiedziała się, że rycerz znajduje się w ogrodzie, zajęty jakąś drobną robotą. Federigo, zawiadomiony, kto przyszedł i o niego się pyta, zadziwił się w najwyższym stopniu i z pełnem szacunku pozdrowieniem wybiegł naprzeciwko niej. Ona zaś, uprzejmie ukłon mu oddawszy, odezwała się:

— Dzień dobry, Federigo. Przychodzę tutaj, ażeby wynagrodzić cię za wszystko, coś z mojej winy wycierpiał. Kochałeś mnie bowiem namiętniej, aniżeli dla dobra twojego kochać należało. Nagrodzić cię zaś chcę w ten sposób, że oto proszę, ażebyś mnie wraz z tą damą ugościł dziś po przyjacielsku u siebie obiadem.

— Madonna — odparł na to Federigo z pokorą — nie wiem, o jakich przykrościach mówisz, których tybyś kiedykolwiek przyczyną była; tyle wiem tylko, że jeżeli cokolwiek we mnie dobrego kiedy było, to jedynie przymiotom waszym i miłości dla was mogę zawdzięczyć. A zaiste, te dzisiejsze odwiedziny wasze, jakkolwiek na bardzo nędznego gospodarza trafiły, droższe mi są od wszystkich straconych dostatków. To mówiąc, oprowadzał ją bojaźliwie po domku i ogrodzie. Nie mając jednak nikogo pod ręką, ażeby jej dla towarzystwa zostawić, rzekł:

— Madonna, ponieważ sam tylko tutaj jestem, ta więc oto poczciwa kobieta, żona człowieka, obrabiającego moje pole, towarzystwa wam dotrzyma, dopokąd ja obiadu nie zarządzę. I odszedł.

Dotychczas, jakkolwiek wielkim był jego niedostatek, nie zauważył, ilu rzeczy najpotrzebniejszych rozrzutność go pozbawiła. Teraz jednak, gdy przyszło uczciwie damę ugościć, dla której niegdyś tak świetne uczty wyprawiał, spostrzegł po raz pierwszy nędzę

swoją. Jak w obłędzie, ze ściśniętem sercem biegał tu i owdzie i przeklinał los swój, nie mogąc znaleść ani pieniędzy, ani do sprzedania niczego. Tymczasem godzina obiadowa się zbliżała. Federigo jednak dotąd, pomimo najgorętszej żądzy ugoszczenia damy, nic dla niej nie mógł oprócz najpospolitszych potraw wynaleść. Naraz wpada mu w oczy dzielny sokół jego, siedzący w jadalnym pokoju na drążku. Federigo przystępuje doń i po krótkim namyśle, widząc, że ptak jest tłusty, uznaje to szlachetne stworzenie za potrawę godną damy. Nie namyślając się więc długo, zabija go i rozkazuje służebnej dziewczynie co żywiej oskubać go, przyrządzić, na rożen założyć i troskliwie upiec. Poczem zasłał stół śnieżystym obrusem, jakich mu jeszcze tylko kilka pozostało, i poszedł z wesołem obliczem zaprosić damę do obiadu. Na to podniosła się dama z towarzyszką swoją, przeszły do jadalni i obsługiwane starannie przez Federiga, zjadły dzielnego sokoła, nie wiedząc nawet, co zjadły.

Po wstaniu zaś od stołu i chwilowej jeszcze uprzejmej pogadance, dama sądząc, że pora nadeszła wyznać Federigowi, po co właściwie przybyła, zwróciła się doń z przyjaznem wejrzeniem i tak rzekła:

— Federigo, jeżeli mieć będziesz na pamięci dawny stan swój i moją surowość obyczajów, którą zapewne za nieczułość i okrucieństwo miałeś, to nie wątpię, że osłupiejesz na zuchwałą prośbę, z którą ja tu dzisiaj właściwie przybywam. Gdybyś miał jednak dzieci i tym sposobem pojąć mógł miłość, jaką się dla nich żywi, to pewna jestem, że w części chociaż dzisiejszy krok mój byś usprawiedliwił. Ty nie masz dzieci, ale ja jedynaka posiadam i, nie mogąc się wydrzeć z pod praw ogólnych macierzyńskiej miłości, dla niego oto wbrew chęci mojej, więcej, bo wbrew przyzwoitości i rozsądkowi, widzę się obecnie zmuszoną prosić cię o podarowanie mi przedmiotu, który, wiem, jak ci jest drogim. Tym przedmiotem jest twój sokół i wiem, że nie bez racyi przywiązujesz do niego tak wielką cenę; w nim ci bowiem niełaska losu jedyną radość, pociechę i rozrywkę zostawiła. A jednak prosić cię oń muszę; syn mój bowiem tak niezmierną żądzą posiadania go się zapalił, że drżę, ażeby słabość, której dlatego uległ, nie pogorszyła się, lub śmiertelnego obrotu nie przybrała, jeśli to dziecię tak pożądanego przedmiotu nie otrzyma. Zaklinam cię więc, nie na miłość, którą dla mnie żywisz — ta cię bowiem do niczego względem mnie nie obowiązuje — ale na znaną szlachetność, dobrotliwość i hojność, którą wszystkich przewyższasz, chciej mi podarować tego sokoła, a ja pamiętać zawsze będę, żeś tym darem syna mi zachował i wiecznej wdzięczności dla ciebie czuć nie przestanę.

Federigo, usłyszawszy żądanie damy i pomyślawszy, że mu zadość uczynić nie może, bo sokoła na pokarm dla niej już użył, ani słowa nie znajdując na odpowiedź, począł w obecności jej gorzko płakać. Na ten widok sądziła dama z początku, że łzy te wyciska mu bolesna myśl rozłączenia się z dzielnym sokołem, i już powiedzieć chciała, że woli go nie mieć raczej; wstrzymała się jednak

i oczekiwała na odpowiedź Federiga, który, zapanowawszy wreszcie nad łzami swemi, tak się odezwał:

— Madonno, od kiedy się Bogu podobało serce moje ku wam obrócić, niejedną miałem sposobność doświadczenia niełaski losu i nieraz się nań żaliłem; wszystko to jednak było drobnostką w porównaniu z krzywdą, którą mi obecnie wyrządził. Jakże bowiem zdołam z dolą moją kiedykolwiek się pogodzić, jeżeli pomyślę, że przez jej złośliwość właśnie w chwili, gdyście wy, tak obojętni niegdyś dla bogactw moich, zubożały mój dom nawiedzili, ja nie jestem w możności małego, a tak wam pożądanego podarku ofiarować! Czemu zaś nie jestem w możności, zaraz się dowiecie. Skorom usłyszał, że chcecie w największej łasce waszej obiad u mnie przyjąć, pomyślałem, zważywszy dostojny ród wasz i przymioty, że powinienem, ile sił moich, postarać się o ugoszczenie was potrawami różnemi od tych, jakiemi innych gości częstować się zwykło. I rzuciwszy okiem na mego sokoła, godnym go ust waszych uznałem. Kazałem go więc upiec i podać wam — w przekonaniu, że tym sposobem najlepszy z niego użytek robię. A oto teraz widzę, że żywym byście go mieć pragnęli, i boleść moja stąd, iż waszego rozkazu spełnić nie mogę, jest tak silna, że nie zostawia mi nadziei uspokojenia się kiedykolwiek w życiu.

Po tych słowach i na ich poparcie rozkazał przedstawić jej pióra, szpony i dziób zabitego sokoła.

Dama na ten widok i na te słowa jęła najprzód ganić rycerza za zabicie tak szlachetnego sokoła w celu ugoszczenia niewiasty; za chwilę jednak podziwem się przejęła, zważywszy wielkość jego duszy, której tak sroga nędza nie zdołała dotąd przytępić ani osłabić. Zbywszy jednak wszelkiej nadziei posiadania sokoła, a niespokojna o zdrowie swego syna, pożegnała Federiga ze smutkiem i wróciła z towarzyszką swoją do domu.

Tam czekała na nią rychła i sroga boleść. Niewiadomo bowiem, czy wskutek zmartwienia z powodu niepozyskania sokoła, czy też choroba była już takiego rodzaju, że śmiercią się tylko skończyć mogła, dosyć, że w kilka dni potem syn Monny Giovanny, ku wielkiej jej boleści, rozstał się z tym światem. Matka po tej stracie długi czas we łzach i smutku strawiła. Ponieważ jednak młodą była jeszcze i właścicielką świetnego majątku, napierali na nią tedy bezustannie jej bracia, ażeby nowy wybór uczyniła. Monna Giovanna, pomimo że najchętniej byłaby wdową została, uległa ich przedstawieniom, i tu, wspomniawszy na szlachetność Federiga, której tak zdumiewający złożył dowód w zdarzeniu z sokołem, odpowiedziała tak swoim braciom:

— Najmilej mi byłoby, gdybyście mi pozwolili pozostać przy wdowiej zasłonie; gdy jednak konieczną jest wolą waszą, ażebym w powtórne związki wstąpiła, to, zaiste, wyjdę tylko za Federiga degli Alberighi.

Na te słowa bracia drwić sobie z niej zaczęli, mówiąc:

— Głupiątko, co wyplatasz?! Jakże możesz pójść za człowieka, który nic nie ma.

Ale ona odparła na to:

— Moi bracia, wiem ja dobrze, że tak jest; wolę jednak w każdym razie męża bez majątku, aniżeli majątek bez męża.

Bracia, upewniwszy się o niezachwianem pod tym względem jej postanowieniu, a przytem przekonawszy się, że Federigo pomimo swego ubóstwa, wielce szanownym jest człowiekiem, oddali mu Giovannę wraz z całą jej fortuną. On zaś, pozyskawszy tak szlachetną i nadmiernie przez niego ukochaną małżonkę, a nadto olbrzymi majątek, w ciszy i radości nowe życie rozpoczął.

(Władysław Ordon).

Cały „Dekameron“ Bokacyusza przełożył Władysław Ordon (Lwów, 2 tomy, 1874/5 r.

V. Poezya hiszpańska.

I. Poemat o Cydzie.

Cyd, wywołany z kraju przez Alfonsa, króla Kastylii (za co — niewiadomo, gdyż początek poematu zaginął), w towarzystwie swej skromnej drużyny opuszcza ze smutkiem rodzinny Bivar i przez Burgos podąża do opactwa San Perro de Cardeña, gdzie przebywa jego małżonka Ximena z dwiema córeczkami. Zwierzywszy je opiece miejscowego opata, sam z drużyną, pomnożoną hufcem ochotników, opuszcza granice Kastylii.

Cyd zdążył na noc do Spinar de Kana.
Wczas do pochodu zbierają się zrana,
Liczne rycerstwo dobiegło ich nocą.
Zacny Campeador opuszcza swą ziemię:
W lewo zostaje gród Sevastevana,
W prawo Abelon, kędy Maury władną;
W Alcobihella rzuca kraj kastylski,
Przebrnął na łodziach przez Duero wody,
W Figueruella przystanął obozem.
Zewsząd się garnie rycerska drużyna,
Cyd po wieczerzy legł na twarde łoże,
Niebawem słodki sen padł mu na oczy,
I Gabryel anioł ku niemu się zbliża.
„Śpiesz — rzecze — Cydzie, dobry Campeadorze!
Bieguna w lepszej nie dosiadł nikt dobie,
Pókiś ty żywy, zwycięstwo przy tobie!“
Mój Cyd się zbudził, nakreślił znak krzyża,

Pod wolę bożą oddaje się w skrusze
I sen przyśniony raduje mu duszę.
Nazajutrz rano rycestwo się kwapi,
To dzień ostatni, już zwlóczyć nie wolno;
W Sierra de Medes stanęli taborem,
Jeszcze się słońce nie skryło za chmury.
Liczy Campeador swą drużynę wierną;
Oprócz luzaków i gawiedzi pieszej
Trzysta naliczył proporców u włóczni.
„Nakarmcież konie, polecam was Bogu —
A kto z was głodny, niech na koń nie siada;
Przebędziem Sierra ponure wąwozy,
Kraje Alfonsa opuścim dziś nocą,
Niechże nas potem dogoni, kto śmiały!“
Przeszli w noc Sierrę, zorze zaświtały;
Wnet się w dolinę spuszczą po gór grzbiecie,
Śród skał olbrzymio sterczących ku niebu.
Cyd każe stanąć, koniom dać jęczmienia;
Pośpieszny pochód zaleca drużynie.
Wierne barony przystają ochoczo,
Co wódz rozkaże, dopełnić gotowi;
Nim noc zapadła, biegunów doskoczą.
Ludzkiego oka Cyd pilnie się strzeże,
Idą noc całą niezłomni rycerze,
Z wierną drużyną Cyd zasadzkę czyni;
Przez noc pod grodem sam odprawia czaty.
Tak wtedy rzecze mężny Alvar Fanez:
„W szczęsną godzinę miecz ująłeś, Cydzie!
Wybierz stu dzielnych, tu pozostań z nimi,
Rychło zdobędziem Castejon warowny,
Ja w dwieście koni w głąb kraju się puszczę“.
„Niechże Alvarez z Salvadorem prawym
I Galin Garcia, mąż niezłomny w boju,
Pośpieszą z tobą — Campeador zawoła —
Śmiało z orężem zapuśćcie zagony
Od wyżyn Fita do Guadanaxara!
Niech do Alcali dotrą przednie straże,
Niechże bogate zdobędą nam plony,
Niech wobec Maura nie ustąpią kroku;
Ja w stu rycerzy zostanę w odwodzie,
Wezmę przemocą Castejon warowny.
Gdyby was ciężka spotkała przygoda,
Niech mi co rychlej wieść przyniosą gońce,
A krwawszej zemsty nie zobaczy słońce!“
Mój Cyd naznacza tych, co pomkną przodem,
I tych, co przy nim zostaną pod grodem.
Już brzask zaświtał, wzeszły ranne zorze,
Słońce zabłysło. O, jak cudnie świeci!

Lud w Castejonie zrywa się na nogi,
Odmyka bramy, wybiega na pole,
Spokojnie zwykłą zajmuje się pracą.
Bramy zamczyska rozwarte szeroko:
Wewnątrz została drobna garstka ludu:
Ci, którzy wyszli, rozbiegną się w strony.
Śmiało Campeador z zasadzki wyskoczy,
Do Castejonu pomyka, jak strzała,
Mnogi lud Maurów zagarnia w niewolę,
Zdobywa łupem niezliczone trzody.
Mój Cyd pośpiesza ku rozwartym bramom,
Straż, przerażona zuchwałą napaścią,
Porzuca czaty, umyka w popłochu.
I Cyd Ruy Diaz wkracza w grodu mury,
Nagą szablicę podnosi do góry,
Dwunastu Maurom łby orężem zmiata,
Zdobył Castejon i skarby i złoto;
Gawiedź rycerska wraca łotem skorym,
Składa zdobyty łup przed Campeadorem.

(S. Duchińska).

Tak walcząc ze swoją dzielną drużyną, która się ustawicznie powiększa nowymi ochotnikami, zdobywa Cyd liczne grody i zamki, dzieli się z towarzyszami bogatą zdobyczą, część jej nawet królowi, jako swojemu panu, kilkakrotnie odsyła, wreszcie po trzech latach krwawych zapasów dociera do Walencyi. Drużyna jego liczy w tej chwili 3600 ludzi. Zdobywszy to miasto po dziewięciomiesięcznem oblężeniu, osiada w niem jako lennik Alfonsa, osadza biskupa Hieronima i za pozwoleniem królewskiem sprowadza żonę i córki. Tymczasem Jusuf, król Maroku, podstępuje pod Walencyę z 50 tysiącami żołnierza. Cyd zadaje mu straszną klęskę tak, że z całej tej armii uchodzi żywcem tylko 104 ludzi. Część niezmiernych łupów odsyła Cyd królowi. Wróg Cyda, hrabia Don Garcia, napróżno stara się w oczach Alfonsa obniżyć zasługi Campeadora: król oznajmia posłom Cyda, że przywraca go do łask swoich i że młodzi infanci Carrionu za jego pośrednictwem proszą go o jego córki w małżeństwo; wreszcie dla bliższego porozumienia się w tej sprawie chce osobiście rozmówić się z Cydem. Powolny lennik przybywa nad brzegi Tagu i ugina przed królem kolana; na jego żądanie przyrzeka swoje córki infantom, zabiera ich z sobą do Walencyi i wyprawia wspaniałe gody weselne. Ale infanci okazują się niegodni córek Campeadora. Ośmieszywszy się tchórzowstwem, opuszczają Walencyę i w drodze do Carrionu mszczą się na swoich żonach za doznane upokorzenie i zbite niemiłosiernie porzucają w lesie. Oburzony tem Cyd śle do króla w poselstwie Pero Bermudeza ze skargą na infantów i prośbą o wymiar sprawiedliwości. Alfons zwołuje kortezy do Toledo; na jego groźny rozkaz przybywają i infanci. Cyd żąda od nich najprzód zwrotu mieczów rycerskich, które im podarował, potem posagu, danego córkom. Infanci, myśląc, że tem sprawę załagodzą, czynią zadość jego żądaniom. Ale oto Cyd żąda teraz pojedynku dla pomszczenia honoru córek. Żądanie to wywołuje spory i kłótnie pomiędzy infantami i stronnikami Cyda, a tymczasem stają przed królem królewicze nawarski i aragoński i proszą go o córki Cyda w małżeństwo. Za zgodą ojca król daje im przychylną odpowiedź i stanowi, że sprawę z infantami rozstrzygnie pojedynek trzech rycerzy z każdej strony. Infanci proszą o odwłokę dla należytego uzbrojenia się. Król odkłada więc rozprawę na trzy tygodnie i wyznacza dla niej miejsce w Carrionie. Cyd powierza ją trzem swoim rycerzom: Pero Bermudezowi, Antolinezowi i Munio Gustiozowi, a sam ze czcią pożegnawszy króla, wraca do Walencyi. W dniu oznaczonym, w obecności monarchy, sędziów i licznego tłumu odbywa się pojedynek. Infanci zostają pokonani i zwycięzcy pośpieszają z pożądaną

wiadomością do Walencyi. Tu Cyd wydaje za mąż swoje córki i w czas jakiś potem umiera. — Poemat, liczący 3744 wiersze, wszystkie wydarzenia opiewa szczegółowo z kronikarską dokładnością.

„Poemat o Cydzie“ w polskim przekładzie S. Duchińskiej wydrukowała Biblioteka Warszawska (1866, tom III).

II. Z Romancero o Cydzie.

Złamany trudem, niemocą złożony,
Mój Cyd Campeador zaległ twarde łoże:
„Biada ci, grodzie! — woła lud strwożony — [1])
Srogi król Bular zdąża tu przez morze,
Trzydziestu królów wiedzie pan Maroko,
A każdy mężnie na krwawy bój śpieszy,
Łodzie wybrzeże zaległy szeroko,
Tłumnie się garnie lud konny i pieszy“.
Mój Cyd w niemocy zaległ twarde łoże,
A myśl ku niebu zasyła zbolałą:
„Panie zastępów — zawoła w pokorze,
Z ciężkiej przygody wyprowadź mię cało!“
Wtem u wezgłowia przy Cydowym boku
Mąż się pojawa w słonecznej koronie,
Promień przeczysty jaśnieje mu w oku,
Cudne komnatę napełniły wonie.
„Sen li, Rodrygu, twe powieki wiąże?
Zbudź się!“ — „Kto jesteś?“ Campeador zawoła.
„Jam jest Piotr Rybak, apostołów książę.
To ci oznajmię, o czem nie wiesz zgoła:
Już świat znikomy żegnać ci przystało,
Bóg do innego wnet powoła ciebie,
Gdzie wiekuistą otoczeni chwałą
Z chórem aniołów żyją święci w niebie.
Gdy dni trzydzieści w przeszłość się potoczy,
Sen wiekuisty spadnie ci na oczy.
Wielkie twe, Cydzie, zasługi przed Bogiem!
Cud też wywoła niezłomna twa wiara,
Pan ci po skonie da przemódz nad wrogiem,
Zmarły pokonasz zastępy Bukara.
Gdy w trupią rękę szablę ujmiesz nagą,
Dzielnie cię wesprze apostoł San Jago[2]).
Teraz, Rodrygu, wielki Campeadorze,
Za grzechy twoje w proch ukorz się cały.
Ściągnij modlitwą miłosierdzie boże,
By cię po skonie wziął Pan do swej chwały.

[1]) Rzecz dzieje się w Walencyi zdobytej przez Cyda na niewiernych.
[2]) Święty Jakób — patron Hiszpanii; relikwie tego apostoła złożone są w Compostelli.

Zdrój łask tajemny z niebiosów ci spłynie,
Boś ty w Cardeña mą poczcił świątynię“ [1]).
Słyszy to Rodryg — pociecha nieznana
Krzepi mu serce, odgania cień trwogi,
Zrywa się z łoża, pada na kolana,
Rad ucałować apostoła nogi.
„Wstań! mnie twych hołdów, Rodrygu, nie trzeba,
Mych stóp nie sięgniesz, ni skraju mej szaty,
Lecz zawierz słowu!“ — I ubiegł do nieba.
Cyd sam wśród pustej pozostał komnaty,
Radosny w sercu zaległ twarde łoże
I ciche modły śle Bogu w pokorze.

(Wolny przekład S. Duchińskiej).

III. Romance.

I.

Źródło świeże, źródło świeże,
Miłośnego upojenia,
Dokąd goni rój ptaszęcy?
Goni szukać pocieszenia,
Krom gołąbki, smutnej wdowy,
Co tęsknotą dnie swe liczy.
— Tędy, tędy szedł przed chwilą
Szalbierz nędzny, wróg słowiczy.
Słowa, które rzucił do mnie,
Zawierały pełną zdradę:
— „Jeśli żądasz, o seńoro,
Swojeć służby do stóp kładę!“
— „Precz stąd, precz, nieprzyjacielu,
Zły, okrutny, oszukańczy,
Co zieloną gałąź mijasz,
Ani kwietna błoń cię niańczy.
Gdyś odnalazł wodę jasną,
Pomieszana jam ją piła,
Dziś mnie żaden mąż nie nęci,
Nie chcę, abym matką była!
Ja nie szukam tam rozkoszy,
Ni uciechy, wrogu smutny!
Idź odemnie, idź odemnie,
Zły, przewrotny i okrutny,
Ani przyjaciółkę we mnie,
Ani żonę znajdziesz we mnie!“

II.

„Różo[1]) świeża, pełna czaru,
Co miłości jesteś posłem,
Gdym w ramionach tulił ciebie,
Żadnych tobie służb nie niosłem.
Dzisiaj chciałbym służyć tobie,
Lecz nie mogę mieć cię, różo!“
„Ty, mój druhu, nie jam winna,
Twoje sługi źle ci służą.
Jeden z posłów tu przybyły,
Popsuł sprawę, chybił celu,
Oświadczając, żeś był dawniej
Już żonaty, przyjacielu;
Żeś kobietę pojął piękną,
Gdyś w Leonu ziemiach siedział;
Miałeś dzieci, kwiaty istne“...
— „Skłamał, ktobądź tak powiedział!
Nie zwiedzałem ziem Kastylii,
Ni Leonu posiadłości,
Dzieckiem chyba, gdym nie wiedział
Nic, co znaczy czar miłości“.

III.

A cóż to jest za rycerz ony
Haniebnej zdrady sprawca?
To Ruy Velasquez de Lara,
Synowców swych sprzedawca.

[1]) Klasztor i kościół pod wezwaniem św. Piotra w Cardeña został ufundowany przez Cyda.
[2]) Róża — dwuznacznie: jako kwiat i jako imię.

On na równinach Almenary
Rzekł do królewskich dzieci,
By szły na zbrojne szyki Maurów,
On z niemi wraz poleci.
I mówił im o łupach wielkich
I o mnogości jeńców,
I tą nadzieją dumę mężów
Rozbudził wśród młodzieńców.
Tysięcy dziesięć Maurów wyszło,
Rozwiane drżą sztandary —
Infanci zapytują stryja:
Co znaczy tłum ten szary?
— „Bez trwogi, moi synowcowie!
Velasquez im odrzecze —
To Maur nikczemny, tchórz wiadomy,
Co, widząc was, ucieczе.
Lecz gdyby śmieli czoło stawić,
Z pomocną przyjdę dłonią,
Walczyłem z niemi — nie umieją
Rycerską władać bronią!
Wpadnijcie na nich, synowcowie,
Precz podłość! strach precz blady!“
Obłudne słowa, kłamstwem brzmiące,
Nikczemnej pełne zdrady!
Infanci z sercem dobrej wiary
Do wrogów się zbliżają —
A liczba ich rycerzy — dwustu,
Ci przy nich straż trzymają.
Wtem Velasquez, rzuca chrześcian,
Do Maurów śpieszy śmiało
I szepce im, by nikt z infantów
Nie wyszedł z boju cało.
„Mordujcie ich! ja nie oszczędzę
Infantów jednej głowy!
A liczba ich rycerzy — dwustu!
To cały szyk bojowy!“

(Kazimierz Gliński).

VI. Poezya starogermańska.

I. Beowulf.

Rzecz się dzieje nad brzegami morza północnego, gdzie poeta ukazuje nam Beowulfa, księcia Jutów czyli Gotów, wasala Higelaka, króla Anglów, jak wyrusza z wierną drużyną, szukając sławy w awanturniczych wycieczkach. Na długo przedtem Hrotgar, król Duńczyków, wyprawiał na okręcie ucztę dla swych mężnych wasalów, których miał obdarzać złotymi naramiennikami. Skald, obecny uczcie, opiewał początek wszechrzeczy, bunt szatanów, śmierć Abla, zbrodnię Kaina, początek jotów, alfów, słowem wszelkich istot złośliwych, szkodzących plemieniu ludzkiemu. Tej samej nocy Grendel, potwór obdarzony mocą czarodziejską, zabił we śnie 30 najdzielniejszych rycerzy duńskich. Wszystko, co żyje, przejęte jest trwogą, oburzeniem, a król od dwunastu lat jęczy nad owym bezkarnym mordem, gdy statek Beowulf'a, kołysząc się jak łabędź biały na falach oceanu, przybija nagle do brzegu. Na hasło czujnej straży młody książę staje przed królem, przyrzeka mu pomoc i zemstę nad Grendelem. Wezwany, aby wylądował, pomimo oporu Wulfgora, wodza Wendów, przyjętym jest nader świetnie przez Hrothgara, który poznaje w nim dzielnego rycerza. Beowulf zyskał sobie odrazu powszechny szacunek, wymową pełną szlachetności, a skromności:

„Szlachetny królu Duńczyków — rzecze on — opiekunie zbrojnych rycerzy! przedstawiam ci mą prośbę, słuchaj mię, nadziejo wa-

lecznych, ukochany monarcho twego ludu! Widzisz mię na czele moich dzielnych, pozwól mi walczyć w swej sprawie.

„Mówią, że olbrzym Grendel nie sroma się żadnej ludzkiej broni, mniejsza o wszystko, byle się uradowało serce Higelaka! Chwytam miecz, szeroką tarczę, wdziewam świecącą zbroję i rozpoczynam bój. Bez trwogi zetrę się z potworem, a nienawiść moja stawi czoło jego nienawiści!

„Gdyby mię jednak śmierć spotkać miała w boju, każ pogrzebać moje zwłoki, ale niech łzy nie płyną na pogrzebowej stypie, niech kwiat naznaczy grób samotnego wędrowca, a niechaj nikogo mój zgon nie zasmuci!

Tknięty szlachetnemi słowy Hrothgar, świetnie przyjmuje gościa. W czasie uczty Beowulf na wezwanie innego, zawistnego mu wodza, opowiada swe czyny na dalekich wybrzeżach. Królowa wnet podaje mu honorową czarę, rycerz z wdzięcznym przyjmuje ją uśmiechem; skald przyzywa opieki niebios, aby znów, jak niegdyś, czuwała nad królewskim zamkiem, a radosna nadzieja budzi się we wszystkich sercach. Nadchodzi noc, z łona bagnisk wzlata duch złośliwy, otulony we mgłę szarą, snującą się u gór podnóża, przelatuje wpośród uśpionych rycerzy, a wściekły gniewem, zbliża się do Beowulfa i zaczepia jednego z jego podwładnych wojowników. Budzi się bohater, walczy z Grendelem i zmusza go do ucieczki. Nowa radość, nowa uczta w zamku. Król daje Beowulfowi bogatą chorągiew, hełm, zbroję, miecz, i obsypuje go dostojeństwy; królowa wita go, jak syna, a skald opiewa przy dźwięku harfy, pamiętne jego zwycięstwo nad królem Finów, czem podnieca powszechny zapał. Ale noc niesie nowe troski: albowiem straszliwa wróżka, matka Grendela, przedziera się do zamku i odbiera życie najdroższemu przyjacielowi Beowulfa. Ten zaprzysięga w uniesieniu boleści zgładzić poczwarę wraz z matką. Zbroi się następnie do walki, żegna Hrothgara i jedzie z walecznym zastępem nad bagnisko, nawiedzane przez złe duchy. Wróżka wpada na niego nagle pod postacią morskiej wilczycy. Beowulf uderza ją szablą, ale ostrze żelaza odbija się o chropowatą skórę potworu. Beowulf blizkim jest zguby, gdy wtem dostrzega miecz stary, zawieszony na skale; chwyta go i jednem cięciem rani śmiertelnie wróżkę. Grendel chce pomścić matkę, ale po długim a strasznym boju, pada pod pociskiem zaczarowanego miecza. Beowulf powraca w tryumfie, niosąc głowę Grendela i broń starożytną, na której Hrothgar poznaje runy z czasów potopu. Bohater okryty błogosławieństwy, wraca do Higelaka, lennego swego monarchy, który ogłasza go następcą. Jakoż niebawem wstępuje na tron, rządzi królestwem Anglów; trzydziestu zwycięstwy rozszerza granice państwa i po pięćdziesięcioletniem panowaniu ginie w walce ze smokiem, któremu zabiera pilnowane przezeń skarby.

Powstaje dzielny bohater, a przysłonion tarczą, groźnym hełmem na głowie, cały okryty zbroją, idzie do podnóża skały, ufny w własnej odwadze. Wonczas przygląda się wyszczerbionej skale on rycerz potężny, który tylokrotnie patrzał na krwawe boje, walcząc na czele nieustraszonych zastępów. Widzi sklepienie kamienne, skąd wypływa ognista rzeka, a nikt nie może zbliżyć się do skarbu, nie przekroczywszy płomieni buchających z paszczy smoka, który spoczywa w głębi jaskini. Okrzyk gniewu wybiega z piersi króla Anglów. Rycerz z dzielnem sercem zżyma się, głos jego grzmiący przenika otchłań, smok drży zdjęty trwogą, poznaje głos człowieka i wpada nań zajadle.

Ziemia wstrzęsła się, rycerz stał u stóp wzgórza, słoniąc pierś tarczą przed pociskiem wroga: dobry król uniósł miecz w górę zaczarowany, odziedziczon niegdyś, a którego ostrze było dotąd tak

strasznem. Wyciąga król Anglów prawicę, uderza srogiego nieprzyjaciela, uderza, ale ostrze ślizga się po czarnych łuskach, miecz niezwalczony zawiódł Beowulfa! Smok rzuca się jednym poskokiem wściekły od gniewu, wyrzuca z paszczy gorący płomień, wraz z wilgotnemi wyziewy. Już król Anglów nie chlubi się zwycięstwem, miecz zawiódł jego dłoń rozbrojoną w walce, nie tego spodziewał się po jego nieprzezwyciężonem ostrzu! O! jakby monarcha rad się ujrzał w tej chwili wśród murów swego grodu. Jakież męki cierpiał, ogarnion płomieńmi, ten, który niegdyś przewodził ludom.

Wiglaf, młody rycerz, stojąc na uboczu, dostrzegł, jak upadł monarcha pod śmiertelnym pociskiem. Wspomniał na otrzymane zaszczyty z jego ręki, na piękne włości, dostojeństwa udzielone niegdyś jego ojcu. Nie może się powstrzymać, chwyta puklerz lipowy, przypasuje miecz praojców; „pomnę — mówi w duchu — owe czasy, gdyśmy popijali miód wesoło, gdy król w biesiadniczej sali rozdawał nam naramienniki złote, przyrzekaliśmy wypłacić się w dzień walki, gdyby mu nieszczęście grozić miało, przyrzekaliśmy mu służyć hełmem i orężem!“

I w tejże chwili rzuca się w tuman płomieni, cały zbrojny, zasłania wodza, przemawiając w te słowa: „Dobry królu Beowulfie! pomnij, jak w czasach młodości przyrzekałeś nie ociągać się z zemstą, teraz, wodzu nieustraszony, sławny z tylu wypraw, należy całą siłą bronić twego żywota. Otóż jestem wierny przy twoim boku“. Wonczas król odzyskał przytomność, podniósł w górę nóż wojenny, ostry i kończasty, który nosił przytwierdzony do pancerza, a skupiwszy całą swą siłę, uderzył nim smoka.

Uczuł jednak Beowulf, że rannym jest śmiertelnie i ozwał się temi słowy:

„Przez lat pięćdziesiąt byłem panem narodu, a żaden król sąsiedni nie śmiał mię zaczepić. Przeżyłem na ziemi czas, przeznaczony mi z wyższych wyroków. Czuwałem, jakem był powinien, nad daną mi własnością, nie szukałem próżnych sporów, nie trwoniłem fałszywych przysiąg; owóż dziś ranny śmiertelnik, mogę się jeszcze weselić, albowiem Stwórca ludzi nie zarzuci mi zbrodni, gdy duch mój rozłączy się z ciałem“.

Wtedy Wiglaf na rozkaz rannego pana wszedł do jaskini. Ujrzał tam złote czasze, któremi pili dawni ludzie, ujrzał rdzą pokryte hełmy i wiele drogocennych klejnotów. Skarb ten przechodził wszelkie inne ukryte kiedykolwiek w łonie ziemi. Wiglaf ujrzał także znaki złote rzeźbione pod sklepieniem, znaki cudowne, kreślone czarodziejską sztuką, które rzucały tyle światła, że bohater mógł się cieszyć z oddali widokiem dokonanej zemsty. Beowulf wyrzekł po raz ostatni: „W młodości jak i w starości lubiłem siać złoto wokoło siebie; dzięki składam Bogu, Stwórcy przedwiecznemu, iż mi dozwolił przed śmiercią zdobyć takie skarby dla moich wiernych rycerzy; pragnę, aby je zachowano na potrzeby ludzi. Niedługo już będę z wami; skoro zagaśnie płomień mego stosu, nie-

chaj mi usypią wielką mogiłę na szczycie przylądka, aby mi była wiecznotrwałym u narodu pomnikiem; aby w czasy dalekie żeglarz, płynąc wzdłuż tych brzegów po ciemnych falach oceanu, wskazywał ją i wspominał imię Beowulfa!“

Seweryna Pruszakowa.

II. Edda.

1. Widzenie Wöli (Völuspa).

1. Milczcie a słuchajcie, świętego rodu więksi i mniejsi towarzysze Heimdalla[1]). Walfodura[2]) sztuki chcę opowiedzieć — starodawne powieści. Nic dawniejszego nie znam!
2. Są mi olbrzymi wiadomi! Pierwociny rodu, od nich zachowane, chcę opowiedzieć. Dziewięć światów, dziewięć przestrzeni i więcej; środek, wielkość i tego pył.
3. Dawny jest wiek, kiedy Imer[3]) żył; ni piasku, ni morza, ani wiatru nie było. Nikt ziemi nie widział, ani w górze nieba: pusta przestrzeń, nigdzie trawy.
4. Nim Bura[4]) syny dźwignęli grunt i warowny Mitgard gotowy był, gorejące ukazało się słońce na budowy kamieniach, posada była zieloną, od ziela zielono lśniąca.
5. Słońce rzuciło światło, księżyc po prawej biegł stronie u bram nieba. O swym domu nic wiedziało słońce, ni gwiazdy o swym stanie, księżyc nie znał swej mocy.
6. Radzić zasiedli pany, święci władcy; noc i nów imię zyskały, ranek i południe, by nimi starość i lata mierzyć.
7. Zgromadzenie Asów[5]) stawiało na górach boginiom i bogom ołtarze, gorzały piece, przygotowywano cęgi i kowalskie narzędzia.
8. Wesoło i błogo igrali; nie znali, co to złota pragnąć; aż trzy dziewice Thursów[6]), mocą obdarzone, z olbrzymów przybyły kraju.

W dziewięciu następnych strofach pieśniarz mówi o karłach (Dwergach) i wylicza ich nazwiska. Postacie ludzkie lepili karli z ziemi, ale były one martwe. Nazwiska pierwszych ludzi są: Aske i Embla. O ich ożywieniu tak mówi pieśniarz:

17. Słabych znaleźli ludzi, bez sił męża i niewiastę.
18. Bez życia, bez mowy, ni tchnienia, ni oczu, bez ludzkiego wejrzenia. Życie dał Odin, mowę Härner, tchnienie i ludzkie wejrzenie Lopter.

[1]) Heimdall — praojciec; wedle nowej Eddy — straż bogów.
[2]) Walfodur — ojciec światów.
[3]) Imer — prarodzic olbrzymów.
[4]) Bur (Bör), którego przedwieczna krowa wylizała językiem z bryły lodu, był ojcem: Odina, Wili i We; przez nich jest on prarodzicem bogów.
[5]) Asy — to ogólna nazwa bogów.
[6]) Thursowie — olbrzymowie.

19. Święty jesion Iggdrasill wiem, gdzie stoi błyszczący i bogaty; rosa z niego na dolinę ocieka. Nieuszkodzony stoi w studni przeszłości.
20. Trzy dziewice wystąpiły, wiele wiedzące z owej studni z pod drzewa: Przeszłość *(Urd)* zowie się jedna, druga Teraźniejszość *(Verdanda)*, szybka jest na łyżwie trzecia — Przyszłość *(Skulda)*.
21. Nadały i wybrały prawa — los stanowiący o dzieciach czasu. — Wiecież co więcej? i co? Wiem o pierwszym na świecie ludów mordzie, gdy Chciwość złota powstała, nawet przybytki Wyniosłego[1]) zapaliła.
22. Trzykroć spalona, trzykroć odrodzona, upragniona, żyje dotąd. Gdzie się zbliży, tam bogactwa ma imię; gdzie przybyła, czarodziejką była i jest; zła bogini, od każdego miłowana.
23. Radzić zasiedli pany, święci władcy, czyby Asy powściągnąć nie zdołali i wzbronić pierwszeństwa.
24. Odin rzucił między ludy broń, stąd była pierwsza wojna na świecie. Popsute były i połamane ściany grodu Asów przez wojska Wanów[2]).

W dalszych strofach przedstawia pieśniarz zamieszanie w przyrodzie, zaćmienie Frei, bogini światła, pojawienie się walkiryj.

31. Widziałem Baldera, w bitwie skrwawionego syna Odina; los go ściga. Wola najwyższa stała w polu, chuda i znużona jak jemioły rózga.
32. Z tej rośliny wyrosły zmartwienia serca. Haudur[3]) nią trącił Baldera, którego brat starszy, syn Odina, jednonocnego (Haudura) zabił.
33. Nie umył rąk, nie czesał włosów, aż zgładził zabójcę Baldera. Głośno narzekała Frygga w przybytkach Fensalu przy straży Wallhalla! Wiecież co więcej? i co?

W następnych strofach opisuje pieśniarz siedzibę olbrzymów, kreśli upadek władcy Asów:

41. Biją się i zabijają bracia! Pokrewni związki krwi potargają. Świat pełen niedoli i wielkiej rozpusty! Wiek siekiery i miecza! Kruszą się tarcze, czas dziczy i zawichrzeń pełny przed końcem świata! Człowiek nie oszczędzi człowieka.
42. Igrają dzieci olbrzymów; kipi ziemia w płomieniach! Najgłośniejszym rogiem trąbi wysoko w powietrze Heimdall. Z głową Mimera[4]) rozmawia Odin; swobodnie się Imer podnosi; jesion Iggdrasil wstrząśniony.

[1]) Wyniosły — przydomek Odina.
[2]) Inny ród bogów.
[3]) Haudur, jeden z Asów, ślepy, lecz bardzo silny.
[4]) Mimer został zabity, ale głowę jego zachował Odin przy życiu i naradza się z nią w trudnych okolicznościach.

43. Chciwie wyje Garmur[1]), zrywa łańcuchy, za Żarłocznym[2]) pędzi. Hrimur[1]) ze wschodu wojowniki wiedzie. W olbrzymich kłębach podnosi się wąż z pośród morza; ulatuje orzeł i szarpie zwłoki.
44. Wypływa statek z paznogci[3]) ze wschodu i na nim syny ognia, z płomienia ludzie pod sterem Loka; pojeżdżają dzieci błazna z Żarłocznym.
45. Cóż wy Asy? co wy Alfy? Drży świat olbrzymi, Asy się gromadzą; jęczą Karli w kamiennych kryjówkach, widzący góry. Wiecież co więcej? i co?
46. Z południa zbliża się Surtur[4]) z błyszczącą bronią; jakby zachodzące słońce połyskuje miecz jego! Wstrząśniona ziemia, skruszone skały, drogi piekieł echa powtarzają, niebo się pęka!
47. Śmiało Odin występuje przeciw Fenrisowi[5]), któremu pomaga Surtur, Beli zwycięzca. Friggi małżonek, wąsza, królowie, pociecha, upada.
48. Wtedy dzielny syn (Odina) Widar staje ze zwierzem do walki. Miecz swój silnie przez paszczę w serce zatapia. Tak się pomści ojca!
49. Rzuca się wściekły brat wilka; zachodzi mu drogę silny syn Odina — Thor, zabija węża, niegdyś ziemię otaczającego. Patrzcie, śmiertelnicy! dziewięć kroków cofa się przed płynącym jadem węża syn Odina.
50. Czernieje słońce, w morzu tonie ziemia! nikną z nieba gwiazdy w ostatnim dniu, sroży się ogień wznoszącemi się ku niebu płomieniami.

W końcowych zwrotkach pieśni zapowiedziany jest świat nowy, który wraz z powrotem niewinnie zabitego Baldera zajaśnieje.

56. Patrzcie! oto dom połyskuje, jak ogień słoneczny i bardziej złocisto. Imię jego Gimli (niebo). W nim po wszystkie czasy zamieszkają ludy i użyją dobrego.
57. Zasiada mocny, przed wszystkiem pierwszy, wszystkiemu rozkazujący, na wysokim sądzie; On wyrokuje, On decyduje, co ustanowi, to nie przeminie.
59. Patrzcie! oto stoi dom opodal od słońca, z drzwiami na północ. Krople trucizny z okien spadają, z kolców zbudowany, jest mieszkaniem wężów.
60. Patrzcie! przez bystrą tam przebywają rzekę winowajcy, krzywoprzysięzcy, mordercy i inni miłością uwodzący; tam gryzie Nydhoggur[6]) ciała umarłych, szarpie i płata. Wiecież co więcej? i co?

(Joachim Lelewel).

[1]) Praojcowie rodu olbrzymów.
[2]) Przydomek węża piekielnego Fenrisa.
[3]) Statek trupów, powstały z obrzynków paznogci.
[4]) Olbrzym siedzący z mieczem ognistym na granicy Muspelheimu.
[5]) Wilk piekielny.
[6]) Jeden z wężów piekielnych, mściciel nieprawości.

2. Odebranie młota.

Thor się obudził, nie znalazł młota,
Szuka daremnie, gniewny się miota,
Potrząsa brodą, dłońmi silnemi
Rzuca wokoło, gniewny syn ziemi.
I taką mową do Loka mówi:
— Usłysz przygodę zaszłą Thorowi!
Niebu i ziemi zbrodnia nieznana!
Oto skradziono młot Asa pana.
Poszli do Fryggi błyszczącej sali,
I taką mową z nią rozmawiali:
— Obdarz mnie, Fryggo, ptaszęcym [lotem,
Bo muszę śpieszyć za Thora młotem.

Frygga.

— Żądaj ode mnie srebra i złota,
Wszystko mieć będziesz, a szukaj [młota.—
Szybkiemi pióry, leci Lok z góry
I wnet się z granic bogów dostaje,
Między olbrzymie przybywa kraje.
Thrym, król olbrzymów, siedzi na [górze,
Wiąże psom swoim złote obróże,
I koniom rżącym na głuche niwy,
Czesze ogony i gładzi grzywy.

Thrym.

Cóż robią duchy, co bogi w niebie
Co w kraj olbrzymów sprowadza [ciebie?

Loke.

Duchom i bogom biada i trwoga!
Powiedz, czyś młota nie widział boga!

Thrym.

Jam go zakopał dłońmi własnemi,
Leży mil osiem głęboko w ziemi,
Ale go w niebie nikt nie posiędzie,
Póki mi Fraja żoną nie będzie.

Szybkiemi pióry pędzi do góry,
Wnet Lok zostawia olbrzymie kraje,
I w grodzie bogów z piorunem staje;
W dworcu Thor drogę zaszedł posłowi
I taką mową do niego mówi:
— Jeśli poselstwo dobrze sprawione;
Powiedz z powietrza wieści pragnione,
Często siedzącym urywa się mowa,
Często leżących kłamliwe są słowa.

Loke.

Nie nadaremne moje szukanie,
Thrym, król olbrzymów, ma twój młot, [panie!
Rzekł, iż go w niebie nikt nie posiędzie,
Póki mu Fraja żoną nie będzie.
Wnet oba poszli do Frai sali
I taką mową z nią rozmawiali:
— Frajo! wdziej szaty weselne twoje,
Do Jetunhejmu pójdziem oboje!
Fraja zgrzytnęła, wstrzęsła się cała
Posada bogów pod nią zadrżała:
— Jeśli co Fraję w tę podróż skłoni,
Rzekną, że ona za łożem goni.
Wszyscy do sali przyszli bogowie
I z boginiami w długiej rozmowie,
Myślą i radzą, godzą się, kłócą,
Jak młot, Thorowi wzięty, powrócą,
Aż Hejmdall wyrzekł światłem odziany,
On znał już wszystko, jak inne Wany:
— Thor niech w niewieści strój się [osłoni.
Klejnot błyszczący weźmie do dłoni,
Niech wiązka kluczów będzie mu dana,
Szata niewieścia słoni kolana,
W drogie kamienie strojny wokoło,
Niechaj przepaską okoli czoło.
Kiedy tę mowę słyszą bogowie,
Thor, bóg przeważny tak do nich powie:
— We wszystkich Asach szydny śmiech [wzniecę,
Gdy na mnie zoczą szaty kobiece.
Na to rzekł Loke, syn Laufejowy:
— Milcz lepiej, Thorze, z takiemi słowy;
Jeśli wrócony młot ci nie będzie,
Wnet ród olbrzymów Asgard posiędzie.

W niewieście Thora ubrano szaty,
Rękę ozdobił w klejnot bogaty,
I wiązka kluczów była mu dana,
Szata weselna słoni kolana,

W drogie kamienie strojny wokoło,
Świetna przepaska okola czoło.
A na to Loke, syn Laufejowy,
Z takiemi jeszcze ozwał się słowy:
— Ja służebnicy wnet szatę kładę,
Do Jetunhejmu z tobą pojadę.
Z paszy na dworzec spędzają kozły,
Gdy Thora szybko w Jetunhejm wiozły,
Jęczały góry, trzeszczały skały,
Płomienie ziemię obejmowały.
Na to król Thursów tak zapowiada:
— Wstańcie olbrzymy, spędzajcie stada
Bo z Noatunu w hołdzie od Thora
Do mnie przybywa Nierda córa.[1])
I złotorogie spędzają woły,
Każe słać łoże olbrzym wesoły.
— Mam ja bogactwa nieocenione,
Zbywało tylko Frai za żonę.
Wczas przed wieczorem stoły nakryją,
Olbrzymy jedzą i piwo piją;
Jeden największy olbrzym u stołu,
Zjadł ośm szczupaków, całego wołu,
Wszystkie łakocie dla bogów rodu,
Mąż Sifi[2]) wiadro wyciągnął miodu.
Na to Thrym olbrzym zachmurzył lice,
— Kiedyż, rzekł, tyle jadły dziewice?
Gdzie narzeczone boskiego rodu,
Tyle przed ślubem wypiły miodu?
Wtem się przybliża chytra służąca
I do rozmowy zdradnie się wtrąca:
Osiem dni całych Fraja nie jadła,
W żądzy, by z Thrymem do stołu siadła.
Gdy Thrym zalotny chciał tknąć zasłony,
Odskoczył — wszystkie wstrzęsły się [strony,
Jakim, rzekł, gniewem Frai twarz [błyska?
Zda się, że z oczu płomienie ciska.
Wtem jeszcze bliżej staje służąca,
I do rozmowy chytrze się wtrąca:
— Osiem dni całych Fraja nie spała,
Na Jetunhejmu łoże czekała.
Na to olbrzyma siostra przybywa,
O dar weselny surowo wzywa:
— Daj mi z tej ręki złote pierścienie,
Jeżeli laskę moją masz w cenie.
Wtedy król Thursów ten rozkaz daje:
— Młot mi przynieście, niech uczczę [Fraję,
Złóżcie miazgacza na Frai łonie,
Niechaj nas Wary[3]) poświęcą dłonie.
Rozśmiał się w sercu Thor ucieszony,
Kiedy zobaczył młot swój wniesiony,
Chwyta go, naprzód mści się na [Thrymie.
Potem druzgoce ludy olbrzymie.
Tej, co wołała o dar weselny,
Siostrze olbrzyma dał cios śmiertelny,
Piorun jej błysnął na miejscu złota;
Tak syn Odina wrócił do młota.

(Kazimierz Brodziński).

3. Z Pieśni Odina (Havamal).

Człowieka wolnego znam troskę jedyną,
Gdy kochać nie może.
Doznałem ja tego! Zmartwiony dziewczyną,
Wiem, czego się trwożę.
Myśli wiadome serca zapały!
Chociażem cały
Mojej dziewczynie oddany został.
Jam jej nie dostał.
Bielsza od światła, panienka boża,
Widzę, usnęła słodko wśród łoża.
Gładką jej postać
Myślę jak dostać.

[1]) To jest: Freja, Frygga.
[2]) Thor.
[3]) Obietnicy.

„Chcesz panienkę zyskać, idź wieczór w podwoje,
Niech więcej nikt nie wie, tylko was oboje".
Żądze-m powściągnął, odbiegł radosny,
Bom zjednać pragnął uśmiech miłosny.
Wracam do panny. — Nie śpi gospoda,
Biega ze światłem. — Owóż przeszkoda!
Przyjdę ja zrana! — Czeladź zaspana.
Moja sama. — Lecz — któż się odważy?
Koło jej łóżka piesek na straży!
A któżby przezornie
Skromnego nie zwrócił kroku?
Zwróciłem pokornie,
Doznawszy śpiącej uroku.
Dary hołdu mego złotem, srebrem słyną;
Bez żalu je złożę!
Bo człeka wolnego znam rozkosz jedyną,
Gdy kochać się może.

(U *Lelewela*, przekład bezimienny).

Skrócony przekład Eddy dał Joachim Lelewel p. t. „Edda to jest księga religii dawnych Skandynawii mieszkańców", 1-sze wydanie 1807 Wilno, 2-gie znacznie powiększone, tamże, 1828 r.

VII. Poezya niemiecka.

I. Pieśń o Nibelungach.

Zygfryd, syn potężnego króla nad Renem, pociągnięty wieścią o niezrównanej piękności Krymhildy, księżniczki burgundzkiej, zostającej pod opieką trzech braci Guntera, Gernota i Giselhera, chcąc się przekonać osobiście o prawdzie wieści, jedzie do Burgundyi na czele świetnego orszaku i po wielu dniach drogi, przybywszy na granicę wyzywa wedle obyczaju Skandynawów samego króla na pojedynek. Wyzwania król nie uwzględnia; młody rycerz wjeżdża do miasta, gdzie go przyjmują z wielkiemi oznakami czci wasale i damy, wśród których napróżno wypatruje Krymhildy. Księżniczka wszelako, ukryta w pałacu, dostrzegła przez kratę wspaniałe czoło, szlachetną postawę i rycerską piękność Zygfryda; miłość już panuje w jej sercu, chociaż się ona tego nie domyśla, mniemając, że oddaje tylko hołd przynależny zasłudze. Zygfryd ma niebawem sposobność okazania swej dzielności gościnnemu monarsze, któremu królowie Saksonii i Danii zagrozili wojną. Młodzian bierze udział w walce i w samym jej początku zabiera dwu królów do niewoli. Wdzięczny Gunter pozwala mu za powrotem widzieć piękną księżniczkę, ku której serce jego już biło od dawna.

Weszła wreszcie królewna, jak poranna zorza
Śród ciemnych chmur wykwita: więc wesołość hoża

Zabłysła w sercu tego, co jej zdawna stały,
Kiedy się jego oczy z jej wzrokiem spotkały.

Bije blask od klejnotów, co jej zdobią szaty,
Lecz jaśniejszym lśnią blaskiem rumieńca szkarłaty.
Takiej krasy, tych wdzięków na niewieściej twarzy
Nie zobaczy na jawie, we śnie nie wymarzy.

Jako nad inne gwiazdy świeci blask miesiąca,
Co promieniem srebrzystym ciemnię chmur roztrąca,
Tak ona po nad wszystkie lśni w urody wiośnie:
Młodzi patrzą z podziwem, a serce w nich rośnie.

I mimo podkomorzych, co szli ławą zwartą,
Ten i ów się wysuwa, chęcią nieprzepartą
Pędzony, by ją ujrzeć, napatrzeć się z blizka.
Zygfryd i rad był i znów serce żal mu ściska.

Pomyślał: „Czy być może, by węzeł dozgonny
„Mnie te wdzięki przeznaczył? Szał to chyba płonny!
„Ale zrzec się? Nie! Raczej rozbrat z życiem całem!“
To bladł, to znów pokraśniał pod myśli nawałem.

A tak pięknym był dzielny Zygmuntowic ninie,
Jakby go świadom sztuki mistrz na pergaminie
Wymalował, bo szczęściem i trwogą miotana
Cudownym wdziękiem postać zakwitła młodziana.

Lecz już torują drogę dla niewieściej rzeszy.
Cofa się tłum i na bok ustąpić się śpieszy,
Rozradowawszy serce, nasyciwszy oczy.
A grono niewiast skromnie śród rycerzy kroczy.

Gernot zcicha do króla przemówi w te słowa:
„Jest jeden, miły bracie, co wam w sercu chowa
„Miłość i drużbę wierną, toć i nam wypada
„Odwdzięczyć mu się za to, — nie zgorsza to rada.

„Nic zaszkodzi, gdy siostrze Zygfryd się pokłoni,
„A ona go powita. Niech przystąpi do niéj,
„Za usługi niech słowo usłyszy łaskawsze
„Z ust dzieweczki, a ręczę, już on nasz na zawsze!“

Król nie wzbronił, więc kilku podeszło z drużyny
Do Zygfryda, radosne niosąc mu nowiny:
„Za wolą króla cześć was czeka znakomita!
„Przystąpcie, bo królewna głośno was powita“.

Zadrżało młode serce, znikła z czoła bladość,
Owładła duszą czysta, niezmącona radość:
Co w marzeniu tajemnem kryje się i chowa,
Mają ziścić kochanki powitalne słowa.

Zbliżył się hardy młodzian, a jej płoną lica
Rumianą zorzą; wdzięcznie przemówi dziewica:
„Cześć wam, mężny Zygfrydzie! Witajcie nam panie!“
Głośno mu serce biło na to powitanie,

I skłonił przed dziewicą głowę na podziękę.
Stała nadobna para długo ręka w rękę,
Oko w oko spojrzało spojrzeniem głębokiem,
Lecz skrycie, by przed cudzym nie zdradzić się wzrokiem.

Czy gorętszym uściskiem tkliwego przymierza
Zwarła się rączka biała z prawicą rycerza,
Nie wiem, lecz rozważywszy rzecz, wyznaję szczerze,
By tak nie było, — tego chyba nie uwierzę.

Ni jasny dzionek letni, ni ranek wiosenny
Serca nie oczarują tak, jako płomienny
Żar miłosny, ni wzbudzą taką rozkosz w łonie,
Jak uścisk, co kochanków wiąże z sobą dłonie.

A tam sobie niejeden pomyślał: „Szczęśliwy!
„Żeby tak uścisk jeden jej dłoni życzliwy!
„Jedna chwila pieszczoty przy takiej kobiécie,
„A radbym duszę dla niej poświęcił i życie!

Zapatrzyli się wszyscy na dorodną parę,
Co jaśniała radością i szczęściem nad miarę;
A kiedy pocałunek — (obyczaj pozwalał) —
Złączył ich usta, Zygfryd ledwie nie oszalał.

Król duński stał opodal i sąd wydał taki:
„Ten całus niejednemu da się wnet we znaki,
„Niejeden za to padnie trupem z jego dłoni.
„Niech tam Bóg mojej ziemi przed Zygfrydem broni!“

Spełnić się miały te przeczucia króla duńskiego. Gunter pałał namiętną miłością do Brunhildy, królowej islandzkiej, wojowniczej walkiryi, słynnej z mocy nadprzyrodzonej. Ażeby ją pozyskać, wzywa pomocy Zygfryda, obiecując mu rękę siostry. Zajeżdżają do tajemniczej krainy, najeżonej zamkami, nad któremi trzymają straż mnogie zastępy. Wszystkie posłuszne są Brunhildzie; ona zaś uzna za małżonka i pana tylko tego, kto ją pokona na turnieju; przegrywający śmierć ponosi. Tłumy rycerzy uległy w onej walce; Gunter wszakże próbuje szczęścia; już go groźna przeciwniczka miała powalić na ziemię, gdy Zygfryd niewidzialny pod zaczarowanym hełmem, który zdobył egdyś w Norwegii wraz z bogatym skarbem Nibelungów, zrzuca z konia Brunhildę i zmusza ją, by się za zwyciężoną uznała. Królowa przyjmuje za małżonka Guntera, swego mniemanego zwycięzcę. Świetny orszak, a wraz z nim rycerze prowadzeni przez Zygfryda z Norwegii, z państw Alberyka, który jest jego lennikiem, ciągną ku miastu Worms, gdzie się mają odbyć podwójne gody weselne. Zygfryd zostaje tedy małżonkiem Krymhildy, ale Gunter wystawiony jest na smutne próby, a potajemne pośrednictwo Zygfryda koniecznem jest, aby odebrać Brunhildzie zaczarowaną przepaskę, która czyni ją niezwalczoną. Ona mniema jednak, że ulega woli Guntera. Zygfryd, otoczony czcią i zaszczytami, odjeżdża wraz z młodą małżonką do Santen, gdzie staje się przedmiotem miłości i poszanowania ludu, powierzonego mu przez ojca, Zygmunta. Przez lat 10 panuje spokojnie nad dziedzicznemi i podbitemi państwy. Przybywa mu syn,

tak samo jak Gunterowi, a coraz żywsze węzły łączą nawzajem obu książąt. Ale Brunhilda niepokojona zdala blaskiem, jaki otacza Krymhildę, pragnie ją widzieć na dworze swoim wraz z Zygfrydem, którego ma za niedbałego wasala. Król uprzedza jej chęci, śle posłów do Santen i urządza w Worms wspaniałe uczty na przyjęcie siostry i szwagra. Dwie księżne, obecne na turniejach, przyglądają się swym małżonkom z uczuciem zawistnej radości; powstaje sprzeczka, zakończona kłótnią, a przy wejściu do kościoła Brunhilda jawnie znieważa Krymhildę, która uniesiona gniewem odpłaca jej ujawnieniem tajemnicy, powierzonej sobie przez małżonka. Najwaleczniejszy z wasalów burgundzkich, Hagen, podniecany tajemną nienawiścią ku Zygfrydowi, poprzysięga mu zemstę, nie bez trudności wymaga przecież na niewdzięcznym królu przyzwolenie. Napróżno pozorne pojednanie zbliża chwilowo obu książąt. Gdy wszczęła się wojna postronna, Zygfryd przyrzeka pomoc swoją Gunterowi, a łatwowierna Krymhilda, w obawie o życie męża, zawierzając przyjaźni Hagena, wskazuje mu na ciele małżonka jedyne miejsce, kędy oręż może go dosięgnąć, i tym sposobem oddaje go w opiekę temu, który poprzysiągł mu zgubę. Przed rozpoczęciem wyprawy czynią w kraju przygotowania do łowów królewskich. Zygfryd bez trwogi z zwykłym zapałem oddaje się zabawie, prześcigając wszystkich myśliwych. Nic nie uszło jego sile i nieustraszonej odwadze; wilki, jelenie, dziki, bawoły padały pod pociskami jego dłoni; a odgłos trąb zapowiadał już polową ucztę, gdy nagle bohater spostrzega ogromnego niedźwiedzia, jak ucieka w głąb puszczy. Pomyka za nim, powala go na ziemię, krępuje sznurem i zawieszonego u siodła wlecze za sobą. Przybywszy na miejsce uczty, rozwiązuje powrozy; niedźwiedź rzuca się naprzód, psy uciekają strwożone, a strzelcy przewracając misy z mięsiwem, chronią się gdzie kto może. Zygfryd goni zwierza i szybkim jak błyskawica ciosem zanurza go w krwi potokach. Znużony tylu trudami, bierze rad udział w uczcie, na której zastawiona jest wszelka upolowana zwierzyna, ale przez zdradliwą przezorność zapomniano o winie. Zygfryd spragniony biegnie do czystej krynicy, którą Hagen wskazuje mu opodal; a kiedy nachyliwszy się zbliża bohater usta do ożywczego zdroju, zdrajca wbija mu dziryt między łopatki, w jedyne miejsce nie namazane krwią smoczą. Oto opis ostatnich chwil Zygfryda.

Tamci wnet pozrzucali przyodzienie całe,
Iż im jeno na ciele gzła zostały białe,
I jak dzikie pantery polem pobieżeli,
Lecz przy zdroju już pierwej Zygfryda ujrzeli,

Co przed innymi pierwszym był w wszelakiej sprawie.
Odpiął miecz żywo, kołczan położył na trawie,
O lipę oparł oszczep, którym celnie ciska, —
Stał dzielny młodzian, kędy zdrój żywy wytryska.

Pokazał, jaką cnotę nosi w sercu swojem:
Tarczę ciężką z ramienia położył nad zdrojem,
Ale choć pragnął wielce i bieg go też zmęczył,
Czekał na króla. Ten mu szpetnie się odwdzięczył.

Woda była czyściutka, dobra do ochłody —
Gunter spragniony zaraz schylił się do wody,
Gdy się napił dość, powstal pokrzepion z nad brzegu.
Więc Zygfryd chciał też wody napić się po biegu.

Tu zyskał swojej cnoty plon młodzieniec dzielny.
Hagen miecz mu na stronę uniósł i łuk celny,
Wnet gdzie oszczep stał, biegiem chyżym się przybliża
I na sukni Zygfryda szuka znaku krzyża.

A kiedy rycerz pijąc nad zdrojem zawisnął,
Wbił mu oszczep w to miejsce, aż z rany wytrysnął

Brocząc Hagena suknie, krwawy strumień z serca.
Gdzież kiedy śród rycerzy był taki morderca?

Zbrodzień zostawił oszczep w ranie srogiej tkwiący
I uciekał pośpiesznie z miejsca czynu drżący,
Jako nigdy przed wrogiem nie uciekał w polu.
Zygfryd, kiedy po pierwszym przyszedł do się bolu,

Zerwał się jak szalony od krynicznej strugi,
W plecach sterczał głęboko wbity oszczep długi,
Witeż szukał, gdzie miecz mu i łuk się zatracił.
Byłby Hagen swą zbrodnię wnet życiem przypłacił.

Lecz ni miecza nie znalazł, ani innej broni
I nic oprócz puklerza nie miał do pogoni.
Chwycił tarcz, na Hagena gwałtownie naciera, —
Nie zdołał ujść pogoni wojownik Guntera.

A Zygfryd chociaż ranny walił z taką siłą,
Iż z tarczy się niemało klejnotów wybiło,
Lecąc na wszystkie strony, tarcz poszła w kawały,
Bo krwawej zemsty żądał on witeż wspaniały.

Upadł Hagen na ziemię pod Zygfryda ciosem
Tak silnym, że aż pola zagrzmiały odgłosem,
Gdyby miał miecz, morderca byłby zginął marnie.
Zygfryd wrzał gniewem, straszne bo cierpiał męczarnie.

Zbladł i na nogach dłużej ustać nie miał siły,
Bo moc i dzielność ciała wnet go opuściły,
Kiedy śmiertelna bladość okryła mu lice.
— Nie mało łez wylały stąd piękne dziewice.

Pada rycerz, gdzie kwiaty jaśniały na łące,
Z rany płyną obficie strugi krwi gorące,
Więc gdy nieposkromiony ból mu w sercu wierci,
Łaje tych, co przyczyną byli jego śmierci.

Wołał śmiertelnie ranny: „Tchórze, podli tchórze!
„Mógłżem myśleć, że tego u was się dosłużę?
„Byłem wam zawsze wierny, za toż cierpię ninie?
„Wy gotujecie straszną zakałę rodzinie.

„Ród wasz zhańbion, zhańbione, co się kiedy zrodzi,
„Potomstwo wasze późne, bo tak się nie godzi
„Mścić na nieprzyjacielu krzywdy ni cierpienia!
„Nie godniście uczciwych rycerzy imienia!“

A już na miejsce zbrodni przybiegło niemało
Rycerzy, niejednego serce zabolało!
Kto cenił cześć rycerską, żałował go szczerze,
Jako zasłużył witeż, dzielny w każdej mierze.

I król burgundzki skargi z innymi wywodzi,
A rycerz na śmierć ranny rzecze: „Czyż się godzi,
„By ten kłamał, kto krzywdę wyrządził ochotnie?
„Daj pokój, bo się hańby doczekasz sromotnie!“

Na to Hagen ponury: „O cóż takie żale?
„Żeśmy troski i cierpień pozbyli się wcale?
„Któż się teraz potędze naszej oprzeć zdoła?
„Cieszę się, żem mu dumę starł nareszcie z czoła!“

— „Chełp-że się!“, rzecze Zygfryd, „łatwo się naśmiewać!
„Gdybym mógł się zbójeckich zasadzek spodziewać
„Po was, to bym swobodnie żyć mógł i bez trwogi!
„Nic mi też nie żal, jeno Krymhildy mej drogiéj.

„Niech wam Bóg nie pamięta, iż synek mój mały
„Z waszej winy wyrzutu dozna i zakały
„Kiedyś, że skrytobójcę liczył w swej rodzinie!
„Gdybym mógł, na to tylko narzekałbym ninie“.

Jeszcze mówił żałośnie mąż tchnieniem ostatniem:
„Królu szlachetny, jeśli przywiązaniem bratniem
„Chcecie komu usłużyć, pod waszą obronę
„I łaskę wam polecam ukochaną żonę.

„Niechaj od was braterskiej doświadczy miłości.
„Polecam ją książęcej waszej uczciwości.
„Mnie długo będzie ojciec, drużyna czekała —
„Nigdy małżonka większej straty nie doznała!“

Naokoło się kwiaty zbroczyły krwi strugą.
Zygfryd walczył ze śmiercią, lecz walczył niedługo,
Bo go nieubłaganie ranił grot śmiertelny,
Iż nie mógł dłużej mówić bohater on dzielny.

Gdy ujrzeli panowie, iż skonał, więc zwłoki
Położyli na puklerz złocisty szeroki
I radzili, jakiego sposobu się chwycą,
Ażeby czyn Hagena został tajemnicą.

Dziki i okrutny Hagen, pełen skrytej nienawiści, złożył zamordowane ciało Zygfryda u podwoi Krymhildy. Za przebudzeniem się ze snu, zwraca na nie z przerażeniem oczy. W dzikiej rozpaczy pada bezsilna, a potem białemi rękoma obejmuje martwe zwłoki małżonka, patrzy w jego zeszpecone oblicze, na jego tarczę bez skazy: „To morderstwo!“ zawołała, a myśl jej, szybka jak błyskawica pada na Hagena, wykonawcę zemsty Brunhildy. Stary Zygmunt budzi się także, rzuca się na ciało syna; a wierni rycerze patrzą groźno, wylewając łzy gorzkie. Okrzyk boleści rozlega się wokoło, wraz z okrzykiem wojennym, który Krymhilda stłumić usiłuje, zachowując nadal sprawiedliwą zemstę. Ale, gdy na pogrzebie Zygfryda, król Gunter staje przed nią, zalany udanemi łzami; ona bez trwogi wyrzuca mu na oczy niecną zmowę z mordercą. Co do Hagena, rany nieszczęśliwej ofiary otwarte na jego widok są dla niego głosem Boga, wołającym o pomstę srogą i nieprzebłaganą. Nic nie zdoła pocieszyć szlachetnej wdowy, osamotnionej wraz z matką po wyjeździe Zygmunta. Trawiąc dni na ustroniu, przy grobowcu małżonka, przez trzy lata nie chce przemówić słowa do

Guntera. Dwaj młodsi bracia, Gernot i Giselher, ostatni zwłaszcza wzór prawości, obadwaj niewinni śmierci Zygfryda, znajdują do niej przystęp. Następuje wreszcie pojednanie, a Krymhilda wzywa za pośrednictwem króla Burgundów, o zwrot skarbu Zygfryda, powierzonego w Norwegii opiece karła Alberyka. Alberyk posłuszny rozkazom swej pani przysyła bryły złota do Worms, gdzie Krymhilda wznosi codziennie pobożne zakłady na cześć Zygfryda. Wszakże Hagen, rozjątrzony i strwożony radzi królowi, aby zagarnął skarby. Dwaj młodsi bracia stawiają opór, ale Gunter wciągniony zdradliwą radą, zawsze bezsilny przeciw złemu, dozwala Hagenowi wykraść skarb i wrzucić do Renu (gdzie, jak mówią, dotąd się jeszcze ukrywa). Odtąd nienawiść Krymhildy, wzniecona tą nową zniewagą, wzrasta potajemnie w głębi jej serca, zamkniętego na wszelką radość, przez dziesięć lat więdnieje w srogiej niewoli, odosobniona od wszystkich, żywiąc w sercu jad gorzki, oczekując od nieba upragnionej, a nieprzewidywanej chwili zemsty.

Druga część Nibelungów rozwija się szeregiem scen coraz krwawszych, coraz okropniejszych i ciemniejszych. Straszne skutki morderstwa Zygfryda stanowią główny węzeł poematu. Na początku zaraz jawi się nowa postać wzięta z dziejów, ale przerobiona dowolnie. Srogi Attyla jest tu królem łatwowiernym, dobrodusznym; żyje spokojnie wśród obszernych swych państw, na bujnych wybrzeżach Dunaju, otoczony wspaniałym dworem, kędy braknie tylko królowej, aby ów dwór niezrównanym zajaśniał blaskiem. Owdowiały po Helce, swej pierwszej małżonce, myśli zażądać ręki Krymhildy, której rozum i szlachetna stałość słyną już w całej Germanii. Posłowie jego jadą do Burgundyi, a na ich czele Rydyger, wzór rycerskiej prawości. Zrazu wymowne jego prośby nie mogą przekonać nieugiętej wdowy, przechowującej wiernie pamięć zmarłego męża; dopiero gdy przysiągł pomścić jej krzywdę, zgadza się na propozycyę i żegna braci, którzy z radością przystają na jej związek. Świetny i liczny orszak rycerzy i niewiast towarzyszy jej przez Szwabię i Bawaryę, aż do zamku Rydygera, skąd ma się udać ku Trajzemie. Przed murami zamku wszyscy książęta hołdujący, greccy, ruscy, polscy i goccy, a pomiędzy niemi sam nawet Teodoryk wielki, poprzedzają przybycie Ecela, czyli Attyli, który przyjmuje nową małżonkę z wielkiemi oznakami radości. Wśród turniejów i uczt królowa wchodzi w posiadanie swych państw, we wspaniałym zamku Ecelburg. Przez lat siedm panuje, czczona powszechnie, a urodzenie syna, który chrzest przyjmuje, dopełnia wpływu, jaki wywiera na przywiązanym małżonku. Wówczas nienawiść, żywiona długo w głębi serca niewiasty, budzi się z nową gwałtownością; albowiem spodziewa się dokonać wreszcie zemsty. Nakłania ufnego męża, aby zaprosił na dwór swój króla Burgundów z dwoma braćmi i orszakiem walecznych rycerzy, dla przekonania ich naocznie, iż zawarty związek godny jest ich dumy i wielkości. Ecel czyni zadosyć jej woli, pozostawia jej wybór posłów. Werbel i Swemmel, dwaj słynni pieśniarze, jadą opatrzeni w polecenia Krymhildy. Otrzymali oni rozkaz, aby nie przepomnieć nikogo w zaproszeniu, wie bowiem dobrze królowa, że przybycie braci musi pociągnąć za sobą przybycie Hagena, nienawistnego wroga, którego zamyśla ukarać srodze, a przykładnie. Posłowie otrzymują w Worms gościnne przyjęcie, król Gunter powolny na wezwanie siostry, daleki od wszelkiego podejrzenia mimo przeczucia Brunhildy i jej matki, puszcza się w drogę z Gernotem i Giselherem, z Dankwartem i Volkerem, w licznym orszaku sług, z tysiącem zbrojnych burgundzkich rycerzy, pod dowództwem zuchwałego Hagena. Przebywają Frankonię, i stają nad Menem, gdzie dwie ondyny, czyli boginki wodne, smutne im przepowiadają wróżby. Ale na zapewnienie Hagena, stoją uporczywie przy swym zamyśle, postępując naprzód, kędy ich wiedzie los ślepy. Margrabia bawarski napastuje ich przednie straże, ale pada na polu walki, bez wiedzy trzech podróżnych książąt. Rydyger przeciwnie i żona jego Gotelinda, przyjmują ich z serdeczną radością i gościnnością we własnym zamku Bechelaren. Wdzięki ich młodej córki ujmują Giselhera, który prosi o otrzymanie jej ręki za powrotem. Rydyger przyrzeka i rozdaje kosztowne oręże książętom i ich wasalom w zakład szczerego przymierza, które niestety ma się wkrótce obrócić przeciw niemu. Nic prostszego i tkliwszego nad to przyjęcie rycerskie, ostatni to spoczynek poety i jego bohaterów przed straszną katastrofą, ku której zbliżają się nagłym krokiem. Szlachetny margrabia przyrzekł córkę, największy swój skarb księciu Giselherowi. Królowi Gunterowi daje bogatą zbroję, Hagenowi tarczę, Gernotowi miecz, a też same oręże pchnięte nieprzebłaganą koniecznością, obrócą się niebawem przeciw niemu, tenże sam miecz przetnie pasmo jego dni. Burgundowie pod strażą zacnego Rydygera przybywają na zamek Ecelburg, gdzie ich przyjmuje Teodoryk, czyli Dytrych z Bern (Werony,) świetny król Gotów,

który się schronił do boku Ecela. Wkrótce pojawia się sama Krymhilda, kryjąc potajemnie srogi gniew, odbijający ogniem w jej oku. Wszakże pozdrawia braci, prowadzi ich do przeznaczonego im pałacu; Hunowie, na jej wezwanie, otaczają tłumnie Hagena i Volkera, którzy sami pozostali na zamkowym dziedzińcu, kiedy przeznaczono dalekie mieszkania rycerzom z ich orszaku. Ale bojowa postawa dwóch wojowników — trzyma w zawieszeniu oręż mnogiego nieprzyjaciela. Wonczas Krymhilda wpada w koronie na głowie, wpośród dzikiego zastępu Hunów.

A dzielny Hagen gniewem zdjęty rzecze: „Ano
„Widzę ja, że to wszystko na mnie zgotowano,
„Że na mnie mają miecze ich błyszczące godzić,
„Lecz ci by mi w powrocie nie mogli zaszkodzić.

„Daszli mi pomoc, dzielny druhu mój, Volkerze,
„Gdy mnie napadną tamci Krymhildy rycerze?
„Powiedz, czy dla przyjaźni staniesz w mej obronie?
„Ja wiernie w każdej sprawie będę po twej stronie“.

A grajek mu odpowie: „Wiernie wam pomogę,
„Chociażby król wam jaki chciał zachodzić drogę
„Z całem wojskiem i walczyć: od twojego boku,
„Póki żyję, z bojaźni nie ustąpię kroku!

— „Zacny druhu, niech Bóg was z nieba wynagrodzi!
„Gdy chcą walczyć, niech walczą! Coż mnie to obchodzi,
„Jeżeli mi pomocy nie odmawiasz twojéj.
„Niech przybędą, by w walce swej doświadczyć zbroi!“

— „Gdy nadejdzie“, rzekł grajek, „powstać nie zaszkodzi
„Z ławy, zawsze królowej cześć oddać się godzi.
„Złóżmy hołd jej wysokiej królewskiej godności.
„Jeszcze nikt źle nie wyszedł nigdy na grzeczności“.

— „Nie, nie czyń tego!“ Hagen odrzecze skrzypkowi,
„Bo jeszcze ci rycerze pomyśleć gotowi,
„Iżem opuścił swoje siedzenie z obawy:
„Żaden z nich mnie nie zmusi, żebym powstał z ławy.

„Raczej nam tu pozostać wypada uparcie.
„Po cóż czcić tego, co mnie nie cierpi otwarcie?
„Nie, nie wstanę, dopóki krew mi w żyłach płynie,
„Nie dbam o to, czy bardziej rozsroży się ninie!“

I w nadmiarze zuchwalstwa na kolana kładzie
Jasny miecz, — lśnił zielony jaspis na osadzie,
Przy nim i żywa barwa trawy mdłą się wyda:
Znała ten miecz Krymhilda, był to miecz Zygfryda.

Poznała, odświeżając boleść wiekuistą,
Ową rękojeść złotą i pochwę złocistą,
Wspomniała przeszłość, z oczu strumień łez jej tryśnie.
— Myślę, że to jej Hagen zrobił naumyślnie.

A Volker śmiały ujął swój smyk, bo miał prawie
Kształt miecza, i położył przy sobie na ławie:
Oręż to był potężny, ostry, długi, srogi.
Tak siedzieli obadwaj rycerze bez trwogi,

A serce ich tak dumnie i zuchwale biło,
Iżby ich nic na świecie powstać nie zmusiło,
Ni strwożyć. — A wtem, prawie trącając ich nogą,
Szła królowa: witając rycerzy złowrogo,

Rzekła: „Któż was, Hagenie, zapraszał w gościnę,
„Żeś się ośmielił w moją przyjechać krainę,
„Świadom mej krzywdy? Raczej wam było nie jechać!
„Sam rozsądek wymagał tej drogi zaniechać“.

— „Po mnie nikt nie posyłał“, Hagen jej odpowie,
„Ale byli proszeni na gody panowie,
„Którym służyć winienem ja po lennem prawie,
„A nigdy mnie w ich żadnej nie brakło wyprawie“.

— „Ale pamiętasz“, rzekła, „co było przyczyną
„Mego gniewu i jaką ściągnąłeś go winą?
„Wszak Zygfryda mojego tyś życia pozbawił
„I o nieopłakaną stratę mnie przyprawił“.

— „Cóż o tem jeszcze gadać?“ rzekł. „Na co się przyda?
„Tak, ja jestem ów Hagen, co zabił Zygfryda,
„Pierwszego śmiałka! Musiał przypłacić to głową,
„Iżeś pani Brunhildę obraziła mową.

„Tak, ja się nie wypieram, pani miłościwa,
„Iż cała wina na mnie jedynie spoczywa;
„Więc czy mąż, czy kobieta, — pomstę niech wywiera!
„Jam winien, bo się Hagen nigdy nie zapiera!“

Ona na to: „Słuchajcież, jeszcze mi urąga!
„Nie zapiera się wcale, więc co na się ściąga,
„Wiedzcież rycerze, z tego nic sobie nie robię!“
Lecz tamci spoglądali bezczynnie po sobie,

A gdyby ich zaczepić chciał kto, niezawodnie
Dwaj rycerze w tej walce obstaliby godnie,
Jako w bitwach bez liku już dali dowody,
Lecz trwożnie milczą ci, co przysięgali wprzódy.

Jeden rzekł: „Cóż patrzycie na mnie, jak na dziwo?
„Choć przyrzekłem, nie myślę począć, jako żywo!
„Życie tracić, do tego darem mnie nie zmusi, —
„Królowa, jak uważam, na zgubę nas kusi“.

A drugi rzecze znowu: „I ja powiem szczerze,
„Choćby mi kto ze złota stawiał całe wieże,

„Tobym na tego grajka porwać się nie ważył!
„Straszne jego spojrzenie, — jam to zauważył.

„I Hagena poznaję; znałem doskonale
„Go za młodu, i słyszeć o nim nie chcę wcale.
„W dwudziestu i dwóch bitwach jegom widział czyny.
„Hej, ileż niewiast z jego płakało przyczyny!

„Toć oni z niejednego pieca chleb już jedli.
„Hagen z Hiszpanem owym nieraz tu zawiedli
„Bój dzielny, by królowi czci przysporzyć świeżéj.
„Czołem panowie! Jemu cześć oddać należy!

„Wtedy był jeszcze chłopcem ledwie, nie mężczyzną:
„Dziś mu starość włos bujny sprószyła siwizną,
„Nabrał rozumu, dłoń ta dziś potężniej władnie,
„A w ręku dzierży Balmung, pozyskany zdradnie".

Królowa, zmuszoną raz jeszcze stłumić wściekłość i odłożyć zemstę, udaje się do wielkiej tronowej sali, gdzie Ecel ze czcią podejmuje trzech królów i samego Hagena. W nocy czujny Volker zapobiega nowej zasadzce. Nazajutrz po nabożeństwie następują wspaniałe turnieje; rozjątrzenie dwu stron nie uchodzi już oka samego Ecela. Krymhilda zjednała sobie Bledelina, brata króla Hunów, który zajmuje z licznem wojskiem oddalony gmach, kędy ucztują pospołu służebnicy książąt, pod dowództwem Dankwarta. Wszczyna się krwawy bój, w którym ginie Bledelin, ale zarazem wszyscy Burgundowie, wyjąwszy samego ich wodza, który przedarłszy się do sali tronowej, wzywa do broni. Hagen podnosi oręż w górę i jednym zamachem ścina głowę młodego Ortlieba, syna Ecela, którego ufny monarcha powierzył rycerskiej wierze gości. Głowa jego spada na łono Krymhildy; wokoło niej padają liczne ofiary. Ecel drży, Krymhilda jęczy; waleczny Dytrych, który zarówno jak Rydyger do walki się nie mieszał, ocala króla i królowę, wyprowadzając ich z sali. Mord trwa do wieczora. Nakoniec królowie chcą się porozumieć; Krymhilda żąda Hagena na zakładnika zgody, Gernot i Giselher odrzucają to żądanie, jako przeciwne czci rycerskiej. »Niechaj zapalą salę!« woła Krymhilda z wściekłością. I niebawem płomień ogarnia wszystko; Nibelungowie zduszeni dymem, spragnieni, poją się krwią poległych i tym srogim napojem podniecają szalony zapał. To też napadnięci znowu po tej strasznej nocy, na gruzach płonącego gmachu, tak zacięty stawiają opór, że król i królowa w trwodze o tron i życie po utracie tylu tysięcy ludzi, wzywają pomocy Rydygera, związanego jednaką przyjaźnią z obydwiema stronami, a któremu honor rycerski nie dozwala udziału w walce. Krymhilda przypomina mu jego przysięgę.

„Wszakże, cny Rydygerze, zawsze tyś nam mawiał,
„Iż dla nas cześć i życie poświęcisz w potrzebie?
„Ciebie rycerze pierwszym zowią pośród siebie, —

„Więc pomnij na twą wierność, na przysięgę ową,
„Gdyś radził, abym rękę przyjęła Eclową,
„Że mi wiernie usłużysz! Biednaż ja nieboga!
„Nigdy mi nie dokuczy dola równie sroga!"

— „Nie zapieram się wcale, — przysiągłem wam, pani,
„Że dla was cześć i życie chętnie złożę w dani;
„Ale nie przysięgałem, wiecznie gubić duszę;
„Jam tu książąt sprowadził, — bezczynnie stać muszę!"

Ona mówiła: „Pomnij, jakieś śluby składał,
„Iż wiernym zawsze będziesz; iżeś zapowiadał,
„Że pomścisz moją krzywdę na każde żądanie!“
— „Zawszem“ rzecze margrabia, „był na zawołanie!“

Bogaty Ecel prosi, błaga go i biada,
Do nóg królewska para prawie mu upada:
Margrabia stał głębokim smutkiem zasępiony, —
Wreszcie wierny bohater przemówi strapiony:

„Biadaż mi nieszczęsnemu, że mam tego dożyć!
„Mamże koniecznie honor rycerski odłożyć?
„Zrzec się cnót, obowiązków i przykazań Boga?
„Biada! Czemuż mnie raczej śmierć nie porwie sroga?

„Czyli tego się imam, czy owo opuszczę,
„Zawsze się czynu złego, występku dopuszczę,
„A zaniecham oboje, to mnie świat osławi, —
„Bóg, co dał życie, niech mnie z tej matni wybawi!“

Ale król z żoną błaga usilnie i prosi, —
— Stąd też potem niejeden rycerz śmierć ponosi
Z rąk Rydygera, wreszcie i on ginie marnie, —
Walczył, lecz walcząc w sercu straszne czuł męczarnie. —

Widział, iż jeno szkody doczeka i smutku,
Więc radby prośbę króla zostawić bez skutku
I królowej się pozbyć: bał się kogo z gości
Zabić i podać siebie w wzgardę potomności.

Więc bohater królowi do nóg się aż chyli:
„Królu panie; coś nadał, odbieraj tej chwili,
„Bierz grody, lenne włości, niech nic nie zostaje!
„Pójdę, jako wygnaniec, precz w dalekie kraje!“

Lecz król mówił: „Czyż to mnie uchroni od szkody?
„Ja ci na własność ziemię ustąpię i grody,
„Jeno pomóż się pomścić na nieprzyjacielu.
„Będziesz, jak król potężny, władał przy Ecelu!“

Rydyger rzecze: „Jakże poczne to bez sromu?
„Jam ich jako przyjaciół zaprosił do domu,
„Jam jadło z nimi dzielił, jam pił z nimi razem,
„Dary dawał, — jak teraz grozić im żelazem?

„Niech świat myśli, żem tchórzem, żem pełen bojaźni,
„Lecz jam drużby nie zerwał z nimi, ni przyjaźni.
„Dla królów i drużyny mam też obowiązki,
„Choć mi żal, iżem z nimi ścisłe zawarł związki.

„Dzielnego Giselhera przyjąłem za zięcia,
„Zaprawdę, lepiej wydać nie mogłem dziewczęcia:

„Jest i cześć i obyczaj, dostatek wszelaki, —
„Gdzież jest drugi królewicz młody cnoty takiéj?“

Ale Krymhilda błaga: „Zacny Rydygerze,
„Wobec naszej niedoli niech litość cię zbierze
„Nademną i nad królem. Pomnij, nigdy może
„Gospodarz gorszych gości nie miewał na dworze“.

Więc margrabia jej wreszcie odrzecze w te słowa:
„Dzisiaj jeszcze paść musi Rydygera głowa
„Za to, żem z waszej dłoni doznał łaski tyle.
„Muszę zginąć, daremnie odwlekać tę chwilę.

„Wiem ja, że dzisiaj jeszcze grody, włości lenne
„Opróżnią się, gdy w harce wdamy się wojenne,
„Więc wam żonę polecam i córkę kochaną,
„I tych biednych, co po mnie w Bechlarn pozostaną!“

— „Bóg zapłać Rydygerze!“ król pełen wdzięczności
Rzecze, — oboje z żoną doznali radości, —
„Znajdą opiekę twoi, lecz mam ufność stałą,
„Iż Bóg ci z tych opałów wyjść pozwoli cało!“

Więc i duszę i życie położył na szalę,
Królowa nawet płaczem objawia swe żale —
A on rzekł: „Com ślubował, wzdy dotrzymać muszę!
„Biada mym przyjaciołom! Nierad na nich ruszę!“

Odszedł od króla, — smutek nękał go widocznie,
Ujrzał w pobliżu swoich rycerzy, więc poczne:
„Ilu was jest, do broni! Natychmiast się zbierać!
„Niestety na Burgundów musimy nacierać!“

Rydyger udaje się do Nibelungów i ze smutkiem oświadcza im, że walczyć z nimi musi, a gdy Hagen mu powiada, że nie ma puklerza, on mu swój oddaje. Szlachetność ta wzrusza rycerzy do łez; postanawiają ochraniać go w walce. Gernot wszakże wyzywa go na pojedynek i tym samym mieczem, który otrzymał od niego w darze, przebija go i kona niebawem, padając na stos powalonych trupów. Dytrych, poruszony śmiercią Rydygera, śle kilkakrotnie posłów, wyrzucając ją Burgundom i domagając się zwłok rycerza. Ci posłowie prowadzeni przez dzielnego Wolfarta, zbroją się nagle, wciągają do walki wszystkich Amelungów, całą straż króla Dytrycha, aż do starego Hildebranda, jego najwierniejszego opiekuna i przyjaciela. Nastaje krwawa walka, w której giną wszyscy Gotowie i Burgundowie, a w sali zasłanej trupami pozostali tylko dwaj żywi rycerze, którzy jak dzikie tygrysy pławią się w strugach krwi ciepłej — to Gunter i Hagen, dwaj mordercy Zygfryda. Z drugiej strony pozostali tylko Dytrych i Hildebrand. Dytrych pokonywa Guntera i Hagena, okutych w łańcuchy prowadzi do Ecela i Krymhildy; ta rozdziela ich i w osobnem osadza więzieniu. Idzie jej o poznanie tajemnicy, gdzie się znajduje olbrzymi skarb Nibelungów.

Naprzód do owej kaźni, gdzie był Hagen, zmierza
I gniewnie wrogiem słowem rzecze do rycerza:
„Jeśli oddasz skarb, co go zagarnąłeś wprzódy.
„Może jeszcze burgundzkie zdołasz ujrzeć grody“.

Lecz Hagen groźny rzecze: „Daremna mitręga,
„Królowo, i słów szkoda! Mnie wiąże przysięga,
„Iż skarbu nie pokażę, póki życia stanie
„Któremu z panów moich; nikt go nie dostanie“.

— „Więc ja to wnet zobaczę!“ rzekła. Za rozkazem
Królowej, brata ostrem zabito żelazem,
Odciętą głowę sama przyniosła za włosy
Hagenowi! — Okropne dotknęły go losy!

Stroskany rycerz, widząc swego pana głowę,
Rzecze, — chciał jeszcze strapić i znękać królowę: —
„Otóż, jakeś pragnęła, tak się dokonało!
„Jakem ja się spodziewał, tak się też i stało.

„Szlachetnego Burgundów władcę śmierć już kryje,
„Giselher młody, Gernot, — żaden z nich nie żyje,
„Gdzie skarb, to między Bogiem a mną tajemnicą,
„Której się nigdy w życiu nie dowiesz, djablico!“

— „Zdrajco!“ — rzekła — „tak chytre twe postępowanie?
„Więc chociaż miecz Zygfryda przy mnie pozostanie.
„Gdy mnie żegnał, ten oręż miał bohater drogi. —
„Z waszej winy ja po nim smutek noszę srogi“.

Wyjęła oręż z pochwy, — on nie mógł przeszkodzić, —
I aby go śmiertelnie odrazu ugodzić,
Podnosi miecz oburącz, głowę jednym ciosem
Odcina, — więc się strapił król Hagena losem.

— „Biada! — zawołał, — „oto śmierć poniósł, niestety,
„Najwaleczniejszy rycerz i to z rąk kobiety!
„Nie było nadeń w boju lepszego junaka!
„Choć to wróg, żal mi, że go śmierć spotkała taka!

A Hildebrand zawoła: „Śmierć tego człowieka
„Na nic się jej nie przyda, cokolwiek mnie czeka!
„Choć mnie niedawno trwogi nabawił śmiertelnéj,
„Przezemnie pomszczon będzie on wojownik dzielny!“

To rzekł i do królowej pełen gniewu skoczył,
Nad Krymhildą miecz jego straszny łuk zatoczył,
Ciężką jej boleść zamysł Hildebranda sprawił,
Krzyknęła, krzyk rozpaczy już jej nie wybawił.

Na ziemi jeno trupy zabitych leżały,
Między nimi królowa, pocięta w kawały,
Dytrych i Ecel łkali, strumienie łez rzewnych
Wylewając po stracie przyjaciół i krewnych.

Owe blaski, zaszczyty, kwiat rycerstwa — w grobie!
Naród za nimi płacze w smutku i żałobie.

Tak się królewskie gody skończyły żałośnie,
Bo z miłości w ostatku zawsze żal wyrośnie.

Co potem było, tego pieśń moja nie powie,
Jeno, że długo potem panie i panowie
I młódź rycerska w ciężkiej płakali boleści. —
— O Nibelungów doli koniec opowieści. —

(Ludomił German).

Przekładów Pieśni o Nibelungach mamy dwa; jednego dokonał A. Szabrański (Warszawa 1881), drugiego Ludomił German: »Niedola Nibelungów« (Warszawa 1885, 2-gie wydanie Złoczów 1894).

II. Gudrun (Kudrun).

Hagen, syn Zygebanta, króla irlandzkiego (Eyrland) na jednej z uczt dostaje się mając lat 7 w szpony gryfa, który go zanosi na daleką wyspę. Szczęśliwym wypadkiem uchodzi śmierci i doznaje opieki ze strony trzech królewien, które także niegdyś były przez gryfa tu zaniesione. Długo mieszkali oni w pieczarze, nie śmiejąc wychodzić we dnie; aż razu pewnego, znalazłszy w rozbitym okręcie broń, Hagen pozabijał gryfy i mógł swobodnie wychodzić, polując na dzikie zwierzęta. Po latach wielu przepływający okręt zawozi Hagena i królewny do Irlandyi, gdzie bohater obejmuje rządy i żeni się z jedną z niestarzejących się wcale panien, Hildą z Indyj. Jej córka również Hilda, taką miłością przez ojca jest kochana, iż zalotnicy nie są do niej dopuszczani. Zabija on posłów i tego tylko uzna za zięcia, który go w walce pokona. Hetel, król z Hegelingen we Fryzyi, pragnie pojąć Hildę za żonę. Swatów podejmuje się trzech rycerzów, którzy w przebraniu kupieckiem udają się do Irlandyi jako prześladowani, gdzie Wate siłą swoją, Frute hojnością a Horand miłym śpiewem swoim, którego ptaki słuchają nawet, zyskują sobie względy. Horand znajduje wreszcie sposobność do przedłożenia Hildzie celu swego poselstwa i skłonienia jej do ucieczki na okręcie. Hagen ściga ich i dopędza, zgadza się jednak na zaślubiny i zostawia córce za towarzyszkę jednę z owych trzech dziewic Hildburgę. Hetel doczekał się dwojga dzieci: Ortwina i Gudruny. O rękę córki stara się wielu zalotników, a między innymi Hartmut z Normandyi, żadnemu jednak nie chce jej oddać ojciec, lubo Gudruna polubiła Hartmuta. Gdy atoli jeden z sąsiednich książąt Herwig napadł na Hegelingen, Gudruna przyrzeka mu rękę, ażeby sporowi koniec położyć. Ślub jednak musi być odłożony, gdyż matka wyprawę dopiero sprawić zamierza. Wkrótce potem Hartmut korzysta z oddalenia się Hetela na wojnę, porywa Gudrunę i uprowadza ją do Normandyi. Napróżno ściga ich Hetel ze swymi wojownikami. Ojciec Hartmuta zabija go, a kwiat jego rycerstwa ginie w walce. Nowe pokolenie podrosnąć musi, zanim będzie można przedsięwziąć walkę z Normandami. Gudruna, jeszcze na okręcie będąc, oświadczyła Hartmutowi, że dochowa wierności narzeczonemu, poczem ojciec Hartmuta wrzuca ją do morza, ale Hartmut wyciąga ją za włosy. Ponieważ jednak stale się wzdraga oddać rękę Normandowi, doznaje tysiącznych a ciężkich udręczeń ze strony matki Hartmuta, Gerlindy »dyablicy«, która ją do najniższych posług w czasie długiej podróży używa, przyczem Hildburga zawsze jej pomocy swej użycza. Nakoniec nadchodzi wybawienie. Ortwin i Herwig przybywają na to miejsce, gdzie panny piorą. Gdy się poznano, Gudruna rzuca odzież w morze i wraca do zamku, gdyż jej wybawcy pragną ją odzyskać zwycięskim jeno bojem. Aby ujść kary, przyrzeka Gerlindzie zgodę swą na życzenia Hartmuta. W ciągu nocy atoli rycerze z Hegelingen otaczają zamek i wszczynają potężną walkę, w której ojciec Hartmuta ginie z ręki Herwiga. Gerlinda już nakazała śmierć Gudruny, przyobiecawszy sprawcy wielką nagrodę, gdy Wate, któremu tymczasem broda na łokieć wszerz urosła, zdobywa zamek i zabija królową. Gudruna odjeżdża ze swoimi; poczem następują potrójne śluby. Ortruna, siostra Hartmuta, która sama jedna tylko Gudrunie sprzyjała, idzie za Ortwina, Gudruna za Herwiga a Hildburga za Hartmuta.

(Z przygody dwudziestej czwartej).

Zabrały tedy suknie i poszły dziewki obie.
„Da Bóg“, wyrzerze Gudrun, „wspomnicie o tem sobie!“
Po śniegu tak głębokim nogami brną bosemi,
A żalą się i żalą na swoje marne życie w obcej ziemi.

Jak zawsze, tak i ninie, przybywszy do wybrzeży,
Wzięły się, nachylone, do prania tej odzieży,
Którą ze sobą z zamku na żwiry te przyniosły:
Hej! dumne ich nadzieje jak mało w sercach onych dziewek rosły!

Spojrzenia często słały ku fali, w ową stronę,
Skąd posłów ujrzeć mają źrenice ich stęsknione —
Szlachetnym towarzyszkom na pomoc tych wysłańców
Bogata księżna Hilda z ojczystej ziemi wyprawiła krańców.

(Z przygody dwudziestej piątej).

Czekały długo, długo; wzrok ich po morzu brodzi;
Wtem dwóch, nikogo więcej, spostrzegły w jednej łodzi.
I do bogatej Gudrun tak wraz Hildburga powie:
„Dwaj, widzę, płyną ku nam; zapewne twoi będą to posłowie“.

I rzecze boleściwa: „O biedna ja dziewoja!
Miłości oraz żalu pełna jest dusza moja!
Jeśli to posły Hildy i jeśli mnie zobaczą
Piorącą na tych żwirach, gdzież się podzieję z wstydem i rozpaczą!

„Sam Bóg mnie snać opuścił, że nie wiem, co uczynię?
Hildburgo, druho moja! daj mi swą radę ninie:
Czy uciec precz, czy posłom ukazać swoją postać,
Okrytą takim wstydem? raczej na zawsze służebnicą zostać!“

Odrzecze jej Hildburga: „co czynić nam wypada,
Sama najlepiej wiecie, zbyteczna moja rada!
Ja z wami zniosę wszystko, przecierpię wszystkie bole,
Nie rzucę was przenigdy, razem na dolę pójdę i niedolę“.

I w stronę ku domowi zwróciły się tej chwili.
Lecz obaj ci mężowie tak blizko miejsca byli,
Że oczy ich od razu na brzegu je spostrzegły,
Poznali też niebawem, że swej odzieży radeby odbiegły.

Wnet z łodzi wyskoczyli i zawołali na nie:
„A na co, piękne praczki, to chyże uciekanie?
My obcy tutaj ludzie, odgadnąć łatwo przecie,
Że płótno swe odbiegłszy, przez nas na zawsze stracić je możecie“.

Udały, że nie słyszą z tej rady ani słowa;
A przecież do ich uszu dotarła wszystka mowa,
Gdyż głos Herwiga króla donośny był i gruby.
Hej! wcale on nie przeczuł, że był tak blizko swojej dziewki lubéj.

I rzekł im pan na Séven: „Czyjaż ta odzież, czyja?
Powiedzcież, gdy nam trochę to wasze serce sprzyja,
Na honor wszystkich dziewic, prosimy was tu szczerze:
Niewiasty wy nadobne! i po cóż rzucać macie to wybrzeże!“

Szlachetna rzekła Gudrun: „o wiem, że wstyd mnie spali,
Jeśli, na honor dziewic, na któryście wezwali,
Sama dziewicą będąc, ukryję to przed wami.
Nie darmo prosiliście, choćbym się tutaj miała zalać łzami!“

W koszulach przyszły ku nim — koszule te zmoczone!
Czy zniosłyby to dawniej one białogłowy one?
Od mrozu dzisiaj drżały te biedne służebnice!
Tak nędzny był ich żywot, a wiatr marcowy śniegiem dął im w lice!

Było to w onej porze, gdy zima już uchodzi,
Gdy ptastwo na wyścigi piosenki swe zawodzi,
Do chwil marcowych stroją ten swój rozhowor słodki.
Jak często spotykano w śniegu i lodzie te biedne sierotki!

włosami rozwianemi one dziewki się zbliżyły;
Jak te ich zwoje dawniéj nadobne zawsze były!
A dzisiaj wiatr marcowy warkocze im rozrzucił
Na śniegu i na deszczu! o jak ten ciężki los te biedne smucił!

Na morzu lód wokoło pokrywał jeszcze fale,
Zacząwszy ledwie topnieć. Wielkie ich były żale:
Prześwieca przez koszule, niby ten śnieg bielutki,
Ich ciało. Widok obcych sprawił ich sercu nazbyt gorzkie smutki.

„Dniem dobrym“ ich powitał król Herwig w ten poranek;
To słodkie pozdrowienie zbyt miłe dla wygnanek:
Na służbie u złej pani cierpienia znoszą mnogie —
„Dzień dobry!“ „dobry wieczór!“ nadzwyczaj były tym dziewojom drogie.

„Powiedzcie nam“ — pan Ortwin odezwie się tej pory —
„Do kogo to należą kosztowne te ubiory,
Lub komu je pierzecie? Wdzięk we was tak uroczy!
I któż to was tak męczy? Niech Bóg od niego swe odwróci oczy!

„Tak piękneście, że obom w koronach tylko chodzić!
Jeśliby to się mogło i z rodem waszym zgodzić,
To z każdej z was uczciwie byłaby ona królowa!
Czy ten, komu służycie, takich tam więcej ślicznych praczek chowa?“

I rzekła piękna dziewka, tonąca w swej żałobie;
„Piękniejsze ma on jeszcze, niżeli my tu obie.
Pytajcie, o co chcecie; gdy ujrzy pani z wieży,
Że z wami rozmawiamy, tak nam niebawem pokutę wymierzy!“

„Przyjmijcie bez urazy to złoto z naszej ręki,
Te cztery dobre spiny zabierzcie jako dzięki

I chciejcie — my je radzi dajemy, piękne panie —
Nie czując do nas żalu, wraz odpowiedzieć na nasze pytanie".

— „Niech wyjdzie wam na szczęście ta każda wasza spina,
Nagrody nie pragniemy" — odpowie mu dziewczyna —
„Pytajcie, o co chcecie, nam pora już do domu,
Bo jeśli nas zobaczy, tak bólu dozna me serce i sromu!"

— „Czyjeż to jest dziedzictwo i te bogate łany
I te wspaniałe grody? I jak jest ten nazwany,
Co tak was bez odzieży tę służbę spełniać zmusza?
Wiedziałby, że to niecnie, jeśliby dbała o cześć jego dusza".

„Hartmut to jeden książę" — tak dziewka odpowiada —
„Ten ziemie ma rozległe i nad grodami włada,
A drugi zwie się Ludwik, normandzkiéj dziedzic ziemi,
Dzielnego pan rycerstwa: ci dwaj panują tutaj berły cnemi".

Na to Ortwin rzecze: „pragniemy ich zobaczyć;
Urocze wy dziewoje, umiecież nam oznaczyć,
Gdzie obu spotkać można? Posłyszeć myśmy radzi:
Wysłano nas tu właśnie. I my z królewskiej jesteśmy czeladzi".

Odrzeknie wzniosła Gudrun: „Dzisiejszym rankiem, wcześnie,
Gdym wyszła, obaj w zamku leżeli w łożach, we śnie;
Rycerze — cały tysiąc i czterysta — pełnili
Straż przy książętach śpiących. Nie wiem, czy w domu są jeszcze tej chwili".

Król Herwig na to rzecze: „Powiedzcież, dziewki moje,
Dlaczego taki ciężar te dzielne znoszą woje,
Że tylu aż rycerzy trzymają w każdej porze?
Jabym królestwo zdobył, gdybym ten hufiec miał na swoim dworze".

Odrzekną białogłowy: „Nie znane są nam sprawy,
Nie wiemy, jak książęce rozsiadły się dzierżawy.
Jest tylko kraj — to wiemy — co Hegelingen zwie się:
Boją się po wsze czasy, że on im wrogów okrutnych przyniesie".

Ze zimna wielce drżały nadobne te dziewczęta.
Tak rzecze im król Herwig: „Nie będzież nam pojęta
Ta prośba za urazę: czybyście u wybrzeży
Tych mroźnych nie raczyły przyjąć, panienki, coś z naszej odzieży?"

Odpowie córka Hildy: „Niech Bóg na szczęścia wiele
Obróci wam te płaszcze; lecz u mnie na mem ciele,
Przenigdy męskiej suknі nie ujrzy ludzkie oko".
Gdyby wiedziały wszystko, nie ważyłyby tego tak głęboko.

Herwig z nadobnej dziewki nie spuszczał prawie wzroku,
Tak pełną mu się zdała lubości i uroku,
Że aż mu się westchnienia w bolesnem rodzą łonie:
— Do tej snać jest podobną, o której nieraz w słodkich dumach tonie.

Wtem Ortwin, król Ortlandu, to do nich zwróci słowo:
„Pytam was, dziewki obie, nie znacie przypadkowo
Drużyny, która niegdyś zjawiła się w tej ziemi?
Śród niej tam była jedna, imieniem Gudrun zwana między swemi.

„Wiadomo mi“ — powiada na słowa te dziewczyna —,
„Że w dawne lata przyszła do ziemi tej drużyna;
Do dzierżaw tych przybyła po czasie wielkiej wojny:
Bezdomne te niewiasty zbladły od bolu i od troski znojnéj“.

Powiada: „W wielkim trudzie widziałam tę niebogę,
O którą się pytacie, i wyznać wam to mogę“.
Toć ona była właśnie przygnana przez Hartmuta,
Nieszczęsna, biedna Gudrun, ją to spotkała taka dola luta.

Tedy król Herwig rzecze: „Patrzajcie, Ortewinie!
Jeżeli jeszcze w świecie, w jakiej tam bądź krainie,
Od śmierci się Gudruna, siostrzyca wasza, broni,
To ona jest nią właśnie, nigdziem nie widział tak podobnej do niéj.

Odpowie król Ortewin: „Przeluby wzór dziewoi,
Lecz wcale niepodobna do słodkiej siostry mojéj;
Z młodości nas obojga pamiętam jeszcze czasy,
Że w krąg na całym świecie nie było dziewki tak uroczej krasy!“

Kiedy tak druha zdradził, że Ortwin jest z nazwiska,
Tak w niego swe badawcze spojrzenie ciągle wciska
Gudruna, biedna dziewka. Dowiedziećby się rada,
Azaliż on jej bratem: to jej męczarniom kres ostatni zada.

„Jakkolwiek się zowiecie, znać, że z was rycerz dobry,
I mnie był znan bohater, podobny do was, chrobry,
Ten Herwig był imieniem, a z Morskich-Ziem pochodził.
O, gdyby żył on jeszcze, z tychby nas ciężkich więzów wyswobodził.

„I mnie króla Hartmuta przywiodły wojsk szeregi,
Ująwszy wraz z innemi, przez morze na te brzegi;
Lecz jeśli wy Gudruny szukacie, to bez celu:
Dziewica z Hegelingen zmarła po trudach i cierpieniach wielu!“

Łzy gorzkie Ortwinowi blask śćmiły pod powieką
I Herwig król nie ukrył tych łez, co z ócz mu cieką:
Gdy wieść tę posłyszeli, że piękna Gudrun zmarła,
Tak w piersi bohaterów ciężka się żałość od razu rozparła.

Tak widząc ich przed sobą w tych łzach i w tej boleści,
Bezdoma Gudrun zaraz te słowa im obwieści:
„Z waszego zachowania dziś serce moje widzi,
Że biednej tej Gudruny ród się wasz nigdy, nigdy nie powstydzi“.

Król Herwig, odpowiedział: „W mem łonie ból wyrasta
I będzie rósł do końca: Wszak moja to niewiasta!

Mnie była zaręczoną uroczystemi śluby!
Straciłem ją, niestety! a stary Ludwik sprawcą mojej zguby".

„Wy mnie oszukać chcecie" — odpowie dziewczę rzewne —.
„O śmierci Herwigowej dostałam wieści pewne;
Wszystkie rozkosze świata spłynęłyby mi w duszę,
Jeśliby żył on jeszcze! Dałby swobodę i skończył katusze".

„Spojrzyjcie na mą rękę" — szlachetny rycerz powie —
„To złoto poznajecie? Herwigiem świat mnie zowie;
To znak, abym pamiętał Gudrunę kochać szczerze:
Jesteście - li mą panią, a z tej niewoli Herwig was zabierze".

Odpowie mu dziewica z radości uśmiechnięta:
„To złoto było moje, Gudruna je pamięta;
A teraz wam pokażę, co przysłał mi w te lata
Mój Frydel, gdym nie znała, u ojca będąc, co jest szczęścia strata".

Spojrzawszy na jej rękę, spostrzegłszy złoto na niéj,
Szlachetny Herwig rzecze radośnie do swej pani:
„Nie zrodził cię nikt inny, tyś z matki jest książęcej;
O szczęście! o słodyczy! nie znam już dzisiaj utrapienia więcej".

Nadobną on dziewicę w objęciu zamknął swojem;
Co sobie tam mówili, radością to i znojem.
Całował swą królewnę, hej! nie wiem ile razy,
A także Hildeburgę, bladą wygnankę, wierną i bez skazy.

* * *

One dziewki zapomniały, że mają wyprać płótna;
Spostrzegła z swego zamku Gerlinda, ta okrutna,
Jak obie tak bezczynnie stanęły u wybrzeży.
Zawrzała wielkim gniewem: troska ją gniecie z powodu odzieży.

I rzecze Hildeburga, z Irlandu dziewka luba:
„Wyniknie z tego dla nas, królewno, wielka zguba,
Że sukien prać nie chcecie: Jeśli to zobaczy
Gerlinda z swego zamku, jeszcze nas bardziej razami uraczy".

Odpowie córka Hildy: „Mej czci to nie posłuży,
Ażebym miała odzież Gerlindy prać tu dłużéj;
Nikt żądać już nie może, bym to spełniała daléj:
Król wziął mnie w swe ramiona, dwaj mnie książęta dzisiaj całowali!"

Odrzecze na to Hildburg: „nie żalcież wy się ninie,
Gdy radzę każdą suknię wybielić w tej godzinie,
Abyśmy nie wróciły z brudnemi do komnaty,
Bo wtedy nasze plecy doznają razów za nieprane szaty".

Hagena wnuka rzecze: „od dawna niezaznana,
Zbliża się radość wielka! Niech mnie, kto chce, do rana

Miotłami bije; próżno! nie umrę, bo są tacy,
Co naszym krzywdzicielom przynależytej nie poskąpią płacy.

„Dlatego z tą odzieżą co tchu pójdę do fali,
Niech tamci się dowiedzą“ — rzecze dziewoja daléj —
„Że mogę ja przy każdej królowej stanąć godnie.
Do wody precz je rzucę, niech sobie płyną raźno i swobodnie!“

Daremnie Hildburg błaga, Gudruna już przy wodzie
Z płótnami złej Gerlindy — tę złość straszliwa bodzie.
Już z rąk je wypuściła, już spadły na odmęty —
Pływały małą chwilę: nie wiem, czy skarb ten został wyciągnięty.

Dzień biały się rozwiewa, nadchodzi noc w swej mroczy;
Z ciężarem na ramionach, Hildburg do zamku kroczy:
Kosztownych siedem sukien gniotącą dla niej męką;
Króla Ortwina siostra podąża przy niej dumnie, z wolną ręką.

Było już wielce późno, gdy przyszły przede wrota
Ludwikowego grodu. U bramy już niecnota,
Gerlinda, dawno stała, czekając swej czeladzi:
Szlachetne widząc praczki, tak się odrazu ta złośnica wadzi:

„A któż to wam pozwolił“ — tak wręcz ich przywitała;
„Zapłacą mi dziś gorzko za wszystko wasze ciała;
Bo któż tak po wybrzeżach wieczorem późnym chodzi?
Cierpieć was na pokojach już mi się dłużej, zaprawdę, nie god

„Dlaczego to czynicie, powiedzcie mi tej chwili,
Że królów odrzucacie, a za to jest wam miléj
Hołubić się wieczorem z podłymi parobkami:
Gdy tą pójdziecie drogą, czci nie zyskacie, świat pogardzi wami“.

Odpowie szczytna dziewka: „Kłamstwo się u was święci!
Od Boga opuszczona, nie miałam nigdy chęci,
Bym nawet z najwyższymi radziła w jakiej porze,
Chyba, że są mi krewni, jeśli przystojność z tem się godzić może!“

— „A milcz-że, złośna żółci! Kłam mi zadajesz zdradnie?
Dzisiejszej jeszcze nocy ma zemsta na cię spadnie,
Że gniew ten nienawistny na zawsze w sobie stracisz!
Nim ja ci to daruję, wprzód mi to plecy swojemi zapłacisz!“

„Zaradzę ci ja temu“ — tak usta jej wyrzekły —
„By jeszcze kiedykolwiek wasze mnie rózgi siekły!
Niżeli wasze plemię zacniejszym ród mój zwie się,
A kara taka na mnie niejedną przykrość wam samym przyniesie“.

Wilczyca powie stara: „a gdzie są moje płótna?
Że ręce, co prać miały, bezczynność ta wierutna
Tak ci opuszczać każe? Hej! jeśli ja pożyję,
Nauczę ja cię jeszcze, jak ci to w służbie trzeba zginać szyję!“

Hagena rzecze wnuka: „Gdzie szumią fale słone,
Zostały suknie wasze; za ciężkie były one,
Gdym chciała je przydźwigać. Czy jeszcze obaczycie
Te płótna kiedykolwiek, mało się o to troszczę, na me życie!“

Odrzeknie zła djablica: „radujesz się przedwcześnie,
Doznasz ty jeszcze doli, nim się pogrążę we śnie!“
I ciernia przynieść każe i w rózgi związać głogi:
Gerlinda sroższej kary na swe największe nie wymyśli wrogi.

(Jan Kasprowicz).

III. Wolfram von Eschenbach.

Parsywal.

(Ks. V. str. rękop. 229 do 240. w. 173 — 510).

Do pałacu się udali,
sto pająków napotkali,
w wszystkich świec mnogo płonie,
a oprócz tego w każdej stronie
pełno się mniejszych świeczek bieli.
I miękkich łożnic sto ujrzeli,
a na nich sto poduszek leży;
na każdej czterech wraz rycerzy
wczasu zażywać może.
Z osobna stoi każde łoże,
kobierzec każde z nich przedziela.
Wszystko to króla Frymutela
mógł sobie sprawić syn, co z pieczy
nie puścił także jednej rzeczy,
wcale nie skąpiąc złota.
Z marmuru była to robota
te trzy kominki czworograne!
A na nich ognie bezustanne
z lignum aloë — tak się zwało
kosztowne drzewo. — Nie widziało
tu w Wildenburgu żadne oko
ognisk płonących tak szeroko.

Samci gospodarz w tej godzinie
tuż przy środkowym siadł kominie
na krześle miękko słanem.
Rozkoszy nie był panem
żadnej na świecie — nie! — on nie żył,
lecz wciąż się z śmiercią mierzył.

Gdy się Parsywal w zamku stawił,
wnet się przyjaźnie z nim rozprawił
ten, co w gościnę go zaprosił;
od razu słowo doń wygłosił,
aby się zbliżył, nie stał dłużéj
a usiadł obok: „niech wam służy
to miejsce przy mnie; siadać zdala,
na to gościnność nie pozwala“.
To rzekł gospodarz nieszczęśliwy.
Był schorowany, więc nie dziwy,
że potrzebował, na wpół skrzepły,
wielkiego ognia, sukni ciepłéj:
z wierzchu i spodu temu gwoli
dostatnią suknię miał z soboli
i płaszcz rzęsisty miał na sobie,
czarny i szary: w tej ozdobie
najgorszy skrawek wart pochwały.
Takiż z soboli okazały
kołpak na głowie miał dwucięty,
górą z arabska burtą spięty,
a w środku na nim spina
z przezroczystego rubina.
I przed rycerskich szereg gości
wniesiono oznaki żałości.
Do środka giermek drzwiami wskoczył
z oszczepem w ręku (gdyś go z oczył,
tak wraz do żalów byłeś rączy).
Krew z jego ostrza tak się sączy,
że aż na dłoń po drzewcu spływa

i gdzieś w rękawie się ukrywa.
Jak tam jęczeli, jak płakali
w onej rozległej sali!
Nie umiałyby tej boleści
podołać ludy z ziem trzydzieści!
I tak naokół każdej ściany
podniósł się oszczep krwią oblany,
co uczyniwszy, wnet za progi
skierował giermek swoje nogi.
Potem się ludu żal ułożył,
co z tego bolu się wytworzył,
gdy owy giermek wniósł był w ręku
oszczep do sali, sprawcę jęku.

A jeśli was nie znużę,
to dalej wam posłużę
i rad opowiem od początku
o onych sprawowań dalszym wątku.
Przy samym końcu sali
otworzyły się drzwi ze stali,
a niemi weszły dwie dziewoje —
Słuchajcie, jakie na nich stroje!
Wielką-by miłość temu dały,
ktoby w ich służbę poszedł, śmiały.
Przecudne to kochanki!
Dwa na ich włosach wianki,
uwite z kwiatów miłej woni.
Każda z nich niosła w dłoni
świecznik złocisty; włos z ich głowy
spływał, rozwiany, długi, płowy.
I świece niosły zapalone.
Nie trza zapomnieć, w jakiej one,
Cudne dziewice, lśniły szacie,
gdy je ujrzałeś w tej komnacie.
W sukni grafini z Tenabroku
brunatny szkarłat błyszczał oku,
w takimże stroju jej powierna.
Fałdów i sprzączek moc niezmierna,
a nad biodrami, w smukłym stanie,
podwójne miały przepasanie.
Z kolei weszła wraz z swą drużką
księżna, a każda z nich z sztalużką
z słoniowej kości utoczoną.
Kraśne ich wargi ogniem płoną.
Wszystkie się pokłoniły,
a dwie z nich ustawiły
przed gospodarzem swe sztalugi.
Tak się sprawiwszy, wierne sługi,
mając przystojność cną na względzie,
stanęły wszystkie w jednym rzędzie.
Na wszystkich czterech jednakowy
błyszczał się strój od stóp do głowy.
Co się nie stało, patrzcie, daléj!
Dwa razy cztery pań do sali
weszło za niemi: w ręku świéce
dzierżyły cztery dziewice,
a drugie cztery za te progi
przyniosły kamień drogi.
Wszystkim on znany jest z nazwiska —
Granat-hiacynt — a tak błyska,
jak słonecznego światła smugi.
Kamień szeroki był i długi,
rznięty w tak gładkie, cienkie płyty,
że może być na stół użyty,
przy którym do uczty nielada
sam-ci gospodarz siada.
Jak gdyby za rozkazem,
przy gospodarzu wszystkie razem
stanąwszy, głowy swe skłoniły.
Cztery z nich płyty położyły
na owe z słoniowej kości
sztalugi takiej białości,
że niczem jasność śniegu.
Potem stanęły znów w szeregu.
Od świeżej trawy zieleniéj
na wszystkich ośmiu się mieni,
aksamit z Agagugi,
dobrze skrajany, suty, długi.
A w samym środku strój był spięty —
pas miał kosztowny wązko cięty!
Każda z tych ośmiu niebianek
miała na włosach wianek,
uwity z kwiatów niewielu.
Hrabia Iwain na Nonelu,
a także Jernis, pan na Rylu
pomimo mil dalekich tylu,
dali w tę służbę córy swoje:
Co za przedziwne stroje
miały księżniczki te hoże!
Od ości ostrzejsze dwa noże,
godne podziwu okrzyku,
przyniosły z sobą: na ręczniku
każdy z nich leżał, srebrzysty.
Mistrz je wykonał rzeczywisty,
a takiej były ostrej siły,
że nawet stalby przekroiły.

Poprzed tem srebrem znowu inne
cztery panienki szły niewinne,
cztery wybrane, cne dziewice,
niosące w ręku jasne świéce.
I tak ich weszło sześć do sali.
Zważcie, co tu się stało daléj.

Pokłoniły się... Potem z koła
dwie, przybliżywszy się do stoła,
złożyły noże swe na płycie,
a zasię przeszły należycie,
gdzie się postacie lśnią dziewicze
w liczbie dwunastu... Dobrze liczę,
jest osiemnaście ich w tej porze.
Lecz znowu idzie sześć — a hoże,
a w drogie suknie naodziane,
na poły z plialtu tkane,
na pół z bisioru z Niniwy.
Te więc i pierwszych sześć — o dziwy!
miały wzorzyste odzienie —
dwanaście sukien — po cenie
najdroższej zakupionych.
W ślad strojnych dziewic onych
weszła na końcu królowa,
a tak jaśniała jej głowa,
że wszystkim się zdawało,
jak gdyby wokół zadniało.
Szła w sukni cudnego wzoru
Z arabskiego bisioru,
A zaś w jej ręku się mieni
na achmardowej zieleni
ta „Rozkosz Raju“ — z korzeniem
i z konarami: imieniem
Grala to rzecz nazwana,
nad wszystko w świecie wybrana.
A ta, co go dźwigała,
Repaus de Zoj się zwała.
Ta zaś właściwość Grala,
że trza od fałszu być zdala,
że trza niewinność swą zachować,
gdy jego służbę chcesz sprawować.

A zaś przed Gralem przyniesiono
sześć szklanych latarń, które pono
nie mało strawy miały w sobie:
balsam się palił w nich w tej dobie.
Gdy przekroczyły próg dziewice,
niosące w ręku te szklenice,
pełne balsamu, wraz z królową
skłoniły się przystojnie głową,
potem królowa, tak jak była
pełna godności, postawiła
przyniesionego z sobą Grala
przed gospodarzem. Parsywala
zaduma schwyci wnet głęboka,
tak że nie spuszczał długo oka
z onej królowej bogatéj,
co wniosła Grala do komnaty,
a której płaszcz krył mu ramiona.
Do osiemnastu tamtych grona
te siedem w rychłym czasie
zwróciły kroki, w środek zasię
tę najprzedniejszą wzięły.
Tak wokół niej stanęły —
Wzdyć po dwanaście z każdej strony,
a ona z blaskiem korony
na swem królewskiem czole,
lśniła urodą w tem kole.

A dla rycerzy, co w te progi
zeszli się w liczbie tak mnogiéj,
byli do służby dodani —
jeden na czterech — szambelani,
z złotemi misy do wody;
za każdym pazik stał młody,
co biały ręcznik dzierżył.
Bogactw - byś wszystkich nie zmierzył.
Sto było stołów daléj,
które wniesiono do sali,
a zaś przy każdym, tak wypadło,
czterech rycerzy siadło.
Na wszystkie stoły należycie
bielutkie dano nakrycie.
Gospodarz sam na duszy chory,
umył swe ręce tej pory,
Parsywal wnet to samo zrobił.
Jedwabny ręcznik przysposobił
syn im hrabiowski, na kolana
co tchu przykląkłszy u stóp pana.
Na wolnych miejscach, po za stołem,
po czterech paziów stało kołem,
by służby swej nie zapomnieli
około tych, co tam siedzieli.
Dwóch z tych pazików, klęcząc, kraje.

a drugich dwóch co tchu rozdaje
jedzenie wokół i napoje,
spełniając chętnie służby swoje.

Teraz powiedzieć mam ochotę
coś o bogactwach: statki złote
na czterech wozach rozwozili,
aby z nich jedli i pili.
Wokół ścian czterech je ciągnęli.
Czterej rycerze stawiać jęli,
owe naczynia dłońmi swémi
przed gośćmi ucztującymi.
Za każdym wózkiem pisarz kroczył,
aby niczego nie przeoczył,
ażeby baczyć, czy też w ładzie
chowają statki po biesiadzie.
Teraz opowiem rzecz wam inną —
stu giermków służbę miało czynną:
W ręku ręczniki świeże,
chleb z Grala przed rycerze
kładli po stołach sowicie.
Tak mi mówiono — wy wierzycie
i przysięgniecie wszyscy na to,
że Gral miał strawę bogatą
(jeżeli kłamstwem moje słowa,
to fałsz i we was się chowa).
Niech się kto o co zapyta,
wszystkiego znajdzie do syta:
potrawy zimne i gorące,
stare i świeżość mające,
mięso domowe i dziczyzna.
Może niejeden, wątpiąc, wyzna,
że niebywałe są to rzeczy:
niech z niedowiarstwa się wyleczy,
bo wszak o Grala tu chodzi,
co dolę świata słodzi
swojemi dary i prawdziwie
niebieskiej równa się niwie.

Z złotych kubeczków do potrawy
brano potrzebne przyprawy:
pieprz, sos i wszelkie kwasy.
I wstrzemięźliwi i opasy
mieli w podaniu gładkiem
wszystkiego podostatkiem:
wino i syrop, sok morwowy,
gdyś kubek w ręku miał gotowy;
i inne, jakie chcesz, napoje,
płynęły hojnie, niby zdroje,
z Grala, co dzisiaj oto
z taką niezwykłą szczodrotą
ugościł naraz tyle luda.
Wszystkie bogactwa, wszystkie cuda
widział Parsywal, lecz w swem łonie
nie miał odwagi pytać o nie.
Pomyślał sobie: „W dobrej wierze
Gurnamanz radził mi szczerze,
bym się nie pytał zbyt dużo.
Co tu się dzieje, jak tu służą,
jaki tu zwyczaj się wyłania,
może się dowiem bez pytania,
wszak i u niego-m tak się sprawił".
Kiedy tak dumał, wnet się zjawił
giermek, niosący miecz w swym ręku:
za pochwę mógłbyś dać bez lęku
choć tysiąc grzywien; w rękojeści
piękny się rubin mieści,
a żeleść jego cuda może
spełniała w niejednej porze.
Gospodarz miecz gościowi wręczył,
mówiąc: „nim Bóg mnie tak umęczył
na mojem ciele, jam w potrzebie
miał go niejednej, teraz ciebie
chcę nim obdarzyć, niech ci będzie
nagrodą za to, gdy na względzie
zbyt tu nie miano twej osoby.
Dzierż go, a on ci każdej doby,
gdy potrzebujesz jego cnoty,
da przebyć ciężkie obroty".

Że się nie pytał teraz — nieba! —
wielce żałować mi go trzeba.
Żal mi jest także gospodarza,
że go choroba trapi wraża;
zadałoby jej kres pytanie.
Wtem się skończyło ucztowanie
i cała służba, jak najęta,
zaczęła zbierać sprzęt do sprzęta —
na cztery wozy je złożono.
Jak przedtem, owych dziewic grono
zadanie spełnia swoje,
tylko, że teraz dziewoje
ostatnie idą na przedzie.
Grono to kroki swoje wiedzie
znów do świętego Grala.
Do gospodarza i Parsywala

królowa schyli swe lice,
a za nią wszystkie dziewice —
i z wszystkiem poszły daléj,
z czem się zjawiły w tej sali.
W ślad ich Parsywal wzrok potoczy.
I wnet ujrzały jego oczy
w jednej komnacie, nim się dźwierce
zawarły znowu, cud — kobierce,
a na ich miękkiej pościeli
starego człeka włos się bieli,
a piękność w starcu tym się mieści,
o jakiej przedtem nie miał wieści.
Mąż ten — w przesadzie-m nie skwapliwy,
bardziej niż siwa mgła, był siwy.

(Jan Kasprowicz).

IV. Hartmann von der Aue.

Biedny Henryk.

Bogaty rycerz cierpi na straszny wrzód, od którego według orzeczenia mędrca z Salerno może go wybawić jedynie dobrowolna śmierć niewinnej dziewicy. Ale ponieważ on ofiary takiej ani się spodziewa, ani pragnie, rozdaje tedy całe swe mienie i udaje się do poddanej sobie rodziny chłopskiej, by wśród jej opieki życie zakończyć. Tu pobożna córka dzierżawcy posłyszała o owym warunku wyleczenia rycerza, i pomimo próśb i łez rodziców i perswazyi Henryka, pragnie krew swoją dla niego przelać. Udaje się do Salerno. Już przedsięwzięto przygotowania do jej ofiary, gdy Henryk przeszkadza jej i wyrusza w podróż. Gorąca modlitwa dziewczyny wyjednywa mu wyzdrowienie, rycerz żeni się ze swoją wybawicielką.

Tak podążyła do Salerna
razem z swym panem dziewka wierna,
otuchę czując i wesele.
Cóż ma się jeszcze skarżyć wiele —
chyba na długość tej podróży
i że jej życie jeszcze służy.
A gdy na miejsce już przybyli,
tak on do mistrza tejże chwili,
jako ułożył w swojej głowie,
pójdzie i wszystko mu opowie
z radością w sercu, że na świecie
znalazł dziewoję, lube dziecię,
co go wybawić ma w zamiarze;
przyczem mistrzowi ją pokaże.
Ten nie da wiary i tak spyta:
zastanowiłaś się do syta
nad swoją wolą? czyś związana
chęcią lub groźbą swego pana?
Na to mu dziewka odpowiada,
że to, co czyni, czyni rada,
że, gdy to spełnić jest gotową,
idzie za duszy swej namową.
„Dziw tu“ — pomyśli on — „na [dziwie“,
weźmie ją na bok i skwapliwie
rozpocznie badać, czy też ona
nie jest groźbami przymuszona,
azaż w tem pana nie ma woli.
„Dziecię“ — tak powie — „do swej doli
trzeba-ć się lepiej przygotować;
wiesz, co masz spełnić, co sprawować;
umrzesz, lecz korzyść nie uświęci
twojego końca, jeśli z chęci
nie własnej dajesz młode życie;
postępuj jawnie a nie skrycie,
otwórz przedemną swoją duszę,
słuchaj, co rzec ci tutaj muszę;
mam cię rozebrać, mam obnażyć,
czy to nie dosyć — zechciej zważyć —
by opuściła cię odwaga
z wstydu, gdy stać tak będziesz naga?
Związę ci nogi, związę ręce,
ulituj-że się ciała męce,
rozważ, dziewczyno, te męczarnie!
Z żywego łona ci wygarnie
nóż mój twe serce śród boleści!
Powiedz, dziewojo, na te wieści
czy jeszcze czujesz męstwo w sobie?
Wszakże dotychczas w żadnej dobie
nie doznał tego nikt na ziemi.

Na myśl, że na to oczy swemi
będę spoglądał, czuję dreszcze.
A kiedy sobie wspomnę jeszcze,
że nadaremnem wszystko będzie,
gdy żal w najmniejszym zdjął cię
[względzie,
wtedy stracone trudy, leki
i młode życie twe na wieki".
Tak jej to wszystko przypomina,
takci ją prosi, tak zaklina,
by porzuciła taką śmiałość,
ale w niej silna woli stałość.

Dziewka, poznawszy, że coprędzéj
może się wyrwać z ziemskiej
nędzy —
nim jeszcze jeden dzień uciecze —,
tak-ci do niego z śmiechem rzecze:
„Za twoją miłość zapłać Boże,
że, nim na bólów pójdę łoże,
mówią mi prawdę usta twoje;
wierzaj, poniekąd ja się boję,
albowiem zdjęło mnie zwątpienie,
a ja ci wyznać się nie lenię,
w jakim rodzaju jest prawdziwie
ona wątpliwość, którą żywię:
twoje wahanie mnie przestrasza,
że w niwecz pójdzie służba nasza,
bo ty nie spełnisz jej, niestety!
Twe słowa godne są kobiety,
a duch jest w ciele twem zajęczy.
Zbyt wielki przestrach ciebie męczy,
że ja mam dzisiaj umrzeć, panie!
Źle ty wypełniasz swe zadanie,
chociaż mistrzostwa dzierżysz sławę.
Jestem kobietą, lecz obawę
wygnałam z serca; odważ-że się
krajać, a duch mój ból już zniesie.
Słyszałam właśnie z twojej wargi
na śmierć straszliwą groźne skargi,
wypowiedziane bez osłony.
Ale czyż byłabym w te strony
przyszła tak zdala, gdybym w duszy
nie czuła męstwa, by katuszy
choćby najwięcej znieść, gdy trzeba?
Tyś na mnie ściągnął łaskę nieba:
sam mi tę bladość odebrałeś,
a jeszcze więcej męstwa wlałeś;
w takiej mnie tutaj widzisz trwodze,
jakbym do tańca była w drodze;
bo gdzież męczarni taka siła,
coby się w życie moje wpiła,
coby przez jeden dzień je żarła,
ażebym rada nie umarła,
abym nie miała mieć przyczyny
oddać ten jeden dzień jedyny
za wieczystego dni żywota!
Niech się już zacznie twa robota!
Dalej! bo strachu niema we mnie!
Jeśli krew moja niedaremnie
popłynie dzisiaj; masz-li w głowie,
że memu panu wrócisz zdrowie,
przyczem ja żywot zyskam wieczny,
na miłość Boga! bądź bezpieczny,
zacznij coprędzej, pokaż przecie,
że jesteś mistrzem na tym świecie!
Sam mnie pobudzasz w tej godzinie;
wiem-ci, dlaczego ja to czynię —
w imieniu Tego, co łaskawy,
widzi tu nasze dobre sprawy
i swą nagrodę za nie łoży;
wiem, co powiedział nam Syn Boży:
Kto tu na ziemi odda siebie
na wielką służbę, w mojem niebie
weźmie największą ten zapłatę.
Dlatego życia mego stratę
bolesną myśl mi słodzi,
że on mnie wynagrodzi.
Umysłbym miała wżdyć szalony,
niebios wyparłszy się korony".

Mistrz, zobaczywszy, co się dzieje,
że nic w niej hartu nie zachwieje,
powiedzie znowu tę dziewicę
przed męczennika smutne lice
i tak powiada do jej pana:
„By spełnić dzieło, snać wybrana
z wszystkich; pierzchnęły obaw mary!
Tylko odwagi! tylko wiary,
a ja wam znów powrócę zdrowie".
I zaprowadzi, gdy to powie,
do odległego ją pokoju,
by nie był świadkiem pan jej znoju.
I zamknął przed nim drzwi w tę porę
na klucz a także na zaworę,
by nie widziały jego oczy,

jaki dziewoję ból zamroczy.
Śród jednej komnaty,
w lekarstw zbiór bogaty
zaopatrzonej należycie,
każe dziewoi zdjąć okrycie,
każe jej ściągnąć suknie z ciała!
Jak ta się pracy tej oddała!
W szwie je rozdarła na dwa pasy,
i tak stanęła, pełna krasy
w swojej nagości: nie zaboli
wstyd ją — to wszystko panu gwoli.

Gdy mistrz tak patrzał na to [dziecię,
pomyślał sobie, że na świecie
byłoby sprawą wielce trudną
znaleść kobietę równie cudną.
Litość nad dziewką uczuł w łonie,
duch mu i serce w bolu tonie;
lecz ona trwogi wolną była.
I tuż przed sobą zobaczyła
w środku komnaty stół nielada.
Na nim na rozkaz mistrza siada;
ten ją skrępował na te męki
i wziął natychmiast nóż do ręki,
obok leżący, wyostrzony,
do takich celów przeznaczony,
długi, szeroki; w mistrza chęci
było, by krajał jeszcze cięciéj,
bo gdy już miała zginąć marnie,
znieść z własnej woli te męczarnie,
chciał jej tę straszną śmierć złago- [dzić,
litością koniec jej osłodzić.

W komnacie też osełka leży;
niebawem mistrz ją w ręku dzierży
i ów błyszczący nóż niezwłocznie
powoli na niej ostrzyć pocznie.
Lecz to ostrzenie w ciszy
tej chwili wżdyć usłyszy
biedny ów Henryk, co ze łzami
tuż pod komnaty stanął drzwiami,
pełen żałości i rozpaczy,
że już swej dziewki nie zobaczy.
I tak wciąż szuka, tak się biedzi,
czy jakiej dziurki nie wyśledzi,
aż tam, gdzie ściany się stykały,
znalazł nareszcie otwór mały,
a przez rozłamek, przez szczelinę
związaną ujrzał wnet dziewczynę.
Kształt jej postaci tak uroczy!
I zawisł na niej swemi oczy,
gdy tak leżała przed nim, naga.
I nowa zdjęła go odwaga:
inna mu w sercu myśl się rodzi,
inna otucha w niego wchodzi,
czuł, że miał dotąd złe zamysły,
które od razu się rozprysły,
natomiast duszę wypełniła
czystszej dobroci nowa siła.
Patrząc na piękną tę dziewczynę,
wyrzuca sobie wielką winę:
„azaż szaleństwa się nie jąłeś,
gdy żyć choć jeden dzień pragnąłeś
samemu Bogu na przekorę?
Bóg ma nas w pieczy w każdą porę.
Nie wiesz-li, o co ty się kusisz?
przez to, że raz już umrzeć musisz,
chcesz dobrowolnie los nędzarzy,
którym za karę Bóg cię darzy,
rzucić, do końca miast go znosić?
któż może-ć prawdę tę wygłosić,
któż ci na pewno dzisiaj powie,
że ta śmierć dziecka da ci zdrowie?
Dźwigaj, co-ć Stwórca dał na drogę;
patrzeć na dziecka śmierć nie mogę!“
I nie długo w myśli szuka,
tylko do drzwi wręcz zapuka:
„wpuść mnie“ — prosi. — Mistrz [zawoła:
„już nie pora, już nie zdoła
drzwi otworzyć moja ręka“.
„Mistrzu!“ — znowu Henryk stęka —
„Słuchaj słów mych, zwróć się do [mnie“.
„Panie! mówię wam niezłomnie,
nim się skończy, nie otworzę“.
„O nie, mistrzu, być nie może!
Otwórz przedtem!“ „Mów przez ścianę“.
„Nie! to sprawy wam nieznane“.

I mistrz otworzył drzwi świetlicy;
wszedł biedny Henryk w swej tęsknicy,

stanął, gdzie jego dziewka leży,
związana cała, bez odzieży,
i rzekł te słowa: „być nie może,
by to dziecko zmarło hoże,
bym na śmierć tę patrzył krwawą;
snać za Boga pójdziesz sprawą,
gdy uwolnisz ją coprędzéj,
zaś odemnie garść pieniędzy
wszystkie trudy twe pokryje,
ta dziewica niechaj żyje".

(Jan Kasprowicz).

V. Walter von der Vogelweide.

1. Oddanie się i odprawa.

Mego serca przenika głębiny
Jej niebiańskich oczu rajski blask;
Patrzeć na nią częściej, co godziny,
Być jej sługą — ach! to szczytem łask!
Jej oddana dusza ma,
Ale ona czyliż o to dba?!

Piersi moje troska ciśnie głazem,
By ją zrzucić jest-li we mnie moc?
Potajemnie chciałbym z nią być razem —
Za białego dnia i w późną noc.
Lecz nadzieja — próżny szał:
Zgody pani mej nie będę miał.

Jeśli moją wierność tak odpłaca,
To któż drugi da jej wiarę znów?
Snać od pochwał moich się odwraca,
Woli słuchać mych nagany słów.
Ach! dla czegoż czyni tak,
Gdy w mem sercu nienawiści brak?!

2. Piękność i wdzięk.

Najukochańsza dziewko ma,
Niech cię na wieki strzeże Bóg!
O jak szczęśliwym byłbym ja,
Gdybym o tobie myśleć mógł!
Cóż więcej rzec ci, skarbie mój? —
Że nikt cię bardziej odemnie nie kocha,
To jest mych cierpień zdrój!

Gani mnie dziś niejeden człek
Za pieśni mej poziomy ton;
Darmo swój, widać, przeżył wiek,
Gdy czaru wdzięku nie zna on.

Nigdy go wdzięk nie wzruszył, nie!
Kto się o piękność i wiano ubiega,
Ten się ubiega źle!

Z pięknością zawiść idzie wraz,
Więc za pięknością niezbyt bież;
Miłość nagrodą darzy nas,
Nad piękność wyższa miłość też!
Wdzięk-to kobiecie piękność dał,
Lecz piękność nigdy, wierzajcie mi szczerze,
Wdziękiem nie krasi ciał.

Znoszę wyrzutów ludzkich chłód
I zniosę go przez wszystkie dni:
Piękna-ś i masz dobytków w bród,
Niech, co chcą tylko, mówią mi!
Wiernie ci służę, ma zaś dań
Szklany twój pierścień: złota wszystkich królewn
Jabym nie oddał zań!

Jeżeliś wierna, stałość masz,
Nie doznam żadnej troski już,
By ból przez ciebie zrył mi twarz,
Ażebym w sercu doznał burz:
Lecz gdy się zbędziesz cnoty tej,
Wnet cię utracę i me serce pęknie:
To na uwadze miej!

3. Potęga miłości.

Miłości! któż tej mocy cud
Dał ci, żeś tak wszechmocna ty?
Pod twojem jarzmem wszelki lud —
Stary i młody wszakżeż drży.
Ja-ć chwalę Boga, odkąd sam
Kajdany twoje noszę, odkąd pewność mam,
Że wiernej służby nadszedł dzień!
Nie rzucę tego jarzma: pozwól, bym ci, pani,
Aż do ostatnich służył tchnień.

4. Niewdzięczność świata.

Zrzec się muszę uciech wielu,
Któremi niegdyś poił się mój wzrok.
Do jakiegoż tęskni celu
Ten, kto nie wierzy w spraw minionych tok?
Jakżeż mało on słodyczy zna:
Gorzka tęsknica w jego sercu trwa.
Zawróć-że, losie zły, swój krok!

Długom w służbie świata stał
I jeszcze sługę miałby we mnie świat,
Lecz nagrodę złą mi dał,
Myśląc, że na to wzrok mój przygasł, zbladł,
A ja to po tym zwyczaju spostrzegam:
O co tak proszę i o co się ubiegam,
On raczej głupcom daje rad.

Jak się starać, wie to Bóg!
Dzisiejszy zwyczaj wielce wrogi mnie:
Gdy się zwyklych trzymam dróg,
Bezradny-m wnet, wychodzę na tem źle.
Lecz cnota darzy mnie pociechą tą,
Że bezwstydników zabiegi miłe są
Wszędzie, a tylko dla niej nie!

5. Dobry obyczaj.

Przymioty we mnie dwa, choć bez przymiotów jam;
Już je od dziecka połączyłem w sobie:
Cieszy się u mnie ktoś, i ja uciechę mam,
Nie rad się śmieję, jeśli kto w żałobie.
Razem z ludźmi dzielę śmiech,
Razem z ludźmi płakać pragnę:
Do łez nieraz — czyż to grzech? —
I do śmiechu ja się nagnę.
Jako oni, i ja tak,
Aby nie pójść ludziom wspak.
Kto, widząc boleść ludzi,
Uczuwa rozkosz w sercu, ten ku sobie
Wstręt u wszystkich budzi.

Dawniej to człowiek był miłej miłości rad,
Radość też sobie moja pieśń wybrała;
Lecz dziś, gdy powiądł już miłości miły kwiat,
Z mej pieśni radość ubiegła też cała.
Zawsze tylko chwili służ,
Śpiewaj zawsze, jak kto może;
Gdy swawola minie już,
I ja dworską pieśń ułożę.
Przyjdzie jeszcze śpiewu czas:
Szczęśliw, kto go dożył z nas!
Niech każdy mi uwierzy,
Że sposób wynalazłem, jak i kiedy
Śpiewać mi należy.

Śpiewałem kobiet cześć dla ich pozdrowień słów,
W nich nagroda była mi gotowa;

Lecz gdy daremnie dziś czekam nagrody znów,
Chwalą inni za pozdrowień słowa.
Nie uzyskam za mój śpiew
Pozdrowienia nawet w darze,
Nie postąpię dumie wbrew,
Twarz odwrócę, grzbiet pokażę.
Znaczy to: jak o mnie dbasz,
Takiego też we mnie masz.
Wysławiam te jedynie,
Co dziękę nieść umieją: dla zbyt pysznych
Pieśń ma nie popłynie.

Patrzcie, skąd tyle zła ponosim wszyscy my:
Rozróżniają nas mało kobiety.
Równym jest dla nich mąż, czy dobry on czy zły;
Ta równość czci nam uwłacza, niestety!
Rozróżni nas kobiet ród,
I my je rozróżnim wtedy,
Nie wyniknie tyle szkód
Płci obojej, tyle biedy.
Gdy różnicy niema być,
Co jest dobrze, co źle żyć?
Zważcie, zacne panie:
Gdy, mszcząc się, my was wszystkie tak zrównamy,
Cóż się z wami stanie?

6. Równość wobec Boga.

Kto działa, Boże, twym sprawom wbrew,
Choć na swych ustach ma wciąż ich zew,
Szczerej miłości ten w sobie nie chowa.
Niejeden ciebie swym ojcem zwie:
Ale za brata kto nie ma mnie,
Dla tego słabą treścią wielkie słowa.
Jednego szczepu wszyscy my odnogi;
Ginie ta strawa, co nam pokarm błogi,
Spożyta przez nas, dała.
Pana od sługi któż odróżnić w stanie
(Choćby to jego byli przyjaciele)
Gdy spojrzy na ich piszczele,
Gdy robak niszczy ich ciała?
T'emu, co wszystkich żywi, i poganie
I żydzi służą i brać chrześcian cała.

7. Sierota.[1])

O starsza jest korona, niźli król Filip, tak!
Dla oczu wszystkich ludzi podziwu jest-to znak,

[1]) Wielki kamień w koronie cesarzów niemieckich, nazwany sierotą, gdyż drugiego podobnego wówczas nie znano. Wiersz ten napisany był r. 1198 z powodu koronacyi Filipa Szwabskiego.

Że ona jego skroni tak ślicznie przystoi.
I on jej wielce godzien, ten nasz cesarski pan;
Któż mógłby ich rozłączyć, by nie był niecnym zwan?
I jedno ani drugie hańby się nie boi:
Wzajemnym blaskiem lśnią się wciąż
Drogie kamienie i młody, luby mąż,
Że w oczach książąt aż rozkosz drży.
A kto w wątpieniu ma wyrok swój,
Niech spojrzy, z czyjej skroni śle kamień blasków zdrój:
Bądź gwiazdą książąt, „sieroto“ ty!

8. Nie dobry koniec.

Skarżymy się, nie wiedząc, jakiemi to nas pęty
Związano — tak nas Ojciec obałamucił święty.[1])
Jeżeli przykład nam ojcowski sam on dał,
To jakżeż z jego dróg nasz krok-by zboczyć miał?
Lecz teraz bacz, o świecie, czem serce me się brzydzi:
Gdy skąpi on, nikt skąpstwa się nie wstydzi,
Gdy kłamie on, wnet każdy tuż w jego kłamie ślad,
Oszuka on, wnet cały oszustwa spełnia świat.
A teraz za to któż mnie łajać rad:
I nowy padnie Judasz — tak rzecz mi ta się widzi.

9. Włoska skarbona.[2])

Po chrześcijańsku Papież jak z nas się w Rzymie śmieje,
Prawiąc Włochom, że tutaj przez niego nam się dzieje;
Nad słowa te lepszego cóż on wymyśleć ma:
„Koronę-m jedną włożył na łby allmańskie dwa,
By ogniem oraz mieczem niszczyli swe zagony,
Ja swe tymczasem wypełniam skarbony.
Do skarbon ich prowadzę — tak człeku mądry czyń!
Niemieckie srebro zgarniam do swoich włoskich skrzyń.
Więc, klechy, jedzcie kury, winko wam w gardła płyń,
A ty zaś pość, Niemiaszku, przezemnie ogłupiony!“

10. Wyznanie.

Jak rzadko Ciebie, Boże chwalebny, ja tu sławię,
A przecież pieśń i słowo ty dałeś mi łaskawie:
O biada! że tak grzeszyć nie jestem dziś w obawie.
Źle czynię i miłości nie mam do twoich dzieci —
Współchrześcian — ni do Ciebie, o wielki Ojcze mój!
Na siebie tylko zlewam swojej miłości zdrój:
Niech duch wasz, Boże Ojcze i Synu, mnie oświeci!
Jak mogę kochać tego, co tu mi czyni źle?.
Ten dla mnie zawsze milszy, co jest życzliwy mnie,
Me inne przebacz winy, wtem się nie zmienię, nie!

---

[1]) Papież Inocenty III.
[2]) Z powodu ogłoszenia przez Inocentego III. składki na krucyaty. Poeta podejrzewa, że pieniądze pójdą na inny użytek.

II. Boga zgłębić nie można.

Któż, Boże, twą szerokość i twą wysokość zna?
Niech człek — by ich nie tracić — o czas i trud swój dba!
Potęga twa i wieczność czyż miarę jaką ma?
Wiem o tem, gdy to zbadać zmysł innych się porywa;
Dla zmysłów niedościgłą wszak jest istota twa?!
Zbyt wielkiś i zbyt małyś, a zmysł nasz mrok okrywa.
Kto noc i dzień to zgłębia, ten zmysłów się pozbywa!
Czyż zbada to, co zbadać czczym trudem się nazywa?!

(Jan Kasprowicz).

VI. Freidank.

O niebie i piekle.

O piekło w stokroć większym trudzie
niźli o niebo walczą ludzie,
większy ich mozół przygniata,
choć tak nierówna zapłata.

W piekielne, patrzcie, wiodą progi
w każdy otwarte czas trzy drogi:
pierwsza to droga jest rozpaczy,
ta duszy wieczną śmierć już znaczy;
druga, gdy spełnia człek złe czyny,
a przytem mieni się bez winy;
trzecia szeroka, potoczysta,
że z niej dziś cały świat korzysta:
bo świat najwięcej przez to grzeszy,
jeśli nadzieją się pocieszy,
że mu poprawa nie uciekła;
pociecha wiedzie wprost do piekła,
kto ma pociechę tę na względzie,
ten sobie szczęścia nie zdobędzie.

W niebo też można każdej doby
Na te trzy różne wejść sposoby:
jeden przemocą siądzie w niebie,
jeśli wyrzeknie się sam siebie,
drugi w nie znowu się zakrada,
gdy o swej cnocie nic nie gada,
trzeci je targiem kupi jednym,
że swe dobytki rozda biednym.

Słowy bożemi, kto je umie,
nieraz władano w czartów tłumie,
że czart, pomimo swej ochoty,
wyznał swą hańbę, swe zgryzoty.

Zaklęciem człek przywabia węże,
gdzie je z rąk jego śmierć dosięże;
jeśli zaklęcie kto wyrzecze,
tracą swe ostrze twarde miecze,
nawet żelazo cię nie sparzy,
chociaż przez cały dzień się jarzy;
tylko gdy na mszy jesteś święcie,
to ci nie zrobi nic zaklęcie.

Czarta i śmierci bać się muszę,
to mi napełnia strachem duszę:
nie widziało ich oko moje,
przecież, jak złego, ich się boję;
czem są, powiedzieć wszak nie mogę,
a przed obojgiem czuję trwogę.

Czart do tych chytrze nie przychodzi,
których na pasku swym już wodzi:
do tego chytrze się zabiera,
kto jego sprawom się opiera.

Czart zawsze wiernie się wypłaca:
jeśli mu służysz, to twa praca
w pamięci jego nie zaginie
o włos, choć tysiąc lat przeminie.

Przez szyd ma więcej czart dla siebie
swych męczenników, niż Bóg w niebie.

Czart, jeśli zechce, posiew rzuci,
co fałszem żywot cny zakłóci.

Kto jest barankiem w wilków stadzie,
w chytrości nawet czarta kładzie.

Ten, co świat stworzył i człowieka,
słyszy mą myśl i głos zdaleka.

Czart nigdy myśli nie odgadnie,
tylko je w czynach dojrzy snadnie.
Gdyby czart na ziemi
władał sądy swemi,
bardziej-by słuszność miał na względzie,
niżli najprawsi tutaj sędzie.
Sprawiedliwości czart nie skala:
sądzi, jak Bóg mu sam pozwala.
Z czarta, co przedtem był na szczycie,
zaszydził Pan Bóg należycie,
kiedy brać ludzką, tak zdradzoną
przezeń, ozdobił swą koroną.
Gdy czart zapobiedz już nie może,
by człowiek dzieło spełnił boże,
wtedy z chytrością idzie w parze:
tyle mu naraz spełniać każe,
że ten nie skończy swego dzieła:
tak chytrość czarta głupich wzięła.
Jeśli kto zacny żywot wiedzie,
tak zaraz chytrze czart na przedzie:
by go w tem zachwiać, wciąż go mami
i swojem kłamstwem i myślami.
Z tem czart od razu przed nim staje,
że mu się życie złem wydaje,
aż w swojem sercu on niezwłocznie
innego życia pragnąć pocznie.
Gdy tak z jednego w drugie wchodzi,
to mu i tamto nie dogodzi.
Nasycić rzeczy nic nie zdoła
trzech: piekła, ognia, skąpca; zgoła
„dosyć“ i czwarta nie wyrzecze,
syć ją, jak tylko chcesz, człowiecze!
Trzy nam ciągle wrogi
stoją pośród drogi:
świat i podstępne czarta sieci,
me własne serce, to wróg trzeci.
Niech przed tamtymi Bóg mnie strzeże,
bo ja z swem sercem wciąż się mierzę,
bronię się ciągle: ono czuwa
wciąż, choć się ciało w sen zasnuwa.
Nic nie powstrzyma oka serca:
przenika lądy, głąb przewierca,
przebija niebo, w piekle tonie,
a wciąż je mamy w swojem łonie.

(Jan Kasprowicz).

VIII. Poezya angielska.

Chaucer.

Powieści Kantorberyjskie.

1. Prolog.

Poeta przedstawia grono pielgrzymów idących do Cantorbury, z których każdy ma opowiedzieć jakąś historyjkę.

Rycerz był godnym i szacownym mężem.
Od pierwszej chwili, gdy wyszedł z orężem,
Serce mu biło dla rycerskiej sprawy,
Wolności, prawdy, dworactwa i sławy.
Wielce był czczony w wojsku swego księcia
I na wojenne chadzał przedsięwzięcia

W ziemice chrześcian i między pogany,
Wszędzie z odwagi oraz siły znany.
Widział upadek Aleksandryi [1]); w kole
Rycerskich mężów siadywał przy stole
Na pierwszem miejscu w krainie Prusaków;
Był pośród ruskich i litewskich szlaków —
O wiele częściej niż inni rycerze;
W Grenadzie walił Algeziry [2]) wieże,
Walczył pod Lajas [3]), Belmarją [4]) zdobywał
I pod Satalją [5]) chwałą się okrywał,
Nawet na wodzie dokazywał cudów —
Na Wielkiem Morzu [6]) śród znoju i trudów.
W piętnastu krwawych a rycerskich bitwach
I na rycerskich trzykrotnie gonitwach —
Pod Tramisseną [7]) — bronił chrześcian sławy.
Z władzcą Palacyi [8]) urządzał wyprawy
Przeciwko innym tam, w Turczech, niewiernym:
Plon jego męstwa był zawsze niezmiernym.
Mimo tej chwały, był człekiem rozumnym
I, jak dziewica, łagodnym, nie dumnym,
Zawsze wybredną była jego mowa,
Nigdy grubego nie użył on słowa
Przeciw nikomu: był to w każdej porze
Rycerz szlachetny, jak tylko być może.
Coś o rynsztunku powiedzieć należy;
Na dzielnym koniu, sam w skromnej odzieży,
Z zwykłej kuczbai miał kubrak wytarty,
Stary, zbrudzony, rdzą kolczugi zżarty.
W drogę na odpust, nie czekając dłużéj,
Wybrał się, właśnie wróciwszy z podróży.

* * *

A był z nim także junak urodziwy,
Syn jego, młodzian wesoły, kochliwy;
Gęsto miał krętych, jak palonych, loczków,
I liczył sobie ze dwadzieścia roczków.
Z figury smukły, wytworny, wysoki,
Wielką miał siłę, stawiał chyże kroki;
Służąc przy jeździe, walczył z poczty swemi
W Flandryi, Artoa, w pikardyjskiej ziemi,
A takie zdobył imię chociaż młody,
Że się spodziewał już u dam nagrody.

---

[1]) W r. 1365 przez Piotra Luzytańskiego, króla Cypru.
[2]) 1344 r.
[3]) W Armenii.
[4]) Prawdopodobnie w Afryce.
[5]) W Pamfilii, starożytna Attalia.
[6]) Morze Śródziemne.
[7]) Miasto maurytańskie w Marokko.
[8]) Palathia w Anatolii.

Zawsze się stroił, niby łączka w lecie,
W przeróżne — białe i czerwone — kwiecie.
Świstał i śpiewał, gdzie tylko się zjawił,
W zdrowej świeżości, jak ten maj, się pławił;
Kubrak miał krótki, szerokie rękawy,
Na koniu jeździł zręcznie, pełen wprawy,
Umiał malować, pisać, wiersze składać,
I deklamować, szyku w tańcu zadać;
Na złość słowikom umiał czuwać w nocy:
Takiej gorącej był w kochaniu mocy!
Lecz zawsze skromny, usłużną miał wolę,
Kąski dla ojca zwykł krajać przy stole".

* * *

Giermek to jego towarzysz jedyny —
W drodze liczniejszej nie lubił drużyny —
Był w kapeluszu, zielonym kaftanie,
Pęk strzał świecących nosił w swym kołczanie:
Pięknie pawiemi ozdobionych pióry,
A zawsze zręcznie trzymanych do góry,
By się piórami na dół nie spuszczały.
W ręku łuk dzierżył, potężny, wspaniały.
Ciemny na twarzy, włos miał krągło ścięty —
Był to myśliwy od czubka do pięty.
Miał w zarękawia lśniące uzbrojony
Łokieć; miał tarczę i miecz z jednej strony,
Z drugiego boku gładki nóż się mieści
O ostrzu dzidy, pięknej rękojeści;
Święty się Krzysztof[1]) w srebrnej błyszczał krasie
Na jego piersiach, a zaś róg przy pasie
Wisiał zielonym; wyglądał z postaci
Na leśniczego.

* * *

Do pątniczej braci
Także się mniszka, przeorysza, liczy,
Uprzejma, pełna prostoty dziewiczéj.
Cną Eglantyną zwała się ta pani,
A święty Ludwik był wezwaniem dla niéj,
Ilekroć ręce do przysięgi złoży.
Nie było nad nią lepszej w służbie bożéj:
Przez nos śpiewała mile nad pojęcie;
Francuskim ślicznie mówiła — w akcencie,

[1]) Tyrwhitt, komentator Chaucera, powiada: Nie rozumiem znaczenia tej ozdoby. Giermkom zakazanem było noszenie ozdób srebrnych lub złotych. — Inni twierdzą natomiast, że święty Krzysztof, wyobrażony na blasze, noszony był przez wszystkie stany jako ozdoba lub amulet. (Roach Smith w „Journal of the Britisch Archeological Association" Vol. I. str. 200).

Jaki w Stratfordzie wbijają do głowy,
Paryskiej bowiem nie znała wymowy.
Wiedziała, jak się zachować przy stole:
Nigdy paluszka nie moczy w rosole,
A każdy kąsek tak podnosi składnie,
Że ani krzta jej z gęby nie wypadnie,
Ani na piersi nie spłynie kropelka;
Dworski obyczaj to jej troska wielka.
Wargę też górną tak zawsze obciera,
Że na kielichu, jeśli chęć ją zbiera
Napić się czego, ni ślad nie zostaje
Żadnej tłustości: gładkie obyczaje
Umie przy całej zachować biesiadzie;
Zawsze starała się o wdzięk w układzie,
Zawsze wesoła, nigdy w złym humorze,
Mile widziana była w każdej porze;
Zawsze dworskiemi przejęta maniery,
Szacunek k' sobie rozbudzała szczery.
Pytacie teraz, jak tam z jej sumieniem?
Litości była ożywiona tchnieniem,
Wielce łagodna, miłosierna w duszy.
Nieraz, bywało, do łez ją poruszy
Myszka w pułapce ranna lub zabita;
Nieraz widziano, jak psinki do syta
Mlekiem, pieczenią, kromką chleba raczy.
A zdechła która, to była w rozpaczy;
Ba! gdy kto psince nieco bolu sprawi,
Już się jej serce litościwie krwawi.
Nadzwyczaj wdzięcznie miała welon spięty,
Oczy szarawe, nosek wyciągnięty,
Usteczka małe, różowe, łagodne,
Czoło przed wszystkiem piękne a swobodne —
Na piędź szeroką miała skroń nadobną;
Wogóle w wzroście swym nie była drobną.
W chędogiej wielce chodziła sukience,
Z parą różańców z korali na ręce,
Poprzekładanych tu owdzie zielenią,
Z złotem zamknięciem, na którem się mienią
Pod A, wyrytem u góry z koroną,
Słowa, że „Amor vincit omnia".
Z oną
Szła przeoryszą jeszcze mniszka druga
I ich kapelan, k s i ą d z, ołtarza sługa.

* * *

Był i m n i c h także, wielce urodziwy,
Szykowny jeździec, namiętny myśliwy;
Męskiej postawy, a godnej opata!
Miał niejednego w swej stajni bachmata;

A kiedy pędził, jak szalony, błonią,
Tak uździenice na wietrze mu dzwonią,
Jak gdyby były dzwonkami w kościele,
Przy którym pan ten miał w zarządzie cele[1]).
Na Benedykta świętego regułę
Czy też Maurusa miał serce nieczułe;
Sprawy to stare, a on stare sprawy
Zawsze zostawiał w spokoju, łaskawy:
Za to hołdować nowym prądom raczył:
U niego przepis nie wiele tam znaczył,
Jeśli łowiectwo między grzechy składa;
A już za słowo, które wręcz powiada,
Że mnich, jak ryba bez wody, się stawa,
Jeśli odbiegnie od mniszego prawa —
To jest, gdy nie chce wciąż siedzieć za kratą —
Pusta łupina byłaby dlań stratą.
I słusznie myślał. Cóż? Jak oszalały
Miał się zagrzebać w klasztorne szpargały?
Miał się mozolić, jak gdyby najęty,
By od tej pracy — jak Augustyn święty
Radzi nam ludziom — aż dostać pęcherzy?
I światu jakiś wzgląd się przynależy —
A cóż natenczas ze światem się stanie?
Haruj! kto lubi takie harowanie!
Tak to był z niego junak nad junaki!
Chart jego gonił, niby ptak, przez szlaki;
Wyprawiać harce, w polu szczwać zwierzynę —
To dlań jest rozkosz, to szczęście jedyne!
Najcudowniejsze w kraju popielice
Miał u rękawów; pod brodą kapicę
Złocistą szpilką zawsze spinał sobie;
Węzeł miłości nosił ku ozdobie[2]);
Głowę miał łysą, lśniącą jak zwierciadło.
I na policzkach tak się szkliło sadło,
Jak gdyby były maczane w oleju,
I brzuch tłuściuchny był na dobrodzieju;
Z gęby mu para buchała jak z pieca,
Źrenica w głębi, z pod skroni prześwieca.
Koń w pięknym rzędzie, eleganckie buty —
Ksiądz to wistocie jak gdyby wykuty:
Ot, męczennikiem nie był w żadnym względzie;
Najbardziej lubił pieczone łabędzie.
Koń jego ciemny, jak w lesie jagoda.

---

[1]) Ther as this lord was keper of the celle. Ustęp niezrozumiały. Ponieważ w średnich wiekach cella oznaczała także folwark kościelny, być więc może mnich, o którym mowa, był zarządcą folwarku. Chaucer nazywa go „panem“ (lordem), gdyż miał on własne konie itd.

[2]) Kokardka.

* * *

Był tam braciszek, filut, paliwoda,
Kwestarz, zapewne najlepszy z kwestarzy.
Nie wiem, czy w czterech zakonach się zdarzy
Mąż równie gładkiej i pięknej wymowy.
W wielkich go łaskach miały białogłowy;
Przezeń niejedna ślub zawarła para,
Zakon lepszego nie posiadł filara.
Na okolicę — pomiędzy włościany[1])
Był on ogółem bardzo dobrze znany —
I w mieście znały go niejedne panie:
W konfesyonale miał on zaufanie
Większe, jak sam to zwykł mawiać przed światem,
Od wikarego[2]), gdyż licencyatem
Był w swym zakonie. Nikt go nie wyprzedzi
W uprzejmem wielce słuchaniu spowiedzi:
Nikt też od niego grzeczniej nie rozgrzeszy.
A już gdy grzesznik z jałmużną pośpieszy,
To i niewielką pokutę odbiera,
Bo juści taki, co ubóstwo wspiera,
Nie może wiele na sumieniu nosić.
Z tej on przyczyny mógł już naprzód głosić:
Grzechów żałuje zawsze ten, kto daje;
Gdyż człek niejeden, choć się serce kraje,
Płakać nie umie — i to jest boleśniéj!
Stąd mu też płacze i pobożne pieśni
Zastąpi srebro dla braci ubogiéj.
W kołnierzu zawsze nosił zapas mnogi
Miłych drobnostek; śpileczki, nożyki
Któremi piękne obdarzał podwiki.
Głos miał przyjemny i dźwięczny, grał ładnie
I zacnie śpiewał, a jeśli wypadnie
Coś opowiadać, nikt go nie pobije.
Karku białego, jak szczere lilije,
Mógł był swej siły wojakom użyczyć!
A w każdem mieście umiał ci wyliczyć
Szynki, znał wokół kiprów i szafarzy
Lepiej, niż ślepych i chromych nędzarzy;
Zresztą — przystoi-ż wielebnej osobie
Częściej, niż można uniknąć w złej dobie,
Walać się w takiem towarzystwie brzydkiem?
To nie zaszczytnie ani też z pożytkiem!
Lepszy już zawsze, niż biedna hołota,
Ten, komu w worku nie zabrakło złota.

---

[1]) Wolarzy? frankeleins.
[2]) Curat — na Szląsku słyszałem wyraz „kuratus“, oznaczający zarządców kościoła, więc może zamiast wikarego — kuratusa?

Wszędzie, gdzie skutek widział pożyteczny,
Odrazu bywał pokorny i grzeczny.
Pośród braciszków — w nikim cnota taka —
Za najlepszego uchodził żebraka.
Czynsz klasztorowi, bywało, wciąż płaci,
By mu w okręgu nie żebrał nikt z braci.
Choć biednej wdowie nie stało trzewika,
Swem „in principio“ tak jej w duszę wnika,
Że grosz ostatni daje mu niezwłocznie —,
Więcej, niż z pensyi, miał z tych targów rocznie.
Jak psiak tak szczekał, gdy był rozsierdzony;
Stąd poważnione umiał godzić strony;
Przy takich sprawach któż w nim poznał wtedy
Tego braciszka, żebrzącego z biedy?
Istny kanonik, papież oczywisty,
Ornat na siebie brał gruby, wełnisty,
Sterczący wokół niby dzwon — prawdziwie!
Coś też pod nosem mruczał pożądliwie, —
Tak że w nim były te angielskie dźwięki
Szczególnie słodkie. A gdy brał do ręki
Harfę po śpiewie, zwykł przymrużać oczy,
Jak drgają gwiazdy śród zimowej mroczy.
Hubertus zwał się ten mnich przewielebny.

* * *

Nie brakło również poczciwej k o b i e t y
Z pod Bath, a tylko coś głuchej, niestety!
Fabryką sukna był jej dom, miał sławę,
Cypr swym towarem obsyłał, Gandawę.
Żadna w parafii na mszę białogłowa
Nie śmie iść przed nią; a gdy pójść gotowa,
Wnet ona z gniewu tak się trzęsła cała,
Że o mszy w złości tej zapominała.
W czepcu jej było nadzwyczaj wspaniale;
Pewnie z funt jaki ważył, nie mniej wcale,
A zwłaszcza czepiec, noszony od święta.
Pończoszka na niej szkarłatna, opięta,
I nowy bucik, jak ulany, leży.
Kolor jej liczka rumiany i świeży,
Wzrok rezolutny. Wszystkie dni żywota
Tak się sprawiała, jak nam każe cnota.
Z pięciu mężami szła już do ołtarza,
A jak, bywało, żyć się jej wydarza
W latach młodości, powiem w innej dobie.
Trzykrotnie była już przy Świętym Grobie,
Nieraz rzek obcych przepłynęła tonie,
I Rzym widziała święty i Bolonię,

W tumie bolońskim i w Sankt Jago była
I niejednego w drodze doświadczyła.
Lecz, prawdę mówiąc, lubiła łakocie[1]),
Na koniu dobrze jeździła wistocie,
I lekko — w pięknym welonie. Szeroki
Jak tarczę, miała kapelusz, a boki
Płaszcz jej okrywał dostatni; u nogi,
Jednej i drugiej, nosiła ostrogi.
Zaledwie kto ją pozdrowił, w tej chwili
Zaraz szczebioce, śmieje się i mili.
Jak to się napój sporządza miłosny, —
Sztukę tę znała jeszcze z lat swych wiosny.

* * *

Młynarz to chłop był i krzepki i zdarny,
O tęgich kościach, jędrny, muskularny.
Siłę w niejednym udowodnił czasie:
Skopa w nagrodę w każdym brał zapasie.
Krótki a gruby, barczysty okrutnie,
Z wielką łatwością mógł wysadzić wrótnie,
Albo też łbem je rozbijał na wiory.
Brodę miał rudą, a jak u maciory
Twardą, szeroko niby rydel ściętą;
Na czubku nosa, krostę, porośniętą
Kilkoma włosy, równymi szczecinie,
Z jaką na uszach paradują świnie;
Nozdrza miał czarne i dzikie; u boku
Tarcz i miecz nosił; pyskował co kroku,
A przytem gębę, niby piec rozdziawiał;
W cnotę się, grzesznik, wcale nie zabawiał.
Brał po trzy garnce, kradł zboże z ochotą,
A jednak rękę miał czystą, jak złotą[2]).
W niebieskiej czapce a w białym kaftanie
Chodził; do kobzy miał zamiłowanie,
Tylko że nieraz tą swoją muzyką
W nas wszystkich razem budził wściekłość dziką.

(Jan Kasprowicz).

2. Z opowiadania zakonnika.

w. 6961 — 7232.

Tak wyjechawszy, zobaczył zdaleka
Konno pod lasem jadącego człeka —

---

[1]) Gat-toth'd was she... Tyrwhitt przyznaje się, że wyrażenia tego nie rozumie. Poszedłem za przekładem niemieckim (Hertzberga): „sie war leckerhaft".

[2]) Zapewne aluzya do istniejącego dziś jeszcze przysłowia: Every honest miller has a thumb of Gold (każdy uczciwy młynarz ma palnch złoty), co znaczy, że młynarz ten, choć kradł, był uczciwym młynarzem. (Tyrwhitt).

Coś niby giermek: w zielonym kaftanie,
Miał łuk i strzały błyszczące w kołczanie,
Kapelusz z czarną frendzelką dokoła.
„Hej! pomyślności!“ tak nań kat zawoła.
„Szczęścia życzliwym!“ ów giermek odrzecze,
„Kędyż tym lasem zielonym, człowiecze?
Czy może we świat? w dalszą drogę może?“
Na te mu słowa odrzekł kat: „Broń Boże,
Jadę w pobliże, zamierzam tej pory
Pościągać wszystkie zaległe pobory,
Nikt memu panu płacić ich nie raczy“.
„A więc poborcą jesteś?“ „Nie inaczej“.
Przez wstyd brudnego nie chciał wyrzec słowa,
Nie chciał się przyznać, że w nim kat się chowa.
„De par dieu! zatem widzę brata w tobie!
Bo masz poborcę i w mojej osobie.
Po okolicy tej nieznany gonię,
Więc mi przyjazne zechciej podać dłonie,
Bądźmy — jak bracia, bardzo proszę o to:
Mam w swojej skrzyni i srebro i złoto;
Jeśli cię do nas zawiodą podróże,
Czego zapragniesz, wszystkiem ci posłużę“.
„Grand merci“ — rzecze kat — „przyjmij podziękę.“
I tak na miejscu, kładąc ręka w rękę,
Wieczne braterstwo sobie ślubowali,
Potem z kopyta, pośród żartów, dalej.
Kat, co, jak srokosz robactwa w swem ciele,
Miał w sobie kiepskich pomysłów za wiele —
I za pytaniem wciąż stawiał pytanie,
Rzecze: „A powiedz, gdzie masz swe mieszkanie?
Może się kiedy u ciebie pojawię“.
Na to mu lennik odrzeknie łaskawie:
„O, stąd daleko, na północy, bracie!
Lecz mam nadzieję ujrzeć cię w mej chacie;
Wiesz, na rozjezdnem, najpewniejszą drogę —
Tak, że nie zbłądzisz — pokazać ci mogę!“
„Mam jeszcze jedną prośbę“ — kat wyrzecze —:
„Jesteś poborcą, jak i ja, więc, człecze,
Podczas tej jazdy opowiedz mi szczerze,
Jakichże sztuczek używasz w tej mierze,
By też coś zyskać na naszym zawodzie;
Jeśliś w czemkolwiek z sumieniem w niezgodzie,
To nic! opowiedz, co czynić wypada“.
„A więc uważaj“ — tak giermek powiada —:
„Mówię-ć uczciwie, niby brat do brata:
Za wielkie znoje skromniutka zapłata,
Pan mój surowy, nikt mu nie dogodzi,
A człowiek w służbie, niby w jarzmie chodzi,

Więc też ze zdzierstwa trzeba żyć w tym trudzie
I brać to wszystko, co mi dają ludzie.
Tak więc podstępem i gwałtem, prawdziwie,
Z roku się na rok, jako mogę, żywię.
Taką to sobie, widzisz, drogą radzę".
„I ja", kat rzecze, „ten żywot prowadzę
I, Bóg to widzi, biorę, co się zdarzy —
To, co udźwignę i co mnie nie sparzy.
Jeśli pociehu coś znajdzie się w domu,
To nie tłómaczę się z tego nikomu.
Wiem, że bez zdzierstwa to się człowiek biedzi —
Zdzieram, lecz z tego nie czynię spowiedzi.
Nic mnie nie gniecie w sumieniu ni w brzuchu.
Trap spowiednika, jeśli chcesz, zły duchu!
O, na świętego Jakóba! Na Boga!
Dobrze, że tak nas złączyła ta droga.
Ale, braciszku — kim jesteś z nazwiska?"
Uśmiech na wargi giermka się przeciska:
„Jak się nazywam? chcesz wiedzieć, mój panie?
Jam czart" — odrzecze —, „mam w piekle mieszkanie.
Dziś za zarobkiem wyjechałem sobie,
To moim zyskiem, widzisz, co zarobię,
Baczę, gdzie ręce me coś schwycić mogą.
I ty tą samą postępujesz drogą,
Jak tam zdobywasz, mało cię to gniecie,
Mnie też nic boli. Dziś będę po świecie
Jeździł, aż sobie nie wyjeżdżę czego".
„Cóż wy mówicie? Boże broń od złego!" —
Rzekł kat — „jać we was giermka przypuszczałem,
Bo taki człowiek jesteście swem ciałem,
Jak ja — zupełnie! Tam, u siebie, macie
Zapewne swoje właściwe postacie?"
„Nie" — tak mu powie —; „lecz gdy trzeba kiedy,
Mieć je możemy bez najmniejszej biedy;
Wam się jawimy tu, na waszej górze,
W kształcie człowieka lub w małpiej posturze.
Umiem też latać, jak anioł, bez trudu;
Ale w tem niema zbyt wielkiego cudu,
Toć lada kuglarz, widzisz, otumani
Ciebie swą sztuką; znam się dobrze na niéj".
„Czemu", — kat rzecze — „powiedz-że mi szczerze —
Raz ten, raz inny kształt z was każdy bierze?"
„W takiej się" — powie — „jawimy postaci,
Która się zawsze najlepiej opłaci".
„Lecz cóż was skłania, powiedz, mój jedyny,
Do tej mitręgi?" „Ha, różne przyczyny.
Lecz każda sprawa ma swój czas; dzień krótki,
Pryma minęła, a mej jazdy skutki

Dotychczas liche; wyjechałem w celu,
By coś zarobić, a nie, przyjacielu,
Ażeby z tobą rozprawy prowadzić.
Za słaby mózg twój, by mógł sobie radzić
W tych oto rzeczach; dotąd on nie sięga.
Lecz, jeśli pytasz, poco ta mitręga:
Nieraz się sprawa tak, widzisz, ułoży,
Że się narzędziem stajem woli bożéj
W niejednym celu i w różnej postawie,
Jak Bóg z stworzeniem zarządzi łaskawie.
Bez niego bowiem — jeśli on przeszkadza —
Staje się niczem wszelka nasza władza.
U jednych tylko ciała nam pozwala
Męczyć, a każe być od duszy zdala.
Tak było z Jobem, co zniósł przez nas tyle!
Lecz innym razem mamy w swojej sile
Jedno i drugie — i ciało i duszę.
U innych znowu możemy katusze
Zadawać tylko duchowi, bez cienia
Władzy do ciała — wszystko dla zbawienia!
Ten, kto się oprze pokusie, bezpieczny:
Albowiem dojdzie szczęśliwości wiecznéj,
Choć my go zbawić nie mamy w zamiarze,
A tylko oddać potępienia karze.
I ludziom służyć mamy też zadanie,
Taki ja byłem w służbie przy Dunstanie,
Biskupie świętym i u apostoła".
„Teraz mi powiedz jasno" — kat zawoła —,
Czy sobie nowe ciała przyrządzacie
Ze świeżej gliny?" „O, nie! te postacie,
To nieraz puste mamidła, my, wiécie,
W ciałach umarłych nowe mamy życie,
A tak rozumne wychodzą z nas słowa,
Jak ongi z wieszczką Samuela mowa,
O którym wątpić dziś nie jeden raczy —
Bo cóż tam wasza teologia znaczy!
Ale to jedno powiem ci bez żartów:
Pytasz się, jaka jest postać u czartów?
Sam ty wnet zajdziesz tam, gdzie ci nie będzie
Potrzeba mojej nauki w tym względzie;
Sam z doświadczenia będziesz mógł w tej chwili
Wykładać o tem lepiej, niż Wirgili,
Zanim go jeszcze w grobie pochowali,
A także Dante. Ale jedźmy daléj,
Chcę, byśmy jeszcze byli razem oba,
Aż ci się druha porzucić spodoba".
„O nie!" — kat rzecze — „wiedzą o tem wszyscy,
Co zacz jest ze mnie — dalecy i blizcy;

Moja uczciwość wszędzie dobrze znana:
Chociażbyś nawet był czartem Szatana,
Dotrzymam słowa, jakom przysiągł sobie,
A ty mnie również, że w wszelakiej dobie
Będziem, jak bracia, wspierali się w zgodzie,
Gdyż pracujemy w jednakim zawodzie.
Ty bierz, co-ć dają, ja zabiorę swoje
I tak żyć będziem, nie wiedząc, co znoje.
A jeśli który nieco więcej zbierze,
Jak bracia, dzielić się będziemy szczerze".
„Owszem" — czart rzecze — „moje słowo daję".
Tak przejechali jedno, drugie staje.
A gdy już byli w pobliżu mieściny —
Podróży kata cel dzisiaj jedyny —
Furę ze sianem spostrzegło ich oko,
Przy niej parobka. Koła się głęboko
Zaryły w ziemię, ruszyć się nie dały.
Chłop bił i wrzeszczał, jakby oszalały:
„A wiśta, hejta! cóż dla was kamienie!
Niech czart was bierze i wasze nasienie!
Na to was szkapsko wylęgło, widzicie,
Aby się człowiek trapił całe życie!
Niech czort was bierze, wóz, konie i siano!"
„Tu", kat powiada, „coś nam zyskać dano".
Niby niechcący, otrze się o licho
I tak do ucha poszepce mu cicho:
„Słyszysz, braciszku? co ten chłop powiada?
Bierz-że co prędzej! wszystko tobie składa —
I wóz i siano i wszystkie trzy konie".
Na to czart rzecze: „Wyciągać tu dłonie
Byłoby darmo; wierz mi, jesteś w błędzie.
Ujrzysz za chwilę, co to z tego będzie,
Tylko zostawmy go nieco przy furze".
Parobek szkapy swe lunął po skórze,
I te od razu skręciły, o dziwy!
I dalej naprzód! „Hejta! Miłościwy
Niechże wam będzie Pan Jezus na niebie —
Wam i wszystkiemu stworzeniu w potrzebie.
Dobrze ruszyły, dobrze siwek bierze —
Sam Ludwik święty i Bóg niech cię strzeże!
Furzysko z jamy wydobyte ładnie".
„Com ci powiedział?" — tak go czart zagadnie —
„Teraz mój bracie, widzisz sam wyraźnie,
Że wcale inna była chęć w tym błaźnie,
Dlatego myślę — chodźmy swoją drogą,
Z takiego wozu zyski być nie mogą".
Ledwie że wyszli z miasteczka, kat druha
Ciągnie ku sobie i szepce do ucha:

„Tutaj, braciszku, mieszka pudło stare:
Raczej-ci zniesie szubieniczną karę,
Niż choć grosz jeden da wydusić z siebie,
Lecz ja z niej dzisiaj dwanaście wygrzebię,
A nie, to wraz ją pozwiem do urzędu,
Chociaż żadnego nie jest winna błędu:
Lecz weź to sobie za przykład czem prędzéj,
Inak nie dojdziesz nigdy do pieniędzy".
I kat zapukał do mieszkania wdowy:
„A wyłaż-że raz, ty grzybie morowy!
Ha! ponoś mnich tu czy ksiądz na kwaterze?"
„O nieba!" — krzyknie — „któż tam bije w dźwierze?
Czegoż, panowie, chcecie? Bóg was wspieraj".
„Mam tutaj pozew na ciebie — otwieraj!
Klątwą jej grozi, jeśli jutro ona
Nie będzie w sądzie archidyakona,
Gdzie na niejedno odpowie pytanie".
„Tak mi dopomóż, Jezu Chryste Panie!
To być nie może! już to dawna pora,
Jak na tem łóżku leżę ciężko chora;
Nie mogę jechać ani zrobić kroku —
Umrę na miejscu, tak mnie kłuje w boku.
Może na piśmie podacie mi sprawę?
Oddam obrońcy, aby zasiadł ławę
I odpowiadał na wasze zarzuty".
„Ha! zobaczymy!" — kat odpowie kuty.
„Dwanaście groszy! a uwolnić da się;
Mój profit bardzo w tem mały, a zasię
Pan mój największy ma z tego pożytek.
Dwanaście groszy! śpiesz-że się! nasz wszytek
Czas wymierzony! bądź-że nieco prędsza!"
„Dwanaście groszy! Maryjo najświętsza!
Tak mnie od grzechów wybaw i od nędzy!
Nie wiedziałabym, skąd tyle pieniędzy
Wziąć, choćby chciano obdarzyć mnie światem!
Stara-m i biedna! Nie bądźcie mym katem,
Okażcie litość, jam litości warta!"
„Nie! raczej pójdę" — rzecze kat — „do czarta,
Niż ci przebaczę, choćbyś umrzeć miała!"
„Bóg mi jest świadkiem, żem niewinna cała!"
„Dawaj pieniądze! lub, na świętą Florę!
Wnet ci tę nową patelnię zabiorę
Za dług z tej nocy, wiesz, aniele drogi,
Kiedyś mężowi przyprawiała rogi.
Grzywnę za ciebie wyłożyłem wtedy".
„Niech Bóg mnie chroni od wieczystej biedy!
Czy jako żona czy wdowa ni razu
Przed wasz trybunał nie miałam rozkazu,

Ani mi na myśl te czyny bezwstydne
Nigdy nie przyszły! Twe ciało ohydne
Daję z patelnią wraz do rąk szatana!“
Widząc, jak baba, padłszy na kolana,
Przeklina kata, czart do niej tak powie:
„Czy rzeczywista prawda w waszem słowie? —
Powiedzcie, matko Maryanno, szczerze“.
„A niech go szatan żywego zabierze —
Jeśli mu nie żal — wraz z patelnią moją!“
„Et! stara krowo, mnie się nie zaroją
Nigdy te myśli“, rzecze kat, „bym w porę
Jaką żałował tego, co-ć zabiorę,
Choćby to były wszystkie twe manatki“.
„Ha!“ — czart powiada — „targ, mój druhu, gładki:
Moim-ś z patelnią razem! baba rzekła,
Dziś w nocy zejdziesz wraz ze mną do piekła;
Tam nasze sprawy poznasz lepiej zgoła,
Niż wszyscy mędrcy waszego kościoła“.
To powiedziawszy, czart dłużej nie czeka,
Tylko go z duszą i ciałem zawleka
Tam, gdzie siedzibę mają wszyscy kaci.
Bóg, co nas stworzył według swej postaci,
Niech nas prowadzi, strzeże w każdym względzie
I temu katu niech miłościw będzie.
Mógłbym wam więcej powiedzieć, panowie,
(Gdyby mi kat ten nie przerywał w mowie) —
Rzecze braciszek — według Chrysta pana,
Według słów Pawła i świętego Jana
I innych mężów o piekieł katuszy,
Żebyście wszyscy zadrżeli w swej duszy...

(Jan Kasprowicz).

IX. Poezya czeska.

I. Smil Flaszka z Pardubic.

A) Rada ojca synowi.

Mądry ojciec, bez przesady,
Raz synowi dawał rady,
Radził szczerze, nieomylnie,
Aby syn sam szukał pilnie
Drogi ku czci, kornej wierze;
Dość mu rady w takiej mierze
Dawał wonczas ojciec tkliwy,
Sposób myśli swej cnotliwéj

Bez ogródki wypowiedział,
Mówiąc: Synu, byś to wiedział,
Jak na świecie będzie tobie,
Ja boć prędko legnę w grobie.
Ty masz więcej tu nadziei,
Sądząc z twoich lat kolei.
Sypał na mnie Bóg swe dary,
Jużem człowiek bardzo stary.
I pracować brak mi siły,
Niedaleko-ż do mogiły:
Jednak serce dzięki złoży
Bogu memu, Matce Bożéj,
Żem tak doszedł do starości,
Iż mię żaden człowiek w złości
Nie poganił na czci mojéj,
Niech się w mierze tej ostoi
I twój żywot z łaski Boga!
By cześć tobie była droga,
Miecz i kopię daję tobie
Ku rycerskiej cnej ozdobie,
Bym dochował się z krwi mojéj
Rycerskiego syna w zbroi....

Ojciec daje synowi nauki, aby zawsze chował Boga w sercu, mękę Chrystusową miał przed oczyma, dawał jałmużny, czcił anioła stróża, strzegł się grzechu śmiertelnego. Przykazuje mu wstąpić w cne małżeństwo, słuchać chętnie mszy świętej i wogóle daje nauki charakteru religijnego. Dalej przechodzi ku rycerskiej czci niewiast.

Synu! jużem to powiedział,
Com ja najlepszego wiedział,
Co cześć daje nieomylnie,
Jedno-ć jeszcze chcę ci pilnie
Do rycerstwa dać wskazanie,
Byś czcił wszystkie dobre panie,
Czci ich bronił z wiarą prawą,
Gdyby kto się ich niesławą
Przypodobać chciał innemu,
Abyś tak się wtrącił k'temu,
Że złą zawsze jest zła mowa,
Dobra pokryć ją gotowa;
Abyś cześć ich szerzył wszędzie,
Jak dostojność żądać będzie,
Ich zachciankom nawet służył,
Ale to na dobre użył;
Służąc pilnie, niezmęczenie,
Miej ich przyjaźń w wdzięcznej cenie.
. . . . . .
A więc, synu, dbaj-że o to,
Przyjaźń panny ceń nad złoto
I nad drogie wsze kamienie:
Nad nią nie masz w większej cenie
Na tym świecie żadnej rzeczy.
A i to miej też na pieczy,
Tajemnicę gdy ci zwierzy,
Chowaj w sercu, jak należy:
Bo jak pójdzie między ludzi,
To złą sławę tylko zbudzi,
Stanie się oszczerstwem potem,
Do niej dojdzie znów z powrotem,
Przykrość będzie ci zapłatą.
Służ więc wiernie, pomnij na to;
Będziesz we czci wywyższony,
Gdy dla dobrych pań obrony
Będziesz żył, ich chwałę głosząc,
Ale w sercu jednę nosząc,
Służąc wiernie jej do zgonu,
Do dobrego dojdziesz plonu.
. . . . . .
A skoro ojciec dokończył mowy,
Syn mu wdzięcznemi dziękował słowy,
Posłusznym jego radzie był miłéj,
Nauki dzierżył się ze wszej siły,
Mówiąc: Mój ojcze, wszelkie twe rady
Wypełniać będę chętnie, bez zwady,
Chcę naprzód służyć Panu wszech rzeczy,
Dobre uczynki mieć wżdy na pieczy,
A potem paniom, pannom wogóle,
Wszem służyć będę, pełniąc twą wolę,
Jedyna panna, która mną władnie,
Do której serce tęskni niezdradnie,
Tej aż do zgonu rad służyć będę
I ufam, że jej łaskę posiędę.
Tak ojciec radził z serca mądrego,
A syn dochował ślubu swojego.

(Bronisław Grabowski).

B) Koniuszy i żak.

Jeden raz mi się zdarzyło,
Gdy się w pewnym domu piło,
Właśnie w tejże samej chwili
Przyszli dwaj, by także pili.
Pozdrowienia nie czekali,
Lecz mię mile przywitali;
Pokłoniłem się ku ziemi
I usiadłem między niemi.
Jak to często w karczmie bywa,
Krzyczą: pani, nalej piwa,
Byśmy sobie cześć świadczyli,
Jeden do drugiego pili.
Posłuchajcież o tej sprawie,
Powiem wam o ich postawie.
Jeden z nich był człowiek młody,
Nie miał ani śladu brody,
Szatę szarą już znoszoną,
Przytem czapkę miał zieloną,
A i ta podarta była;
Torba mu się też zwiesiła,
W nią snadź kładnie, co mu trzeba,
Sądzę: książki, kawał chleba;
I tabliczkę miał przy pasie,
Jak widziałem w owym czasie,
Inną k'temu też przyprawę;
Słowem, szkolną miał postawę.
Drugi w starszej zdał się dobie,
Siedząc, brodę szarpał sobie,
Miał kapotkę wązką, krótką,
Szatę dosyć nienowintką,
Podkasany był on dwornie,
Przytem był obuty w skornie; [1])
Te się dobrze postarzały,
But na nodze w dziurach cały,
Przez nie widać było nogi,
A jednakże wpiął ostrogi;
Toczek mu pokrywał głowę.
Na postawę patrząc ową,
Że to dworak, mi się zdało,
Zgrzebło z pasa wyglądało.
Ten rozprawiał z miną gęstą,
W końce butów patrzył często,
Mówił: Niema tego w świecie,
Choćby dał skarb, co w kalecie,
Aby zdjęła mię ochota
Zrzec się dworskiego żywota;
Bo uciechy w nim tak mnogo,
W świecie niema więc nikogo,
Co, gdy dworu raz skosztował,
Wiecznie już nie dworakował.
Kto o lepszem życiu powie,
Kłamcą się okaże w słowie.
Dworak mową usta trudzi,
Aż na siebie żaka wzbudzi.
Ten mu na to więc odpowie,
Mówiąc: Dobrze mam to w głowie,
A ja także temu wierzę,
Iż panowie i rycerze
Dobrze mają się u dworu,
Bogacz zazna tam honoru;
Ale biedni nieboracy,
Ci zażyją tylko pracy,
Im dworactwo wyjdzie bokiem,
Bieda z nimi krok za krokiem,
Większej biedy niema w świecie,
Zwłaszcza wy jej użyjecie,
Bo najgorzej ma koniuszy,
Choć się nie chce przyznać w duszy;
Żebyście się przyznać chcieli
I swą biedę powiedzieli,
Co u dworu zażyjecie,
Większej biedy niema w świecie
Nad wasz smętek dobrowolny.
Co innego nasz stan szkolny,
Ja powiadam, rozkosz prawa
Nam na świecie się dostawa
I w jedzeniu oraz piciu
Nie czujemy braku w życiu,
Głodu nigdy nie zaznamy.
Kiedy razem posiadamy
I mnie jakiś kęs przypadnie,
Jeśli suchy, wtedy snadnie
W mej polewce on rozmięknie,
Wiedzie się też brzuchom pięknie.

[1]) Po staropolsku i staroczesku — buty.

I będziemy dobrze syci,
A do tego i napici
Czasem nawet aż do zbytku;
Więc też wodę dla pożytku
Pijem podczas, bo to zdrowe,
To pomaga wżdy na głowę.
Pysznie się od strawy mamy,
Mięsa, kur dość dostawamy,
To jest, kiedy odpust, wtedy
Nie zaznamy żadnej biedy;
Nie jedenkroć u nas bywa,
Iż do zbytku mamy piwa.
A wam nieraz na śniadanie
Dadzą w gębę niespodzianie;
A i na tem nie dość przecie,
Zwykłe bicie dostajecie;
Bywać to, iż miast obiada
Plecy wasze kij okłada.
Gdy żak przestał, dworak wrzaśnie:
To są kłamstwa, fałsze, baśnie!
Więc okrzyknie go gniewliwie:
Żaku, łżesz ty niecnotliwie,
Że cierpimy głód na dworze
I kij plecy nasze porze.
Ach, partyko wysuszona!
Gęba twa nieuskromniona!
Toż tak o nas mówić trzeba,
Gdyś sam nie jest syty chleba?
Cóż dobrego jest w was, żacy?
Toć wychudli z was żebracy
Z domu do dom wędrujący,
Z jękiem, piskiem wciąż żebrzący,
By polewki dostać tłustéj.
Ach ty stanie marny, pusty!
Tu partykę żytnią dadzą,
I z tem za drzwi wyprowadzą;
Jeszcze szczęście, gdy niekiedy,
Litując się waszej biedy,
Gdzieś polewki dadzą mało!
Jeśli wam się co dostało,
Zaraz biegnie żak wesoły
Z tą nowiną aż do szkoły
I to w bardzo dobrej myśli,
Jakbyście na gody przyszli.
Ale starsi tam dopiero,
Chleb, polewkę wam odbierą
I będziecie od nich bici
Z gniewu, bowiem nie są syci...

Dalej koniuszy chlubi się, że na dworze ma jeść dowoli, bo gdy kucharz o nim zapomina, to sam biegnie do kuchni i o jadło się dopomni. A jeśli zdarzy się i to, że pan go uderzy kijem w plecy albo głowę, to znowu żaków matka porodziła na to, aby brali rózgą brzozową. Żak rozwścieklony opowiada, że czytał w księgach, iż dyabeł niegdyś służył za koniuszego, ale nie mógł wytrzymać i umknął. Przechwala się, że chodzi po wsiach i wieśniaczkom rozdaje obrazki święte, za co od nich jaja bierze. Żacy i księża nie boją się powieszenia, ale dworakowi włosy stają dębem, gdy przejeżdża koło szubienicy. Dworak na to niemiłosiernie urąga i pyszni się, że chłopi mu się nizko kłaniają, pan mu czasem nową kapotkę sprawia. Żak znowu powiada, że niejeden ze stanu żakowskiego zostaje biskupem i że on może niezadługo będzie mszę odprawiał w złocistym ornacie, a koniuszy przytem będzie stał jak cielę. Koniuszy rozgniewany krzyczy, że żak, nim zostanie prałatem, katem wprzódy będzie, bo siepacze i kaci bywają literatami, a w końcu zostanie powieszony. Na to wszczyna się bójka, a autor, nie chcąc patrzeć na podobne widowisko, zabiera się do domu i ostrzega przed chodzeniem do karczem.

(Bronisław Grabowski).

2. Pieśń miłosna.

(Z wieku XV).

Utraciłam ja miłego,
W mojem sercu jedynego:
Miej się dobrze, serduszko!
„Kiedyś straciła miłego,
Poszukaj sobie innego:
Miej się dobrze, serduszko!

„Gdy już tego nie zmienimy,
Więc się dobrze mieć musimy:“
Miej się dobrze, serduszko!
Mnie, mój miły, jako w niebie,
A wspominam sercem ciebie:
Miej się dobrze, serduszko!

Biała róża już zakwita,
Mnie nadzieja nie zaświta:
Miej się dobrze, serduszko!
Ach, mój miły, mocny Boże!
Już inaczej być nie może:
Miej się dobrze, serduszko!

(Bronisław Grabowski).

X. Poezya ruska.

I. Wyprawa Igora na Połowców.

Igor Światosławicz, książę siewiero-nowogrodzki postanowił w r. 1185 wraz z trzema krewnymi zrobić wyprawę na głównych podówczas wrogów Rusi — Połowców, bez wiedzy i pomocy starszych i potężniejszych książąt ruskich. Czterej tedy owi władcy łączą swe drużyny i wyruszają w drogę; różne złowieszcze znaki zdają się ich ostrzegać przed niebezpieczeństwem; ale oni nie zważając na nic, uderzają na Połowców i rozpraszają ich na razie. Niebawem atoli Połowcy zbierają się powtórnie w wielkich masach i otaczają Igora; bitwa trwa półtrzecia dnia i kończy się zupełną klęską Rusi. Igor dostaje się do niewoli, z której ratuje się jednak ucieczką, czem Ruś się rozradowała.

Bracia! nie piękniež piać staremi słowy
Trudne o pułku Igora powieści?
A więc pocznijmy pieśń, wedle osnowy
Zdarzeń, nie według pieśni Bojanowéj,
Bo wieszczy Bojan[1]), jeśli k' czyjej cześci
Pieśń tworzył, myślą uganiał przez bory,
Wilk ziemią, w wiatrach orzeł chyżopióry;
Jeśli bój spomniał, w lot dziesięć sokołów
Puszczał na stado łabędzi — a wtedy
Poczesną pieśnią pierwszy zabrzmiał połów:
Wonczas Jarosław stary, Mścisław chrobry,
Co pośród pułków kazogskich, Rededi
Dziryt twardemi wskroś przepędził ziobry,
I krasny Roman w pierwszych brzmieli rzędzie.
Lecz nie sokołów na stada łabędzie
Bojan, o bracia, wypuszczał ku walce,
Jeno na struny kładł swe wieszcze palce
I sławą książąt żywe brzmiały struny.

[1]) Mityczny poeta słowiański.

Nuże wdzięcznemi przebiegnijmy tony
Od Włodzimierza ku Igora czasom,
Co podniósł um swój sławą rozogniony,
Poostrzył serca, wojennym zapasom
Nadstawił ducha, i z pułki chrobremi
Szedł na Połowcach mścić krzywd ruskiej ziemi.
I spojrzał Igor ku słońcu — tumany
Zaćmiły wojsko, i rzekł do drużyny:
Lżej być pociętym, niż dźwigać kajdany,
Na koń, o bracia! wnet ujrzym Don siny.
Chęć sławy umu krępując mu władze,
Złowieszcze znamię zakryła źrenicy,
I rzekł: Don wielki taborem przesadzę,
Pokruszę kopie w Połowców ziemicy
Z tobą, o Rusi! poddam moją szyję
Pod miecz — lub hełmem wielki Don wypiję!..

* * *

Od rannych świtów do nocy, od nocy
Do świtu, gęste strzał się leją deszcze,
Słychać grzmot szabel śród trzasku oszczepów
W dalekiej ziemi połowieckich stepów,
A czarny obszar, końskiemi kopyty
Zorany, kośćmi zasiany, krwią zmyty,
Wydał dla Rusi plon bujny — niedolę...
Co mi tam szumi? Co dźwięczy przez pole?
Igor zawraca pułki, żal go bodzie
Za tobą, miły bracie, Wsewołodzie!
I dzień i drugi trwa pobój zajadły
W trzecim sztandary wojsk Igora padły;
Tu się brat z bratem nad bystrą Kajałą
Żegna — krwawego wina im niestało,
Skończyło ucztę chrobre ruskie plemię,
Poczciwszy wrogów, padło za swą ziemię!
Żałośna trawa ziemią liść rozściela,
I drzewo tęskne przekłania konary,
Bo wstały czasy, nie czasy wesela:
Pustynia całe zaległa obszary.
W dziedzinie wnuków Dadźboga, nieznana
Weszła dziewica na ziemię Trojana:[1])
Niedola, w skrzydła plasnęła łabędzie,
A po kraj morza i u Donu rzeki
Ze snu mordercze zbudziły się wieki...
Ustał bój z wrogiem, a brat bratu wszędzie
Rzekł: i to moje, i to moje będzie,
I wszczęto wielką waśń dla rzeczy małéj
Swoi na swoich nieszczęścia kowały.

[1]) T. j. na ziemię Połowców.

A tu poganin otwartemi drogi
Szedł w ruską ziemię siać mord i pożogi.
Rój ptaków sokół popędził na morze,
Lecz pułku twego nie wskrzesi, Igorze!
Za nim już w Rusi Zła i Karna biegą
I trzęsą żary z rogu płomiennego.
A ruskie żony płaczą: „w myśli tłumie
„Ani was zmyślić, ani zdumać w dumie,
„Ani żywemi oglądać oczyma,
„Niema was mężc! srebra, złota niéma!“

* * *

Igorze! twe słońce
Blask swój straciło, a drzewo kwitnące
Szeroko ziemią liść zroniło młody.
Nad Rosią, Sułą, wróg się dzieli grody,
Igora pułku nikt wskrzesić nie zdoła.
Książę! Don wielki do zwycięstw cię woła,
Woła książęta, towarzysze twoje;
Już Olgowicze dorośli na boje;
I ty, Ingwarze i ty, Wsewołodzie!
I wy, co szczęsna świeciła wam gwiazda,
Gdyście w moc waszą brali gród po grodzie:
Sześcioskrzydlacze nie chudego gniazda
Trzej Mścisławicze! wasza skroń junacka
Lśni złotym hełmem, tarcz i dzida lacka
Strzeże pierś waszą; nuż wrogów zastępy
Ostremi strzały pohamować pora
Za ziemię ruską, za rany Igora...
Sula srebrnemi nie ciecze już strzępy
K' Perejasławiu; mętna Dźwina błocka
I wrzaski wrogów niesie do Połocka.
Izasław tylko sam jeden w tej toni
O hełm litewski ostrym mieczem dzwoni,
Sławą Wsesława swego zrównał dziada,
A sam pod szczyty czerwonemi pada:
Na błoń litewskie zwaliły go miecze,
Z krwawego błonia podniósł się i rzecze:
„Kruk swemi skrzydły kryje pułk książęcy,
„A zwierz krew liże“... Nie było tam więcéj
Ni Brzetysława, ni Wsewłoda brata,
Sam jeden duszą perłową ulata
Z chrobrego ciała, przez złote gardziele.
Ucichła wrzawa, zamarło wesele...
Wojenne trąby otrąbiają Grodno.
Ty Jarosławie! wy wnuki Wsesława!
Zniżcie sztandary, rzućcie broń niegodną,

Bo przez was ojców pohańbiona sława,
Bo wróg waszemi przychęcony zwady,
Na ziemię ruską rozpoczął napady.
Ileż klęsk na nas Połowczanin miece!...

* * *

Głos Jarosławny słychać (rankiem w maju
Kukułka takiem kukaniem się żali):
„Polecę (mówi) kukułką k' Dunaju,
Bobrowy rękaw umoczę w Kajali,
Otrę krew księciu, i rany niedawne
Na skrzepłem ciele".
Słychać Jarosławnę,
Z wieżyc Putywla tak płacze zaraniem:
„O wietrze! wietrze! czemu silnem wianiem
Chanowi w pomoc idą skrzydła twoje,
Czem' miotasz strzały na lube mi woje?
Małoż ci jeszcze po gór bujać szczycie,
I chwiać korable po morza błękicie?
Czemuż wesele rozwiałeś mi dawne?"
Z wieżyc Putywla słychać Jarosławnę:
„O Dnieprze, sławą ciekący po ziemi!
Skałyś Połowców przedarł prądy twemi!
Tyś Światosława korablną nasadę
Niósł na Kobiaka, wróć mi mego ładę;
Niech łza ku morzu nie płynie ustawna".
Z Putywla wieżyc płacze Jarosławna:
„O słońce trzykroć promienne i ciepłe,
Ożywiasz żywe, budzisz twory skrzepłe,
Za cóż z twych szlaków po podniebnym sklepie
Na lube woje ciskasz żar nieczuły?
Łuki w bezwodnym spaczyły im stepie
Żary, tęsknota zadławiły tuły..."

Prysnęło morze w północ, ciągną zmory
We mgłach, książęciu Bóg wskazuje tory
Z kraju Połowców do twego, Igorze,
Szczerozłotego tronu. Zgasły zorze,
Igor śpi, Igor budzi się; myśl wrząca
Przebiega przestwór od Donu do Dońca.
Koń o północy, i Owlur za rzeką,
Świsnął: Owlura świst Igor rozumié.
Niema Igora! tylko gdzieś daleko
Głucho klekoce ziemia, trawa szumi,
I wież Połowców czernią się wyżyny.
A Igor skacze gronostajem w trzciny,
To biała kaczka falami potrąca,
To na koń skoczy, to z konia zeskoczy
I bosym wilkiem bierzy k' łęgom Dońca,

To znowu sokół chmurą się obtoczy.
Gęsi, łabędzie bije dla posiłku
Rankiem, południem, i o słońca schyłku.
Gdy Igor leci sokolemi loty,
Wlur zimne rosy trzęsąc, wilkiem ciecze.
Padł mu koń rączy. Doniec księciu rzecze:
Sława ci książę! wrogowi zgryzoty,
Wesele Rusi. — „I tyś sławą pełny,
Rzekł Igor, księcia wziąłeś na swe wełny,
Srebrny brzeg szatą ścielesz mu zieloną,
W cieniu drzew ciepłą kryjesz mgły osłoną,
Kaczką na wodzie, czajkami na strudze,
Cyranką w wiatrach trzymasz go w swej pieczy;
Nie tak, jak Stugna, co w mdłej pełznie cieczy,
A skoro prądy pochłonęła cudze,
O pień podwodny roztrzaskuje statki".

(August Bielowski).

XI. Poezya serbska.

I. Bój kossowski[1]).

Wtem car Łazarz zasiadł do wieczerzy,
Obok niego carzyca Milica.
Jęła mówić carzyca Milica:
„O Łazarzu, o serbska korono!
Ty wyruszasz jutro pod Kossowo,
Wojewodów i służbę zabierasz,
Nie zostawiasz we dworze nikogo,
Ani męża, o, carze Łazarzu,
Któryby choć list powiózł ode mnie
Pod Kossowo i nazad powrócił.
Wyprowadzasz mych braci dziewięciu,
Ukochanych braci Jugowiczów.
Zostaw, zostaw choć brata jednego,
Brata siostrze, o! błagam pod klątwą".
Odpowiedział przesławny car Łazarz:
„Jejmość moja, carzyco Milico!
Kogoż z braci najradziejbyś chciała,
Bym zostawił na białym tu dworze?"
— „Och, pozostaw Boszka Jugowicza!"
Wtedy znowu przemówił car Łazarz:
„Jejmość moja, carzyco Milico!
Kiedy jutro dzień biały zaświta,
Dzień zaświta i słońce obrzaśnie;
A bramy się otworzą na grodzie,
Wynijdź zaraz pod bramę zachodnią;
Tędy wojsko wyciągnie w popisach,
Sama jazda świecąca włóczniami,
Na jej czele jest Boszko Jugowicz.
Nieść on będzie krzyżową chorągiew:
Pokłoń mu się i powiedz ode mnie,
Niech chorągiew zda, komubądź zechce,
I niech z tobą zostanie na dworze".

[1]) Wielka ta dla słowiańszczyzny południowej klęska zaszła w r. 1389.

Kiedy ranek nazajutrz zaświtał,
I na grodzie otworzono bramy,
Wnet wybiegła carzyca Milica,
Czatowała u bramy zachodniej.
Otóż wojsko ciągnęło w popisach,
Sama jazda świecąca włóczniami,
A na przedzie był Boszko Jugowicz,
Na gniadoszu kapiącym od złota.
Brata Boszka i konia gniadosza
Obwiewała krzyżowa chorągiew,
Na chorągwi jabłko pozłociste,
Pozłocisty krzyż święty na jabłku
A od krzyża pozłociste kity
Biły Boszka po obu ramionach.
Wnet pomknęła carzyca Milica,
Chwyta silnie za uzdę gniadosza,
Targa brata za rękę u bramy
I poczyna przemawiać żałośnie:
„O mój bracie, Boszku Jugowiczu,
Car się zmiękczył na moją modlitwę,
Abyś nie szedł na bój pod Kossowo;
Owszem ciebie pozdrawia i każe,
Byś chorągiew zdał, komu sam zechcesz,
I pozostał ze mną na Kruszewcu,
Żebym miała brata ku pociesze".
Odpowiedział brat, Boszko Jugowicz:
„Idź ty sobie, siostro, na wieżycę;
Ni ja się nie myślę tu zostać,
Ni krzyżowej chorągwi ustąpić,
Choćby car mi ustąpił Kruszewca.
Coby rzekła bojowa drużyna?
Patrzcie tchórza, Boszka Jugowicza!
Nie śmie z nami ruszyć pod Kossowo,
Za krzyż święty nie chce swej krwi
[przelać,
Ani umrzeć za wiarę narodu".
Pchnął się konny co żywiej przez
[bramę.
Aż wyjechał sędziwy Jug Bohdan,
Za nim siedmiu synów Jugowiczów.
Wszystkich siedmiu obiegła carzyca,
Lecz ni jeden obejrzeć się nie chciał.
Chwilkę w płaczu zaledwie postała,
Aż wyjechał Jugowicz Woina;
Powodowych lik[1]) koni prowadził
Pod kapami carskiemi złotemi.
Zatrzymała carzyca gniadosza,
Chwyta brata za rękę u bramy
I poczyna przemawiać żałośnie:
„O mój bracie serdeczny, Woino,
Car zmiękczony na moją modlitwę,
Pozdrowienie i rozkaz przesyła,
Abyś konia zdał, komubądź zechcesz,
A sam został przy mnie na Kruszewcu,
Żebym miała brata ku pociesze".
Odpowiedział Jugowicz Woina:
„Idź ty sobie, siostro, na wieżycę!
Jeśli taki jest między Serbami,
Coby doma dziś wolał pozostać,
Oby zaraz padł śmiercią haniebną!
Idę, siostro, chętnie na Kossowo,
Za krzyż święty wytoczyć krew moją,
Idę umrzeć za wiarę z mą bracią".
Pchnął się konny co żywiej przez
[bramę.
Gdy to widzi carzyca Milica,
Padła w płaczu na kamień, na chłodny,
Padła biedna bez sił, bez pamięci.
Aż wyjechał przesławny car Łazarz.
Kiedy ujrzał swą żonę carzycę,
Łzy mu jakoś po licach pobiegły;
Rzucił wzrokiem z prawego na lewo.
I zawołał sługę Hołubana,
„Hołubanie, ty wierny mój sługo!
Pójdź-no z koniem, z twym koniem
[łabędzim,
Weźmij jejmość na białe ramiona,
Odwieź chorą co śpieszniej do dwora
I na Boga zaklinam cię, sługo!
Nie idź z nami na bój pod Kossowo,
Ale zostań na białym tu dworze".
Gdy to słyszy młodzieniec Hołuban,
Łzy zrosiły rumiane jagody;
Zesiadł z konia swojego łabędzia,
Wziął carzycę na białe ramiona,
Powiózł biedną pośpiesznie do dworu;
Ale w sercu i nudzi i boli,
Że nie poszedł na bój pod Kossowo;
Więc powrócił do konia łabędzia,
I poleciał manowcem za swymi.

[1]) Mnóstwo.

* * *

Gdy nazajutrz poranek zaświtał,
Przyleciały dwa wrone gawrony
Od kossowskiej szerokiej równiny
I upadły na białą wieżycę,
Na wieżycę sławnego Łazarza;
Jeden kracze, a drugi przemawia:
„Toż wieżyca sławnego Łazarza;
Czemuś głucha; czy niema nikogo?“
W całym dworze nikt tego nie słyszał,
Ale tylko słyszała carzyca;
Zbiegła prędko po schodach na prawo,
Za nią zbiegły dwie córy zamężne,
Wukosawa i Mara nadobna.
Łkając, pyta carzyca Milica:
„Oj, przez Boga, dwa wrone gawrony,
Skąd lecicie tak białym porankiem?
Może z boju? może z pod Kossowa?
Czyście wojsko potężne widzieli?
Czy się z sobą już wojska spotkały?
Które przecie odniosło zwycięstwo?“
Przemówiły dwa wrone gawrony:
„Pokój tobie, carzyco Milico!
Od Kossowa lecimy porankiem,
Widzieliśmy dwa wojska potężne,
Kiedy z sobą potkały się wściekle.
Już carowie z obu stron polegli.
Z Turków wprawdzie zostało niewielu,
Ale z Serbów choć który i żywy,
Albo ranion, lub we krwi się broczy“.
Gdy prawiły tak wrone gawrony,
Aż się zjawił nadworny Milutyn,
Prawą rękę niósł w ręce swej lewej,
Siedemnaściekroć razy raniony;
Koń krwią czarną opiekły całutki.
Zawołała ku niemu carzyca:
„Co ci? co, co? o, biedny mój sługo,
Żeś odstąpił tak cara samego?“
Odpowiedział nadworny Milutyn:
„Pani moja, zsiąść pomóż mi z konia!
Daj mi zimnej tu wody na skronie,
Pokrop winem czerwonem me członki;
Dokuczliwe nad siły me rany“.
Dopomogła zsiąść z konia carzyca,
Zimnej wody podała na skronie,
Winem członki obmyła zbolałe.
Kiedy nieco orzeźwiać się począł,
Przemówiła powtórnie carzyca:
„Cóż się stało tam w boju kossowskim?
Kędyż poległ przesławny car Łazarz,
Kędy poległ sędziwy Jug Bohdan?
Kędy legli bracia Jugowicze?
I zięć jeden Miłosz wojewoda?
I zięć wtóry, sławny Wuk Brankowicz?
I kochany Banowicz Strachinia?
Kędyż, kędyż, o, wszyscy polegli?
Wtedy zaczął swą powieść Milutyn:
„Wszyscy, pani, o, wszyscy polegli;
Kędy poległ przesławny car Łazarz,
Połamanych tysiące tam włóczeń,
Włóczni serbskich i włóczni tureckich,
Jednak więcej serbskich niż tureckich,
Bo Serbowie ginęli przy panu,
Panu swoim i twoim, o, pani!
A Jug, ojciec twój, pani kochana,
Zginął niemal na pierwszem spotkaniu,
Legło przy nim i ośmiu też synów,
Bo brat brata odstąpić nie chcieli,
Póki który mógł władać orężem...
Już był został sam Boszko Jugowicz,
Pod Kossowem chorągwią wywijał
I uganiał za Turków chmarami
Jako sokół za śladem gołębi...
Ale ugrzązł we krwi po kolana.
Obok poległ Banowicz Strachinia.
Wielki Miłosz, o, pani, zabity
U Sitnicy, nad samą tuż wodą,
Kędy mnóstwo też legło i Turków,
Miłosz bowiem ściął cara Murata,
Zbił dwanaście tysięcy jańczarów,
Niech Bóg niebo da jego rodzicom,
Wieczną chwałę zostawia on Serbom
I żyć będzie w pieśniach i powieściach,
Póki tylko ludzi i Kossowa!
A nie pytaj o podłego Wuka.
O! przeklęty dom, który go spłodził,
O! przeklęty ród i pokolenie!
On to zdradził cara na Kossowem,
Odprowadził dwanaście tysięcy,
Pani moja! — najtęższych pancernych.

(J. B. Zaleski).

II. Zgon Marka królewicza.

I wyjedzie raz królewicz Marko
Przede wschodem słońca, w dzień [niedzielny,
Wpodłuż morza do Urbina góry.
Kiedy Marko na Urbinie stanie,
Pod nim rumak zacznie sobie biadać,
Biada sobie i łzy grube sączy;
Wielce ciężka rzecz dla królewicza.
Stąd też Marko do rumaka rzecze:
Dalej wierny, dalej mój mileńki,
Już ci latek sześćdziesiąt dobiega,
Odkąd służysz mi za towarzysza,
A nigdyś mi aż dotąd nie chromał,
I dziś pierwszy raz poczynasz [chromieć,
I chromiejesz i łzy ciężkie sączysz.
Bóg wie, jeśli co dobrego będzie,
Na jednego z nas coś przyjdzie głowę,
Na twą może, a może na moją.
Tak królewicz do rumaka prawi.
Aż tu Wila od Urbina góry
Krzyczy, woła: królewiczu Marku,
Hej braciszku, królewiczu Marku,
Wieszli, czem' rumak twój chromieje?
Ciebie, Marku, płacze swego pana;
Jako rychło przyjdzie wam się rozstać.
Ale Marko Wili odpowiada:
„Bodajś, biała Wilo, ochrzypiała!
Jak mnie z moim rozstać się [rumakiem,
Co ja nim zjeździłem góry, miasta,
Ode wschodu do zachodu słońca,
A lepszego nadeń mi nie znaleźć,
Ni nademnie woja mocniejszego;
Ani się z nim rozłączyć nie mogę,
Pokąd głowa na karku mi siedzi".
Ale biała Wila odpowiada:
Hej braciszku, królewiczu Marku,
Nikt ci konia twego nie odbierze;
Ani zginąć możesz, królewiczu,
Od ramienia, od miecza ostrego,
Ni od kopii, ani od maczugi;
Ale musisz nędzny umrzeć, Marku,
Z przedwiecznego ręki zabijacza;
A jeżeli wierzyć ci się nie zda,
Kiedy będziesz na góry wierzchołku,
Od prawego spojrzyj do lewego,
A zobaczysz dwie sosny wysokie,
Co prześcigły góry i pagórki
Zielonemi konary silnemi.
Wpośród sosen źródło wody tryska;
Tam zatrzymaj rumaka twojego
U czystego źródła urbińskiego.
Z konia zsiędziesz, do sosny przy- [wiążesz,
Jak przywiążesz, do źródła postąpisz,
Przejrzysz lice w wód czystej kryniey,
A zobaczysz, że ci czas ze świata.
Pójdzie Marek, Wili się posłucha;
A gdy stanie na góry wierzchołku,
Od prawego spojrzy do lewego,
Ażci ujrzy dwie sosny wysokie,
Co prześcigły góry i pagórki
Wysokiemi wierzchy iglastemi,
Toż królewicz rumaka zadzierży;
Potem pójdzie do źródła czystego,
Do czystego źródła urbińskiego,
I w krynicy zobaczy swe lice.
Gdy w krynicy lice swe zobaczy,
Wnet rozpozna, że mu umrzeć trzeba;
Łzy poleje, zapłakawszy rzecze:
Złudny świecie, mój wesoły kwiecie,
Byłeś ci mi wesoły na mało,
Aj na mało na te trzysta latek,
Czas przychodzi, trza ze światu schodzić!
Potem zwlecze piękne z siebie szaty,
Co najpierwej długi miecz odpasze,
Do wiernego rumaka postąpi,
Ostrym mieczem głowę mu odsiecze,
Żeby w ręce tureckie nie popadł,
Ani w służbie tureckiej nie chadzał,
Ani wody nie dźwigał ni wiader.
Zrąbanego pogrzebie rumaka,
Chętniej konia, jak brata Andrzeja.
Miecz ostrzony połamie na czworo,
Żeby w ręce Turków się nie dostał,
Żeby się nim Turcy nie chwalili,
Że to zdobycz na Marku zabrana,

By mu klątwa braci nie ciężyła.
Kiedy Marko ostry miecz połamie,
Ciężką kopiję w siedmioro zdruzgota,
Na sosnowe zarzuci konary,
Weźmie Marko buzdygan oprawny,
W prawą rękę buzdygan uchwyci
I rzuci nim od Urbina góry
Aż na morze, na burzliwe morze,
Poczem do swej ozwie się maczugi:
Gdy wypłyniesz z morza głębokiego,
Wtedy taki drugi się urodzi.
Kiedy Marko jasną broń odrzuci,
Wydobędzie kałamarz z za pasa
I papieru niezapisanego.
Poczem pisze list królewicz Marko:
Ktobądź przyjdzie na Urbina górę,
Między sosny do źródła chłodnego,
A zobaczy Marka królewicza,
Przy nim znajdzie trzy ze złotem [trzosy:
Jeden temu człeku za nagrodę,
Który ciało to grzeszne pogrzebie;
Drugi odda na święte kościoły,
Trzeci złota trzos na ślepe dziady,
Żeby ślepcy po świecie chadzali,
Królewicza Marka wspominali.
Kiedy Marko skończy swe pisanie,
Na gałęziach sosny list położy
Od tej strony, kędy idzie droga,
Zwlecze z siebie suty płaszcz zielony,
Złoty rzuci we źródło kałamarz,
Pod sosnami suty płaszcz rozpostrze,
Czapkę z pióry na oczy naciśnie,
Potem spocznie, i już nie powstanie;
Leży Marko zmarły koło wody,
Jeden, drugi dzień, siedm dni całe;
Kto przechodzi po górzystej drodze,
A zobaczy królewicza Marka,
Każdy myśli, że sobie zasypia,
I obchodzi cicho, cichuteńko
Od bojaźni, by z snu go nie zbudził.
Kędy szczęście, zaraz i nieszczęście,
Gdzie nieszczęście, aż ci wnet i szczęście,
Ot i szczęście wreszcie sprowadziło
Ihumena z świętej góry Wasa,
Ode cerkwi białej Wilindora
Z dyakonem przyszedł Izajaszem.
Gdy Ihumen zmarłego zobaczył,
Prawą ręką dyakona trącił:
Cicho synku, żebyś go nie zbudził;
Marko bowiem coś drzemie strudzony,
A zbudzony mógłby nam zaszkodzić.
Przygląda się, Marko wciąż zasypia,
A nad Markiem list w górze się bieli,
Toż zapłacze Ihumen rycerza,
Ręką sięgnie, z gałęzi list ściągnie;
Aż tu widzi, co w nim napisane,
Białe zwłoki na konia przełoży,
I na łodzi żeglownej przeprawi
Het daleko, aż za górę Atos;
Przeprawiwszy w kościele pogrzebie,
Ani słówka na grób nie położy.
Stąd niewiada, kędy grób Markowy,
A za niego nieprzyjaciel mści się.

(Teofil Lenartowicz).

XII. Poezya arabska.

I. Antara.

Muallaka (w streszczeniu).

Poeta rozpoczyna tę pieśń wspomnieniem kochanki Abli, o której między innemi tak się wyraża:

Umie ona ząbkami czarować białemi,
Co słodsze w pocałunku, niż wszystko na ziemi.

Skoro do niej przybliżysz rozognione skronie,
Wonią moschu jej oddech zmysły twe owionie,
Niby łąka wonnemi kwiatkami okryta,
Której jeszcze nie tknęły biegunów kopyta,
Gdzie o zmroku wieczornym brzęczące komary
Monotonnym brzmią śpiewem, niby pijak stary.
Abla rano i wieczór na puchu spoczywa.
Mnie wezgłowiem śród nocy konia mego grzywa;
Wiatronogi a silny przyjaciel mój stary
Grzbiet wygodny na łoże daje dla Antary.

W dalszym ciągu oburza się na dwuznaczne postępowanie Abli:

Precz z maską! Szydzi ze mnie twych oczu zosłona.
Pomnij, że wszystko moje druzgoczą ramiona!
Wszak możesz sławić we mnie tę znaną ci cnotę,
Że dla ludzi przyjaznych ja serce mam złote;
Lecz kto krzywdę w pierś moją wrzuci, jak zarzewie,
Pozna, czem jest Antara, jeśli dotąd nie wie.

Teraz rozwodzi się obszerniej o swoich cnotach i sposobie życia, podaje malowniczy obraz swojego konia, wyraża wreszcie obawę, czy zdąży przed śmiercią pomścić się na wrogach. O sobie samym tak się odzywa:

Jeżeli kto z ufnością słów moich nie bierze, —
Czem jestem, niechaj wszyscy powiedzą rycerze:
Jak na grzbiecie rumaka siedzę dniem i nocą,
Gdy boki jego silne z ran krwawo się pocą;
Jak wroga w pojedynku atakuję śmiało,
Lub śmierć niosę z odważną łuczników nawałą...
Komuż w walce nieznana dłoni mej potęga?
Antara za trzech bije — po zdobycz nie sięga!...

(J. A. Święcicki).

II. Imruulkais albo Amrolkais.

Muallaka (w streszczeniu).

Pozwólcie, niech tu dla niej łza z oczu mych płynie,
Między Chaumal i Dakhol na piasków lawinie,
Między Tudich i Makrat, gdzie nie starły jeszcze
Śladów mieszkań piaskowe uraganów deszcze!...
Tu podtrzymując cugle, towarzysze moi
Mówili: „O! bądź mężem, co trosk się nie boi".
Jedyną mą pociechą dziś łza, co wytryska....
Lecz pocóż skrapiać łzami przeszłości zwaliska!...

Zapanowawszy nad żalem, poeta oddaje się rozpamiętywaniu doznanych sukcesów w miłości.

Wielem dni przeżył z tobą w rozkosze bogaty,
Lecz tego w Darat-Dżuldul nie zapomnę z laty,
Gdym na ucztę dla zwierząt własne zabił zwierzę;
Ona moje tłomoki na wielbłąda bierze,
Do lektyki Oneizy wciskam się zuchwale....
Na pagórku piaszczystym, broniąc się daremnie
Przysięgłaś, że nazawsze ulecisz odemnie!...
Dlaczegoż, o Fatymo, siać kłótni zarzewie?
Jeśli chcesz mię opuścić, nie opuszczaj w gniewie!
Dąsasz się na tę miłość, co pierś mi zatruła?
A jabym wszystko oddał dla ciebie, nieczuła!
Płaczesz, aby zgryzotą zaprawione strzały
Jeszcze silniej rozdarte serce poszarpały!...
. . . . . .
Wszystkie dziewcząt namioty, których oddech męża
Nie skalał — serce moje piorunem zwycięża.
Przez tłumy i przez śmiercią grożące mi straże
Do mej lubej zwycięsko kroczyć się odważę,
Gdy na niebie się jasna plejada promieni,
Jako wstęga ze złota i drogich kamieni!...
Żaden bezkształt jej szyi toczonej nie plami,
Gdy ją wznosi, jak sarna, strojną klejnotami.
Kibić jej kruczych splotów pętają okowy,
Jako palmy łodygę warkocz daktylowy.
W nocnym stroju o późnej spoczywa godzinie,
Woń moschu ponad rankiem z jej namiotu płynie.
Blask jej oczu tak nocne ciemności przenika,
Jako Bogu płonąca lampa pustelnika.
Innym łatwo miłosnej uniknąć ślepoty,
Ja wiecznie w sercu krwawe noszę uczuć groty.

W dalszym ciągu mówi o zaletach swego konia:

Na koniu, wyprężonym jak łuku cięciwa,
Wyjeżdżam, kiedy jeszcze ptak w gnieździe spoczywa;
Rumak mój czy w ataku, czy w wirze obrony,
Jako głaz z wyżyn skalnych potokiem strącony!..
Gwałtem się z jego grzbietu zsuwają dywany,
Jak noga, kiedy schodzi z granitowej ściany;
Wysmukły, a tak parska, tak wściekliznę dyszy,
Jak gdybyś drganie waru słyszał śród zaciszy!...
Lekkiego młodzieniaszka z grzbietu swego strąca,
Mężowi odzież zrywa ta bestya gorąca!
Ma on strusia kończyny, a boki jelenia,
Biegnąc — w wilka, w galopie na lisa się zmienia!
Nagle ku nam pierzchliwe stado kóz wybieży,
Niby dziewki Dejara[1]) w ofiarnej odzieży...

[1]) Bóstwo przedmahometańskie Arabów, wokoło którego tańczyły dziewczęta, odpowiednio przystrojone.

Mienią się... usuwają... jako sznur korali
Na chłopcu, który przodków bogactwem się chwali...
Wiatrolotny mój rumak naprzód się wyrywa,
Dzieląc zwierząt gromadę na drobne ogniwa;
Wnet parę, przodującą gromadzie kóz wielkiéj,
Dosięgnął, nie wylawszy potu ni kropelki!
Śpieszą mięso na ucztę przyrządzać kucharze
Na kamieniu śród ognia lub w kipiącym warze...
Gdy pod wieczór do domu wracaliśmy społem,
Konia mego zdumieniem ścigano wesołem.
Krew lani na łbie jego wskazują mężowie,
Niby henny[1]) kropelkę na srebrzystej głowie...
On jednak przez noc całą, jako granit ściany,
Przed mojemi oczyma stoi okiełznany.

Nieco dalej przypomina sobie poeta obraz nawałnicy, której był świadkiem:

Błysk ten czyś widział, druhu? ów zygzak czerwony,
Jak ruch dłoni, wyskoczył z chmur gęstej korony!
Lub jak w celi klasztornej lampa, co już kona,
Rozsypie blask, olejem świeżym podsycona!
Między Odaib i Darycz, śród mężów ogniska
Zasiadłem, by ulewie przypatrzyć się zblizka.
Jeden prąd nawałnicy wprost na Katem pędzi,
Drugi lewej Jadhbulu zagraża krawędzi.
Toczy się na Kuteifę słup piany i błota,
Z Kamakhol dęby stare na przechodniów miota!..
Dalej żywioł Kananu obejmuje stronę
I z urwiska gór spędza gemzy przelęknione.
W Teima nie ocalał żaden pień palmowy,
Żaden dom, nie mający skał wiecznych budowy.
Rankiem tak świegotało ptastwo na dolinie,
Jakby śpiewne gardziołka wykąpało w winie;
Tu i owdzie zwierzątka zatopione leżą,
Jak cebule, z pod ziemi wydarte grabieżą.

(J. A. Święcicki).

b) Z Dywanu.

Idź szczęśliwie życia jasną drogą!
Serca nasze zbratać się nie mogą...
Cóż mię dla niej w niewolnika zmienia?
Miłość dziecka, pełna zaślepienia!
Miarą złudzeń darzysz mię obfitą,
Ty, najskąpsza pod słońcem kobiéto!
Iluż niewiast uroczych okowy

[1]) Farba roślinna, którą na Wschodzie malowano sobie paznogcie.

Potargałem z rozsądku namowy!...
Darmo chcesz mię karmić złudzeniami:
Już mię żadne twe siodło nie zmami.
Przez grożące mi śmiercią pustynie
Jam przejechał z wielbłądem jedynie!
Gdy on trawę żuł przez noc zgłodniały,
Członki moje w siodle spoczywały,
Ostrze miecza pod głową błyszczące,
Jakby drgało w niem mrówek tysiące;
Polerownym zwą go towarzysze.
Kto go ostrzył? pamięć nie dopisze....
Żem się jeszcze upamiętał w porę,
To za boskie zmiłowanie biorę.
Gdy Bóg ze mną, niczem się nie trwożę,
Bogobojność — bezpieczeństwa łoże.

(J. A. Święcicki).

III. Szanfary.

Kasyda[1]) (nieco skrócona).

Bracia moi, postawcie wielbłądy na nogi!
Dzisiaj Szanfary od was jedzie między wrogi.
Gotowe juki rzemień do garbów przycisnął:
Dalej w drogę! Noc ciepła i księżyc zabłysnął.
Dalej! — Jeśli przed skwarem na ziemi są cienie:
Dla mężnego przed hańbą znajdzie się schronienie;
I nie będzie mu ciasno, jeśli przy rozumie
Gonić rozkosz, a zgubie wymykać się umie.
Znajdę ja druhów, których przyjaźń więcej warta:
Znajdę płowego wilka i pstrego lamparta,
Hienę, zdobycz kroki pędzącą chromemi —
To moi przyjaciele. Niemasz między niemi
Półgłówka, co mu tajnia w ustach nie doleży,
Co brata błądzącego z szyderstwem odbieży:
U nich na krzywdę zemsta, na gwałt moc gwałtowna,
Waleczni, ale w męstwie żaden mi nie zrówna.
Nieprzyjaciołom pierwszy ja skaczę do oczu,
A gdy przyjdzie łup dzielić, stoję na uboczu.
W dziale łupów łakomstwo chyżością zwyciężam:
Ja czynię obyczajem dostatniego męża;
Nikt wielkością umysłu nie zdoła mi sprostać,
A kto czuje swą wyższość, godzien przy niej zostać.

[1]) Zdaniem nowszej krytyki jest to utwór późniejszy, mylnie przypisany Szanfaremu. Wyobraża on poetę opuszczającego swoje pokolenie Asd za to, że odmówiło mu pomocy do pomszczenia krzywdy, jakiej doznał ze strony pokolenia Salaman.

Porzucam was i tęsknić nie będę za wami,
Których nie przyciągnąłem dobrodziejstw więzami
I do których nie lgnęło nigdy serce moje.
Dosyć mam towarzystwa, gdy zostało troje:
Serce waleczne, szabla, z której ognie biją,
I łuk żółty, wielbłądzią krzywiący się szyją;
Przy którym pas bogaty, suta frędzla pływa —
Majdan, gładko ciosany i tęga cięciwa,
Co tak żałośnie jęczy, gdy z niej grot wyleci,
Jako matka, wydarte ścigająca dzieci...
Nie strusie serce moje; choć strach zakolata,
Nierównym pędem w piersiach, jak wróbel, nie lata.
Kto mię widział od rana do nocy śród gachów
Brew malować, włos trefić w kąpieli zapachów?
Czy mię kiedy noc zbłąka, choć piaszczysta fala
Tumanami okręci i żwirem zawala,
Lecę na mym wielbłądzie — wrą u nóg ukropy,
Krzemienie, iskry sypiąc, pryskają z pod stopy.
O głodzie choć najdłuższym, w wielkomyślnej dumie
Nigdy wspomnieć nie raczę — i tak go zatłumię:
Karmię się prochem ziemi, a głód, nadaremnie
Pasując się, wyznaje, że słabszy odemnie.
Gdybym został w obozie, gdzież więcej napitków,
Więcej jadła, niż u mnie do potrzeb i zbytków?
Ale mam duszę gorzką, co się z hańbą kłóci,
I jeśli was nie rzucę, dusza mię porzuci.
Teraz pragnienie skręca wnętrzności w mem łonie,
Jak nić różnie targaną na prządki wrzecionie.

Tu, porównawszy siebie do zgłodniałego wilka, wyjącego na pustyni, i pochwaliwszy się, że na wielbłądzie wyściga strusie, gdy pędzi do studni, Szanfary dalej tak mówi:

Ziemia twarda mi drużka. Nieraz do jej łona
Tuliłem kark mój suchy i chude ramiona,
Których stawy sterczące tak policzyć snadno,
Jak kostki, co z rąk gracza na ławę wypadną.
Jeżeli wojna tęskni za Szanfarym sługą,
Toć Szanfary jej służył i wiernie i długo.
Dziś nieszczęście w mą duszę, jak w piłkę, zagrało,
Boleści podzieliły losem moje ciało.
Każda bieda najpierwej na mój kark się wsuwa;
Kiedy zasypiam, bieda u głów moich czuwa
I wytrzeszczywszy oczy, patrzy, skąd ugodzić.
Troski koleją febry zwykły do mnie chodzić;
Ale od febry gorzej nie dają pokoju.
Lecą do mnie, jak ptaki, spragnione do zdroju:
Sto razy je odpędzisz i setnemi chmury
Znowu uderzą z boku i z dołu i z góry.

Lecz nie znękają go te troski, bo jest cierpliwy, śmiały, jak hiena, i wytrwały.

Pamiętacie noc klęski? Tę noc niepogodną,
Noc tak straszliwie ciemną, tak straszliwie chłodną,
Że Arab grzał się, paląc własny łuk i groty?
Ja wybiegłem na boje śród mroku i słoty;
Przewodniczką mi była błyskawic pożoga,
Towarzyszami: piorun, okropność i trwoga.
Osierociłem dzieci, owdowiłem żony,
Wróciłem, jak-em wyszedł, nocą otoczony.
Nazajutrz gdym spokojnie w Gumaiza leżał,
Mówiono o mnie w stepach, którem w noc przebieżał.
Zeszła się nieprzyjaciół dwoista gromada,
Jedna z nich zapytuje, druga odpowiada:
Słyszano, mówią, wczora nocne psów warczenie,
Zdało się, że wilk przebiegł lub hieny szczenię,
Albo ptak przebudzony skrzydłami gdzie musnął?
Bo pies zawarczał tylko i po chwili usnął;
Może to Diw przechodząc, tyle szkody zrobił?
Może człowiek? Nie, człowiek tyluby nie pobił!
Ja w dzień, gdy niebo wrzało ogniami letniemi
Tak, że żmije od skwaru skakały po ziemi,
W dziurawym płaszczu padłem na żwiry kipiące
I zdjąwszy turban, głową wyzywałem słońce:
A włos mój brudu pełny, nie znający woni,
Kołtunami przylegał do niemytej skroni[1])
Łono pustyni, co się bez końca rozszerza,
Tak twarde i tak nagie, jako grzbiet puklerza,
Nieraz całe bosemi przemierzyłem stopy,
Na klęczkach pnąc się, jak pies, wlazłem im na czoło.
Tam dzikie antylopy biegały wokoło,
Białonogie i wełną odziane bogatą,
Jak nadobne dziewice wlekącą się szatą:
I w oczy mi bez trwogi patrzyła gromada,
Bo myślała, że jestem kozieł, wódz ich stada,
Co mu rogi w tak długie piętrzą się ramiona,
Że wznosząc łeb, rogami dostaje ogona,
Albo niemi do skały przyczepia się szczytu
I wisi, jako ptaszek w otchłani błękitu.

(A. Mickiewicz).

IV. Waddak.

Sen.

Ach! z jednej teraz ściga mię strony
Krytyków zgraja;

[1]) Arab nie mył się i nie czesał się, dopóki ślubowanej zemsty nie dokonał.

A z drugiej obraz, we śnie zrodzony,
Co mię upaja...
Łudził mię wczoraj sen tak zuchwały,
Że moja miła,
Przebywszy piasku morze i skały,
Mnie nawiedziła!...
Spałem, gdy ona, wchodząc, wyrzuty
Robić zaczyna.
Jakże mi słodką zdała się wtedy
Moja jedyna!
Jam wołał do niej: „Maro najmilsza,
Bądź pozdrowiona!
O! dzięki!... dzięki, że cię już mogę
Tulić do łona!“...
Uczucia ziemskie stygną powoli
W każdej godzinie,
Lecz miłość moja wielka dla Raudy
Nigdy nie zginie!

(J. A. Święcicki).

V. Moty Ibn Ajas.

Do córki (w chwili rozstania).

O! przestań serce moje tym płaczem
Krwawić, dziewczyno!
Toć już zadługo z twych czarnych oczu
Łzy gorzkie płyną.
O! niech mi serca dłużej nie palą
Twych łez strumienie!
Krzykiem rozpaczy zatruwasz jeszcze
To rozłączenie.
Może też Pan Bóg opieką swoją
Wesprzeć mnie raczy
I znów piorunem wrócę do ciebie
Z doli tułaczéj.
Co tylko zechce Bóg, Pan Wszechmocny,
Wszystko się stanie;
Więc zamiast płakać, do Niego raczéj
Zwróć swe błaganie.
Bo czy nas droga rozdzieli blizka
Czy też daleka,
Wszędzie mię dłonią swoją otoczy
Boska opieka!

(J. A. Święcicki).

VI. Abu Firas.

Jeniec.

Gdyby nie ta matka droga,
O los której drżę,
Jużby mię dziś zgonu trwoga
Nie dręczyła... nie!
Gdyby nawet mi za złoto
Chcieli zwrócić miecz,
Ja tę łaskę, ach!... z ochotą
Odepchnąłbym precz!
Ale byt mój to wiekowéj
Matki mojej byt;
A jam dla niej znieść gotowy
Nawet hańby wstyd!...
Trzeba dług ten święty, hojny
Spłacić matce swej,
Żeby krwawa srogość wojny
Nie dotknęła jej.
W Mambig tęskne dni przebywa,
Pierś jej gryzie strach;
Pewnie tam gołąbka siwa
W gorzkich tonie łzach.
Gdyby można siłą woli
Odbić każdy cios,
I to wszystko, co nas boli,
W błogi zmienić los!...
O! przysięgam... jużby wtedy
Za mej matki próg
Nie zajrzało widmo biedy,
Nie wszedł szczęścia wróg!
Ale w karbach świat ten trzyma
Wszechpotężna dłoń;
Karłem człowiek — choć olbrzyma
Wznosi dumną skroń!...
Gdyby obłok ten, co bieży
Przez Mambig gdzieś w świat,
Chciał od syna nieść macierzy
Echo wdzięcznych rad, —
Wciążbym wołał: „Matko miła,
Nie trać serca... nie!
Niespodzianie dary zsyła
Bóg na dzieci swe.
Wytrwaj, matko... taką-ć radę
Z głębi serca ślę;
Minie widmo smutku blade
I znów ujrzysz mnie!“

(J. A. Święcicki).

VII. Ibn-ul-Abbar.

Kasyda[1]).

Naprzód! drogę masz przebitą... prowadź wojska swoje tam!...
Wojowników dzielnych prowadź!... Andaluzyę wybaw nam.
O ty, któryś przygnębionych nigdy nie odepchnął precz,
Patrz!... Hiszpania wielkomyślna śpieszy o twój błagać miecz.
W udręczeniu klęski strasznej wije się ten piękny kraj,
Los mu wiecznie radość w troski, a na piekło zmienia raj.
Nieszczęśliwa ty kraino, życie twe zatruwa świat,
Na ofiarę los wybiera zawsze dzieci twoich kwiat!
Każdy wietrzyk z brzaskiem świtu jest zwiastunem krwawych dróg,
Co dnia w pysze swej nad tobą tryumfuje podły wróg!

[1]) Ułożona dla zachęcenia Zekkeryi, jednego z książąt maurytańskich w Afryce, żeby dał pomoc Walencyi, oblężonej w r. 1238 przez chrześcijan hiszpańskich.

O zachodzie słońca zawsze wita cię oręża zgrzyt,
Ustawiczną dyszeć trwogą — to męczarnia taki byt!...
I co tobie dziś nie grozi?... Chrześcijanin przysiągł już,
Najstraszniejszy dzisiaj chyba w piersiach twych zatopić nóż.
Pragnie z kwiatu twoich dziewic, których każdy strzeże dom,
Łup uczynić dla zwycięzców i zbezcześcić!... Hańby grom!...
Dla herezyi się roztwiera tyle nowych ciągle wrót,
Jawnych wrogów naszej wiary ma dziś prawie każdy gród.
Na ulicach miast arabskich sroży się niewiernych rój,
Ha! na widok ten łez krwawych z oczu nam wytryska zdrój!
Na meczetów naszych szczycie krzyże błyszczą ze wszech stron,
Tam, gdzie czciliśmy Allaha — chrześcijański jęczy dzwon!...
Czy hiszpański kraj odzyska, co szczęśliwy dotąd miał?
Pustką szkoły, w których niegdyś głos Koranu święty brzmiał;
A ogrody naszych willi, co pieściły każdy wzrok,
Pomarniały i dziś od nich stroni już przechodnia krok.
Tłumy chrześcian — to szarańcza, a po przejściu takich fal
Wszędzie tylko spustoszenie, zgliszcza, smutek, rozpacz... żal!
Gdzie jest życie, którem dotąd nieustannie wrzał nasz ród?
Gdzie piękności, co rozkoszą każdy nam słodziły trud?
Druzgoczący wszystko w drodze, niezbłagany wróg nasz ten,
Który, żeby szerzyć grozę, swój poświęca spokój, sen, —
Wtargnął z ogniem i żelazem, a potęgą wszystkich sił
Kraj w pustynię nam zamienia, dzieła sztuki — w proch i pył!
Podaj dłoń nam, dzielny książę! lituj się cierpiących rzesz,
Do Hiszpanii — zdruzgotany okręt jej ratować śpiesz!
W walkach świętych na twój widok wszak przejmował wrogów dreszcz;
Byłeś mieczem, albo chmurą, co spragnionym niesie deszcz.

Tu, opiewając potęgę Zekkeryi, między innemi tak mówi:

Tobie, królu, najpokorniej liczne państwa niosą cześć,
Bo pod łaski twojej płaszczem już ich wróg nie może zgnieść.
Tobie każdy z podróżników z czcią całować śpieszy dłoń,
I odwiecznych trosk się zbywa, gdy przemówić raczysz doń...
Twoja gwiazda, gdy chcesz błysnąć, daje dniowi jasność, blask,
Od policzków twych rumieńca i jutrzenka ma swój brzask.
Jako księżyc błyszczysz świetny pośród ciemnych walki chmur,
A gdzie rządzisz, tam jaśnieje wiekopomnej sławy dwór.
Góry korzą się przed tobą, boś jest całej ziemi pan,
Z wyniosłością twoją można tylko plejad zrównać stan.
Jako gwiazda nad Hiszpanią, w majestacie błyśnij nam
I piorunem twej pociechy nieprzyjaciół wiary złam.
Do Hiszpanii śpiesz, o królu, i pociechę biednym nieś,
Niechaj krwią nam kraj użyźni chrześcijańskich królów rzeź!
A za hańbę naszą, panie, tłumy Franków szarp i rwij,
Zmyjesz plamę i wygodzisz ziemi, dawno żądnej krwi.
Rzuć nam wojska na wybrzeża i daj chrześcian im na łup;
Niech wódz dumny psów niewiernych legnie w prochu u twych stóp.

Tam Hiszpanii syny martwe oczekują na głos twój,
Lecz ożyją, skoro ty ich poprowadzisz w krwawy bój.
Powiedz, kiedy Andaluzyę zbudzi mieczów twoich brzęk,
A odczuwać będziem naprzód już ostatni wrogów jęk.

(J. A. Święcicki).

XIII. Poezya perska.

I. Abul Kasim Mansur Firdusi.

Szach-Nameh.

Jest to ogromny poemat (60.000 dwuwierszy), opiewający bohaterską przeszłość Persyi czyli Iranu od najdawniejszych czasów aż do upadku państwa Sasanidów (w r. 641 po Chr.). Ze względu na charakter treści swojej, rozpada się on na dwie części, z których pierwsza, osnuta na starodawnych podaniach narodowych, jest przeważnie mityczno-bohaterska, druga — poczynając od następców Daryusza Histaspesa aż do końca — zbliża się bardzo do rymowanej kroniki. I treścią i kolorytem poetyckim i tonem epicznym tylko część pierwsza zasługuje właściwie na miano poematu bohaterskiego. Firdusi opiewa w niej najprzód mitycznych władców i cywilizatorów Iranu: Kajumorsa, Syameka, Huszenga, Tahmurasa, Dżemszyda; tysiącletnie rządy okrutnego Zohaka i wybawczą z nim walkę Feryduna. Dalszy ciąg wypełniają przeważnie bohaterskie walki Irańczyków z Turańczykami, które zaczynają się za następców Feryduna. Obok królów występują tu już potężni bohaterowie: Sal, Keszwad, Giw, Rustem, syn Sala, Biszen, syn Giwa, Ferhad, Isfendyar i inni. Ich czyny bohaterskie i romantyczne przygody rozsnuwa Firdusi w mnóstwie wspaniałych obrazów, które tworzą epizody, jakby osobne poematy. Z takich to epizodów składa się Szach-Nameh, to znaczy: księga szachów, t. j. królów perskich.

Rustem i Sohrab.

(Epizod).

Rustem, najpotężniejszy z pehlewanów (bohaterów) irańskich, korzystając z pokoju, jaki za szacha Kawusa zapanował między Iranem i Turanem, udaje się na łowy do Turanu. Tu, straciwszy konia, przybywa do ziemi Semenganu. Król Semenganu przyjmuje go z największą czcią, a córka jego Tehmina, olśniona sławą bohatera, sama oświadcza mu swą miłość. Za zgodą ojca Rustem poślubia Tehminę, ale po jakimś czasie opuszcza ją, wraca do Iranu i zapomina o żonie. Tymczasem w Semenganie podrasta syn jego — Sohrab. Dowiedziawszy się, kto jest jego ojcem, Sohrab postanawia okazać, że jest godnym takiego rodzica.

Pójdę więc z Semenganu, z Turanu wielkiej ziemi
Powołam wszystkich mężnych, sprzymierzę się z dzielnemi,
W Iranu kraj pociągnę, aż kurz z pod kopyt mych koni
Popielatą przyłbicą jasną twarz słońca obsłoni.
Za poły chwycę króla, z tronu obalę Kawusa,
W puch na polu bojowem rozbiję hetmański huf Tusa,

Rustemowi tron oddam, skarby i znaki książęce:
Potem ku Turanowi zwycięskie podniosę ręce,
Afrazyaba wyzywam, gromem mej dłoni powalę,
Słońce schwycę na oszczep i słońcem Turanu kraj spalę!
Ty, matko, już zostaniesz świata całego królową:
Syn takiego rodzica dotrzyma, gdy wyrzekł raz słowo.

Afrazyab, król Turanu, dowiedziawszy się o zamiarach Sohraba, posyła mu na pomoc wojsko pod dowództwem Barumana. Tehmina wyprawia Sohraba w towarzystwie sługi Zenda, któremu poleca ułatwić poznanie się syna z ojcem. Sohrab wpada do Iranu i odnosi liczne zwycięstwa. Przerażony tem Kawus śle posła do Rustema, który przebywa w swej prowincyi Sabulistanie; żąda on, żeby Rustem stanął na czele wojsk i powstrzymał pochód napastnika. Rustem, nie domyślając się, kto hetmani wrogom, nie śpieszy na wezwanie szacha, uraża się nawet, że szach dla lada popłochu wzywa najpierwszego Iranu bohatera. Przybywa więc dość późno do stolicy, czem rozgniewany Kawus grozi mu surową karą. Obraża się tem Rustem, dumnie odpowiada szachowi i wraca do domu. Kawus żałuje swojej popędliwości i wyprawia posłów, żeby ułagodzili Rustema. Ten daje się udobruchać, zgadza się wrócić i objąć dowództwo nad wojskiem, ale uważa, że po doznanej obrazie postępuje nie tak, jak na Rustema przystało, i dlatego postanawia nie przyznawać się do udziału w wyprawie.

Rżą konie, grzmią puzany, wieją w powietrzu sztandary;
Wojsko jest dobrej otuchy, bo Rustem jedzie z niem stary.
Jak morze, tłum rycerzy ziemię szeroką zalewa;
Drżą góry od tętentu, chmurę od chmury rozrywa
Zgiełk tłumu; toż gdy słońce wyjrzy z obłoków obsłony,
Blask jego tarcz tysiące na wszystkie chwyciło strony.
Płoną zbroje i dźwięczą. Kto patrzy, w oczach majaczy
Światło; słuchającego ogłusza łoskot surmaczy.
Jako sosny i cedry, na dumnych wiejące szczytach,
Sterczą kity na hełmach, a wichry igrają w kitach;
Jako na łanie bujnym kłos się na kłosy powala,
Tak oszczepów błyszcząca chwieje i kłoni się fala;
Jako kwiecista łąka, co barw tysiącem migota,
Wydał się kraj Iranu, przez który Rustema grzmi rota.

Przybywszy pod gród, zdobyty przez Sohraba, Rustem zakrada się nocą do niego, żeby się przypatrzyć nieprzyjacielowi; ale tu poznany przez Zenda, zabija go, bojąc się zdrady i nie wiedząc, jakie miał posłannictwo. Baruman zaś, wódz Afrazyaba, starannie ukrywa przed Sohrabem wiadomość, że na czele Irańczyków stoi Rustem. Nazajutrz Sohrab wyjeżdża konno z grodu i wyzywa na pojedynek tego, kto zdradziecko zabił mu wiernego sługę. Rustem staje do boju.

Jedzie Rustem, gdzie krew krwi, kość kości go czeka.
Konie obu do siebie zarżały zdaleka:
Koń Rustema boć ojcem był konia Sohraba,
Poczuł dziecię i zarżał; w ludziach za to słaba
Była krwi mowa: zgasła w wojennym zapale.
Stanęli; wzrok obydwu podobien był strzale,
Która mierzy w pierś wroga....
Sohrab, niecierpliwością młodzieńczą pędzony,
Woła: „Wystąp, rycerzu, co masz włos srebrzony,

Nie dziw się, że ci walczyć przychodzi z chłopięty:
Za Iran my i Turan pójdziem w bój zacięty!
Barki twoje szerokie, wspaniała twa postać,
Ale niewiele ognia musiało ci zostać, —
Toż się strzeż, bo mi dzisiaj nie dostoisz w boju!“
Rustem na twarz rumianą spoglądał w spokoju:
„Zwolna, gorące dziecię! Świat piękny i miły,
A zimna ziemia mogiły i brzemię mogiły.
Stary-m, toć też niejeden bój w życiu widziałem
I w zimnym prochu grzebać ludzi pomagałem.
Śpią wiecznie, których moja prawica dotknęła,
A nie było szablicy, coby mnie włos zdjęła.
Żal mi ciebie, wysmukła ty leśna drzewino!
Na Turańca nie patrzysz, chętny dzielnym czynom“.
Usłyszawszy głos wdzięczny, Sohrab się ozowie:
„Stary rycerzu! prawdę powiedz w jednem słowie.
Przed bojem zwykle swoje głoszą dzielni miano:
Ty patrzysz na Rustema; mów, jak cię nazwano?“
Tak rzekł i brakło mało, aby w radość złotą
Przeszedł spór, a syn ojca uściskał z pieszczotą.
Lecz zły duch na Rustema przypadł w tej godzinie,
Toż rzekł: „Nie jestem Rustem, co szeroko słynie!
Sługa jestem, do boju z chłopięciem zmuszony:
Rustem jest człowiek wolny, jam jest zniewolony.
Jam zabił twego druha, jam zabił, nie iny,
Chwytaj za broń, mój chłopcze, dość tej gadaniny!

Pojedynek trwa dni kilka bez stanowczego rezultatu. Sohraba nie opuszcza przeczucie, że zapaśnikiem jego jest Rustem, i kilkakrotnie ponawia swoje zapytania. Ale Rustem zawsze przeczącą daje mu odpowiedź, tem bardziej, że się niecierpliwi, iż tak długo nie może pokonać przeciwnika. Zwątpiwszy nareszcie o zwycięstwie, uzbraja się w świeży zapas siły młodzieńczej, której nadmiar zachował był ongi pod strażą przyjaznego ducha, i pokrzepiony w ten sposób, zadaje śmiertelny cios Sohrabowi.

Ranny śmiertelnie Sohrab tak rzecze, leżąc na ziemi:
„Człecze! nie skryjesz się w morzu, między rybami zimnemi,
Ptakiem nie wzlecisz w niebo — wszędzie cię zemsta dosięże:
Rustem się o tem dowie, znajdzie na ciebie oręże,
Skarze, żeś jego syna zabił i syna Tehminy“...
W otchłań swego nieszczęścia nieruchomemi oczyma
Długo patrzy się Rustem, a oddech w piersi zatrzyma...
Ryknął wreszcie, jak tygrys, a w głuche świata przestrzenie,
W noc ciemną leciało straszne Rustema piersi ryczenie.
Wreszcie nieświadom siebie, raz pierwszy w życiu omdlały,
Blady przy ciele syna legł, niby ceder spróchniały.
Sohrab, krwią swego serca wilżąc murawę zieloną,
Kochającemi dłońmi podtrzymał mu głowę zemdloną.

Umierający Sohrab przemawia do ojca:

O, ojcze, zanim umrę, słuchaj syna twego słowa;
Ostatnie chwile słodzi miła mi z ojcem rozmowa.

Nie płacz, tyś mnie nie zabił, los mnie śmierć taką przeznaczył...
Matce mej mego konia, zbroję mą poślij i złoty
Naramiennik, pamiątkę dawnej z Rustemem pieszczoty.
Po nim miałeś mnie poznać. Ciało me młode niech sobie
W ziemi twojej odpocznie, w książęcym odpocznie grobie.
Teraz każ mi nad głową rozpiąć twój namiot książęcy
I patrzaj, ojcze, na mnie... nic mi nie trzeba już więcéj...
Nazwij mnie twoim synem... to śmierć mą wczesną uświetni,
Jak wiatr letni, przyszedłem i ginę, jak ginie wiatr letni.

(J. Szujski).

Zrozpaczony Rustem spodziewa się uratować syna balsamem życia, który posiada Kawus; śle więc do niego posła z prośbą o kilka kropel tego cudownego lekarstwa. Ale szach, pomny doznanej zniewagi, postanawia skorzystać ze sposobności i upokorzyć zuchwałego wasala; żąda więc, żeby Rustem przybył osobiście błagać go o balsam. Po ciężkiej walce z sobą, Rustem przezwycięża dumę i udaje się do króla, ale tymczasem Sohrab umiera... Rustem sprawia synowi wspaniały pogrzeb, balsamuje jego ciało i odsyła je do grobów rodzinnych. Tehmina, dowiedziawszy się o śmierci Sohraba,

Twarz piękną szarpie, włosy rwie garściami,
Przeraża wszystkich obecnych jękami,
Pada bez zmysłów... zwisnęły powieki;
Zda się, że krew już w niej skrzepła na wieki.
Lecz znów się zrywa z licem trupio-bladem,
Wzrok straszny topi w Sohraba dyadem,
Potem się garnie ku pamiątce drugiéj,
Miast łez z jej oczu krwawe płyną strugi.
Jak gdyby chciała przedłużyć męczarnie,
Od zbroi syna do konia się garnie,
Objęła głowę i, obłędu blizka,
Całuje... pieści, do łona przyciska,
Nareszcie białe załamując dłonie,
Klejnoty każe, złoto, skarby, konie
Ubogim rozdać. Zamek pustką stanie.
Cóż bez Sohraba znaczy to mieszkanie?...
Tak w noc i we dnie płacząc wciąż... Tehmina
Po roku mogła przenieść się... do syna.

(J. A. Święcicki).

Jedyny epizod z Szach-Namehu, przełożony w całości na język polski przez L. Siemieńskiego, jest »Biszen i Meniszc« (Warsz. 1855).

II. Omar Chajjam.

1.

Czy wiecie, dlaczego wasz kogut co rano
Wytrwale powtarza piosenkę tak znaną?...
On pieje: „znów jedna noc znikła już z ziemi,
A dzień was napewno nie znajdzie... mędrszemi“.

2.

„Dość bredni! O! nareszcie powiedz, wielki Boże,
Wyznawcom fatalizmu, że wciąż głupstwo plotą;
Że ten, który jest wolną od grzechu istotą,
Za źródło wszechwystępku uchodzić nie może.

3.

Z mułu i wiedzy stworzyłeś mnie, Panie,
I cóż ja mogę?
Stworzyłeś ciału mojemu ubranie,
I cóż ja mogę?
Tyś naprzód moje postanowił czyny;
W czem grzeszny będę, albo też bez winy,
I cóż ja mogę?...

4.

„Cyprys drzewem jest wolności“ — czemu to świat głosi?
Bo się nigdy nie uściskał, choć sto ramion nosi.
„Lilia kwiatem jest wolności“ — każdy ją tak zowie.
Czemu?... Dziesięć ma języków, a słówka nie powie.

(J. A. Święcicki).

III. Dżelaleddin Rumi.

1. Król i chora niewolnica (z „Mesnewi“).

Niech każdy bacznie powieści tej słucha,
Odtworzy ona stan mojego ducha.
Onemi czasy żył mocarz wspaniały,
Któremu wszystkie ziemie hołdowały.
Pewnego razu król ten w licznem gronie
Za zwierzem dzikim odbywał pogonie.
Po górach, lasach goniąc zwierząt stada,
W sidła miłości sam niebaczny wpada.
Napotkał dziewczę na ustroniu dzikiem
I król — poddanej stał się niewolnikiem.
Serce mu w piersiach drżało, jak ptaszyna
W klatce — zapłacił — i jego dziewczyna —
Ach! jak przybycia błogosławił porę
Niestety! spostrzegł, że dziewczę jest chore.
Pan osła musi obejść się bez siodła,
Gdy lanca wroga zwierzę mu przebodła.
Ma dzbanek — wody nie dadzą te strony,
Gdy wodę znalazł — już dzbanek stłuczony.
Lekarzów mnóstwo do chorej zaprasza:
„Dwa życia zbawić ma tu mądrość wasza.

Me życie niczem!... Mojem życiem — ona,
Jej zdrowie balsam wleje mi do łona.
Kto wróci zdrowie mej kochance choréj,
W nagrodę weźmie pełne złota wory".
Więc rzekli: „idzie o głowy nas wielu,
Toć sztuka musi przywieść nas do celu.
Wszakże to my tej ziemi Mesyasze,
Cierpienia giną przez starania nasze".
I w dumie żaden nie rzekł: „Z łaską Boga".
Więc też zawiodła ich próżności droga!...
Chorobę wszystkie potęgują leki
I wyzdrowienia dzień wiecznie daleki.
Dziewczyna włosem staje się i cieniem,
Łzy z oczu króla wciąż płyną strumieniem.

Nareszcie zjawia się cudowny lekarz, zwiastowany mu we śnie od Boga; ten zręcznie badając chorą, dowiaduje się, że przyczyną jej cierpienia jest miłość dla złotnika z Samarkandy. Każe więc sprowadzić do niej kochanka.

Przez sześć miesięcy żyli kochankowie
Szczęśliwi — i dziewczę odzyskało zdrowie.
I teraz przyszła kolej na młodziana;
Lekarza ręką czara wypełniana
Jad straszny niesie w zdrową pierś złotnika.
Wynędzniał młodzian, wdzięk z twarzy mu znika,
A dziewczę patrząc na jego brzydotę,
Powoli targa struny uczuć złote,
Bo miłość, którą powab ciała zrodzi,
Jak prędko przyszła, tak prędko uchodzi.
O bodaj nigdy nie posiadał wdzięku,
Tożby dziś z piersi nie wyrzucał jęku,
W oczach by nie miał krwawych łez nędzarzy, —
Zgon swój zawdzięcza tylko własnej twarzy.
I młodzian woła, wciąż myśląc o zgonie:
„Paw największego ma wroga... w ogonie!
Gronostajowi ja-m podobien, Boże,
Co futru gwoli ostać się nie może!"...
To mówiąc, skonał. A cóż jego miła?
Przestawszy kochać... do zdrowia wróciła.

(J. A. Święcicki).

2) Z „Dywanów".

1.

Śmierć kończy nędzę żywota,
Ale przed śmiercią drży życie:
Widna mu ręka, co skrycie
Czarna ku niemu się skrada,
Ale nie widna mu złota
Czara, co w ręce tej świeci.

Drży serce, które napada
Miłość, bo miłość jest zgonem:
Ja swoje traci, kto wleci
W jasne miłości ramiona:
A przecież miłości i śmierci
Przyszłości oddana korona.

2.

Czy wiesz, kto duchów podczaszym?
Wiesz, jakie duchów napoje?
Podczaszym Allah nasz wielki,
Napój — znicestwienia zdroje.
Chłoń w siebie napój zachwytu,
Płoń w wielkim miłości żarze,
Kroplo, spragniona nicestwa,
W morza szerokim obszarze!

Biesiadnym świat cały stołem,
Każde stworzenie puharem:
Bóg trzyma puhar w swej ręce,
Pragnienia my płoniem pożarem.
Pijaną winna być mądrość,
Jeśli ku niebu wystrzeli;
Pijaną ziemia i niebo,
W niebie pijani anieli!

(J. Szujski).

IV. Moslicheddin Saadi.

Gulistan (Ogród różany).

Jestto zbiór powiastek, dykteryjek, anegdot, przysłów, sentencyj i t. p. utworów dydaktycznych, opowiedzianych prozą i przeplatanych wierszykami perskimi lub arabskimi. Saadi zgrupował je w ośm rozdziałów, traktujących o obyczajach monarchów, o charakterach derwiszów, o zaletach przestawania na małem, o użyteczności milczenia, o miłości i młodości, o niedołęstwie i starości, o wpływie wychowania i wreszcie o prawidłach przyzwoitości w towarzystwie. Dzieło to było dwukrotnie tłómaczone na język polski: przez Samuela Otwinowskiego, dokonane w r. 1625, lecz wydane dopiero w 1878, i przez W. z Bibersteina Kazimirskiego (Paryż, 1876), z obszernym wstępem i licznymi komentarzami.

1.

O jednym królu słyszałem, że raz skinieniem ręki pewnego jeńca na śmierć skazał. W tem położeniu rozpaczy, nieborak, w języku swojego narodu jął na króla obelgi miotać i nie do rzeczy prawić zaczął; powiadają albowiem mędrcy, że kto o życiu zrozpaczy, to, co ma na sercu, wypowie.

Wiersz perski. Gdy przemoc ciśnie a ucieczki niema,
Ręka za koniec ostrej szabli chwyta.

Wiersz arabski. Kiedy człowiek rozpacza, język ma niesforny,
Tak kot, kiedy znękany, na psa się nasroży.

Król zapytał: „Co to on mówi?“ Jeden z wezyrów, człowiek miły, rzekł: „Panie, on mówi: A ci co gniew w sobie tłumią i przebaczają ludziom — zaprawdę Bóg lubi dobrze czyniących[1])“. Litość wzięła króla nad jeńcem i krwi jego zaniechał. Inny jednak wezyr, przeciwnej tamtemu natury, odezwał się: „Ludziom naszego rzędu nie przystoi wobec królów jedno słowa prawdy mówić. Ten oto jeniec łżył królowi i nieprzyzwoitości prawił“. Król na te słowa zmarszczył się i rzekł: „Mnie to kłamstwo

[1]) Cytata z Koranu, którą mahometanie zwykli rozbrajać zagniewanych zwierzchników.

jego więcej się podobało, niżeli ta prawda, którą ty powiedziałeś, bo tamto miało dobro na celu, a ta szkaradę za podstawę; a mędrcy powiedzieli: kłamstwo, co na dobre godzi, lepsze niż prawda, co niesnaski płodzi".

Wiersz perski. Kto tak stoi u króla, że ten go usłucha,
Biada mu, jeśli rady niedobre mu daje!

2.

Derwisz jeden, słynący ze skuteczności modłów, raz się był w Bagdadzie pojawił. Uwiadomiono o tem Hadżdżadża, syna Jusufa[1]); ten go do siebie przyzwał i rzekł: „Zmów na moją intencyę jaką dobrą modlitwę". Derwisz wzniósł ręce do nieba i zawołał: „O Boże, zabierz duszę jego!" „Dla Boga! zawołał Hadżdżadż, a cóż to jest za modlitwa?" A derwisz na to: „Jestto najlepsza modlitwa dla ciebie i dla muzułmanów".

Wiersz perski. Zwierzchniku, który ciemiężysz poddanych,
Dopókiż będą trwały te frymarki?
Na coć się przyda zawiadować ziemią?
Lepiej ci zginąć, niżli dręczyć ludzi.

3.

Złodziej raz wkradł się do domu jednego świątobliwego człowieka; co się naszukał, niczego nie znalazł i mocno się zafrasował. Mąż świątobliwy to pomiarkował, kilimek, na którym spał, porzucił tam, którędy złodziej przechodził, a to dlatego, aby ten zawodu nie doznał.

Wiersz perski. Słyszałem, że mężowie, boskich dróg wędrowcy,
I serca nieprzyjaciół poranić nie radzi;
A ty jakże osiągniesz to wyniosłe miejsce,
Ty, co waśnie i boje staczasz z przyjaciółmi?

Przyjaźń ludzi czystego serca równa jest wobec, jak za oczyma, nie jest taka, że za oczyma cię szarpią, a w oczy za tobą przepadają.

Wiersz perski. Wobec on będzie, jak owca, łagodny,
A za oczyma, jak wilk, ludożerczy.

Wiersz perski. Kto tobie drugich wady będzie rozpowiadał,
Niezawodnie i twoje do drugich poniesie.

4.

Hatemowi Taji[2]) raz mówiono: „Czy znałeś kogo na świecie lub słyszałeś o kim, coby ciebie wielkością duszy przewyższał?"

---

[1]) Namiestnik kalifa Abd-ul-Melika, zmarły w r. 714, znany był ze swego okrucieństwa.
[2]) Beduin arabski, słynny z hojności i gościnności; żył przed wystąpieniem Mahometa jako proroka.

„I owszem, znałem — rzecze. Pewnego razu czterdzieści wielbłądów zabiłem na ucztę i z emirami arabskimi w jedną stronę pustyni poszedłem; tam widzę człowieka, który ciernie z ziemi wyrywa. Czemuż, mówię mu, do Hatema Taji nie idziesz? właśnie u jego stołu mnóstwo biesiadników zasiadło.“ A on na to:

Wiersz perski. Ten, co z pracy rąk swoich kęs chleba pożywa,
Nie zaciąga wdzięczności długu u Hatema.

„Otóż tego człowieka wspaniałością i wielkością duszy za wyższego od siebie uznałem“.

5.

Kaleka jeden bez rąk i bez nóg stonogę zabił; derwisz jeden, tamtędy przechodząc, zawołał: „Niech będzie Bogu chwała! Oto pomimo stu nóg swoich, skoro jej ostatnia godzina wybiła, nie mogła stonoga uciec przed kaleką bez rąk i bez nóg.“

6.

Rady zasięgać u niewiast jestto czysta zguba, a być szczodrym dla złoczyńców jest grzechem.

Wiersz perski. Litość nad srogim lampartem
Jest okrucieństwem nad baranami.

(W. z B. Kazimirski).

V. Ben Jemin Ferjumendi.

Aforyzmy.

1.

Tego królem jesteś, bracie,
Komu sypiesz dary,
Lecz poddanym tyś każdego,
Kto ci śle ofiary.

Jeśli nie dbasz o niczyje
Względy najłaskawsze,
Każdy, choćby i król świata,
Jest ci równym zawsze.

2.

Pytasz mnie, jaka mądrość jest na czasie?
Toż niechaj uczą cię szachistów boje:
Wrogowi swemu bierz wszystko, co da się,
Lecz najusilniej strzeż tego, co twoje.

3.

Cześć głupcom wszelakim, zazdrościć im trzeba:
Ich tylko od zgryzot uwolniły nieba,

Bo z rozumem naraz nikną i kłopoty,
Radość sama płynie ze świętej głupoty.
Gdzie rozum panuje, tam pierś bólem wzdęta,
Bo duch i cierpienie — rodzone bliźnięta.

4.

Choćby mi nawet przeznaczenie dało
Żyć bez przymusu na książęcym dworze,
Serce-by moje, ach! o każdej porze
Do ukochanej ojczyzny wracało.

(J. A. Święcicki).

VI. Szemseddin Hafis.

Z „Dywanu".

1. Gazela.

Kiedy kwitną róże, miłość szkołę zakłada,
Słowik, jako profesor, rzecz w gaju wykłada.
Stary Hafis pokorny do szkoły się wkrada,
Słowik mówi, on pisze, światu rozpowiada.
Nauczył się dwóch rzeczy i śmiało je gada:
Niema jak piękne dziewczę i z winem biesiada.
Gdzie tego niema, pusto; żywot się nie nada,
Straszno; piekielnych duchów gnieździ się gromada.
Dlatego prosi nieba, choć sławę postrada:
Zostaw mnie w moich grzechach, dusza grzechom rada.

2.

Biadaż! dotknął mnie gniew [pański!
Nieprzyjaciół mam ja siła:
Każdy derwisz muzułmański,
Każdy świątobliwy wiła!
Zakochany wierszoskładacz,
Nieobłudny, nie wyjadacz,
Co ja biedny z niemi zrobię?

Ot! podpiję wina sobie!
Coraz trudniej mi żałować,
Coraz krzywiej patrzy cnota!
Niema tu już co pracować,
By odwrócić dopust Pański:
W oczach naszych świątobliwych
Wszak czarniejszym być nie mogę,
Niźli murzyn afrykański.

(J. Szujski).

3.

O! gdybym ja był morza zwierciadłem,
A ty słonkiem patrzącem najmiléj....
O! gdybym ja był gajów strumieniem,
A ty kwiatem, co k' niemu się chyli!

O! gdybym ja był krzakiem zielonym,
A ty różą ku mojej ozdobie...
O! gdybym ja był ziarnem słodziutkiem,
A ty ptaszkiem, co ziarna te dziobie!...

4.

Miłości niedowiarkowi
Do mojej każ przyjść mogiły;
Gdy imię twoje wypowié,
Z pod ciężkich granitów bryły
Jasne płomienie wybiegą
Wraz z jękiem serca mojego.

5.

Zaklinam ciebie, patrz... ukochana,
W prochu twych stóp,
Skoro już umrę, każdego rana
Odwiedź mój grób.
Piekło czy niebo — mniejsza co będzie,
Anioł czy człek,
Umiarkowanie — herezyą wszędzie
Dziś i... za wiek.

Ziemicy naszej takieś, mój Boże,
Okowy dał,
Że ich potargać człowiek nie może
Chociażby chciał!...
Gdy wszystkie drogi w grób cię prowa-
A więc się zmień, [dzą,
Rozum za wina musi iść władzą
Po sądny dzień...

(J. A. Święcicki).

VII. Mewlana Dżami.

1. Z „Beharistanu". (Ogród wiosenny).

Jestto zbiór opowieści, dykteryjek, aforyzmów i t. d. na podobieństwo »Gulistanu« Saadiego.

Ibn Mokanaa opowiada, że pewien król indyjski całą bibliotekę, którą na sto wielbłądów ładowano, kazał streścić w czterech maksymach następujących:

„Bądź sprawiedliwy, jak książę".
Gdy sprawiedliwym jest książę,
Poddanych swych zobowiąże
I w jakiejś nieszczęścia dobie
Pociągnie wszystkich ku sobie.

„Bądź posłuszny, jak poddany".
Gdzie lud nie słucha praw wiernie,
Władca wychodzi z ich granic;
Na glebie, co rodzi ciernie,
Zasiew nie przyda się na nic.

„Bądź umiarkowany, żebyś był zdrów".
Gdy chcesz uniknąć cierpienia
I ujść doktorskiej grabieży,
Na głodno siądź do jedzenia,
I nim się najesz — wstań świeży.

„Kobiety mają żyć w odosobnieniu“.
Żonie w obcego spoglądać — rzecz zdrożna;
Choć go świat cały szacunkiem zaszczyca,
Żonie na obcych spoglądać nie można,
Chociażby mieli piękną twarz księżyca.

---

2. Z „Subhetol-ebrar“.

(Korona różana dla sprawiedliwych).

Dzieło to podobne jest treścią do Beharistanu.

Stara baba przed prorokiem staje
I z pokorą trwożliwie zapyta:
Czy po śmierci na niebiańskie raje
Stara może rachować kobiéta?
Prorok na to: „A, uchowaj Boże!
Raj niebiański nie dla starej baby;
Tam dziewice idą piękne, hoże,
Strojne w młodość i wszystkie powaby“.
Usłyszawszy to, stara niewiasta
Pada, jęczy... i łzy gorzkie roni;
Lecz gdy rozpacz staruszki tak wzrasta,
Wreszcie prorok z uśmiechem rzekł do niéj:
„O, tak! w raju baba nie zagości,
Bo w dzień sądu swą młodość odzyska,
Z baby starej wykwitnie huryska,
Pełna wdzięków i ognia miłości“.

---

3. Z „Dywanu“.

1.

Spotkawszy... objąłem całą
Okiem, gorączką zapiekłem;
— Kto jesteś? — dziewczę spytało.
— Biedak i obcy — odrzekłem.
Jam biedny!... Ach, co to znaczy,
Że choć nie pragnę niczego,
Wszędy w wędrówce tułaczéj
Za tobą oczy me biegą?:..
Jam obcy!... bo, ach! bez ciebie
Pustynia — śród ziemi żyznéj,

Kiedyż mi Allah da w niebie
Do własnej wrócić ojczyzny!
Choć jeden raz biedakowi
Rzuć wzrok, co blaski roztacza.
Ten czar chorego uzdrowi,
Biednego zmieni w bogacza...
Pozwól obcemu, ach proszę,
Zbliżyć się chociaż raz jeden,
O! wnet mi troski w rozkosze,
A piekło zamienisz w eden!...

Ejże, Hedo! wina prędzéj,
Patrz, przed nami czara pusta,
Długoż tak w pragnienia nędzy
Mają nasze cierpieć usta?!
Niechaj ten odpycha wino,
Kto świętoszków członkiem rzeszy;
Lecz kto pragnie żyć, dziewczyno!
Gdy nie pije, ciężko grzeszy!...

2.

Skoro nektar ten jest w świecie
Dobrodziejstwem dziś jedynem,
Toż i my nie możem przecie
Bezrozumnie gardzić winem.
Jak tu rozstać się z tym płynem?
Próżno takie mieć nadzieje:
Ono moschu wonią zieje,
Ono iskrzy się rubinem!

(J. A. Święcicki).

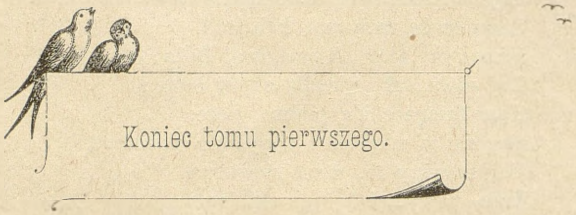

Spis rzeczy tomu I-go.

Wschód starożytny.

1. CHIŃCZYCY. Str.
I. Księga pieśni 1
a) Miłosne 1
b) Szyderskie 2
c) Urzędnicze 2
d) Ody 2
II. Li-taj-bo (Li-tai-pe) . . . 3
III. Du-fu (Tu-fu) 3
IV. Hoei-lan-ki 4
2. INDUSOWIE.
A) Rigweda 6
1. Hymn do Indry . . 6
2. „ „ „ . . . 6
3. „ „ Suryi . . . 7
4. „ „ światła . . . 8
5. „ nâsadyasûkta . . 8
B) Mahâbhârata 9
a) Savitri 12
b) Nal i Damajanti . . . 16
C) Ramajana 21
D) Z „Setek“ Bhartriharego . 26
E) Pustelnia Kandu 28
F) „Sakuntala“ Kalidasy . . 29
G) Malati i Madhawa 39
H) Hitopadesa 41
3. PERSOWIE. Str.
Hymny z Zend-Awesty . . . 43
4. EGIPCYANIE.
I. Hymn do Nilu 44
II. Treny na zgon Ozyrysa . 44
III. Pieśń o śmierci 45
IV. Nauki Ptahhotepa . . . 46
V. Przeznaczenie 46
5. ASSYRO-BABILOŃCZYCY.
I. Hymn do księżyca . . . 49
II. Psalm pokutny 50
III. Opowieść o potopie . . . 51
6. HEBRAJCZYCY.
I. Hymn Mojżesza 53
II. Pieśń Debory 54
III. Księga Hioba 55
IV. Pieśń nad pieśniami . . . 60
V. Kaznodzieja (Kohelet) . . 62
VI. Przysłowia Salomona . . . 63
VII. Psalmy 64
VIII. Izajasz o zburzeniu Tyru 68
IX. Tren Jeremiasza 68
X. Tren z czasów niewoli babil. 69
XI. Tenże tren w przetworzeniu K. Ujejskiego 69

Świat klasyczny.

1. HELLENOWIE (GRECY).
I. Homer.
A) Iliada 71
B) Odyseja 88
C) Hymn do Apollina . . 101
D) Żabo-mysza wojna . . 103
II. Hezyod.
A) Teogonia 105
B) Prace i dnie 109
III. Kallinos.
Do broni 112
IV. Tyrteusz.
a) Naprzód 113
b) Pobudka bojowa . . . 113
V. Mimnermos 114
VI. Safona.
a) Hymn do Afrodyty . . 115
b) Życzenie 116

Str.

c) Matczyne skarby . 116
d) Tęsknota 116
e) Złoto i cnota . . . 116
f) Pieśń weselna. . . 116
VII. Alceusz (Alkaios).
a) Prośba do Zeusa . 116
b) Zachęta do picia . 116
c) Na frasunek . . . 117
d) Po pogromie . . . 117
VIII. Erynna.
Do siły 117
IX. Teognis.
a) Obcowanie. . . . 118
b) Nowi ludzie . . . 118
c) Ciężar nędzy . . . 118
d) Dar wieszcza . . . 118
e) Zadanie wieszcza . 119
f) Najdroższy skarb . 119
g) Używaj świata, póki służą latka. . . 119
h) Póki czas 119
i) Miłość 119
k) Jeszcze miłość . . 119
l) Rezygnacya . . . 120
X. Anakreon.
a) O sobie 120
b) Miłość wieszcza . . 120
c) Przed bitwą . . . 120
d) Skarga 120
e) Przy pełnym . . . 120
f) Pieśń biesiadna . . 121
XI. Anakreontyki.
a) Obraz kochanki . . 121
b) Nauka 121
c) Lek na troski . . 122
d) Hola! 122
e) Starość — radość . 122
f) Pogrom 122
g) Czemu piję? . . . 122
XII. Symonides z wyspy Ceos (Keos).
a) Termopile . . . 122
b) Maratońskim rycerz. 123
c) Termopilskim ryc. . 123
d) Leonidasowi . . . 123
e) Gorgonie 123
f) Cnota 123
g) Los człowieka . . 123
h) Skarga Danai . . 124
XIII. Bakchilides.
a) Pieśń o pokoju . . 124
b) Droga do szczęścia . 125
c) Sny winne. . . . 125
d) Czem chata bogata . 125
XIV. Pindar.
a) Oda olimp. na cześć Azopicha z Orchom. 126
b) Oda pityjska na cześć Hierona, tyrana . . 127

Str.

XV. Eschilos.
A) Prometeusz w okowach 133
B) Oresteja 136
a) Agamemnon . . 136
b) Ofiarnice . . . 142
c) Eumenidy . . . 146
XVI. Sofokles.
A) Edyp król 141
B) Antygona 159
C) Filoktet 168
XVII. Eurypides.
1) Hekaba 173
2) Ifigenia w Taurydzie 179
XVIII. Arystofanes.
1) Rycerze 184
2) Chmury 192
3) Żaby 196
XIX. Teokryt.
A) Amaryllis 202
B) Kosarze 204
C) Syrakuzanki na uroczystości Adonisa . 205
D) Rybacy 207
E) Eros ukąszony przez pszczołę 208
XX. Bion.
a) Żal po zgonie Adonisa 209
b) Pory roku 209
c) Do gwiazdy wieczor. 210
XXI. Moschos.
a) Żal po zgonie Biona . 210
b) Nad brzegiem morza 211
XXII. Kalimach.
a) Kąpiel Pallady . . 211
b) Epigramaty 214
XXIII. Muzeusz.
Hero i Leander . . . 214
XXIV. Heliodor.
Teagenes i Charykleja (Aethiopica) 217
2. RZYMIANIE.
I. Enniusz.
Annales. (Roczniki) . . 222
II. Plaut.
A) Trojak 223
B) Garnek złota . . . 232
III. Terencyusz.
Bracia (Adelphi) . . . 236
IV. Lukrecyusz.
O przyrodzie wszechrzeczy 239
V. Katullus.
A) Do Lesbii 245
B) Żale nad skonem wróbla 246
C) Powrót wiosny . . 247
D) Do samego siebie . 247
E) Do Dyany 248
F) Elegia na śmierć brata 248

Str.

G) Do Cycerona . . . 249
H) Na Cezara . . . 249
I) Niestałość miłości kobiecej 249
VI. Tybullus.
1) Do Delii 249
2) Do pokoju 251
VII. Propercyusz.
1. Pochwały Cyntyi . 252
2. Do Tullusa . . . 253
3. Do Cyntyi 253
VIII. Wergiliusz.
A) Eneida 254
B) Ziemiaństwo . . . 268
C) Bukoliki 271
IX. Horacyusz.
a) Satyra 1 księgi I. . 273
b) Ody 275
1) Do ludu rzymsk. 275
2) Pochwała Augusta 276
3) Na zbytek w budowlach . . . 277
4) Do gąsiora . . . 278
5) Do Filidy . . . 278
6) Do Arystyusza Fuska 279
7) Do Apollina . . 280
8) Do Licyniusza Mureny 281
9) Do Grosfa . . . 281
10) Do Wipsaniusza Agrypy 282
11) Do Melpomeny . 283

Str.

c) List do Fuska Arystyusza 283
X. Owidyusz.
a) Elegie miłosne . . . 286
b) Metamorfozy czyli Przemiany 288
2) Z „Żalów“ 294
3) Listy z Pontu . . . 297
XI. Lukan.
Farsalia 298
XII. Persyusz.
Satyra 3 300
XIII. Petroniusz (Arbiter).
Satyrykon 301
XIV. Fedrus.
1) Wilk i baran . . 305
2) Krowa, kózka, owca i lew 305
3) Liszka i kozioł . . 305
XV. Marcyalis.
a) Epigramaty 306
b) Z „Księgi widoków“ 307
XVI. Juwenalis.
Satyra wstępna . . . 308
XVII. Auzoninsz.
a) Epigramaty 313
b) Epitafie (Nagrobki) . 314
XVIII. Klaudyusz Klaudyan.
1) Porwanie Prozerpiny 314
2) Wiersz panegiryczny na konsulat Olibryusza i Probina . . . 317

Wieki średnie.

I. Poezya chrześcijańska w języku łacińskim.
I. Święty Ambroży.
Hymn „Aeterne rerum conditor“. 321
II. Prudencyusz.
Hymn na cześć męczennika Kwiryna . . . 321
III. Sodoma 322
IV. Wenancyusz Fortunat.
Hymn „Pange lingua gloriosi“ 323
V. Grzegórz Wielki Papież.
1) Hymn „Ecce jam noctis“ 324
2) Hymn „Audi benigne Conditor“ . . 324
VI. Paweł Dyakon.
Hymn na uczczenie św. Jana Chrzciciela . . . 325
VII. Św. Bernard.
Hymn „Jesu, decus angelicum“ 325
VIII. S. Tomasz z Akwinu.
Hymn „Sacris solemnis juncta sint gaudia“ . . 326
IX. Jakób z Todi.
„Stabat mater dolorosa“ . 327
X. Św. Bonawentura.
Filomena 327
XI. Dies irae 329
XII. Eckehard.
Waltharius 330
XIII. Hroswitha.
Gallikan 334
II. Poezya prowansalska.
I. Bernard de Ventadorn.
a) Nie dziwcie się . . 336
b) Taki jestem rad . . 337
II. Marcabrus.
Przy krynicznej wodzie . 338

Str.

III. Jaufre Rudel.
Nudnemi dni majowe 339
IV. Bezimienny.
Ballada 340
V. Bertrand de Born.
a) Sirwenta . . . 341
b) Lubię patrzeć 342
VI. Pieśń Ryszarda
Lwie serce. . . . 342
VII. Guirault de Berneil.
Lubo, gdy gonię. . 343
VIII. Arnold Daniel.
Sestyna 344
IX. Peyrols.
Kiedy miłość się spostrzegła 345
X. Gaucelm Faidit.
Teraz za morze . . 346
XI. Savaric de Malleo.
Tensona 347
XII. Piotr Cardinal.
a) Ciemięga . . . 349
b) Dziwny deszcz . 350
XIII. Jordi.
Sonet 350
XIV. Arnaut de Carcasses.
Nowella 351
III. Poezya francuska.
I. Pieśń o Rolandzie . 354
II. Chrestien de Troyes.
Perceval walijski . 362
III. Quenes de Bethune. 364
IV. Châtelain de Coucy. 366
V. Teobald (Thibaut) król nawarski . 367
VI. Bajka (Fabliau) o kuropatwach 368
VII. Jan Froissart.
Rondeaux 370
VIII. Karol ks. Orleański. 371
IX. Franc. Villon.
1. Ballada (Epitaphe) 373
2. Les dames du temps jadis 374
3. Wyjątek z „Wielkiego testamentu“ 375
X. Farsa „Le maître Patelin“ 375
IV. Poezya włoska.
I. Św. Franciszek z Asyżu.
Hymn stworzenia . 379
II. Dante Alligieri.
1. Z „Vita nuova“ . 380
2. Boska komedya.
a) Część I. Piekło 381
b) „ II. Czyściec 394

Str.

c) Część III. Raj. . 399
III. Petrarka.
a) Sonet 17. . . . 403
b) „ 47. . . . 403
c) „ 64. . . . 404
d) „ 76. . . . 404
e) „ 126. . . . 404
f) „ 238. . . . 405
g) „ 269. . . . 405
h) Sestyna VIII. . . 406
i) Canzona XIV. . . 406
IV. Bokacyusz.
Sokół 408
V. Poezya hiszpańska.
I. Poemat o Cydzie . . 413
II. Z Romancero o Cydzie 416
III. Romance 417
VI. Poezya starogermańska.
I. Beowulf 418
II. Edda.
1. Widzenie Wöli . 421
2. Odebranie młota . 424
3. Z Pieśni Odina . 425
VII. Poezya niemiecka.
I. Pieśń o Nibelungach. 426
II. Gudrun (Kudrun). . 439
III. Wolfram von Eschenbach.
Parsywal 446
IV. Hartmann von der Aue.
Biedny Henryk . . 450
V. Walter von der Vogelweide.
1. Oddanie się i odprawa 453
2. Piękność i wdzięk 453
3. Potęga miłości. . 454
4. Niewdzięczność świata. 454
5. Dobry obyczaj. . 455
6. Równość wobec Boga 456
7. Sierota 456
8. Nie dobry koniec. 457
9. Włoska skarbona. 457
10. Wyznanie . . . 457
11. Boga zgłębić nie można 458
VI. Freidank.
O niebie i piekle . . 458
VIII. Poezya angielska.
Chaucer.
Powieści Kantorberyj. 459
IX. Poezya czeska.
I. Smil Flaszka.
Rada ojca synowi. . 472
II. Koniuszy i żak . . 474
III. Pieśń miłosna . . . 475

Str.

X. Poezya ruska.
Wyprawa Igora na Połowców 476
XI. Poezya serbska.
I. Bój kossowski . . 480
II. Zgon Marka królewicza 483
XII. Poezya arabska.
I. Antara
Muallaka 484
II. Imruulkais albo Amrolkais.
Muallaka 485
Z Dywanu 487
III. Szanfary.
Kasyda 488
IV. Waddak.
Sen 490
V. Moty Ibn Ajas.
Do córki . . . 491
VI. Abu Firas.
Jeniec 492
VII. Ibn-ul-Abbar.
Kasyda 492

Str

XIII. Poezya perska.
I. Abul Kasim Mansur Firdusi.
Szach-Nameh . . . 494
Rustem i Sohrab . 494
II. Omar Chajjam . . . 497
III. Dżelaleddin Rumi.
1. Król i chora niewolnica. 498
2. Z „Dywanów“ . . 499
IV. Moslicheddin-Saadi.
Gulistan (Ogród różany) 500
V. Ben Jemin Ferjumendi.
Aforyzmy 502
VI. Szemseddin Hafis.
Z „Dywanu“ . . . 503
VII. Mewlana Dżami.
1. Z „Beharistanu“ (Ogród wiosenny) . 504
2. Z „Subhetol-ebrar“ 505
3. Z „Dywanu“ . . 505

Biblioteka AiP W
28285/I/2.